4764/21

# BIBLIOTEKA
# WARSZAWSKA
# 1848.

## LIPIEC. ZESZYT XCI.

---

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. najregularniéj w piérwszych dniach każdego miesiąca, na poczcie dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jéj z prenumeratorów na poczcie, nie odbiérał w zwykłym czasie, tojest najpóźniéj w tydzień po wyjściu, lub odbiérał nieopieczętowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonemi, proszony jest od redakcyi, aby wprost do niéj się udawał na jéj koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Senatorskiéj pod Nrem 468/4." W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcya może otrzymać zadosyć uczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcya uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, w razie nieodebrania zeszytu należnego, raczył nieodwłocznie o tém redakcyą zawiadomić.

Przedpłata na rok **1848**, czyli na rok ósmy istnienia pisma:

1. *Przedpłata całkowita*, wynosi na rok złp. 60.

2. *Przedpłata kwartalna*, przyjmuje się za złożeniem złp. 15 na piérwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnéj, prenumerator podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumerator pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanéj.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie, zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1848, za opłatą roczną w ilości złp. 60, lub *kwartalną*, tojest za złożeniem na raz za *dwa kwartały* złp. 30.

Biblioteka Warszawska, pismo peryodyczne wydawane przez redakcyą zebraną w składzie zakresowi jego odpowiednim, wychodzi bez przerwy od 1go stycznia 1841 r. zeszytami miesięcznemi, z których każdy składa się najmniéj z 14 arkuszy, i rozsyłany jest w piérwszych dniach każdego miesiąca.

Komplet Biblioteki Warszawskiej roczny, stanowi 12 zeszytów czyli cztéry tomy. Komplet kwartalny stanowi trzy zeszyty, czyli tom jeden.

Komplet z każdego roku złożony z 12 zeszytów czyli 4 tomów, kosztuje w kraju złp. 60, za granicą złp. 80. Cały zaś komplet z lat upłynionych siedmiu, tojest: 1841, 1842, 1843, 1844, 1845, 1846 i 1847, złożony z 84 zeszytów czyli 28 tomów, nabyć można za złp. 420. Dwa spisy 20 tomów, podług przedmiotów i nazwisk autorów są w zeszycie styczniowym 1846 r.

Na przedpłatę całkowitą, lub kwartalną na r. **1848**, zapisywać się można:

W Warszawie w redakcyi Biblioteki Warszawskiej przy ulicy Senatorskiéj pod Nrem 46⅝, U osób prywatnych które się nią zajmują. Na wszystkich pocztamtach Królestwa, we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych, a mianowicie: w Warszawie u *Leona Glücksberga*, *Huguesa*, *Klukowskiego*, *Merzbacha*, *Natansona*, *Orgelbranda*, *Sennewalda*, *Spiessa i Spółki*, *Steblera*, *Zawadzkiego i Węckiego*, i w składzie *Antoniego Zaleskiego*. — U *Hurtiga* w Kaliszu, u *Rosenthala* w Radomiu, u *Strejbla* i *Arzta* w Lublinie, u *Józefa Michalko*, w Krasnymstawie, u *Dobrzańskiego* w Płocku, u *Orgelbranda* w Suwałkach; w Krakowie u *Czecha* i *Friedlejna*, we Lwowie u *Jabłońskiego i Syna*, u *Millikowskiego*, u *Pillera i Spółki*, u *Winiarza* dawniéj *Wilda* i *Syna*; w Berdyczowie u *Szczepańskiego*, w Winnicy u *Lecha*, w Berdyczowie i Kijowie na kontraktach u *Szafnagla*, w Kijowie i Wilnie u *Zawadzkiego*; w tém ostatniém u *Rubina Rafałowicza*; w Moskwie u *Fr. Sewerin*, w Petersburgu u *Eggers et Comp:* i u *Ejnerlinga*, w Dorpacie u *Severin*, w Królewcu u *Braci Bornträger*, w Gdańsku u *Gerharda*, w Grudziądzu u *Roethego*, w Toruniu u *Lambecka*, w Bydgoszczy u *Millera*, w Gnieźnie u *Güntra;* w Poznaniu u *Kamińskiego*, w *Nowéj Księgarni*, u *Stefańskiego*, u *Schirmera i Bredulla*, u *Braci Szerck* i u *Żupańskiego*. W Berlinie u *Schroedera* i *Behra;* w Lipsku u *Brockhausa i Avenariusa*, i w *Księgarni Zagranicznéj;* w Lesznie i Głogowie u *Günthra;* we Wrocławiu, Opolu i Pszczynie u *Hirta;* w Pradze Czeskiéj u *Kronberger et Rziwnatz*.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcya wzywa i najuprzejm zaprasza do wspólnéj pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane, redakcya z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie, wszelkie zamieszczone w piśmie swojém prace, czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty, powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, Księgarze i inni Nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychléj wymienione w Kronice Bibliograficznéj, i ocenione w Kronice Literackiéj Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku, składać tychże dzieł exemplarz, do kantoru redakcyi, przy ulicy Senatorskiéj Nr. 46⅝.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

# BIBLIOTEKA
# WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

## 1848.

## Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXI.

**WARSZAWA.**

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,**
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.
1848.

4620 . 1848 . 3
II.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.*

30.000,-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

X-14129
4620/II/1848 3.

# O PIORUNACH.

PODŁUG S. ARAGO,

PRZEZ

*Józefa Sapalskiego.*

---

Każdy przedmiot, czyto z dziedziny wiedzy czysto moralnéj, czyto z dziedziny nauk przyrodzonych, im więcéj jest bogatszy w przykłady systematycznie ułożone, im więcéj fakta dokładnie, sumiennie i jasno obrobione, tém pewniéj i stanowczo posuwa (może zbyt powolnym krokiem) społeczność do oświaty, a tém samém i cywilizacyi. Żaden podobno z dzisiejszych uczonych, nie pojął tak dobrze, tak doskonale powyższego założenia, jak p. Arago. W tém właśnie przekonaniu niedawno udzieliliśmy czytelnikom naszym rozprawę jego o *Źródłach* i *Rzekach*, obfitą w różnorodne fakta, oraz ciekawe i zajmujące szczegóły; podajemy teraz drugą rozprawę tegoż autora o *Piorunach*, niemniéj interesującą pod względem licznych i głębokich badań, niemniéj odznaczającą się staranném i pracowitém poszukiwaniem licznych spostrzeżeń opartych na doświadczeniach, nako-

niec przenikliwém i głębokiém objawieniem sądu, uzasadnionego faktami.

Na dowód tego, przytoczymy własne p. Arago słowa, usprawiedliwiające jego przedsięwzięcie: „Często byłem zapytywany w przedmiocie konduktorów przez budowniczych, czuwających nad bezpieczeństwem pomników narodowych, przez wojskowych, do których należy urządzanie magazynów prochowych, przez komendantów okrętów wojennych i kupieckich, nakoniec przez znaczną liczbę obywateli wszelkich klass społeczeństwa. Wolno mi zatém zapewnić, że w ogólności tylko z powołania fizycy, mają dokładne wyobrażenie o własności tych narzędzi zapobiegających zniszczeniu. Jeżeli zapytują się jak urządzać konduktory, lub stawiają je, czynią to jedynie mając na względzie potwierdzenie akademii. Każdy pragnie tylko zasłonić się od odpowiedzialności tarczą nauki, lecz przekonania wewnętrznego o skuteczności tego środka, trudno w nich znaleźć. Jedni powątpiewając, są w chęci zgodzenia się na konduktory, ale oczekują, ażeby im w miejsce prostego podobieństwa do prawdy, złożono rzetelne dowody; drudzy przypuszczając niezmierne szkody, które mogą być zrządzone z powodu wątłéj ochrony, tłumaczą się, że im rozum nie dozwala wierzyć, ażeby jeden nędzny pręcik metalowy, mógł zabezpieczyć wielką budowlę, lub zasłonić okręt od jednego z najgwałtowniejszych meteorów. Podług nich podobne pręciki, które mają tak szczytną własność, wyniesione nad budowle, są zupełnie bez celu; nie czynią one nic złego, ale także i nic dobrego. Są i tacy, którzy przyznają sztabkom metalowym silny wpływ, lecz uważają ten wpływ za szkodliwy. Uzbroić szczyt budowy prętami metalicznemi, jestto według nich przyciągać

piorun z oddalonego punktu; jestto stwarzać niebezpieczeństwo, które bez tego nie istniałoby; jestto pomagać do przyciągnięcia obłoków brzemiennych piorunami, które wyzionęłyby gdzie zdala od budowli; jestto powiększyć niebezpieczeństwo, na które naraża się sąsiednie zabudowanie. Fryderyk II król pruski, należał także do przeciwników wynalazku Franklina. Onto tego samego dnia, w którym ustępując opinii publicznéj, jak niemniéj akademii berlińskiéj, zezwalał stawiać konduktory na budowlach narodowych, wyraźnie zabronił wznosić je na zamku *Sans-Souci*".

„Rozmyślając nad środkami zniweczenia podobnych wątpliwości i trudności, a powiększenia oświeconéj liczby utrzymujących stronę konduktorów, postanowiłem najprzód zupełnie odłączyć doświadczenia od teoryi. Sposób najpewniejszy, najbardziéj przekonywający wskazał mi, ażebym rozebrał wypadki piorunu dokładnie oznaczone, starał się z nich wyprowadzić następstwa ogólne, wcale nie zastosowując do nich podobieństw wynikłych z doświadczeń elektrycznych czynionych przez fizyków; mniemałem jedném słowem, że potrzeba stać się dokładnym i rzetelnym historykiem meteoru, a późniéj dopiéro poszukiwać punktu zetknięcia się lub zbliżenia tego fenomenu z mniejszemi zjawiskami, które nas otaczają, albo które utworzyliśmy w naszych gabinetach, w naszych laboratoryach. Takim był mój plan, który nakréśliłem w celu dopięcia mego zamiaru. Postanowiłem zebrać wszelkie zasady znajdujące się w rozbiorach tegoczesnéj fizyki, nadto przedsięwziąć pracę niezbyt rozciągłą, a zobowiązać się jedynie do zjednoczenia wypadków stałych, wydatnych, dobrze znamionu-

jących rzecz, uporządkować je systematycznie, sposobem właściwym celowi podobnych wiadomości (1)."

„Dlatego zmuszony byłem uciekać się do źródeł oryginalnych, przerzucać więcéj tysiąca tomów zbiorów akademickich umiejętności, tranzakcyj filozoficznych londyńskich, zbiorów berlińskich, dzienników fizycznych i t. d.; przewartować massę dzieł, opisów podróży starożytnych i tegoczesnych, pamiętników po większéj części pisanych bez ładu, czystości i celu; czytać nakoniec to wszystko co miałem pod ręką, a to wśród tysiąca szczegółów bezużytecznych, w nadziei znalezienia jakiego wypadku, spostrzeżenia, lub prostéj cyfry korzystnéj nauce."

„Wielu utrzymywało, że przedmiot który przedsięwziąłem skréślić, został zupełnie wyczerpany przez Franklina i jego współzawodników, a nadewszystko przez kommissye akademickie, które w różnych epokach tak w Londynie jak i Paryżu były utworzone, dla oświecenia władz krajowych jak mają urządzać konduktory. Nie podzielałem zupełnie ich opinii; pracowite poszukiwania moje, którym poświęciłem się, coraz więcéj mię przekonywały, że przedmiot tak mało był dotknięty, iż ledwie mogłem utworzyć *szkic*, pewien rodzaj głównego zarysu do historyi o piorunach; pomimo tylu spostrzeżeń zapomnianych, a które umieściłem w porządku systematycznym. Oby te uwagi zachęciły podróżujących i meteorologów do zgłębienia tego tak groźnego meteoru, a razem tak bogatego w wypadki nauczające! Jeśli ży-

(1) Proste to oznajmienie dało powód niektórym dziennikom do tak dziwacznych rozbiorów, do narzekań tak niespodzianych, do posądzeń tyle obrażających, że nieledwie, jak sam Arago wyznaje, chciał zaniechać swój zamiar.

czenia moje będą wysłuchane, natenczas wynagrodzonym zupełnie zostanę za trud, jaki mi się dostał w udziale."

Rozprawa S. Arago o *Piorunach*, tém więcéj jest zajmująca, że teorya tego fenomenu dla nas jest jeszcze zupełnie nową. Czyż dawno, nawet uczeni, wprowadzali częstokroć w błąd przez niedorzeczne tłumaczenie tego zjawiska? Czyż mało znajdziemy i dziś takich, którzy mają wcale opaczne o niém wyobrażenie?.... Niezawodnie wielu się zdziwi, że człowiek uposażony będąc od przyrody chęcią nabycia wiedzy, pogardził niebezpieczeństwy, ażeby tylko zbadać wierzchołki gór niebotycznych, ażeby przypatrzyć się zblizka wybuchom wulkanicznym, ażeby zmierzyć głębokość rozległych wód oceanu; poświęcił cały swój żywot na wyśledzenie natury roślin, lub domowego bytu najdrobniejszych owadów; skazał siebie na powolną śmierć w laboratoryum chemicznem, jedynie dlatego, ażeby odkryć nieznany jaki pierwiastek. A jednak ten sam człowiek długo nie zwracał uwagi na tak wyraźny i groźny fenomen przyrody, jakim jest piorun, który potężną siłą swoją, jak niemniéj mnogością różnorodnych stanowczych wypadków, powinien był wcześniéj jak inne zjawiska, zwrócić jego badawczy umysł.

Prawda, że przyroda otwiéra nieograniczone pole dla badających umysłów, ale z drugiéj strony jak na nieszczęście, człowiek tak krótko żyje, iż częstokroć dla wyśledzenia jednego tylko faktu, nie wystarcza mu całe życie jego. Celem każdéj pracy jest nagroda; nagroda uczonych badań jest powodzenie. Czyliż mamy się więc dziwić, że człowiek niekiedy napotykając przedmiot trudny do wytłumaczenia, zadanie uporczywie niedające się rozwiązać, rzuca je po pierwszém niepowodzeniu, tém

bardziéj jeżeli upatruje, że okres jego doczesnéj wędrówki nie wystarczy mu na zgłębienie i ustalenie pewnéj niezachwianéj zasady? W podobnych okolicznościach rozwiązuje tylko jedno szczęśliwe zdarzenie niezależne od woli naszéj, albo wszechwładny gieniusz, który z przenikliwością rzuca swój orli wzrok na główny splot gordyjskiego węzła.

Zjawiska odbywające się na powierzchni kuli ziemskiéj, że tak powiém pod naszą ręką, łatwiejsze są do wyśledzenia. Analiza i synteza, jak dwie dźwignie umysłowéj mechaniki w ręku badacza, łatwo mogą doprowadzić do skutku, jeżeli przyczyna działania wskaże następstwa, albo następstwa wynikłe z działania, odsłonią ukryte przyczyny. Grom jest fenomen różnorodny, w swych skutkach niezmiernie zawikłany i zmienny, tak dalece, że nawet dotąd wiele wypadków tego zjawiska nie są wytłumaczone. Wyrabia się on w niedościgniońéj dla nas przestrzeni, tam, gdzie tylko wznieść się możemy myślą, gdzie tylko wyobraźnia nasza z nieśmiałością snuje niepewną i wątłą tkaninę wniosków lub twierdzeń. Nakoniec, rozmaita własność elektryczności, różnorodna własność gazów, niezbyt dawno stały się dla nas dokładniéj znajome; w nichto są zawarte główniejsze zarody niebieskiego ognia. Brak wiadomości tych, opóźnił postęp odkryć w tym tak ważnym atmosferologicznym przedmiocie; tylko stopniowe badania i doświadczenia, mogą nas doprowadzić do celu, lecz żeby posunąć się na drodze postępu, żeby uzasadnić nawet gienialne hypotezy, potrzeba jeszcze długiego czasu. Na téj właśnie drodze rozpoczął p. Arago poszukiwania.

Złóżmy dań wdzięczności wielkiemu mężowi, który tak hojnie rozdziela między społeczność owoce swéj nie-

zmordowanéj pracy. Jak kapłan przy ołtarzu przyrody, zwiastuje on światu jéj tajemnice, jéj harmonijny porządek, jéj niewiadome przyczyny widocznych skutków. Przed każdym z nas leży otwarta księga przyrody, na kartach któréj palec Wszechmocnéj Opatrzności skréślił głoskami gór, oceanów, lasów, ukryte tajemnice natury, wzniosłe pomysły, mądre przeznaczenie. Ale nie każdy pojmie ową odwieczną skałę, to pierworodne dziécię przedpotopowego ognia; ową górę, ten niezatarty pomnik powszechnego potopu; nie każdy zrozumié słoje baoba rówiennika naszego planety; nie każdy jest w stanie dociec tajemną łzę roślin; nie dla każdego jest zrozumiany niebieski grom, ta uroczysta mowa przyrody, ten akord odwiecznéj harmonii. Złóżmy dań dla natchnionego mędrca, który potężną myślą przejrzał przez mgłę upłynionych wieków, który odsłonił tajemnicę stworzenia, i jak nowy apostoł idzie wykładać ludom wielkie prawdy, mając za swego przewodnika przyrodę. Chwała jego poświęceniu się, wdzięczność jego pracy, cześć jego imieniowi!

### Zewnętrzne oznaki chmur piorunowych.

W wyrażeniu pospolitém, chmury są godłem niestałości i zmian w zewnętrznym kształcie. *Zmienny jak obłok*, jest powszechne przysłowie ludów. Badajmy wszakże z meteorologami, czy chmury w których łonie się wyrabia piorun, a następnie objawia przez rażący blask światła i wystrzał mocniejszy od strzału armatniego, różnią się od obłoków zwyczajnych? W liczbie cech uderzających, wymienimy na wstępie rodzaj poruszania się, któremu chmury piorunowe zdają się podlegać. *For-*

*ster* fizyk angielski, ruch ten porównywa do poruszeń, które spostrzegamy niekiedy na sérze z robakami! Jeżeli w czasie ciszy wznoszą się raptem obłoki skupione jak bawełna nagromadzona: albo innemi słowy, zakończone mnóstwem obwodów krzywych, jak naprzykład szczyty gór wzniosłych i pokrytych śniegiem; jeżeli obłoków tych zmniejsza się liczba a powiększa wielkość; jeżeli pomimo wszystkich podobnych zmian, zostają nieporuszone w jednym punkcie; jeżeli obwody ich z początku tak liczne i wyraźne, łączą się z sobą i nakoniec stanowią obręb jednéj chmury; natenczas podług *Beccaria*, można z pewnością powiedzieć, że zanosi się na dészcz, burzę, lub nawałnicę brzemienną grzmotami i piorunami.

Po takich zjawiskach ukazuje się powszechnie na widokręgu wielki obłok ciemny, którego warstwy niższe zdają się dotykać ziemi. To ciemne tło łączy się z obłokami najwyższemi. Godném tu jest uwagi, że staje się to wówczas, kiedy powierzchnia ich ogólna, a przynajmniéj ta, którą się widzi z płaszczyzny, coraz staje się równiejszą. Najwyższe warstwy massy tych obłoków pojedynczych i silnie spojnych rozdzielają się na długie gałęzie, które nie odrywając się, stopniowo posuwają się i pokrywają cały widnokrąg. W chwili, kiedy gałęzie te tworzą się, atmosfera jest powszechnie przesiana obłoczkami białemi dość wydatnemi, które sławny fizyk z Turynu nazywa *ascitizi*, czyli obłoczkami podrzędnemi. Poruszenia tych *ascitizi* są nagłe, niepewne i nieregularne, oraz zdaje się, jakby były przyciągane przez wielką massę obłoku; dlatego właśnie można je widzieć jak jedne po drugich łączą się w jednę całość. *Ascitizi* już obserwowane były przez Wirgiliusza, który porównywał

je do kosmków wełny. Plamy białe, które w różnych punktach przerywają tło ciemne wielkiéj chmury, początkowo były *ascitizi*.

Kiedy rozpościerający się wielki obłok ciemny przejdzie zenit, kiedy pokryje rozległą przestrzeń nieba; dostrzegacz nagle zobaczy mnóstwo drobnych *ascitizi*, nie przewidując wcale, zkąd się wzięły i jak utworzyły się. *Ascitizi* te jakby porozrywane i poszarpane, że tak powiém szczątki obłoków, rozpościerają w różnych ustępach długie ramiona; ich poruszenie jest żywe, nieregularne i niepewne, jednak zawsze horyzontalne. Jeżeli w biegu wstecznym zbliżą się do siebie, zdają się prawdziwie wyciągać jedne ku drugim swe ramiona; a gdy się prawie zetkną, wnet odpychają się widocznie, a ramiona, o których mówiliśmy, zwężają się w biegu przeciwnym temu, jaki poprzednio był widziany.

Wypadki te są treścią obserwacyj czynionych przez *Beccaria* mieszkającego w okolicach Turynu, otoczonych prawie zupełnie wysokiemi górami. Jeśli jego obserwacye porównamy z opisami tworzenia się i zupełnego rozwinięcia chmur piorunowych na równinach, natenczas można będzie ocenić, co w nich jest gruntownego lub mylnego. *Beccaria* nie był w stanie więcéj obserwować jak tylko niższą powierzchnią chmur, które widział z obserwatoryum turyńskiego.

*Peytier* i *Hossard* zajmując się pomiarem trygonometrycznym gór Pirenejskich spostrzegli (na co żaden z meteorologów przedtém nie zwrócił uwagi), że w czasie wielkich upałów, na wielu punktach warstw obłoków dolnych, podnoszą się długie słupy prostopadłe, które przestrzenie atmosferyczne bezpośrednio łączą i zapowiadają burzę.

Według obserwacyj *Peytiera*, chmury powstające w niektórych miejscach na górach, tworzą się z kilku obłoczków oderwanych od rozległych warstw, rozciągających się na dolnych równinach. Można widzieć z wierzchołka gór Pirenejskich każdego prawie poranku w kilka godzin po wschodzie słońca, jak tworzą się na równinach obłoki, które częstokroć podnosząc się z szybkością, skupiają się na różnych cyplach, gdzie powszechnie powstaje burza. Jeżeli zaś równina dolna jest już przed wschodem słońca pokryta obłokami, wówczas nie tworzą się nowe chmury, lecz cząstki odrywają się od obłoków jedne po drugich, łączą się w jednę massę około cypla, i stają się siedliskiem burzy, dészczu, gradu.

*Franklin* mówi, że wielki obłok pojedynczy nie jest chmurą piorunową: „Wtenczas, kiedy z chmury ukazują się błyskawice i uderzają pioruny, postrzegacz zobaczy pod nią szereg obłoków mniejszych, jeden nad drugim. Niekiedy obłoczki te są bardzo w małéj odległości od ziemi". A więc podług Franklina, potrzebne są dwa warunki, ażeby obłok stał się siedliskiem błyskawicy: najprzód trzeba, iżby był niezmiernie rozległy; powtóre, iżby małe obłoczki pośredniczyły między jego powierzchnią dolną a ziemią. Jednak w tym względzie wielu meteorologów z filozofem amerykańskim zupełnie nie zgadzają się.

*Saussure* w opisach swéj sławnéj podróży na *col du Géant* powiada, że nie widział w górach inaczéj tworzących się chmur, któreby oznaczały burzę, tylko w chwili zetknięcia się dwóch lub kilku obłoków. „Kiedy na *col du Géant* lub na cyplu *Mont-Blanc*, daléj mówi, nie ma w powietrzu więcéj nad jeden obłok, chociażby ten nawet był gęsty i ciemny, to nie wyda wcale piorunu; lecz

jeżeli utworzą się dwie warstwy chmur rozciągające się jedna nad drugą, lub wzniosą się z równin albo dolin i dosięgną cyplów, połączenie ich wówczas staje się przyczyną wiatru, grzmotów, gradu, deszczu."

Lecz to jeszcze nie jest uzasadnionym dowodem, jak zaraz zobaczymy. W pamiętnikach *Marcorella* akademika z Tuluzy, jest wzmianka, że 12 września 1747 r. wokoło niebo było wypogodzone, wyjąwszy jeden tylko obłoczek od 15 do 16 stóp średnicy mający, który błąkał się po widnokręgu. Wtém, w jednéj chwili zahuczało i uderzył z niego piorun; zabił kobiétę *Bordenare*, opaliwszy jéj ciało bez uszkodzenia odzieży.

W pamiętnikach *botaniczno-meteorologicznych* zebranych w *Denainvillers* w blizkości *Pithiviers* przez p. *Duhamel du Monceau*, znajduje się następująca nota:

„Roku 1764, w dniu 30 sierpnia o godzinie wpół do szóstéj z rana, podczas pięknéj pogody przebiegała mała chmurka odosobniona. Z chmurki téj w mgnieniu oka ukazało się światło, poczém uderzył piorun w wiąz w blizkości zamku, zdarł z niego korę od wierzchołka do korzenia, wynoszącą długości stóp 20, a szerokości od 2, 3 do 4 cali; zrobił na drzewie rowek szeroki i głęboki na pół cala, w którym przechodziła linia cienka jak nić i czarna. W téj saméj chwili w sąsiedniéj chacie dał się czuć zapach siarki."

*Bergman* także widział, jak piorun z małego obłoczku uderzył w dzwonnicę, kiedy niebo zupełnie było pogodne i jaśniejące.

Możemy więc teraz zupełnie być przekonanemi, że nietylko chmury w ogromnéj massie są piorunowe, lecz i obłoczki małe błąkające się wśród pogodnego nieba. Przytoczymy tu jeszcze jedno postrzeżenie, które win-

niśmy panu *Hossard*. „W roku 1834, mówi on, kiedy byłem na szczycie *Faucille* w *Jura*, widziałem tworzącą się małą chmurkę około sąsiedniego wierzchołka zwanego *Colombier de Gex*, którego wysokość nad poziom morza wynosi 1600 metrów. Obłoczek istniał zaledwie kilka chwil, kiedy z niego uderzył piorun."

Jakkolwiek poszukiwania te, któreśmy przytoczyli, nie są jeszcze tak dokładne, ażeby mogły nas upewnić o niemylności wypadków; jednak powiemy z *Beccaria*, że piorun nigdy nie uderza z *mglistych obłoków*, których warstwy odznaczają się jednostajnością swego składu i regularnością powierzchni.

Na tém zakończymy ten rozdział. Kiedyś może będziemy czytać w tym przedmiocie wiadomości więcéj dokładne i gruntowne; jest on bowiem w istocie najgodniejszy uwagi meteorologów. Ci, którzy nie będą zważać na dziwaczność, jaką mogą napotkać w postrzeżeniach w rzeczy tak zmiennéj, różnorodnéj i ruchliwéj jak są obłoki, spodziewam się nagromadzą wiele wypadków pożytecznych dla nauki, a tém samém i oświaty.

### Piorun wyrabia się i objawia niekiedy w obłokach, których natura, zdaje się być zupełnie różną od obłoków atmosferycznych zwyczajnych.

*Pliniusz młodszy* pisał dwa listy do *Tacyta* w przedmiocie wybuchu Wezuwiuszu, który w r. 79 naszéj ery stał się przyczyną śmierci stryja jego *Pliniusza naturalisty*. W jednym z tych listów pisze on o obłokach czarnych i przerażających, obłokach popiołu poprzecinanego *ogniami wężykowatemi*. Rozczepiały się one, daléj pisze,

wydając smugi płomieni podobnych do błyskawic. Nie używają dziś innych wyrażeń do określenia światła widywanego w burzach powszechnych.

Dzieła księdza *Della Torre* także wiele mają podobnych opisów. W określeniu wybuchu Wezuwiuszu w r. 1182 znajdujemy, że dym nadzwyczaj gęsty (*densissimo*) trwał od dnia 12 do 22 sierpnia i uderzały często wpośród niego pioruny (*saëtte*).

*Bracini* naoczny świadek wybuchu Wezuwiuszu w r. 1631 mówi, że słupy dymu wznosząc się z krateru rozpościerały się w powietrzu na odległość 40 mil, a w przeciągu trwania tych szczególnych obłoków, pioruny z nich zabijały mnóstwo ludzi i zwierząt.

Podczas wybuchu Wezuwiuszu w roku 1707, *Giovani Valetta* pisał do *Richarda Walter* w Neapolu w te słowa: „Trzeciego i czwartego dnia wulkan wyrzucał z krateru błyskawice podobne do tych, które w pewnych wypadkach oświetlają niebo. Były one kręte i wężykowate, po których ukazaniu się słyszano odgłos grzmotów. Tak częste błyskawice i grzmoty kazały się spodziewać deszczu, ale nareszcie przekonano się, że tworzyły się one w obłoku ciemnym z samego popiołu."

Mieszkańcy osiedli u stóp Wezuwiuszu, mówili *Williamowi Hamilton*, że nietyle ich przerażała lawa wrząca wybuchu nastąpionego w r. 1767, ile bezustanne błyskawice i pioruny, które uderzały wpośród ich mieszkań.

W czasie okropnego wybuchu w r. 1779 wylatywały z krateru Wezuwiuszu naprzemian z lawą rozpaloną do białości, kłęby dymu tak czarnego, jak sobie można tylko wyobrazić (*as black as can possibly be imagines*).

Dym ten w chwili, kiedy wydobywał się z krateru, był poprzecinany światłem wężykowatém.

Wybuch Wezuwiuszu w r. 1794 tak opisany przez tegoż naturalistę: „W dniu 16 czerwca nic gorejącego nie wypływało z krateru; dym tylko czarny i popiół, który ponad górami tworzył obłoki olbrzymie poorane błyskawicami w *zyg-zag*, dobrze znany meteorologom, a mieszkańcom podnóża Wezuwiuszu pod nadzwiskiem *ferilli*.

Błyskawicom wulkanicznym widzianym przez *Hamiltona* w r. 1779, nie towarzyszyły żadne wystrzały któreby mogły być słyszane; przeciwnie, w r. 1794 gromy podobne do najgwałtowniejszych uderzeń piorunu następowały bez przerwy. Pioruny wszczęte jedynym wpływem wybuchu wulkanicznego, pod każdym względem podobne były do piorunów powszechnych; pioruny uderzające wywiérały wypadki zwykłe, jak nawet przekonano się przy rozpatrywaniu zniszczonego mieszkania markiza *Berio* w *San-Jorio* przez uderzenie piorunu. Popiół z którego składał się obłok wulkaniczny niezmiernie był miałki, i niesiony wiatrem do miasta *Tarentu* w odległości od Wezuwiuszu na sto mil. W Tarencie piorun, który wypadł z tych obłoków, zrządził także wielką szkodę w jednym z domów mieszkalnych.

Mówiliśmy dotąd o wybuchach Wezuwiuszu. Bez wątpienia mało się znajdzie takich, którzyby przyznawali wyłączny przymiot kraterom Wezuwiuszu, wydawać obłoki z dymu i popiołu i mieszczące w sobie pioruny; damy jednak jeszcze kilka opisów innych wulkanów.

W *Seneki* dziele pod tytułem: *Questiones Naturales* księga *II*, § 30, znajdujemy, że w czasie wielkiego wybuchu Etny, przerażające huczały grzmoty i widziano

światła piorunu wpośród obłoków piaszczystych i rozpalonych, które wyziewał wulkan.

Czytamy także w *Descrizione dell' Etna del abate Franceso Ferrara*, że na początku r. 1755 wzniósł się z krateru Etny niezmierny i bardzo czarny słup dymu, częstokroć przecinany wijącemi się błyskawicami (*tortuose balenazioni*).

Kiedy w r. 1811 zjawiła się wysepka tak krótko trwająca *Sabrina* obok *St. Michel des Açores*; słupy nadzwyczajnie czarne z pyłu i popiołu wznoszące się z łona oceanu: „były, mówi kapitan *Tillard*, przerywane ciągle w miejscach najciemniejszych błyskawicami nadzwyczajnéj jaskrawości".

Mały nawet wulkan, który się ukazał w lipcu 1831 r. między Sycylią a Pantelaryą, podobne wypadki zrządzał. *John Davy* mówi: „że dnia 5 sierpnia, wznosiły się niekiedy z krateru do wysokości od 3 do 4,000 stóp angielskich słupy pyłu zupełnie czarnego, wpośród których w rozmaitych kierunkach ukazywały się błyskawice połączone z grzmotami".

Może kto powiedzieć, że niezmierne słupy pary wodnéj wznosząc się częstokroć z kraterów, składających część istotną obłoków wulkanicznych; że pył i popiół czarny nie dający się ująć w palce, łączą się tylko z parą, przez co pozbawiają ją białości i przezroczystości.

Odpowiemy na to w sposób bardzo prosty: Przypuśćmy, że obłoki nadzwyczajnie czarne, wznoszące się z paszczy wulkanicznéj do niezmiernéj wysokości, potém, po rozpostarciu się we wszystkich kierunkach około słupa ciągnącego się w górę, nadające gazom i pyłom kształt sosny tak dokładnie opisanéj przez *młodszego Pliniusza* i naturalistów tegoczesnych; przypuśćmy

powtarzam, że obłoki te, istotnie składają się po większéj części z pary wodnéj: pozostanie jeszcze do wyśledzenia, jakim sposobem para wybuchająca z kraterów prawie czysta, nie jest o ile nam wiadomo nigdy, albo prawie nigdy piorunową, i jakim sposobem popiół i pył wulkaniczny, udzielają jéj zawsze tę własność? Nareszcie nic nie uzasadnia powyższą hipotezę; przytém nic nie dowodzi, ażeby gęsty obłok, który w r. 1794 zajmował przestrzeń od Wezuwiuszu do Tarentu, nie składał się wyłącznie z pyłu nie dającego się ująć w palce? Podług sprawozdania *Tillard*, najprzód wzniosły się z oceanu czarne słupy dymu, a potém ukazała się wysepka *Sabrina*. W takim wypadku tworząca się para wewnątrz wulkanu pod dnem morskiém, przechodząc przez wodę zimną, powinna się była zgęścić wprzód, nim się podniosła na zewnątrz, jak się zgęszcza para w zetknięciu się z chłodną wodą w przedziwnéj machinie Watta. Naostatek przytoczymy tu jeszcze na ustalenie naszego wniosku dowód, że obłoki z popiołów wulkanicznych, kiedy spadną na ziemię w stanie suchym, są niekiedy przejęte materyą piorunową, tak mocno, że z téj częstokroć powstają zjawiska fosforyczne.

### Wysokość obłoków piorunowych.

Piorun, jak to niżéj wyjaśnimy, uderzając sprawia na niektórych skałach zjawiska stopienia się w materyą szklaną dokładnie znaną badaczom. Zmiany te powierzchowne dostrzegł *Humboldt* na szczycie góry *Toluka* (na wschód Mexyku), wzniosłéj na 4,620 metrów nad poziom morza; *Saussure* na górze *Mont-Blanc* u wiérzchołka zwanego *Dôme de Gouté*, wyniesionego

na 4,810 metrów; Ramond na górze *Mont-Perdu* wznioślej na 3,410 metrów i na *Pic du Midi* na 2,935 metrów. A zatém każdy z nas śmiało może twierdzić, że chmury wznoszą się niekiedy: w Mexyku wyżéj nad 4,620 metrów; w Szwajcaryi wyżéj nad 4,810 metrów; w Pireneach wyżéj nad 3,410 metrów nad poziom morza.

Najpewniejsze określenie wysokości téj, gdzie zatrzymują się chmury, znajdujemy w opisach podróży przedsięwziętych na wierzchołki znaczniejszych gór dwóch stałych lądów.

Pan *Bouguer* w dziele swém *o kształcie ziemi* wspomina o burzy, która zachwyciła go razem z p. *La Condamine* na *Pichincha*, jednym z wierzchołków gór Kordyllierów peruwiańskich. Wysokość *Pichincha* wynosi 4,868 metrów nad poziom morza.

Panowie *Saussure* (ojciec i syn) w dniu 5 lipca 1788 r., kiedy przybyli na *Col du Géant*, spotkała ich gwałtowna burza, w czasie któréj trwały bez przerwy błyskawice i grzmoty. Wysokość chmur ponad górami nie jest oznaczona; jednakże można wnosić, że takowe znacznie wyżéj przechodziły tę skałę, na któréj pp. *Saussure* rozpięli swe namioty, tojest na wyniosłości 3,471 metrów wyżéj nad poziom morza.

Podług słów pp. *Peytier* i *Hossard*, na Pireneach w punkcie zwanym *Pic de Troumouse*, wyniosłym na 3,086 metrów, w sierpniu 1826 r. burze powstawały z warstw obłoków, które najwięcéj zbliżone były ku ziemi, tojest około 3,000 metrów prostopadłéj wysokości nad poziom morza. W tym samym roku i miesiącu, na *Pic de Baletous* wysokość najniższéj chmury wynosiła

3,200 metrów. W sierpniu 1827 r. w punkcie *Tuc de Maupas*, ciż sami pp. *Peytier* i *Hossard* słyszeli grzmot w obłokach wyniesionych na 3,300 metrów.

A więc w Ameryce, na Alpach, na Pireneach chmury powstają w niezmiernych wysokościach nad poziom oceanu. Ale czy wysokość chmur piorunowych w krajach płaszczystych jest taka sama? Jeżeli przypuścimy, że ta wysokość nie zmienia się, w takim razie tworzenie się chmur zależéć będzie jedynie od stopnia gęstości powietrza; jeżeli zaś będziem wnosić przeciwnie, to wpływ ziemi, stanie się niewątpliwym, a nadto przekonamy się, że powierzchnia ziemi coraz wyżéj wznosząc się nad poziom morza, powiększa razem i wysokość chmur piorunowych. Ztąd więc pokazuje się, iż płaszczyzna i góra obok siebie położone, udzielają warstwom atmosferycznym własność, któréjby pozbawione były w razie odosobnienia. Wnioski te nie doprowadzają jeszcze do pewnego twierdzenia. Pozostaje tu jeszcze wyszukać, jaka jest wysokość chmur w okolicach płaszczystych i mało wzniesionych nad poziom morza.

W bliskości pasma gór, mierzą wysokość obłoków stosownie do wierzchołków jakie obłoki te pokrywają, przez wymiary barometryczne lub trygonometryczne. Na równinach zaś uciekają się do metody niemniéj zaspakajającéj; opiéra się ona na porównaniu czasu ukazania się błyskawicy z usłyszeniem huku grzmotu. Zasadę metody podobnéj objaśnimy niżéj, poprzestaniemy tu zaś na wyjaśnieniu wypadków, jakie owa metoda dała nam poznać. Jeśli wypadki te nie są liczne, potrzeba to przypisać opłakanemu zwyczajowi, jakiemu podlega większa część autorów traktatów o fizyce, przedstawiających wszystkie zasady jako rozwiązane, wszyst-

kie zagadnienia jako zupełnie wyczerpane. Stanowcza opinia tam, gdzie wątpliwość powinna towarzyszyć każdemu wyrażeniu, szkodzi rzeczywiście postępowi nauki. Zwracać uwagę na przerwy nierównie jest więcéj użytecznem, jak zanotować jakie odkrycie. Przez usiłowanie oswobodzenia się od niektórych teoryj Newtońskich, wielu fizyków nadało optyce dokładniejszą i nową zupełnie postać. Nie wierzę wszakże tym, którzy wołają głośno: „niémasz już nic do wynalezienia nad elektryczność i magnetyzm, coby nie było ujęte bezpośrednio rachunkiem." Prawda jednak, że zbogacono te dwie nauki niezliczonemi szeregami zadziwiających zjawisk, o jakich nie było nawet małego wyobrażenia przed kilkunastu laty. Ale wróćmy do rzeczy.

Znajdujemy w zbiorze pamiętników *de l'Isle* członka akademii paryzkiéj, cztéry obserwacye czynione w przeciągu 6 minut w Paryżu dnia 6 czerwca 1712 roku, które dowodzą, że chmura wzniesiona była prostopadle na 8,080 metrów! Obserwacye zaś robione przez księdza *Chappe* w *Tobolsku*, w r. 1761 pokazują, że wysokość chmur wynosiła w dniu 2 lipca 3,340 metrów; w dniu 13 lipca 3,470 metrów. Termometr stóstopniowy pokazywał 21° wyżéj zera.

Dwa spostrzeżenia robione przez *Lamberta* w *Berlinie* w r. 1773, pokazały w d. 25 maja 1,900 metrów, 17 czerwca 1,600.

Oznaczenia te nie są wprawdzie tak liczne, ażeby się można na nich śmiało opiérać; wszakże godném jest uwagi, że najwyższa wyniosłość chmur, zdarza się w krajach równych, i jeśli się nie mylił *de l'Isle*, jest prawie dwa razy wyższa od wyniosłości chmur Alpejskich. Nadewszystko obserwacye podobnego rodzaju są bardzo ła-

twe, sposobność do robienia ich i powtarzania dość częsta, a zatém możemy spodziewać się, że astronomowie i meteorologowie, pospieszą zapełnić ową przerwę.

Obserwacye robione przez *de l'Isle* pokazały rezultat wysokości chmur następujący: w maju na 2,400 metrów; w czerwcu na 1,000; 2 lipca na 1,400; 21 lipca na 1,400 metrów.

*Le Gentil*, który bawił niejaki czas w *l'Ile de France* w *Pondichéry* i *Manilli*, opiérając się na własném doświadczeniu zapewnia, że nad temi stronami równonocnemi, warstwy chmur nie są wyżéj nad 900 metrów. Wszakże w d. 28 października 1769 r. w *Pondichéry* chmura wyniesioną była na 3,300 metrów.

Spostrzeżenia w *Tobolsku* pokazują kilka przykładów, że chmury nie mogły być tam wyżéj jak na 214, do 292, na 400 do 600, na 600 do 800, nakoniec na 800 metrów.

Liczby te powiadam nie pokazane tu dla próżnéj ciekawości; posłużą one do roztrząsania pewnych ważnych kwestyj, w których fizycy nie zgadzają się; posłużą one do rozbioru: czy piorun spływa tylko z obłoków na ziemię, lub téż niekiedy uderza z ziemi w obłoki?

### Rozmaite rodzaje błyskawic.

Zjawiska światła ukazujące się w obłokach, mają kształt i własności rozmaite i dlatego widzę potrzebę podzielić je na klassy. *Piérwsza klassa* mieści w sobie błyskawice, które zdają się stanowić jednę linią światła, dość cienką i ostro zakończoną. Światło ich nie jest zawsze białe, ani téż jednostajnego koloru. Meteorologowie twierdzą, że widzieli błyskawice purpurowe, fiole-

towe i niebieskawe. Pomimo niepojętéj ich szybkości, nie przebiegają one w linii prostéj, lecz przeciwnie, są wężykowate, w zyg-zag, które wracają się napowrót w te same miejsca, z których się ukazały. Bieg zygzakowaty przypisuje *Helvig* zgęszczonemu powietrzu. Utrzymuje on, że bardzo zgęszczone powietrze parte przez promień błyskawicy, zmusza ją zmienić swój kierunek.

*Pliniusz w Historyi naturalnéj księdze drugiéj* mówi: „Nic ważniejszego nad uważanie z jakich okolic przybiegają pioruny i do jakich krain wracają. Powrót ich w strony wschodnie oznacza wróżbę szczęśliwą. Jeżeli przybywają ze wschodniéj części nieba i tam wracają, jest przepowiednią największego szczęścia."

Wypadki te, które są bardzo rzadkie w chmurach zwyczajnych, okazują się często wpośród obłoków wulkanicznych. *Sorrentino* pisząc o wybuchu Wezuwiuszu w r. 1707 mówi: „Mieszkańcy znajdowali się wśród najgłębszéj ciemności, oświecanéj ciągłemi błyskawicami (*saëtte*), które ukazując się z otchłani wulkanicznéj, nie wybiegały za przylądek *Pausilippe*, gdzie zatrzymały się obłoki popiołów; wracały one tą samą drogą uderzyć w krater."

*William Hamilton*, opisując wybuch Wezuwiuszu w roku 1779 dodaje: „Wulkaniczne błyskawice, bardzo rzadko opuszczały obłok popiołów, który postępował ku miastu Neapolowi, grożąc mu zupełném zniszczeniem; wracały one do krateru i łączyły się ze słupem ognistym, który ciągle wybuchał. Raz, a najwięcéj dwa razy tylko, podobne błyskawice albo *ferilli*, jak Neapolitańczycy zowią, padły na *Somma*, gdzie wznieciły ogień na krzakach i zeschłéj trawie."

Częstokroć się zdarza, że błyskawice przeskakują z jednéj massy obłoków w drugą; wszakże bieg ich zwyczajny zależy na przebieganiu z obłoków ku ziemi i jak wielu wnosi, w kształcie grotu: lecz więcéj jest podobném do prawdy, że niekiedy błyskawice rozdzielają się na trzy gałęzie. Wstęga światła ukazując się z obłoku, po chwili rozczepia się na dwie lub trzy wstęgi wyraźne i sięga punktów ziemi bardzo odległych od siebie. *Richard*, autor *Historyi naturalnéj powietrza i meteorów*, widział jednę smugę światła po nadejściu obłoku, która rozdzieliwszy się na dwoje w pewnéj odległości nad ziemią, uderzyła w oddzielne przedmiota. *Nicholson* znakomity fizyk, pisze w jednym z dzienników: „że w d. 19 czerwca 1781 r., kiedy gwałtowna burza przechodziła nad częścią zachodnią Londynu, znajdował się on w *Battersea*, gdzie spostrzegł, że błyskawice bardzo jaskrawe nigdy nie stykały się z sobą swemi końcami górnemi lecz dolnemi." W dziele księdza *Ferrara* wyczytujemy, że w d. 18 czerwca 1763 r. utworzyło się w stronie południowéj Etny w małéj odległości od wierzchołka kilka otworów, z których wychodziły niezmierne kłęby dymu czarnego, zmieszane z pyłem i popiołem rozpalonym, które przecinały błyskawice dzielące się na trzy gałęzie (*da tricuspidali balenazioni*).

„Jeden z moich przyjaciół, mówi p. *Arago*„ którego prosiłem, ażeby wyszukał w meteorologii niemieckiéj p. *Kämtza* jakiéj cytacyi, któraby mógła być dodaną do dwóch poprzednich wypadków, uwiadomił mię, że ten znakomity uczony widział raz, lecz raz tylko w swém życiu, błyskawicę rozdzielającą się na trzy części."

Pomijamy wszystkie dzieła, w których starożytni poeci mówią o piorunach trzechczęściowych; nie wspo-

mnimy więcéj o błyskawicach podwójnych lub potrójnych, o których przekonali się naocznie fizycy. Spodziewam się, iż byłoby nawet łatwo udowodnić, że dzielą się one na cztéry, pięć, dziesięć części, spadając na ziemię. Wymienimy tu naprzykład słowa w dziele p. *Griffith*: „W d. 3 czerwca 1765 r., pisze on, burza zrządziła znaczne szkody w kollegium *Pembroke* w *Oxfordzie*. Piorun w jednéj chwili dostał się do wnętrza czterema drogami, dość oddalonemi od siebie."

W czasie burzy, która w kwietniu 1718 r. zniszczyła okolice *Landernau i Saint-Pol de Leon*, piorun zdruzgotał dwadzieścia cztery kościoły, chociaż nie było więcéj słychać nad trzy uderzenia piorunowe. Lecz pozostawimy wypadki mniéj więcéj na przypuszczeniu oparte, mniéj więcéj ulegające zawikłaniu; a trzymać się będziemy zjawisk, które widocznie dowodzą o rozdzielaniu się błyskawic, rozdzielanie się, które że tak powiém, pochwycić można.

*Błyskawice piérwszéj klassy* zowią we Włoszech *saëtte*. Według opinii upowszechnionéj między fizykami francuzkiemi, a nawet ludem, *saëtte* są wyłącznie błyskawice wązkie, błyskawice w zyg-zag, które zawiérają w swém łonie pożar i zniszczenie; słowem błyskawice, które stanowią, właściwie mówiąc, piorun. Nie zawadzi tu nadmienić, że już *Seneka* odróżniał błyskawice od piorunu. „Błyskawica, mówił on, jest piorunem, który wcale nie spada na ziemię; przeciwnie piorun jest błyskawicą, która dotyka ziemi." (*Quest. nat.*, księga *II*, § 21).

Przystąpmy teraz do *błyskawic drugiéj klassy*: światło podobnych błyskawic zamiast wązkich wężykowatych linij w kształcie wstęgi, przeciwnie zajmuje niezmierną przestrzeń obłoku. Nie jest ono wreszcie ani białe, ani

jaskrawe jak światło błyskawic piérwszéj klassy. Częstokroć tło jego jest mocno różowe, niebieskie i fioletowe, ukazuje się tylko na chwilę. Jeśli się zdarzy, że błyskawica drugiéj klassy jest poprzecinana błyskawicą w zyg-zag, natenczas różnica kolorów staje się widoczną.

Błyskawice drugiéj klassy, czasem zaledwie oświecają obwód obłoków z których powstają; niekiedy znowu żywe ich światło zajmuje całą ich przestrzeń; co większa, zdaje się z nich wychodzić. W rzeczy saméj, w tym względzie dobrze się wyraża lud, mówiąc, że *obłoki otwierają się*.

Ogółowe określenie zawsze jest niedokładne do wyjaśnienia jakiegokolwiek zjawiska meteorologicznego; dlatego dodamy jeszcze, że błyskawice drugiéj klassy, między wielu innemi są najpowszechniejsze. Może być, że mniéj zwracano na nie uwagę, jak na te, któreśmy opisali w piérwszéj klassie; jednak potrzeba wiedzieć, że w czasie zwyczajnych burz, ukazuje się ich tysiące w stosunku błyskawic wązkich i wężykowatych.

Jeżeli się zgodzimy na to, że każde światło atmosferyczne, które ma związek z piorunem, powinno nazywać się błyskawicą, to koniecznie należy policzyć niektóre z tych zjawisk do klassy zupełnie innéj.

*Błyskawice klassy trzeciéj* różnią się w istocie od dwóch piérwszych: czasem trwania, szybkością, jak niemniéj i kształtem. Wielu zauważało, że błyskawice wązkie w zyg-zag jaskrawe, z niepewnemi obwodami trwają tylko chwilkę. Spostrzeżenia, które będziemy niżéj rozbiérać, wykażą nam do jakiego stopnia czas ukazania się ich jest krótki, gdyż wypadnie tak mały ułomek sekundy, iż zadziwić się potrzeba. Przeciwnie błyskawice klassy trzeciéj, bywają widziane przez przeciąg

jednéj, dwóch, dziesięciu sekund. Przenoszą się z obłoków na ziemię bardzo powolnie, tak, że można łatwo szybkość ich ocenić. Przestrzeń jaką obejmują jest wyraźnie określona, a kształt zdaleka podobny do kuli, gdyż na piérwszy rzut oka zdaje się, że są krążkami światła.

Kształt kulisty jaki przyznajemy pewnym błyskawicom, albo może się lepiéj wysłowię, pewnym massom świecącym, które w czasie burzy przebiegają w rozmaitych kierunkach z większą lub mniejszą szybkością przestrzeń między chmurami a ziemią, jest bardzo rzadko widziany. Dlatego przytoczymy tu wiele postrzeżeń nad podobnemi kulami ognistemi; ponieważ są one kamieniem probierczym dla meteorologów i teoretyków, przytém posłużyć mogą do wytłumaczenia, jak w niektórych okolicznościach, wprawdzie nader rzadkich, dobre konduktory byłyby konieczne.

Nim przystąpimy do właściwego przedmiotu, wspomnę zarzut, z którego mogą korzystać ci wszyscy, a tych jest bardzo wielu, którzy uważają przypuszczenie jako mogące stanowić podstawę do nowéj teoryi. Zarzut ten jest następujący: Czy kule ogniste ukazywały się kiedy? czy kształt jaki im nadają nie jest złudzeniem optycznem? czy błyskawica piérwszéj klassy, jeżeli jest podobna do cylindra, jak utrzymują, i skierowana do oka nie będzie wydawać się okrągłą, a przynajmniéj kulistą?

Zarzuty podobne miałyby zapewne jakąści powagę, gdyby kształt kulisty zawsze się ukazywał tym tylko, którzy znajdują się wyżéj błyskawicy. Lecz dostrzegacz stojący za obrębem błyskawicy i patrzący na nią z boku kiedy spada na dom sąsiada lub przedmiot oddalony, jest w stanie przekonać się, czy w rzeczy sa-

méj ma ona kształt kulisty lub nie; a właśnie okoliczność podobna prawie zawsze zdarza się w przykładach, które następują:

*Deslandes* udzielił akademii paryzkiéj postrzeżenia zebrane w *Bretanii* podczas okropnéj burzy, w nocy z 14 na 15 kwietnia 1718 r. W *Couesnon* obok *Brestu*, widziano trzy kule ogniste, po trzy i pół stopy średnicy mające, które połączywszy się w biegu niezmiernie szybkim i gwałtownym, uderzyły w kościół i zamieniły go w gruzy.

W marcu 1720 r. w czasie burzy gwałtownéj, kula ognista upadła na ziemię blizko *Horn*, a odskoczywszy od ziemi uderzyła w kopułę wieży i zapaliła ją.

Dnia 3 lipca 1725 roku, kiedy chmury skupiły się nad terytoryum *Aynho* w *Northamptonshire*, piorun zabił pasterza i pięć owiec. W czasie okropnego wichru, *Jos Wasse* widział kulę ognistą wielką jak księżyc i słyszał świst, który wydawała w powietrzu przelatując nad ogrodem. Drugi także świadek, w czasie téj saméj burzy będąc w polu widział kulę ognistą, wielką jak głowa ludzka, która rozdzieliła się na cztéry części obok kościoła.

D. 16 lipca 1750 r. piorun zrujnował dom w *Darking*, (*Surrey*). Świadkowie wypadku utrzymywali, że widzieli w powietrzu nad domem zburzonym wielkie kule ogniste (*large balls of fire*). Zbliżając się do ziemi lub dachu domu, kule rozpadały się na mnogie części, które rozpierzchły się w rozmaitych, jakie tylko można sobie wyobrazić kierunkach.

W opisie burzy, która w grudniu 1752 r. zniszczyła okolice *Lodgvan* (*Cornouailles*) mówi *Borlase*, że wi-

dzieli ludzie kilkakrotnie kule ogniste spadające z obłoków na ziemię.

W styczniu 1770 r. piorun spadł na wieżę *Schemnitz* (Węgry) w kształcie kuli grubéj jak beczka.

W r. 1770 w nocy na *l'Ile de France*, obłoki jak można było widzieć z góry, zniżyły się na 400 metrów! Dészcz padał rzęsisty. Błyskało ciągle, lecz błyskawice, mówi *Le Gentile* akademik, nie miały podobieństwa do błyskawic zwyczajnych. Formowały one dość duże kule ogniste, które ukazywały się raptownie, poczém znikały bez wybuchu.

W d. 20 czerwca 1772 r. w czasie burzy szumiącéj nad probostwem *Steeple-Aston* (*Wiltschire*), widziano w powietrzu kulę ognistą, długi czas kołyszącą się nad wioską i nakoniec spadającą z niezmiernym pędem prostopadle na domy, gdzie zrządziła wielkie zniszczenie.

Trudno byłoby odwołać się do lepszego świadectwa, na którém opiéramy się pod względem fenomenu, dostrzeżonego w d. 1 marca 1774 r. blizko *Wakefield*. Mniemam, że powinien on policzonym być do rzędu tych zjawisk, o których w téj chwili mówimy. Po gwałtownéj burzy, kiedy pozostało tylko na całym widokręgu dwa małe obłoczki, *Nicholson* widział co chwila meteory, podobne do tych, które nazywają gwiazdami spadającemi, przelatujące z obłoczków wyższych na niższe.

We wrześniu r. 1780 po uderzeniu piorunu, który zabił dwóch służących p. *James Adair*, w *d'East-Bourn* (Sussex), widzieli wiele kul ognistych (*several balles of fire*) spadających w morze z wielkiego czarnego obłoku.

Piorun, który w dniu 18 sierpnia 1792 r. wpadł na dom p. *Haller* w *Villers-la-Garenne*, przebiegł ponad wioską w kształcie kuli ognistéj.

W dniu 14 lutego 1809 r. okręt liniowy *Warren Hastings* przy *Portsmouth*, zburzony został przez piorun w kształcie kuli ognistéj, uderzającéj w maszt raz poraz trzy razy.

W dziele *Howarda, o klimacie Londynu*, znajdujemy, że w kwietniu 1814 r. w *Cheltenham* kula ognista wypadłszy z chmury, stóg siana przeszyła na wylot.

Dnia 31 maja r. 1826 o godzinie 4téj po południu, pokazał się meteor w kształcie kuli ognistéj, a przytém chmura burzę zapowiadająca; przez co mieszkańcy gminy *Maffies* w kantonie *Ath*, prowincyi *Heungau*, gdzie to zjawisko ujrzano, trwogą przejęci zostali. Wielka ta kula ognista, unosząc się przez kilka chwil na powietrzu, padła na stodołę *Lemaira* i znacznie ją uszkodziła. W téj saméj chwili dostała się do obory murowanéj i zabiła trzy sztuki bydła. (*Rozmaitości Literackie* z r. 1826, t. II, s. 185).

Kule świecące jeszcze częściéj okazują się wpośród chmur wulkanicznych, aniżeli w czasie burz zwyczajnych. W czasie wybuchu Wezuwiuszu r. 1779 i 1794, *Hamilton* i inni naturaliści widzieli je bardzo duże, które wyleciawszy z ciemnych obłoków popiołu, świeciły w powietrzu jak bomby z ogni sztucznych. Płomień jaki wydają te kule, pod każdym względem w chwili wybuchu porusza się w zyg-zag.

Po opisaniu dokładném mass kulistych świecących, powiemy tu jeszcze o tych, które w biegu swym zostawiając za sobą cząstki płomieniejące, mają niejako podobieństwo do ogni sztucznych. I tak: *Schübler* meteorolog, wspomina o błyskawicach przez siebie uważanych, które podobne były do wznoszącéj się racy lub laski zakończonéj gałką dość dużą i więcéj błyszczącą. *Kämtz* także widział kilkakrotnie podobne zjawiska.

*Muncke* professor uwiadomił p. *Arago*, że błyskawica, która zdawała się mieć 80 metrów długości, spadając prostopadle, rozsypała się w jego oczach na mnóstwo małych kulek.

Wszystkie te zjawiska widziano na otwartém miejscu, pod gołém niebem; możnaby ich było daleko więcéj przytoczyć, gdybyśmy śledzili pioruny wpadające wewnątrz budowli, gdzie można je najczęściéj widzieć w kształcie świecących kul. Ograniczymy się wszakże na kilku wiarogodnych wypadkach, które usprawiedliwią nasze twierdzenie.

Wkrótce po wjeździe *Filipa V* do Madrytu, piorun spadł na pałac. Wiele osób znajdujących się w téj strasznéj chwili w kaplicy królewskiéj, widziało jak wpadły dwie kule ogniste. Jedna z nich rozdrobniła się na małe kulki, które nim się rozpierzchły, odskakiwały od posadzki jak piłka elastyczna.

Dnia 7 października 1711 r. podczas burzy, niezmierna kula ognista spadła wpośród mieszkańców w *Sampford-Courtney* (Devonshire), znajdujących się przy kruchcie kościelnéj. W téjże saméj chwili cztéry podobne kule nie większe jednak od pięści, rozprysnęły się w kościele, napełniając go ogniem i dymem siarczanym. Jedna z wieżyczek kościelnych została tym samym piorunem obalona.

W dniu 20 czerwca 1772 r., kiedy w czasie burzy postrzeżono nad *Steeple-Aston* kulę ognistą, wielebni *Wainhouse* i *Pitcairn* znajdujący się w jednéj izbie probostwa, raptem ujrzeli obok siebie kulę ognistą jak piłka duża, która otoczoną była dymem czarnym. Rozprysnąwszy się wydała huk podobny do wystrzału razem z kilku dział. Zapach siarki dał się czuć po całym domu, a *Pit-*

*cairn* został niebezpiecznie zraniony. Jego ciało, suknie, trzewiki, zegarek, przedstawiały oznaki jakie sprowadza zwykłe uderzenie piorunu; światło rozmaitego koloru napełniało mieszkanie, sprawując żywe poruszenie. Nadmienimy także, chociaż okoliczność ta mało ma związku z przedmiotem jaki w téj chwili opisujemy, że *Pitcairn* utrzymywał, iż we dwie sekundy jak go uderzył piorun, jeszcze widział kulę ognistą w mieszkaniu.

*Sołoków* rytownik zapewnia, że błyskawica, która zabiła *Richmana* w r. 1752 w Petersburgu, miała kształt kuli.

W r. 1809, kiedy piorun wpadł kominem do domu *Dawida Sutton* w *Newcastle-sur-Tyne*, wielu widziało na ziemi u drzwi przy salonie kulę ognistą nieporuszoną, która późniéj posunęła się na środek salonu, rozprysła się na cząstki, wydając trzask jak gwiazdy wylatujące z rakiet.

Nim przystąpimy do wytłumaczenia, dlaczego w niektórych okolicznościach przybiéra kształt kulisty materya piorunowa, przychodzi na myśl zapytanie: czy podobny kształt w istocie ma miejsce i nad morzami? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, powiemy, że dnia 13 lipca 1798 r. okręt *Good-Hope* kompanii indyjskiéj, znajdując się pod 35°40′ szerokości południowéj, a 42° długości wschodniéj, został uderzony błyskawicą kulistą (*ligtning of globular form*), która wydała niezmierny huk, zabiła majtka stojącego przy sterze, a drugiego mocno zraniła.

### Błyskawice oddzielają się czasem od obłoków, postępując z dołu do góry.

Jest w *Styryi* góra dość wyniosła nazwana górą śtéj Urszuli. Na wierzchołku téj góry znajduje się wzniesio-

ny kościół. *Jan Baptysta Werloschingg*, zwiedzając ów kościół w dniu 1 maja 1700 r. widział tworzące się około środka wysokości góry, obłoki gęste i czarne, które spowodowały wielką burzę. Na szczycie góry niebo było pogodne, a słońce jaśniało żywym blaskiem. Każdy więc z przekonaniem wnosił, że jest zupełnie zabezpieczonym od piorunu, a jednak piorun z dolnych chmur uderzył w kościół i zabił siedm osób obok *Werloschingga*.

### Czas trwania błyskawicy piérwszéj lub drugiéj klassy.

Zapytanie to większéj jest wagi, jak się może zdawać na piérwszy rzut oka. Rozwiązanie jego zupełnie dotąd nieznane, polega na doświadczeniu bardzo wątłém. Jest ono oparte w części na igraszce dziecinnéj; chcę tu mówić na doświadczeniu, które wielu robiło lub widziało robiących: tojest na utworzeniu nieprzerwanéj wstęgi kolistéj światła z rozpalonego węgla, za pomocą szybkiego ruchu około stałego ogniska.

Jeśli przypuścimy, że węgiel opisujący koło potrzebuje na określenie obwodu tylko $^1/_{10}$ część sekundy, natenczas chociażbyśmy przyglądali się najuważniéj obrotowi węgla, żadnéj nie postrzeżemy przerwy w świetle formującém koło. Powié kto, że węgiel jednocześnie zajmuje wszystkie punkta obwodu; ale tak nie jest, bo zajmując je stopniowo jedne po drugich, upływa $^1/_{10}$ część sekundy między chwilą w któréj opuszcza jeden z tych punktów, a chwilą w któréj do niego wraca. Ważne następstwo wypływa z podobnego doświadczenia; następstwo, które widocznem będzie, jeśli na chwilę utkwimy naszę uwagę w jeden punkt, naprzykład w punkt obwodu najwyżéj wyniesiony, po którym węgiel przebie-

ga. Jeżeli węgiel rozpalony zajmuje punkt najwyższy, to promienie światła wypływające z niego, tworzą kształt jego w retynie (siatce) ocznéj patrzącego. Jeżeli się węgiel obraca wkoło, więc i kształt jego w oku podobnież się obraca. Tak właśnie dzieje się w rzeczy saméj, ponieważ węgiel daje się widzieć zawsze w swém właściwém położeniu. Piérwszy ten kształt zdaje się powinienby zniknąć w téj saméj chwili, kiedy przyczyna, która utworzyła rys jego w ocznéj retynie, została zupełnie usuniętą, a przynajmniéj zmieniła stanowisko; wszelako tak nie jest, węgiel ma dość czasu do zrobienia zupełnego obwodu, do wrócenia na piérwsze miejsce, do odrodzenia w oku kształtu, tojest punktu najwyższego na powierzchni krzywéj, wprzód nim zatrze się nabyte wrażenie z piérwszego przejścia węgla przez ten punkt. Wrażenie, jakie otrzymujemy drogą wzroku, ma swą pewną rozciągłość czasu istnienia. Wzrok przynajmniéj ludzki jest urządzony w taki sposób, że punkt jaśniejący po usunięciu jego z przed oka, niknie dopiéro w $\frac{1}{10}$ części sekundy.

Poznaliśmy teraz, że punkt jaśniejący, któremu potrzeba $\frac{1}{10}$ sekundy do zrobienia zupełnego koła, tworzy dla oka obwód świecący. Oczywiście więc, jeżeli dwa, trzy, dziesięć, sto punktów jaśniejących będą na linii prostéj, to pomiędzy piérwszym punktem a ogniskiem obrotu, obracać się także będą z jednakową szybkością punkta, tworząc dwa, trzy, dziesięć, sto obwodów świecących, bez przerwy zjednoczonych. Nakoniec każdy zrozumié, że kiedy te różne ruchome punkta jaśniejące przybliżą się do siebie, kiedy się zetkną z sobą, kiedy są dość liczne do utworzenia w stanie spoczynku linii prawie nieprzerwanego światła pomiędzy piérwszym punktem a ogniskiem obro-

tu; natenczas koła utworzone przez obracanie szybkie, także się zetkną i zamiast dwóch, trzech, dziesięciu, stu kół oddzielnych, jak w poprzedniém doświadczeniu okazało się, stanie się powierzchnia kolista zupełnie świecąca. Przekonywamy się zatém jak z ostatniego doświadczenia tak i z doświadczenia co do punktów odosobnionych, że linia jaśniejąca i obracająca się szybko około jednego ze swych końców, tworzy powierzchnią światła okrągłą, jeżeli rozumié się, powraca do swego punktu, wprzód nim się wrażenie zatrze: czyli inaczéj mówiąc, jeżeli linia opisze obwód zupełny w przeciągu $^1/_{10}$ części sekundy.

W miejsce jednéj linii jaśniejącéj, ruchoméj, przypuśćmy cztéry, i to wszystkie jednakowéj siły i ustawione prostokątnie obok siebie, lubtak, ażeby dzieliły koło na cztéry części równe. Szybkość obrotu niepotrzeba ażeby wynosiła czasu $^1/_{10}$ część sekundy; gdyż szybkość cztéry razy mniejsza, szybkość jednego obrotu w $^4/_{10}$ części sekundy, wystarczy do utworzenia powierzchni kolistéj, która wyda się całkiem bez przerw jaśniejącą. Ażeby więc był ciągły blask jednostajny i nieprzerywany, potrzeba, iżby wszystkie punkta świeciły rzeczywistém światłem przez przeciąg $^1/_{10}$ sekundy. Zatrzymajmy naszę uwagę na chwilę w punkcie, kiedy jedna z linij jaśniejących jest wiérzchołkową. Linia, która po niéj nastąpi, stanie się także wiérzchołkową w czwartéj części czasu $^1/_{10}$ sekundy, tojest w czasie tym, jak potrzebuje do obieżenia obwodu całkowitego i tak następnie. Tak samo kiedy w oku kształt wiérzchołkowy światła piérwszéj linii zacznie znikać, to druga z cztérech linij jaśniejących prostokątnych przez obrót przyjdzie go od-

nowić; potém trzecia i tak następnie. Każdy może pojąć, że w jakiémby nie były położeniu te linie, czyto pionowém lub poziomém, czyto nachyloném lub ukośném, zawsze ten sam będzie skutek. Linia jaśniejąca, jeżeli się obraca szybko, tojest w $^1/_{10}$ części sekundy około jednego punktu, tworzy, jakeśmy już mówili, krążek świécący. Jestto więc działanie połączone z budową naszego oka.

Lecz jeszcze może być inaczéj, jak zaraz zobaczymy. Prawda oparta na doświadczeniu, że $^1/_{10}$ część sekundy czasu koniecznie potrzebna jest do utworzenia koła świecącego i nieprzerwanego, dowodzi matematycznie, że najmniejsza szybkość obrotu 10ciu, 100, 200 linij w różnych odstępach od siebie odległych, obracając je wszystkie jednocześnie około jednego punktu, wydadzą podobny skutek, ale czas przebiegania ich będzie 10 razy, 100 razy, 200 razy krótszy, jak w przypadku kiedy linia jest pojedyncza.

Nic w naszém rozumowaniu nie przeczy, że linie obrotowe błyszczą własném światłem; należy więc spodziéwać się tożsamości wypadków, obracając linie jaśniejące same przez się, lub linie jaśniejące przez odbicie. Potrzeba tylko w tym ostatnim przypadku, ażeby takowe były téj saméj natury, tego samego kształtu i w takiém położeniu względem światła błyszczącego, iżby oko mogło je spostrzedz zarówno we wszystkich punktach w czasie obrotu.

Jeśli zechcemy wiedzieć, jak długo trwa światło błyskawicy przecinającéj obłoki wśród ciemnéj nocy; potrzeba najprzód wprost chmury ustawić koło metalowe o stu promieniach cienkich, któremuby mechanizm zégarkowy nadawał ruch szybki, ciągły i jednostajny, obracając go przytém dziesięć razy na sekundę, lub raz

w przeciągu $1/10$ części sekundy. Następnie staje się między kołem a chmurą, wszakże w taki sposób, ażeby nie przeszkodzić światłu błyskawicy ukazywać się na wspomnioném kole. Po takiém przysposobieniu się do obserwacyi, kiedy błyskawica pokaże się, w téjże chwili koło zostanie oświécone; przez co można widzieć w skutek obrotu koła jak posuwają się promienie jego w ciągu trwania błyskawicy. Jeśli całe koło, które że tak powiém w ciemności zanurzone, ukaże wszystkie sto promieni w ciągu czasu $1/10$ sekundy, i każdy zosobna oświecony błyskawicą; nadto, jeżeli szérokość pozorna tych promieni będzie podobna do szerokości prawdziwéj, natenczas trwanie błyskawicy będzie nieskończenie krótkie. Jeżeli zaś promienie koła, oświécone błyskawicą, zdawać się będą jedną powierzchnią światła rozpostartego od środka koła do obwodu; wówczas błyskawica trwała $1/1000$ część sekundy! Co do czasu trwania błyskawic pół-tysiącznéj sekundy, trzecią część, czwartą, piątą i t. następną tysiączną część sekundy, to czas ten będzie w stosunku do obwodów, których połowa, $2/3$, $3/4$, $4/5$ i t. następnie powierzchni całkowitéj, zupełnie będzie pozbawiona światła.

Nareszcie skończyliśmy długie i drobiazgowe wyjaśnienie; dodamy wszelako jeszcze, że chociaż pomnażano ile można liczbę promieni kół i nadawano im bieg niezmiernie szybki: słowem, o ile możność i sposób pozwalał nadawać bieg najszybszy i jednostajny; zawsze jednak błyskawice piérwszéj lub drugiéj klassy nie utworzyły z promieni koła jednéj zlanéj massy świecącéj; każdy z promieni był tak zosobna oświecony, jakby koło zostawało w spoczynku. Dodamy wreszcie, do czego upoważnia nas doświadczenie, że błyskawice naj-

jaśniejsze, najrozciąglejsze piérwszéj i drugiéj klassy, nawet te błyskawice, które zdają się rozpościérać swe światło po całym widokręgu, nie trwają nawet i $^1/_{1000}$ części sekundy!

P. *Wheatstone*, któremu winniśmy wdzięczność za tyle ważnych doświadczeń i odkryć w naukach, doszedł, że iskra elektryczna w naszych machinach nie trwa *milionowéj części sekundy!*

### Niekiedy chmury są całkiem świecące.

Zjawisko, które przedsięwzięliśmy w rozdziale tym opisać, określone jest dokładnie w pamiętnikach *Roziera* w ten sposób:

„W *Beziers* dnia 15 sierpnia 1781 r., mówi *Rozier*, po zachodzie słońca o godzinie 7 minucie 45, niebo pokryło się obłokami, o godzinie zaś 8 m. 5 była zupełna noc. Burza zaczęła przybiérać groźny charakter. W téj właśnie chwili, kiedy rozpoznawałem kierunek i świetność błyskawic, spostrzegłem za pochyłością pagórka, który zakrywał widok mego domu, obszerny punkt świecący. Punkt ten nabywając powolnie coraz większéj obszerności i rozciągłości, utworzył pas czyli taśmę fosforyczną, która zdawała się być nad poziom wyniesiona trzy stopy, a rozciągająca się na oko do 60 stopni. Nad tym pasem świecącym utworzył się drugi pas, ale miał tylko 30 stopni długości, tojest o pół mniejszy od piérwszego. Pomiędzy nimi została próżnia wyrównywająca szerokości jednego z pasów. W obydwóch były po brzegach nierówności prawie takie, jak na brzegach wielkich obłoków białych zwiastujących burzę. Brzegi te nie były wszystkie jednakowo oświe-

cone, lubo środek pasa przedstawiał kolor światła jednostajny. W czasie kiedy pasy postępowały ku wschodowi, piorun w trzech częściach oddzielnych, wypadł z krawędzia pasa niższego z hukiem przytłumionym. Pasy świecące nie trzymały się massy ogólnéj chmury; były one daleko bliżéj ziemi. Zjawisko świeciło od g. 8 m. 5, do g. 8 m. 17, a od téj pory wiatr południowy posunął chmury za *Beziers*".

Posłuchajmy co mówi *Nicholson* w swym Pamiętniku: „W dniu 30 lipca 1797 r., mówi on, wstałem o godzinie 5 zrana. Wyjąwszy strony południowe, niebo było jeszcze zasute obłokami bardzo gęstemi, które niezmiernie szybko posuwały się w stronę południowo-zachodnią. Błyskawice ukazywały się często w stronach północno-zachodniéj i południowo-zachodniéj, poczém nastąpiły w 11 lub 12 sekund gwałtowne uderzenia piorunu. Najniższe części obłoków bardzo kołyszące się i najwięcéj spojone, były zupełnie czerwone, i mówiono mi, że miały być jeszcze czerwieńsze; w kwadrans zaś na piątą, w chwili wielkiéj ciemności, z domów położonych naprzeciw mego, wielu widziało obłoki koloru ciemno-lazurowego, co także memi oczyma widziałem, lecz już nie byłato barwa tak mocno lazurowa."

Dwa te postrzeżenia, a nadewszystko *Roziera*, które nie podpada żadnéj wątpliwości, zdaje się, że mają związek z postrzeżeniami *Beccaria*, i właśnie dlatego wspomnimy o nich; tém bardziéj, że one mają styczność z poszukiwanym przedmiotem.

„Zdarzało mi się często, mówi fizyk z Turynu, w czasie nocy zupełnie ciemnéj szczególnie w zimie, widzieć obłoki rozsiane, jak gromadzą się i tworzą następnie całość, obłok ogólny, jednakowy, powierzchni złączonéj

i gęstości napozór mało znaczącéj. Z obłoków tych rozpościerała się we wszystkich kierunkach jasność czerwona bez pewnych granic, lecz bardzo mocna, tak, że mogłem czytać książkę. Jasność mocną pochodzącą z obłoków, nadewszystko widziałem w nocach zimowych po dwóch nawałnicach śniegu..... Co do mego zdania przyznaję im materyą piorunową (ogień elektryczny), ponieważ onato powszechnie tworzy obłoki ogólne bez widocznego poruszenia się. Materya ta krążąca w wyziewach, w ilości tak mało znaczącéj, nie może się przelewać, a zatém objawia się w stanie świecącym, co potwierdza mnóstwo doświadczeń czynionych w gabinetach fizycznych. Jeśli są odcienia światła bardzo słabego i często powtarzającego się we wszystkich punktach, gdzie wyziewy sprawują lekkie poruszenie, przez skupianie się cząstek; natenczas nie ukaże się światło ogólne bez oznaczonych granic." (*Dell' Elettricismo terrestre atmosferico*, p. 208).

Pewne materye obce, które mieszają się z naszą atmosferą, nadają jéj usposobienie w najwyższym stopniu fosforyczne. Pamiętniki p. *Verdeil* doktora z *Lausanny* przekonywają nas, że mgła sucha w r. 1783, wydawała światło w nocy tak mocne i rozpościerające się po całym horyzoncie, iż można było widzieć przedmioty w pewnéj odległości. Światło to miało podobieństwo do światła księżyca w pełni, kiedy jest zakryty cienką warstwą obłoku.

Sucha mgła, jak naprzykład o któréj mówimy, staje się częstokroć siedliskiem, a nawet może być przyczyną burzy. Dzieło *Deluca* pod tytułem: *Idées sur la météorologie*, przekonywa nas, że obłoki mogą być świecące, jak się to daje postrzegać w następujących słowach fi-

zyka genewskiego: „Kiedy wracałem z Londynu do domu w zimie, około godziny 11stéj w nocy, powietrze było pogodne i niemroźne; księżyc zupełnie nie świecił. Wtém ujrzałem świecącą smugę kilka stopni szeroką, która rozpościerała się ze wschodu na zachód pod 30 lub 40 stopniem zenitu ku południowi, sięgając prawie z obydwóch stron horyzontu. Że mieszkam bardzo blizko wsi, więc miałem łatwość widzieć zjawisko to w całéj rozciągłości, które uważałem od chwili ukazania się dopóki nie znikło. Obłok ten tak błyszczący jak obłok cienki zakrywający księżyc, zasłaniał wszystkie gwiazdy. Stopniowo smuga rozpostarła się lepiéj, poczém gwiazdy ukazały się w jéj przerwach; co większa, widziałem je nawet przez samą smugę. Nakoniec, po upływie dziesięciu minut, smuga błyszcząca prawie w jednéj chwili rozpierzchła się w różne strony. Było tam zapewne nieco rozkładu fosforycznego, bo zkądby się wzięło owe światło, które odbijało się z całego obłoku? Śladu elektryczności wcale nie dostrzegłem, albowiem wszystko było w spoczynku, wyjąwszy lekkie poruszenie jakie miało związek ze smugą jaśniejącą."

Pan *Sabine*, w czasie podróży odbytéj w Szkocyi celem oznaczenia linii magnetycznéj, pozostał kilka dni na kotwicy w *Lough Scavig* około wyspy *Sky*, która jest otoczona górami wyniosłemi i nagiemi, a między któremi prawie zawsze powstają obłoki, zkąd wiatr zachodni unosi je do Atlantyku. Obłoki te jaśniały w nocy same przez się bez zmiany światła. Kilkakroć p. Sabine widział poruszenia tego światła, podobne do poruszeń światła zorzy północnéj, jednak nie przyznaje, aby to zjawisko było zorzą przybiegunową. Podług niego, podobne zjawiska światła ciągłego i światła przerywanego mają

pochodzenie zupełnie inne: początek ich ma miejsce w samym obłoku. *Robinson* dyrektor obserwatoryum astronomicznego w *d'Armagh*, czynił także w Irlandyi postrzeżenia nad własnościami fosforycznemi mgły zwyczajnéj.

Jeżeli się zastanowimy nad niezmierném, że tak powiém przytłumieniem, jakiego doznaje czasem rażące światło słońca z przyczyny obłoków rozpościerających się w pewnych dniach zimowych, zdziwimy się jak po zachodzie téj gwiazdy w nocy, nawet o północy, chociaż niebo zasute chmurami, bywa taka jasność, że ułatwia rozeznawanie przedmiotów. Niepodobna prawie przypuścić, ażeby światło, a może lepiéj powiedzieć połysk, z którego niekiedy korzystamy w ciemnéj nocy, pochodził od gwiazd oświecających przestrzeń, kiedy ta pokryta jest chmurami. Lecz twierdzenie, jakoby podobne światło pochodziło od gwiazd, dziś stanowczo jest odrzucone przez meteorologów; nie pozostaje więc nam innego środka w celu wyrzeczenia coś podobnego do prawdy, jak wnosić, że wszystkie obłoki są same przez się świecące, z mniejszą lub większą różnicą. Piérwsze w tym względzie trzymają miejsce obłoki widziane przez *Roziera*, drugie *Nicholsona*, trzecie obłoki śnieżne *Beccaria*; nakoniec obłoki gęste, ciemne, któremi niebo pokrywa się w czasie nocy ponurych zimowych, a przy których jednak o północy można rozpoznać przedmiot; ciemność wówczas na otwartém powietrzu, nie jest tak wielka jak w piwnicy lub mieszkaniu bez okien.

„Nie chciałbym najmniéj dotykać, są słowa p. *Arago*, prostego zjawiska meteorycznego; lecz taki jest związek między naukami przyrodzonemi, iż mimowolnie zagłębiamy się w jedno z największych zadań filozofii, za-

dań rzuconych do rozwiązania uczonemu światu: jakim cudem nasze słońce jaśnieje od tylu tysięcy lat, nie tracąc wcale swego blasku? Zużywania się powszechne w naturze, nie dadzą się pogodzić z podobną stałością. Materya płonąca i materya paląca powinnyby się w rzeczy saméj wyczerpać. Jeżeli będziemy uważać fosforyczność jako następstwo potrzebne do stanu gazowego i obłokowego; co większa, jeśli przypuścimy, że słońce jest otoczone warstwami obłoków, to spodziewam się, trudność zniknie; albowiem zniknienie fosforyczności nie wpływa wcale na ubytek materyi. Zadawalniającém byłoby może rozciągnąć na całą atmosferę zjawisko uważane przez *Roziera*, ażeby dojść przez to do pewniejszych wniosków o blasku słońca. Jeśliby moje domysły znalazły się uzasadnionemi, natenczas *Nicholson* byłby o kilka minut piérwszym w tym względzie, który uważał że atmosferyczne dwa elementa, dały początek gwiazdom czerwonym i niebieskim."

Uważam tu za konieczną potrzebę nadmienić, że świecące chmury światłem fosforyczném czyli elektryczném, zupełnie różnią się od chmur oświeconych promieniami zachodzącego słońca, rzuconemi na obłoki pokrywające zachodnią część nieba. Zjawisko to widziane w *Warszawie* d. 29 lipca 1846 r. po burzy, tak opisuje *Gazeta Codzienna*: „Przed samym zachodem słońca ustały zupełnie wiatry, żaden listek nie poruszał się na drzewach, głęboka atmosferologiczna cisza nastąpiła tu na ziemi, bo na niebie zupełnie co innego się działo. Cały widokrąg niebieski przedstawił niewidziany może nigdy obraz, który zatrzymywał przechodniów na ulicach."

„Chmury w najrozmaitszych kolorach i postaciach rozrzucone w czarującéj symetryi po całéj półkuli niebie-

skiéj, tworzyły stosowne do cztérech okolic świata bardzo odróżniające się obrazy, a jednak stanowiące razem jednę całość, jedno niebiańskie pełne życia dyorama. Na zachodzie wszystko było w przezroczu oświecaném przez zachodzące, ukryte przed okiem widza za chmurami słońce. Na niewidywaném tu u nas czystém tle lazuru nieba, piękniejszego od nieba włoskiego, wznosiły się prawdziwie niebotyczne skały porfirowe, piramidy, kolosy drzewa olbrzymie, klomby i inne z chmur utworzone postacie w przezroczu słonecznem w najrozmaitszych odcieniach. To wszystko stało niewzruszone w miejscu; a przed temi przedmiotami czyli poniżéj nad i przed nami, w szybkim pędzie przesuwały się w różnych postaciach drobne chmury, ożywiające ten zachwycający a nieruchomy obraz. Co tu widzieliśmy na zachodzie, to samo działo się w innych okolicach nieba, ale w innych kolorach, w innéj symetryi, a szczyt niebieski łączył w sobie wszelką rozmaitość stanowiącą jedność. W każdéj stronie inny przedstawiał się obraz: tu postać srébrna, tam czarna; tu pas purpurowy, tam pręga złota; tu łuna ognista, tam czarne skały srébrnemi wieńczone chmurami. Ten czarujący obraz, nawet obojętnych na piękność natury zatrzymywał na ulicy widzów. Podobne zjawiska po burzach nie są tak rzadkie, ale w takiéj symetryi, w tak wspaniałéj postaci, na tak pięknem niebie i w tak zachwycającéj rozmaitości, zapewne nigdy, przynajmniéj tu u nas nie widziano".

### O hurkocie czyli łoskocie, jaki wydaje piorun kiedy wypada z obłoków.

Za ukazaniem się błyskawicy, następuje zwyczajnie w przerwach mniéj więcéj przedłużonych łoskot, który

wszyscy słyszeli, lecz wielu mało zapewne zwracało uwagę na różnicę, jaka zachodzi między własnościami tego zjawiska. *Lukrecyusz* trzask piorunu porównywa do szelestu rozdzieranego papiéru (*księga VI*). Śmiem wyznać, iż więcéj stosowniejsze zrobiono porównanie owego trzasku, do szelestu rozdziéranéj mocnéj materyi jedwabnéj. Czasem łoskot grzmotu kiedy jest pełny i suchy, podobny bywa do strzału z pistoletu. Ogólnie mówiąc, huk piorunu jest *pełny* i *poważny*. Dostrzegacze nawet utrzymują, że staje się coraz bardziéj poważnym, w miarę przedłużania się odgłosu. Wprawni muzycy mogliby zdaje mi się dokładnie podobny hurkot określić.

W zjawiskach grzmotu, dwie okoliczności zdają się być godne uwagi: z jednéj strony długa jego trwałość, z drugiéj zaś umnażanie się i wzrost postępowy siły wzmagającéj się częstokroć w czasie odgłosu jednego grzmienia, jednego wybuchu. Ztąd zapewne nieprzypadkowo wyrażają się: „*hurkot grzmotu*, *toczenie się grzmotu*", które zostały przez ogół przyjęte. Ztąd właśnie nie bez powodu przyrównano owo toczenie się do turkotu naładowanego wozu i szybko jadącego po bruku, szczególnie drewnianym. Będziemy rozpoznawać poniżéj, czy echo to gra główną rolę, czy tylko podrzędną? Powiemy tu opiérając się na dowodach zebranych o przeciągłém toczeniu się grzmotu, zauważaném w krajach płaszczystych w stosunku jednéj błyskawicy. Niekiedy odgłos grzmotu w naszym nawet klimacie, daje się słyszéć przez całe dwie godziny; wówczas błyskawice następują po sobie prawie bez przerwy.

W tablicach zebranych przez *de L'Isle* w *Paryżu*, znajdujemy pod dniem 17 czerwca 1712 r., że hurkot grzmotu trwał 45 sekund. Tego samego dnia podczas

silniejszego wzruszenia atmosferycznego, hurkot przedłużał się do 41, 36 i 34 sekund. W dniach 3, 8 i 28 lipca, *de l'Isle* znalazł trwanie hurkotu najwięcéj 39, 38, 36 i 35 sekund.

Ci, którzy nie zastanawiali się nad charakterem burz jako meteorologowie, jako fizycy, nie wiedzą zapewne, że łoskot każdego grzmotu niezawsze ma w początku siłę hurkotu, którą nabiéra przy końcu. Grzmot zaczyna się często toczeniem, któremu towarzyszy huczący odgłos i łączący się razem z hurkotem, który szybko słabnie, lecz stopniowo. Szczegóły te staną się do pewnych wyjaśnień teoretycznych wybornym kamieniem probierczym, dla obrachowania przerw postrzeganych między słabym początkiem grzmienia wielu grzmotów, a przeciągiem czasu rozlegania się hurkotu. Na nieszczęście nauka posiada bardzo mało takich szczegółów! Te które tu dajemy należą jeszcze do *de l'Isle*. „Dziwić się potrzeba, jak mówi *Arago*, że poszukiwania jego dotąd jeszcze zostają w zapomnieniu".

D. 17 czerwca 1712 r., chmury piorunowe nad Paryżem.

w 0 sekundzie błyskawica ukazała się,
„ 3 „ huk dał się słyszéć bardzo powolny,
„ 12 „ huk najsilniejszy,
„ 19 „ ucichł stopniowo.

Nie upłynęło zatém 9 sekund pomiędzy rozpoczęciem grzmienia, a najwyższą potęgą huku.

Oto jest drugi przykład z dnia 21 lipca:

w 0 sekundzie błyskawica,
„ 16 „ odgłos grzmotu powolny,
„ 26 „ huk najsilniejszy,
„ 32 „ ucichł zupełnie.

Przykłady które następują, mają nad poprzedzającemi wyższość, że dają poznać trwanie najmocniejszego huku.

Dnia 8 lipca 1712 r.

w 0 sekundzie błyskawica,
„ 11 „ grzmieć zaczęło powolnie,
„ 12 „ huk najsilniejszy,
„ 33 „ silny huk ustał,
„ 50 „ silny huk skończył się stopniowo.

Więc trwał silny huk przez 21 sekund.

Dnia 8 lipca:

w 0 sekundzie błyskawica,
„ 11 „ grzmieć zaczęło powolnie,
„ 12 „ huk najsilniejszy,
„ 38 „ przeciągał się huk silny,
„ 47 „ skończył się huk stopniowo.

Trwanie silnego huku przedłużało się prawie pół minuty.

Przytoczymy jeszcze jeden wypadek, który nam przedstawi okoliczność nową podwajania się siły hurkotu.

w 0 sekundzie błyskawica,
„ 10 „ grzmieć zaczęło bardzo powolnie,
„ 13 „ huk najsilniejszy,
„ 20 „ silny huk podwoił się,
„ 35 „ silny huk ustał,
„ 39 „ hurkot powolnie ustał.

Siła grzmotu, przez którą rozumiemy przeciąg czasu najgłośniejszego hurkotu, przedstawia zadziwiające zmiany.

*William Paxton* pisał do doktora *Milles* dziekana w *d'Exter* donosząc o uderzeniu piorunu, który obalił szczyt wieży w *Buckland-Brewer,* dnia 2 marca 1769 r. Uderzenie to wynikło z niezmiernego grzmotu, wyrównywającego przynajmniéj stu działom z których razem wystrzelono.

W notatkach pp. *Peytier* i *Hossard* czytamy, że na Pireneach uderzenia piorunów które obok nich wypadły, sprawiły hurkot głuchy, szumiący, podobny do huku jaki wydaje proch zapalony na otwartém powietrzu.

Kule ciskane przez piorun wydają niekiedy najgwałtowniejsze grzmienie. Kiedy jedna z podobnych kul uderzyła w statek *le Montague* na pełném morzu w d. 4 listopada r. 1749, odgłos, podług opisu *Master Chalmers*. wyrównywał kilku setkom dział, z których razem strzelono; odgłos wszakże nie trwał dłużéj nad półtory sekundy.

Wiadomo każdemu, wiadomo również z powyższych tablic ułożonych podług spostrzeżeń *de l'Isle*, że grzmot daje się dopiéro słyszéć po ukazaniu się błyskawicy. Przyczyna tego zjawiska jest prosta, nad którą poniżéj będziemy zastanawiać się szczegółowo; a wypadki z niéj wyprowadzone może będą mieć daleko więcéj wartości i użyteczności, niż z osiągnięcia większych i mniejszych liczb. Szukajmy zatém jakie były przedziały *maximum* lub *minimum* między błyskawicą a grzmotem.

Co do maximum, sławny geometra *Lambert* nie wierzył, ażeby przedziały między błyskawicą a odgłosem grzmotu, rozciągały się do 40 sekund. Lecz epokę do któréj odnosi się ów wniosek, można znaléźć w pamiętnikach *de l'Isle* wydanych w *Petersburgu*, gdzie wypadki są znacznie wyższe nad zakres który przyznawał *Lambert*. Spostrzeżenia czynione w Paryżu d. 2 maja 1712 r. okazują: 42, 48 i 48 sekund.

D. 6 czerwca: 47, 48, 48 i 49 sekund.

D. 30 kwietnia niezmierna przerwa: 72 sekund.

Z postrzeżeń *de Chappe* czynionych w *Tobolsku* w r. 1761 d. 2 lipca: 42, 45 i 47 sekund.

D. 10 tegoż miesiąca: 46 sekund.

Najmniejsze przedziały między błyskawicą a grzmotem, które w spostrzeżeniach *de l'Isle* znajdują się, są: 3, 4 i 5 sekund.

Spostrzeżenia *de Chappe* pokazują kilka razy 2 sekundy.

Podobne wypadki przedziałów mało nam będą użyteczne; lecz z przedziałów które nie przewyższają małego ułomku sekundy, można wyprowadzić następstwa więcéj ciekawsze i dla teoryi ważniejsze. Ułomki sekundy są na nieszczęście trudne do ocenienia i dlatego to mierni obserwatorowie mało na nie uważają w wywodach rachunkowych. Kiedy odgłos po błyskawicy następuje najwięcéj w jednę sekundę, twierdzą, że dwa zjawiska, to jest, błyskawica i grzmot były jednoczesnemi; a właśnie wtedy należało więcéj jak kiedykolwiek dokładnie ocenić czas. „Częstokroć, mówi *Arago*, zasięgałem rad w moich pamiętnikach i pewien jestem, że się nie minę z prawdą; śmiem nawet pochlebiać sobie, że nie zaprzeczą mi nawet sławni i doświadczeni meteorologowie, jak powiém, że często przedział między błyskawicą a grzmotem, nie wynosił pół sekundy."

### Błyskawice bez grzmotu, kiedy niebo jest pogodne.

Zjawiska błyskawic bez grzmotu gdy niebo zupełnie jest pogodne, dobrze są znane i dowodami wsparte przez wielu meteorologów. Któż nie widział, któż nie dostrzegał nawet w naszym klimacie błyskawic w czasie niezmiernych upałów? *Bergman* mówi, że w Szwecyi gdzie są one tak bardzo pospolite, wieśniacy zowią je *błyska-*

*wicami jęczmienia* (Kornbleck), dlatego, że powszechnie ukazują się w miesiącu sierpniu, w którym jęczmień dojrzewa. W Niemczech znane są one pod nazwiskiem *Wetterleuchten*, a w Rossyi *zarnicy*.

Mylą się ci którzy utrzymują, że błyskawice w czasie upału skupiają się nieco nad poziomem. Światło ich rozpościéra się niekiedy po całym przestworze nieba. Uwaga ta stanie się dla nas użyteczną, jak będziemy czynić poszukiwania: czy błyskawice w czasie upału istnieją same przez się, lub są błyskawicami w skutek odbicia się światła?

### Grzmoty bez błyskawic.

*Seneka* zapewnia, że grzmi czasami bez oświecenia nieba (*Quest. nat.* księ. *II*, § 18). Przykro jest, że w tak ważném zadaniu, szczególnie w teoryi meteorologicznéj, zniewoleni jesteśmy uciekać się do zdania *Seneki*. Grzmoty bez błyskawic, mało wzbudziły uwagę współczesnych naturalistów. W tablicach ich nie znajdujemy żadnéj o tém zjawisku wzmianki. Wszakże podobne zjawiska, które tu przytoczymy, nie ulegają żadnéj wątpliwości.

*Thibault de Chanvalon* pisze w swych tablicach meteorologicznych, że w *Martynice*, w miesiącu październiku 1751 r. ośm dni grzmiało; między temi dwa było bez błyskawic. W listopadzie zaś grzmiało jeden dzień: trzy uderzenia grzmotu nieco mocniejsze, lecz bez błyskawic.

Dnia 19 marca 1768 r. blizko lasów nad morzem Czerwoném, gwałtowny huk grzmotu rzucił postrach między przewoźników małéj barki, do któréj wsiadł po-

drożujący *James Bruce*. Huk ten nie był poprzedzony żadną błyskawicą.

### W czasie pochmurnym błyskawice bez grzmotów.

Zadanie to może być rozwiązane stanowczo: oprzemy go na świadectwie bardzo dawném. *Lukrecyusz* w siódméj księdze sławnego poematu o *przyrodzie* tak mówi: „Niewinne błyskawice ukazywały się z obłoków w milczeniu i nie były przyczyną ani trwogi, ani zamieszania" (wiérsz 216 i 217).

Błyskawice bez grzmotów w czasie pochmurnym, zdarzają się pospolicie w *Antyllach*. *Thibault de Chanvalon* czyni o nich wzmiankę w swych *Dostrzeżeniach meteorologicznych* w *Martynice*. W lipcu 1751 r. pisze on: „Grzmot dni sześć, błyskawice bez grzmotu dni dwa, do których powinniśmy dodać, że podczas tych dwóch dni niebo zasute było chmurami."

Obserwacye czynione w *Rio-Janerio* przez *Dorta*, a które wciągnięte zostały do pamiętników akademii lizbońskiéj, niemniéj są pewne i pokazują:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| W r. | 1783 | 24 | dni | błyskawice | bez grzmotów. |
| „ „ | 1784 | 48 | „ | „ | „ |
| „ „ | 1785 | 47 | „ | „ | „ |
| „ „ | 1787 | 51 | „ | „ | „ |

*Dziennik meteorologiczny* utrzymywany w r. 1826 w *Patna* w *Indyach* (szerokość 25° 37' półn.) przez *Lind*, prowadzi do wypadku jeszcze znaczniejszego aniżeli w *Rio-Janerio*; bowiem znajdujemy tam 73 dni błyskawic bez grzmotów.

Gdybyśmy mieli spostrzeżenia z *Brazylii* i *Indyj* więcéj szczegółowe, poprzedzające liczby może uległyby zmniejszeniu, a przytém znaleźlibyśmy oznaczone między niemi dnie pogodne, w których ukazywały się błyskawice bez grzmotu; wszakże gdy błyskawice i grzmoty tylko objawiają się w porze dżdżystéj, to owo zmniejszenie nie byłoby ważném.

W rozprawie o *grzmotach*, uwieńczonéj w roku 1726 przez akademią w *Bordeaux*, ksiądz *de Lozeran de Fese*, mówi o błyskawicach nadzwyczajnie żywych, które w czasie pewnych chmur okazują się we wszystkich kierunkach, prawie bez przerwy i bez odgłosu.

Oto jest obserwacya *Deluca* młodszego: „Dnia 1 sierpnia, mówi on, po zachodzie słońca, niebo w *Genewie* zdawało się zasute chmurami w stronie zachodniéj powyżéj Jura. Błyskawice jaśniejące przebiegały obłoki, a grzmot nie dał się słyszéć." Na to mogą odpowiedzieć, że odległość 3, 4 lub 5 mil była dostateczną do przytłumienia zupełnego odgłosu grzmotu. Postąpmy zatém jeszcze krok daléj: „Obłoki w *Jura*, powiada daléj *Deluc*, rozpostarły się stopniowo aż do zenitu *Genewy*; wówczas ukazywały się z obłoków jeszcze błyskawice takie, które jeśliby połączone były z odgłosem grzmotu, niezawodnie wstrząsłyby mózg. Jedna z tych błyskawic (*Deluc* nie wymienia że była jaśniejszą od innych), wydała huk przestraszający. Krótka ulewa zaczęła się po niéj; potém znowu ukazywały się błyskawice, lecz dodaje *Deluc*, nie słyszałem już więcéj żadnego odgłosu."

Następujący ustęp wyjęty jest z *Meteorological observations and essays John Dalton*. „*Kendel* (Anglia) dnia 15 sierpnia 1791 r. pomiędzy 8 a 9 godziną w wieczór. Nie przypominam sobie, ażebym widział kiedy w *Kendel*

tyle błyskawic, jak teraz w tak krótkim przeciągu czasu. Słyszano kilka grzmotów (*some thunder*), lecz te oddalone były."

*Forster* także wspomina o błyskawicach bez grzmotu. „Po nocnéj burzy, mówi on, nastał cichy poranek, pokazało się na niebie kilka chmurek, i w niejakiéj odległości od lądu zaczął padać dészcz, poczém powstała niezmierna trąba morska, która kiedy zbliżyła się do okrętu wpośród powtarzającego się kilkakrotnie deszczu, padały na pokład gradówki. W chwili tego wzburzenia, błyskawice ukazywały się bez grzmotu." (*Brockhaus Encyclop.* X. B. w *Lipsku* r. 1820, str. 568).

### Grzmoty w czasie pogodnym.

*Seneka* twierdzi, że piorun bieży niekiedy na niebie bez obłoków (*Quest. nat.* księga *I*, § 1). *Anaximander* wierzył także w podobny fenomen, ponieważ szukał onego przyczyny (*Quest. nat.* księga *II*, § 18). *Lukrecyusz* mówi bez wahania się: „Gdzie niebo jest pogodne, odgłos nie daje się słyszeć" (k. 6. w. 98); daléj zaś (w 245): „Piorun ma swe siedlisko tylko wśród ciemnych obłoków, nagromadzonych jedne nad drugiemi aż do niezmiernéj wysokości; niéma go wcale pod niebem zupełnie pogodném, lub tylko zasłoniętém małemi obłoczkami".

*Senebier* mówi o grzmotach w dniach pogodnych, jak o zjawisku przyznaném. Szkoda że nie wspomina, iż jego twierdzenie zasadza się na teoryi lub téż na bezpośrednich dostrzeżeniach. (*Journal de Phisique* t. XXX, str. 245). *Volney* tłumaczy się jaśniéj..... „Dnia 13 lipca 1788 r., mówi on, o godzinie 6téj rano, niebo było bez obłoków, kiedym usłyszał w *Pontchartrain* cztéry mile od

*Versailles*, od cztérech do pięciu uderzeń grzmotowych. Kwadrans na ósmą, ukazał się w stronie południowo-wschodniéj obłoczek, a w kilka minut całe niebo pokryło się chmurami i grad zaczął padać wielki jak pięść." (*Du climat des Etats Unis*).

Przy poszukiwaniach przykładów dni pogodnych połączonych z grzmotami, w krajach podległych silnym wstrząśnieniom ziemi, można mimowolnie wpaść w błędne wyjaśnienie; bowiem zjawiska podobne, w rzeczy saméj poprzedza czasem długi ryk, który przez złudzenie akustyczne (głosu) dotąd jeszcze niedokładnie wytłumaczone, zdaje się pochodzić z górnych przestrzeni nieba. I to jest właśnie główna przyczyna, dlaczego uczeni dotąd nie ośmielili się wytłumaczyć odgłosu przerażającego grzmotów, które się dają słyszeć w najpogodniejszych dniach; a wszakże na zachowanie w potomności podobnego fenomenu, przeszło od stu lat w *Santa-Fé de Bogota*, księża miewają każdego roku w katedrze głośną mszę (*la missa del ruido*).

### Piorun uderzający rozpościéra często dym, a prawie zawsze zapach siarki spalonéj.

Gdybyśmy wymienili wszystkie wydarzenia w których siarka dała się czuć; bezwątpienia utworzyłby się regestr całkowity wszystkich uderzeń piorunu. Ograniczymy się przeto tylko na kilku przykładach, i wymienimy w piérwszym rzędzie te, których siarka czuć się daje na otwartém powietrzu.

*Wafer* chirurg z *Dampier* mówi, że przebywając międzymorze w *Darien*, ulewa która go napotkała, była połączona z błyskawicami i okropnemi uderzeniami pio-

runów; powietrze zaś było tak przesycone zapachem siarki, iż tamowało oddech, szczególniéj wśród lasów".

W inném miejscu tak *Wafer* mówi: „Po zachodzie słońca, kiedy podróżni stanęli na pagórku pod gołém niebem, dészcz lał tak gwałtowny, iż mówiono że niebo i ziemię pochłonie. Słyszano co chwila niezmierne uderzenia piorunu, a błyskawice miały zapach siarki tak mocny, żeśmy byli prawie duszeni."

*Boyle* w swém *Memoirs for a general history of the air* przytacza, iż w epoce kiedy zamieszkiwał brzegi jeziora Genewy, częste i gwałtowne uderzenia piorunu przesyciły powietrze zapachem siarki tak mocnym, że ledwie nie udusił się stojący żołniérz na straży u brzegu jeziora.

*Gentil* akademik w lutym 1771 r. w *Ile de France* widział, jak piorun uderzył w małéj odległości od galeryi gdzie stał razem z p. *Rostaing*. We cztéry godziny przechodząc blizko miejsca w które uderzył piorun, chociaż jeszcze dość wielki dészcz padał, czuli zapach siarki bardzo mocny.

Każdy zapewne zrozumié, dlaczego umieściliśmy w piérwszym rzędzie wypadki, które pociągają za sobą zapach siarki na otwartém powietrzu; tém bardziéj każdy zapewne domyśli się, że następnie będziemy poszukiwać, czy piorun takie same skutki wywiéra i na morzu.

Gdy okręt angielski *Montague* został uderzony kulą ognistą w dniu 4 listopada 1794 r., któréj towarzyszył huk przez *Master Chalmers* porównany do strzału jednoczesnego kilkuset armat, tak mocnym zapachem siarczanym napełnił się okręt, iż zdawał się być jedną massą siarki (*the ship seemed to be nothing but sulphur*). W trakcie tego *Montague* znajdował się pod 42° 48′ szerokości

północnéj, a pod 13° długości zachodniéj, czyli co na jedno wyniesie, blizko 25 mil od lądu.

*New-York* pakebot (statek pocztowy) o 520 beczkach, w dniu 19 kwietnia 1827 r. został uderzony dwa razy piorunem: raz pod 38° szerokości północnéj, drugi raz pod 63° długości zachodniéj czyli w chwili kiedy statek oddalony był od lądu na 150 mil. W czasie piérwszego uderzenia, ponieważ statek nie był opatrzony konduktorem, wiele było szkody; jednakże meteor spotkawszy w swém biegu *działa* jako metaliczne, wpadł do morza, a wnętrze statku napełniło się dymem ciemnym siarczanym.

Ale jak drugie uderzenie nastąpiło już po ustawieniu konduktora, statek zajaśniał w jednéj chwili jak piérwszą razą, lecz nie doznał takiego uszkodzenia. Mimo to jednak, różne części jego, a szczególniéj gabinet kobiecy napełnił się nagle dymem siarczanym tak gęstym, iż trudno było przejrzéć przez niego.

W d. 31 grudnia 1778 r. o trzeciéj godzinie po południu, statek kompanii Indyjskiéj *Atlas*, uderzony był piorunem na Tamizie, w skutek czego majtek został zabity na pokładzie.... Statek przez chwilę zdawał się być cały w ogniu, lecz w rzeczy saméj nie doznał prawie żadnego uszkodzenia. Rozeszedł się tylko mocny zapach siarki, który trwał aż do dnia następnego.

Kiedy 18 lipca 1767 r. piorun przedarł się przez rurę sześciu kominów jednego z domów przy ulicy *Plumet* w Paryżu, pozostawił wszędzie zapach duszący siarki.

W d. 18 lutego 1770 r. po uderzeniu piorunu w kościół *St. Kevern* (*Cornouailles*), piorun który rzucił o ziemię bez zmysłów razem wszystkich obecnych na nabo-

żeństwie, ościenia kościoła napełnione zostały zapachem siarczanym duszącym prawie.

Po nastąpioném uderzeniu piorunu, który zrządził wielkie nieszczęście d. 11 lipca 1819 r. w *Châteauneuf-les-Moustiers* (niższe Alpy), kościół napełnił się dymem czarnym i ciężkim.

### W atmosferze piorun ulega zmianom chemicznym.

Po wielkiém i sławném doświadczeniu, przez które *Cavendish* doszedł za pomocą iskry elektrycznéj, do połączenia kwasu saletrzanego w stanie płynnym, z dwoma gazami składającemi powietrze którém oddychamy, nie podpada wątpliwości, że piorun napróżno nie przecina swemi pałającemi pociskami niezmierną przestrzeń atmosferyczną; wszelako niewiele lat upłynęło od epoki, jak chemik niemiecki *Liebig* ustalił stanowczo pomieniony fakt, tak naturalny.

Professor z *Giessen* w r. 1827, ogłosił rozbiór 77 osad płynu, otrzymanych przez dystylacyą 77 próbek wody dészczowéj, zebranéj w naczyniach porcelanowych z 77 epok odmiennych. Pomiędzy temi 77 próbkami wody dészczowéj, 17 było z dészczu ulewnego czyli burzy; składały się one z kwasu saletrzanego w większéj lub mniejszéj ilości, połączonego z wapnem lub ammoniakiem. Z 60 zaś próbek *Liebig* znalazł w dwóch tylko ślady zwykłe kwasu saletrzanego.

Otóż właśnie materya piorunująca uskutecznia najsławniejsze doświadczenia tegoczesnéj chemii. Połączenie nagłe saletrorodu (azot) z kwasorodem, które sła-

wny chemik angielski zrobił w naczyniu zamkniętém, piorun dopełnia w wysokich krainach atmosferycznych.

Zaiste! tam dla fizyków i chemików znajduje się obszerne i ważne pole doświadczeń. Trzeba teraz zbadać, czy obok wszystkich okoliczności, pewna ilość kwasu saletrzanego powiększa się w czasie burzy, czy nie zmienia się ilość ta z porą roku, z wysokością, a tém samém z temperaturą obłoków, z których piorun uderza? Potrzeba także wyśledzić, czy w krajach międzyzwrotnikowych, gdzie wciąż przez całe miesiące huczą grzmoty i co dzień z taką siłą, kwas saletrzany utworzony przez piorun kosztem dwóch pierwiastków gazu atmosferycznego, wystarcza do zastąpienia saletrzanów naturalnych, których niéma wcale w pewnych okolicach, tam szczególnie, gdzie materye zwierzęce nie znajdują się? Wszystkie te zagadnienia rozwiązane, byłyby dla nauki prawdziwym kamieniem probierczym. Miejmy nadzieję. Naturaliści oddający się poszukiwaniom, odsłonią tajemnicę, odkryją pierwiastek dotąd ukrywający się w kilku ciałach, jak naprzykład w wapnie, ammoniaku, i t. p. które *Liebig* znalazł w dészczowych wodach, spadających w czasie burzy. Lecz gdyby nawet nie doszli do tych odkryć i wyjaśnień, jedno to zadanie rozwiązane o kwasie saletrzanym naturalnym, stanowi wielką wygraną. Czyliż nie śledzili to wszystko co może *zranić* lub *zabić*, ażeby tym sposobem dowieść, że piorun przygotowuje i wyrabia w rozległych krainach powietrza, ten pierwiastek, ten inny piorun, z którego ludzie robią tak dziwny, tak piekielny użytek, celem wzajemnego wytępiania się?

**Piorun częstokroć topi metaliczne cząstki w które uderza.**

Rozdział ten składałby małą liczbę wierszy, gdyby tu tylko szło o przekonanie, że piorun przywodzi chwilowo do stanu stopienia drobne blaszki lub cienkie druty metalowe, które napotyka w swym gwałtownym biegu. Lecz tu wiele zależy na poznaniu rozciągłości tego działania, na wyszukaniu, jaka jest największa grubość tego lub owego metalu, przez piorun stopiona? oznaczyć temu ciekawemu zjawisku, nietylko jego granice domniemane, lecz jego granice dostrzeżone; nakoniec badanie to rozciągnąć do wszystkich czasów i krajów.

*Arystoteles* w swojéj *Meteorologii* (ks. 3, r. 1), po wyszczególnieniu wszelkich rodzajów grzmotu, rozróżnianych przez starożytnych, opisuje działanie jednego z nich w ten sposób: „Widziano miedziany puklerz topiący się bez uszkodzenia drzewca, w które był oprawny."

Własność jaką ma piorun pod względem topienia metali, jest także wzmiankowana przez *Lukrecyusza*, *Senekę*, *Pliniusza*; wymieniają oni szczególnie żelazo, złoto, srébro, bronz, miedź. Dziwny wypadek widziany przez Arystotelesa co do drzewca, także dostrzeżony był przez filozofów rzymskich w podobnych okolicznościach. „Piéniądze, mówi *Seneka*, topią się bez uszkodzenia worka... Pałasz topi się w pochwie, która zostaje nietkniętą... Żelazny pocisk topi się w środku drzewca, a jednak drzewo nie zapala się..." *Pliniusz* upewnia, że złoto, miedź, srébro w worku mogą być stopione od piorunu, nie spaliwszy worka, ani stopiwszy z wosku pieczęci, którą był zapieczętowany. *Lukrecyusz* mówi o topieniu się spiżu.

Wątpię, ażeby moc piorunu mogła się znacznie osłabić od 2,000 lat; jednak w tym względzie zrobimy ustąpienie.

*Pałasz topi się w pochwie.* Jeżelić przez to mamy wnosić, że uderzenie piorunu stopiło massę metaliczną, nic nie pozostawiając z szerokiego pałasza rzymskiego, to wypadki tegoczesne, nie przedstawiają nam nic podobnego. Jeżeli wyraz *topienie się* nie oznacza koniecznie stopienia się ogólnego, jeżeli wyraz ten dostatecznym jest, ażeby go użyć celem objaśnienia, że klinga przedstawiała tu i owdzie lub nawet w całym swym rozmiarze znaki topienia się na powierzchni; wówczas wypadek *stopienia się pałasza* wzięty z Seneki, nawet z okolicznością szczególną: *pochwa została nietkniętą*, może być poparty przykładami czerpanemi z roczników meteorologicznych tegoczesnych.

W r. 1781 w okolicach *Castres* we Francyi, p. *Aussac* i koń na którym jechał, zostali zabici uderzeniem piorunu. P. *Garipuy* akademik z *Tuluzy*, przypatrując się uważnie pałaszowi *Aussaca*, spostrzegł na rękojeści niżéj i wyżéj dwa małe ślady stopienia się. Ślady widocznego lecz powierzchownego topienia się były w końcu klingi na pół cala długie; na stopę zaś od rękojeści, na 3 linie długie i na $1\frac{1}{2}$ szérokie. Naprzeciw strony stopionéj pochwa wcale nie była spaloną, miała tylko otwór wynoszący jednę linią średnicy. Koń *Gautrana*, który w trakcie uderzenia piorunu znajdował się obok *Aussaca*, został także zabity. *Gautran* miał przy sobie wielki nóż myśliwski, na którym *Garipuy* dostrzegł: że mały łańcuszek srébrny który wisiał u noża przy saméj rękojeści, stopił się i odpadł; że ozdoby stopiły się na powierzchni wynoszącéj trzy linie kwadratowe; że ostrze

u klingi równie jak i koniec pochwy srébrnéj stopiły się na jednę linią i pół w kwadrat; że w przedziale między temi stopieniami pochwa była przebita, lecz nie spalona. Bez wątpienia każdy tu widzi, że na pałaszu *Aussaca* topienie się metalu, nietylko miało miejsce w dwóch końcach, czyli inaczéj mówiąc, w dwóch punktach wejścia i wyjścia piorunu; ale nadto i w części, w któréj według wszelkiego podobieństwa, meteor rozdzielił się uderzając w jezdzca i konia.

Otoż właśnie mieliśmy zdarzenie wiarogodne i dokładnie zbadane, topienia się srébra, topienia się dwóch kling bez rozpalenia pochew. Lecz topienie się kling miało miejsce tylko na powierzchni w małéj rozciągłości; a więc zgęstnienie jak można wnosić, było nadzwyczajnie małe. Okoliczności te a nadewszystko ostatnia, mogą być wytłumaczone w najprostszy sposób, według prawdziwych zasad rozchodzenia się gorąca, dlaczego pochwy zostały nietknięte i nie paliły się? Porównanie uczyni nawet całe wyjaśnienie zbytecznem.

Jeśli włożymy bardzo cienki drut metalowy w płomień świecy lub lampy, to po wyjęciu go dostrzeżem z jak niepojętą szybkością stygnie drut; nie upłynie sekundy czasu między chwilą, w któréj drut rozpali się do czerwoności, a chwilą kiedy straci zupełnie blask. Zaledwie drut wyjmiemy z płomienia świecy, a już go można dotykać ręką, bez sparzenia się. Oziębienie to stanie się jeszcze szybszém, gdy w miejsce trzymania rozpalonego drutu w powietrzu, położymy go na blaszce metalowéj ze zwyczajną temperaturą, która ujmując gorąco drutowi, stanie się dobrym przewodnikiem. A zatém, czyż ten drut nie jest jedną z warstw powierzchownych klingi, mocno rozgrzanéj, albo jak się

podoba, topiącéj się przez uderzenie piorunu? Warstwa ta oziębiająca się z niepojętą szybkością, nie powinna nas dziwić, że nie spaliła skóry lub innéj materyi podobnéj, z któréj wyrobione były pochwy do broni *Aussaca*, lub do pałaszy dawnych Rzymian.

Wyrażenie się *Pliniusza* i *Seneki* o topieniu się klingi pałasza i monet, było długo brane w całéj rozciągłości. Przypuszczano, że klinga pałasza cała się stopiła, że w mgnieniu oka grube tarcze miedziane, piéniądze złote lub śrébrne, przywiedzione zostały do stanu zupełnie płynnego. Jak można przypuszczać, ażeby pochwa drewniana nie spaliła się, będąc napełnioną massą żelaza rozpalonego? Jak można uwierzyć, ażeby worek z piéniądzmi pozostał nieuszkodzonym, kiedy w nim miedź, srébro lub złoto stopiły się od ognia? Trudność ta, która zdawała się niedostępną, naprowadziła *Franklina* na przypuszczenie, bezwątpienia bardzo dziwne, a wszakże było one nieuchronném następstwem założenia. Wziął on za zasadę, że piorun ma własność wywiérać wpływ topienia *na chłodno*, że przez jego działanie chwilowe, proszek metaliczny może być przywiedziony bez żadnego rozwinięcia gorąca, do różnorodnéj zmiany, jaką ciecz może nadać. Późniejsze doświadczenia wiarogodne i zupełnie wolne od dwuznaczności, dały *Franklinowi* poznać, że teorya jego zasadzała się na przypuszczeniu mylném; wszelako tyle do prawdy podobna, jak stara *historyjka o złotym zębie*, która naucza, że umysły najzdolniejsze, najwyrozumialsze, mogą jeszcze osiągnąć z niéj jakąkolwiek korzyść.

W dniu 16 lipca 1759 r. piorun uderzył w dom na przedmieściu *Southwark* w Londynie. *William Mountaine* poszedł go natychmiast obejrzéć. Pokazano mu miejsce

gdzie był od dzwonka drut, który został stopiony. Zaczął więc szukać szczątków z niego na podłodze i wynalazł je na przedłużeniu linii prowadzącéj od miejsca na suficie gdzie był uczepiony drut. Resztki te składały się z drobniutkich kulek żelaza, wklęśniętych w podłogę widocznie wypaloną.

Chociaż wypadek ten wielce jest podobny do poprzedzających, okazuje bowiem dostatecznie, że stopienie drutu od dzwonka zostało dokonane przez rozpalenie; jednak przydamy jeszcze niektóre uwagi: kulki, które wypaliły podłogę, były rozmaitéj wielkości; najmniejsze z nich, ulegając topieniu się całkowitemu, przyjęły kształt doskonały kulisty, inne zaś o tyle mniéj były kuliste, o ile ich średnica była większą. Spadanie wszystkich cząstek rozpalonego drutu, wytłumaczyli dość naturalnie ci, którzy byli obecni w pokoju w czasie zaszłego wypadku... „Widzieliśmy, mówili oni, w pokoju spadający dészcz ognisty".

Po uderzeniu piorunu w pakebot *New-York* (w r. 1827), pokład drewniany osypany został kulkami żelaznemi, które wypaliły dołki w pięćdziesięciu miejscach, chociaż w téj chwili dészcz padał strumieniami i grad okrywał drzewo od 6 do 8 setnych części metra.

Tak liczne wypadki wystarczają do przekonania, że piorun topi metale rozgrzewając je do gorącości wypalającéj. Potrzeba więc teraz, jakem już uprzedził, szukać najwydatniejszych skutków podobnego działania, jakie się kiedy wydarzyć mogły.

Znajduje się w *Transactions Philosophiques*, według doniesienia p. *Dibden* kapitana angielskiego, opis uderzenia piorunu (w r. 1759), w kaplicę w *Martynice*. Meteor ten żelazną poręcz kwadratową na 25 milimetrów,

od strony, która była wpuszczoną w mur, zamienił w cienki drut. Jeśli zmniejszyła się średnica poręczy przez stopienie się jak *Dibden* utrzymuje, to wypadek który tu przytoczymy, zająłby bezwątpienia piérwsze miejsce między wszystkiemi podobnego rodzaju zjawiskami, które meteorologowie zebrali w naszych czasach.

Kiedy w dniu 19 kwietnia 1827 r. piorun uderzył drugi raz w pakebot *New-York*, znajdował się u wierzchołka masztu pręt żelazny zaostrzony, długi 1 metr. 2 decymetry, a średnicy 11 milim. u podstawy. Od podstawy pręta wychodził łańcuch żelazny podobny do łańcucha mierniczego, który miał u końców haczyki średnicy 6 milim. a długości 45 centym. połączone z ogniwem tegóż łańcucha. Łańcuch przechodził ukośnie od szczytu wielkiego masztu w morze. Długość jego nie wynosiła więcéj nad 40 metrów. Po uderzeniu piorunu, wszystko co z niego pozostało, wszystko co znaleziono, zaledwie miało długości 1 metr i 8 centym. i to przytwierdzone do podstawy pręta. Resztki zebrane na pokładzie statku, składały się tylko z dwóch haczyków z ogniwami i małego urywka łańcucha. Popełnilibyśmy błąd do niedarowania, gdybyśmy polegali na upewnieniu, że 39 metrów łańcucha zostało stopionych, nie zaś rozerwanych i wrzuconych do morza; słowem, możemy przypuścić, że uderzenie piorunu może stopić zupełnie łańcuch żelazny na 40 metrów długi, lecz wtenczas, kiedy jeden koniec jego będzie w morzu i kiedy średnica ogniw nie przechodzi 6 milimetrów.

*Franklin* spostrzegł w własnym swym domu w *Filadelfii* w r. 1787, jak uderzenie piorunu stopiło pręt stożkowy miedziany, długości 24 centym. a 8 milim. śre-

dnicy w podstawie. Pręt ten przewyższał inny, żelazny, rozciągający się od dachu aż do gruntu wilgotnego.

W roku 1754 piorun zniszczył wieżę kwadratową drewnianą w mieście *Newbury* w Stanach Zjednoczonych, następnie spłynął na drut żelazny, łączący młotek dzwonu z kółkami zegarowemi, umieszczonemi daleko niżéj. Drut ten grubości druta do robienia pończoch i długi 6 m. zniknął, wyjąwszy jego końców na długość 5 centym. z których jeden wisiał jeszcze u spodu młotka, a drugi przy kółkach. Linia na murze gdzie drut przechodził była zupełnie czarna, podobna do tego koloru, jaki pozostaje po spaleniu prochu. Linia ta bezwątpienia składała się z cząstek drutu stopionego.

Drugi raz kiedy uderzył piorun w pakebot *New-York* 19 kwietnia 1827 r. jak płynął z Ameryki do Liwerpool, stopił rurkę ołowianą długą 13 milim. a grubą 8 centym. która przechodziła z gabinetu do morza w kierunku ukośnym.

Natura rzadko kiedy robi gwałtowne przejścia. Obok jednego działania, znajduje się zawsze drugie w tymże samym rodzaju lecz nieco słabsze, tak, że stopniowanie nie przerywa się od najmniejszych do największych wypadków. Jeżeli zmniejszymy naprzykład siłę piorunu zdolnego stopić pręt metalowy, natenczas on go nie stopi całkiem, lecz rozpali do białości i zmiękczy o tyle, że kowal łatwo może go spoić z innym prętem podobnież rozpalonym. Po uderzeniu piorunu jeszcze z mniejszą siłą, pręt ulegnie tylko rozgrzaniu. Jeden lub dwa przykłady a przekonamy się, że teorya ta nie jest bezzasadną.

Dnia 20 kwietnia 1807 r. piorun uderzył w wiatrak w *Great-Marton* w *Lancashire*. Gruby łańcuch żelazny (a large iron chain) do podnoszenia zboża, powinien był

jeśli nie stopić się, to przynajmniéj zmiękczyć. W rzeczy saméj, ogniwa wyciągnięte z góry na dół ciężarem własnym, po uderzeniu piorunu spoiły się tak, że łańcuch stał się prawdziwym prętem żelaznym (a rod of iron). Taki sam wypadek ponowił się w czerwcu 1829 roku w wiatraku *Toothille* (Essex). Tam także ogniwa łańcucha żelaznego do podnoszenia zboża spoiły się po gwałtownem uderzeniu piorunu.

Dnia 5 kwietnia 1807 r., kiedy piorun uderzył w dom leśnika w *Vézinet* między Paryżem a St. Germain, znaleziono klucz spojony swym uszkiem z ćwiekiem na którym wisiał.

W marcu 1772 r. piorun uderzył w jeden ze cztérech prętów żelaznych, przewyższających kopułę *ś. Pawła* w Londynie. Pręty te połączone razem z sobą i z rynnami metalowemi do zbiérania wody deszczowéj i sprowadzania na dół, zostały w jedném miejscu przerwane. Dostrzegli więc pp. *Wilson* i *Delaval*, że pręt żelazny szeroki 10 centym. a miąższości 12 milim. rozpalił się do czerwoności w skutek uderzenia piorunu.

Dla celu jakiśmy założyli, nie jest dostateczném, żeśmy wskazali grubość metalów, które po uderzeniu piorunu uległy stopieniu lub spojeniu; wymienimy jeszcze grubości metalów, nieuległych podobnemu wypadkowi, co niemniéj stanie się nam użyteczném.

W sierpniu 1777 r. w *Crémon*, piorun uderzył w wysoką wieżę, na któréj była chorągiewka. Pręt téj chorągiewki przedłużał się aż do podstawy marmurowéj, która została rozbita w kawałki i na wszystkie strony rozrzucona, a chorągiewka przedziurawiona i pomimo swéj ciężkości, rzucona na 20 stóp od wieży. Możemy śmiało dodać, że piorun ten należy do najgwałtowniejszych

w klimacie francuzkim. Słupek od chorągiewki, średnicy 12 milim. został skruszony, a jednak nie okazywał żadnego stanu topienia się.

W *Filadelfii* w d. 12 lipca 1770 r. piorun uderzył w dom *Józefa Moulde*. Kapitan *Floconer*, znajdujący się w téj chwili w owém mieszkaniu, oświadczył, że huk był nadzwyczajnie mocny. Piorun stopiwszy słupek miedziany, długi na 15 centym. (średnica niewiadoma), spłynął na pręt żelazny okrągły 13 milim. średnicy, który przechodził wzdłuż budynku aż do ziemi, na głębokość 1 metra. Pręt ten nie był ani stopiony ani uszkodzony.

Wówczas kiedy kapitan *Cook* znajdował się w przystani w *Batawii*, piorun uderzył w okręt z taką siłą, że wstrząśnienie było podobne do tego, jakie sprawia trzęsienie ziemi. Szkody widocznéj nie było na okręcie; jedynie pręt miedziany 5 milimetrów średnicy, poprowadzony od wierzchołka wielkiego masztu do morza, zdawał się przez chwilę cały być w ogniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYJĄTEK Z TRAGEDYI GOETHEGO

# FAUST.

TŁUMACZYŁ (*)

*Włodzimierz Wolski.*

---

## I.

**Faust** (*sam—niespokojny*).

.....Więc bież! w daleką przestrzeń goń!
Patrz w tajemniczą księgę, co
W niéj Nostradama własna dłoń.
Czy przewodnika niedość to?.....
O, wtedy gwiazd rozpoznasz ruch.
Przyroda uczyć niech się da!.....
Posłyszy silna dusza twa,
Do ducha jak przemówi duch.
Zamało zmudnych myśli tchu,
Co święte znaki badać śmie:
Wy duchy, wy, co mkniecie tu,
Powiedźcie mi, słyszycie mnie?
(*Otwiéra księgę i spostrzega znak Mikrokozmu*).
Widoku tego rozkosz jak
Przez wszystkie zmysły nagle dąży!
I młode, święte życie tak
Wre szczęściem, w nerwach, w żyłach krąży!
Czy znaki te nakréślił Bóg,
Co burzę w duszy uciszają,
Radością serce napełniają,
Popędem swych tajemnych dróg
Natury siły odsłaniają?
Czy Bogiem ja? Tak jasno mnie!
Śród czystéj rysów tych pogody
Działalną widzę moc przyrody,

(*) Wszystkie następujące ustępy, oprócz rozmowy Fausta z Mefistofelesem, tłumaczone są miarą oryginału.

Pojmuję mędrca słowa te:
„Świat duchów nie jest niezbadany,
„To zmysł i serce zgłuchło już!
„Więc uczniu, kąp niezmordowany
„Twą ziemską pierś u rannych zórz!" *(Ogląda znak).*
Jak wszystko w całość łączy się!
Działając, jedno z drugiém mknie.
Niebiańskie moce wznoszą się, spadają,
Naczynia złote wzajem podawają.
Błogosławieństwo tchnie ich skrzydeł wonią:
Od nieba, całą ziemię przenikają,
We wszystkiém, wszystkie harmonijnie dzwonią!....
To widok!... Czemu tylko widok to?
Naturo! nigdyż nie doścignę ci?
Wy piersi, gdzie? Wy źródło wszechistnienia,
Łączycie z ziemią nieba tło.
Ach! do was zwiędła pierś wciąż drży!
Wy zdrój i napój, a ja schnę z pragnienia!.....
*(Niechętnie odwraca kartę w księdze, znak ducha ziemi spostrzegając).*
O! znak ten inne mi wrażenie dał!
Ty duchu ziemi, tyś mi bliżéj,
Wnet wszystkie siły rosną wyżéj,
Tak, jakbym ogniem wina wrzał!
Odwagę czuję w świat się cisnąć
Śród ziemi szczęścia, śród jéj mąk,
Z burzami w walkach nie zawisnąć,
W rozbiciu nie załamać rąk!
Nademną chmurzy się,
Skrył księżyc światła blask.
Już lampa gaśnie
I dymi!... Kurzawe mkną płomienie
Około głowy. Strach
Z sklepienia spada wraz
I chwyta mnie!....
Błagany duchu! mkniesz! już czuję cię!....
Ach odsłoń się!
Ha! jak mnie w sercu nagle rwie!
Do nowych uczuć tu
Wciąż pędzą, pędzą zmysły moje!
Dla ciebie drży to każde serca bicie!
Więc zjaw się, zjaw!.... choć oddaćbym miał życie!...
*(Chwyta księgę i wymawia zaklęcie. Czerwonawy płomień błyska, duch zjawia się w płomieniu).*

**Duch.**

Kto tam? kto?

**Faust.**

Straszne lice to!

**Duch.**

Ty, potężnie mnie przyzwałeś,
Co z méj sfery długo ssałeś,
A więc....

**Faust.**

Nie, nie zniosę go!

**Duch.**

Bezsilny! więc błagałeś chciwie
By głos mój słyszeć, lica ujrzéć me:
Twych błagań moc skłoniła mnie,
Więc jestem! A ty drżysz lękliwie
Nadludzki ty! Gdzie prośb twych moc, gdzie głos ich padł,
Gdzie pierś, co w sobie własny utworzyła świat?
I niosła, strzegła, co radośnie drżała;
Do nas, do duchów podnieść się aż śmiała.
Toś ty, ty Fauście, czyj głos mi tak drżał?
Coś do mnie się tak całą siłą rwał?
To ty? Ty, Faust owiany w dech mój wrzący,
Ty, całą życia rdzenią drżący
Lękliwy i skulony płaz?!....

**Faust.**

Tworowiż ognia uledz mam?
Jam, Faust, równy ci! ja sam!

**Duch.**

Śród życia fal, śród działań burz
Wszystko u mych stóp;
Wznoszę, zniżam skroń!
Kolébka, grób
Wieczysta toń!
Przędziwo mknące,
Istnienie wrące!
W przędzadle hucznem czasu tworzę sam,
I bóstwa szatę ożywioną tkam!

**Faust.**

O duchu! świat okrążasz, co
Gorliwy tak! ja, blizki jestem ci!...

**Duch.**

Ty blizko ducha, co pojmujesz go,
Nie mnie. (*Znika*).

**Faust.**

Więc nie?
Kogo?....
Ja, podobieństwo Boże!
I ciebie nawet nie? (*Po chwili*).
A więc, wyjdź czysta czaro kryształowa
Z pokrowca, który cię tak dawno chowa!
Lat tyle ciebie nie widziałem już!
Przy ucztach przodków świetnie lśniłaś,
Poważnych gości weseliłaś,
Do dłoni z dłoni krążąc wzdłuż.
Ta sztuczna rzeźba, którą kryształ lśni,
Co trzeba było wierszem ją tłumaczyć,
I do dna pijąc, próżnię twą zobaczyć,
Niejednę noc młodości przypomina mi!
Nie oddam teraz już cię sąsiadowi,
Swobodny dowcip już się nie odnowi!
O! tu jest ciecz pojących pełna sił!
Brunatnym płynem czerni za kryształem;
Jam ją zgotował, ja wybrałem,
I ten ostatni toast sercem całém,
Na cześć poranku hucznie będę pił!...
(*Przytyka czarę do ust*).

*(Dźwięk dzwonów słychać i chóry).*

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał!
Radość cierpiącym,
W złym i nęcącym,
Ciągłym, pełzącym
Błędzie, trwającym.
Chrystus zmartwychwstał!....

**Faust.**

Co za szmer cichy, co znów dźwięczniéj drży,
Od ust mi gwałtem puhar bierze?
Zapowiadacież głuche dzwony, wy,
Nam Wielkanocy piérwsze już pacierze?
Wy, chóry, kto wam śpiéw pociechy wlał?
Co kiedyś w nocy grobu z ust aniołów brzmiał,
Zwiastując nowe już przymierze?

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał!
Zbawion szczęśliwy;
W próbie dotkliwéj,

Zbawczéj, gorliwéj,
Kto trwał cierpliwy!
Chrystus zmartwychwstał!

**Faust.**

Potężnie czemu i łagodnie tak,
Niebiańskie dźwięki do mnie w prochu drżą?
O! dźwięczcie tam, gdzie słabi ludzie są!
Wieść usłyszałem, lecz mi wiary brak;
A cud, najmilsze wiary dziécię to!
Nie zdołam wznieść się do tych sfer,
Zkąd brzmi téj wieści błogi szmer.
A jednak dźwięk ten, dźwięk młodości snów,
Do życia teraz mnie przywołał znów.
I na mnie uścisk nieba jak miłości znak,
W sabatu świętą ciszę dawniéj spływał;
Przeczuciem takiém wtedy dźwięk tych dzwonów śpiéwał,
I modlić się, ach, modlić pierś pragnęła tak!....
Uniesień cudnie wciąż tęskniących,
Po lasach, łąkach gnał mnie czar,
A śród tysiąca łez gorących,
Świat nowy wstawał z moich mar!
Ta pieśń, igraszek hasło to nowinnych,
Świąt wiosny szczęsny miała wzrok,
Wspomnienie więzi mnie uczuciem lat dziecinnych.
Tu, gdzie ostatni i poważny krok,
O pieśni, brzmijcie wciąż dźwiękami temi!
Łza płynie, już, już jestem znów na ziemi!...

## II.

**Gretchen** (*przy kołowrotku*).

Tak mi spokój pierzchł,
Tak w sercu czczo!
Nie znajdę już nigdy,
Nie znajdę go!
Gdzie nie on—grób
U moich stóp;
Ten cały świat,
Tak gorzko zbladł!
I co głowie méj,
Tak mąci szał!
I umysł mój,
Złe myśli zwiał!

Tak mi spokój pierzchł,
Tak w sercu czczo!
Nie znajdę już nigdy,
Nie znajdę go!....
Ach! za nim patrzę
Wciąż oknem tém;
Dla niego z domu,
Wychodzić śmiem.
Bo wzniosły chód,
Postawy téj kształt,
Tych ust luby uśmiech,
I oczu tych gwałt!
Wdźwięk mowy jego,
Gdy tuli dłoń,
Uścisku, ach!
Czarowna toń!
Tak mi spokój pierzchł,
Tak w sercu czczo!
Nie znajdę już nigdy,
Nie znajdę go!....
Do niego drży
Wciąż łono to,
Ach! gdyby objąć
Otulić go!
Całować go,
Tak, jak ja chcę;
W tych całowaniach
Rozpłynąć się!....

## III.

*(Las i jaskinia).*

**Faust** (*sam*).

Potężny duchu! wszystko, wszystko dałeś,
O com błagał cię tak! Niedarmo ty,
Ognistém licem mi zalśniłeś;
Przyrodę świetną dałeś za królestwo,
Moc uczuć ją, używać jéj, moc dałeś.
Niebłahych dozwoliłeś mi odwiedzin,
Pozwalasz w jéj głęboką pierś,
Jak w łono przyjaciela zajrzéć.
Żyjących szereg wiedziesz wciąż
Około mnie. Poznaję braci moich
W samotnym krzaku, wodzie i powietrzu.

A kiedy burza w lesie rycząc, wre,
I olbrzym sosna padłszy, pnie, konary
Sąsiednich drzew z druzgotem rwie:
A wzgórze na upadek jéj tak głucho, pusto grzmi!
W jaskinię cichą wtedy wiedziesz mnie,
Gdzie mnie samego pokazujesz mi.
Tajemne i głębokie cuda,
Dla piersi méj powstają wraz!
A czysty miesiąc gdy obleje wzrok
Łagodném światłem—krąży tak
Z mokrego krzaku, z ścian tych skał
Postaci przedświatowych srébrny rój,
Łagodząc ostrą rozważania chęć.
O! czuję, że doskonałości dar
Nie dla człowieka. Dając taką błogość,
Co mnie do bogów bliżéj niesie wciąż,
Wspólnika dałeś; a ja go nie zdołam
Już wyrzec się; choć zimny i zuchwały,
Mnie w oczach własnych zniża; w proch
Obraca tchnieniem słowa, dary twe.
W téj piersi nieci dziki, straszny ogień
Ku cudnéj téj postaci wciąż pędzący.
Tak śród użycia schnę i drżę za żądzą,
A pośród żądzy tęsknię za użyciem!....

**Mefistofeles** (*nadchodząc*).

Skoroś potrafił życie wyszafować,
Jakże cię może bawić wciąż?
Dobrze jest czego trocha zakosztować,
Lecz potém zaraz do nowego dąż!....

**Faust.**

Czy téż innego nie masz zatrudnienia
Że mi pokoju nie dasz—męczysz mnie!

**Mefistofeles.**

Jabym ci nie dał chwili wypocznienia?
No, no, nie dowódź znów z taką pewnością;
Z takim bo kwaśnym, wściekłym jegomością,
Dalibóg, wiele nie ma do stracenia.
Przez cały dzień kłopot, krzątaniny;
A co się panu podoba, co nie,
Wywąchać nie potrafisz z miny.

**Faust.**

Zkądżeto znowu? Rozmowami temi
Nudzisz mnie tylko, a chcesz bym dziękował!

**Mefistofeles.**

I jakżebyś ty, biédny synu ziemi,
Bezemnie w biédném życiu twém wędrował?
Od imaginacyi bzików olśniających,
Na długom przecie pana wykurował.
A gdyby nie ja, dawnobyś z żyjących,
Z ziemskiego globu już wyspacerował.
Bo po tych skałach, pieczarach zwilżałych,
Po co, jak puszczyk ciągle się kryć?
I z mchów wilgotnych, kamieni spotniałych,
Jak ropucha żywność pić?
To, według ciebie, czas przepędzić ładnie;
Według mnie, doktór jeszcze siedzi na dnie.

**Faust.**

A znasz ty siłę, którą żywi w łonie
Długa wędrówka, samotne ustronie?
Żebyś mógł djable, przeczuć szczęście to,
Tak djabłem jesteś, że nie dałbyś go!

**Mefistofeles.**

Więc to, w nadziemskiéj rozkoszy opływać!?
Na wzgórzach, w nocy, po rosie spoczywać,
Niebo z ziemią przytulić w rozkosznym zachwycie,
Do bóstwa aż wytężyć naprężone życie!
Siłą przeczucia szpik ziemi prué,
Wszystkie sześć dni stworzenia silnie w łonie czuć,
I z dumną mocą, czegoś tam używać.....
To już rozkosznie we wszystkiém rozpływać!....
Nad synów ziemi pchnąć zachwytu lotem,
A wzniosłą intuicję potém
Zakończyć..... e.... nie powiém jak.

**Faust.**

Fe! wstydź się!.....

**Mefistofeles.**

Niech cię to nie obraża tak!
Masz prawo tego *fe* nie znosić!
Bo zwykle skromne uszy to napełnia trwogą,
Bez czego skromne serca obejść się nie mogą.
Więc krótko, węzłowato, pozwalam waszeci,
Kłamać przed samym sobą gdy się pora zdarzy,
I tak to nie na długo. Teraz żar się nieci,
Lecz niechno dłużéj potrwa, znowu się rozżarzy
W bojaźń, wściekłość, rozpacze.—Ale o tém dosyć.

Tam dziéwczę twoje samotne siedzi,
Tak smutno jéj! tak dręczy się!...
Ciągle się tobą trapi i biedzi,
Szalenie kocha cię!
Jak strumień wzbierze, gdy taje śniég,
Tak pęd szalony miłości twéj
Oblał z początku serce jéj;
Lecz wysechł już strumienia bieg.
Zamiast, mój panie, w lasach rej wodzić,
Czyby niebardziéj przystało,
Tę młodziuteczką, ładniutką, małą,
Za jéj miłość wynagrodzić?
Jéj tam tak nudno chwile mkną:
Stoi w okienku, a ciągną chmury
Ponad stare miejskie mury.
„Gdybym ptaszkiem była!"—wciąż piosnki jéj brzmią.
Dnie i noce ciągle śpiéwa;
Wesoła czasem, częściéj tęskniąca,
Czasem łzy wylewa,
Czasem spokojna, niby milcząca,
A zakochana wciąż!....

**Faust.**

Wąż!.... wąż!....

**Mefistofeles** (*na stronie*).

O zakład schwytam cię!....

**Faust.**

Nikczemny! precz! precz! oddal się!....
Nie wymieniaj téj cudnéj kobiéty imienia!
Przed szalejące zmysły te
Nie wyprowadzaj jéj wdzięków wspomnienia!....

**Mefistofeles.**

No, i cóż? Ona myśli, że rzucić ją chcesz.
A ty doprawdy gotów zrobić to.

**Faust.**

Jam blizki jéj, choćbym zdala gościł.
Zapomnieć jéj! porzucić ją!
Chrystusa ciału zarazbym zazdrościł,
Gdyby jéj usta dotykały go!....

**Mefistofeles.**

Nieźle braciszku! myślisz, że ja także
Nie zazdrościłem tych dwu pączków róży?.....

**Faust.**

Nikczemny! jak śmiesz.....

**Mefistofeles.**

Ślicznie! Ja w śmiéch, a ty wciąż klniesz.
Na co ta rozpacz umysł twój gniecie?
Do lubéj twojéj idziemy wszakże!....
Nie na śmierć przecie!....

**Faust.**

Ach! rozkosz nieba w jéj miękkiém objęciu!
Niechaj odżyję w jéj uściśnięciu!
Łzy jéj boleści w sercu zawsze mam,
Ja, tułacz, zbieg osierociały,
Potwór, co nie wié gdzie błądzi sam:
Jak szumny potok na skałę ze skały,
Z chciwą wściekłością ku przepaści gnam.
Tam ona znów—to prostoty dziecię
W chatce, gdzie w górach małe pole to,
W małym, domowym zakreśliła świecie
Wszystkie swe troski, niespokojność swą!
A ja, przeklęty, czy niedość miałem
Uchwycić twarde te skały,
I pokruszyć je w kawały?
Ją, jéj spokój pogrzebałem!....
Cha! piekło! drogą ofiarę ci dałem,
Więc djable! skróć mi biady czas!
Co miało wypaść, niech wypadnie!
Niech na mnie zgroza cała spadnie,
I w przepaść z nią niech runę wraz!...

**Mefistofeles.**

Jak znowu szumi, znowu wre!
Idź głupi! idź pocieszyć ją!....
Że nie wiész jak wywinąć się,
Myślisz, stracone wszystko to!
Niech żyją zuchy! cześć niosę im!
Choć i tyś się już wdjablił tam;
Cóż w gorszym guście na świecie tym,
Jak gdy rozpacza djabeł sam?....

## IV.

**Gretchen** (*przed obrazem Matki Bolejącéj*).

Cierpiąca,
Ty, bolejąca,
Oblicze łaski do mnie zniż!

Miecz w twojém łonie,
Skrwawiony tonie,
Spoglądasz tam na syna krzyż!
Wzrok w górę mkniesz ty!
Westchnienia ślesz ty!
W strapieniu twém i syna drżyszl....
Męczący,
Palący
Ból tak po kościach drży!
Czego serce tęskni, żąda,
Czego pragnie i wygląda,
Sama ty wiész! Matko, ty!.....
Gdzie zwrócić oko śmiém,
Wciąż boli, boli w łonie mém!....
Tam bólu tylko znak.
Niech sama się obaczę,
Wciąż płaczę, płaczę, płaczę!
A serce pęka tak!....
Ogródek przed oknem mojém,
Oblewał łez gorzkich zdrój,
Gdym dla ciebie dziś z rana,
Tych kwiatów rwała zwój!
A kiedy po promieniu,
Zabłysło słonko tuż,
Siedziałam w mém strapieniu,
Na biedném łóżku już!....
Ach, zbaw mnie, zbaw!
Od nędzy, hańby chwil!
Cierpiąca,
Ty, bolejąca!
Oblicze łaski do mnie schyl!....

## V.

**Mefistofeles** (*śpiewa*).

Co robisz tu
U jego drzwi
Kasieńko, ty?
To jeszcze bardzo rano!
Daj pokój mu!
Przywita cię,
A potém cię,
Pożegna zapłakaną!.....

Nie chodźcie tam!
Ja radzę wam,
Ja chłopców znam!
Dziewczątka, wy nie wiécie!.....
Że kochać źle,
I bardzo źle,
I chyba że
Pierścionek dostaniecie.....
Co robisz tu
U jego drzwi
Kasieńko, ty?
To jeszcze bardzo rano!
Daj pokój mu!
Przywita cię,
A potém cię,
Pożegna zapłakaną!.....

# ODPOWIEDŹ

## na dokończenie Uwag nad Uwagami i na Reodpowiedź p. W. A. Maciejowskiego.

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

---

P. Maciejowski jest oczywiście zazdrosny o sławę wiernéj miłości ku temu co raz napisał; nie odstąpi więc nigdy od swoich twierdzeń, tojest: nie przyzna nigdy, że ich odstąpił.

W dokończeniu swych Uwag nad Uwagami umieszczając autor odpowiedź na naszę, twierdzi np. znowu i twierdzi stanowczo: iż Ptolomeusz nie odgraniczał Sarmacyi Wisłą. Słowa któremi ten geograf wyraził, iż granicę Germanii od Sarmacyi stanowiła Wisła, a mianowicie: „Koryto jéj od źródła do ujścia" w Uwagach (*Bibl.* 1. 75) przytoczyliśmy w texcie greckim. Albo więc autor ma nas za dobrowolnych sprawców słów owych, lub nie ufa przekładowi naszemu: tak przynajmniéj musi wnosić czytelnik; dla czytelnika więc przytoczymy jeszcze porękę trzeciego świadectwa, np. *Cellaryusza*. Znany ten pruski geograf w swoim *opisie świata*, przy określaniu granic dawnéj Germanii powtórzył właśnie też słowa Ptolomeusza, któreśmy przytoczyli, i tak je w przekładzie łacińskim wyraził: „*Fons Vistulae et ips e*

*fluvius Vistula usque ad mare*". (*Cellar. notitio Orbis lib. II, Cap. V, § VI*).

Twierdzi znowu podobnie p. Maciejowski, iż piérwszy zwrócił uwagę, że Polska pod nazwiskiem *Bulena, Pulena* i t. p. spotykaną jest w niemieckich kronikach, sięgających VIII i VII wieku, i przechwala się iż piérwszy na to zwrócił uwagę. Autor tą razą położył wprawdzie przy twierdzeniach tych i kilka cytacyj, lecz cytacye te nie oznaczają wcale tego co może mniemać czytelnik; cytacye te z kronik Pertza oznaczają te miejsca, w których rzeczywiście są wzmianki Polski pod imieniem *Pulona, Bulona, Polena* i t. p. ale nie oznaczają, iżby te za wiek X$^{ty}$ sięgały. Dodaje wprawdzie i ostrzega p. Maciejowski, żeśmy zapomnieli, że roczniki *Święto-Galskie* i *Hilderhejmskie* (w których są owe wzmianki), nie są źródłem tylko do X$^{go}$ wieku, gdyż pisane być zaczęły w wieku IX$^{tym}$; nie wiemy wszakże do czego może służyć to ostrzeżenie? Wydawcy kronik sęgalskich i hilderhejmskich objaśniają, iż roczniki te kilka wieków obejmujące, są pismem (co bardzo jest naturalném) kilku autorów, lecz nie twierdzą, iżby były pismem proroków. Wzmianka nazwiska Polski pod imieniem *Pulania* w rocznikach sęgalskich jest pod rokiem 1032, a w hilderhejmskich pod imieniem *Polenia* pod rokiem 1015 (1). Wzmianki te w żadnym razie nie mogły więc zapisane być wcześniéj jak w latach 1032 i 1015, tojest dopiéro w XI$^{tym}$ wieku.

(1) 1032. Rege Ruodolfo defuncto, Uoto, filius sororis suae regnum Burgundionum tamquam haereditatem patrum suorum valida manu affectavit, et aliqua municipia capta custodiis suis munivit, imperatorem, per idem tempus Pulanis Sclavis bello insistente. *Annales Sangalenses*, pod r. 1032.

„1015. Imperator ad Polenos cum exercitu abiit." *Annales Hilderhejmenses* pod r. 1015. — u Pertza l. 83, v. 94, cytacye przez p. Maciejowskiego wskazane.

Uwagi te nie sądzimy, iżby ujść miały rozwagi p. Maciejowskiego; autor więc chyba tylko dla sławy wiernéj miłości nie odstępuje od swoich twierdzeń.

W dalszym ciągu swych *Uwag nad Uwagami*, zarzuty które poczyniliśmy przy przejściu do dziejów wewnętrznych, usiłuje także p. Maciejowski po większéj części usunąć. Omyłki chronologiczne wyrażone na mappie zrzuca na Zeussa; system mitologijny usprawiedliwia tém, że podobnego się trzymał *Benjamin Constant*; zarzutu, iż nie sprawdził założonego systemu, nawet nie usprawiedliwia; inne niektóre równie pomija, i wreszcie czyni nam nawzajem zarzuty i przytacza w przypisku szereg omyłek, dodając, iż lubo przytacza kilka, jest ich krocie.

Musimy objaśnić te tak nazwane przez autora pomyłki; objaśnienie to objaśni bowiem zarazem w części i przedmiot główny.

Zarzuca nam p. Maciejowski, żeśmy rzec mieli: „że jedynie kronikarze polscy w XVI wieku, litewskich *doykali* dziejów"; nie powiedzieliśmy „*dotykali*" ale *przechowali*, i nie stosowaliśmy tego do *wzmianek przygodnich* o dziejach, ale (jak to sam cel wyrażenia wskazuje) do *dziejów*, z wywodem piérwotnych.

Zarzuca, żeśmy powiedzieli: że *Albis* znaczy *środek*. Wywód nazwiska rzék, jak w ogóle wszystkich imion właściwych, jest zwykle niepewny. Nazwisko *Elby* (Albis) wywodzili geografowie już od białości wody (alba), już od jedenastu rzék do niéj wpadających (gockie *Elv* jedenaście); już wreszcie od wyrazu także starogockiego *albis*, który oznaczać miał środek (1). Trzyma-

(1) Perro hic fluvius mediam secat Germaniam nam ea vox Albis *medium* significat. Joh. Jac. Hoffman 74. Cluver l. 3. Introd. Geograph. Munster l. 3.

liśmy się tego ostatniego wywodu, jako najprzód najpowszechniejszego i jako odpowiadającego właśnie piérwszéj wzmiance o rzece téj u Strabona, który mówi: iż Albis na *połowę* Germanią przecina.

Poprawiając wyrażenie się nasze, powiada p. Maciejowski: „iż nie *kraj*, lecz szlacheckość uorganizowali według niego sascy Lachowie". Organizowanie stanów krajowych, czegóż jest organizowaniem jeżeli nie kraju?

Z okoliczności czci *Światowita* powiedział w *Dziejach Piérwotnych* p. Maciejowski: iż w starosłowiańskiém wyraz *świet*, nie oznaczał *świata*, ale tylko *światło*, i w dowód powołał się na świadectwo *Miklosicha*, w *Radices Linguae Slovenicae*. Zaprzeczyliśmy temu dowodowi, gdyż Miklosich wyraźnie mówi: iż wyraz świet, oznaczał w starosłowiańskiém równie i światło i *świat*. P. Maciejowski to zaprzeczenie do omyłek naszych policzył; wypisujemy tu więc dosłownie text z Miklosicha:

„*Switati* ἐπιφαύσκειν illucescere. Luc. 23. 54. *Swietiti* φαίνειν illustrare. *Swietiło* φῶς lux. *Swietieti* φαίνειν lucere. Joan 5. 35. *Prostwieti* pro *proswiet-* Cod. bulg Matth. 13. 43. *Swiatiennik*. Cod. assem. *swiet* φῶς lux. Joan. 1. 4. Luc. 2. 32. κόσμος MUNDUS. gl. cl. 154. cl. valach. lume hung. világ et scr. lôka mundus a lôč lucere. Lit. svĕsti splendere. — Scr. shvit album esse et shvêt albus". *Radices Linguae Slovenicae veteris dialecti. scrips. Franc. Miklosich.* Str. 79.

Tacyt dla dziejów pewnych polskich równie *prawdopodobném* jest tylko źródłem jak Herodot. P. Maciejowski zdanie to do omyłek naszych zaliczył.

Przeciw twierdzeniu p. Maciejowskiego, iż świadectwa mitologii słowiańskiéj nie dają nam śladu *świętych dziewic*, przytoczyliśmy świadectwa z kroniki Koz-

masa, o czarodziejkach córkach Kroka i Eumenidach; na przypuszczenie autora, iż Litwa od czci przyrodzenia (która miała być za Mendoga), postąpiła daléj do przejęcia i połączenia bogów z *całéj* północy, uczyniliśmy uwagę, iż cała północ po Mendogu była już chrześciańska. Przeciw twierdzeniu autora, że Ładо nie był Marsem ale Wenerą, stawiliśmy świadectwa: *Stryjkowskiego*, *Stredowskiego* i wreszcie samego Długosza, że był Marsem. W dowód, jak autor obchodzi się ze źródłami, przytoczyliśmy świadectwo *Theophilacta* o tém, że nad Bałtykiem żelaza nie było, a które raz autor jako dowód przytoczył, drugi raz wyśmiał. Z tego wszystkiego jak to czytelnik widział, autor nie wytłumaczył się z twierdzeń swych, tylko wycofać się starał; zarzuty zaś, któreśmy uczynili, jako omyłki nasze wypisał.—Autor więc przez omyłki rozumié nie twierdzenia, z historyczną prawdą niezgodne, ale zdania swoim zdaniom przeciwne.

Tak widząc nieobronną sprawę swą p. Maciejowski, i czując brak dowodów bezpośrednich, udał się do pośrednich; środkami do których się udał sam jednak tylko, zdaniem naszém, przeciwko sobie poświadczył.

Zwraca się *najprzód* autor od Uwag nad Uwagami prosto do czytelnika, i odstępując już od mówienia do przekonania, przemawia do *wyobraźni*. Mówi autor: iż od czasu jak się zajmuje dziejami i mitologią krajową, jest lat 30; co do nas zaś, iż nie wié jak dawno zajmujemy się tym przedmiotem; iż wzgląd piérwszy winienby „mówić to domniemanie" iż wszystko cokolwiek powiedział, dobrze powiedział; wzgląd zaś drugi, jak wyraża „budzi ten domysł", że niekoniecznie to wszystko co powiedzieliśmy, dobrze powiedzieliśmy.

*Powtóre*: wypisując autor zadania z przedmiotem głównym książki jego związane, wyzywa nas, abyśmy się zajęli ich rozstrzygnieniem.

Co do piérwszgo dowodu, uważaliśmy już i musimy tu właśnie przypomnieć, iż przez badanie przedmiotu, przez dowodzenie, wartość dowodu, p. Maciejowski nie dociekanie prawdy, stopień jéj dojścia, lecz tylko jakąś zabawkę, jakiś naukowy popis, jakąś mechaniczność rozumié.

Zarzucał np. nam autor (w 1szym ciągu Uwag), że w wyprowadzeniu Lachów z nad Dunaju, powtarzaliśmy *starą piosnkę*; w odkryciu faktu, którego prawdy głównem jest źródłem tradycya, starość piosnki jest właśnie zdaniem naszém podporą, owszem głównym warunkiem wywodu.

Żegna się także autor (rymami), żeśmy nazwali jego *Dzieje Pierwotne* w porównaniu z rozprawą téjże treści Naruszewicza, pismem *postępném*, i żeśmy w inném miejscu dodali, że ma tylko kilka cytacyj z kronik Pertza. Liczby cytacyj z kronik Pertza, nie uważaliśmy nigdy za miarę postępu (1).

Użala się także na zarzut nasz, iż zamiast naginania systemu do faktów, fakta do systemu nagina. W zaczęciu zaś swego Dalszego ciągu uwag nad Uwagami, właśnie oświadcza: iż przystępując do określenia mitologii polskiéj, namyślał się z góry, jaki ma obrać system do dowodzenia, taki lub inny? Nie rozpatrywał się więc

(1) Zwracamy przytém uwagę, iż nie powiedzieliśmy nigdzie, iżby samo pismo p. Maciejowskiego było postępném w swém ogóle nad pismo Naruszewicza, lecz że cecha twierdząca krytyki tego pisma jest postępną; że owszem, jeśli w ten sposób nosi charakter nowego twierdzącego okresu, nosi też razem jego dziecińśtwa.

w faktach, iżby dostrzegł jaki w rozwijaniu się ich był system, ale troszczył się tylko o system; nagięcie zaś do niego faktów, brał już na siebie.

Tak też i przez system mitologii u dawnych, autor nie jakowąś taką lub inną prawdę która istniała, ale taką lub inną wynikłość, zależną od rozumowań naszych rozumié. Twierdzić, iż taki lub inny system śród mitologii ludów, mógł się zarówno rozwijać, jestto to samo co twierdzić, iż np. w starożytności dzieje greckie i rzymskie, za idące po assyryjskich, jak assyryjskie za idące po greckich i rzymskich zarówno uważać można. Autor przecie w porównaniu dwóch systemów Grimma i Benjamina Constant zamiast rozważać, który więcéj z prawdą ową był zgodny, rozbiéra tylko który więcéj zalet dla czytelnika, a korzyści dla pracującego, mógł był przedstawić.

Co do twierdzenia autora, iż od czasu jak się zajmuje dziejami i mitologią jest lat 30, możebyśmy wychodząc z równego tojest mechanicznego względu, mogli także to stwierdzić, że od czasu jak się zajmujemy temi przedmiotami, jest lat 20; możebyśmy przeciwnie zwrócić mogli uwagę, iż autor przez lat owe 30 zajmował się raczéj ustawodastwem zrazu rzymskiém, daléj ogólném słowiańskiém; że w przedmowie do *Dziejów piérwotnych* sam owszem właśnie wyznaje, iż w tém piśmie rzuca się w sferę dla siebie nową i obcą, i ztąd prosi o pobłażanie; lecz przypuśćmy, iż tak jest istotnie jak twierdzi: — jak, i w czém oświecać nas będzie mogło to przypuszczenie?

Nie lata i stopień zajęcia autora książki są treścią i przedmiotem sporu, ale ta książka. Z téj lub innéj wartości książki, możemy właśnie robić *domysł* i *do-*

*mniemanie*, o takiéj lub innéj liczbie lat zajmowania się nią autora; lecz nie z lat zajmowania się możemy czynić domysł i domniemanie o wartości książki. *Domysł* i *domniemanie* stosować możemy tylko do tego co nie jest przed nami, lecz nie do tego co mamy w ręku. To co mamy przed oczami i w ręku, oceniamy już *umysłem* i *zmysłem*, nie zaś *domysłem*.

Czytając za główny zarzut wyprowadzony *domysł*, mimowolnie przyjść musi na myśl, iż autor nie znalazł żadnego *niedomyślnego* zarzutu z téj strony do wymienienia.

Co do dowodu drugiego; owe cztéry pytania, które autor dał nam do rozstrzygnienia, są takie:

1. Że Polanie a Lachowie przodkami będąc Polaków, różnili się między sobą stanowością pierwotnie.

2. Iż ze znanych nam dotąd źródeł nieinaczéj Lachów, tylko jako stan narodu wyrozumiéć można.

3. Ani też jako takich z za Karpat wyprowadzać się godzi, gdyż stan tych ludzi jedynie przed Karpatami śród Niemców powstać, a nad Wisłą rozwinąć się mógł.

4. Że od czasów zjawienia się Lachów u nas, rozpoczynają się rzeczywiście narodu polskiego dzieje.

Te twierdzenia podane do rozstrzygnienia, podał nam autor rzeczywiście do *dowiedzenia*; mówi bowiem, iż „obronę pogaństwa i Litów bierze na siebie." Cóżto jednak są te twierdzenia? Twierdzenia te sąto właśnie te same, które autor rozwijał już i dowodził sam w *Dziejach Pierwotnych*, a którym w uwagach naszych częścią wprost zaprzeczyliśmy, na miejsce ich stawiąc inne; częścią, iż nieudowodnione są wcale, wskazaliśmy. Dlaczegóż więc autor na nowo na kategorye je rozbił i pod

dowodzenie nam poddał? Poddanie to trzech tylko rzeczy znowu nas uczy:

1. Iż autor objawiane przekonania w nauce ma za nic, bo w nie nie wierzy.

2. Że naukowe zadania i dociekania, ma tylko za szermierkę polemiczną i za zabawkę.

3. Że owe kategorye, twierdzenia, dowodzone już przez siebie w *Dziejach Pierwotnych*, sam za nieudowodnione jeszcze uważa.

Dołączywszy w ten sposób autor uwagami swemi nader pożądany kommentarz do naszych, albowiem własne wyznanie ducha ich prawdy: dodał w końcu kilka uwag o naszéj, jak mówi sposobności do krytyki i kilka przestróg udzielił.

Byliśmy niegdyś z pewnéj strony uczniami autora, to téż właśnie było przyczyną, żeśmy się nad jego pismem *Dzieje Pierwotne* z uszanowaniem pewném, tojest obszerniéj niż tego wymagała żywotność pisma zastanawiali. Nie odrzucalibyśmy więc tém więcéj przestróg; czylito jednak podobném jest, rozwadze samego autora poddajemy.

Dwa są główne zarzuty, które nam autor czyni:

1. Iż lubo nie żałujemy pracy i usilności („o książki, mówi, i czas do czytania ich łatwo"); brak nam jednak do sądzenia prac historycznych zdolności („usposobienia wewnętrznego") i

2. Że się wdajemy w krytykę, nie poznawszy praw krytyki; i że chcąc zajmować się krytyką, nie zajmujemy się nią wyłącznie: zupełna bowiem krytyka, mówi: wymaga zupełnego się wyłącznemu przedmiotowi poświęcenia, i tylko przez ludzi rzemiosła i sztuki wykonaną być może.

Co do piérwszego zarzutu wyjaśnia autor, iż aby poznać prawdę dziejową, do widzenia jéj oko ukształcić: mało jest źródła czytać, ale trzeba ze szczególnym darem je czytać. Jak bowiem na niebie i ziemi są cuda, dodaje, o których się ani śniło filozofom, tak i w historyi (to jest zapewne w nauce historyi); tylko ciągłe obcowanie z źródłami, szczególne zajęcie się niemi, im poświęcenie, daje w końcu *jasnowidzenie*, niedostępne oczom niepoświęconym.

Nie zaprzeczamy bynajmniéj możności natchnionych objawień w żadnéj nauce, więc i w historyi. Proroctwo nie jest wszakże warunkiem by poznać, by gonić prawdę, ale jak uczy pismo: „każdy swój dar otrzymuje: ten tak, ten owak"; i mówi: „jedne Bóg stworzył proroki, drugie apostoły, trzecie ewangelisty" na skalę swą ucząc.

A jeśli nie każdy który naucza prorokuje, nie każdy téż jak w témże piśmie czytamy, który prorokuje jest rzeczywiście prorokiem. Widzenia bywają nietylko skutkiem natchnienia, lecz niekiedy i myśli zmęczenia. Pan Maciejowski np. w kronikach Pertza znalazł nazwisko Polski wyrażone *Pulana*, *Bulena* i to uderzyło go; wzmianki te zapisane były w wiekach XI i XII, ale kroniki zbiorem Pertza objęte, sięgają wieku VIII, autor więc w skutek ciągłego obcowania z ogółem kronik doszedł jak mniema do jasnowidzenia: iż wzmianki owe sięgają także VIII wieku. Autor na zbiór swych twierdzeń w *Dziejach Pierwotnych* wskazał jako na zbiór jasnowidzeń, które kiedyś sprawdzić się mają. Wskazanie to usprawiedliwia istotnie naukę autora. Gdy bowiem rozpatrujemy się bliżéj w szczegółach twierdzeń w *Dziejach Pierwotnych*; kiedy np. czytamy: jak przywędrowali nad Niemen Litowie przez Rzym i Armorykę z Gre-

cyi, gdzie przez wieków 10 byli zawsze świeżymi cudzoziemcami; jak lud Bulones zamieszkujący na ziemi Sarmackiéj, mieszkał w granicach Germanii; jak Lachowie przez cztéry wieki z równą pewnością wędrowali z nad Elby nad Wisłę i popasywali u plemion, które dopiéro w kilka wieków późniéj ukazały się; jak Polacy od czci przyrodzenia i światła, w wiekach X i XI (czci Światowida), *postąpili* daléj do czci żywiołów (tojest Herty za *Tacyta*); jak Litwini za Mendoga czcząc przyrodzenie, postąpili potém do przejmowania bóstw z *całéj* północy, chociaż na całéj północy czczono już Boga nie bóstwa; jak wzmianki o dziejach Polski w wieku XII, czynione już były przez kronikarzy w wieku IX i t. p., przyznać i wyznać musimy: że snać w historyi większe jeszcze bywają dziwy, niż na niebie i na ziemi. Te dziwy czyli się sprawdzą kiedyś, nie wiemy, lecz tymczasem co do przedmiotu dwa te wnioski zapisać musimy:

1) iż według wyznania samego autora, twierdzenia jego sąto dotąd widzenia i dziwy, nie zaś fakta sprawdzone, i
2) że w criterium sądzenia prac historycznych, jasnowidzenie nie jest *najgruntowniejszym* warunkiem.

Co do zarzutu drugiego a raczéj przestrogi, iż chcąc się zajmować korzystnie krytyką, należy prawa jéj poznać i nią się zajmować wyłącznie;—przestrodze téj, wyznajemy także, niepodobna nam będzie nigdy zadość uczynić.

Cóż jest krytyka? i gdzie mamy szukać jéj praw?

Co rozumiemy przez krytykę nieraz wzmieniališmy; gdy jednak autor wezwał nas o zajęcie się w odpowiedzi czémś inném jak odpowiedzią, wolimy z pytań tych pośrednio przez autora wniesionych (jako nowszych od owych cztérech), właśnie szczegółowiéj się wytłumaczyć.

Trzy są wielkie działy, w których przed naszém pojęciem objawia się ludzkie rozwicie: sfera nauk, sfera sztuki i sfera dziejów. Te sfery tak w szczegółach różne, w zjawiskach odrębne, mają przecież punkt związku, który je łączy. Rozwicie jestto bieg łączny i bieg do celu, tkwi więc jedność w łączności biegu, jedności celu. Punktem związku szczegółów owych przed naszém pojęciem, jest pewna czynność moralna, którą składają dwie części: odnoszenie danego szczegółu (oderwanego z spółszczegółów biegnących razem do celu) do naszego pojęcia, i odnoszenie naszém pojęciem tego danego szczegółu do jego celu. Ta czynność naszego myślenia zowie się sąd (1). Sąd ten uosobiony w naukę, tojest podniesiony do stopnia prawdy swego zadania, stanowi *krytykę* (2). Cóż więc jest krytyka? Krytyka jestto ocenianie danych szczegółów rozwić pod względem ich celu, i przyspieszanie ich biegu do tego celu.

Krytyki téj gdzież są prawa? gdzie kodex? Prawa krytyki nie są jeszcze nigdzie spisane; owszem, samo jéj znaczenie istotne, nie jest jeszcze określone, uznane. Krytyka w czasie niegdyś piérwszego nastania swego nazwiska (tojest w szkole Alexandryjskiéj z wieku Ptolomeuszów), zwracała się tylko do poprawy i rozbioru głosek i słów w poematach, i jednoznaczną była z *grammatyką*; w wieku przeszłym użyta do zbudowania w Niem-

(1) Mówiąc to, nie sprzeciwiamy się naturalnie wcale teoryom tego wyrazu, podawanym w logikach dyalektycznych, gdzie np. jest określanym już „jako poznanie na stopniu przypuszczenia będące", już jako „drugi moment myślenia podmiotowego", już jako „drugi moment myślenia jako przeczenia" i t. p.

(2) Wyraz ten *krytyka* powstał nawet pierwotnie z wyrazu *sąd* (κρινειν sądzić).

czech nowéj metody filozoficznéj (*krytycznéj* przeciw *dogmatycznéj*), uznaną została za jedno co *filozofia*. Po oświadczeniu się naukowém przeciw jedności téj (zob. np. Kruga *Dykcyonarz filozoficzny*) i utworzeniu się w owym czasie *estetyki*, wziętą została za jedno z *estetyką* (1). Za utworzeniem się wreszcie w ostatnich latach w Niemczech tak zwanéj teologii krytycznéj, za jednoznaczną z *teologią* tą zaczęła być uważaną (2).

Przy tém nieustaleniu samego znaczenia krytyki, gdzież się mamy uczyć przepisów jéj? Nie będziemy ich dziś szukać zapewne w nauce o formie słów i okresów czyli *grammatykach*; nie będziemy szukać w *poetykach*, które miały tylko na celu jednę gałąź sztuki (3), ani w *estetykach*, które miały i mają na celu *jedynie* sztukę. Praw tych nie będziemy wreszcie zapewne szukać w owych wieńczonych w ostatnich czasach rozprawach o krytyce (Villemain i t. p.), a w których treścią i może powodem właśnie wieńczenia było wyznanie i narzekanie: że spółczesna nam krytyka zna tylko zamęt zdań, dobrowolność, a nie zna praw żadnych. Wprawdzie mi-

(1) Najobszerniejsze pismo, jakie wtedy i jakie dotąd ukazało się, poświęcone *zasadom krytyki*, pod tém jéj nazwiskiem: *Elements of Criticism by Henry Home*, tomów 3, rozprawia tylko wyłącznie o gałęziach *estetyki*. Pismo to w przekładzie niemieckim (*Grundsätze der Kritik* etc.) miało kilka wydań.

(2) Przytoczymy tu np. naprędce słowa jednéj z krytycznych gazet niemieckich z roku zeszłego, z okoliczności rozprawy Vischera napisane: „Der stellt die *neue Aesthetik* auf, nicht im Katolicismus und nicht im Bischoring Protestantismus, sondern in Protestantismus „im weiter Sinne", nämlich in der, *der neueren kritischen Theologie* zu Grunde liegenden Metaphysik Wurzele und aus derselben zukünftig sich entfalten werde „*Literarische Zeitung*, 365".

(3) Autor francuzkiéj poetyki *Boalo* (dodajmy tu z okoliczności), który za całość krytyki sztuki, kilka przepisów poetyki Horacyusza uważał, nic dziwnego iż pisał: „*La critique est aisée* etc".

mo ten brak zajęcia się samym *wyrazem*, to co mamy za *istotę* krytyki, nie przestaje się szerzyć, wzrastać i owszem we wszystkich gałęziach sfer owych o których rzekliśmy, inną ich istotę pochłaniać. Kierunek istoty téj wszakże, jak się nam widzi, nie daje jeszcze nigdzie wzoru nieomylnego.

W literaturze angielskiéj np. cała jéj prawie nam spółczesna piśmienność zamieniła się w pisma czasowe, a te pisma czasowe w zbiory zdań, uwag, recenzyj. Osadnictwo, skarbowość, przemysł, stosunki mieszkańców, dzieje, wszelki szczegół fantazyi, bytu i t. p. były i są tu nieprzerwaném polem sądu, rozbiorów. W uwagach tych charakterem jest pewność i jakby doświadczenie stare w danym przedmiocie; lecz uwagi te objawiane w danéj gałęzi, zostają tu oderwane przy téj gałęzi. Jako criterium *zdrowy zmysł*, a jako ogólna cecha *empiryczność*, ten i dziś jeszcze jest stały charakter krytyki w ojczyznie Bakona. Wskażemy dla przykładu na najobszerniejsze podobno z wydanych w ostatnich latach oddzielnie, a z zadania swego krytyce poświęcone pismo Henryka Hallama: *Literatura europejska* w wiekach XV, XVI i XVII. W dziele tém zdania nawet o pismach, o których mówi, nie łączą się wzajem; i z tego względu jedno z głównych pism angielskich krytycznych zowie je raczéj *katalogiem rozumowanym* biblioteki, ułożonym w porządek chronologiczny, nie historyą literatury (1).

Większą jedność w sądzie, kierunku, przedstawiała w literaturze francuzkiéj krytyka; sąd o sztuce, pisa-

(1) .....it approches more, to a *catalogue raisonné* of the library of a man of general reading arrenged in chronological instead of alphebitical order... the least copions and worst executed are the departments of Poetry and *belles lettres* especially the latter". *Ed. Rev.*

rzach, dramatyce, ekonomii, wypadkach bieżących i t. p., wszędzie za charakter miała stosowanie, życie społeczne: ten ostatni i główny cel wszystkich sfer, wszelkich działów rozwicia. Zarzut wszakże jakibyśmy musieli uczynić téj (jak ją tu nazywamy) krytyce, jest zaobszerne odrzucenie strony wewnętrznéj w patrzeniu, a w stosowanéj stronie pewne przybicie oka; główne bowiem talenta pióra i myśli przypadły były w ostatnich latach w tym kraju, w każdéj gałęzi, na ów odcień myśli i sądu, który tam w tychże latach *konserwatywnym* był nazywany (1).

Odmienną od obu poprzednich była i jest krytyka w Niemczech. Tu wrażenie, nie zapisywania tylko uczucia, lecz badania przyczyn tego uczucia, stawało się źródłem. To przenoszenie się sądem w stronę wewnętrzną rzeczy, powiodło także do widzenia w ich biegu jedności, do przenoszenia się w kraj téj jedności. Jedność ta dostrzeżoną została w stronie duchowéj, nauki więc zaglądające najdaléj w głąb strony téj, stały się treścią i tematem krytyki kraju; źródłem oporu sądu, stały się tu uważane jako nauki: *teologia* i *filozofia*. W tak ukształconéj krytyce mogłaż być jaka wada? ujemność? Zdaniem naszém (a w zdaniach nikt iść nie może za inném jak własném), wadą krytyki téj, była i jest najprzód: ów wieczny grzéch w sądach owego kraju, zatrzymywanie się w sferze *oderwania*, niepamięć na stosowanie; i powtóre: nie owe wzięcie za treść i cel sądu filozofii i teologii, ale pojmowanie teoretyczne je-

(1) Obecnie któreś pismo powagi ulotnéj ale miejscowéj, wróży: iż z popiołów i zniszczenia tam wszystkich gałęzi nauki i sztuki, jedna z nich tylko daléj wykwitnie i jedna kiedyś zakwitnie:— krytyka.

dnéj i drugiéj. Przez filozofią rozumianą tu jest (nietylko jak jeszcze wszędzie, lecz wyłączniéj jeszcze niż wszędzie) prosto *dyalektyka*; za tło zaś i treść teologii wziętym został najpowszechniéj duch *ludzki*. Szkoły główne sądzące w tym kraju, już mają za temat wiarę w duch jednostkowy bez dopuszczania *myślenia* poznającego, już znowu ubóstwianie *myślenia* bez dopuszczania *ducha kierującego*.

Jakieżby więc rzeczywiście być winny prawa, zasady krytyki? Mielibyśmy tu naturalnie pokusę według siebie je podać, lecz przedewszystkiém pamiętamy na chwilę i powód dla których piszemy. Cóż znaczy pisać bez celu? Bez zdania przed sobą sprawy z powodu, natury, celu: całości rzeczy, szczególnych gałęzi rozwić; celów do których te biegną, biegów jakiemi dążą; związków któremi się wiążą, dróg ich wstecznych, dróg ich dostatnich i t. p. nie rozumiemy czyliby można *sądzić*, mieć jakieś zdanie? Lecz autor nie zarzucał nam, iżbyśmy takich lub innych wyobrażeń w tym względzie w sobie nie ukształcili, tylko żeśmy zkądinąd je nie nabyli. Zarzuca nam, że dotykając razem, jak mówi, archeologii, estetyki, dziejów, poezyi, dotykamy przedmiotów zaróżnorodnych; dotknęliśmy wprawdzie kiedyś w oddzielném piśmie *kilku przedmiotów krajowych*, w inném *kilku plemiennych* (1), daliśmy szczegółowsze zdanie w tém

(1) Powiada p. Maciejowski, że nasz *Rys historyczny ośw. Słowian* był kompilacyą. Jestto zarzut, który istotnie musi mieć pozór prawdy. Obraz, który obiéra za przedmiot łącznie przedstawić fakta w różnych krajach i czasach zdarzone, a poświadczone, musi być kompilacyą; inaczéj byłbyto rys poetyczny nie historyczny. Wszakże w skreśleniu faktów, prócz wymienienia ich, musi mieć miejsce także pewien na nie pogląd, pewne tak ogółu ich, jak i szczegółów charakterystyki przedstawienie. Ktoby twierdził, że nasz *Rys historyczny* kompilacyą był pod tym względem z oddzielnych Historyj Literatur plemion słowiańskich, dowiódłby, iż nie czytał tych historyj.

piśmie (i innych) o kilku czy kilkunastu utworach ze sfery poezyi, historyi, literatury, estetyki i t. p. to jednak co sobie do wyrzucenia mamy, jest owszem, żeśmy byli dotąd zajednorodni (1). Krytyka, to bowiem dodajmy, ma czerpać treść swoję ze wszystkich nietylko nauk, lecz sfer i szczegółów rozwić; ma stać się nauką— węzłem i kiedyś nauką nauk; ma stać się (i stopniowo jak to uważaliśmy, właśnie już się staje w swych odcieniach) kierowniczką *ogółu* ducha, który się spuszcza, który się odnawia, i w swych przemianach w coraz się nowe zjawiska (we wszystkich owych sferach) obleka.

Autor Dziejów Piérwotnych widzi więc, iż jak z jednéj strony nie wiemy, gdzie chciał iżbyśmy się uczyli praw krytyki, tak z drugiéj nie możemy korzystać z téj jego przestrogi: iż chcąc się zajmować krytyką, należy oderwanie zajmować się krytyką; że nawet nie rozumiemy téj przestrogi. Chcąc być krytykiem, jest owszem piérwszym warunkiem nie być z rzemiosła krytykiem. Być stróżem *jednéj* nauki, być stróżem *jedynie* nauk, i chciéć być krytykiem: jestto zdaniem naszém nie wiedzieć co to jest krytyka.

Co do uwag naszych nad *Dziejami Pierwotnemi Polski i Litwy*, tym zawsze to powiemy: pełne zalet pod względem pracowitości, ale w gruncie poroniony naukowy płód autora;— przedmiot ten za wyczerpany poczytujemy. Donieśliśmy o tém piśmie z kolei, tak jak o innych, owszem, obszerniéj. W uwagach naszych nie traciliśmy z myśli znaczenia i celu téj, do któréj należy gałęzi, i oznaczyliśmy jego stosunek tak do owego celu, jak jego gałęzi. Przedstawiliśmy ogólną charakte-

(1) Mamy nadzieję, że *kiedyś* nie będziemy tak jednorodni.

rystykę pisma, wewnętrzną oraz zewnętrzną, i powody dania takiéj nie innéj, rozbiorem szczegółów głównych wyjaśniliśmy.

Powiada p. Maciejowski, iż nie przyjął tak naszych nagan jak pochwał. Daruje nam autor, ale nie przyjął tego, czegośmy mu w podarunku nie posyłali. Piszemy najczęściéj o książkach, których twórcy nieznani nam są z nazwiska, nieraz już zmarli. Zdania o książkach posyłamy ich czytelnikom nie ich autorom. Wyrażając pochwały albo nagany o daném piśmie, nie troszczymy się wcale, czyli te będą zgodne z życzeniem i wymaganiem autora pisma,—lecz z prawdą.

# PODRÓŻE PO BIESKIDACH,

## czyli opisanie części gór Karpackich, zawartych pomiędzy źródłami Wisły i Sanu.

PRZEZ

*Ludwika Zejsznera.*

---

Potężne katedry gotyckie i wspaniałe świątynie w stylu rzymskim, wpłynęły głównie na fizyognomią Krakowa. Tymto pomnikom architektury winno to miasto tę uroczystą zewnętrzność, którą wywiera na zbliżających się do niego. I mieszkalnych domów większa część ma w sobie coś niezwyczajnego: ściany ich zewnętrzne nie są proste, ale nieco skośnie nachylone, co nadaje temu miastu charakterystyczną właściwość. Ze wszystkich gmachów odznaczają się głównie świątynie gotyckie swemi śmiałemi krojami, tą posępnością rozlaną po wnętrzu, temi wyniosłemi sklepieniami, które zdobią dziwne rzeźby, odpowiadające wzniosłości a smętności ducha religijnego co je wznosił. Gdy minęły czasy średniowiekowe oddychające ową serdecznością, zmieniły się zarazem zapatrywania na świat. Przyczyniły się do tego głównie: odkrycie Ameryki, czyli rozszerzenie poglądu na

świat zewnętrzny, reformacya religijna, i samodzielna filozofia Bakona z Werolm i Kartezyusza, oswobadzająca ducha z więzów scholastycznéj filozofii. Te okoliczności razem wzięte, stanowią nową erę rozwijającéj się ludzkości, a zarazem i sztuk pięknych. Ta niezmierna zmiana przygotowująca się w głębiach myśli, odbiła się także w gmachach Krakowa. Budowle gotyckie będące obrazem średnich wieków, zastąpiły nowe porządki: kościoły w nowoczesnym stylu stawiane, wyrażają tę wielką przemianę. Obszerne okna dające wstęp światłu fizycznie do wnętrza głównie je cechują, jako i czasy nowych myśli po świecie rozpuszczonych.

Nad samém miastem wznosi się z głębi wypchnięta skała Wawel uwieńczona zamkiem królów polskich, starożytną katedrą gotycko-rzymską, i w części obwiedziona zębatym murem. Od wieków na tę wapienną skałę działają wszystkie żywioły, a przecież na niéj zaledwie ślady zmiany można dostrzedz; tylko miejscami popękała, a po szczelinach zasiała wiecznie czynna przyroda zielone wstęgi drobnych paproci i innych roślinek, jakby dla odjęcia dzikości. Wapienie Wawelu dzielą się w grube warstwy; podczas łamania kamieni przy wystającym węgle fortyfikacyjnym nad samą Wisłą, odkryto wielką płaszczyznę nieco pochyloną ku południowi. Nieco daléj postępując nad Wisłę, warstwy te znaczniéj pochylają się, krzywią, i liczne mają rysy; powierzchnia ich traci białawy kolor i zostaje brunatną, pełno widać dziur: widocznie wapień zmienił się. Wreszcie pokazuje się wielki otwór: jestto owa głośna jama smocza, utworzona niewątpliwie przez działanie sił podziemnych, co wstrząsały i zmieniały tak często twardą skorupę ziemi. W téj jamie miał przebywać ów bajeczny smok, śmierć

i spustoszenie roznoszący na całą okolicę, co go Krakus zabił i wrócił pokój téj błogiéj dolinie. Czy ta baśń jest prostym utworem fantazyi, zkądinąd przyniesioną, czy téż usnutą została na jakiém zjawisku natury, trudno rozstrzygnąć. Może odkryto w niéj kości ogromnych zwierząt przedpotopowych, a ludzie skorzy do tłumaczenia tego co nieznają, przypisali je smokowi. W poblizkich jamach Ojcowa bardzo są liczne kości pierwotnych zwierząt, a pomiędzy innemi niedźwiedzia (Ursus spaeleus) dwa razy większego od teraźniejszego. Przed kilkunastu laty gdy urządzano drogę naokoło skały Wawelskiéj, zasypano jamę smoczą. Niedawno na nowo ją otworzono, ale ziemi wszystkiéj nie dobyto i nie można się było przekonać, czy zawiérała jakie kości z zaginionego świata. Jama ta kilkaset kroków długa, podobna jest do wielkiego korytarza zgiętego w podkowę; w jedném tylko miejscu znaczniéj się rozszerza i powstaje wielka sala, mająca wiérzch jakby sklepiony, składający się prawie ze samych odcinków kul wklęsłych.

Z każdéj strony Wawelu spoglądając na okolice, przedstawiają się widoki pełne uroku. Najmniéj rozmaitości ma z północnéj strony. W dali ciągną się podłużne pagórki prawie bezleśne, u stóp zaś leży Kraków, gdzie świątynie gotyckie wznoszą się jakby domy nad domami. Nierównie bogatszy jest widok z wschodniéj strony, bo złączyły się tu sztuka z naturą: z pośrodka mniejszych domków widać liczne drzewa, a środkiem wije się jakby wstęgą srebrzysta Wisła. Na grzbietach ograniczających widokrąg, wznoszą się kopce Wandy i Krakusa, usypane ręką ludzką, ku pamiątce zapomnianych bohaterów, podobne do stożków wulkanicznych. Ale ten widok nie może się równać ze wspaniałością, jaką strona południowa przed-

stawia. W wielkie łuki pogięta Wisła przedarłszy się przez dzikie skały, płynie w rozkosznéj dolinie pomiędzy bujnemi drzewy i łąkami szmaragdowéj zieloności, a wśród nich ukazują się pojedyncze gmachy, pomiędzy któremi odznacza się klasztor Zwierzyniecki, obwiedziony wysokim zębatym murem; za nim sterczy wysoka mogiła przy kaplicy ś. Bronisławy, daléj wznoszą się samotników bielańskich wieże, i długie grzbiety Karpat od siebie równoodległe, jakby stopnie jeden od drugiego wyższy.

Część Karpat naprzeciw Krakowa leżącą, pomiędzy ujściem Raby a Jabłonką w Górnym Szlązku zawartą, nazywają geografowie Bieskidami. Lud nie zna téj nazwy, tylko pojedyncze góry Bieskidem mianuje. Prawie w końcu zachodnim tego pasma, leży najwyższa massa gór, zwana Babią Górą, przechowująca na swym szczycie długo śniégi, kiedy już powiew wiosny okrywa kwiatami dolinę Wisły. Na wschód mniejsze są góry; naprzeciw samego Krakowa, właśnie nad miasteczkiem Myślenice, ciągnie się długi grzbiet zlekka wycięty, zwany Kotuń. Czasem na krańcach widokręgu pokazuje się szereg zębatych szczytów: sąto wyniosłe Tatry, 15 mil od Krakowa odległe. Ale skoro te szczyty zdają się coraz bardziéj zbliżać, jestto zapowiednia zmiany pogody i trzeciego dnia pospolicie dészcz następuje.

***Podgórze.*** Most na łyżwach łączy Kraków z Podgórzem. Jestto mała mieścina, nie mająca ani jednego pomnika architektonicznego z dawnéj świetności Krakowa, tylko mogiła Krakusa na Krzemionkach usypana w czasach przedhistorycznych, i skały wapienne zwane Katedrą Twardowskiego, zasługują na wzmiankę.

Podłużny grzbiet, o który miasteczko Podgórze opiéra się, nazywa lud Krzemionkami, od licznych krzemieni wzrosłych w wapieniu, w postaci kul i spłaszczonych nerek. I te krzemienie, co o stal uderzone iskry sypią, były kiedyś płynnemi, jak wapień otaczający je, i osadziły się z morza piérwotnego w czasach, gdy człowiek ziemię nie zamieszkiwał. W ich wnętrzu tkwią niekiedy muszle dwuskorupne. Ehrenberg zaś odkrył w nich nadzwyczajnie małe żyjątka, pod mikroskopem tylko dające się dostrzegać. Ten sławny badacz tych nieskończenie drobnych jestestw żyjących, oznaczył następujące gatunki nazwane przez niego: *Nodosaria urceolata*, *Soldania elegans*, *Pixidicula prisca* (1).

Nim poprowadzimy czytelnika do wysokich Karpat i głębokich dolin Tatrowych, ozdobionych cudnéj piękności kwiatami, gdzie śniegi przez całe lato nie znikają; nie będzie od rzeczy, że obznajmiemy go z niektóremi główniejszemi pojęciami geologii, a będącemi zasadą téj nauki; wyjaśnią one jakiemi sposobami powstała powierzchnia ziemi.

Skały wchodzące do składu twardéj skorupy ziemskiéj, powstały dwiema wprost przeciwnemi drogami: z ognia i wody; sąto stopnie lawy albo błota z wód osadzone, a następnie w skały stwardniałe zamienione. Do ostatnich należą białe wapienia około Krakowa. Gdzie pokład na pokładzie tych wodnych czyli neptynicznych skał spoczywa, tam niémasz wątpliwości, który z nich dawniejszy; ale często jest to dla nas zakrytém, i wtedy inny jest środek do poznania ich dawności czyli wieku, jakto

(1) Abhandlungen der Berliner Academie der Wissenschaften. z roku 1839. Moja rozprawa o formacyi Jura nad brzegami Wisły, str. 18. Kraków, 1841 r.

geologowie zwykli się wyrażać, który również pewny jest jak piérwszy. Każdy pokład zawiéra w sobie właściwe reszty organiczne, nie znajdujące się ani w niższym, ani w wyższym pokładzie. Za pomocą tego środka, bardzo dokładnie oznaczyć można miejsce wapieniowi krakowskiemu, w szeregu na sobie leżących pokładów kuli ziemskiéj. Najpospolitsze jego skamieniałości są: *Ammonites polyplocus*; *Am. biplex*; *Am. canaliculatus*; *Pecten subspinosus*; *Terebratula trilobata, biplicata, loricata*; *Scyphia clathrata*: *Cnemidium striatopunctatum* i t. d.; wszystkie cechują warstwę ziemi pokładu zwanego od geologów formacyą Jura. Nazwa ta pochodzi od pasma gór Jura, które odgraniczają Szwajcaryą od Francyi pomiędzy Genewą a Bazyleą, a składają się głównie z podobnych wapieni. Wymienione skamieniałości cechują wyłącznie wierzchnie ogniwo całego osadu, nazywane przez angielskich geologów *Coralrag* czyli wapień koralowy. Te wapienie krakowskie, w najdrobniejszych szczegółach odpowiadają podobnym tworzącym potężną massę gór, zwaną Alpy Wirtemberskie (Alpe de Wirtemberg, schwäbische Alp.). Kiedym po raz piérwszy w r. 1837 zwiedzał te strony, w okolicach miasteczka Urach zdawało mi się że jestem w Sance, wiosce poblizkiéj Krakowa; takie jest uderzające podobieństwo pomiędzy temi dwiema skałami. Z tego podobieństwa skały, arcyciekawe wnioski jesteśmy w możności wyprowadzić o rozciągłości morza w czasie osadzania się formacyi Jura; niémasz wątpliwości, że jedno i toż samo morze na przestrzeni sto mil długiéj, osadziło skały wapienne Alp wirtemberskich i krakowskich skałek.

Z wapienia tryszczą w okolicach Krakowa obfite źródła wybornéj, orzeźwiającéj wody; dwa z nich rozpozna-

wałem: piérwsze niedaleko Podgórza przy papierni zwanéj Bonarka, drugie w wiosce Kurdwanów; obadwa mają prawie jednakową temperaturę; piérwszego wynosiła d. 18 stycznia 1840 r. + 9,30° C. Źródło to aczkolwiek obfite, wysycha zupełnie w lecie. Nieustannie zaś płynie z jednakową prawie ilością wody i temperaturą źródło Kurdwanowskie, o czém przekonywają kilka razy powtarzane pomiary w różnych miesiącach i latach:

| | | |
|---|---|---|
| 29 lipca | 1843 | + 9,25° C. |
| 3 maja | 1845 | 9,30° |
| 10 października | — | 9,30° |
| 25 maja | 1847 | 9,40° |

Mierzenie temperatury źródeł ze wszech miar jest ważném, tak z widoków teoretycznych, jak i praktycznych. Z doświadczenia bowiem wiadomo, że istotne źródła mało co zmieniają w całym roku swą temperaturę, i dają prosty a łatwy środek do poznania stosunków klimatycznych jakiéj okolicy. Tym sposobem można rozwiązać wiele pytań tyczących się uprawy roli, wprowadzania do kraju roślin dotąd niehodowanych, a nadto poznać rozdzielenie ciepła w różnych miejscach powierzchni ziemi. Z tych przeto powodów, ile razy znajdowałem źródło ze stałą temperaturą, starannie je mierzyłem.

*Tyniec.* Na zachodnim końcu wapiennego grzbietu panującego nad Wisłą, naprzeciw miasteczka Skawina, stérczą obszerne ruiny tynieckie, jednego z najpiérwszych opactw w Polsce. Po rozległości murów sądząc, była kiedyś w bardzo kwitnącym stanie ta celna siedziba Benedyktynów, którzy głównie pracowali nad ustaleniem pojęć chrześciańskich w okolicach Krakowa. Po skasowaniu ich zakonu, rozłożyli się w nim Jezuici, lecz piorun uderzył w ich klasztór r. 1831 i spalił go. Te-

raz kościół dla parafii na nowo wyporządzono, który stoi w pośrodku obszernych ruin.

Za pasmem wapiennem osadził się bardzo ważny osad, zawiérający owe potężne pokłady soli Wieliczki i Bochni, po całym świecie znane, tudzież siarkę i gips. Piérwsze jego ślady odkryto w Izdebniku podczas szukania węgla kamiennego. Znaleziono istotnie ślady węgla brunatnego czyli lignitu, ale nie były one w takiéj obfitości, iżby się dały z korzyścią wydobywać. Osad ten począwszy od miasteczka Skawina, ciągnie się wązkim pasem, zaledwie $^3/_4$ mili szerokim, pomiędzy białym wapieniem Jura, a piaskowcem karpackim, należącym do formacyi krédy, i jest od obydwóch nierównie późniejszym, należy bowiem do wierzchnich ogniw formacyi trzeciorzędowéj zwanéj pliocenicznę. Iły tego późnego osadu ciągną się bez przerwy na wschód, i wszędzie z nimi idzie w parze obfitość i bujna roślinność.

*Sydzina.* Piérwsze ślady soli na zachodzie pokazują się w Sydzinie, wiosce leżącéj prawie naprzeciw Bielan. Już w najdawniejszych czasach warzono tutaj sól, co świadczy apokryficzny dyplomat legata Idziego, sporządzony w XII lub XIII wieku, zapewniający klasztorowi tynieckiemu dochód na warzonéj soli.

Warzelnie te musiały bardzo dawno być zarzuconemi, gdyż późniéj niémasz o nich żadnéj wzmianki. W r. 1809 gdy pewien obręb przyległy do Krakowa, zostawał spólną własnością Austryi i księztwa Warszawskiego, p. Chlebowski dziedzic Sydziny, zaczął w miejscu gdzie się dobywała woda słona, szukać soli; ale czyto roboty napotykały trudności, czy dla innych widoków, ograniczył się na czerpaniu surowicy (tak nazywają w tych stronach wodę słoną). Rok 1812 przerwał dalsze roboty:

rząd austryacki zasypać kazał miejsce zkąd się słona woda dobywała, a wysokiemi karami pieniężnemi zagroził używającym onę. Pomimo najstaranniejszego zawalenia tych otworów, nieustannie dobywa się na wierzch słona woda; kiedym to miejsce w roku 1844 odwiedzał w czasie lata, wyschnięta glina otaczająca sadzawkę w miejscu dawnéj studni, stratowana kopytami bydła, pokrywała się białą powłoką soli kuchennéj. Bydło w całéj wsi nadzwyczajny ma pociąg do téj wody, albowiem choć drobną część soli zawiéra, bardzo mu służy; w smaku nie znajdowałem ją bynajmniéj słoną.

***Skotniki.*** Do Sydziny przytykają Skotniki. Jestto długa wieś, rozpostarta na grzbiecie nieco wzniesionym, z malowniczém wejrzeniem; domy wydają się jakby w gaju, ziemia bowiem skotnicka nadzwyczajnie żyzna, wybornie uprawiona, sprzyja szczególnie wzrostowi topol, a w szczególności srébrnéj topoli, która sobie istotnie upodobała te strony; nigdzie prędzéj i silniéj nie widziałem rosnącego tego drzewa.

Gdzie zakopać na grzbiecie skotnickim, pod warstwą na sążeń grubo czarnego iłu, pokazuje się szary gips, podobny na piérwszy rzut oka do ziemi stwardniałéj; miejscami wydzielały się w nim kryształy podłużne gipsu, łupiące się w blaszki. Od niepamiętnych czasów włościanie skotniccy kopią i palą ten minerał, a w Krakowie przedają go po bardzo umiarkowanéj cenie, gdzie częścią do budowy bywa spotrzebowanym, częścią do uprawy pastewnych roślin. Mała jednakże ilość używana do ostatniego celu dowodzi, jak w tych stronach stoi wyrozumowane gospodarstwo. Z pośrodka gipsów dobywają się liczne źródła, zawiérające obficie ten minerał rozpuszczony, i dlatego wody téj nie można używać do go-

towania. W środku wioski tryszczy obfite źródło, z temperaturą nieco zmienną, jak to okazuje kilka pomiarów:

| | | | |
|---|---|---|---|
| 5 października | | 1845 | 9°0 C. |
| 10 | — | 1846 | 9, 5 |
| 22 maja | | 1847 | 8, 4 |
| 18 sierpnia | | 1847 | 9, 1. |

Gdzie tylko gips się osadził, liczne są dziury na zupełnie równych polach; kilka ich jest przy Skotnikach, i ściągają zwyczajnie wody dészczowe.

*Swoszowice.* Prawie pół mili na wschód od Skotnik leżą Swoszowice, sławne z starożytnych kopalń siarki i wody siarczanéj do kąpiel używanéj. Kopalnia styka się z wioską, wody leżą nieco daléj na południe, wśród bujnych drzew i uśmiéchających się łąk. Do kopalni wstępuje się szybami czyli studniami 10 do 20 sążni głębokiemi. Siarka jest w stanie rodzimym, kolor ma żółty, właściwy temu minerałowi; jeżeli się miesza z iłem, staje się szarawą. Minerał ten tworzy pokład wśród iłów gruby od ćwierci cala do dwóch stóp; niekiedy jest rozrzucony w stanie ziarnek wielkości siemienia konopnego, a powiększywszy się tworzą kule spłaszczone; wyjątkowo jest krystalizowany w ośmiościany. Razem z siarką w niektórych miejscach występuje minerał zwany siarkanem baryty, pospolicie w cienkich blaszkach albo w stanie włóknistym, i wtedy jest białym jak mléko, a rzadko brunatnym; miejscami pokazuje się gips biały, włóknisty. Na oddziałach iłu, a często w pośrodku siarki, znajdują się odciski liści wielkich drzew, które prof. Unger w Gracu, znakomity znawca flory piérwotnego świata, oznaczył jak następuje: wiąz, *Ulmus* (3 gatunki), *Caprinus*, *Acer*, *Quercus illirica*, *Laurus* (2 gatunki), tudzież *Taxo-*

*dites pinnatus, Unger*; *i Caenoteuthis polymorphus, Alex. Braun.* Z téj flory wnosi p. Unger, że nie odpowiada znajdującéj się w pokładzie siarki Radyboja w Illyryi, ale czeskiéj z Bilina i Parschlug, któreto należą do wierzchnich ogniw formacyi trzeciorzędowéj czyli pliocenicznéj. Pan Łoś naczelnik kopalni swoszowskiéj, odkrył arcyrzadkie małe ślimaki wypełnione siarką, i skorupę muszli zwanéj *Pecten Lillii*, co dowodzi, że pokład swoszowski, tenże ma wiek co pokład soli w Wieliczce, a nadto że się z morza osadził.

Wyrabianie siarki zdatnéj na sprzedaż, jest bardzo prostém i odbywa się w hucie tuż przy kopalni leżącéj. Wiadomo jest, że siarka ulatnia się w wyższych stopniach ciepła, i na téj zasadzie oczyszcza się od przylegających do niéj obcych części. W drobne kawałki utłuczoną rudę siarkową, wkładają w potężne cylindry żelazne, i te wstawiają się do stosownie wystawionego pieca; gdy ogień przejmie je, ulatnia się siarka i wychodzi jako para z przyprawionych szyj, a zetknąwszy się ze zwyczajném powietrzem, ochładza się i skrapla. Tak otrzymana siarka jest jeszcze nieczystą, trzeba ją powtórnie przetopić, dla oddzielenia mechanicznie pochwyconych nieczystości, i tak przyrządzona bywa wystawioną na sprzedaż. Rocznie wyrabia się w Swoszowicach od 6,000 do 10,000 centnarów wagi wiédeńskiéj.

Źródło do kąpieli używane leży w końcu południowym wioski, bardzo jest obfite; już zdala wydaje wyziewy gazu wodorodno-siarkowego, często je czuć w odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków. Wody te siarczane bardzo są mocne i wielce pomocne, ale dla niewygodnego urządzenia łazienek, mało są uczęszczane, chociaż $^3/_4$ mili tylko leżą od Krakowa.

Życzyćby należało, iżby ścisły rozbiór téj wody zastąpił dawny, nieodpowiedni teraźniejszemu żądaniu chemii.

Nad Swoszowicami wznosi się grzbiet zwany Złota Góra; jestto właściwie koniec zachodni grzbietu, poczynającego się przy Swoszowicach, a zniżonego pod Wieliczką, na którym leżą wioski Rajsko i Kossocice. Dlaczego ta góra nosi miano złotéj, nadaremnie wywiadywałem się; cały jéj bok i wiérzch jest piaszczystym i zawiéra skorupy ostryg (Ostrea bellovacina) i pektyneitów: niedwójznacznie dowodzą, że piaski te na szczycie leżące, osadziły się na dnie morza. W lasku okrywającym wiérzch téj góry, są ślady kilku obszernych szybów, których początek niewiadomy; może być, że nazwa spowodowała kogo do kopania. Gęsty las sosnowy z arcypięknych drzew złożony, pokrywa bok północny Złotéj Góry. Gdy powietrze jest przezroczyste, widać ztąd Kraków w całéj świetności, bo leży jak na dłoni; nie widać go znizkąd tak pięknie; zdawało mi się, że widzę to miasto wystawione w panoramie, wszystkie znaczniejsze gmachy, kościoły, nawet ulice można było rozeznawać.

***Wrząsowice.*** Mila na południe od Swoszowic, jest tu druga kopalnia siarki, oddawna zarzucona; tylko wielkie kupy białego gipsu, a tu i owdzie ziarnko siarki świadczą, że tutaj odbywały się roboty górnicze. Na łąkach w kilku miejscach dobywa się woda siarkowa, zupełnie do swoszowskiéj podobna.

***Kopalnie gipsu na Podgórzu.*** Jak Swoszowice leżą na końcu zachodnim wapiennych krzemionek, tak na wschodnim przy ostatnich domach Podgórza, rozpościera się znacznie rozwinięty pokład gipsu, w którym założono liczne kopalnie. Ztąd rozwożą gips po całéj Polsce, a mianowicie do Warszawy; jest białym i w stanie kul

nieforemnych, które mniéj więcéj obficie tkwią w ile szarym. Wstępując do tych kopalń daje się czuć mocny odor bitniczy, zupełnie podobny do powstającego czasem w niektórych punktach żupy wielickiéj; nie ma więc wątpliwości, że sól kamienna leży pod temi gipsami, podobnie jak w Wieliczce, gdzie także wierzchem tkwią kule gipsowe w iłach; przy Podgórzu widać tylko wierzchnie ich części.

*Glinnik.* Z Podgórza prowadzi droga bita z pagórka na pagórek do Wieliczki przez Prokocim i karczmę Glinnik; przy téj ostatniéj tryszczy w parowie wyborne źródło, mające przez cały rok prawie niezmienną temperaturę, jak to okazują wymiary w najcieplejszych i najzimniejszych porach roku dokonane. Woda ta dobywa się grubą żyłą z szarego piaskowca, zawiérającego tu i owdzie skorupy ostryg. Od roku 1839 zajmowałem się jego mierzeniem i przekonałem o uderzającéj stateczności ciepła, co najlepiéj dowodzą poniższe liczby:

| | | |
|---|---|---|
| 12 stycznia.... | 1839 | + 9,95° C. |
| 20 czerwca.... | „ | 10,00° |
| 20 lutego..... | 1840 | 9,60 |
| 14 sierpnia.... | „ | 10,08 |
| 26 marca..... | 1841 | 9,75 |
| 5 kwietnia... | „ | 9,65 |
| 17 października. | „ | 10,40 |
| 17 marca..... | 1843 | 9,70 |
| 29 lipca..... | „ | 10,25 |
| 7 października. | 1845 | 10,21 |
| 8 czerwca.... | 1847 | 9,80. |

Źródła z wapienia tryszczące są nieco zimniejsze; przyczyna tego zniżenia głównie pochodzi od rodzaju skały.

*Wieliczka.* Wstąpiwszy na piérwsze wzgórze za karczmą Glinnik, pokazuje się rozległa Wieliczka jakby wśród ogrodu. Oddawna nietylko w Polsce, ale i w całéj Europie upowszechniło się mniemanie, że Wieliczka jest najpotężniejszym składem soli na świecie. Zdanie to wszakże zupełnie jest błędném. W Europie w kilku miejscach znajdują się nierównie potężniejsze pokłady soli, i tak: neapolitańskie, hiszpańskie i nowo odkryte w Stebniku w wschodniéj Galicyi, równają się co do potęgi z wielickim; w Siedmiogrodzie i Wołoszczyznie nierównie są potężniejsze, a południowo-amerykańskie nie dadzą się ze żadnym europejskim równać. Pokłady soli w Niemczech, w Alpach salzburgskich, tyrolskich i szwajcarskich, we Francyi i w Anglii są nierównie mniejsze od wielickich. Gdy jeszcze mało co znane były własności przyrodzone krajów uchodzących za najoświeceńsze, już kopalnia wielicka znakomicie była rozwinięta, a nadto leżała przy Krakowie, dawnéj siedzibie królów i oświaty. Nie tak zatém niezmierna massa nagromadzonéj soli, jak raczéj obszerność kopalni i czarujące w niéj widoki, przyczyniły się do owéj głośnéj sławy.

Dla porównania Wieliczki, opiszę w ogólnych zarysach znajome na świecie wielkie składy soli. Na północnéj pochyłości Pireneów, przy miasteczku hiszpańskiém Cardona, stérczą skały soli, a chociaż wystawione na działanie powietrza mało się rozpuszczają, do czego niemało przyczynia się łagodne niebo Hiszpanii. Pokład soli kardoński jest 400 stóp długim, a 800 szérokim, grubości dotąd nie poznano. Chciał tego dojść Karol III król hiszpański, i w tym celu kazał bić szyby; ale pomimo zapuszczania się bardzo głęboko, nic innego nie znajdowano, jak czystą sól. Również znakomite kopalnie soli posiadają Wło-

chy; najznaczniejsza jest Salina de Langre w Kalabryi w królestwie neapolitańskiém, ale prawie jest nieznaną. Żaden geolog prócz Pila z Neapolu nie odwiedził jéj i jemu winniśmy krótki opis (1). Jestto nadzwyczajnie rozległa i wspaniała kopalnia, wyrobiona w saméj soli; aby przybyć do ostatniego piętra, a tych jest cztéry, trzeba zstępować po 1200 schodach w soli wykutych.

Niedaleko warzelni soli stebnickiéj pod Drohobyczą, w obwodzie samborskim we wschodniéj Galicyi, zaczęto robić w r. 1842 świdrowe otwory, według wszelkiego prawdopodobieństwa w celu znalezienia nasyconéj surowicy, i odkryto w trzech miejscach bardzo obfite pokłady soli. Pod niebieskim iłem i gipsami wraz ze żubrem czyli większemi nieco kryształami soli, w szarym ile utkwionemi, odkryto pokład czystéj soli 136 stóp gruby, który cienka warstewka piaskowca (zaledwie 2 stopy gruba) dzieli od drugiego 46 stóp potężnego; niżéj jest trzeci pokład 291 stóp gruby (2). Trzy wymienione składy soli można porównywać z wielickim; siedmiogrodzkie i wołoskie jednakże nierównie są od nich potężniejsze.

W północnéj stronie od Hermansztadu, w obwodzie Udwarhely w Siedmiogrodzie, góry otaczające wioskę Szowata i Paryad są ze saméj soli. Przy piérwszéj, pagórek składa się ze soli kamiennéj, okrytej cienką warstwą ziemi urodzajnéj, a na niéj bujny las porasta; ulewne dészcze zrywają niekiedy tę powłokę, i wtedy odsłania się sól, którą wkrótce okrywają lotne piaski. Przy Paryad stérczą skały soli kamiennéj 180 stóp wysoko, a w doli-

(1) Bulletin de la société géologique de France. Tom VIII, 159. 1837.

(2) Biblioteka Warszawska 1844, październik. Neues Jahrbuch für Mineralogie, 1845, str. 286.

nie wszędzie gdzie zakopać kilka stóp głęboko, pokazuje się skała soli kamiennéj. Wiele jest jeszcze wiosek w Siedmiogrodzie, gdzie niegłęboko pod ziemią urodzajną leży sól; celniejsze są: Pintek, Olah, Billak, Szek, Homorok i t. d. W Mołdawii również nadzwyczajnie potężne pokłady znane są w Okna i Groszeszt.

W stepach syberyjskich stérczą skały soli w kraju Jakutów, przy rzece Kaptyndej niedaleko małéj twierdzy Ileckaja Zaszczyta 9 mil od Orenburga; skały te są 150 stóp wysokie, około 800 długie, składają się do $^2/_3$ wysokości ze soli kamiennéj, a wyżéj leży czerwony ił do wielickiego marglu podobny; w całéj téj okolicy, pokrywa sól kamienną cienka warstwa ziemi 3—6 stóp gruba. Gips nieodłączny towarzysz soli, tworzy w poblizkości ostrokręgowate wierzchy. Grubość pokładu soli i tu nie została poznaną; Pallas 70 stóp kopał w czystéj soli (1).

Wszystkie opisane miejsca nie mogą się równać z południowo-amerykańskiemi, które Pöppig opisuje. W prowincyi Maynas nad rzeką Huallagua w Chili, nietylko równina, ale i wszystkie wzgórza składają się ze soli i zajmują przestrzeń 60 mil geograficznych kwadratowych. Nad małą rzeczką Pilluana wpadającą do Huallagua, ciągną się wielkie pokłady soli, podarte w dzikie skały; miejscami pokrywa sól konglomerat (2).

Chociaż massa soli wielicka nie jest najznaczniejszą, nie można nawet przewidzieć z jakiémkolwiekbądź prawdopodobieństwem, czyli kiedy wyczerpaną zostanie. Położenie

(1) Murchison: Proceedings of the geologioal society of London, March, 1842.

(2) Pöppig: Reise nach Chili, Peru und dem Amazonenstrome. T. II str. 311 — 336.

geograficzne podniosło jéj znaczenie: wszystkie bowiem kraje na północ od Wieliczki rozciągające się nie mają soli, prócz Ciechocinku, gdzie od kilkunastu lat urządzono warzelnie. W dawniejszych czasach warzono sól na Litwie, a mianowicie za Zygmunta III, co zaświadcza przywiléj z r. 1590, nadający Mikołajowi Bucelli nadwornemu lekarzowi, prawo wyłącznego warzenia soli. Jeszcze z r. 1638 jest wzmianka o warzelni w Druskienikach, ale z czasem zarzucone zostały i niedawno znowu głośnemi zostały te wody przez zakłady kąpielowe (1). W krajach na zachód od Wieliczki położonych, w Szlązku, Morawii, Czechach, niéma także soli. Najbliższa warzelnia soli z południowéj strony jest przy Przeszowie (Eperies) w Szowarze 25 mil odległa, pasmem Karpat i trudnemi do przebycia drogami przedzielona. Na wschód bardzo wiele jest miejsc dostarczających soli; niedaleko jest Bochnia, a 20 mil daléj leży pas nieprzeliczonych źródeł słonych, pomiędzy któremi w dwóch miejscach dobywają sól kamienną: przy Stebniku i w Kaczyku na Bukowinie.

To szczególniéj przyjazne położenie geograficzne, uczyniło Wieliczkę najcelniejszą kopalnią soli w północno-wschodniéj części Europy, i od sześciu wieków zaopatrywała solą wszystkie wymienione kraje, co zaświadczają starożytne nadania klasztorów w Tyńcu i Staniątkach. Już sama nazwa zapowiada coś wielkiego; źródłosłowu Wieliczki szukać trzeba w wielkości. W nadaniach średniowiekowych nazywano ją *Magnum sal*, t. j. Wielka sól: że nie rozumiano Bochni, świadczy inwentarz dochodów

(1) Narbutt: Wiadomość o źródłach słonych w Litwie; w piśmie czasowém Wolfganga: Ondyna wód Druskienickich, r. 1845, zeszyt pierwszy, str. 17.

dyecezyi krakowskiéj przez Długosza sporządzony, gdzie stoi: *Magnum sal seu Wieliczka.*

Kopalnia wielicka leży w dolinie u stóp piérwszego wzniesienia Karpat: południowy grzbiet nierównie wyższy jest od północnego. Na piérwszym ciągną się wioski: Lednica, Siercza, Babiny, na obydwóch pochyłościach i samym środku zagłębiania, wśród ogrodów rozpościéra się miasto, w którém odznacza się dawny zamek, wystawiony przy najgłębszym szybie; jestto najcelniejszy budynek, odznaczający się massą murów. Dawniéj zajmowali go żupnicy, teraz administrator. Naprzeciw leżą nowo wybudowane łazienki, mały a piękny budynek; nieco wyżéj jest obszerny rynek z kilkoma domami piętrowemi. To jest wszystko, co o tém miasteczku warto powiedzieć.

Wyniesienie Wieliczki nad poziom morza wielu już mierzyło. Z kilka razy powtarzanych pomiarów przekonałem się, że oberża naprzeciw zamku stojąca, jest 711 stóp paryzkich nad poziom morza wyniesioną, a zatém 139 stóp wyżéj nad poziom Wisły pod Krakowem.

Najważniejszą rzeczą w Wieliczce jest kopalnia, któréj obraz skréślić zamierzam. Szybem Franciszek, zwykli podróżni w białe płócienne płaszcze odziani, wstępować do owego świata podziemnego. Odbywa się to dwojakim sposobem: zstępuje się albo schodami, albo spuszcza się na linie, a że schodów jest bardzo wielka liczba, wygodniéj jest obrać drugi sposób. Za chwilkę przybywa się na piérwsze piętro; ośm, a nawet więcéj osób wsiada odrazu w wygodne szelki, przytwierdzone do liny. W tém nagłém przejściu z światła słonecznego do ponuréj nocy, mieści się ów szczególny urok, którego doznaje zwiedzający żupę wielicką; powiększają go owe nie-

zmierne jamy leżące głęboko w ziemi, a zostawiające w umyśle równie głębokie, jak właściwe wrażenie.

Owe próżnie wielickie większe są od wszystkich znajomych nam w Europie; odznaczają się głównie wielkością. Aby pojąć jak one powstały, trzeba poznać budowę pokładu wielickiego i sposób dobywania soli. Nie trzeba sobie wystawiać, że się pokład składa ze saméj soli; minerał ten tworzy tylko warstwy lub bryły różnéj wielkości, zawarte w ile szarym, a przedzielone gipsem i anhydrytem (gips bezwodny). Cały ten pokład jest ile teraz wiadomo, około 500 stóp gruby; potęgi jego całkowitéj dotąd nie znamy, ponieważ z interesem górnictwa nie zgadza się zapuszczać w głąb, a korzystniejszą jest rzeczą rozwijać roboty wzdłuż kopalni. Od niepamiętnych czasów odróżnił górnik wielicki trzy odmiany soli, które nieumiejętni autorowie brali za gatunki; sąto istotnie odmiany, różniące się wielkością ziarn soli i właściwemi domieszaniami: odmiany te nazywają się solą zieloną, spiżową i szybikową.

Sól zielona jest zbiorem wielkich kostkowatych kryształów, pomieszanych z małą ilością iłu szarego i drobnemi igiełkami białego gipsu. Ilość tych obcych części bywa bardzo zmienną, i wynosi od $\frac{1}{2}$ w stu częściach soli, do 2; jeżeli więcéj jeszcze domieszało się iłu, nazwał górnik taką odmianę błotnikiem, i ta nie bywa na sprzedaż wystawioną, tylko w kopalni zużywają onę do robienia filarów, podpiérających próżnie powstające przez wybranie soli. Nazwa soli zielonéj bardzo jest dowolną, i tylko zwyczajem ustalona; przy świetle dziennem jest szarawą, tylko cieńsze ułamki trzymane za światłem kaganka, są nieco zielone.

Sól spiżowa również od niepamiętnych czasów tak nazywana, wzięła początek od robotników pochodzących ze Spiża czyli ziemi spiskiéj, a teraźniejszego hrabstwa spiskiego, stanowiącego część Węgier za Tatrami. Górnicy ci zapewne więcéj wprawni do robót podziemnych, głębiéj się zapuścili w pokłady wielickie, a nową przez nich odkrytą sól nazwano spiżową. Zölner, Sydów inaczéj tę nazwę tłumaczą: ma ona pochodzić według nich od spiżu czyli mosiądzu, i dlatego też tłumaczą na niemieckie *Metalsalz*, sól metalowa. Taki przekład zdradza widocznie nieznajomość rzeczy i języka; w soli téj nie ma i śladu metalu, nawet i w wejrzeniu. Sól spiżowa jest właściwie zbiorem podłużnych, krótkich, cienkich kryształów, prawie równolegle obok siebie leżących; po przełamaniu przedstawia się mnóstwo skośnych świecących płaszczyzn. Wśród téj soli są rozrzucone drobne ziarna piasku, marglu, anhydrytu i nieco iłu: ziarna anhydrytu powiększają się od wielkości prosa do jabłka; nigdy nie znaleziono gipsu w soli spiżowéj, możnaby dlatego nazwać tę odmianę solą piaskową albo anhydrytową. Powszechnie zawiéra nieco więcéj domieszanych obcych części, aniżeli sól zielona; zwyczajnie jest 3 na sto, czasem 6, a nawet do 10 dochodzi. Odmiany jeszcze więcéj zawiérające domieszanego piasku i anhydrytu, nazwał górnik smutcem; powszechnie tworzą one wierzch pokładów soli spiżowéj. Cienkie ułamki téj soli trzymane przed światłem, pokazują bardzo wyraźnie ułożone ziarna w pasach równoodległych, i to jawnie dowodzi, że się ta sól osadziła z wody, a nadto, że jest osadem morskim; zawiéra bowiem mnóstwo cienkich skorup, licznych gatunków ślimaków i muszel

morskich tak zachowanych, jak gdyby dziś z morza były wyjęte.

Sól szybikowa nazwana jest od sposobu jéj dobywania; ta odmiana tworzy pokłady leżące jeszcze głębiéj od spiżowéj, dobywają ją szybikami, czyli szybami, które nie wychodzą na powierzchnią ziemi, ale do jednego z piętr, i tą zmiękczoną nazwą sa odróżnione. Jestto najczystsza odmiana, zawiérająca bardzo mało domieszanych części, składa się z drobnych kryształów, i w tém leży różnica od soli zielonéj: gdy się ziarna szybikowéj znaczniéj powiększą, wtedy nie można je odróżnić. Czasem z pośrodka owego zbioru drobnych ziarn, wydzielają się większe kryształy zupełnie przezroczyste, czasem z mleczno-białemi liniami równoległemi. Sól szybikowa zawiéra prawie też same mieszaniny co zielona, t. j. ił szary i igiełki gipsu, a wyjątkowo jasnoniebieski anhydryt; w stu częściach pospolicie jest ich $^1/_2$ setnéj, rzadziéj nieco więcéj; kolor ma jasno szary, rzadko bywa zupełnie bez koloru.

Trzy te odmiany tworzą wielkie massy, i te są głównie dobywane i wystawiane na sprzedaż; ale są jeszcze inne, będące bardziéj osobliwościami mineralogicznemi i dlatego wspomnieć o nich wypada pokrótce.

Najszczególniejszą pomiędzy niemi jest sól trzeszcząca (sel décrépitant, Knistersalz). Jestto wielkoziarnista odmiana soli szybikowéj, biała, nie mająca żadnéj obcéj domieszaniny: włożona w wodę rozpuszcza się z trzeszczeniem niekiedy tak silném, że co chwila zdaje się, że naczynie pęka; podobne trzaski dają się słyszéć przy jéj odbijaniu z pokładu. Ta dziwna własność pochodzi od gazu zawartego pomiędzy blaszkami kryształów soli, nadzwyczajnie mocno ściśniętego: rozpuszcza-

jąc się w wodzie sól, gdy coraz więcéj ubywa blaszek, ścieśniony gaz rozsadza resztę stanowiącą zaporę, i sprawia pęcherzyków szelest. Gazu tego nie można dostrzedz gołém okiem, ani najlepszym mikroskopem, chociaż jeden funt soli zawiéra go prawie jeden centymetr; gaz ten pod wodą zebrany pali się ciemno-niebieskim płomieniem i składa się według analizy H. Rose:

2,92 wodorodu;
0,27 niedokwasu węglika;
1,75 wodorodu nadwęglistego.

Można także przyjąć, że te pierwiastki w inne weszły połączenie i składają się:

1,17 wodorodu;
0,84 niedokwasu węglika;
2,91 wodorodu węglistego.

W kopalni wielickiéj znajduje się sól trzeszcząca w dwóch miejscach: w jedném tworzy pokład 12 stóp gruby nad solą szybikową, cienką warstewką iłu oddzielony; w drugiém zaledwie na stopę jest gruby. W znakomitym pokładzie soli w Hallstadzie w Salzburgskiém, niedawno odkryto tę szczególną sól, ale w nierównie mniejszych massach. Jest jeszcze inna odmiana soli zwana *szpak*, tworząca żyły w iłach 2 — 6 cali grube; niekiedy bardzo są liczne i krzyżujące się. Sól ta ma budowę pręcikowatą, zupełnie biała, czasem nieco żółtawa lub czerwonawa, wyjątkowo bywa fioletową. Górnicy utrzymują, że posolone szpakiem potrawy, w przeciągu kilku godzin stają się gorzkie. Są także niektóre odmiany soli, powstające z rozpuszczenia w wodzie i następnie osadzenia.

Do kopalni wielickiéj wciskają się znaczne ilości wody, aczkolwiek najstaranniéj bronią tego roboty górnicze; wody te mniéj więcéj obficie wpadając wypełniają pod-

ziemne sadzawki, a że są nasycone do najwyższego stopnia solą, zwykły się w nich ścinać sześcienne kryształy, które podróżni zwykli na pamiątkę wynosić; górnik wielicki nazywa je oczkami, solą oczkowatą. W samymże pokładzie solnym nie znajdowano nigdy w stanie pierwotnym kryształów, pomimo nader rozwiniętych robót podziemnych; tylko rzadko natrafiano na podłużne geody wysłane drobnemi kryształami, mające w sześciany pościnane kąty; sąto wszakże powtórne utwory, powstające przy spaleniu gazu wodorodno-węglistego. W wodzie z tego gazu powstającéj rozpuszcza się sól i ścina w sześciany.

Sól naciekowa powleka różne ściany i spód w kopalni jako skorupy lub drobne kupki; pospolicie jest jak śnieg biała, a powierzchnią ma szorstką. Bardzo piękna odmiana włóknistéj soli podobna do białego jedwabiu, zwykła okrywać ściany chodników, a kiedy gęsto wykwita na ścianach, ta jakby fryzowana odmiana, nader ujmujące a niespodziewane wrażenie czyni na odwiedzającym. Powyżéj opisane sole rozłożone są w pokładzie wielickim w następujący sposób. Aczkolwiek pokłady i bryły soli są nader potężne, są one w nierównie mniejszéj ilości, aniżeli iły; sole właściwie tworzą w nich mniejszą część. Odmiany szybikowa i spiżowa stanowią pokłady przedzielone iłem szarym, a niekiedy piaskowcem i anhydrytem. Pokłady piérwszéj są nieco cieńsze od drugiéj; od 6 stóp dochodzą do 70, a drugiéj od 18 do 70. Pospolicie kilka pokładów jednéj odmiany leży jeden nad drugim, poprzedzielanych iłem i cienkiemi warstewkami anhydrytu; gdzie pokłady są grubsze, tam powstają w skutek połączenia kilku równoodległych, węzły. Sól szybikowa znajduje się powszechnie w spodnich

oddziałach pokładu, spiżowa zaś w średnich. W niektórych częściach kopalni wielickiéj odkryto nad pokładami soli spiżowéj znów szybikową, a nad nią spiżową, a zatém powtórzenie następstwa. Wierzchnią część całego pokładu stanowi sól zielona, unosząca się nad pokładową w stanie potężnych brył, mniéj więcéj do sześcianu zbliżonych; zwyczajnie są podłużne. Wymiary ich bardzo są zmienne: od jednéj stopy sześciennéj przechodzą do bryły, w któréj wykutą została komora Michałowice, tyle przez podróżnych podziwiana, mająca 14,000 stóp sześciennych objętości. Jeszcze większe bryły soli zielonéj natrafiano w dawniejszych czasach.

Czasem w iłach bywa rozsiany siarczyk żelaza w drobnych ziarnach; rozkładając się ten minerał, nadaje mu zendrowaty kolor. W jedném miejscu znaleziono siarkę rodzimą, koloru płowego albo jasno-brunatnego; wyjątkowo pokazuje się ów piękny kolor jasno-żółty, właściwy temu ciału mineralnemu.

W iłach zupełnie czystych, dzielących pokłady soli bez domieszanego anhydrytu ani gipsu, znajduje się w wielu miejscach niezmierne mnóstwo skorup małzów, ślimaków morskich i pni wapiennych korali. Pomiędzy muszlami dwuskorupnemi, najpospolitszemi są dwa gatunki: *Nucula comta* i *Pecten Lillii*, nazwany od p. Lilla, któremu winniśmy dokładniejsze wiadomości o budowie pokładu wielickiego; ze ślimaków trafia się czasem *Pedipes buccinea*, tudzież *Natica millepunctata*. W jedném miejscu odkryto bardzo znaczną ilość zwierzokrzewów, należących do rodzaju *Caryophylia* (gwoździeń). Dwa gatunki dają się w nich odróżnić: jeden z nich nazwałem od dr. Boczkowskiego, który w swym opisie Wieliczki, z niepospolitą znajomością skréślił wybornie własności

lekarskie słonéj wody, znajdującéj się w żupie wielickiéj. Do osobliwości należą nożyce raków.

Nietylko w iłach, ale w saméjże soli znajdują się skorupy ślimaków morskich; i to jest najszczególniejszą rzeczą, że wszystkie gatunki są bardzo małe, a większa część należy do prawie co wylęgłych indywiduów. Dr. Philippi z Kassel, któremu świat uczony winien wyborny opis mięczaków żyjących na brzegach Sycylii, oznaczył następujące gatunki: *Triloculina ovalis, T. orbicularis, T. trigonula, Quinqueloculina rotunda, Q. sulcifera, Q. ovata, Melonia sphaerica, Venus radiata, Arca lactea, Rissoa elongata, Cerithium lima.*

W soli spiżowéj, znajdują się miejscami bardzo znaczne ilości pni grubych drzew z wyraźnemi słojami; niedawno przy wyrobieniu chodnika w komorze zwanéj Hrdina, natrafiono w soli wielki pień 8 stóp długi, mający przeszło dwie stopy w średnicy, a przy nim mnóstwo wielkich szyszek z ziarnami tak wielkiemi, jak mały orzech laskowy. Pień ten zupełnie w węgiel zmieniony, podobnie jak wszystkie inne węgle w soli znajdujące się, wydawał nadzwyczajnie mocny i nieprzyjemny odor, a rozchodząc się po kopalni, stawał się szkodliwym dla robotników; czuć się nawet dawał w poblizkich szybach. Trzeba było ten chodnik zabić, a tym sposobem czuć go tylko było w małéj części kopalni; jestto szczególny a nieprzyjemny, mocno szczypiący odor, nie dający się z niczém znajomém porównać. Beudant porównywa go do gnijących morskich zwierząt zwanych Aplejziami, Meduzami lub Holoturyami. Dotychczas chemicy nie zastanawiali się bliżéj nad tém szczególném ciałem.

Wszystkie wymienione szczątki zwierzęce w iłach i saméjże soli zawarte, były mieszkańcami morza i ztąd wy-

nika, że cały pokład z niego się osadził. Liczne pokłady lignitu, dobrze zachowane pnie, a obok nich leżące szyszki świadczą, że w poblizkości znajdować się musiał ląd stały, na którym rosły owe drzewa tak wybornie zachowane.

Z wymienionych powyżéj szczątków organicznych, inny nader ciekawy wniosek wynika: oznaczają one czas osadzenia tego pokładu. Wszystkie właściwemi są jednéj z ostatnich warstw na ziemi osadzonéj, którą nazywają formacyą trzeciorzędową, a nadto i średniemu ogniwu, przez Lyell nazwanemu formacyą pliocenicznę. Niektóre z zawartych w niéj skamieniałości, żyją jeszcze w teraźniejszych morzach, jakoto: *Pedipes buccinea* i *Certhium lima*.

Co za przyczyny wpływały na osadzenie się tak niezmiernych mass soli? zkąd się one wzięły? należy do pytań nader ciekawych, a nie dających się dostatecznie w teraźniejszym stanie naszych wiadomości rozwiązać. Tyle tylko jest pewnego, że je osadziły wody morskie. Jak wiadomo, sól kuchenna w wysokiéj temperaturze ulatnia się, a oziębiona osadza się w stanie kryształów. Nieraz w czasie wybuchu Wezuwiusza, Hekli, pękają skaliste boki tych wulkanów, a wielkie szczeliny po uspokojeniu się owych podziemnych działań, spostrzegamy często wypełnione kuchenną i innemi metalicznemi solami. W poblizkości Wieliczki i Bochni, niéma nawet i śladu działań wulkanicznych, i żadnego prawdopodobieństwa iżby tutaj pochodziła z paszcz ogniowych. Nierównie więcéj mówi za tém, że wysychające wody morskie sól karpacką osadziły: że jéj osadzenie miało miejsce w wysokiéj temperaturze, świadczy anhydryt czyli gips bezwodny, wierny towarzysz soli. Siarkan wapna ma wła-

sność łączenia się bardzo chciwie z wodą, którą się pozbywa w wysokiém cieple: tymczasem anhydryt czyli czysty siarkan wapna znajduje się pomiędzy pokładami soli i iłu, zawiérającemi skorupy muszel, i dlatego z wody musiał się osadzić. Doświadczenie Johnstona tłumaczy to zjawisko bardzo dobrze: nalewając kwas siarkowy wodą roztworzony, do 260° Fahrenheita rozgrzany, na chlorek wapna, otrzymał anhydryt czyli siarkan wapna bezwodny (1). Z tego doświadczenia jesteśmy upoważnieni do wniosku, że sól wielicka i wszystkie karpackie osadzały się w wysokiéj temperaturze.

Skały w warstwy podzielone czyli z wód osadzone, według praw fizycznych musiały pierwotnie leżéć poziomo. Tymczasem w bardzo wielu miejscach nachylają się w różne części świata pod mniejszym albo większym kątem, i często są pokrzywione. Te zmiany sprawiły podziemne siły w łonie ziemi ukryte, co nietylko warstwy ponachylały i pokrzywiły, ale one są przyczyną wszystkich nierówności ziemi, one wyparły niebotyczne góry i porozdzierały głębokie doliny.

Pokład soli wielicki aczkolwiek bardzo późnego jest utworu, jakeśmy wyżéj nadmienili, stracił przecież swe pierwotne położenie; licznie się pokrzywił i najlepiéj można go porównać do potężnych fal. Warstwy jego w większéj części pochylają się ku południowi pod 70°, mniejsza zaś część ku północy. Ciekawą jest nadzwyczaj rzeczą w szczegółach uważać te zmiany; postępując w kopalni ze wschodu na zachód czyli na linii rozciągłości pokładu, porobił p. Kornecki liczne przecięcia, z których przekonywamy się, jak rozmaicie pogiął się pokład

(1) Philosophical Magazine, Novembre, 1838. Erdmann und Marchand: Journal für practische Chemie, T. 1, r. 1839, str. 100.

solny; w jednych częściach tworzy jeden wielki łuk, w innych dwa z sobą połączone, a czasem widać początek trzeciego i t. d. Cały pokład okrywa glina należąca do ostatnich osadów geologicznych na kuli ziemskiéj, już nie z morza, ale osadzona ze słodkich wód; zawiéra bowiem na lądzie żyjące ślimaki, wraz z licznemi kościami niezmiernych zwierząt pierwotnego świata, owych mamutów czyli słoniów przedpotopowych, nosorożców i wielu innych. Glina bardzo obszernie rozwinęła się w Krakowskiém, i w niéjto są owe głębokie parowy, co tak właściwe wejrzenie nadały okolicy. Taż sama glina wypełnia dolinę w któréj Wieliczka leży, i okrywa wzgórza na północ i południe wzniesione; na grzbiecie ostatnim widać na glinie wioski: Lednica, Siercza, Sygneczów i Babiny.

W tym ogólnym, może zbyt rozciągłym rysie geologicznym, starałem się skréślić główne stosunki pokładu wielickiego. Kopalnia sama rozciąga się w tymże kierunku co pokład, t. j. ze wschodu na zachód, i na téj linii ciągną się szyby jeden za drugim, okryte na wierzchu ostrokręgowatemi dachami. Szybami nazywają się otwory czworograniaste, łączące wnętrze kopalni z powierzchnią ziemi; sąto nasze studnie, tylko w Wieliczce nierównie są przestronniejsze. Szybów w obecnym czasie jest jedenaście, każdy ma swoje imię; niektóre są bardzo dawne. Szyby Regis i Wodna Góra są najdawniejsze, nawet czas ich założenia niewiadomy; według wszelkiego prawdopodobieństwa, otworzone zostały na końcu XIV wieku i przez pięć wieków sól przez nie wydobywano. Spodek szybu Wodna Góra jest najgłębszym punktem w całéj kopalni, i wynosi 763 stóp paryzkich; tam zbiérają się wszystkie słone wody, pospo-

licie do najwyższego stopnia solą nasycone, ztąd zostają na wiérzch wyciągane i wylewane do rzeki. Ilość ta jest dosyć znaczna, corocznie wynosi około 20000 beczek o dziesięciu wiadrach. Systematyczne sprowadzanie surowicy czyli słonéj wody do jednego punktu, jest ze wszech miar zgodném z gospodarstwem kopalni, albowiem roboty podziemne, mogą się tak rozwijać jak tego potrzeba zachodzi. Ilość wody zbiérającéj się w kopalni wielickiéj, w porównaniu z innemi kopalniami równéj rozległości, jest bardzo małą. Przyczyna tego pochodzi od stosunków przyrodzonych. Przyroda pełna przezorności, obwinęła sól jakby pokrywą iłu, który wodę nie przepuszcza i tylko tam się wciska, gdzie popękała ta osłona.

W dawniejszych czasach wyrabiano sól z surowicy, ale coraz większy brak drzewa, stał się powodem już w r. 1724, że zamknięto korbaryą czyli warzelnią. Z lustracyi (urzędowe zdanie sprawy kommissyi rozpoznawającéj żupę) w r. 1661 odbytéj dowiadujemy się, że się składała z cztérech wież, w których były panwie i suszalnie; rynnami płynęła do nich surowica z szybu Wodna Góra, wyciągana worami zszytemi z dwóch skór wołowych. Jeszcze dziś podobnym sposobem wydobywają surowicę w Dobromilu, Starosoli, Dolinie i t. d.. Zachowały się wiadomości ile wyrabiano soli warzonéj; w wymienionym roku wygotowano 490 warów, a za każdy płacono po 36 ówczesnych złotych; w r. 1674 cena ta podniosła się od waru do 90 złotych.

Jeszcze zdarza się słyszéć w powszechności zdanie, o nadzwyczajnéj rozciągłości kopalni wielickiéj; że aż pod Wisłę podchodzi. Sąto zupełnie bezzasadne zdania, mające tylko podstawę w rozbujałéj wyobraźni.

Rozległość wielickiéj żupy znamy bardzo dokładnie, jak i wszystkie podziemne roboty, które z największą ścisłością są nakréślone na właściwych kartach, w zarządzie górniczym wielickim złożonych. Na téj zasadzie podaję wymiary żupy wielickiéj jak następuje: długość czyli rozciągłość kopalni wynosi 1500 sążni, szerokość zaś tylko 500 sążni; głębokość największa wynosi tylko 126 sążni. Żupa ta rozwijała się od najdawniejszych czasów z zachodu na wschód, i ztąd wynikł podział na Stare pole, Nowe pole i Janinę. Stare pole leży w końcu zachodnim, i jest najdawniejszą częścią kopalni; do niéj wchodzą owe pradziady szybów wielickich: Regis i Wodna Góra. Ze Starém styka się Nowe pole, czyli środkowa część kopalni; na wschodnim końcu kopalni leży ostatnia część Janina, tak nazwana na cześć oswobodziciela Wiédnia, w r. 1718 założona. W każdém polu odbija się właściwy czas: zwiédzając Stare pole spotykamy same nizkie, pokrzywione chodniki czyli korytarze podziemne, krzyżujące się rozmaicie: widać brak zasady. Zupełnie inaczéj jest w Nowém polu i w Janinie: obszerne chodniki, nadzwyczajnie długie, proste, wykonane są ze zbytkiem, jakiego nie widziałem w żadnéj innéj kopalni. Co do głębokości dzieli się znów kopalnia na trzy piętra: sąto poziomy rozciągające się po całéj kopalni; najobszerniejsza płaszczyzna zajmuje piérwsze piętro, inne mniéj są obszerne. Pomiędzy niemi znajdują się piętra pośrednie. Te piętra stały się powodem do zupełnie nieprawdziwego obrazu wnętrza kopalni wielickiéj, upowszechnionego nietylko w obcych, ale i krajowych dziełach, i żałować należy, że podróżni dotąd nie mogą otrzymać wiernych wizerunków tego świata podziemnego. Na każdém piętrze liczne są ko-

mory czyli próżne przestrzenie, połączone chodnikami. Komory powstałe z wybrania soli, bardzo odmienne mają postacie, stojące w związku z budową całego pokładu; komory w soli zielonéj wyrobione, mają pospolicie mniéj więcéj trzy równe wymiary. Sąto zapewne największe jamy na świecie, i ta ich wielkość jest przyczyną owego niewygasłego wrażenia, którego doznają zwiedzający. Żadna znana jama naturalna w Polsce, w Węgrzech, w Niemczech, we Francyi i w Alpach, nie może się co do wielkości równać z wielkiemi komorami wielickiemi; największa komora Michałowice, ma 126 stóp długości, 90 szerokości, a 84 wysokości; nieco mniejsze, ale również wspaniałe są: Urszula, Steinhauser i t. d.

W dawniejszych czasach wybrano jeszcze potężniejsze bryły soli zielonéj, ale te tak były niezmiernemi, że jamę nie można było utrzymać, i strop w wielu miejscach podpierano niezmiernemi filarami, składającemi się z nieprzeliczonych warstw pni. Komory wyrobione w solach pokładowych spiżowéj i szybikowéj, nie mają ani takich rozmiarów, ani wspaniałości: sąto nizkie, długie przestrzenie, niczém nie zajmujące oko, nikt ich téż nie zwiedza; znajdują się w głębszych częściach kopalni. Aby utrzymać tak wielkie jamy wśród soli i iłu, rozpuszczających się z łatwością w wodzie, pozostawiają na ich wierzchu warstwę soli. Mimo téj ostrożności, przez rozwinięcie robót górniczych ciśnienie miejscami tak jest wielkie, że zagraża zawaleniem; w podobnych przypadkach podpiérają strop czyli sklepienie jamy filarami. W dawniejszych czasach, kiedy gęste lasy okrywały przyległe wzgórza, robiono filary z drzewa; niezmierne warstwy pni układano na sobie, niektóre dochodzą do 120 stóp wysokości. W Starém polu czy-

nią na zwiedzającym wrażenie, jakoby się znajdował w składzie drzewa. Pomimo wilgoci, zachowuje się drzewo doskonale, albowiem sól go przejmuje i ochrania od robaka i spruchnienia; od kilku wieków zostając w kopalni tak jest zdrowém, jakby dopiéro było wniesioném.

Ten rodzaj filarów stawał się coraz kosztowniejszym, a zarazem niebezpiecznym. W téj massie nawalonego drzewa zajmował się ogień, i dawał początek niezmiernym pożarom, mianowicie w XVI i XVII wieku; niezmiernie gryzące dymy, często przez cały rok nie dozwalały odbywać roboty w żupie. Teraz zastępują tańsze i stosowniejsze filary owe kaszty drewniane tarożytnego górnika; wyrabiają je z nieczystéj soli w ciosy obrabiane, i spajają małą ilością drzewa. Mimo tych wszystkich środków ostrożności, zapadają się jeszcze komory. Niejeden już był przypadek: ostatni wydarzył się w r. 1832, na drodze do Klasnego. Nim samo zapadnięcie nastąpiło, odrywała się od spodku warstwa za warstwą ziemi, a straszliwe huki podziemne zapowiadały grożące niebezpieczeństwo. Jak w blizkości wulkanów, tak w Wieliczce wiedzą dobrze mieszkańcy, co znaczą te łomotania, i przerażeni opuszczają swe mieszkania unosząc dobytek.

Podobny zapad opisuje Schober, wydarzony w piérwszéj połowie zeszłego wieku, w r. 1745. Po tém zapadnięciu mieszkańcy wieliccy na powierzchni uczuli tak silne wstrząśnienie, jak przy trzęsieniu ziemi; w kopalni zaś ściśnięte powietrze sprawiło niezmierne zamieszanie: poukładane bałwany soli zwaliło na jednę kupę, w poblizkich szybikach drabiny do wstępowania górników przeznaczone w górę wyparło, dach zaś nad

przyległym szybem zwaliło. Ciśnienie stropu po komorach zagraża ciągle, w jednych tylko mniéj aniżeli w drugich. Przekonać się można o tém na pniach pionowo stojących, często 2 stopy mających, które w średnicy są zgniatane jakoby słomka w palcach trzymana i z przeciwnych stron ciśniona: i tak naciskany jest nie jeden pień, ale całe ich rzędy.

W jednéj z komor wyporządzono salę do tańca: jest w niéj miejsce dla orkiestry, a z przeciwnéj strony urządzono wystawę z transparentem okolonym różnobarwnemi lampami. Kiedy znakomite osoby zwiedzają żupę, bywają dawane w niéj bale, obiady, śniadania.

Nierównie głębsze wrażenie sprawiają wielkie komory, gdzie sztuka nic nie dodała, zostające w stanie jak je górnik pierwotnie wyrobił. Pomiędzy niemi odznacza się przed wszystkiemi już wspomniona komora Michałowice; kiedy ognie bengalskie nagle ją oświetlą, poznajemy dopiéro całą jéj rozległość: coraz dalsze a dalsze otwierają się przestrzenie, i zdaje się że niémasz końca. Widok ten głęboko przejmuje duszę, i wprawia ją w niewymowne zadumienie; w tém właśnie leży ów urok. Mniejsze, ale w swoim rodzaju właściwe wrażenie sprawia, kiedy przewodnicy w jednym końcu téj jamy, u samego wierzchu usadowieni, zapalają miotły w smole maczane i na spód rzucają, i gdy pada ich ostatni pęk, a iskry na wszystkie strony rozpryśnięte, jeszcze od chwilki do chwilki odsłaniają rozległość jamy. Znak to, że trzeba puścić się długim chodnikiem, i przy świetle kaganka szukać nowych komor, nowych wrażeń. Pomiędzy komorami dwie jeszcze zasługują na wzmiankę: Franciszek i Rossetti. W piérwszéj długi most, środkiem oparty na potężnym słupie w soli wykutym, prowadzi ponad nie-

zmiernemi głębiami, niekiedy w spodku przy słabém świetle kaganka dobywają górnicy sól, wydając przytłumione huki. Kiedy po długiéj wędrówce po nieprzeliczonych chodnikach i komorach, przybywa pielgrzym zwiedzający te podziemia do jeziora w komorze Rossetti, czeka go również szczególny jak niespodziany widok: woda jego do najwyższego stopnia nasycona, już nie rozpuszcza nadbrzeżnych ścian soli, ma prawie tęż samą ciężkość co ciało człowieka, i dlatego nie tak łatwo byłoby tutaj utonąć. Wśród zupełnéj ciszy, nadpływa obszerna łódź dla przewiezienia na drugą stronę podróżnych; z licznego orszaku oddzielają się przewodnicy postępując wolnym krokiem w górę, i przedstawiają również malowniczy, jak szczególny widok. W środku jeziora nagle zbliżają się ściany, łódź wpływa do ciaśniny 20 kroków długiéj i znów roztwiera się jezioro, mające też same wymiary co piérwéj. Na przeciwnym jego końcu stoi nad brzegiem niezgrabnie z soli wyciosany śty Jan Nepomucen; przewodnicy obiegłszy bokiem jezioro, czekają na podróżnych z palącemi się miotłami. Po zwiedzeniu jeziora opuszczają pospolicie podróżni żupę, a wychodzących czeka niespodziane wrażenie i przejmuje duszę mimowolna radość, ujrzawszy światło dzienne; znów bowiem jesteśmy w znanym nam żywiole, pod wszystko ożywiającym błogim promieniem słońca.

Nim opuścimy ten świat podziemny, niech mi wolno będzie zastanowić się jeszcze nad niektóremi szczegółami: chodniki czyli podziemne korytarze nazywa górnik wielicki piecami; są nader obszerne i niémasz kopalni, gdzieby były obszerniejsze i w większéj ilości; zwy-

czajnie są 12 stóp wysokie a 9 szerokie. Na piérwszém piętrze główniejsze najwięcéj uczęszczane bywają; są one dwa razy szersze. Długość chodników jest nadzwyczajna, niektóre mają przeszło 200 sążni; długość wszystkich razem wzięta dochodzi do 30 mil.

Powietrze żupy wielickiéj bardzo jest czyste i zdrowe; składa się z tychże samych części co zwyczajne. Schultes chciał wprawdzie znajdować w niém mniéj kwasorodu, okazał jednak nasz znakomity chemik p. Teodor Torosiewicz, że w niczém nie różni się od zwyczajnego; kwasorodu i saletrorodu znalazł tyle, co na powierzchni ziemi. Temperatura kopalni jest umiarkowaną; pospolicie wynosi $+10^0$ C. czyli $+8^0$ R.; w zimie zaś, mianowicie gdzie przeciągi panują pomiędzy szybami, powietrze nierównie jest chłodniejsze i wtedy odpowiada temperaturze zewnętrznéj. W końcach kopalni czyli w chodnikach ślepych, gdzie dotykają roboty górnicze calizny, skała nie ochłodła, ani robotnicy nie podwyższyli onéj własném ciepłem i lampami. Okazało się, że ciepło jest różne w różnych głębiach; przekonywają o tém obserwacye w jednym dniu robione, w trzech rozmaicie głębokich miejscach. Ciepło zwiększyło się w następującym stosunku: w chodniku Wojciech zwanym 192 stóp głębokim, rachując od otworu szybu Franciszek, pokazywała temperatura skały $+10{,}95^0$ C.; w chodniku Kunegunda Meridies 281 głębokim $+11{,}70^0$ C., a w 628 stóp głębokim Neubau Seeling $+14{,}10^0$ C. Przyczyna wzmagania się temperatury w głębiach, pochodzi od wewnętrznego ciepła kuli ziemskiéj, a ta jest skutkiem piérwszego spalenia się i połączenia piérwiastków chemicznych; we wszystkich bowiem połączeniach chemicznych towarzyszy ogień, a skały po-

wierzchni ziemi są jego skutkiem. Ostudziła się wreszcie ziemia po owém piérwotném spaleniu i okryła się stężałą skorupą lawy, na niéj dopiéro opadły pary wodne, będące także ciałem spaloném. Następnie rozpadające się skały w okruchy, sprowadziły rzéki do zagłębień, i z wielu powstały skały warstwowe. Tym sposobem stawała się skorupa ziemska coraz grubszą, a żary kryły się coraz głębiéj; na powierzchni zaś, coraz bardziéj zmniejszała się temperatura od wnętrza pochodząca, aż teraźniejsza nastąpiła. Jeszcze teraz gdziekolwiek zapuszcza się człowiek w głąb ziemi, wszędzie dostrzega powiększenie się ciepła, albowiem zbliża się do ogniska rozżarzonego. W żupach wielickiéj i bocheńskiéj zwiększanie to także się okazało; przekonałem się o tém bardzo ścisłemi doświadczeniami, bo w tym celu mierzyłem temperaturę tych pokładów w różnych głębokościach. W wierconych naumyślnie dziurach na stopę głębokich, zapuszczałem bardzo czułe termometra, które w nich przez kilka godzin pozostały, aż przyjęły temperaturę pokładu solnego. W piérwszéj kopalni okazało się jéj zwiększanie jak następuje:

a) Chodnik Wojciech 196 stóp głęboki + 10,81° C.
b) „ Kunegunda Meridies 281 11,55.
c) „ Neubausecking 628 13,25.

Porównawszy te obserwacye pomiędzy sobą, wypada, że co 173 stóp paryzkich, rośnie temperatura o jeden stopień Celsiusza.

Obserwacye te pięć razy powtarzane w różnych latach i miesiącach, dały wypadki niezmienne. Jednakże w wielickiéj żupie powiększa się ciepło zbyt wolno, w porównaniu z doświadczeniami w innych kopalniach robionemi. Przyczyna tego pochodzi od znacznego jéj ostudze-

nia; od pięciu wieków bowiem jest otwarta, a ztąd powstające mocne przeciągi powietrza, głównie się przyłożyły do ochłodzenia. Zdanie to potwierdzają obserwacye w największych głębiach, jak np. w chodniku najgłębszym Regis zwanym, gdzie ledwie temperatura skały dochodzi do + 11, 75° C.

W kopalni wielickiéj znajduje się bardzo wiele wód stojących, a chociaż w znacznéj głębokości, nierównie niższą mają temperaturę aniżeli źródła na powierzchni ziemi i skały saméjże kopalni. I tak: woda sadzawki zwanéj Sucha Woda, w głębokości 218 stóp, 11 stycznia 1839 r. + 6,85° C.; w komorze Sielce 287 stóp głębokiéj, 20 czerwca 1839 r. + 7,0; woda stojąca w komorze Nadachów w soli szybikowéj 632 stóp głęboko, 12 stycznia 1839 r. miała + 9,05° C. Woda zbiérająca się na dnie szybu Wodna Góra, 763 st. głęboko, trzy razy prawie jednakową okazywała temperaturę:

| | | |
|---|---|---|
| 12 stycznia | 1839 r. | 9,45° C. |
| 19 czerwca | „ | 9,90 „ |
| 14 sierpnia | 1840 | 10,00 „ |

Zdaje się, że wody przechodząc przez ziemię licznie popękaną, zwolna ulatniając się, tracą swój cieplik; zapewne połączenie soli z wodą przyczynia się także do zniżenia temperatury. Na piérwszém piętrze bowiem z boku jednego z głównych chodników 168 stóp głębokim, tryszczy źródło wybornéj słodkiéj wody, którą powszechnie ludzie i konie używają, i ta ma temperaturę taką jak na powierzchni. 20 czerwca 1839 r. znajdowałem ją + 9,60° C., tymczasem słone wody 50 stóp głębiéj, prawie o jeden stopień były zimniejsze. Jakim sposobem przecisła się słodka woda tak głęboko przez pokład solny, nie zetknąwszy się nigdzie ze solą, trudno jest pojąć.

Czasem dobywają się ze szczelin soli źródła gazowe, bitumiczne, mające tenże sam odor, co gaz zawarty w soli trzeszczącéj; w niektórych częściach kopalni mócno go czuć. W takie miejsca ostrożnie trzeba wstępować ze światłem, albowiem łatwo się zapala i gwałtowne sprawia detonacye. Gazy te zna dobrze górnik wielicki pod nazwą saletry. i umié się z nimi ostrożnie obchodzić. W obecnym czasie jest słabe źródło gazowe, wydobywające się ze soli szybikowéj w komorze zwanéj Baum. Gdy natrafiono na ten gaz właściwy pokładom karpackim, zdala i ostrożnie trzeba się było zbliżać w te strony; gaz ten bowiem wypełnia często cały chodnik; ale z czasem coraz słabnęło to źródło gazowe. Aby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa, zapalał go codziennie wyznaczony urzędnik, późniéj tylko dwa razy na tydzień. Kiedym to miejsce w r. 1840 zwiedzał, źródło to gazowe zmalało widocznie: po zapaleniu go wznosił się płomień 2 stopy wysoko, kilka razy powtórzywszy to samo, płomień stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie zniknął zupełnie. Otwór tego szczególnego źródła nadzwyczajnie jest pięknym: wydaje się jakoby był drogiemi kamieniami wysadzony. Na stopę przeszło głęboko, powlekają go pełne blasku kryształy soli, które powstały z rozpuszczenia soli w wodzie, tworzącéj się przy spaleniu gazów. Teraźniejsze źródło gazu w porównaniu z tém które opisuje Schober (autor zasługujący na wszelką wiarę), jest nader zmniejszone. Gaz wtedy w tak nadzwyczajnéj ilości wydobywał się, że zrazu zapalony przypadkiem, opalił wielu górników pracujących, na jednę kupę zwalił mnóstwo przygotowanych bałwanów i kruchów soli wraz z taczkami, narzędziami górniczemi, i dach nad pobliskim szybem zrzucił. Niektóre szczegóły również

ciekawe podaje Sydów o podobnym wybuchu gazowym w r. 1828 wydarzonym. Właśnie gdy górnik pracował na dnie nowo otwiéranego chodnika, pokazał się nagle w poblizkości palącego się kaganka wielki płomień, wychodzący z małéj szczeliny z straszliwym szumem i strumieniem wody. Palił się ogień spokojnie przez dwa dni, a gdy zgasł, powiększono otwór i na nowo zapalono. Często tak wielka ilość dobywała się gazu, że zdala już się zapalał; jednego razu w odległości 30 kroków, właśnie tą czynnością zajętego urzędnika na bok z całą siłą cisnęło. Ale z czasem gwałtowne wypiéranie gazu ustało, spokojniéj strumień wychodził, palił się jednakże mocnym płomieniem, mającym w końcu prawie łokieć średnicy.

Robotnicy składają się ze samych Polaków, od niepamiętnych czasów zajmujących się górnictwem; mieszkają oni nietylko w Wieliczce, ale we wszystkich prawie sąsiednich wioskach, jakoto: Sierczy, Lednicy, Sygneczowie, Babicach, Kossocicach, Krzyszkowicach, Kozmicach i t. d. Jestto ród ludzi bardzo silnych i muszkularnych, właśnie zdatnych do robót, w których przeważa siła fizyczna. Namiętnie przywiązani do swego zatrudnienia, wszystkie swe myśli i wyobrażenia zwracają do kopalni, i podobnie jak inni górnicy, bardziéj są myślący, w siebie zwróceni; zwykle okazują widoczny pociąg do dumania, czego nie widać na ich sąsiadach rolnictwem zajętych.

Kierunek usposobienia umysłowego górników wielickich, do czego przyczynia się głównie większa część życia w ciemnościach kopalni, przy słabém świetle kaganka spędzona, częste niebezpieczeństwa na które narażą ich zatrudnienie, wpłynęły na wyrobienie wy-

datniejsze w nich uczuć religijnych. Przebiegając kopalnią napotykamy nieprzeliczone kaplice i obrazy świętych, a przed niemi świécą się lampy, kosztem górników utrzymywane. Ze wszystkich kaplic najciekawszą jest kaplica Śgo Antoniego na piérwszém piętrze, przez podróżnych odwiedzana. W przeszłym wieku z własnéj chęci wyciosał ją prosty górnik; wszystko w niéj jest ze soli: ściany, spód, ołtarz z posągiem Chrystusa kolosalnéj wielkości, kazalnica, a nawet dwie osoby klęczące przed głównym ołtarzem; każda ozdoba, każdy szczegół, a nawet i w boku stojący posąg króla Augusta II Sasa są ze soli. Ale wilgoć niszczy tę kaplicę coraz bardziéj, wszystko nią powleka i na zwiedzającym obudza pewien rodzaj wstrętu. W główniejsze święta odbywa się w niéj nabożeństwo; kaplicę tę umiłowali szczególniéj górnicy i zwykli się zbiérać nader gromadnie.

Sól dobywają jakby z łomu kamienia; żeby zaś nie była zbyt nieforemną, odrywają z pokładu czworograniaste bryły zwane kłopciami. Kłopieć jest pospolicie 10 do 15 stóp długi, a 5 do 6 széroki; kiedy się odrywa pada z hukiem, a w kopalni rozlegają się ponure odgłosy, powtarzające się jakby od dalekiego piorunu. Z kłopcia wyrabiają beczkowate bryły, nazywane bałwanami. Już wspomina o nich statut Kazimiérza Wielkiego. Dawniéj bałwany były nierównie cięższe aniżeli teraz: ważyły od 20 do 35 centnarów. Owe bryły soli na targach leżące, nadawały w owych czasach charakterystyczne wejrzenie naszym miastom; teraźniejsze bałwany ważą $2\frac{1}{2}$ centnara. Kruchami nazywają się graniaste ułamki 30 do 50 funtów ciężkie; drobniejszą sól nabijają w beczki i tak na sprzedaż wystawiają. Każdy rodzaj zatrudnienia ponazywano w wielickiéj żupie od

czasów niepamiętnych; górnicy dzielą się pomiędzy sobą bardzo rozmaicie, a mianowicie na istotnych górników i pomocników. Piérwsi nazywają się właściwie żeleźnikami i znów dzielą się na piecowych, co wyrabiają piece czyli chodniki, świdrują dziury i wysadzają prochem skały; kopacze obrabiają bałwany; kruchowi, kruchy, a dawniéj za pomocą spiczaka odrywali ułamki soli; beczki nabijali tak nazwani kruszlacy, jednakże ten sposób otrzymywania soli został zaniechanym; wreszcie burtowi byli doświadczeni górnicy, co sposobili do roboty poczynających. Pomocnicy dzielą się stosownie do zatrudnienia: rozwożący sól właściwemi wózkami, nazywają się wozaki; znoszący i nabijający sól, noszaki; wyciągający sól szybikami i szybami, szybowi. Prócz wymienionych jeszcze są kopalniowi cieśle, bednarze, kowale i stajenni. Odwiedzając żupę, często napotyka się w tych obszernych komorach roboty rozłożone jakby na powierzchni ziemi; w innych miejscach zdala słychać kołatających bednarzy, co zabijają beczki napełnione solą. Takie strony kopalni nader są ożywione, i często się zdaje, że jesteśmy na powierzchni; tu z hukiem pędzą próżne wózki, naładowane poruszają się wolniéj; tylko głuche echa straszliwie odbijające się przypominają, że jesteśmy w innym świecie, w świecie, gdzie promień światła życia organicznego nie wywołuje. Na piérwszém piętrze kopalni znajduje się podziemna kuźnia, w któréj kilku kowali stępione żelaza górnikom zaostrzają; jeden z dawnych szybów służy jéj za komin. Na témże piętrze jest obszerna stajnia dla 30 koni; pomimo braku światła, zwierzęta te zupełnie są zdrowe, pięknie wypaszone i wesołego wejrzenia; pospolicie zostają pod ziemią 10 lat. Konie potrzebne są do wyciągania soli, za po-

mocą kieratów, przez szybiki z głębszych piętr na piérwsze. Na powierzchni ziemi wyciągają wszelką sól wielkiemi kieratami po 25 do 30 centnarów. Urządzenia te mechaniczne nie noszą na sobie piętna postępu czasu, są bowiem puścizną najdawniejszego czasu.

W stajniach zagnieździły się zwyczajne myszy, będące często prawdziwą plagą; wyjadają obrok koniom, a robotnikom przygotowane śniadania i łój do oświetlenia potrzebny. Tak wiele jest ich teraz w kopalni, że nie można nic z pokarmu przechować. Na ich wytępienie oddają wieliczanie szkodników kotów, gdzie pospolicie czeka ich smutny koniec: w ciemnościach muszą łapać myszy, a chociaż znajdują wyżywienie dostateczne, nie mają czém pragnienia zaspokoić, bo wszędzie tylko słona woda; pospolicie giną z pragnienia, lub uganiając się za myszami wpadają do szybików.

Prócz myszów żyją w kopalni owady, jak np. małe czerwone chrabąszcze; są one czasem dosyć liczne w opuszczonych miejscach kopalni, gdzie robotnicy chodzą z potrzebą. Professor Erichson oznaczył ten gatunek jako *Ptinus crenatus*, żyjący pod Berlinem w podobnych miejscach; często widać te chrabąszcze na soli naciekowéj, a nawet w niéj utkwione, i ztąd poszły owe powieści, o chrabąszczach w soli. W częściach wilgotniejszych kopalni, pokazują się na ścianach chodników komary, jak mi się zdawało niczém nieróżniące się od zwyczajnych, tylko są bardzo słabe i wpół przezroczyste.

Liczba robotników zmieniała się w rozmaitych czasach, mianowicie téż w nowszych: około roku 1750 według Schobera, zatrudniała kopalnia 450 do 500 robotników, a razem z pracującemi na powierzchni 700. Zdaje się, że ta liczba trwała od dwóch wieków, albowiem kraj

nie powiększając znacznie swéj ludności, mniéj więcéj tęż samą ilość soli potrzebował, a użycia innego prócz do jadła nie znano. W czasie spólnego posiadania żupy wielickiéj Austryi z Księztwem Warszawskiém, doszła do największego stopnia ilość rocznie dobywanéj soli, a z nią liczba robotników. To jednakże krótko trwało; w roku 1840 liczba robotników wynosiła 885, i składała się z 54 piecowych, 94 kopaczy, 100 kruchowych, 503 pomocników, 53 dozorców, 76 zatrudniała służba zewnątrz kopalni.

Już od najdawniejszych czasów pobiérają górnicy płacę od wydzielonéj roboty; piérwszy żupnik Porinus za Kazimiérza Wielkiego już ją wprowadził. Z wielką ścisłością obrachowano teraz, ile górnik w 8 godzinach może soli wykopać, i wyznaczono że dziennie winien zarobić kopacz 3 złp. gr. 4, piecowy 2 złp. gr. 24, kruchowy 2 złp. gr. 15, pomocnicy za dzień pobiérają 1 zł. gr. 3, chłopcy zaś 16 gr. Pospolicie z dniem kończą się wszystkie roboty w kopalni, w nagłych wypadkach tylko odbywają prace w nocy.

Koszta wyrobu po obliczeniu wszystkich wydatków na robotników, administracyą i wypotrzebowane materyały, wynoszą od centnara wiédeńskiego 2 złp. gr. 13.

W państwie austryackiém sprzedają różne odmiany soli po rozmaitéj cenie, przez wzgląd na obce domieszaniny; i tak, centnar wiédeński soli szybikowéj kosztuje:

| | | |
|---|---|---|
| w kruchach | 23 złp. | 23 gr. |
| soli zielonéj | 22 „ | 25 „ |
| szybikowéj drobnéj w beczkach | 22 „ | 12 „ |
| zielonéj | 21 „ | |
| kryształowéj zupełnię czystéj | 33 „ | |

Ile dobywano soli w dawniejszych czasach, nie wiadomo z pewnością. Na końcu piérwszéj połowy zeszłego wieku, według Schobera rocznie wykopywano soli 600,000 centnarów wagi polskiéj.

W czasie krótkotrwałego spólnego posiadania Wieliczki Austryi z Księztwem Warszawskiém, produkcya roczna doszła do 1,700,000 centnarów; przez połowę bowiem dzielono ją dla obydwóch rządów. Po wypadkach roku 1812, gdy znowu Austrya na siebie przejęła Wieliczkę, spadła produkcya do połowy. W roku 1839 wykopano 835,657 centnarów; z tego wyszło na wewnętrzną potrzebę Galicyi, Szlązka, Morawii 253,408 centnarów, do Węgier 39,750, do Prus 89,600, do Królestwa Polskiego 452,900. Aby sobie zrobić wyobrażenie ile soli wydobyto z żupy wielickiéj od najdawniejszych czasów, zrobiłem przybliżone obrachowanie. Przyjmując, że od początku XIII do XIX wieku, wydobywano rocznie 600,000 centnarów, w naszym wieku zaś 800,000, wypadnie, że dotąd wykopano około 400,000,000 centnarów soli. Co do objętości, waga ta odpowiada bryle ważącéj 1,773,586 sześciennych sążni wiedeńskich; jeden bowiem sążeń waży 265 centnarów.

Aczkolwiek tak nadzwyczajnie wielką ilość soli dobyto, niéma jednak żadnéj obawy, iżby jéj kiedy zabrakło w żupie wielickiéj. I gdyby w upływie wieków nie było już czystéj soli, to jeszcze przez warzenie nieczystéj, żubru czyli kostkowatych kryształów pomieszanych z iłem i iłów solnych, co teraz ze wszystkiém uważają za kamień nieprzydatny, jeszcze przez kilka wieków będzie mogła dostarczać soli Wieliczka.

Dziwne baśnie rozgłaszali dawniejsi podróżni o téj żupie: ze wszystkich odznacza się Labourcur, opisujący

podróż pani de Guebriant, odprawioną do Polski w roku 1646 (1). Dwaj towarzysze z orszaku Maryi Gonzagi drugiéj żony Władysława IVgo, panowie d'Incarville i de Briscoli, zamierzyli odbyć tę niezmierną wyprawę, co z takiém przekręceniem prawdy i cudotwornością opowiedzieli, że sądziłem za rzecz godną powtórzyć ich relacyą, aby się przekonać, jak przedmiot zupełnie zwyczajny, zmienił się szczególnie. „Blizko trzy godziny trzeba się było spuszczać po sznurach, aby dojść na dno żupy wielickiéj; więcéj jak pięćset familij mieszka w tych przepaściach (?) gdzie wykuli sobie w soli całe miasto, w którém są ulice i mieszkania wygodne. W mieście tém jest kościół, księża, sędziowie i inni urzędnicy; zawiérają się tam śluby, często dzieci rodzą się co nigdy światła dziennego nie widziały, i nie mają wyobrażenia o innym świecie. Cała zabawa tych podziemnych mieszkańców jest kucie soli kamiennéj, którą kupują Polacy, Szlązacy, Morawianie, Austryacy i Niemcy, spławiają ją na rzekach węgierskich Drawa i Wag; po dwie kolumn solnych (bałwany) sześć stóp długości, cztéry objętości biorą na jednę tratwę, dopływają do Tyrnawy pięć mil od Preszburga, tam ją ładują na statki Dunaju i nietylko do głębszych Węgier, ale nawet w Turcyą aż do Stambułu dochodzą."

Po opisaniu również fantastycznego pożaru w żupie, dodają w końcu: „ta obawa i niebezpieczeństwo lin, gasi w wielu osobach ciekawość spuszczania się do téj kopalni; nie dozwolił i mnie tego szlachcic polski, mój dobry przyjaciel." A my musimy dodać, że gdyby ci dwaj panowie mieli nieco więcéj odwagi i spuścili się do kopalni, nie opowiadaliby tych bezzasadnych basni.

(1) Pamiętniki o dawnéj Polsce T. IV, str. 265.

Odkrycie soli w Wieliczce ginie w pomroce czasu, tyle tylko pewnego, że już w XII wieku nosiła nazwę łacińską *Magnum sal* czyli Wielka sól; dowiadujemy się o tém z piérwotnych nadań klasztorom Cystersów w Sulejowie z r. 1176, i w Mogile pod Krakowem. Nazwa ta zdaje się dowodzić, że już w owych odległych wiekach miejsce to było czemsiś wielkiém, kiedy je przezwano Wielką solą. Nie trzeba wszakże do tego rozumowania z nazwy wyprowadzonego, wielką wagę przywiązywać; lichą wioseczkę téj nazwy odwiedziłem niedawno w Morawii przy miasteczku Hranice, którą na kartach piszą Weisskirchen. Jestto zapewne najlepszy dowód jéj starożytności, aniżeli pomniki historyczne. Że zaś *Magnum sal* istotnie Wieliczkę oznacza, świadczy inwentarz klasztoru tynieckiego przez Długosza w r. 1414 spisany, gdzie wyraźnie stoi *Magnum sal seu Wieliczka.* Pomimo tych dowodów o dawności jéj, odkrycie Wieliczki przeniesiono w późniejsze czasy i przybrano w szaty cudowności. Schletterowi (1) za Zygmunta Augusta to odkrycie w następujący sposób opowiedziano, co tenże wierszem łacińskim opisał, według podania gminnego mającego się pomiędzy ludem utrzymywać, a któremu mało co dawano wiary. Odkryła tę kopalnią ś. Kunegunda. Gdy Bolesław Wstydliwy zaręczył sobie przez posłów Kunegundę córkę Belli IV króla węgierskiego (r. 1239), ta oblubienica nie chcąc od ojca brać posagu w złocie i srébrze, prosiła tylko przy wyjeździe, aby jéj to darował, coby równie bogaczom jak ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda

(1) Regni Poloniae salinarum Wieliciensium descriptio carmine elegiaco. Kraków, 1565 r.

pojechawszy do żup węgierskich, ślubną obrączkę w nie rzuciła. Stanąwszy potém w Krakowie, kazała się wieść po niejakim czasie do Wieliczki, a gdy na jéj wolę ziemię tam kopać zaczęto znaleziono sól, i w piérwszym kawałku obrączkę, do kopalni węgierskiéj wrzuconą.

Zdaje się, że w pierwotnych czasach wodę słoną warzono, a dopiéro następnie kopano sól kamienną. Wiadomo z pewnością, że na początku XIV wieku już były kopalnie otwarte; w urządzeniach żup krakowskich Kazimiérza Wielkiego z r. 1368 (tak w średnim wieku nazywano Wieliczkę i Bochnią), kilkakrotnie jest mowa o bałwanach i o kruchach soli. Wielki ten król nietylko liczne miasta pobudował, dobry byt w nich rozkrzewił, ale trafném urządzeniem uporządkował zarządy w żupach solnych, owém najcelniejszém źródle bogactwa narodowego. Niektóre ciekawe szczegóły znajdujemy w tym starożytnym dokumencie o ówczesnym zarządzie żup. Aby porządek zaprowadzić, ustanowił Kazimiérz Wielki rządcę czyli żupnika (Zupparius), który do wiernych rąk miał oddane dochody i wydatki. Szereg ich rozpoczyna Porinus Wojciech, rodem Francuz; po nim był Wierzynek Piotr, następnie wydzierżawili żupy krakowskie do roku 1405 żydzi: Trukla, Henzel, Buta, Leszko Judaeus, Bartko Monetarius, Arnoldus Welkier, ale ustawiczne pomiędzy nimi spory, a nieład w żupie ztąd powstający, były powodem do przywrócenia żupników; pomiędzy temi główniejsi byli: Bochnar, Niger, Serafin z Barwałdu, Morsztyn. Za ostatniego ciekawy był obraz pożycia patryarchalnego urzędników górniczych, jak to z następującego szczegółu widać. Urzędnicy mieli wtedy stół spólny (mensam communem) i z niego zupełnie byli zadowoleni.

Za Zygmunta Igo pod żupnictwem Jana Bonara, zaprowadzono nowe urządzenie w żupie wielickiéj, zastosowane do rozwinięcia onéj, i toż bez zmiany dotrwało do r. 1772. Wtedyto następujący wyżsi urzędnicy byli ustanowieni: żupnik, podżupnik (vice zupparius), bachmistrz, pisarz żupny (notarius), dwóch stygarów i t. d. Zwyczajem było w owych czasach, że różni przedsiębiercy kopali sól własnym kosztem w miejscach przez bachmistrza wskazanych, i ci nazywali się stolnikami; za Bonara liczba ich z 68 doszła do 120. W drugiéj połowie XVIgo stulecia, żupnicy zmienili się z rządców żupy w dzierżawców; w r. 1674 wiadomo, że Wodzicki i Kotowski płacili rocznéj dzierżawy 466,000 złp. ówczesnych. Na początku XVIIIgo wieku, w czasie wojen szwedzkich z Karolem XII, Wieliczka stawała się po kilkakroć łupem obcych wojsk i własnego rozpuszczonego żołdactwa. August IIgi zapobiegając tym klęskom, sprowadziwszy górników z Saxonii, przyłożył się głównie do usystematyzowanego dobywania soli. Wtedyto powstały owe wspaniałe urządzenia żupy wielickiéj, owe proste, długie a szerokie ulice podziemne czyli chodniki, owe wygodne schody i t. d. Zachowały się imiona dwóch wybornych górników, co zaprowadzili ten często podziwiany porządek; byli to: Borlach i Schober. Cena soli za dawnych czasów była bardzo nizką, i tak: za Augusta IIIgo około r. 1750, płacono za centnar w bałwanie 3 złp. gr. 22, a za czystą szybikową złp. 4. Bałwany miały bardzo wielkie wymiary, bo ważyły od 10 do 40 centnarów. W roku 1792, produkowano rocznie soli 700,000 centnarów wiédeńskich.

Kąpiele w surowicy wielickiéj od pewnego czasu zwróciły uwagę dla znakomitych skutków, jakie na orga-

nizm wywiérają. Wody słone czyli surowicę, w wielu miejscach Europy używano na kąpiele i leczono trudne choroby, dziwnie szybko wracając organizmowi pierwotną czerstwość. W kilku miejscach Polski założono tego rodzaju kąpiele, a mianowicie w Busku i Solcu w Krakowskiém, w Ciechocinku nad Wisłą niedaleko Torunia w Kujawach; na Litwie głośne są teraz kąpiele w Druskienikach, na Podgórzu karpackiém zaś w Iwoniczu, Jurowcach, i Truskawcu. Już ta znaczna liczba kąpiel jest skazówką ich skuteczności. Wielickie kąpiele winne początek głównie staraniom niezmordowanego Boczkowskiego, lekarza żupy wielickiéj, który od r. 1826 surowicę do kąpiel z niepospolitym skutkiem używał. Zawiązane towarzystwo w r. 1837, wystawiło w następnym roku ozdobne łazienki (teraz najpiękniejszy budynek w tém starożytném miasteczku) urządzone ze wszystkiemi nowemi wymaganiami. Surowica nie pochodzi z wody źródlanéj, ale ze zbiérającéj się w żupie i ztąd jest wyciąganą i wylewaną. Woda ta będąc do najwyższego stopnia solą nasyconą, za gwałtowne skutki wywiéra na organizm i dlatego nie można jéj do kąpieli używać, ale trzeba ją roztwarzać słodką wodą. Zaczynając się kąpać, używa się mniéj surowicy, następnie stopniami coraz więcéj.

Jedna kwarta surowicy wielickiéj według rozbioru chemicznego Floryana Sawiczewskiego, zawiéra 3.900 gramów różnych soli, a mianowicie:

| | | |
|---|---|---|
| Chlorku | sodu | 3,820 gramów |
| „ | magnezyanu | 21 „ |
| „ | żelaza | 3 „ |
| Siarkanu | magnezyi | 24 „ |

| | |
|---|---|
| Siarkanu sody | 24 gramów |
| „ wapna | 8 „ |

Ślad pierwiastku extraktowego.

Według dr. Boczkowskiego, surowica wielicka leczy choroby skrofuliczne brane w całéj rozciągłości, skórne, a szczególniéj słabości reumatyczne i artrytyczne, choroby z osłabienia siły trawienia wynikające, zatwardzenia trzewiów (1) i t. d.

Dwie drogi łączą Wieliczkę z Bochnią: dawniejsza jest równa i krótsza, dobra podczas posuch, w jesieni nadzwyczajnie błotnista; nowsza, jestto sypany gościniec, szczególniéj poprowadzony przez grzbiety wypuszczone z Bieskidów, ku dolinie Wisły. Droga pomiędzy Wieliczką a Gdowem dosyć jest uciążliwą; trzeba z pagórka na pagórek wstępować. Na niéj często otwiérają się cudnéj piękności widoki: do najcelniejszych należy ten, zkąd widać Kraków i całą dolinę Wisły aż poza Bielany; z drugiéj strony, na południe, na ostrokręgowatym pagórku lasem okrytym wznosi się kościół wioski Biskupice. Gdów leży na obszernéj równinie Raby, przy jéj wypływie z pagórków karpackich. Jestto obszerna wioska z całym szeregiem karczm.

(1) Bliższą wiadomość o Wieliczce, powziąć można z dzieła dr. Boczkowskiego: O Wieliczce, pod względem historyi naturalnéj, dziejów i kąpieli. Bochnia, 1843.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# ODPOWIEDŹ
## p. Tyszyńskiemu dana na Odpowiedź.

PRZEZ

*W. A. Maciejowskiego.*

---

Robiąc Uwagi nad Uwagami p. Tyszyńskiego, nie miałem zamiaru spierać się z nim literacko (bo znając jego usposobienie naukowe, wiedziałem naprzód, że nic zastanowienia godnego, nic postępowi nauk odpowiedniego, nie powié zagabnięty): miałem inne cele. Chciałem, wyprowadziwszy go w pole historyi, przywieść do tego, ażeby sam zeznał piśmiennie, że nie może być ani ewangelistą, ani apostołem, a tém mniéj prorokiem przeszłości, gdyż, fałszując dzieje, nie jest w stanie głosić prawdy, opowiadać ją, odgadywać. Dał téż o sobie takie świadectwo.

Szło o wykazanie tego, gdzie mieszkali Ptolomeusza Boulanes, i w jakim z późniejszymi Polanami czyli Polakami zostawali związku? Geograf grecki umieścił ich

w zachodniéj stronie sarmackiego państwa; szło więc o to, by wykazać gdzie strona ta, czy na prawym, czy na lewym brzegu Wisły leżała? Po dwakroć wskazał jéj położenie Ptolomeusz, raz opisując po szczególe granicę (na VIII mappie) w któréj ją umieścił, po drugi zaś raz szczegółowo przechodząc tęż granicę. W piérwszym razie mówi, *że od zachodu przedzielona jest tak zwanemi sarmackiemi górami, Germanią i Wisłą rzeką.* W drugim powiada, *że od zachodu odgranicza się rzeką Wisłą, i linią* (południk oznaczającą) *pociągnioną od początku téjże (rzeki) i gór sarmackich (Tatry), tudzież górami temiż, których położenie wskazał* (1). Temu krańcowi odpowiednią naznaczył granicę Germanii geograf (na mappie IV), mówiąc: *że od północy ujście Wisły do morza* stanowi ją, *od wschodu zaś zakręt Dunaju* (2), a poza nim *aż do sarmackich gór rozciągająca się przestrzeń ziemi, i oprócz tego przestrzeń ta, która poza górami temiż* pod RZECZONE WIERZCHOWISKO WISŁY DOCHODZI, jako też i SAMA RZEKA WISŁA AŻ DO MORZA (3) granicą Germanii jest. Tam więc, gdzie swój początek (jak dziś mówimy) miała Wisła, czyli gdzie większa była wody płaszczyzna i rzeka zaczynała być spławną, niby w okolicy dzisiejszego Zatora (pod Krakowem), poczynała się na wschodzie Germania, i tamże, czyli w Germanii, zaczynała się zachodnia granica sarmackiego państwa, suchą tu będąc, czyli idąc lą-

(1) Dosłownie przełożono z greckiego tekstu. Porównaj Ptolomeusza wydanego w *Theatrum geographiae veteris opera P. Bertii, Lugduni Batavor.* 1618, str. 228. 80. Z przyczyny, że nasi zecerowie nie są wprawni w składanie greckiego tekstu, położyłem przekład polski.

(2) Przy miasteczku Kurpis (niby gdzie dziś Orszowa w Serbii) leżącem.

(3) Ptolomeusz tamże, na str. 56. 57.

dem, i ciągnąc się od Zatora aż poza dzisiejsze w tak zwanych Prusach wschodnich położone miasto Chełmno: odtąd bowiem Wisła granicę Germanii stanowiła znowu.

Tak też Tacyt i najnowsi geografowie granice te wyrozumieli, gdy przeciwnie dawni, na których powadze, do źródła dziejów nie zajrzawszy (pomimo żem go o to po dwakroć wezwał) poprzestał p. Tyszyński, sam tylko początek i rzekę Wisłę za granicę położywszy, w błąd wprowadzili krytyka. Błąd ten był niegdyś naturalny, dziś podzielać go jest grzechem. Dawniéj albowiem wierzono temu, że Wisła nosi nazwisko niemieckie (4), że ciągnąca się po tę rzekę Germania była siedliskiem niemieckich ludów, a państwo sarmackie że leżało za Wisłą, ciągnąc się od źródła swojego aż do ujścia, czyli że koryto rzeki granicę państwa Sarmatów stanowiło. Dziś atoli, gdy najznakomitsi z niemieckich uczonych podzielają to zdanie, że się rzecz miała odwrotnie, i gdy sama tylko gawiedź (widokiem polityki wiedziona) twierdzi, iż nad Wartą i Notecią nie inny jak niemiecki lud mieszkał pierwotnie (tak dotąd twierdzą niektórzy niemieccy gazeciarze i podrzędni pisarze): dziś mówię coś podobnego utrzymywać, jest grzeszyć przeciwko prawdzie. Chcąc niejako wmówić w czytelnika, że niemiecka gawiedź słusznie nas z lewego brzegu Wisły ruguje i na prawy przenosi, przywiódł p. Tyszyński z Ptolomeusza to tylko co się wierną jego miłość podsycać zdawało, a resztę pominął. Ja wydrukowawszy wszystko, co geograf o granicach Germanii na wschodzie, a Sarmacyi na zachodzie powiedział, i grubszém pismem wyosobniwszy co

(4) Mniemano, że nazwisko rzeki pochodzi od *vis, weiss*, znacząc *wodę białą*. Tak między innymi sądził Klonowicz w przemowie do swego poematu *Flis*.

przywiódł z niego krytyk, daję rzecz całą pod rozstrzygnienie znawców historyi, pytając, ażali się godzi tak pomiatać prawdą obchodząc ją i podchodząc? ażali wolno do tego stopnia naigrawać się z publiczności, by coś takiego twierdzić!

Toż samo lekceważenie źródeł, a więc samych dziejów, postrzegamy w krytyku przy jego wywodzie historyczności Polanów (owych Boulanes Ptolomeuszowych). Na uwagę p. Tyszyńskiego, że nigdzie przed Xym wiekiem nie znalazł tego nazwiska *Polonia*, przywiedliśmy mu śpiew historyczny VIII wieku (5), i nawzajem zauważaliśmy, że gdy roczniki także świętogalskie i hildeshejmskie w IX pisanemi być rozpoczęte wieku o Polanach mówią, przeto nie można twierdzić, jakoby w żadném źródle wyżéj nad X wiek sięgającém, Polska wymienioną być nie miała. Zamiast powiedzieć coś o śpiewie owym, rzuca się na owe roczniki i twierdzi, że gdy one pod r. 1015, 1032 wspominają Polskę, przeto brać z nich świadectwa o IX wieku nie można. Jak gdyby tu o co innego a nie o to chodziło: że *Pulani*, *Poleni* w rocznikach owych wymienieni nie są nowém zjawiskiem, lecz dalszym ciągiem owych w II, VIII, IX wieku wsławionych *Boulanów*, *Pulanów*, *Bolonów*, jedném słowem Polaków, których imię jak się rozpoczęło tak się i kończy, gdyż Polacy nazwani są u Ptolomeusza *Boulanes*, a Polska w rocznikach hildeshejmskich (6) *Boulena* mianuje się: gdyż w IX wieku (w źródłach przez Szaffarz. przywiedzionych), *Boloni* na-

(5) Pominąwszy Szaffarzyka I. 755 (znanego pewno krytykowi), który kilka świadectw w *IX wieku zapisanych*, a bytność Polaków i Polski ówczesnéj potwierdzających, przywiódł.

(6) U Pertza, V. 112.

zwanymi są, a w kronice XIgo wieku (7) *Bolani regio* nazywa się Polska. Któż więc poświęca prawdę sławie miłości wiernéj? czy ten który jéj w źródłach śledzi, i jaką jest wystawia na jaw, lub ten, który nie czytawszy źródeł (nie chciał bowiem krytyk wziąć odemnie VII—IX tomu kronik Perca, których ile wiém, nikt więcéj nie posiada w Warszawie), raczéj temu, co ktoś szepnął mu do ucha, niż im zawierzyć wolał? Zgoła czegokolwiek się tknie p. Tyszyński, wszystko fałszuje, i nicuje. Powiedziałem (8), że w *starosł.* języku swiet znaczy światłość i świat, w *dzisiejszym* zaś świat nazywa się *mir*, i że wyraz ten (*mir*) na to samo co w starosłowiańskiém obecnie wychodząc, oznacza dziś (9) pokój, czyli spokojny pobyt, w czém na Miklosicza powołałem się. Przeciwnie krytyk utrzymując, że ja mniemam jakoby w starosłowiańskiém *mir* znaczył świat tylko, uległ z méj strony zarzutowi. Mimo to wszakże śmiałém powtarza dziś czołem, jakobym miał i to utrzymywać „że w starosłow. *świet* nie oznaczał świata, ale tylko światło". I daléj mnożąc błędy, bezzasadnie utrzymuje znowu: „że omyłki chronologiczne wyrażone na mappie zrzucam na Zeussa; że sami tylko kronikarze polscy pierwotne dzieje Litwy przechowali; że Herodot równie prawdopodobném jest piérwotnych dziejów Polski źródłem jak Tacyt; że cała północ po Mendogu była już chrześciańską czcząc Boga nie bóstwa; że Stryjkowski, Stredowski, Długosz użyci być mogą za źródło; żeśmy wyśmiali Teofilakta; że stara to jest piosnka, którą on śpiéwa o Lachach; że na mnóstwie cytat z Per-

(7) U Pertza IX. 246.
(8) Pierw. Oz. 136.
(9) W Ruskiéj Prawdzie.

ca ważność dzieła pokładamy; że namyśliwszy się z góry, jakiby system dla opowiedzenia mitologii obrać, dowodzimy tém samém, iż fakta naginaliśmy do systemu; że taki lub ów system mógł się śród mitologii ludów rozwijać; że lat dwadzieścia temu jak nad mitologią sam pracuje; że kładąc punkta sporne, sami piérwotne dzieje Polski za nieudowodnione jeszcze uważamy; że tylko w skutek obcowania z kronikami XI, XII wieku doszliśmy do jasnowidzenia tego, iż wzmianki w nich zawarte VIIIgo sięgają wieku; że prawa krytyki nie są jeszcze nigdzie spisane; że nie wié gdzie się ich ma uczyć; że takie i owe rzeczywiście wykształcił w sobie o krytyce wyobrażenie; że kompilując cudze dzieła kompilatorem nie jest; że sobie ma do wyrzucenia to tylko, iż dotąd był jednorodnym".

Ile tu słów tyle fałszów; niechaj wykaże iż wcześniéj jak wyraziłem na mappie, znajomsze być zaczęły biegi rzek. Niech wié o tém, że wprzód na Litwie niż w Polsce pisano o pierwotnych dziejach Litwy, jak świadczy kronika z rękopisu p. Bychowca niedawno wydana (10), któréj rękopis starszy, bo z XVI wieku pochodzący, a kirylicą skréślony, czytałem przed dwoma laty w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu. Gdyby Herodot był coś podobnego o Polanach co Tacyt o Lygiach powiedział, byłby wtedy dla nas równém co rzymski historyk źródłem. Po Mendogu (umarł r. 1261) były jeszcze Prusy pogańskiemi; Krzyżacy bowiem rozpoczęte przeciwko nim wyprawy dopiéro r. 1283 ukończyli; a i wtedy jeszcze nie zostały całe nawrócone Prusy i wiele bałwochwalstwa było na Pomorzu i w Skan-

(10) Pomniki do dziejów litewskich zebrane przez Teodora Narbutta, w Wiln. 1846.

dynawii. Kronikarze i pisarze późniejsi nie mogą być źródłem, lecz skazówką, lecz śladem, gdzie i jak szukać dziejów najdawniejszych. Sprostowanie Teofilakta nie jest wyśmianiem go. Stara to piosnka o Łachach jako o narodzie, którą powtarzając p. Tyszyński idzie za drugiemi ślepo, a więc powodu nie ma przechwalać się nią, czyli, bajkato od czasu Długosza upowszechniona, jakoby z Kroacyi miał do nas przybyć Lech: winszuję, że autor Rysu Historycznego oświecenia Słowian o tyle w znajomości źródeł i krytyczném ich wyrozumieniu postąpił, iż *na takich* tylko dowodach umié wesprzéć mniemanie swoje. Nie mnóstwo cytat, lecz właśnie wyszukanie i przywiedzenie stanowczych, zaletę badań stanowi. P. Tyszyński, który nigdy nie badał, lecz kompilował co zbadali drudzy, sądzić o téj rzeczy nie może. Systematem zowiemy albo porządek pewny wykładu, albo sam wykład rzeczy *według przywidzeń* rozwinięty: prérwszy dowolny, drugi wzbroniony jest historykowi: widać więc, że krytyk nie raczył baczyć na to odróżnienie. Jednakowo rozwijały się wyobrażenia pogańskie u wszystkich ludów, lecz niejednakowo przedstawili je, w pewny porządek przywodząc takowe, badacze mitologii. Ciekawi jesteśmy, jaki też autor skleconego z prac dzisiejszych historyi Słowian badaczów Rysu Historycznego swoje o mitologii notaty, nad któremi od lat dwudziestu pracuje (czemu nie wprzód uwierzymy aż zobaczymy, i aż przekonamy się o tém, że p. Tyszyński ma własne mitologii pojęcie), ułoży i w pewny przywiedzie je system. Kładąc punkta sporne, i do rozstrząśnienia ich po szczególe wzywając p. Tyszyńskiego, tém samém dowodzę, żem swego pewny. Zamiast przyjąć wezwanie, wolał on właściwym sobie zwyczajem, powiedziawszy

nie pozwalam, uciec na Pragę. Toż samo niegdyś zrobił, kłótnię o Pamiętniki rozpocząwszy. Gdyby był zebrał w jedno po różnych miejscach naszego dzieła (jak systemat wskazywał) poumieszczane wyjątki kronik, ustawił je chronologicznie, i tak niejako kronikę najdawniejszą Polaków i Lechitów zrobił, odniósłby był zdaniem naszém niemałą korzyść. Bo najprzód przekonałby się o tém, że jak następne czasy naprowadzają na wnioski o przeszłości, tak znowu spółczesnych zdarzeniu źródeł wynalezienie, wnioski owe w sąd dopiéro zamienia; i byłby się dowiedział, że wyrozumienie źródeł formując krytykę, samo przez się naprowadza krytykującego na to, iż motywować wyroku nie może, akta nie przeczytawszy. Zdrowy rozsądek i znajomość rzeczy towarzysząc rozważaczowi źródeł, kierują nim gdy feruje wyrok, w równi go z sędzią stawiając. Kto na to baczyć nie raczy, próżno pytać będzie, gdzie i jak szukać ma przepisów krytyki, gdyż żaden kodex, żadna logika nie nauczy sądzić, kto nie poznał rzeczy, o któréj ma sądzić, i kto nie czuje tego jak ma śledzić prawdy. Daremnie więc i p. Tyszyński pyta o prawa krytyki? Niech ich szuka w sobie, nie wprzód atoli aż historyą pozna, a wtedy same się nastręczą, i sąd o rzeczach zdrowy same mu uformują.

Taką drogą poszli ci, którzy rzuconą przezemnie myśl w Historyi Prawodawstw o Polanach i Lechach przyjęli, i uznawszy ją być prawdziwą rozwinęli, lecz przedmiotu nie wyczerpnęli; dlatego téż dopełnić ich pracy musiałem i dopełniłem, nowo ją obrobiwszy i wykazawszy, że rodowość nadwiślańskich a naddnieprskich Polan łatwo się da udowodnić, gdy, jak historya uczy, pobrata-

nych z piérwszymi Lachów nazwę, nie za ludową lecz stanową zauważymy, i tychże Lachów z naddnieprskiemi nie w koligacyi jakowéj, lecz w związku ze stosunków sąsiedztwa wynikającym postawimy, uznawszy być Polan dawniejszemi krain nadwiślańskich mieszkańcami od rzeczonych Lachów, w jedno Polaków miano (11) zlanych z nimi następnie. O czém albowiem napomknąłem w rzeczonéj Historyi Prawodawstw, zbadali w źródłach i z prawdą być zgodném uznali pp. Szaffarzyk, Palacki, i autor Bibliograficznych ksiąg dwoje. Sam p. Tyszyński (zapewne *propter captandam benevolentiam*), prawił mi niegdyś o tém: co mu teraz przypominam dlatego, ażeby się nie kłopotał o to, czy kiedy sprawdzą się moje o Polanach i Lachach objawione w Pierwotnych Dziejach proroctwa, gdyż się już rzeczywiście sprawdziły. Uwagę zaś jego o témże dziele, że ono jest poronionym płodem, odpiéram tą uwagą, że i owszem przeciwnie się stało; bo urodziło się nam zdrowém i mając takich, jak rzekłem, poręczycieli, znajduje wiarę u tych, którzy dzieje pojmują i praktyczne z nich umieją wydobywać wnioski. Dzieło to stawszy się punktem oparcia pierwotnych dziejów Polan i Lechitów, świadczyć o tém nigdy nie przestanie, że piérwsi będąc najdawniejszymi krain nadwiślańskich po lewym brzegu mieszkańcami (mimo gadek niemieckich gazeciarzy i p. Tyszyńskiego, którzyby ich na prawy brzeg Wisły przerzucić chcieli), ukształtowanie i dalsze swoje powodzenie winni są drugim, od nich, jak mówi Nestor, Polanami nazwawszy się, czyli za ich sprawą narodem zostawszy: gdyż inaczéj przepadliby byli, napływem obcych na kraje nadwiślań-

(11) Hist. praw. I. 75. II. 262.

skie ludów zalani będąc. Przypomnę ich znowu czytelnikowi z czasem, kronikę Polaków i Lechitów najdawniejszą skréśliwszy, ale nie tak prędko, ażeby się komuś nie zdawało, że dosyć jest kiwnąć palcem, by mnie miéć po swéj woli, by zasadzić do wypisywania kronik, od których stroni p. Tyszyński, z obawy, ażeby zmęczywszy się nimi nie został jasnowidzącym. Próżna obawa, nie zostanie on nim nigdy, dopóki po téj, którą dotąd poszedł, stąpać będzie drodze; nie na to bacząc co w źródłach dziejów stoi, lecz na to co mu własne dyktuje widzimi się. Tego wszakże powinien być pewny, że oprócz tych, wystąpią niezabawem przeciwko niemu artykuły nowe, które się za Ptolomeuszem, za dziejowém Polan w wieku II, VIII i IX istnieniem, za stanowością Lachów i wywodem szlachty od tychże, powtórnie ujmą i upomną, pociągnąwszy do odpowiedzialności autora Uwag nad Pierwotnemi Dziejami Polski i Litwy za to: że piérwszego fałszywie przywiódł, wyrzuciwszy z niego to właśnie, na czém się głównie prawda wspiera; że wymazał z karty dziejów II, VIII i IX wieku miano drugich; że niemieckość trzecich w duchu narodowości polskiéj rozwiniętą pominął; zgoła, że pierwotne dzieje Polan, które są kluczem tajniki historyi polskiego narodu czasów następnych odmykającym, nie według źródeł, lecz własnego widzimisię wyrozumiewał i wyrozumianemi miéć chciał, pomiatając prawdą i uwłaczając dziejom (*).

(*) Udzielony w skutek powyższéj nadesłanéj redakcyi odpowiedzi, artykuł przez p. Tyszyńskiego pod tytułem: *Druga i ostatnia odpowiedź na repliki p. W. A. Maciejowskiego*, odłożonym został do następnego poszytu. *P. R.*

# KRONIKA LITERACKA.

*Tak się dzieje. Powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. Tomów II. Wilno.* 1848.

Biada dzieciom, gdy je młode matka odumiera, a ojciec matką im być nie umié; macocha dzieci marnuje w młodym wieku, albo na całe życie cierpienia je nabawi. Kobiéta da się oszukać pozorom miłości, a związawszy swój los z losem niegodnego człowieka, może go zawsze kochać choć nim świat pogardza; mimo rozsądnych i życzliwych namów, mimo pociągu do innego serca, nie opuści go, aż wypędzona przezeń z własnego domu. Matka nie posłucha głosu serca córki, i szczęścia dla niéj w bogatém zamęźciu szuka; córka schwyciwszy za czém goniła podżegnięta przez innych, gonić nie przestanie za czém ją własne pociąga serce, choćby z narażeniem przyjętych już raz obowiązków. Mężczyzna umié się maskować dla zyskania pięknéj ręki, pięknego serca i pięknego majątku, a potém odepchnąć poświęcone sobie serce, całe życie je ranić, nie wzruszyć się ni razu jego cierpieniem; młodzieniec szlachetny i wielkich zamiarów i dążności, piérwszy raz zawiedzionemu sercu szuka pociechy w szale, rozpuście, zapominając o założonym sobie celu życia; fatalizm wiedzie okoliczności nieżyczliwe i t. d., „tak się dzieje." Autorka się myli; to się tylko zdarza, boć pod tytułem: „Tak się dzieje" można z większém prawem a przynajmniéj równém, wprost przeciwne powyższym zebrać wypadki. W potocznych dziejach ludzi, wybrała au-

torka szczegóły wyjątkowe, figury mniéj częste, i podaje nam je jako zwykłe typy. Poglądu tego nie można podzielać chyba także w usposobieniu wyjątkowém, bo usposobienie jestto stanowisko, z którego się na krajobraz patrzy. Mówiliśmy już z powodu innego dziełka pani W. że wolno artyście stanowisko swoje wybierać; dlatego nie będziemy się o nie spierać, ale protestujemy. I przeciw wielu innym szczegółom powieści w mowie będącéj protestować musimy.

Osoby jéj i treść nie nowe: byłoby to niemal zaletą, bo wiemy, że dziś nie tak łatwo wprowadzić do powieści charaktery oryginalne a prawdziwe, i wypadki niezwykłe a nie naciągane. Niech więc lepiéj będzie wszystko znane a rzeczywiste; ale figurom téj powieści brak jasności i świeżości; treść cierpi na brak wynalazku, prowadzenia niewymuszonego. Każdy postrzegacz wedle swéj indywidualności różni się cokolwiek w widzeniu ludzi i rzeczy; może więc być nowym gdy rzeczywiście się zastanawia. I takato nowość, taka świeżość jest potrzebna dla *sztuki* i *nauki*: pierwsza dla drugiéj jest konieczną, a druga sama dla siebie niezbędną; na cóż bowiem sama sztuka się przyda?

Z nazwisk ludzi i miejsc wnosić należy, że rzecz dzieje się w Polsce i Polacy działają, ale nie ma tu nic więcéj, coby nasz kraj i naszych ziomków wskazywało; w tém leży jeden z powodów braku świeżości. Wprawdzie i tu trudność niemała; tak jesteśmy z wielu względów podobni do innych, że niełatwo wyróżniające nas szczegóły okazać, z treści je wydobywając. Ale czémże się będą różnić rzeczy nasze od zagranicznych? Dobra krajowa powieść tę cechę koniecznie mieć powinna. Brak ten u wielu autorów i u pani W. ztąd pochodzi, że zwykle wybierają osoby z klassy bogatéj, salonowéj, lub do niéj się zbliżającéj. Wchodzić i lud do naszéj powieści, a jak się domyślamy z kilku rysów, a raczéj wyrażeń własnych autorki, obdarza go pięknemi przymiotami; ale są to drobiazgi nie należące do powieści. Tu się nam przypominają ślady myśli chrześciańskiéj i postępowéj, którą autorka podsuwa czytelnikom; mówimy tu o stosunkach

łączących panów i włościan. Spotykamy w piérwszych kilka dowodów uznania drugich: dziedziczka ratuje, obdarza, dobrotliwie się z niemi obchodzi; pieści nawet wiejskie dziewczynki i uczy je piosnek wieśniaczych (to bardzo mocno na idyllę zakrawa; byłoby nią rzeczywiście, gdyby sama się od nich piosnek uczyła); tam znów młodzieniec szlachetny, wielkie spełniający cnoty, wielkie mający zamiary (jak tego nas uczą wprawdzie nie jego czyny, ale wyrazy autorki) przy każdéj sposobności rozsypuje pieniądze wieśniakom, a nawet raz żniwiarzom dał „kilkanaście złotych". Wesołe okrzyki rozległy się po polu, dodaje autorka „poczém wszyscy z podwójną ochotą rzucili się na nowo do pracy." Musimy tu zastąpić miejsce autorki i objaśnić czytelnika; mógłby myśleć, że obdarzeni cieszyli się podarkiem i spodziewaną hulanką w karczmie; broń Boże! ich ujęła szlachetność obdarzającego. Ten sam szlachetny młodzieniec zaszczyca swą przyjaźnią syna wieśniaczego; razem się niegdyś kształcili, a dziś Jan Zagoda, jest pańskim rządcą i totumfackim, ubiéra pokoje dla młodéj żony swego patrona i na przywitanie pp. młodych wiedzie processyą wieśniaków. Te i kilka podobnych, są jego jedyne wiadome nam czyny; nie wątpimy, że jego ukształcenie godnie mu je spełnić dozwalało; czy jednak przy owém powitaniu krzyczano wiwat, nie wiadomo, to pewna, że gromada według powszechnéj w Polsce mody, wychodzi panów witać pod przewodnictwem karbowego, ekonoma, komisarza, albo innego dygnitarza hierarchii rolniczéj. Czemu autorka nie objawiła swego zdania o tym miejscowym rysie? Mamyż sądzić, że słysząc o nim tak często, uważa go jako zupełnie naturalny i niegodzien bliższéj rozwagi?

Osoby w téj powieści niewydatne i monotonne; piérwsze dlatego że je autorka tylko opisuje, albo samym chlubić się dozwala, mało w działaniu je pokazując; drugie dlatego, że zbyt je w uczuciu pogrąża. Uczucie prawie jedyne dla większéj części osób głównych jest miłość, a to prowadzi do zużytych już utyskiwań, lamentów, rozpaczy, przysiąg i t. p. rzeczy. Celina, Ryszard, Gustaw, Bruno, Klaudyna,

Adolf, wszystko to mniéj lub więcéj kocha albo udaje, język prawdy naśladując.

Wprowadzając ważniejsze osoby zwykła je autorka opisywać: czyni to jednak tak niedokładnie, jak gdyby obszerne do działania miała zostawić im pole; na czém jednak zbywa i osoby odgadywać potrzeba. Za to, co do pewnego czasu przed czytelnikiem ukryte być powinno by effekt powieści pomnożyć, zbyt wcześnie jest widoczne; np. Gustaw wjeżdżając w bramę rodzicielskiego domu, spostrzega na niéj herby w czasie bytności swéj za granicą zrobione, i „okazuje niechęć"; zapewne je zwalić każe i ztąd spór będzie z matką, pomyśli czytelnik, znający już z opowiadania autorki sprzeczność charakterów i opinij matki i syna. Nie wiemy czy tak każdemu czytelnikowi, ale nam się zdawało, że zamiast spierać się z matką o herby, mógł był pan Gustaw do istotniejszych ludziom wziąć się ulepszeń, by stwierdzić dobre o sobie słowo autorki; przynajmniéj jednéj znakomitéj reformy spodziewaliśmy się po nim; skończył na obietnicy. Gdzieindziéj, dopiéro co poznany jako młodzieniec pan Bruno (figura dosyć zagadkowa), dowiedziawszy się że czytają listy pani téj a téj, gdy jeszcze panną była, „zapłonił się nagle" i na tém koniec. Bo téż dla czytelnika więcéj nie potrzeba; pojmie z łatwością że tam coś się święci. Kogóż potém zajmie scena między nim i przedmiotem jego miłości? Zaraz po przytoczonych następujące wyrazy (str. 99 t. I): „Pułkownik listy oddał pani Mlewińskiéj, która je na stoliku obok zegara położyła, bo w tę chwilę kilka nowo przybyłych osób małe zebranie zwiększyło" czyż nie każą się domyślać, że te listy ktoś jeszcze czytać będzie? może i bez pozwolenia; tak się téż dzieje. Pomijając pospolitość tych środków mających prowadzić daléj powieść, nie jestże to uprzedzać wypadki i psuć zajęcie?

Z przytoczonego tu dopiéro ustępu, początek i koniec są niepotrzebne, chyba dla obwinięcia środka; ale wiele miejsc przytoczyćby można całkiem zbytecznych, rozwłóczących rzecz główną i ziębiących ją niesłychanie; np. rozmowa Gu-

stawa z dziewczynką str. 100, albo z dziećmi wiejskiemi (str. 34 t. II). Tu sposobność powiedzieć, że dyalog w ogóle nuży bezbarwnością i małostką, że tak powiemy, a każde zebranie większe, na jakie autorka czytelnika wprowadza, zdaje się być schadzką na ploteczki o tém i owém, najczęściéj o bliźnim. Takiém jest rzeczywiście wiele zebrań, mianowicie gdzie kobiéty przemagają liczbą; ale prawda nie w miejscu razi jakby fałsz, tém bardziéj, gdy do celu nie prowadzi albo bardzo słabo, a na przebaczenie nie zarabia ani bystrością postrzegań, ani żywością opowiadania.

Chcemyż wiedzieć cel powieści i naukę z niéj? przeczytajmy ostatnie dwa rozdziały, gdzie szczególniéj w przedostatnim niespodziewane i żywo oddane rozwiązanie się mieści. Jedna z kobiét traci męża i goni za obłudnym kochankiem, który przed nią ucieka; czemu ucieka nie pojmujemy; może dlatego, by Klaudyna ukaraną została. A on, jedna z przyczyn śmierci jéj męża? i jego dosięgnie zemsta pogardzonéj kobiéty; wybrała się ścigać go po Europie. Celina i Gustaw jakby dla siebie stworzeni, a samolubstwem rozłączeni (szczególniéj téż Celina na ciężkie próby całe życie wystawiona) kończą życie; ta ze zmartwienia i suchot, a on człowiek pełen wielkich dla szczęścia otaczających go ludzzamiarów, samobójstwem, bo po cóż się zdał na ziemi? kochanéj nie posiadł, żona do innego pisuje, żyć nie warto! Nie na końcu wprawdzie, ale kilka razy wśród powieści daje do zrozumienia autorka czytelnikowi, że późne pokolenia cierpią za winy przodków; Celina więc domyśla się że jest ofiarą. Niegdyś pradziad jéj wspólnie ze swym ekonomem, zamorzyli zamkniętego w skarbcu Janka; matka wieśniaka zwaryowała, siostra się utopiła, a jednak zbrodniarze i ich dzieci żyli szczęśliwi. Dopiéro w Celinie (i Gustawie pochodzącym podobno od owego ekonoma) zbrodnia pomszczoną być miała. Bo sprawiedliwość choć późno wymierzoną będzie. W téj myśli autorki widzimy skłonność do wiary w fatalizm, a co gorsza utwierdzony rozumowaniem. Tyle pewna, że jako *sens moralny* powieści, myśl ta jest tu zupełnie nie na miejscu, bo daje zbrodni potuchę

osobistéj nieodpowiedzialności, a więc jest niemoralną. Jako myśl oderwana może tkwić w wierze, ale jéj artykułem nie jest. Taka sprawiedliwość nie wypływa z pojęcia saméj sprawiedliwości, chyba u człowieka tępego wzroku, który przecież koniecznie chce ją widzieć; on, który najpospolitszych zdarzeń przyczyny wskazać nie umié z pewnością, wyrokuje o tém co od nadludzkiego rozporządzenia, od Boskiéj mądrości zależy! Jakież tu zamieszanie! Serce sprawiedliwość taką wynalazło, gdy mu innéj rozum wskazać nie umié, a serce i rozum sprawiedliwość taką odrzucają. Zaszczepić takie mniemanie w narodzie, byłoby uwłaczać przodkom, zaprzéć się siebie i narazić przyszłe pokolenie. Któż nie woli uledz gwałtowi okoliczności z nadzieją, że się z nich wydobędzie, niż jako skazana ofiara, poddać się bez oporu? Celina mogła była być szczęśliwą, gdyby walczyć chciała. Ale dosyć! jest fatalność czy nie, jest taka sprawiedliwość czy nie, to pewna, że jéj jako podstawy powieści użyć nie należy; dlatego, że jeśli jedna połowa ludzi w nią wierzy, to druga zupełnie odrzuca. Zasada przez wszystkich powinna być uznaną: bo zadaniem powieści nie jest rozbiór myśli, ale jéj stwierdzenie.

# ROZMAITOŚCI.

## *Bezkrólewie po śmierci Augusta IIIgo.*

(Wyjątek z pamiętników współczesnych, ze zbioru swego udzielił F. M. S.).

.....W zwyż wspomniony niegdy najjaśniejszy August III król polski i wielki książę litew. rodził się na świat roku 1696 w miesiącu październiku, wieku swego życia przepędził lat szczęśliwie 64. Na Pragskich, Golędzinowskich, Skaryszewskich polach pod Warszawą za rzeką Wisłą, dnia 5 miesiąca października przez zgromadzone stany polskie i litewskie w roku 1733 przy assystencyi wojsk rossyjskich, pod generalną kommendą feldmarszałka i najwyższego generała Lascy, angielczyka rodem mianowanego zostających, szwadronami i liniami pod Borkiem, na stronach rozłożonych i ukampowanych, na aplauz, i takowy solenny akt elekcyjny, tak z ręcznéj strzelby, jako i z armat polnych, trzy razy ognia, raz po raz wydawających, wolnemi głosami i wykrzykami za manudukcyą i powodem niegdy JW. JX. Stanisława Bełzdam Hossyusza biskupa poznańskiego, za króla, pana i monarchę polskiego był ogłoszony, obrany i promulgowany.

A potém w przyszłym roku 1734 dnia 17 miesiąca stycznia w stołecznem mieście Krakowie we środku rynku, na theatronie przez miasto Kraków erygowanym, pod baldachinem bogatym, wraz niegdy z najjaśniejszą Maryą Jó-

zefą małżonką swoją, domu i familii austryaczką, niegdy Józefa piérwszego cesarza rzymskiego jedynaczką córką, przy assystencyi wojska saskiego pieszego, i konnego, i przy samym tronie wielu zgromadzonych i przytomnych panów, senatorów, ministrów, urzędników obojga narodów koronnych i litewskich, bez żadnéj impetycyi i przeszkód, owszem we wszelkiéj cichości i spokojności, pomieniony król i pan August III niegdy najjaśniejszego Augusta wtorego księcia i elektora saskiego, *totius Imperii* wielkiego marszałka, dziedzic i jedyny syn, z bożéj łaski obrany był i koronowany przez niegdy JW. JX. Lipskiego podkanclerzego koronnego.

A tak szczęśliwie od roku 1773 i od koronacyi roku 1734 (o czém wyżéj już wspomniono jest) aż do roku 1763, dnia 5 miesiąca października, za miłym ojczyznie polskiéj fawoniuszem, sprzyjającym pokojem ściągającym się, panował lat trzydzieści.

Podczas którego zaczęcia *interregnum* w Polsce i między pospolitym ludem wzwyż wspomnionego króla i monarchy polskiego Augusta III zaszłéj i ogłoszonéj śmierci, JO. Jm. ksiądz Władysław Łubiński arcybiskup gnieźnieński, korony polskiéj i W. ks. litew. książę prymas, powziąwszy przez sztafetę z Drezna wysłaną, z listów adressowanych pewną i nieodmienną wiadomość, o zaszłéj śmierci Augusta III króla i pana polskiego, ze Skierniewic wybrawszy się, nieodwłocznie przybył dnia 14 miesiąca października do Warszawy, gdzie zaraz partykularne listy do Ichmościów pobliższych senatorów, kasztelanów krzesłowych i ministrów koronnych i litew. z denuncyacyą o śmierci pomienionego króla i pana zaszłéj, zapraszający onych na kongres do Warszawy, porozpisywał, gdzie potém wkrótce przez zwykłe cyrkularne listy zosobna do województw, ziem, powiatów, uczynił denuncyacyą, o zaszłéj pewnéj śmierci tegoż króla i pana.

W dalszym czasie następującym w tymże samym miesiącu październiku, ku dniom onego kończącym się, senatorowie obojga narodów koronnych i litew. poczęli się

Biblioteka Sejmu Śląskiego

do Warszawy zjeżdżać i oraz z księciem Imci prymasem wyżéj wspomnionym porozumiewać się, wedle determinacyi, dnia i rad zaczęcia.

Jakoż w miesiącu listopadzie w pałacu JO. księcia Imci prymasa, ciż Ichmość, senatorowie, ministrowie, urzędnicy obojga stanów, przystąpili do walnéj rady, podług punktów podanych, rezolucyą onych miéć żądających i taż rada blizko tygodnia odprawowała się, na któréj walnéj radzie resultatum stanęło, między inszemi punktami, aby *ante omnia* sejmiki po województwach, ziemiach, powiatach, dnia 4 miesiąca lutego w przyszłym roku 1764 względem sądów zwykłych kapturowych expedyowane były, i żeby czas taki założony skutek swój jak najprędszy odebrał, a tę rzecz do wykonania zalecili Ichmość senatorowie i ministrowie księciu Imci prymasowi.

A oraz w tym czasie wyżéj namienionym był wyznaczony i determinowany czas i dzień zaczęcia sejmu walnego konwokacyjnego *Ordinum Regni* sześcioniedzielnego w Warszawie, tojest dnia 7 miesiąca maja w tymże samym roku blizko nadchodzącym 1764.

Za przyjazdem swoim z Otfocka JW. JP. Franciszek Bieliński marszałek W. K., po wytrąbieniu juryzdykcyi swojéj marszałkowskiéj, sądy swoje marszałkowskie reassumował, czas swój kontynując w rozsądzeniu spraw aż do następującéj kadencyi otwarcia sądów zwykłych kapturowych, podczas interregnum w każdych województwach, ziemiach, powiatach agitujących się.

Dnia 16 miesiąca listopada w Warszawie w kościele kollegiackim parafialnym śgo Jana Chrzciciela, za duszę ś. p. Augusta III pana i króla polskiego przy assystencyi wielu zgromadzonych senatorów, ministrów, urzędników obojga stanów koron. i litew. oraz wielkich różnych imion dam, w żałobie przystrojonych, solenne exekwie zaczęte, przez trzy dni *de die in diem* za hojnemi mszami wychodzącemi i jałmużnami ubogim wydawanemi kontynuowane były, na które expensa około tych exekwij celebrowania, erygowane były przez skarb koronny tynfów 10,000 wynoszące.

O tych czasach w miesiącu listopadzie i grudniu, częścią z Saxonii z Drezna, do książęcia Jmci i elektora saskiego, syna najstarszego nieboszczyka, króla Jmci Augusta III, Fryderyka Augusta już dawniéj jeszcze z księżniczką i elektorką bawarską z laty ożenionego i dziadki swoje własne mającego, względem objęcia korony Polskiéj, tudzież i od innych zagranicznych książąt i panów do książęcia Jmci prymasa zachodziły listy przez sztafety wysłane; gdzie w téj materyi zachodzącéj z tymże książęciem Jmci prymasem Ichmość senatorowie i ministrowie obojga narodów porozumiéwali się, jednak nic *determinate* przez siebie nie czynili.

A niemniéj ciż Ichmość senatorowie i ministrowie koronni i lit. z tymże samym książęciem Jmci prymasem, wedle wysłania do Rzymu, Francyi, cesarza rzymskiego i innych dworów cudzoziemskich posłów wzajemnie porozumiéwali się; jakoż ta rzecz zostawiona *dexteritati et activitati* pomienionego książęcia Jmci prymasa, na których posłów obranych i do samego dworu hiszpańskiego expensa ułożone, ze skarbu koronnego przez JP. Wesla podskarbiego, erygowane były.

Przyszła sztafeta partykularna z Saxonii do Warszawy, oznajmująca o zaszłéj śmierci JP. grafa Brühla najpiérwszego ministra saskiego; gdzie się tam w Dreznie z przyczyny śmierci onego, wszystkie rzeczy inaczéj pomieszały, który JP. graf Brühl chociaż był przyciśniony niemałą chorobą przez długie czasy, jednakże na perswazye wielkie aby *mutaret fidem luteranam*, a przyjął był *fidem et religionem catholicam* nie chciał przystać, owszem *hac in fide pessima luterana turpiter desiit vivere*..

Kongres walny Ichmościow senatorów i ministrów *utriusque status* jako *bonis avibus* zaczęty w Warszawie, kontynuował się w tymże samym miesiącu listopadzie.

Podczas zaczęcia *Interregnum*, zawsze nieustannie *solitis feriis et diebus* sądy radzieckie, wójtowskie i ławnicze, tudzież sądy wielkie burgrabskie miasta Staréj i Nowéj Warszawy, bez żadnéj interrupcyi i przeszkód, ponieważ

gród warszawski był zamknięty, swoim porządkiem od dawnych lat i zwyczajów idące, kontynuowały się na ratuszu warszawskim.

Dnia 17 listopada tu w Warszawie na Krakowskiém-Przedmieściu w kamienicy p. Rotera stolarza, zająwszy się ogień ż wiórów, kamienicę całą spalił, wielu sąsiadów w niebezpieczeństwie poruszył i wielkie szkody poczynił.

W miesiącu grudniu, poczęli się do Warszawy zjeżdżać Ichmość posłowie cudzoziemscy jakoto: cesarski, francuzki, pruski, rossyjski książę Repnin, oprócz JP. Kejzerlinga dawniéj w Warszawie rezydującego, i interesa dworu swego od Katarzyny II imperatorowéj rossyjskiéj sobie zlecone promowującego, i w Warszawie zawsze ordynaryjnie rezydującego.

Malkontenci z wielu panów i senatorów insze duchy zabiérali, nie chcąc się porozumiéwać na obranie Piasta, nowego pana i króla; którzy posłyszawszy o blizkiém przyjściu ku Warszawie wojska rossyjskiego, od rad zaczętych i od saméj Warszawy oddalili się, którym się rzeczy inaczéj układane nie udawały.

*Rok* 1764. W tym roku zaczętym po ogłoszonym w koronie polskiéj i w wielkiém księztwie Litew. *Interregnum*, z łaski i pomocy Boskiéj wszystko spokojnie się działo; jedna tylko karystya na wiktuały i towary kupieckie dawniejszemi czasy i laty zaczęta, lud pospolity najpryncypalniéj w Warszawie z przyczyn namnożonéj podejrzanéj monety białéj, chociaż potém przez skarb koronny *ad justum valorem* redukowanéj, trapiła i ciemiężyła.

Jeszcze wprzeszłym miesiącu grudniu roku 1763 zaszła była denuncyacya, a w tymże roku 1764 pewna ratyfikacya i konfirmacya o zaszłéj pewnej śmierci Fryderyka Augusta książęcia i elektora saskiego, niegdy Augusta III króla polskiego, najstarszego syna, w Dreznie, na ospę chorującego, i z téj choroby wyjść niemogącego, kandydata do korony polskiéj będącego, którego książęcia i elektora saskiego wyżéj wspomnionego w mieście stołecznem Dreznie śmierć zaszła, nietylko stany tameczne saskie, ale téż i niektóre

polskie i lit. pomieszała, gdzie tam w pomienioném mieście Dreznie zaczęto było bić złotą i rożną białą monetę; a gdzie też i same wojsko saskie za życia pomienionego książęcia i elektora saskiego w regimentach i szwadronach pieszych, oraz i konnych, z różnych zaciągów ludzi kompletowano.

O przywiezieniu do Krakowa ciał królewskich, Augusta III króla polskiego, i Maryi Józefy królowéj z Drezna nic nie słychać było, dlaczego i o erygowaniu nagrobku pomienionego króla i pana w kościele katedralnym na zamku mówić cale zaniechano, ani o tém kiedy w dalszych czasach wspomniono.

Dnia 1 stycznia w Warszawie w tymże roku 1764, Jmc. ksiądz Michał Wodzicki, biskup przemyski, podkanclerzy wielki koronny niedługo chorując, nadspodziewanie różnych panów i senatorow, z tym się pożegnał światem; a tak pieczęć koronna mniejsza wakowała, którego ciało z ordynansu domu i familii jego w Krakowskie wkrótce wywiezione było.

Dnia 5 miesiąca lutego w tymże samym roku 1764 w Warszawie zaczęły się w kościele OO. Augustyanów zgromadzonéj szlachty województwa mazowieckiego sejmiki, a to wedle sądów zwykłych kapturowych, gdzie za manudukcyą i powodem JP. Rudzińskiego wojewody mazowieckiego, obrawszy między sobą wolnemi głosami dziesięciu sędziów, przystąpiła oraz taż szlachta i do obrania marszałka; gdzie w tym czasie uprosiła sobie i obrała ku objęciu laski marszałkowskiéj księcia Imci Augusta Czartoryskiego wojewodę ruskiego, za którego powodem, też same sądy kapturowe zaczęte w dobrym porządku, dzień po dzień kontynuowały się, a na którego miejscu większemi czasami na tychże sądach kapturowych prezydował i laskę utrzymywał JP. Staniszewski sędzia ziemski warszawski.

Sądy wzajemnie marszałkowskie pod dyrekcyą JP. Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego kontynuowały się.

Na tymże samym jako wyżéj wspomnionym sejmiku ziemi warszawskiéj, wolnemi głosami obrani byli na sejm

walny konwokacyjny *Ordinum Regni* w tym samym roku Ichmość pp. Stanisław August Poniatowski stolnik litewski i Szydłowski chorąży i sędzia grodzki i warszawski.

Inne różne sejmiki po województwach, ziemiach, powiatach, lubo się wedle sędziów kapturowych i samych posłów na sejm konwokacyjny *Ordinum Regni* obierania, jakoto: w Prusiech, w Poznaniu, w kursie swoim ordynacyjnym idące zaczynały, ale z nieszczęśliwemi awanturami kontynuowały się, a najbardziéj w pruskich i pomorskich ziemiach.

W tymże roku 1764 dnia 6 maja, JP. Wessel podskarbi koronny, wedle oddania rachunków skarbu koronnego przy sobie utrzymującego, za wszystkie czasy i lata, zjechał do Warszawy gdzie był zaraz do oddania takowych rachunków *quantocitius et indilate* rekwirowany i animowany, a tak za czasem sobie pozwolonym, do oddania tych rachunków łatwo przystąpił.

A lubo o tych czasach dywizye rossyjskie konne i piesze wraz z kozakami blizko samej Warszawy dla wszelkiego bezpieczeństwa całéj rzeczypospolitéj i obrad ich przy maszerowały; jednak żadnych krzywd po miasteczkach i wsiach nie czyniły, kiedy się własnym groszem swoim od imperatorowéj rossyjskiéj Katarzyny IIgiéj nadanym sustentowały i supplementowały; a gdzie zaś jakie skargi na prostych żołnierzów zachodziły, przy satysfakcyi kary uczynionéj, wszelkie nagrody szlachcie zachodziły.

W tymże roku 1764 dnia 4 maja nad spodziewanie stanów koronnych i litewskich, przybył do Warszawy z wszelką assystencyą Prusaków wielki poseł od króla Imci pruskiego Fryderyka III, oraz książęcia i elektora brandeburskiego mianowany de Schonay, który poseł od wielu senatorów i posłów był przyjmowany i wizytowany. Poseł ten miał najpiérwszą audyencyą przy wielu zgromadzonych senatorach, ministrach obojga stanów w pałacu u książęcia Imci prymasa, a po skończonéj swéj audyencyi list kredencyalny od pryncypała swojego króla Imci pruskiego oddał do rąk temuż książęciu Imci prymasowi.

Tegoż samego roku dnia 7 maja przed zaczęciem walnego sejmu konwokacyjnego *Ordinum Regni*, w kościele parochialnym śgo Jana, przy zgromadzonych wielu Ichmościach senatorach i ministrach koronnych i litew., samego przytomnego książęcia Imci prymasa i innych z duchownego stanu *utriusque Gentis* biskupów, prałatów, kanoników, odprawiła się solenna wielka msza *de Invocatione Spiritus S.* którą celebrował Jks. Ostrogski biskup kujawski, kazanie zaś miał *erudito stylo* Jks. Szaniawski kanonik gnieźnieński. Po téj zakończonéj mszy, Ichmość senatorowie i posłowie udali się do zamku, gdzie tam w izbach senatorskiéj i poselskiéj *distincta sua stalla* osiedli i którzy potém Ichmość pp. posłowie między sobą poselskiéj izby obrali *concordibus votis* marszałkiem Adama książęcia Imci Czartoryskiego wojewody ruskiego syna, któremu JP. Małachowski krajczy koronny daleko przeszłych sejmów zerwanych marszałek, nowemu pomienionemu Imci poselskiéj izby obranemu marszałkowi oddał laskę.

Podczas zaczęcia sejmu *Convocationis Ordinum Regni*, JP. Rudziński, wojewoda mazowiecki, będąc zarażony chorobą suchot wewnętrznych, skończył życie swoje doczesne, dlaczego województwo mazowieckie *vacavit.*

Z dyspozycyi i ustawów izby poselskiéj z senatorską izbą złączonéj, odebrana była komenda nad wojskiem koronném Imci p. Branickiemu hetmanowi koronnemu, przez co ta rzecz niepomału pomieszała, nietylko i innych Ichmościów hetmanów, ale i różnych malkontentów o rady publiczne zaniedbałych, i na nie nieschodzących.

Zdało się izbom poselskiéj i senatorskiéj, z racyi słusznych i sprawiedliwych i wszystkim stanom obojga narodów *ab utrinque* skonfederować i téjże konfederacyi obrać marszałka; jakoż te dwie izby jednostajnemi głosami uznały i obrały być téjże saméj generalnéj konfederacyi książęcia Jmci Czartoryskiego wojewodę ruskiego; jakoż *in facie ordinum Regni* tenże sam książę Jmci Czartoryski wojewoda ruski ku ocaleniu dobra pospolitego całéj ojczyzny i rze-

czypospolitéj poprzysiągł i generalnym regimentarzem nad wojskiém koronném i lit. być pozostał, tém bardziéj innych Ichmościów malkontentów ta rzecz pomieszała i zalterowała.

Ku końcowi dni miesiąca maja, izba senatorska z izbą poselską złączone, zgodziły się łatwo na czytanie wszystkich projektów, na tym sejmie *Convocationis ordinum Regni, deliberato animo* ułożonych, a niektórych *praecipitanter* uprojektowanych i konstytucyom dawnym przeciwnych odrzuconych.

Gdzie potém znowu wszystkie stany obojga narodów, na konferencye być potrzebne ze wszystkiemi posłami cudzoziemskiemi, a najpryncypalniéj z petersburskim i berlińskim posłami, względem ujmy przyzwoitych zdawna tytułów, a ku powróceniu onych zgodziły się, gdzie nadto projekta formowane były.

*Die* 6 *Junij*. Ten sejm *Convocationis Ordinum Regni* jeszcze się kontynuował, podczas którego JP. Wessel podskarbi wielki koronny przed wyznaczonemi Ichmościami deputatami z manutencyi skarbu koronnego, z percepty expens tyczących się całéj korony polskiéj *exactissime* rachunki oddawał; gdzie téż oraz dla nowego króla i pana w obraniu *cum tempore* onego *Pacta Conventa* wcześnie formowane i projektowane były.

Dnia 23 *Junij*. Tenże sejm *Convocationis Ordinum Regni* całą noc trwający, po przeczytaniu innych różnych ułożonych przedtém projektów i konstytucyi, po waledykcyi przez JP. marszałka tegoż sejmu izby senatorskiéj i poselskiéj, szczęśliwie *suis in votis et desideriis* zakończył się.

Tak przed zaczęciem tego sejmu jako i po jego zakończeniu, w okolicy Warszawy i w samém mieście prawie od wieków niesłychana i niepraktykowana, na wszelkie żywności oraz i towary drogość panowała.

Po tym skończonym walnym sejmie *Convocationis Ordinum Regni* w Warszawie o jakich rozruchach w Polsce i Litwie wszczętych, żadne pewne nie zachodziły wiado-

mości, oprócz od Nieświéża, jako dywizye rossyjskie na niektóre partye Radziwiłłowskie napadały, i one przez też dywizye rossyjskie znoszone były; dlaczego i sam książę Jmci Radziwiłł wojewoda wileński z resztą ludzi swoich wedle osoby swojéj bezpieczeństwa rejterować się przymuszony był, aż do granic węgierskich.

O tych czasach w miesiącu lipcu sejmiki po województwach powiatach, i ziemiach *relationum* odprawowały się, ale po częściej większéj na to zgadzały się, aby ze szlachty na sejm przyszły *Electionis* nowego Króla i pana w obraniu, pod Wolą i Warszawą, nie przez posłów obranych, ale *viritim* podług praw i konstytucyi koronnéj i litewskiéj zaszłych na tęż elekcyą destynowaną województwa, ziemie, powiaty, stawały *in campo electorali.*

Przed blizko następującym sejmem walnym *Electionis* nowego króla i pana, jako się wyżéj namieniło pod Warszawą i Wolą, na osobliwém polu blizko Woli, za expensami ze skarbu koronnego erogowanemi szopa wzdłuż i wszerz wymierzona, pod gontami i podłogami i z innemi rekwizytami do niéj należącemi wystawiona była.

Gdzie o tych czasach, a jeszcze dawniéj, bo w samym miesiącu kwietniu i most drewniany na rzece Wiśle pod Warszawą i Pragą od drogi szerokiéj spuszczając się na dół za Karmelitki bose, na palach był wystawiony i niemałym sumptem przez skarb koronny erygowany, ale nie tak bardzo wygodny, jak z dawnych lat i czasów z drugiéj strony od Mostowéj ulicy przez kępę aż do Pragi ciągnący się był dany i wystawiony.

Dnia 2 miesiąca sierpnia na przyszły sejm walny elekcyjny w obraniu nowego króla i pana do Warszawy z miejsc dalszych województw, powiatów i ziem, szlachta *viritim* przybywała, a przeto większą drogość w Warszawie przyczyniła.

Chorągwie lekkie i inne rekrutowe ułanów, a oraz niektóre rossyjskie z piechot i konnych warszawkich około Warszawy po miasteczkach i wsiach, przed następującym sejmem elekcyjnym, a to wedle wszelkiego bezpieczeństwa

od jakich napaściów, wiolencyi, tumultów lub jakich przeszkód pod generalną komendą książęcia Jmci Czartoryskiego wojewody ruskiego, jako konfederacyi marszałka zostających, lokowały się.

Dnia 18 sierpnia Ichmość deputaci naznaczeni przez sejm konwokacyjny z Krakowa przynieśli z sobą do Warszawy korony, z tamecznego zamkowego archiwum, ile gdy przez tenże sam sejm *Convocationis Ordinum Regni* naznaczona i destynowana była, nowego króla i pana, a nie innego tylko Piasta *pro hac sola unica* nie w Warszawie koronacya, o czém wolno przejrzéć i czytać takową konstytucyą zaszłą względem zachodzącéj w Warszawie koronacyi.

Dnia 27 sierpnia wszystkie stany obojga narodów koronnych i litewskich zgromadzone, przybyły do kościoła kollegiaty ś. Jana, w przytomności JO. księcia Jmci prymasa, w którym kościele odprawiała się solenna wotywa o Duchu ś. przez JW. Jks. Ostrogskiego biskupa kujawskiego, na któréj wotywie miał kazanie *stylo sublimi* J. ks. Wodziński biskup smoleński.

Po zakończeniu téj wotywy, wszyscy Jchmść. senatorowie i ministrowie, oraz i posłowie *utriusque Status* pojechali w pole ku szopie wystawionéj między Wolą i Warszawą, gdzie tam przybywszy w szopie zasiedli swoje miejsca i zaraz w tym czasie przystąpili do elekcyi JP. marszałka sejmu *electionis*, gdzie za wolnemi głosami został obranym marszałkiem JP. Sosnowski pisarz Wielkiego księztwa Litewskiego.

Dnia 3 września po obraniu JP. marszałka sejmu elekcyjnego, J. ks. nuncyusz de Serra wjeżdżał do szopy na solenną audyencyą; tam przybywszy, miał do JWWW. Jchmść książęcia Jmci prymasa Łubińskiego i senatorów, ministrów, obojga narodów zgromadzonych imieniem ojca ś. papieża i jego stolicy rzymskiéj, mowę po łacinie, winszując i życząc téj koronie polskiéj w obraniu nowego króla i pana *omnes Divinos benedictiones*. Po skończonéj mo-

wie powrócił przejeżdżając przez pola elekcyjne nazad do siebie, do nuncyatury ordynaryjnéj rezydencyi swojéj.

Dnia 4 tegoż miesiąca wzajemnie zadosyć czyniąc swojéj funkcyi poselskiéj JP. Kejserling wielki poseł rossyjski, od Jejmść Katarzyny IIgiéj imperatorowéj destynowany, wjeżdżał także przez pola elekcyjne do szopy, gdzie tam w wielkim konkursie ludzi swoich dworskich przybywszy, u pomienionego książęcia Jmci prymasa, senatorów i ministrów obojga stanów koron. i litew. miał wspaniałą przemowę łacińską, audyencyą sobie daną, gdzie téj mowy jego panegiryki drukowane tamże w szopie rozdawane były, za lecając pilnie do korony objęcia bardzo godną osobę JP. Poniatowskiego stolnika litewskiego.

Dnia 5 tegoż miesiąca września, takiż podobny solenny wjazd do szopy uczynił przez siebie wielki poseł krola Jmci pruskiego, oraz wielkiego książęcia i margrabiego brandeburskiego, insynując przez mowę swoję całéj rzeczypospolitéj polskiéj pamięci tegoż samego JP. Poniatowskiego stolnika lit. w obraniu nowego króla i pana.

Dnia 7 miesiąca września wszystkie województwa ziemie, powiaty pod wodzami swojemi porządnie na koniach gdy się na pole elekcyjne pod Wolą i Warszawą na miejsca swoje wyznaczone po południu z jechali, i oraz Jchmość senatorowie i ministrowie *utriusque Gentis* do szopy swojéj przybyli i tam już JW. książęcia Jmci Łubińskiego prymasa arcybiskupa gnieznieńskiego przy konkursie niezliczonego ludu tamże zastały między czwartą i piątą godziną, za pytaniem piérwszem drugiém i trzeciém przez pomienionego książęcia Jmci prymasa tychże województw ziemi i powiatów czyli zgoda jest powszechna ku obraniu wolnemu narodowi nowego króla i pana, osobliwie przyrzekłego Piasta *ac tandem* te wszystkie województwa, ziemie, powiaty, bez żadnych zachodzących kontradykcyj, wolnemi głosami, zgodzili się, jednostajnie wykrzyknęli i ogłosili być wolnemu narodowi Polakom i Wielkie. księst. Lit. królem i panem najjaśniej. Stanisława Augusta Poniatowskiego stolnika litew. który król i pan nowo obrany przy wielkiéj i gromadnéj

assystencyi Ichmościów senatorów, ministrów obojga narodów koron. i litewsk. osiadłszy wspaniałego konia sobie podanego przy assystencyi niemniéj wszech województw, ziem, powiatów, konno przejeżdżał przez pole elekcyjne, miasto Leszno i przez przedmieścia wszystkie aż do samego kościoła kollegiaty ś. Jana przybywszy, tamże *a clero* był witany i do kościoła szczęśliwie przyprowadzony, gdzie przez książęcia Jmci prymasa zaczęto *Te Deum laudamus* ze śpiewaniem i okrzyknieniem ludu pospolitego kontynuowane było i gdzie zaraz tak zpoczątku na elekcyjném polu ze dwunastu armat jako i za zamkiem po trzy razy artyllerya koronna wydawała, przy rezonancyi i odgłosie wszystkich kościelnych w mieście i po przedmieściach dzwonów.

Po skończonem *Te Deum laudamus*, tenże król Jmc. i pan nowo obrany przez kościoł gankami ordynarnemi nazad do zamku przy licznéj assystencyi senatorów, ministrów, posłów, obojga stanów koronnych i litewsk, był odprowadzony i którzy przy kilku stołach w pokojach osobnych rozstawionych na kollacyą zaproszeni byli, solennie częstowani, gdzie i pod ten czas artyllerya koronna z wydawaniem z dział ognia pijąc zdrowie nowego pana i króla dała się słyszéć.

Dnia 13 miesiąca września a że *Pacta Conventa* do przysięgi podania królowi Jmki nowo obranemu były gotowe, więc wedle onych poprzysiężenia król Jmci Stanisław August pan nowo obrany przez książęcia Jmci prymasa i tak wielu innych senatorów, ministrów, posłów *utriusque Gentis* był do kościoła parafialnego od zamku przez ganki introdukowany, gdzie w tymże kościele kollegiaty ś. Jana takowe *Pacta Conventa praecedentibus solitis ceremoniis* poprzysiągł; po wypełnionéj któréj przysiędze, tenże król Jmc. Stanisław August do wszech zgromadzonych stanów obojga narodów miał wyborną mowę. Po któréj skończonéj mowie, król Jmci kościelnemi gankami *redux* do zamku od posłów cudzoziemskich i innych partykularnych panów urzędników w marmurowym pokoju *summe venerabatur*. A że tegoż krola Jmci blizko następowała koronacya, więc *Actus solemnis* téjże koronacyi, a oraz i sejm walny przez stany

obojga narodów determinowany był na dzień 25 miesiąca listopada, w roku 1764. Na którą blizko następującą koronacyą i miasto, stara Warszawa wedle erygowania bramy tryumfalnéj, i inszych parad mieć potrzebnych, nie bez znacznych expensów przygotowywać zaczęła się.

Dnia 30 miesiąca września w tymże roku 1764, Kejzerling rodem Kurlandczyk już w podeszłych latach wielki poseł rossyjski i pan mądry, który jeszcze za Augusta IIgo króla Jmci polskiego wielkie negocyacye i obroty poselstwa swojego znosił, z przyczyn jedzenia wiele owoców różnych a przez to z nagłego oziembienia żołądka w Warszawie *desiit vivere.*

Na koronacyą nowego króla Jmci w kościele farnym ś. Jana różne ganki dwupiętrowe dla lepszéj wygody spektatorów erygowano, i ławki gdzie niepotrzebne były na inne miejsca wynoszono, ściany kościelne różnemi obiciami adornowano, i inne reparacye potrzedne czyniono, a to *impensis et sumptibus* samego króla Jmci, do czego się kościół nic nie przykładał.

Dnia 25 listopada *in declivio* tegoż roku 1764, akt koronacyjny solenny nowego króla Jmci polskiego Stanisława Augusta przypadający skutek taki swój odbierał: najprzód *clerus processionaliter* wyszedł był gankami do zamku, zapraszając króla Jmci na tenże sam akt solenny koronacyjny, którego pana tenże *clerus retro* temiż gankami przy assystencyi wielu Jchmość mężów biskupów, panów *utriusque Status et Gentis* do kościoła sprowadził, a niemniéj przy assystencyi obojga narodów, marszałków laski bogate w rękach swych przed królem noszących, taż koronacya przez JO. ks. Jmci Łubińskiego prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego *solitis cum solemnibus ceremoniis de coronationibus Imperatorum et Regum praescriptis* zaczęta, *immediate* przed południem aż do samej piątéj godziny po południu *spectante omni congregrato populo*, gdzie niesłychany tłum po wszystkich miejscach był, odprawiona była, przez który czas koronacyjny artylerya koronna z ustawicznym wydawania z dział ogniem odzywała się. Który akt koronacyjny jako

*pompoissime* był odprawiony, przez drukarnie i opisy obszernie ogłoszony był.

Nazajutrz tojest w poniedziałek dnia 26 9bris, miasto stara Warszawa *cum specialibus solemnitatibus* przez mowę króla Jmci nowo obranego pana z zamku przez most umyślnie postawiony i suknem czerwonym obity, przez magistrat i osoby delegowane w paradzie wszystkich cechów *in armis a principalitate* konfraternii kupieckiéj polskiéj i niemieckiéj, którą naprzód wprowadzony był król Jmci na ratusz, a z ratusza w ubiorze zwykłym królewskim tegoż pana i króla przy assystencyi wielu panów senatorów ministrów, posłów obojga stanów koronnych i litewskich z ratusza sprowadziła do bramy tryumfalnéj *in foro* bardzo kosztownie erygowanéj pod bogatym baldachinem przyprowadziły, gdzie tam w bramie tryumfalnéj po odprawionych przez magistrat różnych mowach *et a throno* odpowiedziach, król Jmci pięciu osób z magistratu mieczem z pochew wyjętym podobnym modelem jako zwykli bywać Krakowianie nobilitowani w zażyciu zwykłych ceremonij nobilitował, a potém magistrat warszawski wierność temuż królowi panu a zaś wszystkie cechy z osób swoich podniosłszy dwa palce *versus coelum*, przysięgę zwykłą rotą opisaną wypełniali. Po tych wszystkich ceremoniach i innych przynależących odprawionych, król Jmci *retro* z bramy tryumfalnéj znowu na ratusz *in habitu Regali* był odprowadzony, ztamtąd zaś z królewskiego ubioru rozebrany niemniéj był przez mosty suknem czerwonym obite aż do samego zamku pod baldachinem odprowadzony, czego wszystkiego i innych ceremonij opisanych i drukowanych częścią po polsku a częścią po francuzku, rozdawane książeczki między panów senatorów, damy i różnemu ludowi *in pensis* tegoż miasta Warszawy były i obszerniéj o tym akcie solennie odprawionym też same książki drukowane. Z ich opisów i applauzów uczynionych, świadczyć *tempora imperpetua* mogą.

Wieczorem zaś samym tegoż miasta staréj Warszawy w cyrkumferencyi swojéj wszystek ratusz *in vim solatii et*

*gaudii* koronacyi króla Jmci odprawionéj przez lampy oliwne, latarnie extra ordynaryjnie robione, na galeryach tegoż ratusza rozstawione, przy niektórych inskrypcyach, emblematach *ad spectaculum etiam universi populi* był illuminowany i innemi rekwizytami adornowany, któréj illuminacyi chcąc się król Jmci przypatrzéć w głąb tegoż wieczora, takowy ratusz *circum circa* wraz z różnemi Jchmościami senatorami. ministrami, *et distinctionis status* domami objeżdżał i przypatrywał się.

Po odprawionéj koronacyi króla Jmci sejm walny *Coronationis* o swoim czasie zaczęty, pod laską Jmci p. Stanisława Małachowskiego starosty piotrkowskiego *in caeteris cathegoriis* zgodnie kontynuował się.

Na którym sejmie *et in continuatione ejus* król Jmci. P. N. M. różne wakanse, dygnitarstwa, pieczęciów, i innych urzędów duchownych i świeckich, rozdawał, a inne jeszcze przy sobie zatrzymał do dalszego czasu.

Kommissya skarbowa radomska koronna na tym sejmie koronacyjnym skasowana, a do Warszawy w podzieleniu onéj na roczne kwartały, tudzież i trybunały koronne tym trybem idące do Warszawy przeniesione były.

Sejm tenże koronacyjny o swoim czasie szczęśliwie zakończył się, jako *eo nomine* tych trzech sejmów *Convocationis Ordinum Regni, Electionis et Coronationis Regis*, konstytucye opisane koronne i litewskie gdy z druku wyszły w sobie opiéwają:

*His omnibus praemissis bonis avibus expeditis et subsecutis*, orzeł biały, klejnot korony polskiéj i całéj rzeczypospolitéj herbowny przedtém na polach sarmackich po śmierci niegdy Augusta III króla polskiego zaszłéj po latach i obrotach swoich odpoczywający i nieco w czasie długim zasępiony, z wielkiéj radości i uweselenia z przyczyny nowego króla i pana najjaśniejszego Stanisława Augusta obrania i ukoronowania, w sercu swojém bardzo uweselony, porwawszy z miejsc i gniazda swojego począł się do górnego olimpu przez różne loty i obroty wybijać, i przez takie loty

z wielkiém uweseleniem nad samemi morzami zabawiać się, w których łotach i obrotach na też same pola sarmackie, jako swoje własne i dziedziczne spuścił cedułę z tym wyrażonym anagramatycznym opisem, wszystkich lektorów, *tempora inperpetua* uweselającym:

Stanisław August, niech król polski żyje,
Niechaj pogonia herbowna odkryje
W sercach applauzy, radości, pociechy,
Niech brzmią i huczne Oezypla miechy,
Z odwag, pogoniów, Litewskiemu księztwu.
Czartoryskim zaś, rycerstwu i męztwu,
Niech życie, zdrowie, długoletnie służy,
I los fortunny, do lat setnych płuży.
Autor téj pracy, kiedy z serca życzy
Łask Boskich z niebios, miéć pragnie w zdobyczy.

---

## *Spis chronologiczny hetmanów małorossyjskich do czasów unii i pułków kozackich w różnych czasach* (*).

Porządek następowania hetmanów małorossyjskich aż do czasów unii nie u wszystkich pisarzy jednakowy, i nietylko niéma zgody w latach, ale nawet w samych nazwiskach i ich kolei, i tak:

*Podług Rubana:*

Przecław Lanckoroński ..... 1506.
Ks. Dymitr Wiszniowiecki ..... 1511.
Ks. Eustachy Rużyński 1514.
Wężyk Chmielnicki.. 1534.
Świrgowski..... 1574.
Bogdanko ..... 1576.
Podkowa..... 1577.
Szach.....
Skałozub.....
Kosiński ..... 1592.
*Bantysz Kamieński aż do Kosińskiego nie przyznaje żadnego hetmana.*

(*) W poprzedzającym zeszycie pisma naszego umieściliśmy wiadomość o hetmanach małorossyjskich i o kozakach do czasów unii; teraz jako dodatek uzupełniający tę pracę, udzielamy niniejszy spis hetmanów i pułków kozackich, pióra tegoż samego autora. *P. R.*

*Podług Markiewicza*:
Przecław Lanckoroński ..... 1500.
Ks. Dymitr Wiszniowiecki ..... 1512.
Ks. Eustachy Rużyński 1514.
Wężyk Chmielnicki.. 1534.
Ks. Michał Wiszniowiecki ..... 1569.
Świrgowski ..... 1570.
Bogdanko ..... 1573.
Podkowa ..... 1579.
Szach ..... 1582.
Skałozub ..... 1583.
Bezhetmaństwo 7 lat.
Kosiński ..... 1592.

*Podług Szerera*:
Przecław Landzibroński ..... 1506.
Dymitr Wiszniowiecki
Eustachy Rużyński..
Wężyk Chmielnicki.. 1543.
Świrgowski ..... 1574.
Bogdanko ..... 1576.
Podkowa ..... 1577.
Szach ..... 1578.
Skałozub ..... 1592.
Kozieński ..... 1593.

*Podług Radzimińskiego:*
Lanckoroński.
Dymitr Wiszniowiecki.
Eustachy Daszkiewicz.
Eustachy Rużyński.
Wężyk Chmielnicki.
Świrgowski.
Barsan.
Bogdanko.
Bogdan Rużyński.
Kosiński.

*Podług Kijowskiéj kroniki znalezionéj przez Pisarewa:*
Eustachy Daszkiewicz.
Przecław Lanckoroński.
Wężyk Chmielnicki.
Dymitr Wiszniowiecki.
Świrgowski.
Bogdan Rużyński.
Podkowa.
Szach.
Samuel Zborowski.
Skałozub.
Kosiński.

Pułków kozackich liczba różnie się zmieniała; za hetmana Rożyńskiego było ich 20:

1. Kijowski.
2. Czernichowski.
3. Siewierski.
4. Pereasławski.
5. Kaniowski.
6. Czerkaski.
7. Czygiryński.
8. Humański.
9. Korsuński.
10. Bracławski.
11. Kaliski.
12. Kropiwieński.
13. Ostrański.
14. Mirgorodzki.
15. Połtawski.
16. Gadiaczski.

17. Nieżyński.
18. Łubieński.
19. Przyłucki.
20. Winnicki.

Za hetmana Teodora Bogdana (Bogdanka) było pułków kozackich 10:

1. Kijowski.
2. Pereasławski.
3. Czerkaski.
4. Czygiryński.
5. Humański.
6. Korsuński.
7. Mirgorodzki.
8. Połtawski.
9. Bogusławski.
10. Ładożewski.

Za Bogdana Chmielnickiego, przy objęciu przez niego hetmaństwa, było pułków 34; a w r. 1650 było pułków 15; przy poddaniu się jego Rossyi było ich 17, jakoto:

| *Pułki:* | *Pułkownicy:* | *Liczb. kozaków.* |
|---|---|---|
| 1. Czyhiryński | Teodor Jakubowski | 3,189. |
| 2. Czerkaski | Jan Boronczenko | 3,989. |
| 3. Kaniowski | Siemion Pawicki | 3,120. |
| 4. Korsuński | Lucyan Mozyra | 3,472. |
| 5. Humański | Józef Głuch | 3,830. |
| 6. Bracławski | Daniel Nieczaj | 2,802. |
| 7. Białocerkiewski | Jan Fedorenko | 2,046. |
| 8. Kijowski | Antoni Adamowicz | 2,080. |
| 9. Pereasławski | Fedko Łoboda | 2,150. |
| 10. Kropiwieński | Filon Dżedżelej | 2,[illegible]. |
| 11. Przyłucki | Tymon Nosacz | 1,958. |
| 12. Mirgorodzki | Maksym Gładki | 3,158. |
| 13. Połtawski | Marcin Puszkarenko | 2,783. |
| 14. Nieżyński | Prokop Szumieńko | 983. |
| 15. Czernichowski | Marcin Nubaba | 936. |
| 16. Winnicki | Piotr Stagajło | 1,600. |
| 17. Gadiaczski | Bubało | 1,200. |
| | Razem | 41,354. |

Przy zniesieniu hetmana kozackiego było pułków 10:

1. Kijowski.
2. Czernichowski.
3. Pereasławski.
4. Mirgorodzki.
5. Połtawski.
6. Gadiaczski.

7. Nieżyński.
8. Łubieński.
9. Przyłucki.
10. Starodubski.

*Siedziby Zaporożców.*

Kaniów.
Czerkassy.
Perewołoczna.
Chortyc.
Tomakowka.
Nikityn.
Stara Sicz przy Czartomłyku.
Kamionka.
Alioszki.
Nowa Sicz przy Podpolnéj.

Razem miały 38 kureni.

Pułki kozackie nie miały jednakowéj liczby żołnierzy, zależało to od ludności mniejszéj lub większéj zamkniętéj w granicach pułku; np. w archiwum pułkowém Nieżyńskiém znaleziono szczegółowy opis pułków leżących w teraźniejszych guberniach kijowskiéj, i czernichowskiéj, i tak:

*Pułki:*

| | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Kijowski miał sotni | 11 | miast | 3 | miasteczek | 15 | wsi | 277 | futorów | 187 |
| Pereasławski | „ | 18 | „ | 2 | „ | 13 | „ | 204 | „ | 279 |
| Łubieński | „ | 24 | „ | 5 | „ | 13 | „ | 295 | „ | 1293 |
| Gadiaczski | „ | 18 | „ | 2 | „ | 9 | „ | 74 | „ | 1081 |
| Przyłuski | „ | 11 | „ | 1 | „ | 8 | „ | 137 | „ | 387 |
| Mirgorodzki | „ | 12 | „ | 5 | „ | 8 | „ | 108 | „ | 1169 |
| Nieżyński | „ | 22 | „ | 8 | „ | 7 | „ | 372 | „ | 671 |
| Starodubski | „ | 11 | „ | 6 | „ | 3 | „ | 608 | „ | 348 |
| Czernichowski | „ | 17 | „ | 4 | „ | 7 | „ | 374 | „ | 332 |

Szkoda wielka, że niéma takiego spisu szczegółowego innych pułków, leżących po prawéj stronie Dniepru; widzielibyśmy odrazu i rozległość i ludność Małorossyi. W oryginale Nieżyńskim każda wieś i futor wymieniona, a wszędzie nazwiska właścicieli dodane;—pamiątka bardzo miła dla wielu tamtejszych rodzin, chociaż wiele z tych wsi jest już miastami, wiele futorów wsiami, a wiele familij wymarło.

---

*Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.*

Dzień 24 maja przedstawił mieszkańcom Grodna bardzo zajmujący widok. Dwa młode żubry, Niemnem na bacie do carsko-sielskiego parku przewożone, w czasie kilkogodzinnego tu odpoczynku, tłumnie zwabiły nad brzeg rzeki miejscową publiczność, ciekawą przypatrzéć się tym pię-

knym oswojonym zwierzętom, które dotąd w stanie tylko dzikim zamieszkiwały puszczę białowiezką.

Piérwsza ta w naszym kraju próba, dotąd przynajmniéj nader pomyślne okazała wypadki, i wątpić nie można, iż z czasem znaczne dla dobra ogólnego przynieść może korzyści, przez wzbogacenie krajowego wiejskiego gospodarstwa nowym gatunkiem domowych zwierząt, które pod każdym względem niezawodnie większy niżeli krowy i woły obiecują dla gospodarzy użytek.

Że żubry ugłaskać się i przyswoić dają, stwierdza to dostatecznie trzyletnie doświadczenie, którém też słusznie pochlubić się godzi. Wówczas, gdy znakomity naturalista p. Geoffroy Saint-Hilaire dopiéro w roku przeszłym powziął myśl założenia w Paryżu zwierzyńca dla hodowania niektórych gatunków zwierząt, obcych klimatowi Francyi; u nas staraniem grodzieńskiego gubernskiego leśniczego p. kapitana Dałmatow'a, już w r. 1846 próba oswojenia żubrów udała się wybornie. W roku zeszłym para tych okazałych zwierząt została odesłana do londyńskiego zoologicznego parku, druga teraz właśnie wyprawiona do Petersburga, trzecia zaś wyśmienicie się hoduje pod okiem leśnego zarządu w Białowieży. Wiemy też, że w roku przeszłym domowa krowa odpolowała z żubrem, i że pięcioletnia żubrzyca, ujęta zeszłéj jesieni, już przyprowadziła ładne i zdrowe cielę. Wszystkie te ugłaskane żubry, obok zadziwiającéj bystrości i siły, nie okazują najmniejszéj bojaźni na widok licznie zebranego ludu, i owszem zdają się mieć daleko więcéj przywiązania do swego dozorcy, niżeli nasze domowe bydło.

Wspomniany kapitan Dałmatow piérwszy podobno upowszechnił między Rossyanami dokładniejszą wiadomość o żubrze, umieszczoną w nr. 45 Illustracyi petersburskiéj z r. 1846; teraz zaś, zgromadziwszy znaczny zasób ciekawych materyałów, przygotowuje do druku szczegółowe opisanie tego zwierza i jego obyczajów, tudzież historyą lasów litewskich i białowiezkiéj puszczy.

Grodno, dnia 6 czerwca 1848. ****.

## *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.*

W zbiorze wiadomości literackich i artystycznych, umieszczonych w Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie 88 na str. 193, zaszła omyłka w przypisaniu Vandykowi testamentu wynalezionego przez p. Stoop w Bruges, w archiwum katedralném św. Donata. Trudno atoli odgadnąć kto stał się omyłki téj sprawcą, czy sam p. Stoop! czy jego tłumacz? czy zecerowie (*)? Wiadomo bowiem choć cokolwiek obeznanym z historyą malarstwa: że *Van-Dyck* był uczniem Rubensa, który słynął za czasów Medyceuszów, i zakończył świetny swój artystyczno-dyplomatyczny zawód (**) w roku 1640; że Van-Dyck urodził się w Antwerpii 1599, a żyć przestał 1641 r., a więc we dwa wieki późniéj od daty wynalezionego przez p. Stoop testamentu, co nawet styl i sam sposób malowania dostatecznie udowadnia. Rzeczony przeto testament nie jest Van-Dycka, lecz *Van-Eycka.* Malarz ten urodzony w Mazeick r. 1366, na lat około sto przed Rafaelem, umarł w Bruges, według powszechnie przyjętego zdania r. 1441 (***), tojest w rok po sporządzeniu testamentu. Jemuto właściwie przypisują wynalazek malowania farbami olejnemi. *K. hr. T.*

(*) Byłato czysta omyłka druku, która też jeszcze przed odebraniem niniejszych uwag szanownego autora, na końcu poprzedzającego tomu sprostowaną została. *P. R.*

(**) W pewném towarzystwie wiédeńskiém, dama dworu cesarzowéj Maryi Teressy, rozmawiając z malarzem *Casanova*, zapytała go: „Powiedz mi proszę, czy pojmujesz jak Rubens, będąc zaszczycony tytułem ambasadora na dworze Filipa II króla hiszpańskiego, pomimo powierzonéj mu ważnéj missyi, mógł jeszcze zabawiać się malarstwem?" Na to wręcz odrzekł dowcipny artysta: „Mylisz się pani, Rubens był z professyi malarzem, a tylko dla rozrywki przyjął charakter dyplomatyczny.

(***) Landon Annales du Musée Napoleon t. 17, str. 46.

# WIADOMOŚCI
## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

### FIZYKA.

Zajmując się oznaczeniem ciężaru gatunkowego mieszanin metalowych, do których składu wchodzi złoto i srebro, Gustaw Rose (w Berlinie) przedsięwziął poprzednio dokładne poznanie ciężaru gatunkowego tych dwóch metali w różnych stanach, jakoto: stopionych, walcowanych, proszkowanych mechanicznie, strąconych w kształcie delikatnego proszku chemicznemi środkami.

Stopione a następnie raptem ostudzone złoto, przedstawia zwykle w swym środku małe dziurki, tak, iż przy warzeniu podobnego złota w wodzie, niepodobna oddalić bulek powietrza w środku massy w metalu zawartych. Wolno ostudzając roztopione złoto, nie natrafiamy na otwory w środku massy metalu, lecz natomiast złoto na powierzchni swéj krystalizuje się, a większe kryształy niezaprzeczenie zawiérają małe dziurki.

Dla tych powodów, autor przy oznaczeniu ciężaru gatunkowego, używał złota przetopionego a następnie stęplem sprasowanego. Z doświadczeń nad tak przygotowaném złotem wypada, iż ciężar gatunkowy tego metalu przy temperaturze 14° R., wynosi 19,336.

Srébro w podobny sposób przygotowane, dało na wypadek ciężaru gatunkowego 10,566.

Ciężary gatunkowe złota lub srébra sproszkowanych, zawsze są większe od poprzednio przywiedzionych wy-

padków. W ogólności z licznych doświadczeń autor wywiódł te wnioski: że ciężar gat. większy zawsze wypada, skoro metale użyte są w kształcie osadu chemicznego, aniżeli w wielkich kryształach lub kawałkach. Im delikatniejszym jest użyty proszek metalowy, tém większy jest znalezony wypadek na ciężar gatunkowy metalu.

Jako przyczynę tego zboczenia autor podaje to. że ciała w bardzo rozdrobnionym zostające stanie, posiadają własność zgęszczania wody na podobny sposób. jak zgęszczają w sobie gazy. Dlatego przy oznaczaniu ciężaru gat. ważymy w wodzie nietylko metal, lecz także dziurki napełnione zgęszczoną wodą, ztąd strata wagi w wodzie wypada mniejszą, a więc ciężar gat. większy. Wprawdzie ściśliwość wody jest bardzo mała, jednak sądząc z proszku węgla który do 35 objętości kwasu węglowego absorbuje, można mieć wyobrażenie o wielkości tego pochłonywania, które zapewne w ciałach posiadających znaczniejszy ciężar gat. daleko jest znaczniejsze. (*Pogdf. N.* 1, 1848).

* Mass stosując swój sposób zapatrywania na strumienie galwaniczne do niektórych zjawisk fizyki kuli ziemskiéj, następujące czyni porównania między zjawiskami towarzyszącemi rozpalaniu się drutów wewnątrz płynów (Bibl. War. czerwiec, 1848), a okolicznościami towarzyszącemi zorzy północnéj:

Na biegunie dodatnim stosu galwanicznego, ukazuje się zwykle kolor czerwony bez mieszaniny oranżowego; kolor zorzy jest czerwony lub różowo-żółty.

Kolor zielony bardzo rzadko na tymże biegunie bywa widzianym; i kolor zorzy niekiedy tylko bywa zielonawy.

Przy silném działaniu stosu, częściéj spostrzegać się dawał kolor biały; w Ameryce obserwowano zorzę północną w kolorze białym.

Na rozpalonym biegunie dodatnim, okazuje się szybki ruch falowaty cząstek świecących; i podczas trwania zorzy słupy świetlne są w ciągłym ruchu, a nawet niekiedy się krzyżują.

Drut nie jest nigdy rozpalony w całéj swéj długości, lecz jakby otoczony atmosferą ciemnawą koloru fioletowego. Podobnież w zorzy północnéj nad widnokręgiem widzialne są ciemne łuki, których kolor niekiedy czarny lub ciemnoszary w fioletowy wpada.

Igła magnesowa w czasie trwania doświadczenia nad rozpalaniem drutów, zbacza znacznie, wraca jednak do położenia jakie jéj nadaje magnetyzm ziemski, skoro przez drut przepuszczamy strumień przerywany. Hanstena i innych obserwatorów relacye stwierdzają ten fakt, że zboczenia bussoli wcześnie przed pojawieniem się zorzy daleko są znaczniejsze, i zmniejszają się w czasie trwania najświetniejszéj zorzy północnéj.

Zbliżenie okoliczności towarzyszących tym dwom fenomenom, naprowadza na wniosek, że zorza północna może i jest skutkiem działania oscyllacyjnego elektryczności. W razie prawdziwości téj hypotezy, temperatura stron atmosferycznych, w których zorza ma miejsce, winna się zwiększać w miarę tego, jak samo zjawisko coraz świetniejszém się staje. Obserwacye liczne możeby ten wpływ wykryć zdołały.

Mass do kategoryi zjawisk elektrycznych stara się zaliczy i inny powszechny na kuli ziemskiéj fenomen, błyskawice wieczorne, pospolicie zwane *błyskawicami z ciepła i pary*. Kaemtz tego rodzaju błyskawice bezgrzmotowe uważa tylko za odbicie się w atmosferze światła towarzyszącego dalekim burzom. Mass te błyskawice wypadające jakby z otwartéj chmury i po rozpierzchnięciu się na różne strony zwracające napowrót, poczytuje i porównywa z fenomenem, jaki dostrzegamy na biegunie ujemnym stosu, gdzie jak wiadomo światło jest mocne a ciepło bardzo wielkie. Pospolita nazwa: „błyskawice z ciepła" przewrócona na „ciepło z błyskawic galwanicznych", może byłaby stosowniejszą jako tłumacząca to zjawisko. Jeżeliby uczeni przekonali się, iż igły magnesowe podczas trwania tych błyskawic, nabywają oscyllacyj podobnych do obserwowanych już gwałtownych zmian w zboczeniu igły (tak zwanych burz magnetycznych), towarzyszących zorzom

północnym, wówczas powyższy domysł o powstawaniu błyskawic wieczornych bezgrzmotowych, wiele nabyłby prawdopodobieństwa.

Tworzenie się kamieni meteorologicznych, kul ognistych, gwiazd spadających i t. p. Mass poczytuje także za skutki działania strumieni galwanicznych.

Należy tylko określić i prawdopodobnemi hypotezami poprzeć, w jaki sposób kula ziemska za apparat galwaniczny uważana, pośredniczy przy tworzeniu się wszystkich wyżéj wzmiankowanych fenomenów. (*L' Institut, N.* 730).

*S. P.*

---

CHEMIA.

*Gutta percha.* Podług Soubeiran'a, gutta percha piérwszy raz w r. 1843 przez p. Montgommerie z Singapor została nadesłaną. Ciało to tém się szczególniéj zaleca, że rozmiękcza się w wrzącéj wodzie, a po oziębieniu zachowuje kształt poprzednio mu nadany i nie łamie się. Pochodzi ono z drzewa w Singapor rosnącego, a należącego podług świadectwa White, do gromady hebanowatych, albo też do gromady *Sapotaceae.*

Do dziś dnia niewiadomy jest sposób otrzymywania gutta perchy z powyższego drzewa; zdaje się jednak prawdopodobném, że po ścięciu, wybierają z niego wyschnięte warsty soku i jednoczą je w większe bryły, które w handlu znajdują się częścią drzewem, częścią ziemią zanieczyszczone.

Gutta percha jest brudno biała, z słabym zapachem i smakiem, i nie rozpuszcza się w wodzie. Kolor jéj pochodzi od pewnéj istoty, którą ciepłą wodą od niéj oddzielić można, i wtedy gumma sama pozostaje w kolorze szarym lub białym i przedstawia się w postaci tkanki włóknistéj z jedwabisto-szklącym połyskiem, jako miękka i nieco do palców przylegająca.

W zwyczajnéj temperaturze jest twarda, podobna do skóry, rogowata i giętka. W 50° jest bardzo giętka, i jeżeli mocno będzie wyciągnięta, niewiele się kurczy. W 65 do 70° mięknieje, pojedyncze jéj kawałki dają się z sobą zlepiać i wtedy nadać im można kształt jaki chcemy; ztąd téż to służyć mogą do odciskania na nich medalów, zamiast siarki.

Ciało to zsiadłe tak trudno się kraje, jak guma na sprężysta; jest lżejsze od wody, ale cięższe od kauczuku, bo ciężar gatunkowy jego wynosi 0,971.

W 150° gutta percha nabiéra przezroczystości, za oziębieniem traci biały kolor, a robi się ciemno-szarą i przezroczystą; a jeżeli znowu włożymy ją w wodę zimną lub gorącą, okaże się na nowo w postaci pierwiastkowéj.

Skład jéj jest taki sam jak kauczuku, ale niejednakowo z nim w rozmaitych cieczach się rozpuszcza. Wypadki z suchego przepędzania obydwóch istot są podobnego zapachu i posiadają skład jednakowy.

Jeżeli ją prażemy w naczyniu platynowém, wzdyma się, płonie jasnym płomieniem wydając sadze.

Woda, wyskok, ługi i kwasy nie działają na powyższą gummę. Kwas siarkowy stężony zwęgla ją; kwas saletrowy zmienia ją w istotę koloru żółtego. Eter i olejki rozmiękczają ją już na zimno, a za ogrzaniem rozpuszczają ią lubo nie zupełnie. Olejek terpentynowy rozpuszcza ją dobrze i można po odpędzeniu oddzielić go na nowo od téj gummy; ciało to wreszcie w niektórych względach zamiast wosku dałoby się zastosować.

Gutta percha z Chin przysłana, miała postać okrągłych bochenków chleba i przy podstawie była gładka. Po przecięciu okazało się, że gdy była miękką, jedna warstwa na drugiéj zostały ułożone.

Dla otrzymania czystéj gutty perchy, rozpuszczał Soubeiran handlową w olejku terpentynowym, a po ustaniu się cieczy, strącał gummę wyskokiem. Tym sposobem w postaci miękkiéj zebrana, posiadała własności pierwotne. Po wysuszeniu okazała skład następujący: 83,5 do 83,4 na sto wę-

gla i 11,3 do 11,5 wodorodu. Ciało to rozbiérane, pozostawiało także ślady popiołu i nieco kwasorodu; zapewne od zatrzymanéj w niém wody pochodzące.

(Wiadomo, że dzisiaj z gutta percby wyrabiają rozmaite rzeczy użyteczne, podobnie jak z gummy sprężystéj: i oprócz tego wiele wyrobów ozdobno zbytkowych, gdyż to ciało dobrze farbować się daje). (Treść z pisma *Annalen der Chemie und Pharmacie v.* Wöhler und Liebig, Band LXIV H. 3). *J. B...a.*

---

## *Zoologia.*

Orangutan zoologicznego ogrodu w Antwerpii, pochodził z zachodniego brzegu Sumatry; był on bardzo obłaskawiony i każdemu na żądanie rękę podawał. Trzymany w ciepłéj izbie, codzień jednak doznawał zimna. Leżąc na materacu, nakrywał czapkę na głowę i okręcał się wełnianą kołdrą albo skórą owczą. Dozorca jego sypiał z nim razem w jednéj izbie, ale zapominał często w nocy napalić w piecu; wtedy przychodziła do niego i budziła go małpa; niekiedy wsuwała się nawet bez swojéj kołdry w łóżko dozorcy, a ogrzawszy się, szła napowrót pod swoje materace. Często leżała podparłszy sobie ręką głowę. Wyglądała chorо, i we trzy tygodnie od przybycia, żyć przestała.

Członek Akademii bruxelskiéj p. Sommé, który postanowił zwierzę to z dokładnością badać, zastał że już się zajęto wypychaniem okazu do gabinetu zoologicznego Towarzystwa. P. Sommé wyprosił dla siebie kadłub, od którego już głowa odłączona była, i użył go do badań anatomicznych. Orangutan był z gat. *Simia satyrus L.* płci męzkiéj; przyznawano mu 2 do 3 lat wieku. Nie miał on tak wielkiego brzucha, jak go zwykle w książkach o historyi naturalnéj wyobrażają. P. Sommé troskliwie badał każdy szczegół budowy jego ciała, każdego podał wymiary zamieszczając

obok dla porównania stosunek odpowiedni u człowieka. Zwracał nadewszystko uwagę na te części ciała, które człowiekowi do wydawania głosu służą; nie wytłumaczył jednak w zadowalniający sposób, dlaczego orangutan gardłem tylko lekkie wydaje tony. Rzecz to osobliwa i która nigdy nie przestanie nas dziwić, ta tak nieznaczna różnica pomiędzy małpą a człowiekiem, co do anatomicznéj budowy ciała! Zębów było 20, co odpowiada 2—3letniemu dziecku. Żaden ze sprowadzonych do Europy orangutanów nie doszedł wyższego wieku. Ten, którego miała cesarzowa Józefina, a o którym Frederyk Cuvier tyle ciekawych szczegółów podał, miał tylko 10 do 11 miesięcy, a 5 miesięcy żył we Francyi przez ten wszakże czas dawał liczne dowody zadziwiającéj roztropności. Zdaje się że orangutan w Europie, krótko tylko żyć może; zwykle zaraz po przybyciu umiera, często nawet już w podróży. Nie rozstrzygnięto więc jeszcze jak dalece z wiekiem rozwija się w nich roztropność i jaki wzrost ciała osięgnąć mogą. Osada angielskiego okrętu w r. 1825 zastrzeliła na północno-wschodnim brzegu Sumatry, małpę na 7 stóp ang. wysoką. Malajczycy piérwszy raz téj wielkości małpę widzieli i domyślali się, że ze środka kraju przybyła; niepewną zatém jest rzeczą małpę tę za dorosłego orangutana uznawać. Z pewnością znamy tylko dotąd czerwono-żółtego orangutana, który na Borneo i Sumatrze żyje, i szympansa (*Simia troglodytes*) w Afryce. Europejczycy nie dostali się jeszcze do środka wielkich wysp oceanu Południowego; również nieznany im jest środek niezmiernego, od Senegalu aż do Przylądka Dobréj nadziei a odtąd aż do Czerwonego morza rozciągającego się kraju, zamieszkałego przez pokolenia murzynów tak odmienne kształtem i językiem. Pomiędzy rozmaitemi orangutanów i murzynów rodami, możeby się dały bliższe zależności wynaleźć; wiemy już z pewnością, że w afrykańskich lasach mieszka potężny małp gatunek, który z krajowcami bój wiedzie; zabija ich gdzie tylko znajdzie. Murzyni niektórych pokoleń zbliżają się do orangutana kolorem skóry, szerokością nosa, wydatnością szczęk,

wychudłością i krzywością goleni. Liczymy 26 kręgów u człowieka, 23 u orangutana. Autor ma taki skielet murzyna, u którego jest tylko 25 kręgów. Czy to jest prawidło, czy też wyjątek, rozwiązać jeszcze potrzeba: jak nie znamy z pewnością i wszystkich przejść od człowieka do zwierząt. (*t. N. nr.* 65 z *Bulletin de l'Acad. Roy. des Sc. de Bruxelles, nr.* 4. 1847).

* Przy rozrzucaniu łomu kamieni na wyspie Grand Canary, znaleziony był skielet psa olbrzymiego, należycie dochowany. Kupił go konsul francuzki i do muzem w Paryżu odesłał. Pies ten należał do ogromnéj rasy, która, według Pliniusza, nazwisko wyspom Kanaryjskim nadała, lecz która już od kilku wieków wymarła. (*F. N. nr.* 61 z *Atheneum nr.* 1010, 1847).

* W łonie piaskowego kamienia przy Greensbury w Pensylwanii, znaleziono ślady stóp czworonożnego zwierzęcia *Chirotherium*. Rozkład palców dozwolił oznaczyć przednie i tylne nogi, i odległość ich kroku. Skała, na któréj się okazały, zanurzona była w potężnym pokładzie węgla, obfitującym w wyciski różnych roślin, jakoto: *Lepidodendron, Stigmaria, Calamites, Sigillaria*, paproci i t. d. nad i pod tym piaskowcem. PP. King i Lyel przekonali się dokładnemi badaniami o rzeczywistości śladów tego czworonoga, którego odkrycie, jako zwierzęcia oddychającego powietrzem, nader ważne jest dla geologii. Wspomnieni panowie znaleźli prócz tego w Ameryce rozmaite wyciski, podobne śladom ptaków, psa, bydląt, których wszakże część większa po dokładniejszém rozważeniu okazała się być indyjskiemi hieroglifami. (*Ib. nr.* 55, z *Bibliothèque universelle de Genève* 1847, *nr.* 12).

* *Uwagi nad rodz.* Apar, *jego gatunkami i prawdziwemi ich cechami, które dotąd ze sztucznie ułatanego okazu wzięte były*; p. Iz. Geoffroy Saint-Hilaire. Apar Buffona jest najosobliwszym gatunkiem familii pancerników (*Tatous*): głowa, kadłub i ogon, są u niego okryte kościstemi i rogowemi tarczami, które się składają z prostokątnych, pięcio lub sześcio-bocznych tabliczek, niekiedy nawet innego kształ-

tu, lecz zawsze w najpiękniejszy sposób rowkami, jakby rytemi ozdobionych. Że to zwierzę ma trzy ruchome pasy, które pomiędzy piersiową a grzbietową tarczą leżą, a przez które ono może się zwinąć, oraz głowę i nogi pod swoje pancerze wciągnąć, Linneusz nazwał je *Dasypus tricinctus*. Illiger, który je najpiérwéj do rodzaju wyniósł, nadał mu nazwisko *Tolypeutes*, ale Cuvier nazwał je gatunkowém imieniem Buffona *Apar*, czego za nazwisko podrodzaju użył.

Według Cuviera cechą téj grupy są palce pancerników z jego rodzaju *Cachicames*, a 9 do 10 zębów wszędzie; jéj zaś zworzem jest *Tatou Apara* Marcgrawa, albo *Apar* Buffona, mający być tém samém co *Mataco* Azary i *Dasypus tricinctus* Szrebera.

Charakterystyka Cuviera, równie jak prawie wszystkie opisy *Apara* wzięte są albo z okazu, który długo był jedynym i do Muzeum historyi naturalnéj należał, albo z nader dokładnego rysunku, który Seba w roku 1734 ogłosił. Rysunek ten wszakże wzięty był, jak się z pewnością autor przekonał, z okazu, który dotąd jeszcze znajduje się w Muzeum, a który pod koniec XVIII wieku ze zbiorami z Holandyi sprowadzony był do Francyi.

Indywiduum to zatém jest prawie jedyném źródłem wszystkich dotychczasowych podań w pismach zoologicznych o budowie i cechach rodz. *Apar*: ale źródło to, jak zapewnia autor, jest mętne, bo rzeczony okaz jest dziełem sztuki. Niestosunkowość nóg tylnych i innych części ciała, obudziła podejrzenie w autorze; postanowił on rozebrać go, rozmoczyć i wybadać dokładnie; zkąd pokazało się, że domysł jego nie był płonnym. Apar Seby, Cuviera i wszystkich zoologów nowszych składał się w górnéj połowie z apara spojonego sztucznie pod brzegami pancerza grzbietowego, z dolną połową wziętą od jakiegoś gatunku z rodz. *Cachicame*: zkąd to mniemane podobieństwo palców u obudwu, według którego Cuvier podaje cechy aparów i umieszcza je w piérwszym pancerników oddziale.

Niemniejszego i synonimia sprostowania wymaga. *Dasypus tricinctus* Schreb. na wizerunku jest kopią z Seby;

*Tatou Apara* Marcgrawa, podług którego Buffon opisuje apara, jest podług Linneusza *Dasypus tricinctus*, którego cechy zdają się znowu być wziętemi z naszego sztucznie ukleconego okazu. Wszakże opisanie zwierzęcia *Mataco* u Azary, nie we wszystkich szczegółach przypada do *Apara* Buffona; lecz nowy raczéj zapowiada gatunek.

Obecnie jest w Muzeum nietylko ten gatunek, ale dwa okazy *apara* według Marcgrawa, Buffona i Cuviera, podług których autor następujące cechy skréśla:

*Cecha rodzaju.* Grzbietowy pancerz złożony ze trzech tarczy: na głowie, na piersiach i na ciele; pomiędzy niemi pewna liczba ruchomych pasów (u gatunków z pewnością znanych trzy). Wieloboczne, według swojego położenia rozmaicie ukształcone łuski, prawie wszystkie z drobnemi guzikami (mniéj lub więcéj zużytemi).

Przednie nogi kończą się dwoma głównemi palcami, jeden z nich (średni) krótki, ale niezmiernym uzbrojony szponem, nieco zakrzywionym i spłaszczonym: drugi (skazujący) nierównie dłuższy i opatrzony daleko szerszym lecz i daleko krótszym paznogciem, tak iż obydwa palce wraz ze swojemi paznogciami są prawie równe sobie. Zewnątrz palca z wielkim paznogciem leży inny mniejszy palec (odpowiedni serdecznemu). Wewnętrzne i zewnętrzne palce są w ogólności bardzo małe, ostatni wewnętrzny tylko rudymentarny.

Nogi tylne mają pięć palców z bardzo krótkiemi, szerokiemi paznogciami; wewnętrzne i zewnętrze palce daleko krótsze od innych.

Ogon krótki, w całéj swojéj długości pancerzem okryty.

Zęby jednakowe, walcowate, po każdéj stronie każdéj szczęki ośm lub dziewięć, przednie i tylne daleko mniejsze od średnich.

Wielkość (*taille*) 2 do 3 decymetrów.

*Oznaczenie gatunków.* Autor wprawdzie miał trzy gatunki przed sobą, ale jednym z nich, który p. Castelnau ze swojéj podróży przywiózł, nie mogąc rozrządzać, nie mógł go tém samém i opisać.

1) Właściwy Apar (*l'Apar type*) *Tolypeutes tricinctus*, to jest apar Buffona i *Dasypus tricinctus* Linneusza i Schrebera, wyobrażony przez Pizona i Redego. Wszystkie te dawniejsze figury są albo daleko grubsze niż te które pochodzą z XVII wieku, albo z okazu sztucznego zdejmowane były. Prawdziwe cechy tego gatunku są:

Grzbietowy pancerz żółtawy, każda łuska głęboką brózdą otoczona. Hełm, czyli tarcza głowy, która na środku składa się z wielu tabliczek ułożonych parami, prócz górnéj części głowy, okrywa jeszcze trójkątną przestrzeń pomiędzy okiem a uchem. Tak u przednich jako i u tylnych nóg pięć palców; wewnętrzny z przedłużonym paznogciem, zewnętrzny tylko rudymentarny ale znaczny szerokim, trójkątnym, bardzo rozwiniętym paznogciem.

Sierć od spodu szara.

Ogon bardzo krótki, gładki, trójkątny (przy podstawie 4 centymetry szeroki, długości 5, 5 centym.).

2) Apar z ogonem stożkowatym, *Tolypeutes conurus*; *Tatou mataco* Azary.

Grzbietowy pancerz szary, każda łuska słabą tylko brózdą otoczona. Hełm w środku nie składa się z parzystych łusek i nie przedłuża się pomiędzy oko a ucho.

U nóg przednich tylko trzy palce z rudymentem czwartego (który wyobraża palec wewnętrzny); palca zewnętrznego nie ma.

Sierć od spodu czarnobrunatna.

Ogon stożkowaty (szer. u podstawy 4 centym. długi 7 centym.).

Oprócz tego różni się od zwyczajnego apara głową pomiędzy ciemieniem a przodem ściśnioną, i małemi odmiennościami w rozkładzie zębów. Różnice w liczbie zębów, są może skutkiem rozmaitości wieku. Apar ze stożkowatym ogonem miał po każdéj stronie szczęk 9 zębów, gdy dwa drugie gatunki tylko po 8 rozwiniętych zębów miały, z tyłu których wszakże w górnéj szczęce znajdował się mały ząbek, tkwiący jeszcze w jamie zębowéj.

Jak wszystkie téj familii zwierzęta, tak i te dwa gatunki do Ameryki należą. Apar właściwy znajduje się w Brazylii; drugi w Tucuman i na pampasach przy Buenos-Ayres, ale podług p. d'Orbigny, jest także w prowincyi Santa-Cruz de la Sierra, zkąd ma i opisany okaz z Muzeum pochodzić. (*F. N. nr.* 53 z *Comptes rendus* 1847, *nr.* 14).

* Professorowi Gray oddane były niedawno do zbadania ziemne reszty, pomieszane z ułomkami drzew i gałęzi, znalezione w miejscu żołądka przy skielecie mastodona, wykopanym pod górą Schooley i ustawionym w Bostonie. Cząstkami drzewnemi były drobne, zupełnie równe, około ½ cala długie kawałki rocznych do 3letnich gałązek, jeszcze niekiedy korą nieprzyodzianych. Nie całe drzewo było skamieniałe, jednak mało co tylko się zmieniło. Już na oko podobniejsze były do sosnowych niżeli do jodłowych, co też mikroskop całkowicie potwierdził. Komórki drzewa doskonale przedstawiły dziurki właściwe szyszkowatym. (*Ib. nr.* 61 z *Sillimans Journal*, *maj* 1847).

* P. Paweł Gervais opisał kopalne kości przeżuwającego zwierzęcia blizkiego owcy i kozie, pochodzące z trzeciorzędowéj formacyi środkowéj Francyi. Odkrył je pomiędzy wielu resztami kości innych zwierząt ssących, zebranemi przed 14 laty w jaskini Mialet koło Anduze. Widocznie należą do rodzaju koziorożca, względem czego porównanie dobrze zachowanych sztuk, żadnéj nie pozostawia wątpliwości. Kształt czaszki, kierunek, grubość i poprzeczne przecięcie rogów, przednie udy i członki palców są całkiem jak u koziorożca; że jednak nie wszystkie wynalazły się części, nie można było oznaczyć, czy to zwierzę należało do gatunku podziśdzień jeszcze w Pireneach żyjącego. Zachowano te kości w zbiorze wydziału umiejętności w Montpellier. (*F. N. nr.* 59 z *Comptes rendus* 1847, *nr.* 16).

* P. Ilia Woznesenski znalazł na wyspach Berynga pozostałe kości szteleryny (*Rhytina borealis seu Stelleri*). Składają się one z całkowitéj czaszki z dolną szczęką, z pierwszego kręgu szyjowego, ze 3 ułomków żebra i 3 kości nieoznaczonych jeszcze. W czaszce okazuje się więcéj

związku z rochlicami (*Manatus*), niżeli z piersiopławkami (*Halicore*): nawet i żebra są bardziéj jak u rochlic. Znaleziona czaszka różni się jednak od obojga: 1) że alweolarny brzeg dolnéj szczęki, aż do zrośnienia jéj (*symphysis*), jest trójkątny, ostry, ku wewnątrz nagięty; 2) że wcale w nim zębów niéma; 3) że zewnętrzny otwór w kanale dolnéj szczęki, położony jest daleko ku tyłowi. (*Ib.* z *Bullet. de l'Acad. de St. Petersb.* 1847, *nr.* 122, 123).

* W *American Journal of science and arts, January* 1847, opisuje James Deane nowe, przy spadach Turnera odkryte wyciski stóp ptaka i trzech czworonogów.

Ślady ptaka zachowały się bardzo dobrze, były długie i wązkie; palce mało oddalały się od siebie, ale dalekość kroku była bardzo znaczna. Jak widać z wielkości kroku i budowy nogi, muszą to być wyciski długonożnego ptaka brodzącego (*wader*), co również okazuje się i ze śladów w dolinie Connecticut postrzeganych (1). Wszędzie tam dalekość stąpień jest znaczna; największe wyciski długie cali 14, odległe są od siebie cali 48, przeto w stosunku jak 7 do 24. U gatunków mniejszych stosunek ten jeszcze bardziéj jest uderzający, bo na 2 cale długości stopy, wypada 22 dalekości kroku, zatém 1 do 11. Stopa nowo-odkrytych gatunków ma 4 cale długości a kroki 16 cali dalekie; u jednego gatunku długość stopy 2, dalekość kroku 12 cali wynosi.

Pięknie dochowane ślady ptaków okazują najwyraźniéj, że te dawne mieszkańce planety naszéj w zalanych okolicach żyły, ale czy przyczyna tych zalewów peryodyczną czy okolicznościową była, jestto pytanie ważne lecz do rozwiązania niepodobne. Wycisk na miękkim szlamie tylko wtedy może swój kształt zachować, gdy na powietrzu stwardnieje; ale takie stwardnienie nie może być dziełem kilku godzin: niepodobna więc przypuszczać, ażeby to był zalew przez peryodyczne powroty wezbrań morza. Przypuszczenie to tém niepodobniejszém czyni cienka, błyszcząca po-

(1) Zob. Bibl. Warsz. r. 1845 t. IV, str. 466.

włoka, odziewająca powierzchnią warstw na których są wyciski, i zupełnie podobna błyszczącemu, delikatnemu osadowi, który podziśdzień jeszcze z mętnych, stojących wód w naszych kałużach, przy powolném ich wysychaniu opada. Taka lipka powłoka (mada) już po kilku dniach latem twardnieje, tak że zostają na niéj wyciski. Podobne zjawisko okazało się na tablicach piaskowca ze spadów Turnera; na miejscach niżéj położonych wyciski były głębsze lecz prawie niewyraźne, na wyższych mniéj głębokie ale dokładne. Piérwsze wtedy się stawało, gdy warstwa mułu była jeszcze bardzo rzadka, tak że głębszy ślad znowu się zaciągał; drugie oczywiście, gdy muł tęższy ustępował mniéj głęboko, ale się dokładniéj wyciskał i prędzéj po wyciśnieniu wysychał. Opisana tu warstwa mułu osadza się tylko z wód stojących przy powolném ich parowaniu, gdy w wodach wzbiéraniem i opadaniem wzruszonych, utrzymuje się ona w stanie rozwleczenia.

Kiedy stojące wody zwolna waporują, ubywanie ich zaznacza się pasami mułu przy brzegu; i te pasy znalazł autor na tablicach piaskowca przy spadach Turnera. Tu wyciski stóp najzupełniejszemi okazały się na najwyższéj, po większéj części 6 cali szérokiéj warstwie; były nawet niekiedy z wyciskami kropel deszczowych pomieszane. Warstwa druga była już bardziéj spłókaną i wyciski na niéj zmyte. Z trzeciéj powłoka mułu całkiem się zmyła i żaden już wycisk nie znalazł się na niéj.

Jeśli już przytoczone tu okoliczności mówią za nieperyodycznym zalewem, to nawet składowe części skały oznajmiają gwałtowność silniejszych poruszeń wody. Skała ta złożona w największéj części z okruchów skał dawniejszych i z rozmaitéj wielkości kamyków kwarcowych, które woda pozaokrąglała, otoczona jest licznemi szczątkami drzew zebranych w massy uwarstwowane i nieuwarstwowane. Autor przeto sądzi, że potrzeba przypuścić niezmierny zalew przez wezbranie rzéki Connecticut, któréj gwałtowne prądy pozgromadzały te kupy kamieni, mieszając do nich szczątki dawniejszéj wegetacyi.

Wszystkie wyciski śladów znajdujące się w dolinie Connecticut, znajdują się także i przy spadach Turnera; p. Marsch odkrył pomiędzy niemi nowe ślady czworonoga, które się różnią od wszystkich dotąd wykrytych. Są one we dwa równoodległe rzędy ustawione, tylko że u jednego gatunku piérwszy i drugi ślad są bliżéj siebie, gdy jednocześnie znaczna okazuje się różnica wielkości pomiędzy dwiema stopami. Szkoda, że wyciski niższych gatunków są zbyt niewyraźnemi. Wnosząc z kształtu stopy i z oddalenia pomiędzy przednią a tylną stopą, wyciski te odnieść należy do salamander czyli gadów żabowatych ogoniastych. Ze dwóch gatunków, których się mnóstwo znajduje, jeden ma grube palce i krok mały, u drugiego palce węższe i większa dalekość kroku.

Znajduje się jeszcze inny rodzaj wycisków stopy, u którego łapy przednie ukazują pięć odstających palców, gdy u wązkich i daleko dłuższych tylnych nie znać wyraźnie żadnych palców. Wycisk tych stóp tylnych jest daleko głębszy od tyłu niż od przodu. Chociaż się one nie przy sobie znajdują, lecz zawsze w znacznéj odległości od siebie, autor wszakże wnosi, że należą do czworonożnego zwierzęcia, zapewne z rodzaju *Rana*, i odległość przedniej stóp pary od tylnéj za dalekość skoku uważa.

Trzeci rodzaj nowo znalezionych śladów czworonoga mniéj dokładnie był wyciśniętym; zdawały się stopy jego złożonemi z pięciu palców, a raczéj ze czterech i palca wielkiego. Kształt stopy, jéj położenie i jéj stosunek względny każą je przyznać zwierzęciu z rodzaju *Chelonia*, co wszelako przyszłe dopiéro badania rozstrzygnąć mogą.

Wszystkie te zwierzęta porównane z olbrzymiemi ptakami, z któremi jednęż okolicę zamieszkiwały, w stosunku do nich niewielkiemi były.

W jednéj z uwag wspomina autor o postrzeżeniu prof. Agassiz, który na zupełnych wyciskach śladów ptasich, tylny palec zawsze ze dwóch, wewnętrzny ze trzech, środkowy ze cztérech a zewnętrzny z pięciu członków złożony znajdował. (*F. N.* 1847, *nr.* 49).

* Ptaka znajomego poławiającym foki pod nazwiskiem *the Fireman*, według pana Strange uważać należy za drugi gatunek nielota (*Apteryx*). Ma on nieść w jamach w ziemi jaja brudno-białe, wielkości kazuarowych. Wysokość ptaka 3 stopy wynosi. Może też on okaże się być gatunkiem moy (*Dinornis*). (*Id. nr.* 65 z *Athenaeum* 1847 *nr.* 1020).

* Hr. Tyzenhauz z Wilna, tłumaczy w *Revue zoologique* (Nr. 9 z r. z.) przyczynę, dla której pierze dzikich kaczek trafia się niekiedy zafarbowane kolorem różowym. Między znaczną liczbą dzikich kaczek które przyniesiono autorowi dnia 13 lipca 1846, u dwóch młodych cyranek (*Anas crecca*) i jednéj staréj kaczki (*Anas boschas*), czoło, jagody, wszystkie części dolne od dzioba aż do wierzchołka ogona zafarbowane były pięknym kolorem różowym, wpadającym w karminowy, a kolor ten, nawet ciepłą wodą z mydłem wcale się nie zmywał: co większa skóry tych kaczek, dotąd przez autora zachowywane, jakkolwiek wystawione na światło dzienne, nie zmieniły bynajmniéj natężenia koloru. Autor znalazł, że przed nim jeden tyko Naumann w swojéj Historyi naturalnéj ptaków niemieckich, wspomina o podobném zjawisku, przypisując je pewnemu gatunkowi mszycy na liściach łoz i innych wierzb żyjącemu, któreto owady ptak rozgniata w czasie przedzierania się przez gęstwinę krzaków. Hr. Tyzenhauz nie przyjmuje wcale tego tłumaczenia, lecz uważa że źródłem koloru są odsłonięte korzenie wierzb na błotach, z białych stające się mocno czerwonemi, gdy kaczka długo na nich siedzi. Kolor ten, mówi autor, powstawać może z działania na salicynę wyziewów zwierzęcych pod wpływem wilgoci i kwasorodu, albo też innych niepoznanych jeszcze okoliczności. Rzadkość podobnego fenomenu tłumaczy autor tém, iż on tylko w bardzo gorące i suche lato nastąpić może. Czyni nakoniec uwagę, iż może i niektórych innych ptaków wodnych odmiany, których znajdowano okazy do różnego stopnia różowym odznaczone kolorem, są tylko przypadkowym ich stanem, który z téj saméj wynikł przyczyny.

* Lavalle (w *Comptes rendus*, 4 *Janv.* 1847) zastanawia się nad składem pancerza u czerwiów. Pancerz tych zwierząt przedstawia trzy odmienne warstwy: cienką warstewkę naskórkową, podobnież cienką warstwę pigmentu, i właściwy pancerz czyli warstwę skórną (*couche dermique*). Podkładem na wszystko jest tkanina włókien częścią ukośnych, częścią poziomych, która się rozciąga po całém ciele, a podczas lenienia się całkowicie spada. W stawach brakuje osadu soli wapiennych, które sam pancerz tak twardym czynią. Zachodzą głównie trzy różnice, jakoto: 1) gdy skorupa składa się cała z ukośnych, równoległych włókien; 2) gdy do tych mieszają się włókna poziome, których rozgałęzienia żółtawe, łączą się z sobą żyłkowaniem (anastomoses), i 3) gdy cała skorupa składa się z takich poziomych włókien. Włosy na pancerzu wkorzenione są całkiem w skórową warstwę i przebijają dwie następne. Wychodzą one ze zgrubienia podobnego cébulce, a przez całą ich długość ciągnie się kanał (*F. N. nr.* 25).

* Zamykanie skórkowatych skrzydeł w rodzaju *Locusta*, uskutecznia, według dra Józefa Leidy, ściąganie się osobnych muskułów (*extensores alae*), które leżą i w tułuwie i u podstawy żyłek podłużnych (*longitudinal veins*), i w korzeniu skrzydeł przyrastają do nich. W stanie spokojności skórkowate skrzydła leżą zfałdowane wachlarzowato pod pargaminowatemi pokrywami; odłączone od ciała owadu i rozpostarte w palcach, w mgnieniu oka znowu się składają, jak w położeniu spokojném. Mechanizm, który sprawuje zamykanie się odłączonego skrzydła; tak dokładne jak gdyby ono przy ciele żyjącego zwierzęcia zostawało, stanowią wstęgi ścięgien okręcone spiralnie jak śruba, około żyłek połączających, a także ruchomych. Podczas ściągania się muskułów, te spiralne wstęgi sprawują rozpostarcie skrzydeł, które potém, gdy ściąganie się ustaje, same się zamykają fizycznem usposobieniem wstęg ścięgnowych. Te ścięgnowe wstęgi są liczne i znajdują się u wszystkich jakie autor badał, gatunków rodzaju *Locusta*, całkowite skrzydła mających. (*F. N. nr.* 37 z *The annals and mag. of. nat. hist. march*, 1847).

*Gdy motyle nocne, które w dzień spokojnie siedzą, na miejscu przebijemy śpilką, siedzą one spokojnie aż do nadejścia nocy: gdy noc nadejdzie, zaczynają się trzepać aż do świtu, poczém znowu do dawniejszego spokojności stanu wracają, i tak daléj. Co do motylów dziennych, ma się to samo w odwrotny sposób. Turner słusznie ztąd wnosi, że trzepanie się przekłótych motylów, wcale nie jest skutkiem doznawania przez nie bólu. (*F. N. nr.* 32 z *The Zoologist. Janv.* 1847).

* Dufossé nowo badał rozwijanie się jeżowców z gat. *Echinus esculentus.* Wszystkie jaja w jajeczniku tego zwierzęcia zawarte, dały się zapłodnić sztucznie obmoczeniem w kilku punktach ich skorupy kropelką cieczy nasiennéj i wody morskiéj. Embryonalne życie trwa 24 do 42 godzin, stosownie do temperatury i innych okoliczności; w 13—15 minut po zapłodnieniu zaczyna się rotacya; we 4—6 godzin rozpadnienie się żółtka; wtedy naokoło z większych kulek powstają mniejsze, i wokoło całego żółtka tworzą gruby pokład: przyszłe skóry okrywające. Skóra żółtkowa znika, białko staje się przezroczystém jak woda. Wkrótce powierzchnia embryona okrywa się nader delikatnemi rzęsami, i zwykle około we 24 godzin porusza się embryon bardzo żywo i zaraz potém przebija się przez skorupę jaja. Gąsienica (1) ma kształt dorosłego zwierzęcia, aż do 6—8 dnia, w którym ciało od odchodka przedłuża się nieco. Zewnętrzna powłoka tegoż jest wymiaru: wewnątrz zamiast wielkich kul, widać krótki gardziel (*oesophagus*) i kiszkę, a w środku obszerny żołądek. W 12—15 dniach ciało przybiéra kształt gruszki, pomiędzy gębą a odchodkiem ukazują się głębokie linie koliste na skórze; strona od gęby jest najgrubsza, wkoło gęby czułki. W 16—18 dni gąsienica przyczepia się stale za pomocą szypułki na stronie tylnéj, i już się nie porusza. Wokoło gęby wzno-

(1) Zwyczajem jest tak nazywać wszędzie przez analogią pierwiastkowy, przed epoką dojrzałości znacznie odmienny stan zwierzęcia, jak np. kijanek pomiędzy niektóremi gadami i t. d.

szą się brodaweczki, na których potém dnia 20 ukazują się stosunkowo bardzo długie kolce, już wtedy wapno zawiérające. Postrzeżenia te, dotąd niezupełne, doprowadzone jednak aż do przejścia zwierzęcia w stan dojrzały, okazują już, że embryon ma prawy typ promienistych (*radiata*), gdy wszystkie części ciała ułożone są symetrycznie wokoło gęby, i wokoło środkowéj osi. (*Id. nr.* 42 z *Comptes rendus* 1847, *nr.* 1).

* W *Annales des sciences naturelles, Oct. et Nov.* 1846, znajduje się dosyć obszerna praca p. Quatrefages w przedmiocie anatomii sągwowatych (*Nemertiens*), mało dotąd znanéj a ciekawéj grupy zwierząt niższych. Anatomią ich przedstawia autor systematycznie, zaczynając od zbadania pokrycia na ich ciele; tojest: *a*) naskórka gęstemi, krótkiemi i delikatnemi okrytego włoskami; *b*) skóry (*dermis*) bezpośrednio pod naskórkiem leżącéj i składającéj się ze dwóch warstw: zwierzchniéj przezroczystéj i dosyć jednostajnéj, i spodniéj siatkowatej; *c*) włóknistego pokładu, oddzielającego skórę od muskułów właściwych, złożonego z włókien, które po większéj części poprzecznie idą. Wszystkie te szczegóły najwyraźniéj okazuje gatunek *Borlasia Angliae*. Pokrycie sągwowatych tak jak wypławek, nader szybkiemu rozkładowi ulega, wypada przeto śpieszyć się z badaniem go mikroskopicznem. Na pokryciu sągwowatych nie ma żadnego śladu kolców ani organów parzenia, jak u wypławek, za to skóra (*dermis*) piérwszéj warstwy nie ma. Opisuje daléj warstwy muskułów skórnych do lokomocyi służących, których budowa również najwyraźniejsza jest u gat. *Borlasia Angliae*, jako największego z familii. Lokomocya tych zwierząt jest trojaką. Niektóre jak np. *Polia bembix*, pływają żwawo się wijąc, prawie jak pijawki, lecz najwięcéj gatunków powolne tylko na dnie wykonywają zgięcia. Wszystkie gatunki czołgają się po powierzchni ciał stałych, przyczém kształt ich ciała w uderzający odmienia się sposób. Cała massa ciała skupia się w kulę, poczém przez szybko po sobie następujące w jednymże kierunku ściągnienia, znowu się rozlewa. Najdokładniéj zjawisko to przed-

stawiają polie. Trzeciego rodzaju lokomocyą widzieć można u wielkich gatunków z rodz. *Valencinia*, *Borlasia*, i *Nemertes*. Z pośrodka kłębka w który zwierzę jest zwinięte, wysnuwa się ciągle przedni brzeg ciała, tak iż najmniejszego ściągania się muskułów nie widać, a kłębek staje się coraz mniejszy i nakoniec zwierzę zupełnie się rozwija. Ponieważ zwierzę nietylko wtedy poruszenia te czyni, gdy się przylepiło do ściany naczynia i tam znalazło stały punkt oparcia się, ale i wtedy gdy na powierzchni wody zostaje, zdaje się przeto, że główną w czynności téj rolę grają włoski na jego naskórku. Wszystkie te poruszenia wykonywają sągwowate z równą zręcznością, nawet powierzchnią górną do dołu obrócone; ich jednakże strona spodnia dostatecznie jest odznaczona: u niektórych gatunków odmiennym kolorem, u wszystkich otworem rodnym.

Ogólna jama ciała u sągwowatych, podzielona jest poprzecznemi przegrodami na komory; z tych odpowiadająca głowie odłączoną jest od reszty jamy poprzeczną przegrodą z prostopadłych włókien, które są osadzone w warstwach muskułów skórnych. Przegroda przedstawia kilka otworów dla przejścia nerwom i pniom naczyń, jako téż kanałowi pokarmowemu, i leży przed samym otworem rodnym który za otwór pokarmowy uznawano. W téj przedniéj komorze leży mózg, nerwy głowy, wielkie węzły naczyń i przednia część pokarmowego kanału; przechodzą ją także w rozmaitych kierunkach ścięgna i muskuły. Reszta ogólnéj jamy ciała, prostopadłemi przegrodani, przy których wiszą organa rodne, podzielona jest na trzy komory: średnią z nich zajmuje część kanału pokarmowego, we dwóch zaś skrajnych jajeczniki lub jądra pływają. Ogólną jamę ciała wyściela dosyć mocna błona, u wielkich gatunków przedstawiająca wyraźne włókna poprzeczne. u mniejszych budowę jednorodną z kuleczek złożoną. Ciecz która ogólną jamę ciała wypełnia, jest po większéj części bezfarbna, jednak u gatunków z krwią czerwoną, jak np. *Polia sanguirubra*, ma kolor różowy. Porusza się ona w komorach, co poznać można z poruszeń zawartych w niéj ciałek, kształtu

zwykle nieregularnego, przezroczystych i bezfarbnych, lubo u niektórych gatunków mają pewny kształt i kolor. U *Polia sanguirubra* są łódkowate i ciemniéj niżeli ciecz różowe; u *Cerebratulus depressus* szybowate, z ziarnek pozrastałych z sobą złożone, a w środku opatrzone okrągłą czerwoną plamką; u *Polia bembix* soczewkowate i pojedynczo widziane zielonawe, a gdy w coraz grubszych warstwach na sobie leżą, najprzód pomarańczowe, potém pomarańczowo-czerwone, nakoniec prawie czysto-karminowe. Sągwowate zatém mają tak jak pierściennice, wewnętrzną jamę, która jest wypełniona właściwą cieczą, stanowiącą wielką część objętości zwierzęcia i zdającą się ważną grać rolę w jego żywieniu się i rozmnażaniu.

Przyrząd trawienia u sągwowatych wielką jednostajność przedstawia, i u wszystkich gatunków jest pyszczek, dziobek, gardziel (*oesophagus*) i kiszka, które tworzą mniéj lub więcéj pogięty i ku niższemu końcowi zwrócony kanał, krótszy od ciała, i w średniéj komorze, pomiędzy przegrodami organów rodnych leżący. Nie znalazł autor żadnego śladu gruczołów ślinowych ani wątroby, niemniéj odchodka, który jednak wielu badaczów uznać chciało. Pyszczek leży u walencyniów na dolnéj stronie głowy; u wszystkich innych sągwowatych które autor badał, na przednim końcu ciała. Wkoło tego małego ujścia stoją włoski, dłuższe niżeli na reszcie powierzchni ciała. Uważał autor muskuł ciągnący się od pyszczka do wewnątrz ciała, ku wysuwaniu dziobka służący, i opisuje osobne urządzenie jego u *Polia glauca*. Sam dziobek składa się ze dwóch wyraźnie rozdzielonych warstw muskułów, pomiędzy któremi środkuje jednorodna, przezroczysta tkanka, tworząca wiele nader rozciągliwych wstęg i słupków. Obiedwie muskularne warstwy złożone są z podłużnych włókien, a między temi daje się postrzegać u większych gatunków warstwa włókien poprzecznych; zdaje się jednak że jéj nie ma u *Polia filum*, *P. mutabilis* i t. p. Strona wewnętrzna tych warstw muskularnych, wyścielona jest jednorodną, przezroczystą błoną, śluzowéj błonie zwierząt wyższych odpowiadającą i okrytą

brodaweczkami. Brodaweczki te u niektórych gatunków (*Polia mandilla*, *Artesia maculata*, *Polia coronata*) nie wyższe są nad $^1/_{30}$ mill. i podobnież włoskami obrosłe. Przednia część dziobka leży we włóknistéj pochwie, tworzącéj zarazem nakrywkę średniéj komory jamy ogólnéj.... Wszystkie te części w położeniu normalném widzieć można tylko u okazów w spirytusie zachowanych: u świeżych bowiem ciągłemu podlegają kurczeniu się i rozciąganiu. Gardzielą nazywa autor wązką część kanału pokarmowego, odłączającą dziób od kiszki. Ściany téj części są więcéj lub mniéj zgrubiałe; nawet u *Nemertes autonina* przewrotnie flaszkowate. Budowa gardzieli u różnych gatunków rozmaite przedstawia zboczenia; najbardziéj uderzającém jest przydanie do niego u niektórych, jak u *Polia mandilla* i *Nemertes balmea*, przyrządu sztyletowego, który tak autor opisuje: Sam sztylet składa się z ostrza i trzonka; substancya piérwszego jest stała i przezroczysta; jego kształt jest stożkowaty, a ku tyłowi znajduje się część wzdęta czyli kulista. Trzonek jestto massa mniéj lub więcéj owalna, niekiedy (*Nemertes balmea*) powleczona tą samą twardą substancyą z któréj się ostrze składa: zresztą materya jéj jest tylko ziarnista. Badaniem chemicznem doszedł autor, że twardość sztyletu stanowi sól wapienna, od tyłu ku przodowi coraz obficiéj osadzona, tak iż wierzchołek prawie z niéj saméj się składa. Sztylet leży w worku, obok którego u *Nemertes balmea* i *Polia mandilla* są dwa inne mniejsze: wszystkie wypełnione gruczołowatą massą, którą autor uznaje za wydzielającą rodzaj jadu; sztylet bowiem sągwowatych utrafione zwierzątka, np. czerwie owadowate (*entomostraca*) w mgnieniu oka zabija. U *Polia coronata* przyrząd sztyletowy leży w tylnym, u wszystkich innych przez autora badanych gatunków, w przednim oddziale gardzieli. Obok wyżéj opisanego przyrządu, są jeszcze z prawéj i lewéj strony sztyletu, a niekiedy nad nim i pod nim (*Polia vermiculus*), dwa woreczki widoczne, które autor *woreczkami sztyletorodnemi* nazywa, a które obejmują kilkanaście ciałek tego kształtu co ostrze sztyletu, u których nawet niekiedy i po-

cząteк trzonka dojrzéć się daje. *Polia armata* czyni wyjątek, bo ma cztéry takie woreczki, a u *Polia quadrioculata* i *P. humilis* jest tylko jeden. Naostatek właściwa kiszka zaczyna się od tyłu gardzieli, i złożona jest z takichże jak dziób warstw muskularnych, tylko tu nieco słabszych. Śluzowa błona na nim, okryta jest także brodawkami, które jednak zazwyczaj są mniejsze od dziobowych, ale podobnież drżącemi włoskami obrosłe. Tam i napowrót zakręcona kiszka, pływa w komorze środkowéj jamy ogólnéj, a tu i owdzie wstęgi ją trzymają. Nie dochodzi jednak do tylnego końca téj jamy, ale w czwartéj około jéj części od tyłu, cienieje znagła, poczém zakłada się w kształcie sznura znowu naprzód, dla przytwierdzenia się do górnéj ściany jamy odwłokowéj. Otworu odchodowego ani przy tylnym końcu ciała, ani przy grzbiecie nie widać. Nawet przez sekcyą anatomiczną wielu gatunków przekonał się autor, że kiszka jest rzeczywiście ślepą.

Następnie bada autor przyrzęd krążenia, który stanowią naczynia z wyraźnemi ścianami, i zawarta w nich ciecz, odmienna od téj która jamy ciała oblewa. Są trzy naczynia: dwa leżą na bokach nieco niżéj, trzecie ciągnie się środkiem grzbietu. Od tyłu wszystkie się połączają w mocny pień, który niekiedy tworzy jamę, całą szerokość ciała zabierającą. Autor opisuje dokładnie bieg tych naczyń i położenia ich względne z innemi częściami budowy, co najwyraźniéj widać u gatunków ze krwią czerwoną. Krew po większéj części jest bezfarbna, u niektórych jednak gatunków mniéj lub więcéj ciemno-czerwona, niekiedy, jak u *Polia sanguirubra* i *Cerebratulus depressus*, w żółte przechodząca. Nie ma we krwi sągwowatych ani kulek, ani nawet nieregularnych ziarnowatości. U jednéj tylko *Polia bembix* znalazł autor dosyć mierzytelne kulki, które przedstawiły te same zjawiska, co ciecz w ogólnéj jamie ciała zawarta. U sągwowatych zatém przyrzęd krążenia urządzony jest zupełnie jak u pierściennic, wyjąwszy że nie przedstawia żadnych rozgałęzień, i tylko do pniów naczyniowych jest przywiedzony. Nigdzie nie daje się postrze-

gać właściwe serce, a lubo o krążeniu naocznie przekonać się można, nie jest ono przecież regularném: raczéj krew błąka się niżeli krąży, co nie jest u pierściennic. Autor zwraca przytém uwagę, że wielu badaczów wzięło mózgowe węzły za serca a pnie nerwowe za naczynia.

Nie znalazł autor osobnego przyrzędu do oddychania u sągwowatych: przyrzęd ten zdaje się wyobrażać ogólna powierzchnia ciała, któréj budowa i pokrycie włoskami, przypomina bardzo organizacyą naczyń oddychalnych u innych zwierząt.

Sągwowate mają płcie rozdzielone. Autor szczegółowo opisuje organa płci obojéj. Samice są nader płodne. Największą liczbę jaj niosą gatunki z rodz. *Borlasia* i *Nemertes*, tak że np. u *Nemertes balmea*, liczba ta siedmiu lub ośmiu tysięcy dochodzi. Samce są daleko rzadsze od samic. Na 150 okazów, które autor w porze rozmnażania się badał, ledwie 5—6 samców się znalazło. Z 34 gatunków nad któremi się zastanawiał, tylko u trzech samce mógł poznać. Czyni jednak dwie uwagi: najprzód, że im niedokładniejsza jest organizacya w królestwie zwierzęcém, tém większą jest przewaga liczby ze strony samic, czego mamy przykład na robakach (*entozoa*), a co już i na niektórych pierściennicach ukazywać się zaczyna; powtóre, że w porze rozmnażania się żadną miarą nie można samców od samic u sągwowatych rozróżnić.

Układ nerwowy sągwowatych odznaczony jest wyraźnie, i najłatwiéj widzieć się daje u gatunków przezroczystych. U gatunków większych nietrudno nawet na anatomicznéj śledzić go drodze, nawet gdy okazy dłuższy czas w spirytusie leżały. Zresztą przyrzęd jest niezmiernie prosty, a składa się z mózgu i dwóch pniów bocznych, które posyłają liczne nitki do głowy i tułuwu. Mózg złożony jest ze dwóch dosyć wielkich ganglionów, tak przez sznurki i nitki połączonych, że się zupełny wokoło gardzieli pierścień nerwowy tworzy. Z przodu rozchodzą się od ganglionów główne pnie nerwów do dziobka, do pyszczka, do oczu. Autor troskliwie ich bieg opisuje. U wielkiego gatunku *Borlasia*

*Angliae*, mózg otulony jest mocną, włóknistą *dura mater*, z której przedłużeń mocne pochwy i na pnie zachodzą; zwykle jednak u gatunków małych błona ta nie daje się dojrzéć. U wielu sągwowatych massa mózgu jest zafarbowana: u niektórych, np. u *Polia berea* i *P. opaca*, miejscami tylko znać kolor. Boczne pnie nerwowe idą w tył, przebijają przegrodę pionową i ciągną się daléj aż do tylnego końca ciała. Nitki rozchodzące się od nich, opatrują zapewne muskuły. Pnie leżą pomiędzy warstwą muskułów z włóknami podłużnemi, a warstwą ich z włóknami poprzecznemi, i zdają się mieć na sobie osobną pochwę; nigdzie jednak nie przedstawiają ganglionów właściwych, lubo widać niekiedy lekkie nabrzmienia w tych miejscach z których wytryskują nitki. I pnie są częstokroć w niewielkiéj od mózgu rozległości zafarbowane; nitki jednak nie mają koloru, wyjąwszy u *Polia berea*, u któréj są pomarańczowe, przez co u tego gatunku szczególnie dobrze śledzić je można. Oprócz autora, p. Rathke uznał nerwowy układ sągwowatych za to czem jest rzeczywiście, gdy wielu badazów gangliony mózgowe, z powodu ich zafarbowania, mieli za serce. Porównany z układem nerwowym innych niższych zwierząt, ten najwięcéj ma podobieństwa do układu u robaków z rzędu *Nematoidea*.

Za organa zmysłów uważa autor oprócz oczu, pewne dołki na głowie, drżącemi włoskami okryte, u niektórych gatunków widzieć się dające. Nie ma żadnéj wątpliwości, że zafarbowane kropki, których mnóstwo u wielu sągwowatych na głowie a osobliwie na przedniéj jéj stronie widzieć się daje, są oczami. Pierwszy ślad wyraźniejszéj organizacyi oka, przedstawił mu gatunek *Polia coronata*, u którego dojrzał wśród plamki pigmentu pole jaśniejsze, ciemniejszym okrążone pierścieniem, wkoło którego pigment promienisto się rozchodził. Ale żadna nie pozostaje wątpliwość u gat. *Nemertes antonina*. U tego wyraźnie można nitki wychodzące z wielkich pniów nerwowych głowy, śledzić aż do kropek ocznych; pochwa nerwowa rozszerza się tam w walcowaty kubek, w którym wyraźnie postrzegać się

daje soczewka krystaliczna, otoczona pigmentem. To samo dostrzedz można i u *Oerstedia maculata*. Dołki leżą na bokach głowy, są mniéj lub więcéj głębokie, a często na miejscu ich widać tylko wiązeczkę dłuższych włosków, niekiedy nawet nie ma nic szczególnego. Prawie u wszystkich gatunków idą do tych miejsc znaczne wstęgi, o których związku z układem nerwowym upewnił się autor. Nadewszystko u *Polia bembix* odłącza się od bocznego pnia nerwowego, w samém tém miejscu w którém on z ganglionu wychodzi, bardzo silny nerw, który idzie do dołka na odpowiedniéj stronie głowy i tam się rozszerza, przyczém substancya jego staje się drobno-ziarnistą. U *Polia humilis* dołkowy nerw wychodzi z przedniéj massy mózgowéj, i dzieli się w blizkości dołka na trzy do cztérech nitek, które wszystkie rozpościerają się po muskularnych warstwach skóry. U *Nemertes peronea*, od téjże mózgowéj massy nerw ciągnie się w tył do owalnego organu, leżącego przy ścianie ciała, wydrążonego, i zapewne właściwą cieczą wypełnionego. Coś podobnego widać i u *Cerebratulus crassus*, gdzie naprzeciwko jajowatego organu, widać na okryciach miejsce jaśniejsze, jakby od tego organu przedłużenie albo czopek przeciskał się przez skórę. O przeznaczeniu tego organu, jako i głównych dołków, autor nie śmie wyrzec stanowczo. Mniema jednak że prawdopodobniéj jest uznać go za odpowiadający organowi słuchu u zwierząt miękkiwych, niżeli jak utrzymuje p. Rathke, za organ zmysłu dotykania. Co do oczu, sądzi że u gatunków u których ten przyrząd jest mniéj rozwinięty, pomieszane tylko wrażenia światła przyjmować są zdolne, gdy u *Nemertes antonina*, gdzie doskonałą prawie organizacyą mają, mogą jak u małych miękkiwych zwierząt ślimakowatych, wyraźne przedstawiać obrazy zewnętrznych przedmiotów. (*F.N.* 1847, *nr.* 28, 29).

* Dr. Svitzer w Kopenhadze, otrzymawszy od jednego z uczniów anatomii muskuł z trupa ludzkiego, okryty mnóstwem drobnych ziarn białawych, które co do kształtu porównywa z ziarnami pęczaku (*Graupen*), to fizyologiczne

zjawisko wziął pod ścisłą uwagę, i mikroskopném badaniem doszedł, że pomienione ziarna zawiérały robaka odkrytego najprzód w r. 1833 przez Hiltona, późniéj znalezionego przez Wormalda, nakoniec w r. 1836 opisanego przez Owena pod imieniem *Trichina spiralis*. (1) Muskuł pochodził z ciała otyłéj kobiety, lat 30 — 40 mieć mogącéj, o któréj chorobie nic pewnego dowiedzieć się nie można było. To tylko uważano, że równie jéj rąk jako i nóg muskuły, obejmowały te ziarna, równolegle do włókien leżące, i dosyć mocno przytwierdzone do miejsca. Jedne z ziarn wypełnione były dosyć gęstą cieczą, inne kryształami niezupełnie rozpuszczającemi się w kwasie octowym, zupełnie w saletrowym zgęszczonym Trzecie naostatek były łożyskiem robaka, nad którym, jako mało jeszcze znanym, dr. Svitzer pilnie się zastanawiał. Na głowie, do któréj czwartą część robaka, od jego przedniego końca liczyć wypada, nie postrzegł on podłużnéj szczeliny, o któréj mówi Owen i Knox, ale za to znalazł trzy okrągłe dziurki, które uważa za pyszczek. Przezroczystość ciała dozwala widzieć kanał pokarmowy, zaczynający się wprost od środkowéj dziurki pyszczka. Na boku ciągle się dał widzieć długi szereg owalno-okrągłych ciałek, które autor za jajecznik uważa. Opisuje on szczegóły swoich postrzeżeń w 35 nrze dziennika *Froriep's Notizen*, z r. 1847, gdzie oraz dołączone są wizerunki przedstawiające w powiększeniu tak ziarna jako też i samego w różnych położeniach robaka. Znajdował w niektórych ziarnkach po dwa robaki, ale nigdy po trzy, jak Farre i Knox. Robak leżał w ziarnku zawsze tak skręcony, że ogon wypadał wewnątrz, a koniec z głową zewnątrz zakrętu. Ruchu dowodzącego życia, na żadném już indywiduum nie dostrzegł.

(1) Długo sądzono, że robak ten człowiekowi tylko jest właściwy; niedawno jednak dr. Leidy w Filadelfii znalazł go także w muskule udowym świni. Ziarna były liczne, białe, owalne, $\frac{1}{20}$—$\frac{1}{40}$ cala długie i zawierały małego, zwiniętego robaka, wcale nie różniącego się od znajdowanych w człowieku. (*F. N. nr.* 48 *Annals and Mag. nat. hist. May* 1847).

* W mózgu 84letniéj kobiéty, na apoplexyą nagle zmarłéj w szpitalu Salpêtrière, dr. Frédault, służbę tam wówczas mający, w końcu maja 1845 r. w ohfitéj wodzie która się utworzyła pod błoną pajęczą, znalazł około 20 okrągławych, nieco jajowatych, wpół-przezroczystych ciałek, jak zwykle hydatydy, w cieczy pływających (1).

Każdy z tych pęcherzyków otworzony, przedstawił wewnątrz inny mniejszy, do ściany pierwszego przytwierdzony i otoczony cieczą mleczną, a po otworzeniu okazujący się pokryciem robaka, tak z niém zrosłego, że łatwiéj się dawał rozerwać niżeli od pęcherzyka odłączyć. Mniejszy pęcherzyk wypełniony był podobnież cieczą natury serwatkowatéj, obejmującą cząstki błonowate, a oprócz tego przezroczyste kulki, prawie téj co kulki krwi wielkości. Robak, mówi autor, może się wśród cieczy wolno poruszać. Kolor jego jest żółtawo-biały. Długość wynosi 3—5 mil. w jednym końcu jest on przytwierdzony, w drugim wolny. Zdaje się być ze dwóch części złożonym: jednéj stale osadzonéj, prawie jajowatéj, we wszystkich kiernukach na 3—5 mil. rozciągłéj i ta ciało wyobraża; drugiéj, stanowiącéj przedłużenie tamtéj, połowę tylko jéj szérokości mającéj, lecz dwa razy dłuższéj. Ta ostatnia, którą autor szyją zowie, jest względem ciała jakby szyjka względem flaszki i zgina się w ten sposób, że wolny koniec do podstawy dochodzi. Na wierzchołku wolnego końca daje się widzieć czarna kropka... Wierzchołek ten jest przypłaszczony i nie tworzy właściwéj głowy, lecz wyrównaną płaszczyznę, wpośród któréj leży okręg haczyków, otoczony cztérema blaszkami, złożonemi z włókien spółśrodkowo idących, smoczkom podobnemi. Części te wspiera wiązanie z pokrzyżowanych włókien, pomiędzy któremi środkuje oddzielna czarna istota z ziarnek złożona. Czarna kropka, która gołém okiem dojrzéć się daje, jest właśnie tym okrę-

(1) Za szczególną rzecz podaje autor, że ta kobiéta nigdy bólu głowy nie doznawała, nie donosi jednak czy miała obłąkanie, lubo według Froriepa, domyślać się tego należy, skoro zostawała w szpitalu obłąkanych.

giem haczyków. Haczyki ustawione w wieniec, zwrócone są wierzchołkami na zewnątrz, i bardzo trudno wyraźnie je zobaczyć. Haczyk ma kształt kociego szpona, a wewnątrz opatrzony jest kanałem. Liczba haczyków nie jest stała (?); w przecięciu może ich być 24...

Autor uznaje w tym robaku nowy rodzaj, który nazywa *Trachelocampylus* (od τραχηλος *szyja*, i καμπυλος *krzywy*), i tak go charakteryzuje: „Pęcherzykowaty robak, żyjący pojedynczo, zawarty w błonie dokoła zamkniętéj, w serwatkowatéj cieczy pływający; ciało bez śladów organizacyi, za pomocą trzonka przytwierdzone do błony, na drugim końcu ma przedłużenie jak szyjka od flaszki, zakrzywiające się w kształt pastorału, a na jego wolnym, przypłaszczonym, głowę wyobrażającym wierzchołku, okręg haczyków otoczony cztérema smoczkami."

Przy pęcherzyku otaczającym robaka, znajdował autor guziki; w każdym guziku był młody robak, z czego wnosi, iż może te hydatydy i z pączków się rozmnażają. Kończy naostatek porównaniem nowego rodzaju z najbliższemi mu dawniejszemi, a mianowicie *Cysticercus*. (*F. N. nr.* 42 z *Gazette médicale de Paris*, 24 *Avril* 1847).

* Przerąbkę osobliwą (*Bacillaria paradoxa* Gmel.), tak opisuje G. H. K. Thwaites, w *Annals of nat. hist. March*, 1847: „Sąto nitki tasiemkowate, skrzywione, jasnobrunatne, z jaśniejszą jeszcze linią środkową i składają się ze 4 albo 5 do 100 linijkowatych kawałków, które dotykając się równolegle przy sobie leżą. Każdy kawałek z przodu widziany, okazuje małe ku wierzchołkowi zaostrzenie, a na wewnętrznéj obwódce gładkich, wydatnych brzegów bocznych, drobniutkie ząbkowanie; wewnętrzna przestrzeń jest gładka. Patrzącemu z boku powierzchnia wydaje się złożoną z lancetowatych, przy wierzchołku zaokrąglonych pasów, a przestrzeń między gładkiemi, wyniesionemi brzegami boków, oznaczona jest wyskakującemi pasami poprzecznemi. Długość kawałka, a zatém szérokość nitki, zmienia się pomiędzy $1/400$ do $1/140$ cala, a szérokość kawałka pomiędzy $1/10000$ a $1/3000$ cala. Są one, z wyjątkiem jasnéj, wpoprzek

biegnącéj przepaski środkowéj, napełnione jasno-brunatnym pigmentem. Nitki przedłużają się przez przybywanie kawałków skutkiem dzielenia się dobrowolnego. P. Thwaites znajdował te przerąbki w wielkiém mnóstwie w dołach przy ujściu Avonu w blizkości Brystolu, w wodzie nieco mętnéj; a w mniejszéj liczbie w rzéce Frome w Stapelton, gdzie stanowią ciemno-brunatną powłokę na rozmaitych roślinach wodnych, a przez mikroskop zdają się dosyć silnie wisieć u części roślinnych. Odłączone od nich, w kilka minut zaczynają swoje osobliwe poruszenia. Najprzód kawałek na końcu leżący, prześlizga się wzdłuż przez sąsiedni; drugi kawałek czyni to samo względem następnego, i tak idzie przez całą nitkę. Zjawisko to następuje z obudwu jéj końców jednocześnie, ale w odmiennym kierunku. Środkowy kawałek zdawał się być zupełnie a przynajmniéj prawie zupełnie nieruchomym, gdy każdy z innych kawałków poruszał się z szybkością rosnącą w stosunku oddalania się od środka, a właściwa miara jego prędkości powiększała się przez niezależne poruszenia kawałka sąsiedniego. Wyciąganie się w jednę stronę nitki trwało dopóty, dopóki kawałki jeszcze się trzymały siebie; wtenczas nitka znowu się ściągnęła, a kawałki znowu prześlizgały się przez siebie, co trwało dopóty aż wszystkie znowu ułożyły się przy sobie; wtedy na nowo zmieniał się kierunek ruchu w przeciwną stronę, a to wyciąganie się od jednéj do drugiéj strony, zajmowało zwykle 45 sekund. Autor przypisuje to zjawisko ruchowi rzęsowemu, lubo rzęs nie mógł dojrzéć. Nawet nie śmie rozstrzygać czy natura przedmiotu zwierzęca jest, czy téż roślinna. (*F. N. nr.* 37).

*A. W.*

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847. WILNO.

146. Dzieła Williama Shakspeare, przekład Johna of Dycalp (Placyda Jankowskiego) Tom trzeci. 8ka. Wilno. 1847. Druk i nakład T. Glücksberga. Str. 342 i kart 2. Złp. 15.

147. Halka. Opera we 2 aktach. 12ka. Wilno. 1847. Druk J. Zawadzkiego. Str. 36.

148. Przesilenie dnia z nocą. Drama w 3 aktach przez K. Grzymałowskiego. 12ka. Wilno. 1847. Str, 126.

149. Poezye Hieronima Marcinkiewicza. Tomik II. Wilno. 12ka. 1847. Druk J. Zawadzkiego. Str. 108.

150 Mastologia, czyli historya naturalna zwierząt ssących, przez G. Belke. Tom I. 8ka. Wilno. 1847. Druk J. Zawadzkiego. Str. 384.

151. Klucz gospodarstwa rolniczo-praktycznego, przez J. Dyrmonta. 12ka. Wilno. 1847. Druk M. Zymełowicza. Str. 78.

152. Pamiętniki moich przyjaciół, przez E. Mariana. 12ka. 2 tomy. Wilno. 1847. Druk J. Zawadzkiego. Str. 538.

153. Dobrodziejstwa religii czyli dzieje zakładów dobroczynnych, z jéj natchnienia rozkrzewionych. Ułożone przez ks. T. La Croix. Tłómaczył z francuzkiego wydania X. S. S(narski) D(ominikan). Tom I. 8ka. Wilno. 1847. Nakład i druk A. Dworca. Str. 117.

KOWNO.

154. Wiejska gospodyni, czyli skazówka doręczna.... Kowno. 12ka. 1847. Druk M. Zymelowicza. Str. 114.

KIJÓW.

155. Aben-hamet. Dramat w 4 aktach. 8ka. Kijów. 1847. Druk T. Glücksberga. Str. 64.

156. Gwiazdka, xiążka składkowa. N. 2. 8ka. Kijów. 1847. Str. 324

157. Na bezsenność. Szkice obyczajowe, napisał Cezary Turzyma-Perro. 2 tomy. 8ka. Kijów. 1847. Druk T. Glückserga. Str. 368.

158. Narracie Władysława Słowackiego. 8ka. Kijów, 1847. Druk T. Glücksberga. Str. 144.

159. Czém jest i jakie zajmuje miejsce w rozumowanéj medycynie homeopatya, wydał B. Dołęga. 8ka. Kijów. 1847. Druk T. Glücksberga. Str. 44.

POZNAŃ.

160. *Der Kleine Pole oder die Kunst die polnische Sprache in einigen Tagen, ohne vorher ein Wort davon gewusst zu haben, verstehen, schreiben und vollkommen richtig sprechen zu lernen. Ein Hülfsbuch für alle, welche nach Polen reisen und diejenigen, welche schnell polnisch lernen wollen. Herausgegeben von S.* 18vo. *Posen.* 1847. *Verlag von Gebrüder Scherk.* Str. 147. Złp. 3.

1848. WARSZAWA.

48. Dzieje Polski za panowania Jagiellonów. Tom IIIci (zawiéra): Dzieje Polski za panowania Kaźmierza, Jana Olbrachta i Alexandra, przez Łukasza Gołębiowskiego..... 8ka. Warszawa. 1848. Druk Orgelbranda, komis księg. Klukowskiego. Str. 544. Złp. 12.

49. Księżna, przez Eugeniusza Sue. Przełożył O. S. 12ka. 5 tomów. Warszawa. 1848. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 241, II, 244. III, 211. IV, 227, V, 222. Złp. 13 gr. 10.

50. Krótka nauka felczerska przez pytania i odpowiedzi ułożona z przyłączeniem wiadomości o sposobach ratowania od pozornéj śmierci, od rozmaitych otruć i ukąszenia od wściekłych zwierząt. Przez Klemensa Maleszewskiego..... Z tablicą anatomiczną wyrażającą główniejsze arterye, a mianowicie żyły w szczególności. 12ka. Wilno. 1848. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. X i 121. Złp. 5 gr. 20.

51. Spekulant, powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1848. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 384. Złp. 11.

52. Tak się dzieje, powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. 12ka. 2 tomy. Wilno. 1848. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 287. II, 255. Złp. 12.

53. Władysław (wyciąg z pamiętników niebardzo starych) przez Alexandra Grozę. 12ka. 2 tomy. Wilno. 1848. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 209. II, 221. Złp. 11.

54. Złota Legenda artystów, z angielskiego przełożył J. I. Kraszewski. 8ka. Wilno. 1848. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 284, Złp. 10.

LWÓW.

55. Pojedynek na Kaukazie. Z pamiętników oficera rossyjskiego Lermontowa, przez L. B. 16ka, Lwów. 1848. Nakładem Kajetana Jabłońskiego. Str. 167.

GNIEZNO I LESZNO.

56. Przewodnik do rachunków pamięciowych dla nauczycieli elementarnych, jako też dla własnego ćwiczenia się, przez Józefa Lompę, nauczyciela elementarnego. Większą częścią podług rachownika pamięciowego F. Rendszmidt.... 12ka. Gniezno i Leszno. 1848. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. Str. VII i 67. Złp. 2 gr. 15.

57. Trzej wędrowcy, chrześcianin, Żyd i Turek, czyli: Kto w Bogu pokłada zaufanie, o tym ma tenże ojcowskie staranie. Powieść nader powabna i pouczająca młodzież szkolną i rzemieślniczą.... przez Tomasza Wiśniewskiego. 12ka. Leszno i Gniezno. 1848. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. Kart 2 i str. 62. Złp. 1 gr. 20.

WROCŁAW.

58. Przewodnik myśliwca, ułożony przez L. S. Godło:

Wstawajcie bracia, bo już słońce wstaje,
Nam pogodę piękną daje.
To byt na świecie, byt nieporównany,
Być jednym z cechu Dyany;
A jeżeli nie myśliwy,
To nie jest żywot na świecie szczęśliwy.
*Wespazyan Kochowski.*

12ka. Leszno i Gniezno. 1848. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. Str. 158. Rejestru karta 1. Złp. 6.

## *Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Według wiadomości świeżo odebranych, J. I. Kraszewski znany i ulubiony autor, dotknięty ciężką chorobą, nie opuszcza łoża już od stycznia prawie. Nadmiar pracy w wątłéj budowie, przyspieszył rozwinięcie choroby. Od początku bieżącego roku, nie opuścił swojéj siedziby w Gródku.

Druk tomu IIgo Album Literackiego, pod redakcyą K. W. Wójcickiego, wkrótce się rozpocznie.

Zapowiedziane dawniéj dzieło: „Rys historyczny zgromadzeń zakonnych obojéj płci, wraz z rycerskiemi zakonami i orderami państw" w końcu lipca r. b. wyjdzie z druku.

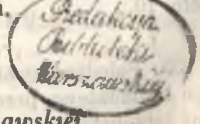

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomiczném

## WARSZAWSKIÉM.

## *Maj 1848.*

## Maj 1848.

## Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ· 14ᵐ· 45,ˢ7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany Księżyca. | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | wilgotność na 100 cz. średn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. r. | 10 god. r. | 4 god. w. | 10 god. w. | dé-szczu | śnie-gu |
| 1 | | 751.40 | 752.37 | 753.14 | 753.62 | + 4°.7 | + 8°.2 | +10°.4 | + 4°.3 | 58. | r. pogodn. | napół. pog. | napół pog. | pogodny | Pn. | PnZ. | PnZ. | Z. | 3.5 | |
| 2 | | 752.40 | 752.37 | 751.74 | 752.72 | 5.0 | 7.6 | 10.7 | 6.4 | 63. | ochmurny | dészcz kropi | pr. pochm. | pogodny | Z. | Z. | Z. | — | 1.6 | |
| 3 | | 752.68 | 752.09 | 751.05 | 751.35 | 4.9 | 10.6 | 11.4 | 6.5 | 57. | ogodny | napół pog. | napół pog. | pogodny | Z. | Z | PnZ. | Pn. | | |
| 4 | | 751.47 | 752.53 | 753.55 | 754.61 | 3.3 | 5.0 | 8.9 | 6.3 | 77. | ogodny | deszcz drob. | pochmurny | pochmurny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | 2.0 | |
| 5 | | 755.89 | 756.91 | 756.89 | 757.93 | 3.3 | 4.1 | 7.4 | 1.3 | 70. | ochmurny | pochmurny | pr. pogodny | pogodny | Pn. | Pn. | Pn. | PdZ. | | |
| 6 | | 757.87 | 757.83 | 756.57 | 757.30 | + 3.2 | + 7.7 | + 13.6 | + 5.7 | 55. | ogodny | pr. pogodny | pogodny | pogodny | Pn. | PnW. | PnW. | — | | |
| 7 | | 756.17 | 758.74 | 757.39 | 757.10 | 6.4 | 11.2 | 16.2 | 11.4 | 54. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | — | PnW. | Pn. | — | | |
| 8 | | 757.28 | 757.36 | 755.64 | 755.41 | 9.5 | 14.9 | 16.8 | 13.8 | 55. | r. pochm. | pogodny | pogodny | pogodny | Z. | — | PdZ. | — | | |
| 9 | | 756.40 | 756.43 | 755.66 | 756.52 | 13.6 | 18.6 | 24.1 | 15.7 | 49. | ogodny | pogodny | pr. pogodny | pogodny | — | Z. | Z. | — | | |
| 10 | | 757.61 | 757.73 | 756.10 | 755.43 | 13.6 | 19.7 | 24.4 | 16.4 | 53. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Z. | — | Z. | Z. | | |
| 11 | | 755.62 | 755.24 | 754.61 | 755.01 | + 12.1 | + 16.6 | + 19.5 | + 12.2 | 50. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pn. | PnZ. | Pn. | Pn. | | |
| 12 | | 755.24 | 755.05 | 753.09 | 752.89 | 11.3 | 15.1 | 19.6 | 14.1 | 55. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PnZ. | Pn. | PnZ. | PnZ. | | |
| 13 | | 752.15 | 751.93 | 750.50 | 751.29 | 11.7 | 17.9 | 19.0 | 13.2 | 62. | ochmurny | pochmurny | napół pog. | pogodny | Z. | Z. | Z. | Pn. | | |
| 14 | | 752.68 | 752.32 | 752.10 | 750.65 | 8.8 | 17.1 | 19.0 | 14.2 | 57. | ogodny | pogodny | pogodny | napół pog. | Z. | Pn. | Pn. | Z. | | |
| 15 | | 750.47 | 750.43 | 749.21 | 749.18 | 13.0 | 16.1 | 19.9 | 10.5 | 55. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Z. | PnZ. | PnZ. | PnW. | | |
| 16 | | 749.47 | 749.32 | 748.35 | 747.59 | + 9.8 | + 15.2 | + 22.3 | + 14.2 | 56. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | Z. | PdW. | | |
| 17 | | 747.92 | 747.90 | 745.48 | 746.07 | 14.9 | 21.2 | 24.7 | 15.6 | 49. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW. | W. | PdW. | PdW. | | |
| 18 | | 745.40 | 745.36 | 745.31 | 746.01 | 16.6 | 21.7 | 24.0 | 17.0 | 63. | ogodny | pogodny | napół pog. | napół pog. | Pd. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 19 | | 746.88 | 747.51 | 746 61 | 747.57 | 18.1 | 23.5 | 27.3 | 15.7 | 64. | n. podziel. | napół pog. | napół pog. | napół pog. | PdW. | PdW. | Z. | — | 4.8 | |
| 20 | | 747.50 | 746.97 | 746.59 | 747.92 | 16.4 | 22.0 | 22.6 | 15.6 | 76. | ogodny | pogodny | pochm. grz. | pr. pochm. | W. | PdW. | PdZ. | — | 1.0 | |
| 21 | | 748.70 | 749.00 | 748.39 | 748.91 | + 16.1 | + 21.6 | + 17.9 | + 15.0 | 81. | apół pog. | pr. pochm. | pochmurny | pochmurny | — | W. | PdZ. | PnW. | 11.2 | |
| 22 | | 748.93 | 748.74 | 747.34 | 748.44 | 15.5 | 20.6 | 22.9 | 15.8 | 74. | ochmurny | napół pog. | pochmurny | napół pog. | PnW. | Pn. | — | Pd. | | |
| 23 | | 748.96 | 749.57 | 749.37 | 750.57 | 13.8 | 14.9 | 18.8 | 11.6 | 61. | ochmurny | pochmurny | pr. pogodny | pogodny | Pn. | Pn. | PnW. | Pn. | | |
| 24 | | 751.95 | 752.05 | 750.53 | 750.15 | 9.5 | 14.1 | 21.4 | 15.0 | 56. | ogodny | pogodny | pr. pogodny | napół pog. | Pn. | Pn. | Pn. | — | | |
| 25 | | 750.91 | 751.73 | 751.38 | 751.57 | 13.4 | 16.0 | 20.9 | 11.7 | 57. | ogodny | napół pog. | chm. miejs. | lek. zachm. | PnW. | PnW. | Pn. | — | | |
| 26 | | 750.65 | 750.01 | 747.85 | 748.38 | + 13.9 | + 19 1 | + 15.6 | + 11.4 | 61. | ogodny | napół pog. | pochmurny | pochmurny | — | Z. | PnZ. | — | | |
| 27 | | 748.05 | 747.67 | 747.01 | 744.68 | 10.9 | 14.4 | 12.7 | 10.4 | 71. | ogodny | chm. miejs. | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | PdZ. | PnW. | 1.6 | |
| 28 | | 745.17 | 746.93 | 747.95 | 748.15 | 7.6 | 10 6 | 10.0 | 7.0 | 67. | ochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | PnZ. | Z. | Z. | 0.2 | |
| 29 | | 748.22 | 748.82 | 749.83 | 750.21 | 8.3 | 11.9 | 15.1 | 9.5 | 67. | ochmurny | pochmurny | napół pog. | pr. pochm. | Z. | PnZ. | PnZ | — | | |
| 30 | | 749.78 | 750.95 | 748.89 | 749.65 | 12.0 | 15.4 | 20 6 | 10.7 | 71. | apół pog. | napół pog. | pr. pogodny | pr. pogodny | Z. | Z. | Z. | — | | |
| 31 | | 749.99 | 750.72 | 749.85 | 748.98 | 13 9 | 16.8 | 23 6 | 13 0 | 65. | ogodny | pogodny | pogodny | pogodny | — | Z. | — | — | | |
| Śre. | | 757.413 | 751.697 | 750.870 | 751.157 | +10°.81 | +15°.14 | +18°.20 | +11°.65 | 62. | | | | | | | | | 25.9 | |

| | mm. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 751.283 | 27 | 9.041 |
| Najwyżej dochodził — d. 7 o g. 10 r. | 758.74 | 28 | 0.346 |
| Najniżej — — d. 27 o g. 10 w. | 744.68 | 27 | 6.113 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 1.42 | | 0.63 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r. | 4.42 | | 1.96 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o | 2.112 | | 0.937 |
| od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 749.171 | 27 | 8.104 |
| Średnia temperatura Maja wynosi: | + 13°.95 C. | | + 11°.16 R. |
| i ta jest wyższa o | 0.43 „ | | 0.34 „ |
| od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 13.52 „ | | + 10.82 „ |
| Najwyższa temperatura d. 17 o 4 g. w. | + 24.7 „ | | + 19.8 „ |
| Najniższa — d. 5 o 10 g. w. | + 1.3 „ | | + 1.0 „ |
| (Termometrograf wskazał Maximum: + 21.°3 R. d. 17 po połud. Minimum: + 0.°3 R. d. 4 i 6 rano). | | | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.43 „ | | 1.94 „ |
| Największa zmiana dzienna d. 5—6 o 4 g. w. | 6 2 „ | | 5.0 „ |

Średnia wilgotność powietrza wynosi 62,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 7 68 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o $^5/_{100}$ mniejszą od normalnej.

Dni pogodnych było 13; napół pogodnych 12; pochmurnych 6.
— deszczu 10 (d. 1, 2, 4, 5, 19, 20, 21, 26. 27, 28).
— krup 2 (d. 1, 2).
— mrozu białego 2 (d. 3, 4).
— grzmotów 3 (d. 19, 20, 21).

Maj r. b. był pogodny, suchy o 0. 3 stop. R. cieplejszy jak zwykle; pierwsze siedm dni miesiąca przy wietrze północnym, były chłodne, następne, a osobliwie d. 9, 10, 17, 18, 19 gorące, termometr w tych dniach w cieniu, przeszło 20 stopni R. wskazywał.

Wiatry panujące były: Północne i Zachodnie.

Wicher 1. W.

D. 3 przed południem, koło białe otaczało słońce.

D. 19, 20, 21, słyszano grzmoty i pioruny wśród częstych błyskawic; d. 19. 21, były deszcze ulewne.

Ilość wody z deszczu wynosi 25,9 mill. czyli 11,48 linij par.

# RYS HISTORYCZNO-STATYSTYCZNY

WZROSTU I STANU

# MIASTA WARSZAWY

OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW AŻ DO 1847 ROKU,

SKREŚLONY

PRZEZ

*F. Max. Sobieszczańskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

## § 6. Wzrost i stan Warszawy od r. 1807 do 1815.

W roku 1806 dnia 26 listopada władze pruskie czynności swe w Warszawie skończyły. Gubernator Köhler publicznie ogłosił, iż odwołany ztąd rozkazem królewskim, z uczuciem żalu rozłącza się z miastem, którego obywatele wszelkiego stanu dawali mu dowody przyjaźni i zaufania; składając więc najżywsze podziękowanie, wyraża, iż dobrego powodzenia obywateli tutejszych, podówczas nawet, gdyby w przyszłości nie znajdował się w ich gronie, najszczerszym uczestnikiem być nie przestanie. Nakoniec polecając się ich pamięci, oświadczał

miastu tutejszemu i całemu departamentowi w imieniu króla, swoje ukontentowanie za zachowanie spokojności. „Pełne dobroci i łagodności postępowanie tego urzędnika (dodaje przy wzmiance o tém pożegnaniu redaktor Gazety Warszawskiéj), zjednało mu tu powszechną miłość i szacunek. Wyjechał tegoż dnia po południu, okryty błogosławieństwem i dobrém życzeniem mieszkańców, których będąc razem rządcą i przyjacielem, dowiódł, że przy poczciwém sprawowaniu obowiązków urzędu, piérwsze z drugiém pogodzić można".

Następca Kohlera generał Pletz, przez jeden dzień tylko jego miejsce zajmował, gdyż tegoż wieczora (26 listopada), od 7 do 1 godziny po północy, wojska pruskie wraz z władzami rządzącemi wyszły na Pragę (1). I tak skończyły się jedenastoletnie rządy pruskie w Warszawie, podczas których porządek, oszczędność, skromność, sprawiedliwość i ludzkość, obok braku energii, drobiazgowych form powolności niemieckiéj i rozszerzonego znaczenia piéniędzy: słowem, dobre i złe, nieodstępne jak cień od światła, nadzwyczaj szybko na mieszkańców tutejszych wpłynęły, jak o tém w poprzednim rozdziale w części przekonać się można.

W następnym dniu zajęli Warszawę Francuzi, a nowe urządzenia znowu w innym porządku nastały. Obwieszczeniem z d. 5 grudnia t. r. Kamerę na Najwyższą Administracyjną Izbę, a Regencyą na Izbę Najwyższéj Sprawiedliwości zamieniono, z których piérwsza w pałacu rządowym Krasińskich zwanym, druga w pałacu tak zwanym Kazimiérowskim, posiedzenia swe odbywać poczęły. Najwyższa zaś władza powierzona została nowo utwo-

(1) Gazeta Warszawska na rok 1806, nr. 93 i 95.

rzonéj Kommissyi Rządzącéj, z prezesa, kilku członków i sekretarza złożonéj. Rozporządzeniem dnia 4 grudnia, na miejsce ostatniego prezydenta miasta i szefa policyi nazwiskiem de Tilly, Joachim Moszyński szefem departamentu i prezydentem Warszawy przeznaczony, któremu dodano dwóch assesorów i osobną kancelaryą.

W nocy z d. 18 na 19 grudnia tegoż roku, uprzedzając przygotowania do uroczystego przyjęcia, stanął Napoleon o godzinie 1, piérwszy raz w Warszawie, a wyjechał dnia 30 stycznia 1807 roku (1). Niebawem zaś miasto tutejsze na mocy traktatu pokoju zawartego w Tylży dnia 7 lipca 1807 r., zostało stołecznem księztwa Warszawskiego i jednego z sześciu departamentów ów kraj składających, który poddany pod władzę Fryderyka Augusta króla saskiego i księcia warszawskiego, był pod zwierzchnią opieką cesarza Francuzów i wpływem jego rządu. Monarcha saski odtąd zaszczycał swoją obecnością Warszawę w latach: 1807 dnia 21 listopada, 1808 dnia 31 października, 1810 od dnia 17 maja do 22 czerwca; wreszcie w r. 1811 od 21 września do 28 grudnia.

Pomiędzy innemi nowemi urządzeniami które wtedy tutaj nastały, Kommissya Rządząca pod dniem 4 czerwca 1807 roku wprowadziła urządzenie towarzystwa ogniowego, nie robiąc żadnéj zmiany ani przerwy od poprzedniego, z tą tylko jedynie odmianą, że zamiast dwóch, jedna administracya zaprowadzona w Warszawie, którą pod bezpośrednie zwierzchnictwo dyrekcyi policyi krajowéj poddano. Opłatę funduszową przeznaczono dziesięć groszy od sta złotych wartości

(1) Podług obwieszczeń w Gazecie Warszawskiéj z r. 1806, nr. 96, 97, dodatek do nr. 97, 98 i t. d.

domów murowanych, zaś od domów drewnianych 15 groszy od sta złotych wartości, co się także rozumiało o budynkach w wiązarkę murowanych (1). W roku 1807 na wiosnę, poczęto stawiać drugi most na palach między Pragą a Warszawą, który już w dniu 6 czerwca tegoż roku ukończony, piérwszy raz uroczyście dla publiczności został otwartym. Stawiali go inżynierowie francuzcy, kosztował zaś 700,000 złotych, lecz wylew Wisły w dniach 11 i 12 kwietnia 1808 r. zniszczył go zupełnie. Tegoż roku dnia 11 grudnia ulica Miodowa nazwana Napoleońską, a w dniu 1 maja nowe prawa kodexem Napoleona nazwane, uroczyście zaprowadzone zostały. Dekretem na dniu 17 marca 1809 r. wydanym, odłączono policyą miejską Warszawy od władzy administracyjnéj (2), i jednocześnie wniesiono projekt, aby przenieść z ulicy Senatorskiéj ciasno od roku 1784 zamieszkałych żydów, na ulicę Królewską i Marszałkowską. Obok pałacu Saskiego, z murów niegdyś ten gmach i część ogrodu otaczających, pułkownik inżynierów Wilhelm Minter otrzymał polecenie wykonania planu do wielkiego bazaru o kilku pawilonach i 56 sklepach, składach, magazynach i mieszkań dla tyluż familij ile sklepów znajdować się miało, którego koszt na 1,690,000 złp. obliczono. Pułkownik Minter uskutecznił powierzone mu polecenie, plany przedstawił, koszta obrachował i król chętnie na nie zgodził się. Dekretem dnia 16 marca 1809 r. w dniu 4 października t. r. w wykonanie wprowadzonym, żydów na ulice wyżéj wymienione przenie-

(1) Pismo o prawach dla Księztwa Warszawskiego uchwalonych, p. S. Węgrzeckiego, Warszawa, 1809, str. 48.

(2) Obwieszczenia w Gazecie Warszawskiéj na r. 1807. Dodatek do nr. 45 i 99 z dnia 21 listopada 1809; z r. 1808 nr. 31; z r. 1809 nr. 76. Dodatek do nr. 39.

siono, lecz wypadki krajowe wzniesienia projektowanéj budowli przeszkodziły (1).

W dniu 23 kwietnia tegoż roku, w czasie wojny Austryi z Napoleonem, na krótki czas zajęli Warszawę Austryacy, lecz w dniu 19 maja znowu ją opuścili.

Z gmachów i budowli żadnych w tym okresie miastu nie przybyło; owszem, jeden kościół ś. Benona ks. Redemptorystów, dekretem dnia 9 czerwca 1806 r. supprymowano z powodu, iż w postępowaniu tych księży upatrywano dążność OO. Jezuitów, i liczne poszlaki ku temu znajdowano (2). Oto co mówi o nich także Magier w swoich notatach: „Roku 1791, dwóch księży Benonów z Niemiec przybyło do Warszawy, którzy udali się do bractwa niemieckiego, utrzymującego się w kościele po-jezuickim przy ulicy Śgo Jana, prosząc, aby mogli miéć przytułek przy tymże kościele, dla odprawiania w nim nabożeństwa, oraz założenia szkółki dla ubogich dzieci. Objęli oni sobie przez czas niejaki dom na mieszkanie w kamienicy obok tegoż kościoła, starając się przytém dla siebie o pozwolenie od biskupa Okęckiego, aby kościół dawny śgo Benona mógł im być oddany, na co téż zezwolono. Po-

(1) Dziennik Praw T. VII. str. 155 nota *a*.—P. Karol Bajer udzielił mi uprzejmie ze swoich zbiorów opis wyżéj wymienionego projektu, w rękopiśmie po francuzku, p. t. *Palais du Saxe*. Z pewnych zaś źródeł słyszałem, iż familia pułkownika Minter w Warszawie zamieszkała, posiada rysunki tego planu, jak i do innych gmachów tutejszego miasta, któremi utalentowany ten artysta czynnie zajmował się. Śmiemy ufać, iż dziedzictwo to nie zostanie długo w ukryciu, i światła jego rodzina uzna za konieczne ogłosić je publicznie lub udzielić do historyi naszego miasta, a tym sposobem najtrwalszy pomnik zasługom i talentowi swego zmarłego krewnego wzniesie.

(2) Przyczyny usunięcia z Warszawy tych księży i zamknięcia kościoła, obszernie opisuje Gazeta Warszawska na rok 1808 w Dodatku do nr. 61.

większyła się ich wtedy liczba, lecz zawsze nie było ich więcéj nad kilku. Byłto rodzaj dawnych Jezuitów, którzy zaczęli od gorliwéj służby Bożéj, nowe w tym kościele wprowadzając nabożeństwa, przytém nie zaniedbując pomnażania dostatków swoich. Zajmowali się oni szczególnie udzielaniem nauk duchownych, mianowicie kobiétom, namawiając ich do modlitwy, pracy i pogardy tego świata; jakoż w licznych dworkach ponad Wisłą i w bliskości tego zgromadzenia, widzieć można było różnego wieku kobiéty, przędzeniem i różnemi pracami zajęte. Lecz Benoni posunęli zadaleko opiekę swoję nad tą płcią pobożną. Służące, kucharki zwiedzały także klasztor, składając im podług możności rozmaite ofiary, a z tego powodu i z innych tym podobnych, mieli nawet za rządu pruskiego wytoczoną przed sądem sprawę. Znani oni także byli jako żarliwi kaznodzieje, a w r. 1807 przebrawszy miarę swéj gorliwości, gdy z obecnemi na nabożeństwie w swym kościele oficerami do przykréj przyszli rozprawy, za wdaniem się zwierzchności wojskowéj, ciż księża kościół swój, zbiory i Warszawę opuścić byli przymuszeni, i jednego poranku w miesiącu czerwcu 1808 r. w zasłonionych pojazdach z miasta wywiezieni zostali. Dwóch ich wtedy było najstarszych: jeden nazywał się ksiądz Blum przełożony, drugi ks. Gesterheim. Niezaraz, pisze daléj Magier, mogło się ukoić w żalu pobożne stronnictwo zniesionego zakonu: kobiéty smutnie poglądając na ów pusty klasztor i kościół zamknięty, gdy zmrok wieczorny na dworze dzienne przyćmił światło, zdało się im nieraz spostrzedz przez okno wewnątrz oświetlony; pobożne dusze klękały wtedy na bruku modląc się w głębokiéj wierze obecnego nabożeństwa, które mniemali, iż się natenczas w kościele odbywało. Lecz gdy

później z rozkazu policyi to okno otworzono, ustał widok cudowny, światło bowiem wieczorne z okna sąsiedzkiego klasztoru Panien Sakramentek, odbijało się o szyby okna kościelnego śgo Benona. Wielu jednak osobom zdawało się jeszcze słyszéć w tym kościele grające organy i śpiewy kapłanów, i ułudzenie to tak długo trwało, dopóki w gmachu tym różnych rękodzielni i warsztatów nie umieszczono".

Z kolei wspomnieć wypada, iż z tego czasu dekretem króla Fryderyka Augusta 1810 r. piérwszy raz ustanowione zostały komitety departamentowe, do rozszerzenia szczepienia ospy, któryto środek lubo przedtém znany, miał u nas swoich przeciwników (1). — Wzniesiona na nowo nauka administracyjna zrodziła myśli do ważnych instytucyj, które później rozwinięte korzystne przyniosły skutki dla kraju. Ówczesny prezes sądu apellacyjnego Onufry Wyczechowski, piérwszy podał pomysł utworzenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (2); urządzono i ustalono hypoteki na sposób francuzki, stosownie do nowego prawa cały kraj od 1 maja 1808 r. obowiązującego i t. d.

W ciągu pamiętnych wypadków 1812 r., Warszawę zajmowały wojska częścią francuzkie, częścią saskie kor-

(1) Własność krowianki (*Vaccina*), przez Edwarda Jenner odkryta, pierwszy raz użytą została w r. 1776 w Anglii, a niebawem i na stałym lądzie ją poznano. Szczepienie ospy do Polski wprowadziła Urszula Marya z Zamojskich Mniszchowa, marsz. w. kor. siostrzenica króla Stanisława Augusta, zaś doktorowie Gillet, Dupont a następnie Bergonzoni, trudnili się jéj rozkrzewieniem w Warszawie.

(2) W piśmie p. t. „Projekt utworzenia systematu kredytowego w celu umorzenia długów prywatnych ciążących dobra ziemskie w Księztwie Warszawskiém". Warszawa, 1811 r., i Dodatek do projektu tegoż. Pisali w tejże myśli Sebastyan Dembowski, A. Bielski i Wojcicki. (Hist. Lit. w Zarysach T. III, str. 347).

pusu generała Regnier, a potém austryackie korpusu księcia Schwartzenberga. W czasie sławnego odwrotu Francuzów z Rossyi, prawe skrzydło szczątków wielkiéj armii przez tutejsze miasto przechodziło, zaś w dniu 3 lutego 1813 r. wojska rossyjskie weszły do Warszawy, a generał-lejtnant hrabia Palen, był natenczas warszawskim wojennym gubernatorem mianowany. Jednocześnie miasto to było siedliskiem Rady Najwyższéj całego księztwa, ustanowionéj w dniu 3 kwietnia 1813 r., a mającéj moc centralną kierowania wszystkiemi wydziałami administracyi, która czynności swoje w pałacu rządowym Krasińskich odbywać poczęła. Rozporządzeniem 30 sierpnia t. r. ustanowiony komitet policyjny, mający na względzie zabezpieczenie osobiste każdego z mieszkańców; dozwolono przywozu towarów zagranicznych od r. 1806 wzbronionych i t. d. (1). Naostatek rok 1814 pamiętnym został z utworzenia w dniu 24 grudnia Towarzystwa Dobroczynności, urządzonego na wzór założonego przed kilku laty w Wilnie. Ten sam cel wspierania i niesienia ulgi nieszczęśliwym, te same prawidła, sposoby, podział pracy, urządzenia funduszów i t. d. wzięte były z instytutu litewskiego, jako i z innych zagranicznych, w czém znalazły się pożyteczne. Do powodów zawiązania takowego towarzystwa w tym czasie, przyłożyła się okoliczność spodziewanego do Warszawy przybycia N. Cesarza Alexandra Igo, który jak wszelkie dobroczynności zakłady zwykł był zachęcać i wspierać, tak instytutowi wileńskiemu piérwsze dla założenia go nadał pomoce i przeznaczył fundusze. Stosownie do piérwszéj ustawy, wcho-

(1) Gazeta Warszawska na r. 1814, nr 37.

dzący do towarzystwa składał rocznie nie mniéj nad summę 12 talarów (1).

Tyle wymieniwszy co do ważniejszych zdarzeń na los miasta wpływ mających, przystępuję do statystycznego stanu. Podług obliczeń z taryffy w roku 1807 drukowanéj, Warszawa włączając Pragę wraz z przedmieściami za rogatkami będącemi, zajmowała ogółem ulic 234; podzielona na 7 cyrkułów, mieściła domów zamieszkałych 3,388, placów lub domów pustych numerami jednakże oznaczonych 424, jednych i drugich w stosunku następnym:

| Co do podziału miasta. | Domy zamieszkałe | Place lub domy puste. |
|---|---|---|
| W cyrkułach I . . . . . | 601 | 6 |
| — II . . . . . | 546 | 44 |
| — III . . . . . | 456 | 22 |
| — IV. . . . . | 470 | 46 |
| — V. . . . . | 514 | 38 |
| — VI . . . . . | 394 | 42 |
| — VII (czyli Pradze). . . . . | 305 | 208 |
| Za Czerniakowskiemi rogatkami. . . . | 20 | 4 |
| — kościołem Ujazdowskim . . . . . | 2 | 4 |
| — Jerozolimskiemi rogatkami. . . . . | — | 2 |
| — Wolskiemi rogatkami. . . . . | 52 | 8 |
| — Marymonckiemi rogatkami. . . . . | 20 | — |
| — Powązkowskiemi rogatkami. . . . . | 8 | — |
| W ogóle..... | 3388 | 424 |

Widzimy tedy z powyższego wykazu, iż cyrkuły 1, 2 i 5 były wtedy najbardziéj zabudowane, najmniéj zaś 6 i 7.

(1) Dziennik Towarzystwa Dobroczynności z piérwszego kwartału, tojest od otwarcia towarzystwa do 10 kwietnia 1815 r., Warsz. 1815, 8ka.

Warszawa opasana dokoła okopem, rogatek miała dziesięć, któremi były: Czerniakowskie, Mokotowskie, Jerozolimskie, Wolskie, Powązkowskie, Marymontskie; na Pradze zaś: Grochowskie, Brudzińskie, Golendzinowskie i Ząbkowskie. Ratuszów było 5, tojest: w rynku miasta Staréj Warszawy w cyrkule 1 pod nr. 34; na Nowém Mieście w cyrkule 2 pod nr. 342; na Lesznie w cyrkule 4 pod nr. 722; na Grzybowie w cyrkule 5 pod nr. 1017 lit. A.; na Pradze w cyrkule 7 pod nr. 180 lit. B. Koszar 5. Kościołów w ogóle liczono 39, miedzy któremi świeckich 9; klasztorów męzkich 14, panieńskich 7 znajdowało się; kościół grecko-unicki i ewangelicki 1; zgromadzenia reformowanego 1. Szpitalów 6 (1).

Wykonany w r. 1808 plan Warszawy, arkuszowéj długości, przez Bacha w Dreznie w 1809 roku rytowany, dokładniejsze nam o tutejszém mieście w owym czasie daje wyobrażenie; obejmuje on bowiem nietylko samo miasto i Pragę, lecz także Pułków, Marymont, Buraków, Powązki, Kolonię Wolą, Rakowiec, Mokotów, Łazienki, Kępę Saską, Kępę Gosławską, Kamionnę, Targówek i cmentarz żydowski. Przedstawia wszelkie wzgórza i nachylenia gruntu, ścieszki i drogi, lasy, zarośla, okopy miejskie i szańce przedokopowe, szańce przedmostowe na Pradze, most łyżwowy na Wiśle, prądy

(1) Taryffa domów miasta Warszawy dla wygody publicznéj znowu wydana z dołączeniem cyrkułu 7 czyli Pragi, jako też domów za rogatkami będących, nakładem S. Z. (adory), w miesiącu wrześniu 1807 roku, w drukarni Rakoczy w dziedzińcu Saskim. Istnieje druga taryffa z tegoż roku z wyłączeniem Pragi i domów za rogatkami; wyszła pod tyt. „Taryffa czyli opis wszystkich pałaców, domów, kościołów, szpitalów, oraz też posessorów miasta Warszawy, dla wygody publicznéj wydana w r. 1807. Nakładem J. L. Kocha przy ulicy Sto-Jańskiéj, pod nr. 19."

i mielizny, w mieście i na przedmieściach wszystkie domy po szczególe (Stare Miasto wyjąwszy), kierunki ścieków rynsztoków po ulicach; odróżnia ulice brukowane od niebrukowanych, domy rządowe i znakomitsze są odznaczone właściwemi numerami, napisy ulic i miejsc są w języku polskim, ogrody ogólnie, jednak dość wiernie ponaznaczane. Z tego planu widzimy, iż jeszcze wówczas istniała baszta Marszałkowską niegdyś zwana, pozostała od starych murów, a ostatnia od Wisły; z bram znajdowało się jeszcze trzy: Krakowska i dwie Nowomiejskie. Na Pradze bardzo pustéj, z powodu iż w r. 1807 bardzo wiele domów na fortyfikacye rozebranych zostało (1), jedna tylko kaplica pozostała od klasztoru ks. Bernardynów. Koło dzisiejszego kościoła ś. Alexandra, stały wtedy trzy krzyże w linii téj jak dziś pozostałe dwa; w Saskim ogrodzie pawilon środkowy, tak zwana altana, o któréj późniéj wspomnimy. Nakoniec przyłączone jest do tego planu osobno drukowane wymienienie znakomitszych domów w Warszawie (*Nachweisung der merkwürdigsten Gebäude in Warschau nach ihren Nummern*). Podług tego wykazu, gmachy Warszawy dzieliły się na: *a*) domy królewskie których było 3, tojest: zamek pod nr. 1; pałac Saski pod nr. 413; magazyn i browar pod nr. 3041 przy ulicy Czerniakowskiéj, gdzie dziś fabryka machin parowych Banku Polskiego. *b*) Domy skarbowe a mianowicie: pałac korpusu kadetów pod nr. 394, w którym znajdowało się pawilonów 24; główny pocztamt pod nr. 421; pałac biskupa krakowskiego pod nr. 496; pałac rządowy Kommissyą zwany pod nr. 549; arsenał pod nr. 563; mennica pod nr.

(1) Tabella rozebranych domów na Pradze, umieszczona jest w Gazecie Warsz. na rok 1807 w Dodatku do nr. 100.

607; pałac Brylowski pod nr. 612; pałac biblioteki dawniéj Załuskich pod nr. 617; koszary Mirowskie pod nr. 934; Ujazdowskie pod nr. 1721; dom poprawy (*Zuchthaus*) pod nr. 1863 lit. B. przy ulicy Zakroczymskiéj; koszary dawniéj gwardyi koronnéj pod nr. 2009; drugi dom poprawy pod nr. 2219 przy ulicy Pokornéj; koszary dawniéj artyleryi pod nr. 2317; piekarnia i magazyn zboża pod nr. 2492 przy ulicy Smoczéj; magazyn solny pod nr. 2917 i 2918 na Solcu, gdzie i dziś znajduje się. c) Domy miejskie: cztéry ratusze bez zmiany miejsc jak poprzednio; magazyn karowy pod nr. 2235 przy ulicy Nalewki, gdzie dziś koszary komendy pożarnéj i strażnica ogniowa; więzienie miasta prochownią zwane pod nr. 2564 przy ulicy Rybaki (gdzie dziś kamienica p. Józefa Wilson). Kościołów ze szpitalami 39, teatrów 3, a temi były: teatr polski na placu kommissyi (Krasińskim); teatr francuzki na Krakowskiém-Przedmieściu w pałacu pod nr. 387; teatr szczwalnia na ulicy Brackiéj pod nr. 1576. Domów zajezdnych (hotelów) znaczniejszych 9, jakiemi były: *Hôtel de bon goût* pod nr. 413 w pałacu Saskim; *Hôtel de Prusse* pod nr. 492 Nestego przy ulicy Miodowéj; *Hôtel de France* pod nr. 543 przy ulicy Długiéj (w domu Elerta); *Hôtel de Paris* pod nr. 545 przy ulicy Długiéj; *Hôtel de Dresde* pod nr. 556 w tém miejscu gdzie i dziś; *Hôtel d' Allemagne* pod nr. 584; *Hôtel de Vilna* pod nr. 600 (dziś nr. 599 lit. A); *Hôtel de Hambourg* pod nr. 608 (dziś Zajazd Białostocki); *Hôtel d'Angleterre* pod nr. 613 przy ulicy Wierzbowéj (tam gdzie i dziś). Ogrodów publicznych było 3; pałaców prywatnych liczono 114 i t. d.

W początku roku 1812, podług drukowanéj taryffy Warszawa mieściła w sobie wraz z Pragą i za rogatka-

mi ulic 213 i była podzielona na ośm cyrkułów, w których w ogóle liczono domów 3807.

Zmniejszenie się liczby niektórych budowli i ulic, w porównaniu do ilości jaka w roku 1808 pokazała się, pochodziło ztąd, iż większa połowa domów, mianowicie na Pradze, na fortyfikacye rozebrane zostały (1).

Pod względem ludności widzimy wzrost Warszawy podnoszący się; z notat albowiem statystycznych pokazuje się, iż ogółem stałych mieszkańców liczono tutaj:

| | |
|---|---|
| w r. 1806 | 68,411 |
| — 1810 | 77,727 |
| — 1813 | 78,767 |

a zatém w porównaniu do poprzedniego stanu ludności, stosunek był w r. 1806 jak 1: $3^{16}/_{17}$; w r. 1810 jak 1: $4^{10}/_{17}$.

Co do szczegółów, w roku 1813 znajdowało się gospodarzy 20,000, ich żon 14,200, synów 2,700, córek 6,500, kupców 240 którzy utrzymywali 140 kupczyków i 187 chłopców; rzemieślników 3,500, chłopców w terminie zostających 1,700, służących płci męzkiéj dorosłych 2,600, chłopców w służbie 1800, sług płci żeńskiéj 6,800; żydów na przedmieściach mieszczących się liczba dochodziła 8,000 (2).

Zwracając się do wewnętrznego stanu miasta, zaprawdę znowu wiele pod każdym względem odmian

(1) Taryffa domów miasta Warszawy dla wygody publicznéj nowo wydana, z dołączeniem cyrkułu 8 czyli Pragi, toż domów za rogatkami będących, w miesiącu styczniu 1812 r. Nakładem i druk. Wiktora Dąbrowskiego, pod nr. 185, przy ulicy Krzywe-Koło.

(2) Podług notatek statystycznych w Dzien. Warsz. na r. 1826 str. 333 umieszczonych, Dykcyonarza Geograficznego w Wrocławiu 1813 r. wydanego, i rękopismów od radcy stanu J. Mitkiewicza uprzejmie udzielonych.

w tych kilku latach w Warszawie nastało. W końcu roku 1806 Murat spalił lub zabrał tutejsze angielskie towary; Denon najwytworniejsze nasze dzieła sztuk pięknych przewiózł do muzeów paryzkich. Opustoszałe niedawno gmachy były zajęte, lecz nie na zakłady przemysłowe lub gościnne, lecz na koszary, magazyny i lazarety; po wszystkich domach prywatnych, a nawet u lokatorów musiano umieszczać żołnierzy francuzkich, którzy zamiast uprzejméj grzeczności wnieśli prostactwo i burdy do kwatery, a wtedyto znikł urok, którym bujna wyobraźnia tych przybyszów otaczała, niebawem zaś jedni i drudzy przekonali się, iż wzajemnie zawiedzeni zostali.

„Przez cały grudzień 1806 roku, pisze w swoich notatach Magier, wojsko do nas ściągało i zebrało się do 60,000. Wisła uporczywa to lodem, to szronem tamowała przewóz na Pragę, a chociaż żołnierze ustępowali z domu chcąc iść w dalszą drogę, dla trudnéj przez rzekę przeprawy, spieszno na noc wracali do dawnéj kwatery; potrzeba im więc było dać znowu żywność, posłanie i wszelką wygodę, gdy gospodarzom wątku nie stawało dla drogości wszystkiego i braku piéniędzy. Przepełnione niemi były klasztory, pałace, a z dworków nie jeden właściciel udawał się na ratusz i składał klucze od swojego domu, którego się zrzekał; kogo spotkałeś wtedy na ulicy strapionego lub kobiétę łzami zalaną, byłto niezawodnie właściciel lub właścicielka domu, żaląca się na Francuzów."

„Po ulicach, mówi daléj Magier, nie słyszałeś tylko francuzkie słowa, hałas i tartas przedtém niesłychany: tu kobiéty ustępować muszą z dorożki jakimś grenadyerom, owdzie woltyżery zabiérają konie i wóz piwowarski, a je-

źli ktoś przechodząc tłumaczył, iż wóz ma kartę uwolnienia, Francuzi radzi że znaleźli tłumacza, brali go z sobą do lazaretu; tam musiał im służyć za pośrednika i tłumacza, póki nie znalazł chwili ażeby się wymknął. Kto był na teatrze wesołym także nie wracał, bo tam jak w domu zajezdnym krzyki i głośne gadania Francuzów. W kościele podczas nabożeństwa zamiast dzwonu, bębny tylko słyszałeś. Gdzie tylko dom obszerny już tam mieścił się lazaret; główny zaś był w pałacu Pruszaków przy ulicy Senatorskiéj (gdzie dziś ratusz) i w konwikcie ks. Pijarów na Miodowéj ulicy (dziś Sąd Apellacyjny). Ustały wtedy zabawy publiczne i towarzystwa prywatne, natomiast nastały we wszystkich salonach modnych grube roboty, szycia bielizny i skubanie szarpi dla chorych, a gazety warszawskie donosiły codziennie publiczności, ile i która z dam koszul uszyła lub funtów szarpi uskubała. Lekarze, felczery i aptekarze bogacili się, gdy obywatele ubożeli. Łóżek z pościelą do szpitalów w liczbie nieskończonéj musiano dostarczać, a to nietylko właściciele domów i lokatorowie, lecz kto tylko był w stanie."

„W traktyerniach zastawałeś prawdziwe piekło: widziano nieraz, iż gdy niepodobała się jaka potrawa Francuzom, razem z talerzem wyrzucał ją za okno; nieprędko mu jeść dawano, tłukł co miał przed sobą. Niejeden chociaż nie Francuz po francuzku łajał, wymyślał krajowi i obyczajom, a ganił wszystko w mieście w którém się urodził. Francuzczyzna w naszéj Warszawie tak wtedy zagnieździła się, iż nawet po sklepach i kramikach żyd i żydówka łamanym francuzkim językiem do swoich dawnych znajomych mówili; kto zaś go nie posiadał, Bóg wié jakiéj nie doznawał biédy w domu. Wszelako drobny handel szedł nieźle w mieście, bo póki Francuz w po-

czątkach nie poznał piéniędzy, za bułkę trzygroszową płacił trzy srébrne grosze; zegarków miał dosyć i tanio je zbywał" i t. d.

Podług świadectw krajowych i zagranicznych współczesnych pisarzy, ogólne wtedy zubożenie kraju i powszechny niedostatek Warszawie dojmował. Pomimo to atoli, lubo na ciężkie czasy narzekano, w parę lat pokoju wartość domów i komornego podniosła się i chęć do zabaw obudziła się, zawsze mając niewyczerpane do tego środki. Wznawiały się więc dawne, tworzyły nowe zabawy, bale i baliki, a piérwsze damy dowcipną i użyteczną czasem dawały im postać; szczęśliwe w swoich pomysłach, wynalazły wtedy zabawy tém dla publiczności przyjemniejsze, że cel z zebranego z nich dochodu, zmierzał do ratunku nieszczęśliwych i wsparcia ubóstwa. I tak powstała wtedy loterya tak zwana fantowa, do któréj wezwana publiczność chętnie znosiła małe sprzęciki, drobne fanty częstokroć kosztowne, których znaczną liczbę zgromadzono, a piękna płeć zatrudniała się rozdawaniem biletów, spieniężeniem i pomnożeniem kassy ubogich. Nastał karnawał, zaczęto dawać bale; grywano amatorskie teatra także w tym celu, słowem, tańczono, bawiono się i zaledwie nie swywolono w miłosiernym celu, a ta modna litość Bóg wie jak daleko możeby się była posunęła. W epoce téj zapisał Magier w swoich notatach: „Były w Warszawie w modzie tak zwane herbaty tańcujące, które pewien żartowniś nazwał wielką rzeczą o małym koszcie; i słusznie, bo z nieuzbrojonym żołądkiem niebezpieczno było puszczać się w herbaciane tańce, gdzie całym zasiłkiem herbatę z biszkoptem i kilka cukierków dawano, pomimo, iż takowe zabawy długo w wieczór trwały. Narzekali na tę modę dawni amato-

rowie uczt krajowych, utrzymując, że herbata tylko służy dla chorych; ubolewali, że zniknęły roztruchany z stuletniém winem i sute wieczerze, jednak lubo tańcujące herbaty zniknęły, ale i dawny sposób życia nie wrócił się."

W roku 1811 zawiązało się towarzystwo kościelnéj muzyki, pod przewodnictwem Józefa Elsnera i Karola Kurpińskiego, dyrektorów muzyki teatrów warszawskich, które co niedziela w kościele ks. Pijarów wykonywało muzykę przy mszy świętéj, utrzymując się własnym kosztem. Początek jego istnienia był nader świetny, szkoda tylko, iż zapał jak zwykle u nas nie trwał długo (1).

Nie wychodziły też ze zwyczaju zabawy poza miastem, a najbardziéj uczęszczaną była wtedy wiejska kawa przy ulicy Wiejskiéj pod nr. 1727, gdzie i dziś istnieje, która nową swoję wziętość winna dotąd żyjącemu właścicielowi. A lubo wyżéj wspomnieliśmy o tém miejscu, początek jego atoli jest taki: W roku 1764 na tém miejscu było jeszcze pole zaorane i zbożem zasiane, należące do wsi Jazdów, do dóbr księcia Kacpra Lubomirskiego. W następnym roku Jakób Nejbert kupiec warszawski nabył ten grunt i wystawił domek drewniany dotąd będący, a ten w roku 1782 przedanym został Wilhelmowi Togno, od którego pani Nejbert trzymając w dzierżawie, założyła kawiarnią pod nazwiskiem *wiejskiéj* i nadała jéj najpomyślniejszy początek. Tu cała prawie Warszawa, płeć piękna, młodzi i starzy dla przejażdżki i widzenia tak zwanego wielkiego świata uczęszczając, w oddaleniu cokolwiek od miasta przyjemne przepędzali chwile. W roku 1791 domek ten z ogrodem przeszedł do rąk p. Karola Draca, a w roku 1810 do dzisiejszego właściciela

(1) Gołębiowski, Gry i zabawy, str. 253.

p. Mikołaja Wronikowskiego, który lubo przybudował sale i oranżerye, urządził 10 pokojów ozdobnych, w dawnym jednak wszystko tak jak było zachowuje stanie: i skromne jego ozdoby i sprzęty jednakie, wreszcie i ogródek i pomarańczarnia dla odwiedzających gości, znawców i smakoszów dobréj a prawdziwie wiejskiéj kawy. Za niego także prawie jednocześnie w środę popielcową, ci którzy nie odbywają zaodległéj przejażdżki do Wilanowa, przybywają na wiejską kawę i w tym dniu od trzydziestu kilku lat jak dotąd mnóstwo tu bywa gości. Nakoniec wypada nam wspomnieć, iż ogródek przyległy od roku 1770 był zwykle przeznaczony na pojedynki, które jak przypisywano temu miejscu, odbywały się tak szczęśliwie, iż nikt z walczących nie poległ, a zawsze kłótnia ukończyła się zgodą.

Co do strojów w tym czasie w Warszawie noszonych, ubiory mężczyzn i kobiét niewiele główniejszym zmianom uległy; za to co do niektórych przedmiotów, jakoto: kroju, koloru szat, materyj używanych, wyższych lub dłuższych stanów, tych lub owych ozdób, moda jak zwykle nadzwyczaj była niestałą; wszelako smak dobry nie skaził się przez nowe jakie urojenia, dawny tylko krajowy ubiór mieszczan, szlachty i niektórych stanów już natenczas był rzadkością, a osoby które w nim jeszcze chodziły, dziwowiskiem ludu stawały się. Żył atoli jeszcze jeden w Warszawie doktór nazwiskiem Dupont, który pomimo wszystkiego, do śmierci odwieczny strój zachował. Sławny bo to był oryginał z swoich dziwactw i przymiotów, którego w swoim czasie cała Warszawa znała, a dziś jeszcze wiele osób pamięta. Jan Chrzciciel Dupont doktór medycyny, właściciel domu przy ulicy Jezuickiéj pod nr. 70, nigdy nie stosując się

do świetnéj mody, miał ubiór złożony z obszernéj togi i ogromnéj z włosieni końskiéj zrobionéj peruki w loki wijącéj się, która mu aż na ramiona spadała. W ręku nosił długą nad głowę laskę ze skówką srébrną, którą chłopców za nim latających często rozpędzał. Prawie nigdy nie jeździł powozem, lecz piechotą odwiedzał licznych pacyentów, których bawił pociesznemi powiastkami i częstokroć rozweselał najbardziéj cierpiących. Najchętniéj leczył ubogich i rzemieślników, a unikał bogaczów. Gdy pewna uboga kobiéta wezwała go na czwarte piętro, lekarz należycie ją wybadawszy, „WPani chorobą, rzecze, jedynie jest nędza, a najskuteczniejszą receptą dla niéj będzie ten zasiłek"; to mówiąc zostawił 200 złotych. Podobnych recept udzielał często biédnym, chociaż dla siebie był może zanadto skąpym, tak w odzieży jak w pokarmach i mieszkaniu. Twierdził on, iż po każdych świętach Wielkanocnych w Warszawie najwięcéj miał pacyentów, którzy chorowali z powodu zbytecznego jedzenia święconego. Przeto postanowił był przed Wielkanocą odwiedzać swych pacyentów nawet zdrowych, i zalecał im wstrzemięźliwość, co uskuteczniał regularnie, a ta jego gorliwość często odnosiła szczęśliwy skutek, tak, iż z radością sam wyznawał, że takowe wczesne odwiedziny więcéj skutkowały, niż późniejsze recepty (1).

Owoż wewnętrzny stan tutejszego miasta i w tych czasach miał swoję dobrą stronę, a zwiedzający pod tę porę cudzoziemcy, chlubne dają o tém świadectwo. W jednym dzienniku florenckim z roku 1827, umieszczone pamiętniki oficera wojsk włoskich, odbywające-

(1) Z notat p. Kozłowskiego.

go kampanią 1806 i 1807 roku, wiele zawiérają szczegółów pochlebnych dla Warszawy, mianowicie co do krajowego teatru, który, jak w poprzednim rozdziale wspomniałem, dość długo przestawał na owym bezpośrednim rodzaju sztuk, w którym dekoracye, rozmaitość widowiska, sceny burzliwe lub patetyczne, pogrzeby i mary, mniejszego od autora i aktora wymagały talentu, a podobały się i jedynie bawiły publiczność, odwracając gust od tych dzieł, w których osnowa rzeczy, doskonałe malowanie charakterów, dowcip, trafna i wyższa komiczność, piękne wysłowienie, większy zaszczyt autorowi, artyście i gustowi publicznemu przynoszą. Postęp teatru właściwie od roku 1810 poczyna się, tojest: od ustanowienia wyrokiem królewskim na dniu 10 sierpnia t. r. wydanym, szkoły dramatycznéj, oraz oddzielnéj dyrekcyi rządowéj teatru, która obowiązaną była czuwać nad doborem sztuk grywanych i miéć dozór nad otworzoną powyższą szkołą, w któréj z wyznaczonego na jéj utrzymanie funduszu 36,000 złp. kształciło się 6 uczniów i tyleż uczennic na zdolnych aktorów. Kierował nią równie jako teatrem znany Wojciech Bogusławski i zasilał przykładem swego talentu jako aktor i autor. Obok Bogusławskiego stanął podobnież niepospolity artysta dramatyczny i pisarz Ludwik Dmuszewski; należał on w téj epoce nawet do ulubionych autorów, któremu różne zdarzenia krajowe podawały sposobność do tworzenia sztuk zręcznie do okoliczności zastosowanych. Oprócz polskiego, był nadto teatr francuzki w wielkiéj sali pałacu Radziwiłłów w roku 1808, pod dyrekcyą panów Alexandre i Perroix, i szczególnie upodobany od publiczności teatr maryonetek Verdena, w dużéj sali pałacu prymasowskiego okazywany.

Znaczny krok postępu także szkoły i w ogólności wychowanie publiczne w tych latach zdziałały. Już w początkach nowego rządu, na miejsce Kommissyi Edukacyjnéj powstała Najwyższa Izba Edukacyjna, która w przeciągu lat pięciu swego istnienia, pomimo rozmaitych przeszkód, niepokoju, zdołała utrzymać dawniejsze i nowe utworzyć instytuta. Nim atoli ogólny układ i zaprowadzenie wszystkich szkół w całym kraju mogły być uskutecznione, tymczasowo dla kształcenia zdatnych urzędników, ustanowiono w Warszawie szkołę prawa d. 18 marca 1808 uporządkowaną, a 24 maja t. r. w pałacu ówczasowego ministra sprawiedliwości hr. Felixa Łubieńskiego przy ulicy Królewskiéj pod nr. 1066 otworzoną. Stan nauczycielski otrzymał nowe przepisy (12 stycznia 1808 r.), rozwijające żądane przymioty i obowiązki osób trudniących się wychowaniem. W roku 1809 otworzono szkołę lekarską, a przy niéj w następnym roku założony piérwszy dla użytku szkolnego ogród botaniczny, pod kierunkiem Jakóba Fryderyka Hoffmana dra med. i professora historyi naturalnéj przy téjże szkole (1). Ogród ten położony był za gmachami Kazimiérowskiego pałacu; piérwszym zaś jego ogrodnikiem był

(1) Za dawnych czasów były w Warszawie dwa ogrody botaniczne: jeden na dole pod zamkiem królewskim, drugi około pałacu Kazimiérowskiego. Obadwa te ogrody założyła królowa Marya Ludwika w r. 1650. Marcin Bernitz chirurg nadworny królów Jana Kazimiérza, a potém Jana III Sobieskiego, w dziele botanicznem pod tytułem: *Catalogus plantarum tam exoticarum quam indigenarum, quae anno* 1651 *in hortii regiis Varsaviae etc. nascuntur. Gedani*, 1652, opisuje rośliny w tych ogrodach znajdujące się, pomiędzy któremi znaczna część była z Węgier sprowadzona. Niedbalstwo dozorców zrządziło upadek ogrodu botanicznego pod zamkiem; ogród zaś obok pałacu Kazimiérowskiego dostał się Sobieskim, następnie Augustowi II, upadł zaś w czasie domowych zaburzeń i zaniedbania tego gmachu.

niejaki Lindner. Uorganizowano towarzystwo do układania i roztrząsania ksiąg elementarnych, urządzono dozory szkolne mające doglądać instytuta męzkie i żeńskie (16 października 1808). Rada dozorcza szkół płci żeńskiéj w departamencie warszawskim z dam piérwszych w znacznéj części złożona, ogłosiła w r. 1810 drukiem regulamen dla pensyi i szkół płci żeńskiéj przez Izbę Edukacyjną tegoż roku potwierdzony, gdzie na wszystkie części wychowania niewieściego, wzgląd jest miany. Nakoniec w r. 1812 wyrokiem królewskim tak zwana Izba Edukacyjna zamienioną została na Dyrekcyą Edukacyi publicznéj, pod przewodnictwem Stanisława hr. Potockiego. Cały plan nauk zmieniony, szkoły podzielone na trzy oddziały, w których nauki dawały się podług przepisanego urządzenia (12 października 1812), nadając im kierunek do potrzeb ówczasowych zastosowany (1).

Za postępem wychowania publicznego i piśmiennictwo w Warszawie powoli wznosić się poczęło. W drukarni pijarskiéj od roku 1807 do 1814, wielki Słownik języka polskiego, nieśmiertelne dzieło Samuela Lindego, ówczasowego rektora liceum warszawskiego, wśród trudnych mozołów ukończony został. Przybyła nowa drukarnia rządowa, porządnie podnosząca się staraniem Felixa hr. Łubieńskiego b. ministra sprawiedliwości, a pod dyrekcyą ks. Konstantego Dębka w roku 1809 przy klasztorze Karmelitów na Lesznie założona, i w ruch niezwykły wprawiona. Od gisera z Grodna wzięte zostały druki krajowe, zaś w roku 1811 kupnem resztek drukarni pojezuickiéj z kadecką połączonéj pomnożona, wydawała najważniejsze dzieła, między któ-

(1) Podług mojéj rozprawy p. t. Rys historyczny postępu wychowania publicznego w guberniach Król. Pol. (w rękopiśmie).

remi Historya Literatury Polskiéj, p. Felixa Bentkowskiego, tu w r. 1814 ukończoną została i wiele innych. Naostatek w r. 1814 powstała piérwsza drukarnia żydowska w Warszawie, którą założył na ulicy Żabiéj Nahason czyli Hersz Nahasanowicz i W. J. Lebensohn, do wydawania dzieł hebrajskich. Najstarszy wtedy z handlów księgarskich sklep Fryderyka Pfaffa, mieścił się przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pod nr. 435, przedawał atoli prawie wyłącznie francuzkie książki. W r. 1811 księgarnia Zawadzkiego, także jedna ze znaczniejszych, znajdowała się w kamienicy pod nr. 414 przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (dziś hotel Gerlacha). Z dwóch jednakże odnóg tego handlu, tojest krajowych i zagranicznych książek, odbyt tych ostatnich jak zawsze był znaczniejszy; bogatsi albowiem przykładając się do francuzkiego języka, w płodach tego piśmiennictwa tylko smakowali, a lubo tu i owdzie czytywano polskie dzieła, literatura jednak zagraniczna znakomite miała piérwszeństwo, szczególnie zaś francuzka, któréj wpływ dawniéj na możniejsze klassy udzielający się, w téj epoce otwartym gościńcem całe miasto zalał: język, ubiór, piśmiennictwo, obyczaje i zwyczaje we wszystkiém naśladowano, a nawet za konieczne i zbawienne uważano. Naturalném tedy następstwem było, iż wszelka samodzielność ducha, obczyzną przygniecona, w tłumaczeniach i naśladownictwie tylko objawiała się. Wprawdzie jeden z uczonych naszych zauważał, iż wpływ ten mniejsze szkody na przyszłość niż dawny scholastyczny uczynił; smutny przecież był stan ówczesny ludzi pióra i nauki krajowéj. Jeżeli uczony chciał swoje dzieło wydać, musiał je pospolicie swoim kosztem drukować, a rozprzedawanie jego dopiéro brał księgarz na siebie; żeby zaś płacić autorom, nie było je-

szcze we zwyczaju, i pierwszy podobno Zawadzki w ostatnich latach tego okresu, na dawanie szczupłego honoraryum pisarzom, odważył się. Z téj przyczyny nie mogło utrzymać się tutaj, oprócz dawnych gazet, żadne pismo peryodyczne, już dla braku czytelników, już z niedostatku nakładu; upadł w r. 1809 Pamiętnik Warszawski Osińskiego, zaledwie 10 numerów, a w r. 1810 tylko 4 wydawszy, inne zaś powstać nawet odwagi nie miały. Tak więc, kiedy podówczas w sąsiednich krajach w najszczuplejszych prowincyach, po kilkanaście i kilkadziesiąt pism peryodycznych wydawano, u nas na cztéry miliony mieszkańców, w mieście stołecznem, od r. 1810 do 1815, ani jednego w języku krajowym nie było.

Zresztą w kończącym ten okres roku, nauki wyzwolone pamiętny także zakład w naszém mieście ujrzały; mówię tu o galeryi obrazów, która na początku 1814 r. gorliwością miłośnika i znawcy sztuk pięknych hr. Józefa Ossolińskiego zebrana znacznym kosztem, i w przeznaczonéj części jego domu na Tłómackiém pod nr. 739 umieszczona, dla publiczności otwartą została. Galerya ta w piérwszym swoim zawiązku, składała się z 300 wybornych dzieł, pędzla sławnych malarzy szkół włoskich, francuzkich, niemieckich i flamandzkich. Była zaś codziennie dla każdego otwartą, wyjąwszy soboty i dnie świąteczne, tojest z rana od 6 do 12, po południu od 3 do 6 godziny (1).

Naostatek dotykały Warszawę w tym okresie następne jeszcze plagi. Co do pożarów: w roku 1807 dnia 18 stycznia zgorzał pałac dawniéj biblioteka Załuskich przy

(1) Gazeta Warszawska na r. 1814, Dodatek do nr. 48.

ulicy Daniłowiczowskiéj pod nr. 617, gdzie był natenczas skład chleba, i odtąd do roku 1821 stał pustkami; wtedy dopiéro dano mu dach inny i zmieniono zewnętrzną postać, a z pałacu kamienica, z biblioteki publicznéj dom prywatny stał się: nawet nazwisko ulicy zmienione, zowią ją bowiem Danielewiczowską, kiedy powinna być Daniłowiczowską, nazwisko pochodzące od Mikołaja Daniłowicza podskarbiego wiel. kor. który niegdyś jedyny a ogromny w tém miejscu pałac posiadał (1). W nocy z d. 29 na 30 lipca 1814 r., pożar w przeciągu dwóch godzin obrócił w perzynę trzydzieści dwa pawilony pałacu dawniéj Kazimiérowskim zwanego, między któremi większych 17 a mniejszych 15 zgorzało (2).

(1) Pałac ten w guście francuzkim wzniesiony, dość okazałą a wcale inną jak teraz miał powierzchowność: na froncie mieścił się ogromny herb Junosza Zatuskich i tablica marmurowa z napisami fundatorów, co wszystko w czasie ognia zniknęło. Gdy w r. 1821 na tém miejscu stawiano dom prywatny, pracując nad odkopaniem fundamentów, wydobyto w sierpniu t. r. doskonały bruk więcéj niż na sążeń w głębi będący, tudzież posadzkę z cegieł sztucznie ułożoną. Prawdziwie zaś zadziwiającém było wydobycie tamże kilkudziesiąt popiersi kamiennych, wyrażających książąt i królów polskich, tudzież wielkich ks. litewskich. Niektóre z nich były dobrze zachowane, oprócz nosów, których wszystkim brakowało. W porządku chronologicznym popiersia te od Mieczysława Igo dochodziły do Władysława IVgo, a późniejszych nie odkryto; p. Nowakowski właściciel tego miejsca kazawszy je poreperować i do ostatniego Fryderyka Augusta księcia warszawskiego doprowadziwszy, we framugach po obu stronach muru w dziedzińcu, podług lat z stosownemi napisami poumieszczał, gdzie i dotąd znajdują się. Odkryto przytém rozmaite części architektoniczne i balustradę, niemniéj znaleziono kilkanaście kolosalnéj wielkości posągów mitologicznych, niektóre bez żadnego uszkodzenia i t. p. Snadź wszystko to pochodziło z pałacu Daniłowiczów, w czasie wojen szwedzkich zburzonego, który ze swéj okazałości i ozdób słynął; dziwną jednak jest rzeczą, że przy stawianiu domu biblioteki, tak wielka liczba posągów nie była wynaleziona lub użyta. (Gazeta Warszawska na rok 1807, Dodatek do nr. 6, i Kuryer Warszaw. na rok 1821, nr. 181 i 223).

(2) Gazeta Warsz. na r. 1814, w Dodatku do nr. 62.

Wylewy wody niemniéj w tym okresie dotknęły miasto nasze. W roku 1808 dnia 12 kwietnia Wisła wezbrała na łokci 7 cali 20; najstraszniejsza atoli była powódź w roku 1813, w którymto roku Wisła po kilka razy cokolwiek wzbiérała, jakoto: w czerwcu do łokci 3 cali 11; w lipcu do łokci 4 cali 12; w sierpniu zaś woda która była na dniu 28 z rana na łokci 3 cali 18, w wieczór wezbrała do łokci 4 cali 5; nazajutrz z rana do łokci 7 cali 19 czyli stóp 18 cal 1. Wezbranie to okropne poczyniło szkody: most między Warszawą a Pragą zerwała woda i uniosła całkiem, a nawet i łyżwy; Praga prawie cała była zalaną wodą, która napełniła także ulice Warszawy leżące nizko nad Wisłą; musiano po nich pływać łodziami dla ratunku nieszczęśliwych, gdyż niektóre domy zaledwie widać było z wody; pałac w Łazienkach prawie całkiem był zalany. Straszny to był widok rozhukanego żywiołu i wielkie poniesiono szkody. Widziano w piérwszych chwilach wyłewu niesione pędem wody porozrywane stosy drzewa, szczątki domów, sprzęty, bydło i t. p. Niejeden stracił życie, a wielu pozbawionych zostało sposobu utrzymania go. Opadanie wody tak było wolne, iż przez piérwszy tydzień ledwo na 3 łokcie od piérwszéj wysokości odstąpiła, zostawiając okropne ślady spustoszenia, jakiego historya naszego miasta nie pamiętała. Wylew ten bowiem na milę aż za Białołękę rozciągający się, na półtora łokcia przewyższył pamiętny w r. 1774 (1).

(1) Podług wiadomości podanych przez A. Magiera w gazecie Korrespondent Warsz. na r. 1813 nr. 75, tudzież opisu w téjże gazecie tegoż roku w Dodatku do nr. 70.

## § 7. Wzrost i stan Warszawy od 1815 do 1826 r.

W dalszym rozwoju dziejów Europy, król Fryderyk August książę warszawski w skutek układów pomiędzy potężnemi mocarstwy na kongresie wiedeńskim zawartych, przez traktat z dnia 18 maja 1815 r. zrzekłszy się posiadania Księztwa Warszawskiego, uwolnił mieszkańców od przysięgi, a miasto nasze w dniu 20 czerwca tegoż roku obchodziło z wielką uroczystością ogłoszenie Królestwa Polskiego, które wspaniałością wiekopomnéj pamięci Cesarza Alexandra Igo wskrzeszone zostało. Warszawa jako stolica państwa zaraz w piérwszym roku zaprowadzenia nowéj ustawy prawodawczéj, pod bezpośrednią zwierzchność Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Policyi oddana, postanowieniem z dnia 10 lutego 1816 r. co do władzy municypalnéj, składu urzędów, podatków, funduszów miasta, urządzona, rozpoczęła nową epokę wzrostu, jakiego nigdy przedtém żadne miasto dawnéj Polski nie miało. Dochody miasta znacznie wzniesione, w roku 1818 do 700,000 złp. dochodziły (1). Podciągnieni uchwałą 23 marca 1816 r. do znoszenia kwaterunków, kupcy, winiarze, traktyerniki, cukierniki, szynkarze i t. p. jako największy zarobek w mieście ciągnący, a z saméj konsystencyi wojska korzystający, znaczną ulgę mieszkańcom przynieśli. Postanowieniem dnia 3 lutego 1816 r. wzbroniono budowanie domów drewnianych w obwodzie okopów i niereperowanie takichże na głównych ulicach, dla zapewnienia bezpieczeństwa porządku i ozdoby miasta, a Towarzystwo

(1) Dziennik Praw t. I, str. 158.

Ogniowe ustawami z dnia 9 lipca 1816 r., 7 i 28 stycznia, tudzież 25 lutego 1817 r. na nowo urządzone. Przedmieście Praga zyskało oddzielną administracyą pod zwierzchnością osobnego burmistrza, z oddzielnemi dochodami, nowy plan odbudowania (1819) i nowe zupełnie ulice wytknięto (1); a urządzenia reszty miasta czynnie i szybko po sobie następujące, jakby czarodziejską ręką w lat kilka dawny stan zmieniły. Szczególnie pamiętne pod tym względem są zasługi Karola Wojdy, od d. 16 stycznia 1816 do końca 1830 r. prezydenta municypalności, na którego wniosek i prośby JO. książę namiestnik królewski postanowieniem w Radzie Stanu z d. 26 listopada 1816 r., wyznaczył od r. 1817 rocznie ze skarbu publicznego summę złp. 300,000 pożyczki przez lat 23, na wsparcie nowo-budujących się w Warszawie przy ulicach znaczniejszych, a postanowieniem z d. 25 listopada 1817 r. przeznaczył kapitał własny miasta, summę 150,000 złp. wynoszący, na wsparcie nowo-budujących się po odleglejszych ulicach (2), z których piérwszy po 25 i 50 tysięcy wydają chcącym stawiać murowane domy, z obowiązkiem wypłacania po upływie piérwszych lat trzech, przez następne lat 20 po 5 %o na kapitał, a 1 %o na procent mający stanowić żelazny fundusz budowlany miasta. Drugi fundusz dla mniéj zamożnych przedsiębierców, na odleglejszych ulicach wznosić mających murowane domy, podzielono na akcye po 10.000, 7,500 i 2,500 złp. od których przez lat 25 po 4 %o na kapitał, a po 2 %o na procent wyliczając, dług cały umarzają. Postanowienia te jak są jasnemi dowodami li-

(1) Akta stołecznego miasta Warszawy nr. 42 w archiwum Kom. Rząd. Przych. i Skarbu.

(2) Dziennik Praw t. II, str. 257 i tom IV, str. 42.

cznych i ważnych dobrodziejstw rządu, tak skutkami swemi w późne lata zapewniają trwałą pamięć u mieszkańców tutejszych o prezydencie Wojdzie (1). Ile zaś one pożytku od czasu wejścia w wykonanie dla tutejszego miasta przyniosły, najwymowniéj świadczą sprawozdania z obrotu pożyczek budowlanych, publicznie drukiem ogłaszane, które wykazują, iż zacząwszy od roku 1817 do 1823, w przeciągu lat 7 w ogóle stanęło nowych domów 200, a odnowiono 769. Dochody téż i wartość tychże od dawnych czasów nie były tak w Warszawie podniesione jak w ciągu tych lat, a opłata komornego corocznie wzrastała (2). Staraniom wyżéj

(1) Karol Ferdynand Wojda ur. dnia 23 lutego 1771 r. w mieście Lesznie w Poznańskiém, szkoły wyższe ukończył na uniwersytetach niemieckich. Wszedł do służby do dawnéj dyplomacyi polskiéj i był sekretarzem poselstwa w Berlinie; późniéj odbywał podróże po Europie, pisał i wydawał różne dzieła i pisma ulotne, znane w piśmiennictwie polskiém, lubo najwięcéj w języku niemieckim są drukowane. Od r. 1797—1801 służył wojskowo w b. wojsk. polsk. zkąd wziąwszy dymissyą wszedł do służby administracyjnéj pruskiéj, a następnie b. Ks. Warszawskiego; przechodząc różne stopnie w Kamerze, Radzie Stanu i Sądzie Kassacyjnym, aż do prezesa Kommissyi Nadzwyczajnéj potrzeb wojska (1812 r.), sprawując te obowiązki z zadowoleniem rządu i obywateli. Zostawszy prezydentem miasta Warszawy i radcą stanu, na tych urzędach w ciągu lat 15 położył znakomite usługi w uporządkowaniu administracyi, skarbowości i urządzeniu policyi miejskiéj. We wrześniu 1831 r. przeszedłszy na wyższe urzęda w Komm. Rząd. Spraw Wewn. i Duch. i w Radzie Stanu, przy zaprowadzeniu Departam. Warsz. Senatu, mianowany tajnym radcą i senatorem. Ozdobiony orderami ś. Anny z koroną, ś. Stanisława Iszéj klassy, ś. Włodzimierza IIgiéj i znaku nieskazitelnéj służby za 45 lat, zakończył życie pełne wzorowych zdolności, prac i zasług, dnia 21 lutego 1846 r., mając lat 74; pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym. (Obszerniejszy żywot Wojdy w Kuryerze Warszawskim na r. 1846, nr. 92).

(2) W jednéj z kamienic na Nowém-Mieście, znajduje się dokładnie zachowany regestr, ile właściciele brali za komorne od lat 100, za pierwsze piętro złożone z 5 pokoi, kuchni, stajni i t. d.

wspomnionego prezydenta Wojdy, winna także Warszawa urządzenie w r. 1816 nowego sposobu oświetlania ulic latarniami czworograniastemi, zawieszanemi między dwoma słupami na sznurze w środku, a o 30, 40 do 50 kroków jedna od drugiéj odległych. Takowe latarnie najprzód pokazały się na ulicach: Krakowskie-Przedmieście, Senatorskiéj i Miodowéj; w następnym zaś roku sposób ich zawieszania zmieniono, tak, że na szerszych ulicach na słupach przy trotuarach, a na węższych na prętach żelaznych do muru domów przybitych, w szachownicę i w równéj odległości zawieszone zostały. Latarni takowych było w całém mieście 80. Od dnia 1 września 1819 r. zaczęto oświecać miasto nowemi latarniami, genewskiemi zwanemi, których 245 w całém mieście liczono, a wtedy także składka czyli opłata na opalanie, sprawianie i naprawę latarń ustanowioną w Warszawie została. Tegoż roku urządzono straż nocną z 30 patrolistów złożoną, których liczba w późniejszych latach w miarę potrzeby do 65 powiększoną została; i wtenczas niektóre cyrkuły miały po 5 lub 6 patrolistów, którzy z halabardami i grzechotkami od zmroku do rana po cyrkułach chodzili. Prawdziwie ubodzy nasi współmieszkańcy zawdzięczają temuż prezydentowi, iż fundusz w ilości złp. 54,000, testamentem ks. Franciszka Bohomolca ex-Jezuity, na d. 9 stycznia 1781 r., celem wspierania ubo-

z czego najlepiéj można sądzić o wzroście lub upadku komornego w naszém mieście. Roku 1725 na kwartał 150 tynfów; r. 1734 120 tynfów; r. 1738. 80 tynfów; r. 1740. 70 tynfów; r. 1758. 100 tynfów; w r. 1764, 25 dukatów; r. 1772, 30 dukatów; 1780. 24 dukatów; r. 1788, 36 dukatów; r. 1790, 40 dukatów; r. 1793, 25 dukatów; r. 1796, 18 dukatów; r. 1800, 12 dukatów; r. 1804. 8 dukatów; r. 1807, 14 dukatów; r. 1814, 18 dukatów; r. 1815, 20 dukatów; r. 1817, 44 dukatów; r. 1820, 45 dukatów; r. 1823, 35 dukatów.

gich wstydzących się żebrać, zapisany, na prywatnych possesyach lokowany i przez długi przeciąg czasu i rozmaite okoliczności prawie zapomniany, usilném jego staraniem wydobyty został, a zaległemi od wielu lat procentami na kapitał obróconemi do 102,025 złp. pomnożony, życzeniom testatora odtąd godnie odpowiada, czyniąc rocznego procentu złp. 4951 gr. 8. Summa ta wspiéra corocznie 108 osób na pięć klass podzielonych, a rozdział tego wsparcia odbywa się w sali sessyonalnéj Magistratu, w post wielki około śgo Józefa, w przytomności prezydenta, radnych i ławników, przez kanonika z kapituły metropolitalnéj warszawskiéj delegowanego, który wspomnianym ubogim własnoręcznie jałmużnę tę rozdaje (1).

W ślad za piérwszemi urządzeniami, i powierzchowność miasta niebawem zmieniać się poczęła; w roku 1817 zniesiono pozostałe bramy Warszawy, a mianowicie bramę Krakowską, któréj mury tak były mocno

(1) Ks. Franciszek Bohomolec ex-Jezuita, konsyliarz aktualny J. K. Mci, testamentem z dnia 9 stycznia 1781 r. przeznaczył dla ubogich wstydzących się żebrać w Warszawie, summę trzy tysiące dukatów czyli złotych pol. 54,000, na procent po złp. 5%, z któréjto summy dukatów 1000 na dobrach miasta Warszawy, a dukatów 2000 u Jana Czempińskiego doktora medycyny umieścił. Procent od kapitału piérwszego, tojest od złp. 18,000, za rok 179½ po śmierci testatora w dniu 9 sierpnia 1779 r. piérwszy raz pomiędzy ubogich w ilości złp. 900 był rozdzielony, i odtąd ciągle opłaca się. Zaś drugi kapitał złp. 36,000, u Czempińskiego umieszczony, a przez długi przeciąg czasu zaniedbany, dopiéro w r. 1823 staraniem prezydenta Wojdy wydobyty i z zaległemi procentami na kapitał obrócony, przy podziale między sukcessorów majątku Czempińskiego, składającego się z pięciu kamienic w rynku Starego-Miasta na złp. 81,025 obrachowany, na tychże possesyach bezpiecznie ulokowany został. Oba więc te fundusze dziś składające ogólną summę 102,025 złp., czynią rocznego dochodu złp. 4951 gr. 8. (*Z akt Magistratu warsz.*).

budowane, że mularze kawałami je podkuwszy, zaledwie łamali, zeszczerbiwszy niemało oskardów. Rozebrano lub skasowano dawne ratusze; główny przeniesiono ze Starego-Miasta w dniu 20 sierpnia, do zakupionego na ten cel dawnego pałacu księcia Antoniego Jabłonowskiego, przy ulicy Senatorskiéj pod nr. 462, gdzie i dziś mieści się (1). Wtedy także budowle Pociejowa

(1) Do roku 1692 miejsce gdzie stoi dzisiejszy ratusz główny miasta Warszawy, było placem pustym i niezabudowanym, z dawien dawna Samsonowskim nazywanym, który pomiędzy rokiem 1640 do 1670 należał do Dawida Rottenhoffera kupca warszawskiego; od niego bowiem w ciągu tych lat, nabył takowy Kazimierz Kotowski sędzia ziemski warszawski, od którego syna Antoniego, prawem spadku tenże plac posiadającego, w r. 1692 kupił Hieronim Potrykowski stolnik rożański za summę 600 złp. ówczesnych. Z kontraktu tego kupna i sprzedaży, pokazuje się, iż dopiéro ostatni nabywca, piérwszy zabudował to miejsce; kupił zaś jeszcze tylko grunt czyli plac (*fundum seu aream*) na ulicy Senatorskiéj w obrębie gruntu wielmożnych Wołuckich, między domem czyli browarem sławetnego Wojciecha Bochenkowicza rajcy miasta Staréj-Wrszawy z jednéj, a dworkiem J. W. Kryszpinów z drugiéj strony, przy drodze publicznéj, naprzeciw dworku J. W. Lipskich i Warzyckich (późniéj Pociejów, dziś Wielki Teatr) leżący. Po śmierci Potrykowskiego w r. 1718, dwaj synowie jego: Franciszek łowczy ziemi warszawskiéj i Kazimiérz chorąży rożański, wyrokiem sądu zjazdowego mieli sobie przyznany na własność dworek po swoim rodzicu przypadający, i takowy w r. 1722 sprzedali Maryi Ludwice Morsztynowéj, wdowie po Kazimierzu Ludwiku Bielińskim marszałku koronnym; wtenczas już był tu nie dworek, lecz zabudowania snadź obszerniejsze, jak kontrakt opiéwa: „między dworkiem opustoszałym Kryspinowskim z jednéj, a dworkiem Witowéj kupcowéj warszawskiéj z drugiéj strony". Niewątpliwie, iż Morsztynowa wystawiła na ich miejscu pałac, a ten spadkiem przeszedłszy na własność synów jéj, Michała cześnika koronnego i Franciszka marszałka nadwornego Bielińskich, od tych sprzedany został w r. 1733 Antoniemu na Świdnie Świdzińskiemu, staroście radomskiemu, który go w tymże roku zbył za summę 30,000 złp. Stanisławowi Wincentemu księciu Jabłonowskiemu; ten zaś sprzedał go Janowi Zygmuntowi Dejbel, naówczas kapitanowi, a potém majorowi artyleryi koronnéj, po którego śmierci w r. 1752 opiekunowie nieletnich jego dzieci,

i liczne otaczające go sklepiki, gmach Marywilu zasłaniające, a ulicę Senatorską tak bardzo szpecące i ścieśniające, rozebrano; poczém w r. 1820 nowa oficyna dwupiętrowa pod kolumnami, ze sklepami i antresolami naprzeciw ratusza głównego, i ozdobna wieża o pięciu piętrach z gankami na wiérzchu, w samym rogu tego gmachu, podług planu Piotra Aignera wybudowane zo-

pałac rzeczony naprzeciwko pałacu Marywil zwanego, między sąsiedztwami pałacu Flemingowskiego z jednéj, a gruntem Diuponłów i innych od ulicy Daniłowiczowskiéj z drugiéj strony leżący, znowu odprzedali temuż księciu Stanisławowi Wincentemu Jabłonowskiemu, za summę 60.000 złp. (Podług *Act. Donat.* 74, f. 365 i *Akta Staréj Warszawy* 921, f. 395. *Donat.* 68, f. 652, 656; tamże ks. 64, f. 679, 98. *Inducta Relationum* 53, f. 1925, A. S. W. 49, f. 153. w Arch. głów. kraj.). Odtąd ciągle był własnością téj familii, snadź jednak że dobrze już zrujnowany, kiedy w r. 1785 ks. Antoni Jabłonowski kasz. krak., podług planu Dominika Merlini budowniczego rządowego, dawniejszy zrzucił, a nowy dotąd istniejący pałac wybudował. W roku 1804 dnia 6 lipca, w drodze subhastacyi za summę 26,500 talarów nabył go Michał Pruszak pułkownik wojsk francuzkich, a jako własność jego, puszczony był na licytacyą publiczną w Trybunale Cywilnym I instancyi depart. warsz. w dniu 9 stycznia 1815 r. Wtedy kupił ten pałac generał Augustyn Gorzeński senator, za summę złp. 202,500, po którego śmierci w r. 1816 w czerwcu, w połowie przez darowiznę, w połowie kupnem otrzymał go Kazimierz Turno b. generał b. wojsk polskich, a dopiéro od niego b. Urząd Municypalny miasta Warszawy, w roku 1817 dnia 20 lutego kupił za summę złp. 275,000, i znacznym kosztem, bo 354,907 złp. i 7 gr. wynoszącym, pod kierunkiem budowniczego miasta Fryderyka Lessel, wyrestaurował i na ratusz główny miasta przeznaczył, w którym dotąd magistrat, wszystkie wydziały kassy, policya, straż policyjna i ogniowa, waga miejska, lombard, główne biuro kontroli służących i t. d. z należytą dogodnością mieszczą się. Dodać tu jeszcze wypada, iż dla rozprzestrzenienia zabudowań rzeczonego ratusza, w miesiącu czerwcu 1823 r. nabyte zostały od Alexandra hr. Pocieja obożnego litewskiego, za summę 200,000 przyległe posessye nr. 621, 622 i 623 oznaczone, a przy ulicy Daniłowiczowskiéj położone, które w skład i na użytek wydziałów tegoż urzędu włączone zostały. (*Z Akt hypoteki pruskiéj i akt gruntowych*).

stały. Gmachy Marywilu nadwerężone tysiącami mieszczących się niegdyś w nich żydów, całkowicie na rzecz i potrzebę Urzędu Municypalnego w roku 1819 ustąpiono. Panny Kanoniczki do kościoła i zabudowań po parafii śgo Andrzeja przeniesione, otrzymały za to sowite wynagrodzenie; pobierają albowiem z kassy głównéj ekonomicznéj corocznie kompetencyi złp. 53,000. Wtedy kościół śgo Andrzeja i zabudowania do niego należące, znacznym kosztem kassy miejskiéj zostały zrestaurowane i do użytku im oddane; ks. proboszcza i księży parafii śgo Andrzeja, przeniesiono do kościoła OO. Reformatów, a za utracony dochód z ustąpionych zabudowań, pobiéra proboszcz kompetencyą w ilości złp. 13,000 rocznie, z kassy głównéj ekonomicznéj; nakoniec na wygodne zamieszkanie tychże panien Kanoniczek, kupiono im z funduszów miejskich za summę złp. 600,000 kamienicę, pod nr. 604, przy ulicy Bielańskiéj, która w dziedzińcu ma zupełnie dogodną kommunikacyą z kościołem i zabudowaniami dawniéj do parafii tamecznéj należącemi. W tymże roku wybudowano w dziedzińcu Marywilu pod arkadami nową oficynę z 16 sklepami, o jedném piętrze, oraz liczne pakkamery na składy towarów, a wówczas tak kaplicę jako i ogród zupełnie zniesiono.

Tymto sposobem Warszawa po zaprowadzeniu nowego rządu, przez zmianę niekształtnéj w wielu swoich częściach postaci, przez rozprzestrzenienie i upiększenie miejsc i placów od mieszkańców uczęszczanych, gdy poprzednie przystępy do niéj, jakeśmy wyżéj mówili, drzewami osadzone po części zniszczone były, wjazdy niekształtnemi domami uderzające, ulice niektóre nędznemi budowami zacienione; we trzy lata, w innym

okazała się kształcie. Ulice prowadzące do niéj zapełnione drzewami, wjazdy nowo wystawionemi domami i rogatkami ozdobione. Place pode Lwem i na Grzybowie, dawne targowiska na zboże, niegdyś błotniste, szczupłe, rozprzestrzeniono i wybrukowano (1). Niemniéj piękny plac powstał przed nowym głównym ratuszem, a tam gdzie dawniéj w tak zwanym Pociejowie, wśród najbardziéj zaludnionéj części miasta, był stek ubogiego żydowstwa i nieczystości, stanęła pyszna w stylu starożytnym nowa budowa, na składy jarmarczne przeznaczona. Budowę tę dwa zdobiły porządki, dorycki i jonicki. Piérwszy od dołu sięgał ponad sklepami i międzypiętrem do piętra piérwszego, drugi ciągnął się przez piérwsze i drugie piętro. Przed sklepami zostawione wzdłuż rzędu kształtnych kolumn dogodne miejsce dla przechodzących, którzy ztamtąd przejść mogli do Marywilu,

(1) Plac pode Lwem przyozdabiany ciągle, wjeżdżającym do naszego miasta traktem głównym Europy, tojest przez rogatki Wolskie, piérwszy przedstawia się. Rozgranicza on dwie ulice: Chłodną i Elektoralną, ciągnące się w jednéj linii, nazwisko zaś swoje nosi niewątpliwie od obszernego domu narożnego, ulic Chłodnéj i Żelaznéj, pod nr. 927 dotąd jeszcze istniejącego. Dom ten z drzewa modrzewiowego wystawiony, należał do r. 1807 do rodziny Walickich, od których jurydyka i ulica poblizka Waliców dotąd ma nazwanie. Był niegdyś dworem możnego i szlachetnego Bazylego Walickiego kasztelana, a późniéj wojewody rawskiego, przez długi czas zasłużonego prezesa Kommissyi *Boni Ordinis* w Warszawie, nabyty późniéj przez rodzinę Ossowskich podzielony na nr. 927, lit. A, B, C; jeszcze teraz opłaca czynsze spadkobiercom Walickich, a dziś należy do p. Roberta Ossowskiego. Na rogu tego domu w wysokości piętra, widać tarczę herbową (herbu jednak już niepodobna rozeznać), którą lew rozdarty podpiéra; że zaś herb Walickich Łada używa w koronie lwa miecz trzymającego, a zwyczajem przyjętym od heraldyków, na podpory tarczy brane są zwykle figury lub zwierzęta w hełmach lub koronach umieszczane, podpora więc ta, jako najwydatniéj w oczy wpadająca, nazwisko temu miejscu nadała.

gdzie znowu cała ściana od strony tego placu, przybraną była stosownemi arkadami dla wygody publicznéj, i wieżą na zégar miejski w guście XVI stulecia (1).

Rynek Starego-Miasta przez rozrzucenie rozległéj, lecz niepozornéj budowy ratusza, odsłoniony. Zniesieniem ratusza na Nowém-Mieście, rynek tameczny rozszérzony. Zamek przedtém okolicznemi budowlami zakryty, przez zrzucenie w r. 1818 bramy Krakowskiéj i pięciu domów, z obszernym placem widokowi publicznemu przywrócony. Plan ogrodu pod zamkiem, podług rysunku Jakóba Kubickiego, przez nabycie blizkich posiadłości i wymurowanie arkad tarassu, które przypominają starożytne ogrody, z wiosną r. 1819 do skutku przyprowadzony. Ogród Saski znacznie rozszérzony, z niekształtnych budowli oczyszczony, przyjemnemi chodnikami ozdobiony i wspaniałą kratą żelazną w krajowych kuźnicach laną, zamknięty został (2). Podobnież ogród rzą-

(1) Widok Marywilu i okolicznych budowli, widzieć można w Przewodniku dla podróżujących w Polsce p. I. K. w Warsz. w r. 1821 wydanym, z rycinami *aqua tinta* Dietricha.

(2) Na tém miejscu gdzie teraz ogród Saski, były przed r. 1714 ulice, pałace, dwory, domki i kościół ks. Bonifratrów, w r. 1673 z Leszna przeniesiony, które do r. 1727 August II pozakupował, zniósł, kościół na miejsce gdzie teraz stoi w r. 1728 przeniósł, i ogród w guście francuzkim utworzył. (*Ks. Metr.* 230, f. 135, *w Arch. głów. kraj.*). Ogród ten stopniowo rozszérzany, zmieniany, różne a stosowne do gustu czasu kształty przybierał. Najdawniejszą jego ozdobą, są dotąd 19 posągów z ciosowego kamienia w dwóch bocznych aleach umieszczone, tojest 10 po prawéj stronie, a 9 po lewéj. Z tych posągów kilka wyobraża nauki i sztuki, jakiemi są figury przedstawiające historyą, astronomią, matematykę, arytmetykę, na któréj napis *par et impar*; architekturę wojskową i cywilną, malarstwo, snycerstwo i muzykę; jest i Wenus na wzór starożytnéj, i próżność obok téjże; są cztery pory roku: wiosna, lato, jesień i zima i t. d. Wszystkie te figury są w guście francuzkim zepsutym; w postawie nieco wymuszone, bo taki był smak ówczesny, ale kształtnie i starannie wykute. Posągi te, skutkiem

dowy Krasińskich zwany, od Śto-Jerskiéj ulicy odsłoniony i żelazną kratą na wzór Saskiego otoczony, wewnętrznie urządzono (1). Sam dziedziniec i zajazd do ówcze-

działania czasu, a bardziéj od psotnéj ręki przechodzących, uległy częściowemu zniszczeniu. Jednym brakowało ręki, tym odbito nogę, urwano róg szaty, inne strącone z podstawy leżały na ziemi. Tak było do r. 1842, w którym dla zachowania tych ozdób i przywrócenia właściwemu użytkowi, p. Kaufman rzeźbiarz tutejszy wezwany został do uskutecznienia naprawy, i takową dokonał. Przed r. 1816, w tém miejscu gdzie teraz są dwa boczne chodniki od strony Wierzbowéj i Królewskiéj ulicy, była część ogrodu owocowego, ze szklarniami i różnemi klitkami, z których korzyści ciągnął ogrodnik, a z tych dopiéro w r. 1817 Sauvage ogrodnik puławski oczyścił i ogród Saski na sposób angielski urządził. Na miejscu gdzie teraz trawnik, przed kasztanem, tam gdzie dwie boczne alee schodzą się do głównéj środkowéj, stała wtedy ozdobna altana o jedném piętrze, którą w r. 1724 wybudował August II. Była ona obszerna, z okazałą galeryą na wierzchu; w dnie uroczyste imienin królewskich, dawane były w niéj wspaniałe bankiety, po ukończeniu których wracał król do swego pałacu i z pokojów przypatrywał się pięknéj illuminacyi całéj altany, z któréj wierzchołka okazały fajerwerk był wypuszczany. Budowla ta stała ciągle aż do końca panowania Stanisława Augusta, dopiéro za rządu pruskiego z polecenia regencyi zaczęto ją w jesieni r. 1804 rozrzucać, lecz zaledwie połowę rozebrano, przyszedł rozkaz gabinetowy z Berlina, aby tę altanę zostawić. Gdy atoli z powodu wielkich kosztów nie można było przywrócić jéj do dawnego stanu, dlatego regencya kazała z reszty murów wystawić mniejszą i nietyle okazałą, w któréj letnią porą Karol Lessel sławny cukiernik warszawski utrzymywał bufet. Dopiéro przy ogólném urządzaniu i rozszérzaniu ogrodu Saskiego w r. 1817, pomieniona altana jako tamująca widok wprost na plac za Żelazną bramą zwany, rozebraną została. W ciągu uporządkowania tegoż ogrodu, brama żelazna w tyle jego będąca, także zmienioną została; była ona wystawiona d. 29 marca 1724 r. i ozdobiona dwiema koronami, królewską i elektoralną, kolosalnéj wielkości z kamienia robionemi, i z tegoto powodu do téj pory plac między ulicami Żabią, Krochmalną, Graniczną i Grzybowem, nazywa się za *Żelazną bramą*.

(1) Ogród Krasińskich co do swego założenia, jest daleko dawniejszy od Saskiego, a najpewniéj powstał on wraz z pałacem w r. 1676, bo wówczas nie stawiano wielkich budowli pańskich

snego teatru na placu Krasińskim położonego, rozprzestrzeniono. Wjazd do Starego-Miasta od ulicy Freta rozszérzony. Miejsce za Żelazną bramą na targi z podupadłych budowli uprzątnięto, i wiele innych należą do zmian, które od r. 1815 do 1820 odbyły się (1).

Brukowanie ulic z nader czynną szybkością było przedsiębrane; nowe lub dawne bruki przerabiając, świetny także rezultat otrzymano, od roku bowiem 1816 do 1822 wybrukowano:

| | | |
|---|---|---|
| Nowym zupełnie brukiem sążni □ | | 38,531 |
| Przerobiono bruku ..... | „ | 77,542 |
| Reparowanego. ..... | „ | 9,985 |
| Ogół sążni □ | | 126,058. |

Nadto w obwodzie stolicy i należących do niéj okolicach, wyprowadzono drogi bitéj (chaussée) sążni □ 22.862; plantowanych, zrównanych, zasypanych kałuż i dołów sążni □ 73,120 (2). Niegdyś prowadzono rynsztoki środkiem ulicy, a dopiéro za rządów Michała Mniszcha marszałka wiel. kor., od r. 1783 zaczęto dawać po bokach ulic chodniki czyli trotuary, z kamienia zwyczajnego polnego, brukowego, a przy tychże i rynsztoki po obu stronach ulic zaprowadzono. Chodniki takowe od r. 1816 robiono to z żelaza lanego, to znowu z cegły na sztorc osadzanéj; potém z kamieni piasko-

bez ogrodów, co poświadczają prawie wszystkie dawniejsze gmachy w Warszawie. Wszakże ulegał on częstym zmianom, wielokrotnie rozszérzany i ozdabiany, stosownie do panującéj mody; żyje jeszcze wiele osób, które pamiętają jak chodniki w nim wysypane były kolorowym piaskiem, szpalery na sposób francuzki strzyżone, a malowane kwatery i inne tym podobne upiększenia, z czasem ustąpiły innym ozdobom.

(1) Podług zdania sprawy Rady Stanu z czynności rządowych.

(2) Gazeta Korrespondent Warszawski na r. 1823, nr. 93.

wych, ciosowych, granitowych i brukowych obrabiane. Od r. 1821, począwszy od rogu ulicy Trębackiéj wzdłuż Krakowskiego-Przedmieścia ku Saskiemu pałacowi, były one robione z krajowego, w szérokie tafle piłowanego kamienia z gatunku granitu, sprowadzanego z pod Przedborza z nad Pilicy, którymto kamieniem do dziś po wszystkich już znaczniejszych ulicach podobne chodniki są wyścielane, wyjąwszy niektóre od r. 1841 przedsiębrane próby chodników asfaltowych.

Słowem, wzrost Warszawy w przeciągu piérwszych lat pięciu, codzienny prawdziwie zadziwiający przedstawiał obraz. Tyloliczne świéżo założone fabryki, których wyroby zagranicznym w niczém nie ustępowały; na każdéj ulicy wznoszące się gmachy publiczne i prywatne, zalecające się równie okazałością jak gustem, przybywających do Warszawy cudzoziemców zdumiewały. Zdawało się, iż wszystko w mgnieniu oka z ziemi powstawało: tyle zmian we wszystkich częściach miasta widzieć było można. Kto przed rokiem 1821 przez półtora roku tylko nie był na ulicy Nalewki w tyle arsenału, ten nie poznawał miejsca. Stary mur ogrodu Krasińskich, zastąpiła wspaniała żelazna krata z pozłacanemi kolcami; zamiast magazynu karowego, wznosiły się piękne koszary przeznaczone dla jazdy. W miejscu kilku niepoczesnych dworków i lepianek, stanęły lub kończyły się ozdobne kamienice; środek ulicy wysadzono drzewami, a obok arsenału dano wystawę murom kościoła niegdyś Brygidek. Nowy-Świat jeszcze w początku bieżącego stulecia do lichych przedmieść Warszawy liczący się, gdzie zaledwie po obu stronach trzydzieści murowanych domów stało, i nie obejmował innych gmachów tylko wszystko drobne dworki drewniane, przez niezamożnych obywa-

teli zamieszkałe, od roku 1815 szybko jak żadna z ulic Warszawy powstał i nowemi nader pięknemi murowanemi gmachami zapełnił się, rozszerzył i ozdobił; niegdyś wązki, smutny i wiejską mający postać, dziś najpiękniejszą część miasta stanowi. W roku 1816 na ulicy Miodowéj, na tém miejscu, gdzie krata żelazna i fossa głęboka otaczały część domu należącą do hr. Branickich, stanął szereg sklepów pod kolumnami, w swoim czasie bardzo uczęszczanych i dla wielkiego świata modnych.

Niknęły corocznie stare rudery lub grożące upadkiem świątynie: tak kościół i klasztor ks. Dominikanów Obserwantów na rogu ulic Krakowskiego-Przedmieścia i Nowego-Świata, w roku 1816 do szczętu rozebrany został; kościołek parafialny drewniany Ujazdowski w lipcu 1818 r. z powodu starości i grożącego niebezpieczeństwa zawalenia się, rozebrany; kościół z klasztorem śgo Jerzego w roku 1819 w miesiącu grudniu zamknięty; kościół z klasztorem Panien Bernardynek na Krakowskiém-Przedmieściu, gdy w tymże roku supprymowane i do Prasnysza przeniesione zostały, przeznaczony na konserwatoryum muzyczne, które tam do r. 1830 mieściło się; dawny kościół i klasztor Panien Karmelitek, w r. 1819 przeznaczony dla pomieszczenia Towarzystwa Dobroczynności i przerobiony z dodatkiem nowéj wystawy, podług planu budowniczego Corazzi wykonanéj i t. d. Natomiast ileżto nowych okazałych tak kościelnych jako i świeckich gmachów, w tym do roku 1826 okresie w Warszawie powstało! A gdy obszerną rzeczą byłoby wszystkie je wyliczać, ograniczam się tu na znaczniejszych, do których należą:

Kościół parafialny ś. Alexandra, na gruncie będącym własnością miasta, pod nr. 1,280 przy końcu ulicy No-

wy-Świat, dnia 15 czerwca 1818 założony, a ukończony i poświęcony dnia 16 czerwca r. 1826, przez arcybiskupa Wojciecha Skarszewskiego; wystawiony zaś dla uwiecznienia pamiątki piérwszego przybycia do Warszawy N. Cesarza Alexandra I. w dniu 12 listopada 1815 r. zamiast bramy tryumfalnéj, któréj monarcha nie przyjął, a na którą złożona była składka dobrowolna. Kościół ten wybudowany podług planu Piotra Aignera budowniczego rządowego, jest w kształcie rotundy z kopułą, na wzór Panteonu rzymskiego; ma średnicy długości stóp 74, a wysokości od ziemi do szczytu kopuły 82 stóp; mieścić zatém może do 900 osób. Ma on dwa sklepienia ogólne: jedno górne okrywające kościół w formie kopuły, przybrane w skrzyńce starożytne z różowcami, wsparte jest na ośmiu sklepieniach mniejszych nad niszami; drugie sklepienie okrywające sutereny, dosyć wyniosłe, iż służyć może za kościół podziemny. Są dwa wstępy, tojest dwie facyaty; z tych piérwsza i celniejsza obrócona ku alei ujazdowskiéj i z dwóch innych ulic w oko wpadająca, ma portyk czyli wystawę z sześciu kolumn koryntskich od przodu i z dwóch po bokach; druga zaś facyata od ulicy Nowy-Świat, z wystawą mającą tyleż co i piérwsza kolumn, prowadzi do zakrystyi: obie zaś mają po jedenaście wschodów kamiennych. Światło do kościoła udziela ośm okien bocznych. Cała ta świątynia, tojest: wstępy, gzymsy i cały dach nad rotundą, pokryta jest blachą miedzianą. W punkcie średnim górnéj rotundy, jest otwór opatrzony jedném oknem w ramach żelaznych; otwór ten ma łokci pięć, nad tym otworem wznosi się krzyż bronzowy pozłacany, w r. 1837 za złp. 969 sprawiony.

Kościół ś. Alexandra wewnątrz jest tynkowany i sztablaturowany cały białym kolorem; posadzka z marmuru układana z tafli kwadratowych w szachownicę kolorów białego i czarnego. Wnętrze mieści ośm nisz czyli framug: z tych cztéry większe ozdobione są kolumnami porządku koryntskiego, w których są kruchta i trzy ołtarze; w cztérech zaś mniejszych nieozdobionych kolumnami jest ambona, chrzcielnica i ławki. W ołtarzu wielkim mieści się obraz Pana Jezusa Chrystusa na krzyżu, w pobocznych zaś obrazy Niepokalanego poczęcia N. Panny, męczeństwo ś. Piotra, wskrzeszenie Łazarza i N. Panna Częstochowska, wszystkie olejno na płótnie malowane. Pod ołtarzem wielkim czyli w wklęsłości jego gdzie antepedium, złożona jest statua Pana Jezusa zdjętego z krzyża, wielkości naturalnéj, z pięknego kararyjskiego marmuru białego; wyborne dzieło włoskie, w końcu XVII wieku przez księcia Stan. Lubomirskiego marsz. wiel. kor. z Rzymu sprowadzone. Statua ta długi czas była w drewnianym kościołku parafialnym ujazdowskim, również pod ołtarzem umieszczona; po rozebraniu zaś tegoż, zachowana tymczasowie u ks. Trynitarzy na Solcu, zkąd w r. 1826 na teraźniejsze miejsce przeniesioną została.

Jednocześnie władze krajowe o ozdobę tutejszego miasta gorliwe, zleciły upięknienie boków facyaty kościoła OO. Bernardynów na Krakowskiém-Przedmieściu. Dawniéj bowiem rzeczona facyata z dwiema po rogach wieżyczkami, była bardzo niepozorną, za temi zaś znajdował się wyniosły szczyt muru dla zasłonienia dachu. Klasztor nizki, rozciągły, przytykający z jednéj strony do kościoła; z drugiéj ogromna, nizka, nieco odległa dzwonnica, całą tę część najobszerniejszéj w Warszawie ulicy,

smutnym widokiem przerażały. Jeszcze za Stanisława Augusta w r. 1788, Piotr Aigner budowniczy świéżo z Włoch wróciwszy, podał dwa projekta do facyaty tego kościoła: wybrany zaś był ten, który od pomienionéj epoki uskuteczniony został kosztem króla, klasztoru i składek, a dokończony z funduszu niejakiego Józefa Kwiecińskiego syndyka bernardyńskiego, bogatego mieszczanina, który przyłożył się do dzieła pod warunkiem, iż umieszczony będzie napis na czele, któryby mu przyznawał całkowite wybudowanie téj facyaty, lubo się tylko w $^3/_4$ części przyłożył; na co chętnie zgodzono się i napis ten dotąd na tablicy marmurowéj istnieje. Po roku 1815, pomyślano dopiéro o dalszém ozdobieniu tych gmachów, i w tym celu przyjęto projekt podany przez tegoż Aignera, przyozdobienia całéj długości klasztoru dwoma rzędami arkad jedne nad drugie wzniesionemi, z których dolne służą do wygody straży wojskowéj, a górne dają światło oknami klasztorowi. Galeryą górna składa się z 11 arkad okazałych, ukształconych balustradą, ozdobiona jest kolumnami wściennemi porządku jonickiego, i tak co do ogólnéj proporcyi jako i szczególnych części, jestto naśladowanie sławnego teatru Marcellego w Rzymie.

Z drugiéj strony kościoła, dawna czworościenna dzwonnica podwyższoną została i podzielona na piętra; dolna część jako podsada ubrana jest w ułożone kamienie *rustico*, a inne wyższe ozdobione są ze wszystkich stron łożami w trzy złączone łęki, wspartemi na kolumnach, i upiększone porządkami architektury, zacząwszy od doryckiego, jonickiego i t. d. w stopniach idącemi. Górna część piętra ustrojona jest wnękami w nizkorzeźbie, kończy zaś ją główne wieńczenie czyli gzyms wieży. Czwarte piętro ośmiokątne w arkadach przejrzystych,

z kopułką i galeryjką wokoło, ozdobione jest półkolumnami z połączonych innych porządków architektury. Przestrzeń między kościołem a wieżą, odpowiada dolnéj części z drugiéj strony kościoła będącéj, lecz arkady są przezroczyste dla przyjemności widoku na Wisłę i jéj okolice. Długość cała zabudowania jest 360 stóp; dzieło dokonane zupełnie z funduszów miasta.

Ze świeckich budowli, które w tym okresie powstały, wiele najznaczniejszych gmachów przerobiono, a między temi przedewszystkiém celują: pałac i ogród Belweder zwany, a numerami 1716 do 1720 oznaczony, który od Teressy Kickiéj przez rząd w r. 1818 zakupiony, dawny rozebrany i plac rozszerzony, nowy w tymże roku pałac wraz z okazałym ogrodem dla brata NAJJAŚNIEJSZEGO CESARZA I KROLA JEGO CESARSKIEJ MOŚCI WIELKIEGO KSIĘCIA KONSTANTEGO Cesarzewicza, podług planów Jakóba Kubickiego budowniczego, oraz pod ciągłym jego dozorem wybudowany, w r. 1822 zupełnie ukończony został (1). Podobnież pałac namiestnika przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pod nr. 387, należący dawniéj do książąt Radziwiłłów ordynatów nieświezkich, gdy przez kilkadziesiątletnie podczas niepokoju opuszczenie, całkiem

(1) Na tém miejscu, gdzie dziś stoi pałac JEGO CESARSKIEJ MOŚCI Belweder, była posiadłość należąca do Jazdowa (Ujazdowa) którą książęta mazowieccy nadali Augustyanom. Po przyłączeniu Mazowsza do Korony, królowie polscy nabyli ją od wspomnionych księży; Władysław zaś IV nadał ją Bartłomiejowi Pękiel, kapelmistrzowi nadwornemu i katedralnemu krakowskiemu, ten zaś ustąpił praw swoich Krysztofowi Pacowi w r. 1659. (*Ks. Met.* 201, *f.* 282 *w Arch. gł. kraj.*). Wtedy wybudowano pałac, któremu dano nazwisko *Belvedere*. W roku 1663 tenże sam Krysztof Pac zapisał Belweder żonie swojéj Klarze Izabelli z domu Mailly Lascaris. Od Paców dzierżawiły tę posiadłość rozmaite osoby, pomiędzy któremi Szymanowski starosta wyszogrodzki, w r. 1720 ustąpił Jakóbowi Dunin rejentowi kancelaryi większéj, referendarzowi

prawie spustoszony, groził upadkiem, z woli Monarchy w roku 1818 przeznaczony został na mieszkanie dla namiestników; wtedy zajęto się usilnie zupełném jego prawie przekształceniem, i tak: facyata korpusu od przodu zupełnie została zmienioną w architekturze porządku koryntskiego i przyozdobioną wspaniale kolumnami, pilastrami, rzeźbą wklęsłą i wypukłą, balustradą i posągami kamiennemi. Skrzydła zaś zajmujące po obu stronach całą długość dziedzińca, przedzielonego żelazną kratą, mające dwie bramy z kolumn miliarnych, ciągną się do Przedmieścia-Krakowskiego w porządku jonickim, złączonym z pałacem w odpowiadającéj ogólnéj zgodności z tymże gmachem. Facyata pałacu od ogrodu, urządzona jest w guście architektury *rustico* w rodzaju rzymskim, z wielką galeryą kolumn porządku doryckiego. Wspomnieć tu jeszcze należy, że okazała ta budowla stojąc na spadku góry od Wisły, przydaje tém większy wdzięk widokowi na całą okolicę.

Z kolei wznosiły się wspaniałe gmachy rządowe, jakiemi są: pałac mennicy przy ulicy Bielańskiéj pod nr. 607, założony dn. 16 czerwca 1817 r. podług planów przysłanych z Petersburga, a zamykający w sobie

i staroście radoszyckiemu, ten zaś prawa swoje przelał na osobę króla Augusta II w r. 1727. (*Ks. Met.* 230, *f.* 190 — 194 *tamże.*) Do r. 1764 Belweder należał do familii Lubomirskich, od których w tymże roku na dniu 25 sierpnia nabył Stanisław Poniatowski, jeszcze jako stolnik litewski a niebawem król. (*Acta Donat.* 84, *f.* 695 *tamże*). W ciągu panowania Stanisława Augusta, mieściła się w tym pałacu sławna fabryka wyrobów fajansowych, któréj główny skład i sklep w r. 1772 był w nowo podówczas wybudowanéj kamienicy Wasilewskiego na Krakowskiem-Przedmieściu nr. 372 oznaczonéj. Po r. 1798 Belweder w sposobie długu dostał się na własność Onufremu Kickiemu staroście ryckiemu, a potém córce jego Teressie, od któréj go rząd w r. 1818 zakupił.

nowe menniczne machiny, robione w Petersburgu na wzór rossyjskich i angielskich, z rozkazu Najwyższego, i mające być machiną parową, piérwszą w kraju naszym, poruszane (1). Gmach ten z facyatą o cztérech kolumnach jonickich i stosownym przysionkiem podług rysunku i wykonania Piotra Aignera, w roku 1819 został ukończony. Obserwatoryum astronomiczne w ogrodzie botanicznym w roku 1819 założone, a w latach 1823 i 1824 ukończone, podług planu tegoż budowniczego. Pałac byłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk przy ulicy Nowy-Świat pod nr. 1319 i 1321, podług planu Corazzego w r. 1820 wystawiony. W r. 1823 przerobiono dawny pałac Hilzenów, późniéj Mostowskich, na pałac Kommissyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych przy ulicy Przejazd pod nr. 646 (2). Jednocześnie z dawnego pałacu Leszczyńskich, w którym król Stanisław mieszkał nim go na tron obrano, następnie do rodziny Zielińskich należący, prze-

(1) Budową machin, tojest ustawianiem ich na miejscu, trudnili się. Rafał Bausa podpułkownik inżynierów, Hiszpan w służbie rossyjskiéj i Piotr Gottman porucznik inżynierów, oba zesłani umyślnie z Petersburga. Obchód założenia węgielnego kamienia do téj budowy, uroczyście w przytomności J. O. ks. Namiestnika i władz rządowych, odbytym został na dniu 16 czerwca 1817 r. (*Akta urzędu mennicznego Rep.* IV, *lit. O, nr.* 4).

(2) Pałac ten był początkowo Hilzena wojewody. Cyfry tego właściciela utrzymywały się na gmachu aż do czasu, w którym nabyty na użytek rządowy, przez budowniczego Corazzi przerobiony i innemi godłami ozdobiony został. Król Stanisław August gościł nieraz w tym pałacu, odwiedzając rodzinę znakomitych właścicieli. Od Hilzenów przeszedł ten gmach na własność do hr. Mostowskich, w którym hr. Tadeusz senator wojewoda, wielki miłośnik nauk, urządził tutaj własnym kosztem, jak wyżej mówiliśmy, wielką drukarnią. Jednocześnie mieszkał w tym pałacu Onufry Bromirski starosta płocki kawaler obu polskich orderów, u którego w każdą niedzielę bywały świetne obiady dla literatów i artystów dawane.

robiono na pałac Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu. Wtedy korpus i pawilony o jedno piętro podwyższone zostały, sztachety zaś żelazne zastąpiły miejsce skrzydła, przedtém od ulicy Rymarskiéj istniejącego. Pałac ten obszerną kolumnadą odznaczający się, w r. 1824 ukończony, kształt i rozkład ogólny ma regularnie urozmaicony; wystawia zaś w swojém wyniesieniu różne oddziały tak występujące jako i wgłębione, które nie psując związku pojedynczych części, otwiérają rozmaite widoki oku patrzącego, i budowla za każdym krokiem przybiéra nową postać. I tak, nim się wejdzie pomiędzy kolumny jońskie które są od ulicy, portyk będący w głębi dziedzińca, na środku pałacu, razem z obu skrzydłami koryntskiemi, wydaje się jak gdyby złączony był i odpowiadał wspomnionym kolumnom. Postępując między rzędami kolumn, od wnijścia odkrywają się dwa pawilony jońskie, niższe od skrzydeł koryntskich, które atoli mają ten sam porządek jak kolumny na wstępie; służą do połączenia ogółu, i podnosząc budowle do większéj wysokości, dają górować gmachowi w pośrodku, razem z otaczającemi go skrzydłami. Stanąwszy z boku w dziedzińcu, wszystko się odmienia: nowe i przyjemne wrażenie rodzi widok portyku w perspektywie, połączony z widokiem przysionku jońskiego naprzeciwległego; także niemniéj piękny sprawiają widok obadwa pobocza pałacu, wzięte z kolumnami przodkowemi z głębi dziedzińca: nareszcie również przyjemne czynią wrażenie otwory sklepień, które dźwigają portyk koryntski, ile w téj saméj linii w obu skrzydłach są sklepione wjazdy równéj wielkości, które prowadzą do przyległych dziedzińców i dają niejako znać o blizkości innych gmachów łączących się z pałacem, i tworzą tym sposobem wyobrażenie o ob-

szerności całéj budowli. Wspaniały portyk koryntski, który ze swemi żłobkowanemi kolumnami i osadzonym na wierzchu okazałym szczytem doskonałego wymiaru, stanowi główną ozdobę pałacu, ma styl wielki, a jednakże lekki, nadający charakter właściwy przeznaczeniu téj budowli. Co się tyczy wewnętrznego rozkładu, ten mniéj szczęśliwie zastosowany jest do przeznaczenia swego, lubo liczne wejścia, wielorakie przystępy i schody, zdają się łatwy czynić podział na różne biura, z których się ta Kommissya składa.

Upiększenia tedy Warszawy trwały ciągle i nieprzerwanie w rozmaitych jéj częściach. Na miejscu spalonych w r. 1814 pawilonów pałacu Kazimiérowskiego, po przeniesieniu wyższych szkół do gmachów pozostałych, w latach 1816 i 1817 wystawiono dwie dwupiętrowe oficyny, a w późniejszym czasie, nowe pięć do dziś istniejące wybudowano. W r. 1823 rozpoczęto robotę ozdobienia obszernego dziedzińca tegoż pałacu, otoczono go drzewem, a w różnych jego częściach urządzono klomby z kwiatami. Pawilon ze strony lewéj odosobniono, przez co ściana pałacu została wolną i wewnątrz powiększyła się wspaniała sala biblioteki rządowéj, ciągnąca się przez cały pałac, po któréj obu stronach umieszczono dwa kosztowne okna, składające się z jednéj tafli szklanéj rzadkiéj wielkości; dar N. Cesarza Alexandra przysłany z fabryk petersburskich. W tymże roku rozpoczęto robotę nowéj drogi od rogatek Jerozolimskich przez Nowy-Świat i Solec do brzegu Wisły prowadzącéj, przeszło 2000 sążni długiéj i w sześciu rzędach topolami wysadzanéj, która „Nową drogą Jerozolimską" nazwaną została, i wykończono drogę bitą, od ulicy Dzikiéj do rogatek Powązkowskich. Kiedy zaś w r.

1824 wyszło postanowienie przeniesienia żydów z ulicy Królewskiéj do cyrkułu 4 i 6, które od 1 maja 1825 r., w wykonanie wprowadzono, ta część Warszawy nadzwyczajnie szybko podniosła się i we dwa lata ozdobną i ludną się stała. Ulica naprzykład Wałowa, między ulicami Sto-Jerską a Franciszkańską, będąca przedtém zaledwie mizernym przesmykiem, pięknemi domami zabudowaną została. Podobnież ulica Nowiniarska, niegdyś wązkim tylko dla pieszych przechodem będąca, odtąd stała się jedną z ulic, pięknemi domami odznaczającą się i bardzo uczęszczaną, gdyż tamtędy najbliższy zrobił się przechód z ulicy Miodowéj na Franciszkańską. Kto znowu przez trzy lata przed rokiem 1825, nie był na Nalewkach i ulicy Franciszkańskiéj, ten poznać nie mógł téj strony miasta. Na miejscu drewnianych klitek, wznosiły się o dwóch piętrach i kilkunastu, niektóre o kilkudziesiąt oknach, domy murowane pięknéj architektury. Ludzi przez cały dzień bywało jak dotąd pełno, w nowych mieszkaniach ciż kupcy żydzi nierównie starowniéj i ozdobniéj urządzili swe nowe sklepy. Przyległe uliczki mało przedtém znane i ledwo przez kilka rodzin zamieszkałe, stały się ludnemi, a piękne domy, godne w niejednéj stolicy mieścić się, nagle wznosiły się.

W ogóle przez lat cztéry, tojest od roku 1821 do 1825, co do zewnętrznego uporządkowania, Warszawa niesłychanie wiele zyskała. Wybrukowano wtedy na nowo ulic 16, rynek 1, placów 3; między temi główniejszy przy pałacu rządowym Krasińskich, na którym w roku 1824 wystawiono piérwszą pompę żelazną z fabryki Ewansa, podług planu Aignera, w guście starożytnym ustrojoną i zdziałaną na sposób w Anglii używany, tojest,

iż pompuje się za pomocą korby wkoło z wielką łatwością obracanéj.

Urządzono *en chaussée* plac zwany Alexandra i wielkie pole mustry przy rogatkach Powązkowskich; gdzie przedtém kałuże, doły i opuszczone miejsce było, powstał plac tak zwany Broni, foremny i do najobszerniejszych liczący się. Uporządkowywano ciągle i ozdabiano ogród Saski przez wysypanie ulic, splantowanie placów, dokończenie krat żelaznych, wystawienie pomp i zniesienie starych budowli. Budowę składu celnego w Marywilu i oficynę tamże dokończono i do stanu mieszkalnego doprowadzono. Wzniesiono ujeżdżalnią przy Saskim ogrodzie, jatki rzeźnicze na Wolnicy, kamienice tamże i sklepy dla przekupniów na placu przy ulicy Nowomiejskiéj. Stanęły domy murowane przy rogatkach Golendzinowskich (Petersburskich) i Grochowskich (Moskiewskich). Przystępy do miasta przy drogach bitych, szczególniéj Mokotowskiéj, napełniły się ozdobnemi domami i ogrodami i t. d. (1).

W lipcu 1825 r. zaczęły się roboty około obwarowania lewego brzegu Wisły pod Warszawą, począwszy od magazynu murowanego na Solcu, którytо bulwark czyli nadbrzeże, podług planu Teodora Urbańskiego podpułkownika Dyrekcyi Kommunikacyi Lądowéj i Wodnéj,

(1) Podług raportu Rady Stanu z działań rządowych, w Gazecie Warszawskiéj na r. 1823, nr. 87 i następne. Wizerunki wspomnianych jako i innych nowo powstałych lub powstać mających budowli, oraz niektórych dawnych gmachów Warszawy, wykonał i wydał w 3 zeszyt. w roku 1823 i 1824 Leonard Schmidtner budowniczy pod tytułem: „Zbiór celniejszych gmachów miasta stołecznego Warszawy częścią z natury zdjętych, a częścią podług istniejących planów, rysowany i litografowany przez Leonarda Schmidtner akademika budow. w Monachium. Warsz.". folio obl. kart. 78.

miał być cały aż do mostu ciosowym kamieniem wyłożony. Naostatek rok ten pamiętnym jest jeszcze z założenia w Warszawie, postanowieniem 13 czerwwca 1825 r. Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, które posiedzenie swe w domu pod nr. 1778 lit. C przy ulicy Śto-Jerskiéj rozpoczęło. Instytucya, która rozszerzając kredyt i puszczając w obieg najznaczniejsze kapitały, ustaliła pomyślność mieszkańców naszego kraju. Okres ten stanowi także najważniejszą epokę dla Towarzystwa Dobroczynności, w nim bowiem ustawa byt jego utrwalająca, przez wspaniałomyślnego Monarchę potwierdzoną została. Chlubnie i wzorowo utrzymujący się ten zakład, tyle wpływu na los uboższych mieszkańców naszego miasta mający, mieścił się w gmachu klasztornym ks. Franciszkanów, i częścią w Grzybowéj Woli o ½ mili od Warszawy, od roku zaś 1819 zajmuje dzisiejsze gmachy. Towarzystwo Dobroczynności przy zaczęciu swojém w piérwszym kwartale zaledwie 60,000 złp. kapitału mające, w końcu 1825 roku posiadało stałego funduszu złp. 144,000; wydało zaś przez swoje ręce na wsparcia różnego rodzaju, od czasu swego założenia, 1,026,182 złp. i gr. 9 (1).

Taki był ogólny wzrost Warszawy do r. 1826, za panowania błogosławionéj pamięci Cesarza Alexandra. Nim atoli przystąpię do wyliczenia statystycznego postępu i opisu wewnętrznego stanu miasta, winienem przedewszystkiém przytoczyć pamiętne a zaszczytne wspomnienia, jakiemi były: piérwszy wjazd tegoż Monarchy w dniu 12 listopada 1815 r. w którym miasto z całym krajem współubiegając się, uroczystość tę z szczególną świetno-

(1) Obliczenie zrobione podług corocznych zdań sprawy Towarzystwa, drukiem ogłaszanych.

ścią obchodziło (1). Niemniejszą uroczystością odznaczał się pobyt N. Cesarzowéj Matki Maryi Fedorowny, od dnia 20 do 28 września 1818 r. w Warszawie przebywającéj, którą mieszkańcy tutejsi z zapałem i uniesieniem przyjąwszy, ubiegając się na każdém miejscu w okazywaniu jéj hołdu najgłębszego uszanowania, zyskali chlubne podziękowanie swego Monarchy, w liście do JO. księcia namiestnika z Akwisgranu dnia 19 października 1818 r. datowanym, ogłoszone (2). Zresztą na kartach dziejów Warszawy zapisany jest pobyt Monarchy w latach: 1816 od dnia 30 września do 17 października; w r. 1818 od 13 marca do 30 kwietnia; w r. 1819 od 13 do 16 października; w r. 1820 od 27 czerwca do 17 października; w r. 1822 od 26 sierpnia do 1 września; w r. 1823 od 13 do 23 stycznia; w r. 1825 od 27 kwietnia do 14 czerwca; ostatni pobyt nieodżałowanego Monarchy, którego śmierć w dniu 1 grudnia t. r. nastąpioną, miasto nasze opłakując, uświetniło wspaniałym obchodem pogrzebu w dniach 7, 9, 10, 11, 12, 13, 17, 19 i 23 kwietnia 1826 r. odbytym (3).

Podług taryffy w roku 1817 drukowanéj, Warszawa wraz z przedmieściami za rogatkami jéj będącemi, tudzież

(1) Opis tego wjazdu i bramy tryumfalnéj, podług planu Jakóba Kubickiego budowniczego wystawionéj, w Gaz. Warsz. na r. 1815, nr. 91.

(2) Opis tych uroczystości w Gaz. Warsz. na r. 1818, nr. 76, 77, 78. List zaś Cesarski nr. 92.

(3) Opis pogrzebu w Gaz. Warsz. na r. 1826 nr. 55, 56. Najdokładniejszy zaś wyszedł osobno pod tytuł. „Opis żałobnego obchodu po wiekopomnéj pamięci Najjaśniejszym Alexandrze I, Cesarzu wszech Rossyi królu Polskim w Warszawie w dniach 7, 9, 10, 11, 12, 13, 17, 19, 23 kwietnia 1826 roku uroczyście odbytego" w Warszawie. Nakładem i drukiem N. Glücksberga, 1829, in folio. Istnieje wielka rycina 30 łokci długa, utalentowanego Jana Piwarskiego i litografie przez różnych artystów wykonane, obchód ten we wszystkich szczegółach przedstawiające.

przedmieściem Pragą, obejmowała ogółem ulic 213; podzielona na cyrkułów 7, miała w sobie domów tak murowanych jako i drewnianych 3,540, oprócz zniszczonych na Pradze domów 396. Opasana dokoła okopem, rogatek miała wjezdnych 9, ratuszów 5, koszar 5, kościołów 38 i t. d. (1) co i taryffa w roku 1821 drukowana, z niektóremi zmianami wykazuje, pomnażając liczbę domów o 33 numerów (2). W roku 1825 rozległość Warszawy i Pragi wynosiła 156 włók, 6 morgów i dwieście siedmdziesiąt pięć trzech setnych. Cyrkułów, wliczając Pragę było 8, ulic 214. dymów 13,250, domów murowanych 1,402, drewnianych 1,730, pałaców 112; ogółem domów i dworków 3,575, gmachów publicznych 61, fabryk i rękodzielni 5,818; summa assekuracyjna Towarzystwa Ogniowego wynosiła 54,512,528 złp. (3).

Jeżeli weźmiemy za zasadę, że wzrost ludności jest dowodem wzniesienia się przemysłu i bogactwa miasta, tedy następne wyliczenie ze spisu ludności, które od roku 1818 każdorocznie na podstawie ksiąg meldunko-

(1) Taryffa domów miasta Warszawy, dla wygody publicznej nowo wydana, z dołączeniem przedmieścia Pragi i domów za rogatkami będących, w miesiącu styczniu 1817 r. W Warszawie, w drukarni Wikt. Dąbrowskiego sukcessorów. 8ka.

(2) Taryffa domów miasta stołecznego Warszawy, dla wygody publicznej nowo wydana, z dołączeniem przedmieścia Pragi i domów za rogatkami będących, tudzież opisu historycznego téj stolicy, w miesiącu kwietniu 1821 r. Warszawa, w druk. Łątkiewicza. 8ka.

(3) Notatki w przedmiocie statystyki królestwa Polskiego w Dzienniku Warszawskim na r. 1826 nr. 13; tudzież Taryffa domów miasta stołecznego Warszawy, dla wygody publicznej nowo wydana, podzielona na wydziały policyjne i cyrkuły, oraz przedmieścia Pragi i domów za rogatkami będących. Warszawa, r. 1825, w druk. Józefa Pukszty. 12ka.

wych dopełniano, zadawalniający wykazuje postęp; było albowiem:

| *w roku* | *chrześcian* | *żydów* | *razem.* |
|---|---|---|---|
| 1816 | 65,441 | 15,579 | 81,020. |
| 1817 | 69,871 | 18,491 | 88,362. |
| 1818 | 75,000 | 21,404 | 96,404. |
| 1819 | 77,106 | 21,836 | 98,942. |
| 1820 | 78,356 | 21,982 | 100,338. |
| 1821 | 83,050 | 22,399 | 105,449. |
| 1822 | 86,141 | 26,115 | 112,256. |
| 1823 | 90,381 | 26,903 | 117,284. |
| 1825 | 98,389 | 28,044 | 126,433. |

Wzrost zadziwiający, a w stosunku do poprzednich epok widzimy, iż był w r. 1816 jak 1:5 $^{12}/_{17}$, w r. 1825 jak 1:7 $^{13}/_{17}$ (1).

Szczególne także rezultata wykazuje wzrost ludności żydowskiéj, którzy jak powyższy wykaz dowodzi, prawie czwartą część ludności stanowili i więcéj niż chrześcianie się pomnażali, bo w przeciągu lat 10 liczba ich się podwoiła, gdy ludność chrześciańska tylko o $^2/_3$ się powiększyła. Liczba ta byłaby zadziwiająca i wiele do myślenia podałaby, gdybyśmy nie mieli względu na zwyczaj ich zatajania liczby osób w domach mieszkają-

(1) Tabella mieszkańców w Warszawie na dniu 19 kwietnia 1795, przez Szymona Wróblewskiego ówczesnego intendenta raportowego spisana, przekonywa, że w epoce téj, ludność w mieście tutejszém wynosiła jak następuje: osób duchownych 588, gospodarzy z żonami 20,304; potomstwo gospodarzy: synów 9982, córek 10,626; dworskich i służących: mężczyzn 4338, niewiast 7179, czeladzi rzemieślniczéj 1331, chłopców rzemieślniczych 936; ludzi różnych: mężczyzn 2727, niewiast 3672; żydów: mężczyzn 2482, niewiast 2407; ogólna ludność 66,572. Praga podówczas liczyła ludności: mężczyzn 1518, niewiast 1564, summa 3082. Od téj pory uskuteczniano wprawdzie podobne spisy, lecz nie w oznaczonych latach i niewiele o dokładność dbano, a dopiéro od r. 1818 statystykę ludności warszawskiéj dopełniano każdorocznie na podstawie ksiąg meldunkowych.

cych, na brak nazwisk familijnych i inne okoliczności, które przez późniejsze rozporządzenia tyczące się policyi krajowéj, przewidziane zostały.

Wracając się do szczegółów statystyki, w roku 1825 było w Warszawie ludności męzkiéj 62,581, kobiét 63,582; w niéj szlachty 15,306, mieszczan 83,083. Co do wyznań: katolików 92,132, greków 469, ewangelików 5,170, reformowanych 593, żydów 28,044, mahometanów 2, innych wyznań 23; duchownych rzymsko-katolickich 274, greckich 6, ewangelickich 2, reformowanych 1, żydowskich 50; sposobów do życia czyli stanu mieszkańców miasta 175; osób głównych, majstrów i czeladzi żyjących z tych 175 sposobów utrzymania się, było 63,808; osób zaś które żyły z ich pracy, znajdowało się 60,396. Ogół jednych i drugich przewyższał rzeczywistą liczbę ludności dlatego, że po dwa razy niektóre stany rachowano, n. p. właścicieli domów i handlarzy i t. p.

Niemowląt, uważając dzieci do lat 5, znajdowało się: płci męzkiéj 8,508, żeńskiéj 8,240, ogół 16,748; dzieci mające od 6 do 15 lat: męzczyzn 10,900, kobiét 11,252, ogół 22,152; z tych nie chodziło do szkół męz. 6,216, kobiét 9,127; młodzieży od 16 do 25 lat: chłopców 12,170, dziewcząt 13,753, ogół 25,923; dojrzałego wieku tojest: od 26 do 50 lat męz. 24,092, niewiast 21,984, ogół 46,076; starych tojest: od 50 do 70 lat włącznie męzcz. 5,569, matron 5,419, ogół 10,988; zgrzybiałych, tojest mających więcéj niż 70 lat męzcz. 1,132, kobiét 1,109, ogół 2,241. A zatém było męzczyzn w całéj sile wieku, t. j. od 16 do 50 lat, 36,262, kobiét w tychże latach jako zdolnych do stanu małżeńskiego 35,737.

Liczba niemowląt najmniejsza była w roku 5 życia, dzieci w 11, młodzieży w 23, dojrzałych ludzi w 27, starych w 59, zgrzybiałych 1 był w 102, 1 w 103, 2 w 104, 1 w 105, 2 w 110 r. Największa zaś ilość przypadała na liczby okrągłe 20, 30, 40, 50, 60, 70, zapewne dlatego, iż te łatwe są do spamiętania; każdy więc sobie zaokrąglał, mężczyzni dodając po parę lat ażeby byli starsi, płeć piękna odejmując, najpewniéj dla łatwiejszego spamiętania.

Na całéj ludności, małżonków było: 19,631, połowic 19,303, tojest ogół zaślubionych 38,934; owdowiałych męzcz. 2,176, kobiét 7,062, ogół 9,238; a zatém więcéj wdów niż wdowców o 7,062 prawie jak 1 do 3; rozwiedzionych mężów 209, dam 301, tojest więcéj o jednę trzecią; bezżennych mężczyzn 40,355, kobiét 35,091, ogół 75,446. Po odtrąceniu niemowląt i dziatwy było mężczyzn bezżennych 20,947, kobiét 15,599, ogół 36,546. A ponieważ do téj liczby wchodzą już rozwiedzeni i owdowiali, po odtrąceniu więc i ich, wypadnie kawalerów oprócz wojskowych 40,578, panienek na wydaniu od 16 do 100 roku 34,902.

W ogóle dzieci i młodzieży, więcéj kobiét niż mężczyzn, zresztą zaś przeciwnie. Podobnie więcéj mężów niż żon, więcéj kawalerów niż panien, ale te różnice tak są małe, że śmiało można było naznaczyć w Warszawie równą liczbę mężczyzn jak kobiét (1).

Mniéj szczęśliwe wynikłości wykazuje nam statystyka ślubów, urodzin i śmiertelności, w przeciągu tych lat zebrana. Co do piérwszych liczby dowodzą, iż śluby w Warszawie coraz się zmniejszały, co z jednéj strony

(1) Notatki w przedmiocie statystyki królestwa Polskiego w Dzienniku Warsz. na r. 1826, nr. 13, str. 333.

zdaje się iż wynikało z coraz powiększającéj się trudności wyżywienia familii, z drugiéj podawało obawę pogorszającéj się moralności; było albowiem zaślubionych:

w roku 1815 par 1,232.
— 1816 — 1,346.
— 1817 — 1,259.
— 1818 — 1,175.
— 1819 — 1,375.
— 1820 — 1,243.
— 1821 — 1,269.
— 1822 — 1,169.
— 1823 — 1,001.
— 1824 — 1,216.
— 1825 — 1,360.

Co w stosunku do coraz powiększającéj się ludności uważając, okazuje się, że kiedy w roku 1816 jeszcze na $62/27$ osób przypadła jedna para zaślubionych, w ostatnich latach stosunek ten był jak 1 do 104.

Podobnież liczba urodzonych, która dawniéj zawsze przewyższała zmarłych, od r. 1817, wyjąwszy rok 1824 ciągle w mniéj pocieszającym stosunku się okazała; i tak:

| *w roku* | *urodziło się* | *umarło* | *więcéj* | *lub mniéj* |
|---|---|---|---|---|
| 1815 | 3,633 | 3,130 | „ | 503. |
| 1816 | 3,823 | 3,244 | „ | 589. |
| 1817 | 3,642 | 3,546 | „ | 96. |
| 1818 | 3,543 | 4,312 | 769 | „ |
| 1819 | 3,762 | 4,980 | 1218 | „ |
| 1820 | 4,864 | 4,236 | 372 | „ |
| 1821 | 3,957 | 4,133 | 176 | „ |
| 1822 | 4,655 | 5,562 | 907 | „ |
| 1823 | 4,516 | 4,912 | 396 | „ |
| 1824 | 4,793 | 4,671 | „ | 122. |
| 1825 | 4,727 | 5,012 | 285 | „ |

A zatém w przeciągu tych lat jedenastu, więcéj umarło w Warszawie, niżeli się urodziło, czyli zmniejszyła się naturalna ludność o 1840 ludzi. Lecz za to z przypadkowych okoliczności powiększyła się znacznie.

Tak niepomyślny skutek pomoru do nowonarodzonych, zasługuje na tém większe zastanowienie, że w najludniejszych miastach Europy, rok w rok liczba urodzonych przewyższała i przewyższa umarłych; u nas przy zdrowém położeniu miasta i porządném zabudowaniu, dzieje się przeciwnie. Co więcéj, gdy między chrześcianami śmiertelność była znaczna, między żydami stosunek pomyślniejszy. Czcigodnéj pamięci uczony dr. August Wolf, zastanawiając się nad przyczynami tego wypadku, utrzymywał, iż tych w położeniu miasta szukać nie potrzeba, lecz że przyczyniało się najprzód wczesne żenienie starozakonnych, a zatém większa liczba urodzonych, która w stosunku do ludności była u nich znacznie większa niż u chrześcian: bo kiedy u tych w r. 1825, ten stosunek był jak 1: do 26½, u żydów jak 1 do 20. Powtóre, że nałóg pijaństwa u żydów prawie nieznany i w ogólności jest wstrzemięźliwość w używaniu napojów rozpalających, kiedy chrześcianie nie zachowują potrzebnéj w tym względzie miary. Potrzecie, że każdy nawet najuboższy żyd, ma pomoc lekarską i szuka jéj; przeciwnie lud chrześciański woli się ratować domowemi środkami nieraz szkodliwemi, nie ufa lekarzom, a od szpitali unika. Sposób życia, szczególniéj wyższéj klassy, w pokarmach i gorących napojach zbytkującéj, uważa dr. Wolf za ciągły stan gorączkowy, będący przyczyną rozmaitych chorób, dolegliwości i śmierci. Nakoniec co do słabości kobiét i ich śmiertelności, Wolf trafnie rozumuje, iż przyczynami tego były wcze-

sne zamiłowanie zbyt exaltowanych romansów, zbyteczne sznurowanie się i ściskanie, niestosowny ubiór dla ostrych pór w klimacie naszym, zresztą niepomiarkowany zapał w tańczeniu na zabawach publicznych i prywatnych (1).

Zbliżając się do obrazu stanu wewnętrznego miasta, widzimy, iż przemysł w Warszawie podobnież do świetnego stanu zaczął przychodzić. Konfraternie kupieckie równie jak i zgromadzenia rzemieślnicze, wymagające poprawy i urządzenia, przez postanowienie z d. 11 stycznia 1817 r. uskuteczniono i nowy popęd wzrostu i pomnożenia przemysłowi nadano. Wyroby warszawskie nietylko wyrównywały obcym, ale i za granicą słynąć poczęły, mianowicie sukna, pojazdy i trzewiki; te ostatnie nawet sławę europejską zyskały i piérwsze miejsce po paryzkich zajęły. Trzewiki z Warszawy jak dotąd do różnych stolic wysyłane, najprzedniejsze były: jedwabne czarne i buciki w jasnych kolorach (2). Jednocześnie powzięto myśl urządzenia w Warszawie wielkich jarmarków, przez które miasto stałoby się środkowym składem i targowiskiem europejskich towarów; postanowieniem tedy namiestnika królewskiego z dnia 11 lutego 1817 r. dwa walne jarmarki, corocznie w miesiącu maju i listopadzie, tojest piérwszy w drugi poniedziałek po ś. Filipie i Jakóbie, a drugi w piérwszy poniedziałek po

(1) Rys topografii medycznéj miasta Warszawy, przez Augusta de Wolff dr. medycyny i chirurgii i t. d. w R. T. P. N., t. XXI, str. 268.

(2) Niegdyś do panowania Augusta III, damy nasze nosiły trzewiki ze skórek malowanych albo złoconych. Najpiękniejszy materyał w tym rodzaju pochodził z Korduby w Hiszpanii. Moda ta ustała w połowie panowania tego monarchy, a odtąd trzewiki bławatne w używanie weszły.

Wszystkich Świętych ustanowione zostały, i gmach Marywilu na odbywanie takowych jarmarków przeznaczenie otrzymał. Piérwszy jednak jarmark w dniu 12 maja 1817 r. rozpoczęty, równie jak i drugi dnia 3 listopada t. r., dla niewykończonéj reparacyi sklepów, odbyły się na Saskim dziedzińcu, w sklepach i budach na ten cel wystawionych; dopiéro trzeci walny jarmark w dniu 11 maja 1818 r. zaczęty, równie jako i następne, przez licznie przybyłych z zagranicy kupców z towarami zwiedzane, w gmachu Marywilskim odbyte zostały, gdzie oprócz tego znaczną ilość sklepów i bud w dziedzińcu wystawić musiano, aby pomieścić wielość towarów na każdy jarmark sprowadzanych. Usilnością było Kommissyi Rządowéj zająć się urządzeniem giełdy i meklerów, wprowadzeniem urzędu celnego jarmarcznego wydziału sądowniczego, aby kupców zagranicznych swobodą i bezpieczeństwem zachęcić. W tym celu postanowieniem namiestnika królewskiego d. 12 kwietnia 1817 r. zaprowadzona giełda kupiecka, otwartą była piérwszy raz dnia 12 maja t. r. w jednéj z sal korpusu pałacu Saskiego, jako w lokalu na jéj pomieszczenie dozwolonego, a następnie w Marywilu w sali niegdyś przez księgarnią Grölla zajmowaną. Te i tym podobne urządzenia, wznosiły zamożność miasta i skarbowi téż znaczne dochody czyniły; jarmarki bowiem warszawskie przynosiły czystego dochodu po odtrąceniu kosztów z lat 1818 i 1819, złp. 2,475,200. Podług raportu Rady Stanu, piérwszy jarmark bez żadnego dla komór uszczerbku przyniósł dochodu acz z połowicznego cła 145,500 złp., drugi jako mający nierównie znaczniejszą liczbę kupców i towarów, przyniósł złp. 650,000; największy zaś był przychód z jarmarku jesiennego w 1818 r., bo uczynił

732,000 złp. (1). Atoli gdy po zaprowadzeniu nowéj taryffy celnéj, od r. 1824 coraz mniéj z zagranicy kupców na walne jarmarki warszawskie przybywało, a gmachy Marywilu w fundamentach swoich, przez długie zamieszkanie w nich dawniéj niechlujnych żydów uszkodzone, upadkiem grozić zaczynały; książę namiestnik królewski polecił w dniu 11 lutego 1825 r. b. Urzędowi Municypalnemu, aby budowle te rozrzucić, a na ich miejsce nowy teatr wystawić, do czego w dniu 18 lipca t. r. przystąpiono. Znikł wtedy jeden z największych gmachów Warszawy, który przez dwa wieki niemal główne siedlisko tutejszego handlu w sobie mieścił; natomiast zaś wznosił się kosztem miasta, nowy, ozdobnéj włoskiéj architektury gmach teatru, przez budowniczych Antoniego Corazzi i Adolfa Szuch, w dniu 3 września 1825 r. rozpoczęty.

Niemniejszy postęp oświata i przemysł naukowy w tym czasie uczyniły: przedewszystkiem instytuta naukowe zwróciły całą baczność rządu. Dyrekcya Edukacyjna włączona w skład Kommissyi Rządowéj Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, została na poprzednich zasadach zastosowana do nowych potrzeb i dążności; podług ustawy organizacyjnéj w d 14 sierpnia 1821 r. zatwierdzonéj, Dyrekcya rzeczona należała do jednego z wydziałów administracyjnych, który pod rozkazami ministra kierował wszelkiemi zakładami naukowemi i szkołami tak w Warszawie, jako i w całym kraju. Władza Dyrekcyi wychowania rozciągała się nad przedmiotami moralno-policyjno-administracyjnemi, tyczącemi się edukacyi publicznéj, mając do pomocy w działaniach dodane Towa-

(1) Podług raportu Rady Stanu z czynności rządowych, w Gaz. Warsz na r, 1820, nr. 138 i następ. umieszczonego.

rzystwo Elementarne, zostające pod kierunkiem dyrektora generalnego, a uorganizowane tąż samą ustawą w celu examinowania osób zajmujących się wychowaniem i korzystających z niego, oraz przysposobiania, oceniania i poprawy stosownych książek szkolnych, i Kuratoryą instytutów naukowych, ustanowioną w dniu 19 maja 1823 r. jako naczelną władzę dozoru i karności szkolnéj, pod bezpośrednim zarządem kuratora generalnego i pewnéj liczby członków składających całą władzę dozorczą. Ogólnie instytuta naukowe tak w Warszawie jako i w całym kraju, dzieliły się na niższe i wyższe, z których piérwsze jakiemi były: szkoły elementarne i szkoły elementarne cyrkułowe, ustawą 7 września 1819 r. zaprowadzone zostały w celu ułatwienia bezpłatnie nauki dla uboższéj młodzieży płci obojéj, każda zosobna. W r. 1817, powstały szkoły rzemieślniczo-niedzielne w zamiarze odwrócenia młodzieży rzemieślniczéj od próżnowania w dnie wolne od pracy, podając jéj sposobność pobiérania nauk do ich stanu potrzebnych. W r. 1819 piérwszy raz otwarto szkoły elementarne dla młodzieży wyznania Mojżeszowego, w których przedmioty wykładane były ściśle do zasad ich religii zastosowane, a nadto inne służące do ukształcenia serca i oświecenia rozumu, podług książek przez samych Izraelitów podanych, a przez rząd zatwierdzonych. Zresztą urządzono na nowo szkoły podwydziałowe, przez zgromadzenia zakonne utrzymywane, szkoły wyższe elementarne i pensye prywatne (1825 r.). Co do szkół wyższych, jakiemi były wydziałowe i liceum, z pałacu Saskiego do gmachu Kazimiérowskiego w roku 1817 przeniesione, a w roku 1819 wewnętrznie zmienione. Uniwersytet ustanowiony 7 listopada 1816, a otwarty 14 maja 1818 roku, doskonalił młodzież w wyższych umiejętnościach.

Obok tych, powstały w Warszawie nadto szkoły szczegółowe (specyalne), w których młodzież nietylko w teoryi ćwiczyła się, ale razem w praktycznych zastosowaniach. Do podobnych zakładów należały w tym okresie: szkoła politechniczna, założona w r. 1825 w celu wzniesienia ducha przemysłowego i nadania popędu działaniom handlowym, w któréj wykładano umiejętności zastosowane do rolnictwa, rękodzieł i handlu, połączone z wszelkiemi środkami naukowemi i praktycznemi, do gruntownego usposobienia młodzieży do tych powołań. Ustawą 23 września 1816 r. założono Instytut Gospodarstwa rolniczego, weterynaryi praktycznéj i szkoły rękodzielniczéj w Marymoncie, w celu wzniesienia tych gałęzi umiejętności. Pod kierunkiem Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu, powstała szkoła szczególna leśnictwa, założona 5 października 1816 r., dla zaprowadzenia w kraju gospodarstwa leśnego. W zamiarze wzniesienia nauk wyzwolonych, instytut muzyki i deklamacyi ze szkoły dramatycznéj na nowo uorganizowano. Liczne pensye żeńskie w mieście naszém przedtém istniejące, zwróciły podobnież troskliwość rządową na ich wewnętrzne urządzenie i na przepisy które im dotąd służyły. Pensye więc dla téj płci i szkoły wyższe, przez zgromadzenia panien zakonnych i przez prywatne ochmistrzynie utrzymywane, poddane zostały pod osobny dozór pensyi i szkół wyższych płci żeńskiéj, i nowe urządzenia na dniu 14 maja 1824 r. wydane, otrzymały. Liczba ich została zmniejszona, ściślejszą baczność na wybór osób i troskliwsze czuwanie zwrócono. Gdy zaś utwierdziło się to przekonanie, że ta ważna część wychowania dopóty będzie zawodzić właściwe przeznaczenie, dopóki sam rząd nie wychowa i nie wykształci własnych

rodaczek na ochmistrzynie domowe; w myśl tego zamiaru, założony został na dniu 1 maja 1825 r. Instytut rządowy guwernantek, który w następstwie czasu tak świetne otrzymał rozwinięcie. Naostatek w dobroczynnéj dążności dostarczania umysłowego i moralnego ukształcenia dzieciom pozbawionym słuchu, mowy i wzroku, założony w r. 1816 w Szczuczynie zarodek Instytutu Głuchoniemych o jednym uczniu, przez czcigodnego ks. Jabóba Falkowskiego, z woli Kommissyi Rządowéj Wyznań i Oświecenia, w r. 1817 przeniósł się do naszego miasta i nowo w d. 14 października t. r. urządzony, funduszem 12,000 złp. rocznie opatrzony, otwarty został w dn. 23 t. m. i r. w lewym pawiloniku pałacu Kazimiérowskiego od strony Wizytek, po ostatniéj pogorzeli pozostałym, gdzie wzbogacony nadto funduszami stałemi, jak w r. 1819 na utrzymanie sześciu stypendystów rodem z Warszawy, od Urzędu Municypalnego wyznaczonym, napływem prywatnych uczniów powiększony (miał bowiem wtedy 26 uczniów obojéj płci), w r. 1819 przeniósł się na Krak. Przedm. do kamienicy pod nr. 391, zkąd znowu dla niedogodności, w skutek podanéj w r. 1822 do podnóżka tronu prośby, otrzymawszy zasiłek ułatwiający nabycie possesyi z obszernym ogrodem pod nr. 1737 przy ulicy Wiejskiéj, dom dziś istniejący z wiosną 1826 r. budować zaczęto, a w następnym roku zupełnie go ukończno (1).

Do roku tedy 1826 stan statystyczny zakładów naukowych był następny: Uniwersytet, w nim uczniów

(1) Obszerniejszy opis Instytutu Głuchoniemych znajduje się w Pam. relig. moraln. na r. 1841. T. I, str. 243, 334 i 489, w artykule p. t. „Wiadomość historyczna o Warszawskim Instytucie Głuchoniemych".

600; 3 szkoły wojewódzkie czyli licea; 1 szkoła leśna; 1 agronomiczna; 1 politechniczna; 2 szkoły wydziałowe; 64 elementarnych i szkoły niedzielne dla rzemieślników; 5 szkół cyrkułowych męzkich, tyleż żeńskich; 16 szkół żeńskich; 6 mniejszych; ogółem nauczycieli 324, młodzieży szkolnéj płci męzkiéj 5,265, płci żeńskiéj 2,125.

Powyższe instytuta stosownie do postępu umiejętności i nauk, posiadały odpowiednie zbiory i gabineta, których liczono wtedy 17, a takiemi były: 1) Biblioteka publiczna z połączonym gabinetem rycin, powstała z biblioteki liceum warszawskiego, przeszło 12,000 tomów liczącéj, pomnażana prywatnych osób darami i zbiorem ksiąg w r. 1819 po supprymowanych, stosownie do bulli papiezkiéj niektórych zgromadzeniach klasztornych; w r. 1825 liczyła około 120,000 tomów. 2) Gabinet wzorów gipsowych po królu Stanisławie Auguście, od sukcessorów w roku 1815 zakupiony, w ilości 542 sztuk, późniejszym nabytkiem pomnożony, posiadał w ogóle 682 sztuk, między któremi wiele bardzo rzadkiéj piękności i roboty sztuk mieści się. 3) Gabinet numizmatyczny i osobliwości starożytnych. 4) Gabinet zoologiczny, którego piérwszy zawiązek z 14,162 sztuk rozmaitych przedmiotów złożony, przez Kommissyą Rządową Wyznań i Oświecenia za summę 66,000 złp. w Gronowicach (*Grunwitz*) na Szląsku, od sukcessorów Sylwiusza br. Minkwitza w r. 1818 nabyty, przez uczonego professora Felixa Pawła Jarockiego dr. filozofii upakowany, i dnia 5 lutego 1819 r. do Warszawy sprowadzony, późniejszemi darami i nabytkami wzbogacony, w r. 1825 obejmował 25,000 rozmaitych przedmiotów zoologicznych. 5) Ogród botaniczny, gdy dawniejszy za pałacem Kazimiérowskim leżący, w r. 1816, po obję-

ciu kierunku przez uczonego professora Michała Szuberta tak znacznie został pomnożony, iż miejsce to było zaszczupłe, a projekt przeniesienia go na góry Denasowskie, lub do ogrodu przy possesyi pod nr. 1751 przy ulicy Książęcéj, nie przyszedł do skutku, w r. 1819 z woli Najwyższéj przeniesiony został na obszerny plac, wtedy Ujazdowem zwany, a do Łazienek należący, który wspaniały Monarcha na ten cel darował; miejsce to albowiem było w części zabudowane, miało oficynę mieszkalną i długi szereg szklarni, za czasów króla Stanisława Augusta wymurowanych: wtedy więc znacznym kosztem na nowo urządzony, szybko wzrastając opieką i wsparciem, w r. 1825 obejmował 95,000 gatunków roślin i wiele rzadkich osobliwości. 6) Gabinet botaniczno-plastyczny. 7) Gabinet mineralogiczny. 8) Gabinet fizyczny. 9) Laboratoryum chemiczne. 10) Zbiór narzędzi matematycznych. 11) Zbiór narzędzi do geometryi wykréślnéj. 12) Zbiór modeli i rysunków architektonicznych. 13) Obserwatoryum astronomiczne przy ogrodzie botanicznym w r. 1819 założone, a r. 1824 ukończone, którego myśl, w części plan, a całkowite wewnętrzne urządzenie winniśmy zasłużonemu czcigodnéj pamięci Franciszkowi Armińskiemu, piérwszemu dyrektorowi tegoż obserwatoryum; wspaniałato i kosztowna budowla, w narzędzia wielkim nakładem z rąk najpiérwszych artystów opatrzona, która przeszło 800,000 złp. kosztowała. 14) Gabinet anatomiczny. 15) Zbiór farmacyi. 16) Zbiór materyi medycznéj. 17) Zbiór narzędzi chirurgicznych (1).

(1) Podług mojéj rozprawy: Rys historyczny postępu wychowania publicznego w guberniach Królestwo Polskie składających (w rękopiśmie).

W ślad za tym postępem naukowym i losy drukarń i księgarń w Warszawie polepszone zostały. W r. 1815 założoną drukarnią Józefa Krasińskiego nabył Świerczewski, a w niéj Józef Zawadzki z Węckim pod swojém imieniem drukowali; późniéj drukarnia ta dostała się Chmielewskiemu, a następnie weszła w skład dzisiejszéj Samuela Orgelbranda; Mostowskiego drukarnie były częściami sprzedawane, reszty w roku 1820 stał się właścicielem Łątkiewicz, po nim Chmielewski, dziś Orgelbrand. A gdy zdawna Lesznowskiego i Wyżewskiego drukarnie wydawaniem gazet zajmowały się, powstała w roku 1817 niewielka drukarnia Brunona hr. Kicińskiego, przy ulicy Gęsiéj pod nr. 2286 założona, która za najgłówniejszy cel miała wydawanie pism peryodycznych, późniéj zaś stała się własnością redakcyi Kuryera Warszawskiego. Rok 1819 stanowi epokę drukarstwa w tutejszém mieście: wtedy bowiem dźwignął swój zakład czynny i znany księgarz warszawski Natan Glücksberg, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pod nr. 410, na dole w oficynie po prawéj stronie; który zaszczycony tytułem typografii uniwersytetu, a na wielki wymiar rozpoczęty, dostatni i okwity, wzniósł się odrazu. Czcionki i ludzi zdatnych sprowadził Glücksberg z Paryża i Lipska, dokąd sam po nich jeździł: druki łacińskie i greckie Didotowskie, piękna skośna kursywa i stojąca fraktura, liczne floresy i ozdoby, raz uderzające prasy przedtém u nas nieznane, piérwszy raz w téj drukarni pojawiły się. Drukarnia ta wiele dzieł swoim nakładem wydała, prawda iż z najgorszą korrektą, ale pod względem zewnętrznym pysznie i starannie. Piérwsze dzieło z pod prasy w niéj wyszłe jest: „Hrabia Ostroróg, powieść Ludwika Skomorowskiego" 1819, w 12ce. Naj-

wytworniejszego zaś wydania są: „Karton, poemat Ossyana" 1820 r. w 4ce, i „Dziewica z Abidos, poemat lorda Byrona, przekładania Władysława hr. Ostrowskiego" 1821 r. w 8ce. W roku 1821 założył polską drukarnią Malecki, któréj połowę sprzedał Giżyckiemu, a od tego nabył Piotr Barycki; dziś własnością Wyszomirskiego będąca, mieści się przy ulicy Senatorskiéj i Żabiéj pod nr. 955. Żydowską drukarnią drugą w Warszawie, oraz i giserną hebrajską, założył staroz. Lebensohn giser przy ulicy Franciszkańskiéj, która dotąd istnieje. W roku 1823 powstała drukarnia Kommissyi Rządowéj Wyznań i Oświecenia, założona w celu wydawania ksiąg elementarnych; w następnym zaś roku Schlitera z Dąbrowskiego powstała, i w ratuszu głównym przy Urzędzie Municypalnym. Naostatek w roku 1825 przybyły drukarnie Jabłońskiego, A. Brzeziny i Buczyńskiego; ogólnie zaś było natenczas w Warszawie z dawniéj istniejącemi drukarń 18.

Tyle do rozmnożenia sztuk obrazowych pomagającą umiejętność rysowania na kamieniu (litografią), piérwszy raz w roku 1819 w Warszawie przy kwatermistrzostwie zaprowadzono. A lubo sztuka ta jeszcze w r. 1817 przez p. Jana Siestrzyńskiego nauczyciela w Instytucie Głuchoniemych, lubownikom bezinteresownie udzielaną była, wszelako dopiéro w r. 1820 publiczna litografia p. Ludwika Letronne, ucznia Dawida, w kamienicy Dobrycza pod nr. 455 otwartą została, i innym w następstwie przykład podała.

Powolniejszy był postęp księgarstwa w tym okresie, chociaż pomyślność tego handlu i upadek, jak zwykle szedł na równi z oświatą i jéj wzrostem; mała bowiem liczba czytelników książek polskich, w szczupłych

tylko szrankach musiała go utrzymywać. Autorowie nie brali wynagrodzeń żadnych za swe dzieła, wydawcy tracili na swoich nakładach, a niektórzy tylko księgarze i drukarze bogacili się. Dopiéro piérwszy Natan Glücksberg w roku 1825 niesłychane dotąd, jak mówi K. Wł. Wojcicki, ofiarował wynagrodzenie autorowi powieści: Jan z Tęczyna; za trzy bowiem tomy zapłacił 300 dukatów, ale w kilka godzin miał je zwrócone. Gdy bowiem w przeddzień zapowiedział o wydaniu nazajutrz téj powieści, a introligator rano przyniósł 500 exemplarzy, w sześć godzin nie zostało ani jednego; drugie 500 sprzedał we dwa tygodnie, reszta zaś nakładu 1,500 exemplarzy, w niespełna lat cztérech w zupełności tak wyczerpane zostały, że dziś za poczwórną cenę pierwiastkowéj dostać nie można (1). Za to téż istniejące księgarnie Józefa Zawadzkiego i Węckiego w pałacu Potockich na Krakowskiém-Przedmieściu, Józefa Pukszty w Starém-Mieście i inne, których było ogółem w roku 1825 w Warszawie 10, mały na piśmiennictwo wpływ wywiérały; wszystkie albowiem oprócz Glücksberga i Zawadzkiego, byłyto proste, bez nauki i pojęcia tego przemysłu przedsięwzięcia.

Piśmiennictwo peryodyczne, oprócz istniejących oddawna dwóch gazet, znacznie u nas w ciągu tych lat w liczbę wzrosło; żadne atoli długo utrzymać się nie potrafiło. Od r. 1815 do 1826, wychodziło w Warszawie 38 dzienników tak literackich jako i politycznych. Najlepsze jednak na swe czasy, jak: Pamiętnik Warszawski pod redakcyą Felixa Bentkowskiego od r. 1816—1821, Brodzińskiego od r. 1822—1823, Dziennik Warszaw-

(1) Historya Literatury Polskiéj w zarysach. Warsz. 1845 r. T. I, str. 66.

ski od r. 1825—1830, straty tylko wydawcom przyczyniły, chociaż wszystkie artykuły otrzymywano darmo, a ostatni nawet, pomimo iż najznakomitszych miał współpracowników i dobrane artykuły, przecież zaledwo 89 przedpłacicieli, z których 17 tylko poczta mu dostarczyła, w całym kraju mógł zebrać. Lepiéj się wiodło i lepsze znalazły przyjęcie w Warszawie pisma mniéj naukowe i poważne, jak Tygodnik Brunona Kicińskiego od roku 1817—1820, którego całą treścią były powiastki tłumaczone lub naśladowane z francuzkiego, wierszyki ulotne, ucinki i poemata żartobliwe, co się nadzwyczaj naszym czytelnikom podobało. Podobnąż miał wziętość „Momus" pod redakcyą Aloizego Żołkówskiego, ulubionego komicznego aktora, w r. 1820 wychodzący; wesoły towarzysz Wandy, drugiego poważniejszego pisma, a prawdziwym dowcipem i kalamburami odznaczający się. Lata 1821 i 1822 były najpłodniejsze w jawieniu się pism peryodycznych w Warszawie, które nawet rozmaite, a coraz zabawniejsze nazwiska przybiérały: i tak zjawiło się w tym czasie pismo pod tytułem: „Mucha Warszawska" które jak prawdziwa mucha niebawem zginęło. Było téż pismo p. t. „Pasztet z facecyami", który zaledwie 7 numerów mógł na świat wyprawić; Potpourri, Bronisława, Sybilla, Dekada i t. d. niedłużéj trwały, i innym tym podobnym miejsca ustępowały. Nową jednak epokę w gazeciarstwie naszém rozpoczął w roku 1821 Kuryer Warszawski, dziś najpopularniejsze pismo w tutejszém mieście; wierny obraz potrzeb i upodobań mieszkańców, dokładna ich zwyczajów i obyczajów kronika. Prędko po swojém ukazaniu się, od wszystkich został lub chciał być czytany, a tym sposobem Kuryer tysiące ludzi nauczył czytać: bo ciekawość i w najuboższych klassach

ludu do możności zrozumienia tego pisemka wabiła. Sam widziałem żebraków z zapałem sylabizujących jego kartki, woźnice i przekupki czytających Kuryerka. Piérwszy pomysł wydawania tego dziennika, należy się Brunonowi hr. Kicińskiemu, który, jak wyżéj mówiliśmy, drukarnią na ten cel założył i w podłużnym formacie, drobnym drukiem o trzech przedziałach (kolumnach), sześć razy na tydzień, wyjąwszy soboty, wydawać go zaczął. Chciał on na wzór pism, jak wszystkie wielkie miasta w Europie w tym rodzaju mają, przedewszystkiém dać piérwszeństwo miejscowości, zajmując się opisem stanu i historyą miasta dla przewodniczenia przyjezdnym, ogłaszaniem wiadomości handlowych, zbiéraniem nowostek ulicznych i t. p. a umieszczać wiadomości zagraniczne w treści i podrzędnie. „Obrawszy sobie za cel, jak się w prospekcie wyraził, nie mieszać nigdy nauki, nie udzielać nigdzie zdania swego, ale tylko o to starać się, ażeby umieszczać jak najwięcéj nowości, opisywać zdarzenia prosto i bez żadnego spostrzeżenia". Lecz młody i bujnéj wyobraźni piérwszy redaktor, nie miał cierpliwości i wytrwałości w prowadzeniu i utrzymaniu zaczętego pisma; dostrzegł to cztérdziestopięcioletni natenczas utalentowany aktor i autor dramatyczny Ludwik Dmuszewski, przeniknął wszystkie korzyści które na tém polu otrzymać było można, odgadł co temu pisemku brakuje, łatwo nabył prawa do niego i drukarnią od Kicińskiego zakupił; a dobrze plan rozważywszy, znając doskonale publiczność warszawską, nowy ruch Kuryerowi nadał. W lat parę Kuryer stał jak żadne dotąd pismo w Warszawie; regularném i porządném wydawaniem zniewolił inne gazety, przedtém zaledwie trzy razy w tydzień ukazujące się, do codziennego wychodzenia; ta-

niością przedtém nieznaną stał się przystępnym dla ogółu, i szedł raz utorowaną drogą, format, porządek kolumn, druk i papiér tylko zmieniając, z ukłonami na wszystkie strony, z pochwałami dla wszystkich, z uśmiechem i grzecznością nieposzlakowaną. Kuryer od początku nikogo nie łajał, nic nie ganił, z nikim się nie wadził, i tym sposobem przetrwał i przetrzymał wszystkie współzawodnictwa. Pisał o wszystkiém bez wielkiego ładu, i to mu podobno największą popularność zjednało, bo każdy mógł znaléźć czego szukał.

To co Dmuszewski dla pism peryodycznych, to Franciszek Salezy Dmóchowski dla obszerniejszego piśmiennictwa uczynił. Niespracowany i dziwnie szybki tłumacz, trafny w dobiéranych przekładach romansów i powieści, piérwszy umiał u nas powiększyć liczbę prenumeratorów, a wydawanemi pismami, ciekawość swoich czytelników zająć; tym sposobem rozszerzając ich zakres, większy ruch handlowi księgarskiemu nadał.

Sztuka dramatyczna i stan teatru w Warszawie podobnież uległy zmianie; poprzednio założona szkoła dramatyczna z powodu przerwy funduszów wstrzymana, znowu na d. 4 lutego 1815 r., pod prezydencyą Józefa Lipińskiego otwartą została. Dyrekcya teatralna i przepisane jéj prawidła, postanowieniem namiestnika królewskiego 19 lutego 1822 r., nowe otrzymały urządzenia; dawniejsze bowiem nie odpowiadały przyjętemu następnie zamiarowi upowszechnienia muzyki i sztuki dramatycznéj, a gdy w r. 1825 dokładnie przekonano się, że mimo usiłowań przedsiębiercy, dochody teatru nie odpowiadały nakładom, dodano 50,000 złp., które wspaniały Monarcha corocznie na wsparcie sceny krajowéj przeznaczył. Na przedstawienie

tedy Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Policyi, zatwierdzono ustanowioną Dyrekcyą teatrów, z prezydującego, dwóch assesorów i sekretarza złożoną, która pod bezpośrednim zwierzchnictwem téjże Kommissyi zostawała, i miała przepisane nowe artykuły do udoskonalenia sceny krajowéj zmierzające. Dyrekcya zaś teatralna ułożyła następnie ustawy teatralne, obejmujące szczegółowe prawidła do porządnego utrzymania teatru, oraz sposobu użycia rocznego zasiłku pieniężnego. Co do wewnętrznego stanu sztuki teatralnéj, ta lubo miała niektórych wybornych artystów dawnéj i nowéj szkoły, postęp jéj atoli był wątły i słaby; tłumaczenia z francuzkiego Kornela, Rassyna, Krebillona, Ducisa, Moliera; z angielskiego Szekspira; z niemieckiego najdłużéj upodobanego Kocebuego, a późniéj dopiéro Szyllera, zajmowały cały tutejszy repertuar. Oryginalne i swojskie utwory były rzadkie, a i te formą i układem ślepo zagranicznych wzorów trzymały się. Ztąd scena warszawska, lubo pełna żywotnych i moralnych zasobów, nie mogła przecież wyrobić sobie stałego materyalnego bytu; artyści z początku musieli prowadzić życie koczujące i wędrować w porze letniéj do znaczniejszych miast, szukając chleba powszedniego, gdy nawet współdziałanie takich artystów i autorów jak Bogusławski, Dmuszewski (który przeszło 100 sztuk dramatycznych, wesołym dowcipem odznaczających się napisał), Kudlicz, Aloizy Żółkowski, Szymanowski, Werowski, Piasecki; z kobiét: Leduchowska, Dmuszewska, Zdanowiczowa, Aszpergerowa i Kurpińska, w wątły byt teatru nie zdołali wlać życia. Atoli przynajmniéj znaczenie jego w tym okresie podniosło się, zwłaszcza gdy w r. 1815

powstali *ixy*, tak zwani z powodu, iż się głoską *x* podpisywali, która znaczyła dziesięć osób, towarzystwo krytyków teatralnych składające, w celu wzniesienia sztuki zawiązane; lecz z niemi zjawił się w publiczności pewien rodzaj wstydliwości, gdy przyznając słuszność krytykom, żałowano tego, co tamci ganili, a nie smakowano w utworach przez nich chwalonych i zalecanych. Prawda że z ixami powstał dobry gust, ale kassa teatralna upadła, a przynajmniéj stan jéj nie szedł w postępie za wzrostem ludności w Warszawie, i to była przyczyna, iż uznano potrzebę konieczną utworzenia odrębnego teatru, który pod nazwiskiem Teatr Polski, późniéj Rozmaitości, dla stanu mniéj oświeconego mógł być przystępnym, i takowy w następnym czasie, w braku innego miejsca, w sali Towarzystwa Dobroczynności otwarty został. Zresztą, z obcych widowisk teatralnych w r. 1819, najmodniejszy był teatr odmian czyli maryonetek p. Danebeck; zaś w r. 1822 w pałacu tak zwanym Mniszkowskim, w gmachu środkowym, przy ulicy Senatorskiéj pod nr. 471 lit D. urządzono małą salę teatralną z łożami, w któréj artyści francuzcy z pałacu Radziwiłłów (namiestnikowskiego) przeniesieni, przez parę lat przedstawienia swoje dawali. Celniejszymi artystami byli tam: Durand, Duclos; panie Philis-Bertin i Philis i t. d. Na tym teatrzyku przedstawiono jedyną podobno tragedyą, graną kiedy w Polsce w języku francuzkim, t. j. „Marią Stuart" p. Ducis.

Publiczność warszawska zawsze ubiegając się za zabawami, za ustaleniem pokoju tysiączne w tym celu wynajdywała sposoby. W r. 1817 słynęły bale maskowe w salach redutowych przy teatrze. Dla mniéj zamożnych ochotników, w r. 1822 wzniesiono na rogu

ulic Krochmalnéj i Waliców, w domu pod nr. 996 nową salę, zwaną Wrocławską, na wzór jakich znaczna liczba w Wiédniu znajduje się, a która od początku założenia swego, nadzwyczaj uczęszczaną była. W r. 1818 trudnienie się magnetyzowaniem było bardzo w modzie, zaś w końcu następnego roku odwiedziła nasze miasto królowa śpiewu w głosie *soprano* Aniela Catalani, sławna w całéj Europie śpiewaczka, odznaczająca się bardzo przyjemną powierzchownością, grą żywą, nadzwyczajną dźwięcznością, siłą i ruchawością głosu, szczególnie w chromatyczném przebieganiu tonów. Kilka koncertów, które w grudniu w sali ratusza głównego ta artystka dała, lubo bilet 30 złp. kosztował i liczba ich była ograniczona, z zapałem i tłumnie na nie uczęszczano; powszechnie zgadzając się, iż głos ludzki nie mógł więcéj dokazać, ani sztuka daléj posunąć się (1). Upodobanie téż do muzyki, coraz się bardziéj u nas rozszérzało, a liczba lubowników pomnażała. Mówiliśmy już w poprzednich paragrafach, jak w kościołach warszawskich, a następnie prywatne zgromadzenia muzyczne tą sztuką zajmowały się; które gdy okoliczności czasowe przerwały, w r. 1817 znowu w tymże samym celu zawiązało się towarzystwo amatorskie, które przedsięwzięło w dnie wyznaczone trudnić się wykonaniem najznakomitszych dzieł wielkich mistrzów ówczesnych. Najprzód sala redutowa, a potém sala w domu Salwadora na Nowém-Mieście pod nr. 336, przeznaczoną została na posiedzenia odbywające się co środa w wieczór; ktokolwiek sobie życzył być przypuszczonym do tych wieczorów, musiał się zapisać w listę członków

(1) Gazeta Warsz. na r. 1819, Dodatek do nr. 98, 99, 101 i 103.

towarzystwa i złożyć 12 złotych, na trzy miesiące wynoszącą składkę. Wchodzący po raz piérwszy do towarzystwa, składali nadto małą opłatę wstępnego; członkowie grający na instrumentach, stanowili orkiestrę, niedostawającą zaś liczbę osób, mianowicie do instrumentów dętych, dobiérano z muzykusów. Wykonać się mające dzieła, wybiérane były przez wyznaczonych z grona członków dyrektorów. Nie były tam przepomniane i śpiewy, a znawcy i słuchacze niejednokrotnie zachwycali się wyborném wykonaniem lub objawieniem krajowego talentu (1). Powiadają współcześni, iż nie można było przyjemniéj i lepiéj spędzić wieczór jak na téj zabawie, która naszym amatorom muzyki, niemałe pole do doskonalenia się w muzyce przedstawiała i zachęcała. Towarzystwo to atoli, po kilkoletniém swojém istnieniu, dla braku funduszów ustało, a zastąpić go usiłowano nowém zgromadzeniem, które łącząc inne przytém cele i zabawy, do dziś przetrwało;— mówię tu o towarzystwie tak zwanéj resursy kupieckiéj, złożoném z mieszkańców tutejszego miasta, mianowicie kupców znanych powszechnie ze sposobu życia i prowadzenia się, którzy dla pomyślnego załatwienia lub przysposobienia interesów handlowych, oraz dla zbliżenia się do wszystkich klass czynnych towarzystwa, przedsięwzięli tym sposobem ułatwić sobie sposobność częstszego łącznie z innemi stanami zgromadzania się; obok zaś tego zamiaru, za pomocą składki pieniężnéj, połączyć piękne i godziwe zabawy, pochodzące równie z przyjemnych posiedzeń i czytań, a mianowicie pism peryodycznych i handlu tyczących się, jako téż z dozwolonéj gry, muzyki i tańca, w stosownéj

(1) O towarzystwie muzyczném amatorskiém w Warszawie, w Rozmaitościach do gazety Korresp. Warsz. na r. 1820 nr. 20.

do tego porze roku. Piérwsza z takowych zabaw w dniu 28 stycznia 1821 roku, w pałacu pod nr. 482 przy ulicy Miodowéj, odbyła się (1).

Od czasu jak zaczęto rozprzestrzeniać ulice Warszawy, chęć szukania świéżego powietrza wszystkie klassy mieszkańców ogarnęła. Za piérwszym znakiem pogody, tłumy wychodziły lub wyjeżdżały za miasto, i okoliczne miejsca i ogrody za rogatkami napełniały. Téj modzie dogadzając, w r. 1822 zaprowadzony był piérwszy raz między Warszawą a Bielanami bieg regularny ozdobnego powozu, „*żurnalierem*" zwanego, w którym miejsca było na osób kilkanaście. Powóz ten miał wielkie powodzenie, późniéj jednak przestawszy wychodzić, znikł z oczu. Od roku 1815 do 1822 było modą przez najpiérwsze damy przyjętą, przechadzać się w święto około 12 godziny w piérwszéj alei po lewéj stronie Krasińskiego ogrodu. Przechadzka rzeczona miała miejsce zaraz po mszy granéj przez artystów u ks. Pijarów na Długiéj ulicy, a przetrwawszy stale czas jakiś upadła wreszcie, do Saskiego ogrodu napowrót przeniósłszy się.

Niestałość mody co do sukien równie jak we wszystkiém co się zwyczajów dotyczy, odznaczyła przeciąg tych lat jedénastu; nie były one wszelako ani tyle dziwaczne, ani od współczesnych nam różne, aby wydatną cechę owego okresu miały. W ubiorach kobiét krój, kolor i ozdoby, w męzkich stroje zimowe, znaczniejszéj tylko zmianie ulegały.

W piérwszych siedmnastu latach bieżącego stulecia, powszechnie używane były płaszcze hiszpańskie, wene-

(1) Urządzenie towarzystwa resursy kupieckiéj w Warszawie zawiązanéj w 1821 roku, w drukarni Glücksberga, 1821, 8ka, i Kuryer Warszawski na r. 1821 nr. 25 i 29.

ckie, szkockie koliste i peleryny francuzkie. Od r. 1817 do 1826 następne były ubrania zimowe: surduty angielskie po kostki długie, które późniéj noszono z małą okrągłą pelerynką; daléj płaszcze białe albo piaskowe z trzema lub cztérema pelerynami, późniéj płaszcze granatowe i szafirowe z pięcioma pelerynami i paskiem do przewiązywania; gdy ta moda ustała, nastąpiły płaszcze włoskie amarantowym albo pąsowym aksamitem podbite i t. d. Oprócz ubiorów, od tego okresu poczyna się téż moda i pewnych przywar w naszém mieście; i tak: od r. 1816 poczęła panować jakaś zaraza wzrok skracająca, która szczególnie napastowała młodzież męzką, a jednakże nie można było ją posądzać, że na czytaniu lub pracy czas trawiąc, mogła go zepsuć. Do dobrego tedy tonu w owym czasie należało nosić okulary na ulicach, wizytach, teatrze i wszelkich publicznych miejscach, a przynajmniéj nikt bez lornetki zawieszonéj na szyi obejść się nie mógł.

(Dokończenie nastąpi).

## Rozbiór pytania: czy na zasadzie obowiązujących w Królestwie praw postępowania sądowego karnego, a w szczególności Ordynacyi kryminalnéj pruskiéj, zachodzi właściwie jaka różnica między uwolnieniem zupełném dla braku wszelkich dowodów, a takiémże uwolnieniem dla wykrytéj niewinności, i czy od wyroków pierwsze z nich stanowiących, służyć może odwołanie się do wyższych sądowych instancyj?

---

Zeszłoroczna Biblioteka Warszawska, w zeszycie swym za miesiąc luty, zawiéra wyszłą z pod pióra chlubnie w wydziale prawoznawstwa znanego, rozprawę:

„O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie uniewinniających, na zasadzie art. 23 Ustawy Senackiéj z d. 26 v. s. marca 1842 r., co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki".

W téj rozprawie, autor rozbiéra szczegółowo duch przepisów, jakie, co do rozmaitego sposobu uwolnienia osób o przestępstwa obwinionych, obejmują obowiązujące w Królestwie, austryacki i pruski kodexa postępowania sądowego karnego, a następnie wyłącznie się już zwracając do zasad, w tym względzie przez postępowanie karne pruskie, czyli tak zwaną Ordynacyą Krymi-

nalną podanych, stara się wykazać, że ordynacya takowa trojaki sposób uwolnienia, a mianowicie:

dla wykrytéj niewinności,
dla braku dowodów winy,
dla braku dowodów niewinności,

uświęciła; i że od każdego wyroku, jedno z tych dwóch ostatnich rodzajów uwolnienia stanowiącego, w duchu obowiązujących Królestwo przepisów, służyć powinna obwinionemu możność odwołania się, do wyższych, prawem ustanowionych, instancyj.

Przedmiot rozprawy takowéj jest nader ważnym, nietylko ze względu na ścisły związek w którym z ogólnemi kardynalnemi zasadami postępowania sądowego karnego zostaje, lecz również z powodu niejednostajności, jaka w sposobie zapatrywania się nań sądów, przez długie lata istniała, a która ustawszy od pewnego czasu niemal zupełnie, łatwo wznowićby się mogła, gdyby nadal, względem tegoż przedmiotu, zawsze szkodliwe rozdwojenie między ostatecznym głosem nauki, a postępowaniem sądów pozostać miało.

Dlatego téż, celem zapobieżenia, ile odemnie zawisło, temu rozdwojeniu, przedsięwziąłem obecnie, choć spóźnioną odpowiedź autorowi rozprawy udzielić, zdanie moje, twierdzeniom jego przeciwne, pod sąd światłéj publiczności, kwestyami prawnemi zajmującéj się, poddać, i przez to starcie się dwóch sprzecznych z sobą mniemań, należyte rozstrzygnięcie rozbiéranéj wątpliwości ułatwić.

W tym celu zamierzam przedstawić tu w kilku słowach przedewszystkiém, jakie są ogólne, na naturze rzeczy oparte, rozbiéranemu przedmiotowi przewodniczące zasady; następnie, jakie w tym względzie stanowią prze-

pisy kodexa postępowania sądowego karnego, Królestwo obowiązujące, niemniéj sposób w jaki przepisy takowe dotychczas były przez sądy Królestwa pojmowane; rozstrząsnąć nakoniec znaczenie, w jakiém je autor rozprawy przedstawia, i uwagi na których swe twierdzenia opiéra, ile możności odeprzéć.

Trojaki może być wypadek każdego dochodzenia karnego, a w szczególności:

uznanie winy,

uznanie niewinności,

lub wreszcie, uznanie, iż zachodzą wprawdzie domniemania winy, lecz te są niedostateczne do ustalenia prawnego przekonania.

Uznanie winy polegać musi na pobudkach, jakie prawo przyznało za dostateczne, do osiągnięcia zupełnéj pewności, że wina istotnie zachodzi.

Uznanie niewinności nastąpić powinno nietylko wówczas, gdy obwiniony zdoła w sposób niewątpliwy wykazać, że czynu dochodzonego nie popełnił, ku czemu w rzadkich tylko wypadkach, nastręczy mu się możność; lecz i w tych, daleko pospolitszych zdarzeniach, gdy przeciw niemu żaden dowód winy ustalonym nie został.

Tu włośnie ma zastosowanie axioma prawne: *Quilibet praesumitur bonus, donec probetur contrarium.*

Każdy się za niewinnego uważa, dopóki inaczéj dowiedzioném nie zostanie.

Wszelkie zasadzie téj ubliżenie, zagrażałoby w wysokim stopniu spokojności i prawom mieszkańców. Z natury rzeczy dowód na przeczenie jest nader trudnym do ustanowienia. Gdyby więc każdy co nie potrafi wykazać, że czynu, za który do odpowiedzialności pociągniętym

został, nie popełnił, miał warunkowe tylko, w czémbądź ograniczone pozyskać uwolnienie, miał pod cieniem, by najmniejszego nawet, lecz zawsze bolesnego i krzywdzącego pozostać podejrzenia: wówczas nikt w społeczeństwie nie byłby zabezpieczonym od tak niezasłużonego, a jednak tak dotkliwego skutku; każdy bowiem, przez zbieg okoliczności, na bezzasadny zarzut przestępstwa narażonym być może, a rzadko kiedy niewinność swą niewątpliwie wykazać potrafi.

Uwolnienie niezupełne, warunkowe, dla braku dowodów winy, ma właściwą swą przyczynę, w nieudolności ludzkiéj.

Gdyby człowiekowi daną była moc dojścia w każdym razie prawdy, przeświadczania się zawsze o istotném położeniu rzeczy, któréj dochodzi; takie pośrednie uwolnienie, środek między uznaniem winy, a ogłoszeniem niewinności stanowiące, nie miałoby żadnego znaczenia. Lecz tak pożądaną władzą obdarzeni nie zostaliśmy, tak znakomitą nie władamy siłą. Ograniczonemi są udzielone człowiekowi od natury środki poznania i zbadania prawdy, ścieśnione granice jego zmysłów, uległe wątpliwości działania i wywody ludzkiego umysłu; a w stosunku tego, zbyt wielką łatwość znajduje interes osobisty i przewrotność do wprowadzenia nas w błąd, do skrzywienia naszego przekonania.

Ztąd więc nader często, wypadki działanie sprawiedliwości wywołujące, pomimo najgorliwszych jéj usiłowań, gruba osłania tajemnica; ztąd częstokroć, pomimo licznych śladów i pozorów, jakie sprawcę zbrodni mściwemu jéj ramieniu zdają się wyraźnie wskazywać, nie dowierza ona tym pozorom, nie daje wiary śladom, dopóki dowodu, zupełną, wewnętrzną, nastrę-

czającego pewność, osiągnąć nie zdoła; a gdy przedsięwzięte przez nią w tym względzie starania zawiedzione zostaną, gdy nie potrafi wykryć żadnéj okoliczności pewność takową ustalającéj: wówczas uczuciu skłonności i ludzkości powolna, na wzniosłą zasadę, że lepiéj dziesięciu winnych uwolnić, niż jednego niewinnego ukarać, pomna sprawiedliwość, wyrzeczenie swe zawiesza, i obwinionego, dla braku dostatecznego przeciwko niemu dowodu, uwalnia.

Skutki takiego warunkowego uwolnienia rozmaite są, podług osnowy różnych prawodawstw. Powszechnym jest ten, że przeciw tak uwolnionemu, w każdym razie nowe dochodzenie o ten sam czyn rozpoczętém być może; najpospoliciéj zaś i to, że obciążony zarzutem ważniejszego przestępstwa obwiniony, który takie tylko wątpliwe, warunkowe, otrzymał uwolnienie, poddanym bywa szczególnéj baczności władz, nad porządkiem ogólnym czuwać obowiązanych, a razem wyłączonym od możności wykonywania takich praw, których niezbędnym warunkiem jest zaufanie powszechne, poważanie ogólne.

Jakkolwiek przeciw połączeniu tak dotkliwych skutków, ograniczenie niejako pewnych, służących każdemu członkowi społeczeństwa, praw za sobą pociągających, z wyrzeczeniem sądowém, na powzięciu niedokładnego przekonania czyli podejrzenia opartém, powstają obecnie niektórzy nowsi pisarze, chwalebną lecz zbyteczną może w tym razie, o los obwinionych i poszanowanie praw ich, uwiedzeni troskliwością; — uważam wszakże ten środek ostrożności nietylko za niezbędny, lecz i za ściśle sprawiedliwy.

Za niezbędny, gdyż zbyt wielkie społeczności zagrażałoby niebezpieczeństwo, gdyby najważniejsze, jéj wła-

sne lub składających ją członków prawa, złożone być mogły w ręce ludzi, na których ciąży podejrzenie, pogwałcenia świętych praw moralności, dopuszczenia się plamiących charakter czynów. Czemuż w tym względzie i gdy idzie o całość praw pod najwyższą jego opieką zostających, społeczeństwo nie ma być o tyle uważném i troskliwém, o ile każdy dobry ojciec familii o prawa swéj rodziny, dbały być winien? A jak ani ojciec wychowania swych dzieci, ani czuła matka honoru swéj córki, ani nawet ostrożny gospodarz swego mienia, nie powierzą człowiekowi, który w zarzucie hańbiącym dla braku jedynie dostateczności osiągniętych dowodów, uwolnienie swe przed sądem pozyskał; tak też i społeczeństwo, z wyższych względów, nie może dopuścić, aby człowiek o taki czyn podejrzany, miał sobie powierzony czylito wymiar sprawiedliwości, czyli też los nieletnich, lub wychowanie publiczne, i inne temu podobne, ważne, szczególnego zaufania wymagające obowiązki.

Środek ten ostrożności jest niemniéj na słuszności oparty, gdyż pospolicie własne obwinionego, przed lub w ciągu śledztwa, postępowanie, prawo do ogólnego zaufania jemu odejmujące, jest powodem przyznania mu mniéj pełnego tylko uwolnienia.

Sam więc ściąga na siebie dotkliwe z takiego uwolnienia wypływające skutki, n. p. już przez zaciéranie śladów zbrodni, już przez nierzetelne tłumaczenie się, usunięcie się od dochodzenia przez ucieczkę i t. p.

Jakkolwiek przytém ten pośredni stan między uznaniem winy a niewinności, jest tak dalece na saméj naturze rzeczy opartym, że od najdawniejszych czasów, ślady jego w owém *non liquet* wyroków ludu rzymskiego, dostrzegamy: w tych krajach wszakże, gdzie zaprowadzone zo-

stały sądy przysięgłych, stan ten znaleźć miejsca nie mógł, dlatego, że wyrzeczenie sądu przysięgłych jako domniemany wyraz własnego sumienia obwinionego stanowiące, przez to samo, skutkiem fikcyi prawnéj, cechy nieomylnéj pewności ma przedstawiać. Lecz w tych krajach, takowemu pośredniemu stanowi odpowiada położenie osoby o czyn karygodny podejrzanéj, dopóki władza sądowa, powziąwszy podejrzenie, nie uzna go, skutkiem przedsięwziętych działań, tak dalece upozorowaném, iżby z pewnością uznania winy spodziewać się można, a tém samém, formalnego stawienia obwinionego przed sądem przysięgłych nie postanowi.

W tém położeniu rzeczy, nie następuje wprawdzie żadne praw osoby podejrzanéj ograniczenie, ten sam wszakże, co po warunkowém jéj uwolnieniu, zagraża jéj skutek: że w każdym czasie, do odpowiedzialności w uczynionym sobie zarzucie pociągniętą być może.

Aby wreszcie podać już tu zupełne pojęcie o zasadach ogólnych względem różnych rodzajów uwolnienia obwinionych, nadmienić wypada, że skutkiem zupełnego uwolnienia obwinionego, powina być między innemi niemożność pociągnięcia go powtórnie do odpowiadania w tym samym zarzucie: że wszakże w krajach, w których z powodu nieistnienia sądów przysięgłych, nie jest ustaloną fikcya nieomylności bezwarunkowéj sądowego wyrzeczenia, niemożność ta ogranicza się do tych jedynie przypadków, w których nowe, winę obwinionego wykazujące dowody, wykryte nie zostaną.

Skoro jednak to nastąpi, sprawiedliwość dążąca zawsze do wykrycia najzupełniejszéj prawdy, do wyrażenia jéj jak najdokładniéj we wszystkich swych działa-

niach, nie może dopuścić, aby obwiniony bezkarnym pozostał, i w celu zastosowania doń prawa, wznowić musi wymierzone przeciw niemu dochodzenie; w niém zaś w miarę stanu rzeczy, tak poprzedniém jako i nowo przedsięwziętém śledzeniem wykrytego, stanowi wówczas nawet, gdy przedtém niewinność jego za zupełnie dowiedzioną była uznaną. W tym ostatnim razie, ta tylko zachowana być powinna różnica, iż za podstawę dochodzenia nowego, takie tylko dowody, poprzedniém nieobjęte dowodzeniem powinny być przyjmowane, z którychby się oczywiście okazywało, że dowody poprzednio na wykazanie niewinności użyte, są fałszywe. W takim razie, tam gdzie brak wyżéj wspomnionego przypuszczenia, że wyrzeczenie przysięgłych jest nieomylném, przeciw zupełnie nawet wyrokiem uwolnionemu, zarządzić ponowienie dochodzenia dozwala: słuszność koniecznie wymaga, aby można było pociągać powtórnie i tego, co przez nową zbrodnię bezkarność piérwszéj zapewnić sobie usiłował. Gorszącém byłoby bowiem, aby on po należytém tak niebezpiecznego i karygodnego podstępu sprawdzeniu, jawnie korzyści z niego mógł używać. Morderca n. p., celem uniknienia kary, zawiódł dwóch świadków, skłonił ich do splamienia się na jego korzyść, fałszywą przysięgą; sprawiedliwość wykryła to zupełnie, dowiedzioném jest niewątpliwie, że on i fałszu tego był głównym sprawcą, i nadto dochodzone poprzednio morderstwo popełnił; miałżeby tylko na daleko lżejszą może karę fałszu być skazanym, a czczą formą się osłaniając, krwią ofiary swéj zbryzgany, natrząsać się z niemocy praw, które dwukrotnie i zuchwale potargał?

Oczywiście nie; i w każdym razie gdy się wykrywa stanowczo fałsz dowodów, na których poprzednie uznanie niewinności opartém było, na nowo do odpowiadania, za wszystkie dowiedzione mu bezprawia, pociągniętym być może.

Tak więc, między uwolnieniem zupełném dla ukrytéj niewinności, a takiémże uwolnieniem dla braku wszelkich dowodów, żaden inny odcień zachodzić nie będzie, jak ten nader lekki i nieznaczący, który z rodzaju poprzednio sprawdzonych okoliczności, przy ocenieniu, czy z powodu nowo wykrytych okoliczności nowe dochodzenie jest dopuszczalném, może niekiedy dać się uczuć, i wpływ niejaki na zdanie sędziów w téj mierze wywrzéć.

W ogólności zaś, co do wszelkich swych cech wewnętrznych, oraz wszelkich skutków prawnych dla obwinionego, bo do rzędu tych ostatnich, nie dający się określić związek okoliczności poprzedniém dochodzeniem sprawdzonych, do nowo wykrytych dowodów, policzyć się nie da,— podług ogólnych pojęć na ścisłém rozumowaniu opartych, dwa tylko mogą być rodzaje uwolnienia: *zupełne* i *niezupełne*. Piérwsze zarówno służyć winno tym, co wykazali swą niewinność, i tym, przeciwko którym żaden dowód winy wykryty nie został, z usunięciem wszelkiego między temi dwoma przypadkami odrożnienia; każda bowiem byle najmniejsza w tym względzie różnica, rzucałaby niezasłużony cień podejrzenia na osoby, które zbiegiem okoliczności w niemożności oczywistego swéj niewinności wykazania są postawione, stawiłaby ich niezasłużenie w gorszém położeniu od tych, którym traf sposobność ku temu nadarzył: słowem, byłaby przeciwną i ubliżającą temu, tak ważnemu dla za-

bezpieczenia praw każdego członka społeczeństwa, axiomatowi:

*Quilibet praesumitur bonus, donec probetur contrarium.*

Skoro zaś żadne takie odróżnienie istnieć nie powinno, skoro *zupełne* uwolnienie, w każdym razie, jednę i tę samę ważność mieć musi, czylito dla wykrytéj niewinności, czy téż dla braku wszelkich dowodów nastąpiło; wynika więc ztąd, że i w samém jego wysłowieniu żadna różnica dopuszczaną być nie może, że również od wyroków takie uwolnienie stanowiących i skutkiem tego uroczyście wyrzekających, że obwiniony wcale winnym nie jest, w żadnym razie odwołanie się jego przyjmowane być nie powinno: bo nie ma już on właściwie o co się w wyższych upominać instancyach, bo w każdym przypadku, czylito udało mu się wykazać że dochodzonego czynu nie popełnił, czyli téż wcale dowodu aby był takowego czynu sprawcą nie wykryto, uroczyste, stanowcze, zupełne i jednakowe w skutkach uwolnienie pozyskać musi.

Przekonajmy się, jak dalece obowiązujące Królestwo prawa postępowania sądowego karnego, uświęciły powyższe w tym względzie ogólne zasady.

Kodex karny austryacki w § 427 C. I i § 327 C. II stanowi: że gdy obwiniony z walczących przeciwko niemu poszlak zupełnie się oczyścił, *a zatém podług przełożonych akt „niewinność jego jest oczywistą"*, ma być od zadanéj sobie zbrodni uwolnionym i za niewinnego uznanym; a w § 428, C. I i § 377 części II: że gdy prawny dowód przestępstwa się nie okazuje, lecz podobieństwo do wiary pozostaje, śledztwo dla niedostatku prawnych dowodów za zniesione się uznaje.

Or. kr. pr. w § 409 przepisuje:

że „gdyby tok rzeczy właściwy nie był wyjaśnionym, a podejrzany nie był w stanie odbić walczącego przeciw sobie podejrzenia, może być wyrzeczone tymczasowe tylko jego uwolnienie";

w § zaś 413:

że „gdy niewinność obwinionego została niewątpliwie wykrytą lub przynajmniéj czyn karygodny nie jest mu dowiedzionym, wyrzeczone ma być zupełne jego uwolnienie." O żadnym trzecim pośrednim rodzaju uwolnienia Or. pr. nigdzie nie wspomina.

Że zaś w powyżéj przytoczonych przepisach, dwa tylko rodzaje uwolnienia dopuszcza ordynacya pruska, dowodzą tego i inne jéj, w związku z przepisami temi zostające, rozporządzenia, a mianowicie:

§ 488, dotyczący przygotowania projektu sentencyi, i stanowiący, że w sentencyi uwolnienie obwinionego wyrzec mającéj, sędzia, powinien wymienić, czy uwolnienie takowe ma być *zupełne* lub tylko *tymczasowe*.

§ 506. Co do różności zdań sędziów i ustanowienia większości głosów, w którém również o dwóch tylko rodzajach uwolnienia: *zupełném* i *tymczasowém* wspomina ordynacya.

§§ 534 i 535 wymotywowania wyroków za opłatą kosztów lub bez téj opłaty, oraz §§ 609 i 617 samych kosztów dotyczące, niemniéj § 515 którego osnowę poniżéj podamy; w tych wszystkich mowa jest tylko, odpowiednio §§ 409 i 413, o dwojakiém uwolnieniu, *zupełném* i *tymczasowém* dla braku dostatecznych dowodów.

Co do odnowienia śledztwa stanowią powyższe kodexa:

austryacki w §§ 471 i 474 C. I:

„że odnowienie śledztwa może mieć miejsce, z powodu nowych dowodów, z tą tylko różnicą, iż przeciw obwinionemu, z którym śledztwo dla braku dowodów przecięte zostało, odnowienie to przedsięwziętém być może wprost, przez sam sąd zbrodniowy; przeciw obwinionemu zaś, który za niewinnego, z mocy § 427 uznany został, jedynie z rozporządzenia sądu przełożonego".

Or. kr. pr. w § 414:

„że zupełne uwolnienie polegające *na doskonałym dowodzie niewinności*, skutkuje zawsze uwolnienie od śledztwa względem tego samego przestępstwa. Lecz skoro się zasadza na niedostatku dowodów, ma miejsce odnowienie śledztwa, ilekroć zachodzi prawny do tego powód."

Co do możności odwołania się, k. kar. austr. w § 462 C. I stanowi: że możność takowa służy przeciw wyrokom na karę skazującym, lub śledztwo dla braku dowodów przerywającym.

§ 517 Or. kr. pr.: że odwołanie się może założyć każdy, co przeciw sobie uciążliwy otrzymał wyrok.

Bliżéj zaś, co pod tém za ogólném nieco wyrażeniem się, *uciążliwy wyrok*, rozumié, tłumaczy ordynacya w § 514, wyraźnie stanowiącym:

„że przy ogłoszeniu wyroku, gdy obwiniony skazany jest na karę lub od niéj tylko tymczasowo uwolniony, sędzia mu wyjaśni, że mu służy możność odwołania się do wyższéj instancyi."

Tak więc, co do wszystkich wyżéj przedstawionych punktów, a mianowicie: sposobu *uwolnienia*, możności *odnowienia* śledztwa przeciw uwolnionym, możności zakładania *odwołania się* od wyroków uwalniających, oba,

Królestwo obowiązujące kodexa postępowania, w głównych swych zarysach, zgodne i między sobą i z ogólnemi wyżéj podanemi zasadami, obejmują przepisy stanowiące, jak się z powyższego przedstawienia okazuje:

że dwa mogą być tylko rodzaje uwolnienia: *zupełne* dla wykrytéj niewinności, lub co w skutkach jednoznaczącém być winno dla braku wszelkich dowodów, i *niezupełne* dla niedostateczności wykrytych dowodów;

że ponowienie z powodu wykrycia nowych dowodów śledztwa przeciwko obwinionemu, który uwolnienie otrzymał, nastąpić może;

że jedynie od wyroków śledztwo przecinających czyli tymczasowe, tylko niezupełne stanowiących uwolnienie, może służyć obwinionym odwołanie się.

Wprawdzie przy samém określeniu ograniczenia, jakiemu ulega możność odnowienia śledztwa przeciw osobom, które poprzednio zupełne dla wykrytéj niewinności, pozyskały uwolnienie; pomiędzy powołanemi wyżéj dwoma prawami postępowania sądowego, pewna dostrzegać się daje różnica, lecz różnica ta nie jest wcale istotną i w gruncie rzeczy przy zastosowaniu znika: jak bowiem kodex austryacki poprzedniczego wyrzeczenia sądu wyższego względem przedsięwzięcia nowego śledztwa, przeciwko obwinionemu zupełnie uwolnionemu, nie w innym celu wymagać może, jak w tym, aby pod rozpoznanie tego sądu oddać, czy dowody niewinności w poprzedniém śledztwie zebrane, nie wyłączają z rodzaju swego, możności wszelkiego przeciwnego dowodu i nie trwają w swéj mocy pomimo wykrycia nowych poszlak; tak również Ord. kr. pr. zastrzegając, że uwolniony *na zasadzie doskonałego dowodu* nie-

winności, od nowego śledztwa względem samego czynu jest wolnym, pociąga zawsze za sobą konieczność poprzedniczego rozpoznania przez sąd właściwy: czy na zasadzie nowo wykrytych dowodów, dowód niewinności poprzednio ustanowiony, nie przestał istnieć, nie przestał być doskonałym; czy więc w tym przypadku, zgodnie z wyżéj przedstawionemi zasadami słuszności, obwiniony, który potrafił uwieść sprawiedliwość, nie powinien być pomimo formy swego uwolnienia, do zasłużonéj odpowiedzialności pociągniętym? (1).

Przy tak jednostajnych, a zarazem jasnych przepisach prawa postępowania sądowego, w praktyce sądowéj Królestwa wyrodził się był zwyczaj (*usus fori*), inne przepisom Or. kr. pr. niż przepisom kodexu austryackiego co do rodzajów uwolnienia przypisujący znaczenie.

W szczególności zaczęły dopuszczać sądy, oprócz dwojakiego *uwolnienia*, niezupełnego i zupełnego, jakie tak podług zasad ogólnych, jako téż i podług wyraźnych i jednozgodnych w tym względzie, wyżéj powołanych przepisów kod. kar. austr. i Or. kr. pr., mogło być stanowioném, trzeci jeszcze rodzaj uwolnienia zupełnego

(1) Ostrzedz winniśmy, że w tym punkcie, a mianowicie co do pojmowania w taki sposób części pierwszéj § 414 Or. kr. pr. zdanie tu objawione jest czysto indywidualném. Mamy światłych przeciwników, którzy opiérając się na literalném brzmieniu tego textu prawa, mniemają: że gdy uwolnienie zupełne nastąpiło z powodu wykrytéj niewinności, w żadnym już razie, a nawet wówczas gdy się okaże, iż dowody niewinności poprzednio ustanowione były fałszywe; dochodzenie zarzutu, w którym obwiniony podobne uwolnienie pozyskał, w duchu Or. pruskiéj ponawianém być nie może. Nie jest nam wiadomo, aby jaki wyrok najwyższéj w Królestwie magistratury sądowéj, obecnie lub poprzednio istniejącéj, kwestyą w tym względzie zachodzącą rozwiązał.

*Przyp. autora.*

*dla braku dowodów*; lecz nie znajdując w Or. kr. pr. wyraźnego w tym względzie w żadnym artykule przepisu, opierać się zaczęły przy stanowieniu w sentencyi tego uwolnienia, już na podzielony na dwa ustępy § 413, już na § 413 w związku z § 414 Or. kr. pr.

Obie formuły wyrokowania, jak nie miały w gruncie słusznéj podstawy, tak też i w ściśle loiczną i na prawie opartą postać przyobleczone być nie mogły.

Rozczłonkowanie krótkiego § 413 Ordynacyi na dwa ustępy było dowolném, bo ten na żadne ustępy (alinéas) podzielony nie jest; owszem z osnowy swéj niepodzielny, w krótkich swych wyrazach jednę tylko myśl, jednę obejmuje zasadę:

że tak w razie wykrytéj niewinności, jak w razie gdy kary godny czyn nie jest obwinionemu dowiedzionym, zupełne jego nastąpić winno uwolnienie.

Wyrażenie się na zasadzie § 413 w związku z § 414, nie mogło też miéć niezbędnéj ścisłości; § 414 obejmuje prawidło ogólne, odnoszące się do całego § 413, a razem i do § 409. Cóż więc z tego dawało się loicznie wywieść, gdy sędzia wyraził się mówiąc:

na zasadzie § 413 w związku z § 414?

Zkąd się ten mylny sądów Królestwa wyrodził zwyczaj, dojść trudno; zdaje się, iż go prosta praktyczna spowodowała dogodność; dość, że nietylko w sądach Królestwa, lecz i w sądach pruskich miał on miejsce, jak się okazuje z reskryptu ministra sprawiedliwości pruskiego, pod dniem 24 kwietnia 1817 roku wydanego, w którym minister trafnie i dobitnie wszystkie powyższe przedstawiając zasady, zwyczaj ten prostuje.

Nie przytaczamy tu tego ważnego w rozbiéranym przedmiocie reskryptu, który *Mannkopf*, w pożyteczném

dziele swém: *Preussische Criminal-Ordnung mit den ergaenzenden, abaendernden und erlaeuternden Verordnungen,* Berlin, 1839, pod § 413 Or. przytoczył, bo już sam autor rozprawy o któréj mowa, osnowę takowego reskryptu, w dokładnym polskim przekładzie, do wiedzy czytelników podał.

Przy piérwszym ważniejszym przedmiotu tego rozbiorze i najwyższa w Królestwie sądownicza magistratura, zdanie sterującéj sądownictwu w Prusach władzy, zupełnie podzieliła.

Dziesiąty departament rządzącego senatu, wyrokiem swym z d. $\frac{27\text{ grudnia}}{8\text{ stycznia}}$ 1848 r., w sprawie o oszustwo wydanym, opiérając się na powyżéj przedstawionych zasadach, a mianowicie uważając, że podług Or. kr. pr., dwojaki tylko rodzaj uwolnienia miejsce mieć może; że prawo to na równi stawia uwolnionego zupełnie, tak dla braku wszelkich dowodów, jako też dla wykrytéj niewinności: ztąd wynika, że i sądy do odróżnienia w sentencyi uwolnienia zupełnego w tych dwóch przypadkach, zarówno z mocy § 413 wynikającego, nie mają żadnego pewnego powodu; uznał, że odróżnienie to w sentencyi, z przytoczeniem w jéj osnowie § 414, lub z dołączeniem w téjże osnowie słów „dla braku dowodów", jest niewłaściwe, a z drugiéj strony, że odwoływanie się od wyroków zupełne uwolnienie obwinionemu przyznających, w żadnym przypadku dopuszczalném nie jest, „bo wyroki te, żadnego dotkliwego skutku dla osądzonych nie przynoszą, ani też nic ubliżającego dobréj ich sławie, w sobie nie zawiérają".

Przeciw pojmowaniu w ten sposób przepisów Or. kr. pr. wystąpiła umieszczona w zeszycie za miesiąc luty r. z. Biblioteki Warsz. rozprawa, mieszcząc w sobie

gorliwą obronę dotychczasowéj w przedmiocie powyższym praktyki, powszechnie niemal, za przykładem najwyższéj krajowéj magistratury, opuszczonéj.

Szanując uczucie, które tę pracę natchnęło, uczucie chwalebne i szlachetne usprawiedliwienia zdania dotąd przez znaczną część sądów, w ciągu długiego lat szeregu przyjętego; niepodobna mi wszakże samo zdanie to podzielić, ani też przyjąć za ważne powody, jakiemi je światły autor rozprawy popiéra.

W ogólności najważniejszym z tych powodów jest osnowa artykułu 23 postanowienia z dnia 26 marca 1842 r., posiłkującemi zaś niejako główny powód takowy, rozmaite wywody rozumowane, jakoto: że reskrypt ministra pruskiego przeciwne twierdzeniom autora uświęcający zdanie, obowiązującéj w Królestwie mocy mieć nie może; że następnym reskryptem ministra jest uchylony; że odróżnienie uwolnienia zupełnego dla wykrytéj niewinności, od takiegoż uwolnienia dla braku wszelkich dowodów, ma w naturze rzeczy zasadę; i że to ostatnie odpowiada uwolnieniu tymczasowemu w tém mianowicie, że jak tymczasowe jest uwolnieniem *dla braku dowodów winy*, tak tamto uwolnieniem *dla braku dowodów niewinności*; że wreszcie pominięcie w sentencyi wzmianki, czy uwolnienie nastąpiło dla braku dowodów, czyli dla wykrytéj niewinności, miałoby ważne praktyczne niedogodności, gdyż przy znacznym natłoku spraw, mogłaby powstać wątpliwość, z jakich zasad uwolnienie zupełne zostało wyrzeczone; że wreszcie odmówienie odwołania się obwinionym zupełnie, lecz nie dla wykrytéj niewinności uwolnionym, byłoby połączone z krzywdą dla tych obwinionych, ze względu szczególniéj na rozporządzenia świéżo wydane, ważne skutki, do

niezupełnego uwolnienia urzędnika, w zarzucie zbrodniowym przywiązujące.

Rozbierzmy tu pokrótce wszystkie te rozumowania.

Art. 23. post. z dnia 26 marca 1842 r. o sposobie zanoszenia skarg na wyroki dotąd w ostatniéj instancyi wydawane, brzmi jak następuje:

„Odwołanie się do Senatu od wyroków sądu Apellacyjnego, równie jak odwołanie się od wyroków sądów niższych instancyj, służyć będzie skazanym, czyto na karę, czyto na ponoszenie kosztów, jak równie i niezupełnie *uniewinnionym*".

Celem tego artykułu, jest jedynie zmienić art. 67 ustawy kassacyjnéj, podług litery którego, rekurs do kassacyi służył tylko obwinionemu, za winnego uznanemu.

Co do użytego zaś w texcie polskim rzeczonego postanowienia wyrażenia się *niezupełnie uniewinnionego*, które zdanie autora, na piérwszy rzut oka zdaje się popiérać; łatwo się przekonać, że przez to wyrażenie prawodawca nie chciał oznaczyć stanowczo i wyłącznie, uwolnienia dla wykrytéj niewinności. Gdyby tak było, gdyby prawodawca miał tu na względzie wyroki stanowczo uznające, że obwiniony niewinność swą niewątpliwie wykazał, nie użyłby zarazem wyrazu *niezupełnie*; z rodzaju swego bowiem ten ostatni, do bezwarunkowego uznania dowodu niewinności stosować się nie da. *Uwolnienie* może być *zupełném* lub *niezupełném*, *uznanie za niewinnego* może tylko *być* albo *nie być*; odróżnienia zaś na *zupełne* lub *niezupełne* nie dopuszcza.

Dlatego i w powołanym wyżéj art. 23 wyraz *niezupełnie uniewinniony*, w znaczeniu niezupełnie *uwolniony*, nie zaś w znaczeniu wcale dopuszczać się nie dającém,

*niezupełnie* za *niewinnego uznany*, pojmować należy. Wyjaśnia to bliżéj text oryginalny rozbiéranego przepisu, który ściślejszy, z pozoru nawet do błędu w jaki popadł autor rozprawy, powodu dać nie może; użyty w nim bowiem wyraz оправданъ bliższy daleko jest wyrazu *uwolniony*, niż wyrażenia za *niewinnego uznany*.

Tegoż wyrazu вполнѣ оправданъ, użyto w rozkazie Najwyższym d. $^{7}/_{19}$ marca 1845 r. objawionym, którym polecono urzędników w zarzucie zbrodni, pociągającéj pozbawienie wszelkich praw, niezupełnie uwolnionych, nie przyjmować napowrót do służby; a znaczenie tego wyrazu bliżéj jeszcze objaśniono, przez wysłowienie się „*niezupełnie uwolnionym, a zatém w podejrzeniu pozostawionym*", jak to z osnowy odezwy ministra sekretarza stanu, rozkaz ten objawiającéj, bliżéj przekonać się można.

Z tego wszystkiego okazuje się, że text tyle razy rzeczonego art. 23 nietylko nie popiéra zdania autora rozprawy co do możności odwołania się od wyroków, zupełne, dla braku wszelkich dowodów, przyznających uwolnienie; lecz owszem zdanie to stanowczo obala, odwołania się, zgodnie z zasadami obudwóch praw postępowania sądowego Królestwo obowiązujących, dozwalając obwinionym, jedynie w razie niezupełnego uwolnienia lub skazania na koszta.

Zobaczmy, czyli inne przez autora rozprawy użyte argumenta, dzielniejszemi się, po gruntownym rozbiorze, okażą.

Aby reskrypt ministra pruskiego, w r. 1817 wydany, miał w Królestwie moc obowiązującą, nikt zapewne tego nie utrzymywał i dopuścić nie mógł; lecz aby nie

miała wielkiéj powagi interpretacya urzędowa prawa, w kraju w którym się urodziło, rozwijało i codziennie kształci, twierdzić również niepodobna: nie *ratione imperii*, lecz *imperio rationis*, powyższy reskrypt ma dla nas wysokie znaczenie, ważność znakomitą. Aby zaś objęte w nim rozumowanie miało być późniejszym reskryptem ministra pruskiego w r. 1831 wydanym odpartém, uznać nie możemy. Jakkolwiek bowiem autor przywiódł ustęp tego ostatniego reskryptu, zdanie jego w rozbiéranym przedmiocie popierać mający; z ogółu wszakże takowego reskryptu okazuje się, że się on do innego wcale stosuje przedmiotu, nie dotyczy bynajmniéj ani rodzajów uwolnienia, ani sposobu ich wysłowienia, ani dopuszczalności odwołania się od jednego z nich, lub obydwóch; lecz zbija tylko mylne mniemanie, jakie się było w niektórych sądach pruskich z § 534 i 535 Or. wyrodziło, że obwinionemu, nie cały wyrok z powodami, lecz sama sentencya jego tylko ma być ogłoszoną. Rozumowania więc w tym ostatnim reskrypcie objętego, w zupełnie różnym i odrębnym przedsięwziętego celu, dowolnie do przedmiotu innego rodzaju odnosić i stosować nie należy.

Że odróżnienie uwolnienia zupełnego dla braku wszelkich dowodów, od uwolnienia dla wykrytéj niewinności, gdyby jak to autor rozprawy dowodzi, i było nawet przez Ordynacyą pruską dopuszczoném, byłoby wszakże słusznéj pozbawione zasady; sam autor temu nie zaprzecza, a lubo stara się właściwą podstawę tego odróżnienia jak najdobitniéj wykazać, i za przyczynę odrębnego jakoby uwolnienia zupełnego nie dla wykrytéj niewinności, brak dowodów tejże niewinności oznacza; sam jednak w rozbiéranéj rozprawie, pomimowol-

nie wyznaje, że temu domniemanemu odróżnieniu, brakowałoby ścisłego i loicznego znaczenia; mówi bowiem:

„zgoła najpewniejszy wniosek interpretacyjny jest ten, że redaktorowie Ordynacyi, utworzywszy w §. 413 sposób zupełnego uwolnienia dla braku dowodu niewinności, sami nie wiedzieli, jakie mu dać znaczenie prawne w zastosowaniu i skutkach".

W rozprawie zaś swéj w m. lutym 1842 r. również przez Bibliotekę Warszawską ogłoszonéj wyrzekł był jeszcze dobitniéj autor:

„Lecz procedura pruska, przechodząc następnie w nieużyteczną subtylizacyą teoretyczną, z dwóch kategoryj: uwolnienia zupełnego i uwolnienia *ab instantia*, jeszcze trzecią, tojest znów uwolnienie *zupełne* dla braku dowodów wyróżnia. Atoli uwolnienie to zupełne dla braku dowodów, samo w *sobie sprzeczne*, w dalszych procedury pruskiéj przepisach wnioskowych pominięte i t. d."

Tak przyznając, że przypuszczane przezeń odróżnienie zupełnego dla braku wszelkich dowodów uwolnienia, od uwolnienia również zupełnego stanowczo niewinność uznającego, jest zasady pozbawioném, w swym sposobie zapatrywania się na przepisy pod tym względem Ordynacyi, autor pominął z uwagi jedno z najważniejszych prawideł, jakie w razie wątpliwości, tłumaczeniu prawa przewodniczyć winny: a mianowicie, aby w podobnym przypadku to przyjmować znaczenie, w jakiém jest najwięcéj uzasadnioném, jakie żadnéj wady nie przedstawia.

*In ambigua voce legis, ea potius accipienda est significatio, quae vitio caret.*

D. L. I, T. III, 1, 19.

Autor z zupełną dobrą wiarą i sumiennością przedmiot swój rozbiérając, sam przywiódł liczne artykuły Or. kr. pr., w których o dopuszczaném przez niego odróżnieniu pomiędzy rodzajami zupełnego uwolnienia, niéma żadnéj wzmianki; z których więc właśnie wnosić należy, że odróżnienie to, podług zasad Ordynacyi, wcale nie istnieje i dopuszczaném być nie powinno. Przepisom tym wszakże wolał autor nieloiczność i niedokładność zarzucić, niż od swego zdania, na mylnym, jakkolwiek zadawnionym sądów zwyczaju opartego, odstąpić.

Tu znowu autor postąpił wbrew innéj zasadzie co do interpretacyi:

„niestosownem jest sądzić o jakiéjbądź części prawa, bez oswojenia się z całym jego ogółem";

„*incivile est, nisi tota lege perspecta, una aliqua particula ejus proposita, judicare vel respondere*".

D. eod. L. et T. I, 24.

Gdy pojęcie nietrafne, myśl zawiła, wysłowieniu jéj zawsze, pomimo największych usiłowań, na ścisłości, na zwięzłości brakować musi. Dowiódł tego autor, gdy dla usprawiedliwienia swego zdania, twierdzić usiłuje, że uwolnienie zupełne, z mocy mniemanego 1go ustępu § 413 Or., odpowiada uwolnieniu z mocy § 409 téjże Ordynacyi, i jak to ostatnie następuje *dla braku dowodów winy*, tak piérwsze dla braku *dowodów niewinności* ma miejsce. Lecz któż nie przyzna, że w tém połączeniu wyrazów: *uwolnienie dla braku dowodów niewinności*, wyraźna mieści się sprzeczność? brak dowodów niewinności nie jest żadnym powodem uwolnienia, bo przy takim braku można być również skazanym jak i uwolnionym.

Ta więc nowa formuła, nie miałaby więcéj ścisłości jak dotychczasowe z mocy 1go ustępu § 413, z mocy § 413 w związku z § 414, bo dla mylnego pojęcia, ścisłéj formuły wynaleźć niepodobna.

Powołuje się w końcu autor na dogodność praktyczną wymagać mającą, aby w saméj sentencyi była uczynioną wzmianka, z jakich właściwie zasad uwolnienie zupełne nastąpiło, dlatego, iżby wiedział następnie pisarz, jak wyrok usprawiedliwiać, a w tym względzie, przy natłoku spraw, pomiędzy członkami sądu, co do zasad wyroku, żadna powstać nie mogła dyskussya.

Dogodności téj nie zaprzeczamy, owszem wyznamy skwapliwie, że w tym punkcie trafnie autor naprowadził na piérwsze źródło mylnéj praktyki, jaka się w sądach ustaliła; lecz nie sądzimy, aby dla tak błahego względu wolno było myśl prawa przeistaczać, ile że żądana dogodność w inny sposób łatwo się da osiągnąć przez uczynienie krótkiéj wzmianki, jużto w protokule audyencyi, już w sentencyonarzu, przed samą formułą sentencyi.

Kończy swoję rozprawę autor rozbiorem kwestyi:

Czy niedopuszczalność odwoływania się przez *prostą decyzyą ekonomiczną* mogłaby być postanowioną?

Autor utrzymuje że nie, i że „wyrok sądowy do wyższéj instancyi zaskarżony, w żadnéj innéj drodze i przez żadną inną formę rozpoznawanym być nie może, tylko za pośrednictwem wyroku w wyższéj instancyi, po odczytaniu relacyi, obrony, jako téż wysłuchaniu wniosków prokuratora, zapadłego, a następnie ogłoszonego."

I w tym względzie zdania szanownego autora podzielić nie możemy. Ilekroć chodzi o rozpoznanie samych rozporządzeń wyroku zaskarżonego, nie ulega wątpliwości, iż rozpoznanie to, jedynie w drodze przez autora

wskazanéj, może nastąpić; lecz gdy idzie o rozstrzygnięcie czyli *in forma*, odwołanie się od wyroku ma miejsce, ocenienie tego tak prostego faktu, za pośrednictwem prostéj decyzyi sądu właściwego, dopełnione być może.

Inaczéj, od każdego obwinionego zależałoby, przez założenie niewłaściwego odwołania się od wyroku, rozpoznanie jego w wyższéj instancyi wywołać, a przez to samo, udaremnić skutek rozporządzeń, które dla stosunkowego podziału pracy między sądy i zapobieżenia przeciążeniu wyższych, niektóre sprawy mniejszéj wagi, ostatecznemu rozpoznaniu piérwszych instancyj pozostawiły. Podług zasady bowiem autora, skoroby skazany za wykroczenie, które ulega ostatecznie rozpoznaniu sądu poprawczego, założył od wyroku tego sądu odwołanie się: sąd kryminalny nie mógłby prostą decyzyą uznać, że w tym przypadku odwołanie się tego rodzaju, na zasadzie wyraźnego prawa miejsca nie ma, lecz słuchać relacyi, obrony, wniosków i formalny w tym względzie wyrok wydać; następnie zaś, że tak samo w razie dalszego odwołania się postąpićby musiał i Sąd App. i Rz. Senat, słowem: aby wszystkie te wysokie magistratury, wbrew wyraźnéj woli prawa, sądzeniem jakiéj nieznaczącéj zająć sprawy, dość byłoby uporu zapamiętałego, lub czyniącego sobie igraszkę z przepisów prawnych, pieniacza.

Bezstronne rzeczy rozważenie przekona każdego, że takiego twierdzenia wcale dopuścić niepodobna. Gdy chodzi o rozpoznanie samego przedmiotu sprawy, wyrok w każdéj instancyi jest niezbędny; gdy przeciwnie potrzeba tylko wyrzec, czy sprawa pod rozpoznanie wzięta być winna, dość prostéj ekonomicznéj decyzyi.

Tak więc i w tym względzie, jako też w głównym przedmiocie rozprawy, zdania autora przyjąć nie możemy, a przytaczane przez niego, na usprawiedliwienie tego zdania, powody, nie trafiają wcale do naszego przekonania.

Trwamy mocno w zdaniu, dziś przez najwyższą władzę sądową uświęconém, i przez większą część sądownictwa jednozgodnie przyjętém: że między uwolnieniem zupełném dla wykrytéj niewinności, a uwolnieniem zupełném dla braku wszelkich dowodów, żadna nie powinna zachodzić ani w wysłowieniu ani w skutkach i ważności różnica, i że żadnego też między niemi odróżnienia Or. kr. pr. nie dopuszcza.

Istniejący odcień we względzie odnowienia śledztwa, raczéj do skutków, wykrycia względnie obwinionego nowych dowodów, niż do skutków samego uwolnienia się stosuje.

Zdanie autora odróżniającego uwolnienie dla wykrytéj niewinności, od uwolnienia zupełnego dla braku wszelkich dowodów, zdaje się napozór być korzystném dla obwinionych, dążyć do rozszerzenia praw służyć im mających, chciéć im ułatwić możność wykazania zupełnéj swéj niewinności. Lecz przeciwnie w skutkach swych, byłoby w wysokim stopniu dla najpospolitszéj kategoryi niewinnie oskarżonych, którzy nie są w stanie niewątpliwie swéj niewinności wykazać, nader uciążliwém i niebezpiecznem. Między niemi a uniewinnionemi ubliżającą piérwszym, a stanowczą przeciągając granicę, zbliżając i niemal łącząc zupełnie uwolnionych dla braku wszelkich dowodów, do tych co jedynie tymczasowe pozyskali uwolnienie, na których prawie uznane ciąży podejrzenie; autor naraża piérwszych na nie-

zasłużone, krzywdzące i bolesne uprzedzenia, osoby niewinne lecz niewinności wykazać nie mogące, w opłakaną wprowadza ostateczność.

Jak dalece w téj mierze byłoby smutném ich położenie, okazuje to sama rozprawa autora, w któréj go obrane mniéj trafne stanowisko, tak dalece uwiodło, że w jedném miejscu podejrzanemi ich ogłasza, mówiąc; iż między uniewinnionym a podejrzanym niéma żadnego przymierza, ani materyalnego, ani formalnego; w drugiém uważa, że uwolnieni zupełnie dla braku wszelkich dowodów „pod zarzutem pozostają"; w trzeciém wreszcie dopuszcza, iż rozporządzenie w r. 1845, co do urzędników wydane, o którém wyżéj wspomnieliśmy, do urzędników nawet zupełnie, lecz dla braku wszelkich dowodów uwolnionych, może się stosować; że zatém ta przezorność prawodawcy, samych tylko, jak się z osnowy tego rozporządzenia okazuje, prawném podejrzeniem uciążonych urzędników na celu mająca, dotknąć winna i tych, co niewinnie zarzutowi ulegli, lecz jak się to nader często zdarza, niewinności swéj oczywiście wykazać nie byli w stanie, a przez to samo, podług znanego axiomatu, zawsze za niewinnych uważani być mają.

Szlachetną dążność do zapewnienia obwinionym największych ile być może w obliczu sprawiedliwości rękojmi, zawsze serdecznie podzielać będziemy; lecz gdy przeciwnie, odstąpienie od istotnéj myśli prawa, od właściwego ducha jego, ubliżać i szkodzić im może, z tém większą usilnością w obronie należycie pojętéj woli ustaw, wystąpić zawsze nie omieszkamy.

# O PIORUNACH.

PODŁUG Fr. ARAGO,

PRZEZ

*Józefa Sapalskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

**Piorun niekiedy topi ziemne ciała.**

Mówiliśmy już kilka słów o bańkach i powłokach szklistych, przez geologów dostrzeżonych na skałach najwznioślejszych gór *Mont-Blanc*, *Pireneów*, *Toluca*. Oto są szczegóły nie ulegające zaprzeczeniu:

W r. 1787 *Saussure* znalazł na szczycie *Mont-Blanc* nazwanym *Dôme du Gouté* massy amfibolowego łupku, pokrytego bańkami szaremi, zeszklonemi, wielkości ziarna konopnego. Bańki te okazały się *Saussurowi* tém więcéj godne uwagi, jako skutki piorunu, że widział jeszcze przedtém podobne na cegiełkach, rażonych tym meteorem (1). Widziano je także na rogowcu, przez który przepuszczono mocny nabój z bateryi elektrycznéj.

(1) „Kamienie piorunowe, mówi cesarz *Kong-hi*, sąto metale, kamienie i krzemienie, które ogień piorunowy gwałtownie zmienił i zjednoczył nierozdzielnie różne ich pierwiastki. Są kamienie na których widocznie można rozróżnić rodzaj zeszklenienia". (*Mém. de Missionaires* T. IV).

*Ramond* który oglądał zjawiska zeszklenia na wielu wierzchołkach *Pireneów*, napisał na żądanie p. *Arago* następujące słowa:

„*Pic du Midi* jest góra bardzo wyniosła i od innych odosobniona; wierzchołek jéj niezbyt obszerny, składa się z bardzo twardego łupku mikowego czyli łyszczyku gruczołkowatego, złożonego z tabliczek dość grubych, mocno z sobą spojonych, i kruszących się tylko na listki równoległoboczne ukośne. Kolor tego kamienia jest szary z blaskiem srébrzystym mikki; piorun działając jedynie na powierzchnią jego, pokrywa powłoką szklniącą, żółtawą z bańkami kulistemi lub wklęsłemi, niekiedy tylko w połowie przezroczystemi. Są wszakże skały, których wiérzch całkiem jest zeszklony w głąb na 1 milim. i pokryty bańkami kulistemi częstokroć wielkiemi jak ziarna grochu, a wnętrze skały zupełnie nietknięte. Kiedy byłem na wierzchołku *Mont-Perdu* przed laty dwudziestu (pisał w r. 1837), dostrzegłem podobne zjawiska. Wierzchołek ten pokryty prawie zupełnie śniegiem, nie okazuje wcale skałę nieprzerwaną, lecz tylko ułamki małego wymiaru porozrzucane w nieładzie. Jestto kamień wapienny, smolny, nieznośnéj woni, zmieszany z miałkim kwarcowym piaskiem. Wiele z tych ułamków mają widoczne oznaki zdziałane przez piorun. Powierzchnia ich pokryta jest bańkami żółtawemi i jak na *Pic du Midi*, stopienie widać powierzchowne. Godném jest uwagi, że gorąco, które było w stanie stopić powierzchnią tych kamieni, nie pozbawiło ich tego zapachu trupiego, zapachu który niszczymy tak łatwo, bądźto przez rozpuszczenie w kwasie siarczanym, bądź przez rozgrzanie w silnym ogniu".

„Nakoniec widziałem temu lat dwanaście powierzchnią skał zeszkloną i pokrytą bańkami, w skutek uderzenia piorunu w skałę *Sanadoire* na górach rozciągających się w departamencie *Puy-de-Dôme.* Skała ta składa się z *klingsteinu* porfirowego (1), który mojém zdaniem jest pochodzenia wulkanicznego. Zeszklenie jego także jest powierzchowne i pokryte bańkami rozrzuconemi po powłoce błyszczącéj".

*Humboldt* i *Bonpland* dosięgnąwszy najwyższego wierzchołka *Toluca*, na zachód miasta Mexyku, znaleźli powierzchnią skały *el Frayle* zeszkloną. Skała ta jest porfirem trachitowym różowym, zawiérającym wielkie kryształy feldspatu z odrobiną amfibolowego łupku. Massy stopione zajmują w kwadrat 18 decymetrów, powłoka ich jest zielonawa, nie ma więcéj grubości jak $^1/_{10}$ milimetra i podobna do aerolitów (kamieni spadających). Widać w wielu miejscach skał powybijane dziury i wewnątrz zeszklone. Miejsce w którém ci sławni naturaliści odkryli massy zeszklone, tworzy rodzaj wieży skalistéj, wznoszącéj się prostopadle powyżéj starożytnego krateru wulkanu zwanego *Toluca*, napełnionego rzeczywiście wodą. Wierzchołek jego wynosi 3 metry szerokości.

*Saussure*, *Ramond*, *Humboldt* i *Bonpland* twierdzą bez powątpiewania, że warstwy zeszklone i bańki na skałach *Alp*, *Pireneów* i *Kordyllierów*, są skutkiem uderzenia piorunu; jednak to twierdzenie nie jest wypadkiem postrzeżeń bezpośrednich; doszli oni do niego drogą domysłu, ponieważ wszelkie inne wnioski nie oka-

(1) *Wincenty Sapalski*, w rozprawie pod tytułem: *„Skały stanowiące pokłady ziemi"* *klingstein* nazywa *dzwienkoskałem* i kładzie w rzędzie skał wulkanicznych.

zały się zaspakajającemi pod względem zjawiska. Przejdźmy zatém do czynów, które nie są dwóznacznemi.

Dnia 3 lipca 1725 r. w *Mixbury* (*Northamptonshire*), na czystém polu, piorun uderzył w stado owiec, zabił z nich pięć i pasterza, blizko którego nóg, spostrzeżono dwie dziury średnicy 12 centym. i głębokości 1 metra. Wielebny *Jos Wasse*, kazał rozkopać starannie ziemię wokoło tych dziur i przekonał się, że były podobne do cylindra, na głębokość $^1/_2$ metra; daléj stawały się one węższe, a nareszcie dzieliły się na dwie odnogi. W jednéj z tych odnóg znaleziono kamień długi około 25 centym., széroki 15, a gruby 10 centym., szczelina wyraźna dzielila go na dwoje, powierzchnia zaś była zeszkloną.

Około roku 1750 piorun uderzył w wieżę *Asinelli* w *Bolonii*, gdzie zrządził niejakie szkody. Przypatrując się *Beccaria* z uwagą cegle, którą szczególnie dosięgnął piorun, dostrzegł, że cienka warstwa tynku, mieszaniny wapna z piaskiem, która przylegała z jednéj strony do cegły, zupełnie była zeszklona i zielonawa na rozległości 8 centym. wzdłuż i 18 milim. wszerz.

W parku *Aylesford*, dnia 3 września 1789 r. piorun uderzył w dąb, pod którym zabił człowieka, chroniącego się od dészczu. Laska którą trzymał nieszczęśliwy w ręku, według wszelkiego podobieństwa, stała się główną drogą piorunu, bo ziemia w tém miejscu, gdzie oparta była owa laska, przedziurawioną została na 13 centym. w głąb, a 67 milim. wszerz. Otwór ten rozpatrywany przez doktora *Withering*, obejmował kilka spalonych korzonków roślinnych. Na tém zapewne byłyby się skończyły poszukiwania, gdyby nie lord *Aylesford*, który postanowił w tém miejscu wystawić pomnik z napi-

sem ostrzegającym przechodniów, ażeby nie szukali w czasie burzy schronienia pod drzewami. Kopiąc rów na fundament znaleźli, że ziemia w kierunku dziury była zupełnie zczerniała na głębokość 27 centym. i 54 milim., pod którą pokład kwarcu przedstawiał ślady widocznego stopienia. Próbki przesłane Towarzystwu królewskiemu w Londynie, z uwagami doktora *Withering*, składały się: 1° z jednego kamienia kwarcowego, którego róg jeden był zupełnie stopiony; 2° z bryły pisku zlepionego bezwątpienia od gorąca, ponieważ nie było w niéj żadnych cząstek wapiennych; przytém znajdowała się na niéj szpara (*hollow part*) zapewne w skutek wyraźnego topienia się, gdyż kwarc zamieniony w ciecz, spływał przez długość wklęsłości i utworzył spód kulisty; 3° kilka sztuk małych, także ze szparami.

### *Rurki piorunowe czyli fulgaryty.*

Sądzę, iż dokładnie już poznaliśmy stopienie i zeszklenie kamieni w skutek chwilowego działania piorunu, a zatém przystąpimy do zadania tak ciekawego, tak uderzającego i sprzecznego: do zadania o *rurkach piorunowych* czyli *fulgarytach*. Rurki piorunowe odkryto już przeszło lat 130, bo w r. 1711 przez pastora *Hermana* z *Mossel* w *Szląsku*, jak dowodzą próbki zachowane w gabinecie mineralogicznym drezdeńskim. Doktorowi zaś *Hentzen* należy się zaszczyt wynalezienia ich na nowo w r. 1805 w okolicy *Paderborn*, pospolicie zwanéj *Senne*, oraz piérwsze udowodnienie pochodzenia takowych. Zebrano późniéj wielką ilość fulgarytów w *Piławie* blizko *Królewca*; w *Nietleben* około *Halli* nad rzeką *Saalą*;

w *Drigg*; w *Cumberland* w okolicach piasczystych położonych u podnoża *Regenstein* przy *Blankenburg* i w *Brazylii* na piaskach *Bahia*.

W *Drigg* rurki piorunowe znaleziono blizko morza na pagórkach piasczystych, sypkich, naniesionych wiatrem, wyniosłych na 13 metrów. W *Senne* najczęściéj odkrywano je na pochyłości pagórków piasczystych, wyniesionych na jakie 10 metr. a niekiedy w dołach, które jak mówią wykopywano w stepach w kształcie niecek zawiérających od 60 do 70 metrów obwodu, a 4 do 5 metrów głębokości. W *Nietleben* wydobył rurkę p. *Kaserstein* w stronie południowo-wschodniéj pagórka piasczystego, mniéj więcéj na pochyłości jego.

Rurki piorunowe wszystkie prawie wewnątrz są zupełnie próżne; średnica rurek kumberlandzkich jest $2\frac{1}{2}$ cala; średnica otworów rurek paderborneńskich przy powierzchni ziemi od $\frac{1}{4}$ do 7 linij, wgłębi zaś wydrążenia te coraz się zwężają i częstokroć są zaostrzone. Grubość ścianek niekiedy dochodzi od $\frac{1}{4}$ linii do 1 cala. Większa część tych rurek znajduje się zagrzebana w piasku prostopadle; niektóre zaś bywają nachylone do poziomu pod kątem $40^0$. Długie są na 20 lub 30 stóp, często rysy poprzeczne dzielą je na sztuki drobniejsze od $\frac{1}{2}$ do 5 cali długie. Piasek na nich przylegający z czasem wysycha i opada, a wtenczas ułamki te znajdują się na powierzchni ziemi i od wiatrów bywają miotane.

Pospolicie znajdują się rurki pojedynczo, lecz niekiedy jedna rurka w głębi ziemi dzieli się na dwie lub trzy odnogi, z których każda miéwa jeszcze gałązki mniejsze, od 1 cala do 1 stopy długie. Odnogi te mają kształt koniczny, końce ich są zaostrzone i stopniowo w dół się nachylają.

Powierzchnia wewnętrzna ścianek, pokryta materyą zupełnie szklistą, jest doskonale gładka, z blasku podobna do opalu szklistego (hyalithe); rznie szkło i krzesze ogień. Zewnętrzna ich powłoka składa się z ziarn kwarcu, mocno spojonych przez stopienie, niekiedy bywa gładka, a najczęściéj chropowata; z kształtu podobna do kory gałęzi wiązu holenderskiego, lub starego pnia brzozowego. Wygięcia zewnętrznéj i wewnętrznéj powierzchni, zupełnie sobie odpowiadają, jak gdyby rurka cała, będąc kiedyś miękka lub płynna, została zgięta jakąś siłą szczególną. Ziarna czarne i białe, stanowiące powierzchnią rurek, przez szkło powiększające postrzegane, zdają się być kształtu kulistego, co dowodzi, że ziarna te topić się poczynały. W niewielkiéj odległości od środka ziarn białych, dają się postrzegać czerwonawe cienie.

Barwa rurek zależy od własności warstw piasku; i tak: w wyższych warstwach mających w sobie cokolwiek ziemi czarnéj, zewnętrzna ich strona jest czarniawa; w niższych warstwach jest żółtawo-szarawa, a jeszcze w niższych biaława; nakoniec w takiéj głębokości ziemi, gdzie się już znajdują warstwy czystego piasku, rurki piorunowe mają barwę zupełnie białą.

Pytanie zachodzi, jaki jest początek rurek piorunowych, czy nie sąto skamieniałości korzeni roślin, lub osad utworzony około korzeni roślinnych, które z czasem znikły? Sąto może stalaktyty lub inne twory z królestwa kopalnego? Może jaki rodzaj odwiecznych robaków morskich miał w nich swoje siedlisko (1)? Nako-

(1) W Polsce między ludem znany jest inny rodzaj tak nazwanych *strzałek piorunowych* czyli *djablich pazurów*, o których powszechna wieść krąży, że są utworem piorunu; nawet Jakób Ka-

niec czy nie powstają one przez uderzenie piorunów? Piérwsze trzy opinie o ich początku nie mogą być przyjęte, bo w prowincyi *Cumberland* piasczyste wzgórki łatwo z jednych miejsc przenoszą się na drugie, co jest oczywistym dowodem, iż rurki w nich znajdujące się, nie mogą być dawnéj formacyi, za najmniejszém bowiem uderzeniem, łatwo się rozsypują. Oprócz tego widoczne ślady topienia się ich, ostatni domysł czynią najpodobniejszym do prawdy.

Ponieważ w rurkach piorunowych są widoczne ślady stopienia, więc nim przyjdziemy do wyłożenia sposobu ich tworzenia się, będziemy śledzić najprzód: jakie działanie wywiéra wysoki stopień ciepła na piasek, w któ-

zimiérz *Hauer* w dziele pod tytułem: *Skład albo skarbiec znakomitych sekretów ekonomicznych*, wydaném w r. 1693 w Krakowie, zamieszcza je w rozdziale: *O sposobach uchronienia się od piorunu*. „.....Sam piorun kto go znajdzie, mówi autor, gdyż pewnych czasów wychodzi z ziemi na wierzch, jest formy podłużnéj, farby żółtawéj albo szarej, na wszelkie rany jest dobry, czyści, suszy i goi uskrobawszy go *tylcem* noża i tym zasypywać proszkiem a potém przywinąć". Ale podania te ludowe i autora Sekretów ekonomicznych, są zupełnie mylne, bo podług badań naturalistów a szczególnie paleontologów, sąto *belemnity*, szczątki organiczne mięczaków zaginionych, znanych tylko w stanie zkamieniałym, znajdują się one w pokładach osadowych, często na polach w bliskości łomów kamienia wapiennego, oraz w *liasie* i kredzie. Naturaliści dzielą je na *belemnites mucronatus*, *belemnites sulcatus* i *belemnites pistiliformis*. Piérwsze i drugie mają kształt strzały, trzecie zaś, tojest *pistiliformis* w rzeczy saméj podobne są do nogi zakończonéj racicą. (*Mineralogia* i *Geologia przez Beudant, przełożona i pomnożona przez H. Łabęckiego*. T. II. str. 227 i 218). Gabryel *Rzączyński* w dziele swém *Historia Naturalis curiosa Regni Poloniae* p. 20, wydaném w roku 1721 w Sandomierzu, stanowczo odróżnia *belemnity*, jako rodzaj muszli od *ceraunia* albo *ceranius* tojest kamienia piorunowego. „Dlatego, powiada on, nazwano go kamieniem piorunowym, bo według *Pliniusza*, *Izydora* i wielu innych, znajdowano go, gdzie piorun uderzył; nawet utrzymywać inaczéj, byłoby niedorzecznością".

rym te rurki znajdowano? Piasek *kumberlandzki* składa się z ziarn kwarcu białego i czerwonego, pomieszanych z ziarnami porfiru. Te ostatnie bardzo łatwo topią się, lecz ich w piasku tak jest mało, iż zaledwie topić się mogą w massie znaczniejszéj. Piasek zaś wystawiony na działanie ciepła natężonego przez dmuchawkę, najprzód czerwienieje, potém bieleje i traci blask, nakoniec topi się cokolwiek, a wtedy z koloru i mocy stopienia swych części, podobny jest do powierzchni zewnętrznéj rurek piorunowych. Tenże piasek ogrzewany za pomocą lampy płomieniem spirytusu, na który dmie się gaz kwasorodny, podług zasady doktora *Marcet*, zamienia się na emalią podobną do téj, jaką jest pokryta wewnętrzna powierzchnia tych rurek. Często stopienie piasku było niedostateczne; lubo za użyciem téj lampy, topią się druty platynowe. Podobne doświadczenia czynione z piaskiem *paderborneńskim* (z Senne), dały ten sam wypadek.

Powiedzieliśmy wyżéj, że w niewielkiéj odległości od środka ścian rurek piorunowych, znajduje się błonka czerwonawa; kolor ten niknie, a cała rurka staje się białą, będąc włożona do kwasu solnego; w płynie zaś odkryto ślady żelaza. Zwyczajny piasek paderborneński wystawiony w tyglu platynowym na węgle mocno rozpalone, przybiéra kolor czerwony, lecz nieco żywszy od farby błonki rurek; gdy zaś rozpali się tygiel, wtedy podobieństwo jest zupełne. Piasek włożony do kwasu solnego, wkrótce traci swój kolor i wybiela się podobnie jak powłoka rurek; w płynie okazują się znaki żelaza, a w osadzie z niego ślady wapna.

Na czémże teraz zbywa, ażeby zupełnie być przekonanym, że fulgaryty tworzą się w skutek uderzenia pio-

runu? Zbywa na jednéj rzeczy: tojest, na odkryciu rurki bodajby jednéj w okolicach piasczystych, w chwili kiedy spostrzeżono spadający piorun. Spodziewam się, że wypadki następujące dostarczą nam i tego dowodu.

Pan *Fiedler* w Rocznikach fizycznych (*Annalen der Physik*, tom 55 i 61) opisując bardzo szczególne okoliczności w rurkach piorunowych (*Blitz rohre*) wymienia dwa fenomena i dowodzi, że elektryczność je tworzy. Szkoda, że on sam nie miał sposobności dowiedzieć się o nich od osób, które je widziały. Aptekarz ze wsi *Friderichsdorf* na miejscu gdzie dwóch ludzi było rażonych piorunem, znalazł w ziemi dwie rurki, zupełnie podobne do rurek piorunowych znajdowanych w *Senne*. Na granicy *Holandyi* w okolicy piasczystéj, pastérz ujrzał uderzający piorun w pagórek; po zbliżeniu się, znalazł w tym samym punkcie gdzie światło zajaśniało, piasek stopiony i odlany w kształcie rurki.

Nakoniec oto jest fakt, który rozwiązuje wszelkie trudności. Dnia 17 lipca 1823 r. piorun uderzył w brzozę przy wiosce *Rauschen* (prowincya Sommland wzdłuż morza Baltyckiego) i zapalił krzak jałowcu. Kiedy mieszkańcy przybiegli na miejsce wypadku, spostrzegli w pobliżu drzewa, dwie dziury wązkie i głębokie. Jedna z nich pomimo deszczu, zdawała się wydawać wyższe ciepło. Professor *Hagen* z *Królewca*, kazał kopać starannie około tych dziur; piérwsza z któréj wychodziło gorąco nic nie przedstawiała szczególnego, w drugiéj znaleziono rurkę, którą przez nieostrożne dobywanie połamano; powłoka jéj wewnętrzna była zeszklona i błyszcząca, koloru szaro-perłowego, przesiana czarnemi kropkami. „Po takim dowodzie, zawołał *Hagen*, natura schwytaną została na gorącym uczynku." Teraz więc

nikt nie może powątpiewać, ażeby piorun nie miał własności torować sobie drogę wśród piasku, topić go i nakoniec utworzyć z niego rurkę wydrążoną i zeszkloną długą na 20 do 30 stóp.

„Nie wiém czy się nie mylę, powiada p. *Arago*, lecz zdaje mi się, że wypadek wskazany przez *Boyle*, jest jeszcze więcéj nadzwyczajny, jak wszelkie zjawiska topienia się i zeszklenia, o których tyle mówią uczeni. „Dwie wielkie szklanki, mówi *Boyle*, stały obok siebie na stole; kiedy piorun wpadł do pokoju, zdawał się brać kierunek na szklanki, które jednak nie stłukły się. Na jednéj wszakże widziałem w kształcie małą zmianę, druga zaś tak mocno zgięła się, iż ledwie mogła utrzymać się na swéj podstawie."

### *Ustęp o aerolitach.*

Teorya o rurkach piorunowych i zeszkleniu powierzchni skał w skutek uderzenia piorunu, naprowadza na myśl, że aerolity czyli kamienie meteoryczne, przedmiot tylu sprzecznych wniosków i twierdzeń, mogą być także utworem ognia piorunowego. Domysł ten nie jest nowością, lecz mało jeszcze znajduje zwolenników, szczególnie od epoki, jak dwóch najznakomitszych współczesnych badaczów natury, panowie *Arago* i *Humboldt*, uznali aerolity za drobne *asteroidy* czyli planety w miniaturze, które przebiegają orbitę naokoło słońca według praw powszechnego ciążenia: niekiedy jako oddzielne, to znów połączone w nieobjętéj liczbie, stanowią rodzaj pierścienia. Planetki te, kiedy w niezmiernie szybkim swym biegu, zetkną się z ostatnią warstwą naszéj atmo-

sfery, wtenczas zapalają się i przedstawiają świecące pasy, które podczas nocy widnych jedne po drugich przecinają błękit nieba, lub tworzą dészcz spadających gwiazd. Te to właśnie asteroidy, daléj twierdzą, kiedy zanadto zanurzą się w atmosferę ziemską, zamieniają się w aerolity, nakoniec zwolnione w swym biegu siłą oporu powietrza, spadają na ziemię.

Może zaśmiało przeczę wnioskowi, który pod tarczą dwóch sławnych imion, zdobył dla siebie prawo obywatelstwa w krainie nauk przyrodzonych; lecz z drugiéj strony brak téj odwagi, pozostawia częstokroć bez rozwiązania najciekawsze, najużyteczniejsze dla nauki pytania. Czyż człowiek, z natury swéj tak daleki od doskonałości, lękałby się omylić?.... Z zetknięcia się krzemienia ze stalą, zjawia się iskra; ze sprzeczności zdań, powstaje światło. Pozostawiam uczonym sprawdzić i ocenić moje wnioski, lecz z sumiennością zwolennika nauk, nie mogę pokryć milczeniem powątpiewanie które mi nastręcza rozkład aerolitów, uskuteczniony przez znakomitego chemika Berzeliusza. Skład chemiczny tych ciał jest następujący; metaliczne: żelazo, cyna, nikiel, kobalt, manganez, chrom, miedź, arszenik; ziemne: sól roślinna czyli soda, siarka, fosfor, węgiel i potaż (1).

Pytam się teraz, zkąd się wzięły pierwiastki roślinne w ciałach utworzonych za obrębem wszelkiéj roślinności? Obecność ich w chemicznym składzie aerolitów, już jest dostatecznym dowodem, że one nie mogą pochodzić ze sfer gdzie natura zespoliła atomy planet, nie zaś pierwiastki roślinności, które są tylko następstwem późniejszych zjawisk objawiających się po utworzeniu tych pla-

(1) Biblioteka Warszawska r. 1847. Tom II, str. 489.

net; są jeszcze mówię, wypadkiem działalności składowych ich części jużto spojonych, jużto ulegających pewnym prawom, pewnemu wyłącznemu porządkowi, który tylko powstaje, jak powiedziałem, po zupełném utworzeniu się planety.

Dlaczego przypuszczać, że odwieczny porządek natury może być chociaż chwilowo zwichniony, że ciała podobne do asteroidów, mogą zbłądzić z przeznaczonéj im drogi? Czyliż takie zboczenie nie będzie naruszeniem ogólnéj, powszechnéj harmonii, nie będzie naruszeniem względnéj równowagi całego systemu słonecznego?... Ścisły związek krążących ciał w przestrzeni absolutnéj, jest nieuniknionym, potrzebnym; musi więc być tak dokładnym, iż najmniejsza zmiana cząstkowa, pociągnie za sobą zmianę ogólną, powszechną. Czyliż niełatwiéj przypuścić, że siła porywająca z powierzchni kuli ziemskiéj i unosząca w powietrze piasek zmieszany z rozmaitemi ciałami królestwa kopalnego, z cząstkami roślinnemi i zarodami ciał organicznych, uniosła przytém i składowe części aerolitów? czyliż nie można ztąd wnosić, że tajemnicze, niedościgłe (a może i życiodawcze) działanie materyi piorunowéj, skupiło atomy te w całość nierozdzielną? Tém bardziéj wniosek ten staje się prawdopodobnym, gdyż spadaniu kamieni meteorycznych zwykle towarzyszy łoskot gromu, dym siarczany, światło podobne do błyskawic i burze: słowem, wszystkie zjawiska odbywające się w chwili działania materyi piorunowéj.

Jak kruszec w pierwotnym stanie, rzucam ten domysł w tygiel badań, sprawdzeń i doświadczeń. Wyjdzie może z niego szlachetny metal, który uczeni ocenią i nadadzą mu większą wartość, przez światłe swoje uwagi i poszukiwania. Może, co także nie przeczę, moje wnioski są tyl-

ko czczém urojeniem łatwowiernéj wyobraźni, płodem niedoświadczonéj chęci zbadania rzeczy. Jakkolwiekbądź, skréśliłem myśli te pod wpływem wielu wypadków utrzymujących moje zdanie.

### Piorun skraca druty metaliczne.

Jest podobném do prawdy, że to szczególne skrócenie dzieje się wówczas, kiedy piorun nie ma tyle mocy, ażeby stopić drut metaliczny po którym przebiega. W takim rodzaju mamy tylko jeden wypadek dokładnie opisany i udzielony przez p. *Nairne* sławnego artystę angielskiego, za co nauka wielce mu jest obowiązaną.

Dnia 18 czerwca 1782 r. piorun uderzył w dom p. *Parker* w *Stoke Newington*. Po różnych śladach jakie piorun po sobie zostawił, przekonano się, że przebiegł naprzód rynnę przytwierdzoną zewnątrz domu dla spływu wody deszczowéj, potém dostał się do pokoju sypialnego, gdzie przebiegł po drucie metalowym, za pomocą którego można było dzwonić nie wstając z łóżka. Położenie jakie zajmowało nietknięte kółko przy drucie, po wypadku pokazało, że drut skrócił się na kilka cali, chociaż piorun nie przebiegł po nim więcéj nad 15 stóp. Skrócenie podobne dowodzi, co każdy łatwo pojmie, że druty metalowe, których końce są uczepione do punktów stałych albo prawie stałych, są częstokroć rozrywane uderzeniem piorunu.

### Piorun niekiedy przebija w przedmiotach dziury.

W roku 1778 w jesieni, piorun uderzył w dom inżyniera *Caselli* w *Alexandryi*; wprawdzie żadnego spu-

stoszenia nie zrządził, ale w szybach okien porobił dziury na dwie linie średnicy. Około dziurek popękało szkło w gwiazdki bardzo małe, lecz żadna z szyb nie pękła. Brzegi 9 dziurek były bardzo wydatne w kierunku górnego końca chorągiewki; brzegi drugich 9 były także wydatne, lecz w stronę przeciwną.

W sierpniu 1777 r. piorun uderzył w dzwon kościoła parafialnego *St. Sépulcre* w *Crémone*, zerwał krzyż żelazny, i zrzucił chorągiewkę która była przedziurawiona w 18 miejscach. Wszelkie oznaki naprowadzały na domysł mieszkańcow *Crémone*, że chorągiewka tylu uderzona była piorunami, ile znajdowało się dziur. Jeżeli dla wytłumaczenia mnogości dziur, chciano koniecznie odwołać się do powtarzanych uderzeń, należało przypuścić je stosownie do kierunków odwrotnych tych dziur. Ale tak nie jest; zupełnie mylilibyśmy się przypuszczając, że piorun tyle razy uderzył ile dziurek było. Najwłaściwiéj utrzymywać podług zeznania fizyków, że 18 dziur w chorągiewce *Crémone*, były skutkiem jednego tylko piorunu.

Dnia 3 lipca 1821 r. w *Genewie*, piorun uderzył w dom położony blizko kościoła *St-Gervais*. Redaktorowie *Bibliothèque universelle*, przeglądając szczegółowo przedmioty dotknięte piorunem, spostrzegli mnóstwo dziur ze śladami topienia się, mianowicie na dachu blaszanym. Między przedmiotami tego rodzaju najgodniejszém jest uwagi, że na jednym ułamku blachy znajdowało się dwie dziury prawie okrągłe, średnicy 3 centym. i odległe od siebie na 13 centym. Około dziur widoczne były kréski, w kierunku do otworów porobionych siłą uderzenia piorunu.

P. *Laduranti* przesłał akademii paryzkiéj szczegóły wypadków wynikłych z uderzenia piorunu d. 10 sier-

pnia r. 1842 w dzwonnicę kościelną w mieście *St.-Laurent d'Urce* w Szwajcaryi. Wówczas kiedy zgromadziło się od 300 do 400 osób na uroczystość do kościoła, piorun uderzył w dzwonnicę, a następnie wpadł do wnętrza kościoła i napełnił go siarczanym dymem, pokaleczył około 30 osób, a większą liczbę obalił. W szalu jednéj kobiéty zrobił ośm dziur w kształcie krzyża, bez żadnego śladu przepalenia i zmiany kolorów; na ciele zaś właścicielki szalu, zrobił z góry do dołu smugę podobną do oparzeliżny; podobnież jednemu mężczyznie, który miał na sobie dwa kaftany wełniane, jeden pod koszulą, a drugi na wierzchu koszuli, podziurawił oba i piersi poparzył, nie tknąwszy wcale koszuli. Ci zaś, którzy mieli u trzewików ćwieczki lub podkówki, piorun poodrywał je razem z podeszwami od przyszew, bez najmniejszego zranienia nóg. (*L'Institut* z r. 1842, nr. 357).

**Przenoszenie przedmiotów przez piorun.**

Siła piorunu godna zastanowienia, przenosi niekiedy ciężary z jednego miejsca na drugie i to w dość odległe. Wymienimy tu kilka podobnych przykładów:

W nocy z dnia 14 na 15 kwietnia 1718 r. z kościoła w *Gouesnon* około *Brestu*, piorun jakby minami wysadził dach i mur, a kamienie z muru rzucił w różne strony na 51 metrów od kościoła.

Piorun, który niegdyś uderzył w zamek *Clermont* w *Beauvoisis*, zrobił otwór w murze szeroki na 65, a głęboki 60 centym. Ułamki muru rozrzucił w różne strony odległe od zamku więcéj jak na 16 metrów.

W nocy z d. 21 na 22 czerwca 1723 r., w lesie *Nemours*, we Francyi, piorun zdruzgotał drzewo, z któ-

rego jeden ułamek zawiérał długości 5 m. a drugi 7. Piérwszy, którego cztérech ludzi nie mogło podnieść, piorun rzucił od pnia na 15, a drugi w stronę przeciwną na 5 metrów.

W styczniu 1762 r., piorun uderzył w dzwonnicę w *Breâg* w *Cornouailles*, i wieża południowo-wschodnia została zdruzgotaną na sto części. Kamienie z niéj, jeden ważący półtora centnara, rzucony został na dach kościoła w kierunku południowym, odległym na 55 metrów (sixty yards); drugi znaleziono w stronie północnéj, rzucony od dzwonnicy na 364 metrów (400 yards); trzeci nakoniec w stronie południowo-wschodniéj.

W *Funzie* w *Fetlar* (Szkocya), w połowie XVIII wieku, skała z łupku łyszczykowego, długości 105 stóp angielskich, szérokości 10 i w kilku miejscach grubości 4, wyrwaną została w jednéj chwili piorunem i rozbita na trzy części, nie licząc w to drobnych ułamków: piérwsza z nich długości 26 stóp, szérokości 10 i grubości 4 pozostała na miejscu tylko przewrócona; druga długości 28 stóp, szérokości 7, a 5 grubości, rzucona od miejsca skały na 50 yards (45 metrów); ostatnia zaś część około 40 stóp długa, była wrzucona w tym samym kierunku do morza. (*Wyciąg Hibberta z rękopismu R. George Low, cytowany przez Lyell w Tom. I Principes de Géologie*).

Dnia 6 sierpnia 1809 r. w *Swinton* około 5 mil od *Manchester*, piorun w części domu *Chadwicka* zrządził zastanawiające skutki siły mechanicznéj, którą opiszemy, nie zajmując się wcale jéj wyjaśnieniem. Mały budynek z cysterną, wymurowany na skład węgla i przytykający do domu mieszkalnego, miał mur gruby na 3 stopy angiel-

skie; fundamenta jego wznosiły się nad ziemią stóp 11, które około pół stopy wchodziły w ziemię. O godzinie 2 po południu, po przeciągłém powtarzaniu się grzmotu odległego, który zdawał się zbliżać, dało się słyszéć niezmierne uderzenie gromu połączonego z potokami dészczu, poczém w kilka minut wyziew siarczany otoczył dom. W skutek tego, mur zewnętrzny małego budynku na węgle z cysterną, został przez piorun wyrwany ze swych fundamentów, podniesiony pionowo w jednéj massie i przeniesiony z miejsca gdzie stał na 9 stóp. Mur ten nie licząc wapna i piasku, składał się z 7,000 cegieł. W chwili wypadku, w składzie był jeden ton węgli, a w cysternie pewna ilość wody. (*Mém. de Manchester* T. II, serya 2).

### Wpływ piorunu na magnetyzm.

Kiedy piorun przebiega blizko igły magnesowéj, psuje w niéj magnetyzm, albo niszczy zupełnie lub przeistacza bieguny. W tych samych zdarzeniach może wpływać na magnetyzmowanie mniéj więcéj silne sztuk żelaznych lub stalowych, które przedtém nie okazywały żadnego śladu siły magnetycznéj. To są bez wątpienia własności piorunu najciekawsze, i dlatego powiemy naprzód, w jaki sposób je odkryto. Dodamy także, czy przemiana biegunów w igłach magnesowych jest zjawiskiem nadzwyczajném? Cel ten podwójny osiągniemy z przytoczeń tu zebranych.

Około roku 1675, dwa statki angielskie, płynęły z *Londynu* do *Barbady*; na wysokości *Bermudes*, na jednym z tych okrętów, piorun zdruzgotał maszt i podarł w kawałki żagle. Kapitan nietkniętego okrętu spo-

strzegłszy, że rażony piorunem okręt, zmienia kierunek i zdaje się jakby wracał do Anglii, zapytał o przyczynę tak nagle zmienionego postanowienia, i dowiedział się z zadziwieniem, że towarzysz jego mniemał, iż zawsze trzyma się początkowéj drogi. Po pilném przejrzeniu bussol, okazało się, że igła magnesowa na *róży wiatrów* która wskazuje powszechnie północ, oznaczała teraz południe; tak dalece, że bieguny zostały zupełnie przemienione. Stan taki igły nie zmienił się w całéj podróży.

W miesiącu lipcu 1681 r., okręt *Albemarl* znajdujący się podówczas o mil sto od przylądka *Cod*, został uderzony od piorunu, przez co wynikły znaczne szkody w masztach i żaglach. Kiedy noc nadeszła, przekonano się z położenia gwiazd, że z trzech bussol znajdujących się na okręcie, dwie wskazywały południe, zamiast północy, trzecia zaś skierowaną była na zachód. (*Wypadek ten opisany jest przez p. Boyle*).

Okręt *Dover*, kiedy znajdował się w dniu 9 stycznia 1748 r. pod 47° 30′ szérokości północnéj, a 22° 15′ długości na zachód względem południka *Greenwich*, piorun uszkodził maszt, pokład, pokoje i inne części, a bieguny igieł w cztérech bussolach znajdujących się na statku, z północnych przemienił na południowe.

Piorun zniszczył magnetyzm w cztérech bussolach znajdujących się na brygu *Meduza* w czasie podróży z *Guayra* do *Liverpool*. Ze cztérech tych bussol, dwie znajdowały się na pokładzie, a dwie w kajucie kapitana. (*Silliman T. XII* r. 1827).

„Przemiana biegunów igieł magnesowych, mówi p. *Arago*, w skutek uderzenia piorunu, częściéj się zdarza, aniżeli fizycy sądzą, albowiem w krótkim przeciągu czasu, bo od r. 1808 do 1809, byłem prawie sam świad-

kiem dwóch podobnych wypadków. Piérwszy miał miejsce na korwecie wojennéj francuzkiéj *Baleine*, którą widziałem wchodzącą uszkodzoną do przystani *Palma* w *Majorka*, drugi na statku *genewskim*, który się rozbił przy brzegach *algierskich*".

Podobnych wypadków, jak naprzykład na okręcie *Albemarl*, gdzie bussola po uderzeniu piorunu zaczęła wskazywać zachód, dzienniki żeglarskie przytaczają dwa, tojest: z północnego na północno-zachodni i południowo-zachodni; czyli innemi słowy, piorun nietylko miał jedyną własność przemienić na kąt prosty bieguny północne na południowe, ale i odwrotnie; wszelkie bowiem położenia miały miejsce między 0 a 180°.

Niesłusznie wypadek taki uważano za niepodobny. Igły magnesowe w bussolach są powszechnie w kształcie ukośnego równoległoboku; bieguny zaś ich chociaż zajmują dwa końce wielkiéj linii przekątnéj, jednak za pomocą stosownego namagnesowania, sztucznym lub naturalnym magnesem tychże igieł, można bieguny te sprowadzić na końce małéj linii przekątnéj; wówczas mała przekątnia, odpowiadać będzie południkowi, wielka zaś wskaże wschód i zachód. Takie same skutki sprawia niekiedy piorun, tojest: może przemienić bieguny, przenosząc je z kątów ostrych na kąty rozwarte równoległoboku igły, lub na każdy inny punkt pośredni między dwoma końcami. Przez zmianę położenia igły do któréj są zastosowane w bussoli główne strony świata, taż igła wskazywać będzie inne punkta. Nic więc dziwnego, że podług zmian kierują się igły w stronę północno-zachodnią lub północno-wschodnią, albo na zachód lub wschód.

Dziś robią igły magnesowe używane do bussol żeglarskich, ze stali zbitéj w jednę pewną wielkość. Niegdyś

podobne igły składały się z dwóch drutów stalowych cokolwiek zgiętych na środku. Przez zbliżenie ich do siebie, tworzył się obwód rozwartego kąta, przez co igła stanowiła rozwarty kąt wycięty, a nie rozwarty kąt całkowity jak w dzisiejszych igłach magnesowych. Jeden drut tworzył dwa boki prawe, drugi dwa boki lewe. W dwóch końcach wielkiéj przekątniéj i w dwóch końcach rozwartego kąta, było między dwoma drutami proste zetknięcie się, jak proste obok położenie. W podobnym układzie zachodzi najzawilszy podział magnetyzmu, czyli tworzenie się biegunów porządkowych, a następnie wszystkich śmieszności, które niesłusznie policzono na karb łatwowiernych marynarzy.

Przebieżmy teraz wypadki, w których piorun magnetyzuje ciała, lub zmienia w nich siłę magnetyczną.

W czerwcu 1731 roku, kupiec w *Wakefield* postawił w kącie swego pokoju skrzynię, w któréj znajdowały się noże, widelce i wiele innych przedmiotów żelaznych i stalowych, które miał wysłać do osad zamorskich. Piorun wyraźnie uderzył w ten kąt, gdzie skrzynia stała, rozbił ją i rozproszył wszystko co tylko w sobie zawierała. Widelce, noże i tym podobne przedmioty, czyto okazywały znaki topienia się, czyto zupełnie nietknięte, były silnie namagnesowane.

W chwili, kiedy uderzył piorun w statek *Dover* w styczniu 1748 r., kapitan *Waddel* przekonał się, że wielka ilość przedmiotów stalowych i różne żelastwa złożone obok kajuty, zostały silnie namagnesowane.

Pan *Arago* czytał w jednem z pism, że piorun, który wpadł do sklepu szewca, namagnesował do tego stopnia wszystkie narzędzia, iż biédny rzemieślnik nie mógł ich więcéj używać. Ciągle musiał zajmować się uprzątа-

niem młotka, obcęgów, noża, gwoździ, igieł i szydeł, które na warsztacie chwytały się jedne drugich.

Kiedy pakebot *New-York*, po wytrzymaniu podwójnego uderzenia piorunu, przybył do *Liverpool* w maju 1827 r., bussole zupełną czułość na magnetyzm straciły, a chronometra wszystkie zrujnowały się. *Scoresby* przekonał się, że żelaztwo które znajdowało się na okręcie i które stanowiło część okrętu, jakoto: kłódki, koła różnéj wielkości, sprzęty żelazne i narzędzia stalowe, stały się magnetycznemi w wysokim stopniu, a nawet nabyły biegunów lepszych, aniżeli przez wpływ magnetyzmu ziemskiego (1).

Zmiana biegunów magnetycznych w bussolach żeglarskich przez uderzenie piorunu, wywołała ważne następstwa. Wspomnieliśmy już, że po nastąpioném uderzeniu piorunu, żeglarze uwiedzeni fałszywém wskazaniem swych narzędzi, nieraz rzuceni byli na skały podwodne, od których zdawało się im, że oddalają się z całą szybkością. Namagnesowanie chwilowe wielkiéj ilości mass żelaznych rozrzuconych po całym okręcie, może utworzyć środki silnych przyciągań. Pomimo uszkodzeń w bussolach, wynikają jeszcze zboczenia miejscowe tak szkodliwe, że na Północném morzu żeglarz nie ma środ-

(1) W trakcie tego meteorycznego wypadku, człowiek w podeszłym wieku, bardzo otyły, spał w kajucie na łóżku. Używał on ruchu tak mało, iż od trzech lat nie zrobił i pół mili drogi, a w podróży morskiéj nie pokazywał się nawet na pokład okrętu. Ale po uderzeniu piorunu w okręt, wyskoczył z łóżka, wybiegł na pokład i przebiegł z jednego końca na drugi, z wielką wesołością i lekkością w obłąkaniu momentalném. Na szczęście, chwilowe to pomieszanie jego władz umysłowych, doznało wpływu dobroczynnego i trwałego, bo nietylko w czasie żeglugi biegał lekko i rzéźwo po okręcie, ale i po wylądowaniu długą podróż odbywał z łatwością.

ka przekonać się o położeniu okrętu, a nadewszystko zrobić pewnego pod tym względem wyrachowania. Dwa te rodzaje zburzenia zwykłego stanu igły, nie są jeszcze jedynemi, przeciw którym żeglarz zmuszony jest zabezpieczyć się.

Kiedy piorun namagnetyzuje różne stalowe części, które wchodzą w skład chronometru, a szczególnie wahadła, natenczas szybko łączy się z piérwszą inna siła, siła magnetyzmu ziemskiego, która poprzednio regulowała poruszenia tych nieoszacowanych, lecz niezmiernie delikatnych narzędzi. Siła ta, bywa niekiedy powodem przyspieszającym ruch, lub przeciwnie szkodliwém opóźnieniem. Ztąd więc po pewnéj liczbie dni żeglugi, w oznaczeniu długości geograficznéj, wykrywają błędy bardzo niebezpieczne. Naprzykład, chronometr pakebotu *New-York* po przybyciu do *Liverpool*, spieszył nad stan normalny o 33′ 58″. Niebezpieczeństwo jakie piorun może sprowadzić dla żeglarzy przez zmianę biegu chronometrów, a tém samém i zniszczenie regularnego ich ruchu, dopiéro dostrzeżoném zostało od lat kilkunastu.

### Kierunek piorunu zależy od własności ciał ziemskich.

Kierunek piorunu tak cudownie gwałtownego w swoim pędzie, zależy od własności położenia ciał ziemskich, blizko których uderza piorun. Następujące doniesienie p. *Latour-Landry* złożone p. *Nollet* w lipcu r. 1764, mieści w sobie podobny fakt wynikły z uderzenia piorunu w kościoł w *Antrasme* blizko *Laval* we Francyi.

Dnia 29 czerwca 1763 r. wśród gwałtownéj burzy piorun uderzył w dzwon kościelny w *Antrasme*, następnie

dostał się do kościoła, gdzie miejscami stopił i poczernił ozdoby ram i framug, na wpół stopił cynowe kubki stojące na małéj szafce, nakoniec w kredensie pomalowanym i wmurowanym w ścianę, przebił dwie dziury głębokie i okrągłe jakby prześwidrowane. Wszystkie te uszkodzenia naprawiono: do pierwotnego stanu przywrócono ozdoby, zabito dziury i malowanie odnowiono w tém miejscu, gdzie zostało zniszczone. Ale d. 20 czerwca r. 1764 powtórnie uderzył piorun w ten sam dzwon, ztamtąd wpadł do kościoła i poczernił te ozdoby, które były w r. 1763 poczernione, innych ozdób wcale nie dotykał; stopił te przedmioty które były wprzódy stopione zupełnie w tém samém miejscu, i dwa kubki cynowe zczernił i przepalił jak przeszłego roku. Nakoniec dwie owe dziury zabite i zamalowane, znaleziono wydrążone.

Ci, którzy zechcą dochodzić i zastanawiać się nad miliardami kombinacyj, mogących wpływać na rozmaitość dróg przebieżonych przez piorun w r. 1763 i 1764, nie zachwieją się, wyobrażam sobie, przyznać, że zadziwiająca tożsamość czynu dwóch tych uderzeń meteoru, dowodzi stanowczo, jak piorun w pędzie swym gwałtownym, ulega wpływowi ciał ziemskich, około których przebiega (1).

(1) Redakcya Biblioteki Warszawskiéj uprasza obywateli, którzyby mieli urządzone u siebie konduktory zabezpieczające pola od gradów i burz, ażeby raczyli udzielić szczegółowy ich opis, pod powyższym adresem. *P. R.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

# KRZYŻ NA STEPIE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

*I. Korzeniowskiego.*

---

Pięć mil od Humania leży wieś Daszówka, w cudnéj, podolskiéj dolinie, i na otaczających ją wzgórzach, uwieńczona sadami, ozdobiona zwierciadłem niewielkiego, ale czystego, jak jezioro, stawu, i oblana naokoło morzem pszenicy, chwiejącéj się w bogatych falach na bujnych i nieprzejrzanych okiem łanach. Na końcu téj ogromnéj wsi, jest wysoka, murowana brama pięknego rysunku, mająca na obu słupach, ozdobionych rzeźbą, herbowe tarcze. Wszakże brama ta, jedyny wyskok arystokratyczny dawnego właściciela, nie prowadzi do pałacu, ale do ogromnego dworu drewnianego, z łamanym dachem, z wielkim gankiem, z kilku kominami, które zdaleka już bieleją na ciemném tle lip olbrzymich, zasadzonych oddawna za domem i zdobiących staroświecki jego ogród. Po obu stronach domu wznoszą się wielkie oficyny i formują dwa boki kwadratu, którym jest zamknięty dziedziniec. Otóż na wielkim ganku tego domu, jest zawsze

ktoś gotów do przyjęcia; z kominów oficyn bucha ciągle dym zwiastujący obfitość, brama herbowa zawsze otwarta, dziedziniec zaś nieustrojony w niedotykalne klomby, nieusypany żwirem, na którym niéma śladu nogi ludzkiéj; ale ujeżdżony przez liczne kola, pokrzyżowany wydeptanemi ścieszkami i ożywiony to wesołym śpiewem, to głośnym rozkazem, to rozmową swobodną sług domowych i obcych. Bo dom ten nie jestto nowomodny pałacyk, ustrojony przez próżność i naśladowanie obczyzny, a zamknięty przez pychę i skąpstwo; ale staroświecki dwór z otwartą bramą, sercem i spiżarnią, gdzie o każdéj porze można było zajechać, gdzie każdego przyjęto uśmiechem i chlebem, gdzie pamiętano o sługach przyjezdnych i gdzie koni gościnnych nie odsyłano do karczmy. Był tam czasem staroświecki hałas i nieład, ale była zawsze i staroświecka serdeczność: skarb nieoceniony, niknący wraz z tylu innemi, które zaciérają się i giną nazawsze.

Dnia 16 czerwca 1816 r. powóz za powozem sunął się przez Daszówkę; rozlegały się co chwila klaskania z bicza, dziedziniec się zapełniał i ożywiał, a ze wszystkich kominów prawéj oficyny podniosły się słupy dymu, zwiastujące obfitą ucztę. Byłto dzień śtéj Justyny, dzień urodzin i imienin właścicielki téj włości, poważnéj matrony, kobiéty już niemłodéj, ale bogatéj w rozum, dobroć i dostatki. Cała okolica ją kochała, a liczni krewni zdaleka i zblizka zbiegali się uczcić ten dzień dla wszystkich drogi. Pani Adamowa, wdowa już od lat kilkunastu po człowieku gościnnym, pełnym cnót obywatelskich i nieustraszonéj odwagi, nie zmieniła bynajmniéj trybu, jaki on w domu swoim zaprowadził. Ta sama została gościnność, taż uprzejmość dla wszystkich, toż serdeczne utraktowa-

nie każdego gościa. Mniéj tylko wychodziło wina, któréw nieboszczyk pod koniec życia trochę zanadto szafować zaczął, i więcéj znalazło się porządku i ścisłości w rachunkach wydatkowych. Te dwie rzeczy powiększyły znacznie dochód p. Adamowéj i pozwoliły jéj, do dawnéj szczodroty w przyjęciu, przydać jeszcze szczodrotę tajemną, użyteczniejszą, o któréj w okolicy z wdzięcznością szeptali, i która cześć dla niéj w dwójnasób powiększyła.

O godzinie czwartéj, przez wielką salę wchodową przeciągały już od stołu, liczne pary gości rozmaitego wieku i stanu. Na końcu szła gospodyni. Prowadził ją pod rękę mężczyzna około lat czterdziestu mający, wysoki, wyprostowany, w ubraniu czarném, pełném elegancyi, skromności i gustu. Twarz jego piękna i szlachetnych rysów była cokolwiek ogorzała, w oczach czarnych, zapadłych, przysłoniętych długiemi rzęsami, oraz na czole białém i szerokiém, malował się jakiś wyraz melancholii i zamyślenia. Piękne włosy czarne, zsunione z czoła, nizko ostrzyżone z tyłu, gęsto zbiérały się na lewéj skroni. Ciemne wąsy, niewielkie ale kształtne, ozdabiały wierzchnią wargę przymkniętą i nieuśmiechającą się. Przy téj oprawie skroni, przy tych wąsach, czarnéj i zapiętéj pod szyję sukni, przy połysku ciemnych i zapadłych oczu tém mocniéj odbijał jednostajny koloryt jego twarzy i czoło jaśniało niezwyczajnym blaskiem. Z całéj postawy jego giętkiéj i silnéj widać było, że to był żołnierz, którego ciało ukrzepiły przygody i trudy; z czoła zaś i wejrzenia łatwo było wyczytać, że przez serce to przeszły burze życia, których fala już ustąpiła, zostawiwszy tylko za sobą smutek, powagę i zamyślenie.

Już czoło téj wesołéj, nasyconéj i różnobarwnéj kolumny było w salonie wielkim i trochę z staroświecka przybranym; gospodyni ze swoim przewodnikiem znajdowała się już na środku wchodowéj sali, gdy się dał słyszeć powtórzony kilka razy grzmot bicza i hurkot powozu przed gankiem.

— Ktoś jeszcze przyjechał — rzekła p. Adamowa, i obracając się do idącego za nią z serwetą w ręku kamerdynera, dodała: — Franciszku, żeby się mieli czém posilić. Zapewne zdaleka, kiedy się spóźnili, nie musieli jeść obiadu. — Potém podnosząc głowę ku swemu towarzyszowi, rzekła z uśmiechem: — Przepraszam cię pułkowniku, że przy tobie gospodaruję; racz wejść, ja się zatrzymam. Chciałabym moich nowych gości powitać.

Zaledwie to wymówiła, gdy się prędko otwarły drzwi i weszły dwie kobiéty: jedna młoda i piękna, druga już w latach, ale z twarzą uprzejmą i uśmiechającą się.

— Józia! krzyknęła p. Adamowa i z żywością nad wiek pobiegła prawie ku drzwiom i młodszą z dwóch pań przybyłych ściskać zaczęła. Ta z równemi znakami przywiązania witała gospodynią domu, całowała jéj twarz i ręce, i potém odgarniając z czoła ręką białą i przezroczystą piękne włosy blond, rzekła:

— O! jakżem kontenta, moja droga stryjenciu, że cię widzę! Już myślałam, że nie dożyję tego szczęścia.

— Biédna moja Józiu! jeszcześ mocno blada i chwiejesz się prawie na nogach. Pewnie cię podróż zfatygowała! Pójdź, przebierz się, odpocznij.

— To są olbrzymie siły, moja stryjenciu, w porównaniu z tém co było! — odpowiedziała młoda kobiéta z uśmiechem pełnym wdzięku i słodyczy. — Niech ciocia

powié, jak wyglądałam téj zimy. Ona taka dobra! na krok mię nie odstępowała.

Gdy pani Adamowa witała się ze starszą z przybyłych pań, młoda kobiéta obejrzawszy się po sali, utkwiła na chwilę wzrok w pułkownika, którego jéj wejście zatrzymało, który stanął z boku jak wryty i oczu z niéj nie spuszczał. Przypatrzmy się i my téj interesującéj istocie, którą, czy przypadek, czy przeznaczenie sprowadziło właśnie tego dnia, kiedy ów człowiek, co się rzadko gdzie pokazywał, znajdował się w tym domu, i znajdował się właśnie w téj chwili, w któréj się mógł przypatrzéć jéj cudnéj twarzy, gdy ją radość powitania ożywiła, gdy w jéj głos i oczy wstąpiło serce.

Józefa Kaliniecka, prawie od urodzenia sierota, wychowała się w domu p. Adamowéj. Zacna ta dama kochała ją jak własne dziécię, a stryi zarządzał sumiennie i gospodarnie pięknym majątkiem, który rodzice, zawcześnie zmarli, w posagu jedynaczce swojéj zostawili. Wychowana i wypielęgnowana przez stryjenkę, wyrosła szczęśliwie na pannę dziwnéj piękności, wykształconego rozumu i serca pełnego tkliwości i dobroci. Zdrowie tylko nie odpowiadało tym powabom ciała i duszy. Wysoka i giętka jak trzcina, kształtna i urobiona jak najcudowniejszy posąg, kiedy niekiedy tylko jaśniała delikatnym, różowym rumieńcem, który twarzy jéj, zwykle bladéj, nadawał nieporównaną piękność. Ale byłyto chwile tak rzadkie, że je dobra stryjenka zliczyła; bo wtenczas tylko ustępowała z jéj serca nieustanna trwoga o życie ulubionéj wychowanicy. Przecież w dwudziestym roku poszła Józefa za mąż. — Pan Kaliniecki byłto człowiek już niemłody, ale zacny, wielkiego majątku, pełen dobroci, najdelikatniejszego przywiązania

dla téj istoty wątłéj, dla tego kwiatu, który co chwila zdawał się chwiać na swojéj łodydze. Szanowała go Józefa, miała dla niego cześć i przywiązanie, ale serce jéj milczało i nie poznało miłości prawdziwéj, tak rzadkiéj na ziemi, dlatego właśnie, że przypomina przedgrzeszną chwilę raju, który już nie jest dla ludzi. Po kilku latach została wdową bezdzietną, żałującą serdecznie niekochanego, ale szanowanego męża, który jéj całą swą fortunę zostawił. Uszanowanie to posunęła do tego stopnia, że chociaż żałoba się skończyła, nie zdejmowała czarnéj sukni, i równie przez pamięć dla zmarłego, jak przez wzgląd na swoje zdrowie, dała sobie słowo i postanowiła święcie nie iść za mąż. Kilku już zdarzało się kunkurentów zwabionych jéj pięknością i wielkim majątkiem; odmówiła wszystkim, dając im do zrozumienia, że w takim stanie zdrowia powinna raczéj myśléć o śmierci, niż o nowych związkach.

Od czasu zgonu męża, bawiła przy niéj ciotka. Niewielką wieś za Łuckiem oddała ona dzieciom, sama zaś poświęciła się tkliwym staraniom i czuwaniu nad delikatną, co chwila zapadającą Kaliniecką i już domu jéj nie opuszczała wcale. Ostatniéj jesieni i w zimie, młoda kobiéta cierpiała więcéj daleko niż dawniéj. Jakiś nieprzezwyciężony smutek ją napadał i trwał często tydzień, czasem i parę tygodni, tak, że do nikogo słowa nie chciała przemówić. W rozdrażnieniu nerwowém płakała często bez najmniejszéj przyczyny, a lada wzruszenie, lada przestrach wprawiały ją w mdłości, które często po półgodziny i więcéj trwały. Stan ten przerażał dobrą ciotkę. Obawiała się aby się nie zamienił w chroniczny, aby nie przeszedł w zupełną katalepsyą i wszelkich używała starań, aby cios ten okrutny odwrócić od istoty tak godnéj

szczęścia i życia, a pozbawionéj piérwszego, tracącéj widocznie drugie. Z powrotem wiosny przyszła cokolwiek do siebie, wzmocniła się jako tako przy staraniu najlepszych okolicznych lekarzy, z których rady jechała teraz do Odessy dla kąpieli morskich, mających stanowczo wpłynąć na poprawę jéj zdrowia i umocnienie chwiejących się sił żywotnych.

Taką była kobiéta, któréj nie doktorowie i nie bałwany morza Czarnego miały przywrócić zdrowie i szczęście.

W półtory godziny potém cała kompania zebrana była w salonie wielkim, wygodnym i chłodnym. Drzwi ogromne otwarte były na ogród, zacieniony starożytnemi lipami, uszykowanemi w poważne grupy, lub ciągnącemi się w cieniste aleje. Przy samych drzwiach był parter, ubrany w drzewa pomarańczowe i cytrynowe, upstrzony mnóstwem kwiatów wydobytych z niewoli oranżeryi i nagradzających rozlicznemi barwami i rozkoszną wonią za chwilę swobody, za trochę słońca i powietrza.

Stół na środku pokoju zastawiony był mnóstwem owoców, najpowabniejszych i najsmaczniejszych w téj porze. Tam ciągnęły oko już kończące się i doborne poziomki, ogromne truskawki, żółte i czerwone jak krew maliny; tam na pięknych półmiskach stały melony zielone i żółte, gładkie i siatkowane; tam w porcelanowych rądelkach, była różowa, podolska śmietanka; kupami stał cukier tłuczony; w kształtnych kryształach woda i soki rozmaite, a na środku stołu w srébrnéj wanience chłodziło się w lodzie kilka butelek, które wkrótce za zdrowie solenizantki wystrzelić miały.

Damy siedziały wokoło, zajęte rozmową lub między sobą, lub z mężczyznami, którzy się do nich zbliżali.

Piérwszych twarz była poważna lub nieukontentowana; drugich i ułożenie było powabniejsze i oczy i usta inaczéj się uśmiéchały, i głos miał słodsze i melodyjniejsze brzmienie. Kilka par bliżéj siebie interesujących, przechodziło się po parterze, przyglądało się kwiatom lub listkom, rozmawiając ciszéj zapewnie nie o kwiatach, myśląc nie o liściach, które w delikatnych paluszkach mięły.

W jednym kącie sali stało kilku mężczyzn różnego wieku, głośniéj między sobą rozmawiających, a niedaleko od nich, pułkownik sam jeden, oparty o szafkę i z oczami ku drzwiom wytężonemi. Młody jakiś mężczyzna, pękaty, nizko ostrzyżony, na wysokich obcasach i z zadartą głową i noskiem, rzekł do innych:

— Gdyby nie ta na środku stołu baterya, słowo honoru poszedłbym już dawno do Hippolita, który sobie swobodnie się rozebrał i leżąc na materacu fajkę pali. A tytuń ma wyborny! przed tygodniem odebrał świéży transport z Odessy.

— Na kogóż czekamy? — zapytał drugi.

— Zapewne na Kaliniecką—rzekł inny—która właśnie przyjechała gdyśmy szli od stołu i teraz musi się stroić, żeby zakasować wszystkie. Słyszałem że piękna.

— To nietrudno — odezwał się ów krótki elegant na wysokich obcasach. — Bo téż zbiór! panie odpuść!

— Czy już ci się i Podolanki nie podobają? — rzekł inny.

— Jaką widziałem Włoszkę przeszłego lata w Odessie!—odpowiedział młodzieniec—słowo honoru, jeszcze się żadna Polka nie urodziła, coby ją warta była choćby zasznurować!

— Zawsze dla nas obce i lepsze i ładniejsze — odezwał się jakiś poważniejszy mężczyzna.

— A taż Kaliniecka, czy doprawdy tak piękna jak słyszałem? — zapytał inny.

— Tak sobie — odpowiedział młody człowiek, podnosząc wyżéj nosek i poprawiając czuba.—Idzie za mąż.

— Doprawdy? Słyszałem przecież że chorowita, delikatna, mdlejąca, i zrobiła *wotum* nie iść wcale za mąż — odezwał się piérwszy.

— To téż właśnie idzie za doktora, który ją magnetyzował. Widziałem na własne oczy, słowo honoru, jak za kilku pociągnieniami ręki jego, nibyto zasypiała. Wtenczas wyciągała do niego dłonie, brała jego rękę i przyciskała do serca; słowo honoru.

— I za tego doktora idzie?—zapytał inny.

— Za tego samego, słowo honoru; podobno nawet przekrzta — dodał młodzieniec, bijąc zlekka hołupca obcasami.

— Zazdroszczę mu do stu djabłów — odpowiedział piérwszy. — Choć to ma być wątłe i mdlejące stworzenie, chociaż Kaliniecka Wola na Polesiu, ale ma ośm folwarków; rzecz nie do odrzucenia. Bestye Eskulapy! wszystkie dziedziczki nam wybiorą.

— Jeżeli chcesz, zarekomenduję cię jak przyjdzie, może go odsadzisz, bo to pani bardzo romansowa, słowo honoru.

— Więc znasz ją tak dobrze?

— Doskonale; przeszłego lata bywałem u niéj prawie codzień, jakem siedział u stryja na Polesiu.

— Wszakże przeszłego lata byłeś w Odessie?

— Tojest, pod koniec lata i całą jesień, po powrocie z Odessy—rzekł poprawiając się.

— Jakże ona wygląda? proszę cię — zapytał tenże gładząc wąsy i nastrzępiając zdobywczo.ich końce.

— Mała, brunetka, dosyć niezgrabna, pomięte rysy; ale oczki czarne, bystre i dużo obiecujące, słowo honoru.

Gdy to mówił młodzieniec, drzwi się otwarły i weszła wysoka i wysmukła blondynka, z twarzą bladą, ale ożywioną słodkim uśmiéchem i rozumném wejrzeniem cudnych błękitnych oczu, ocienionych ciemnemi rzęsami. Na jasném czole rozdzielone włosy blond, ślicznego koloru, zebrane były naprędce w parę dużych loków, bujny warkocz zapięty zgrabnym grzebieniem. Czarny szlafroczek z kołnierzykiem ozdobionym delikatną koronką, zapinał ją pod szyję i wydawał doskonale cudną jéj kibić. W jednéj ręce trzymała chusteczkę delikatną, a w prawéj bukiecik z drobnych różyczek, którym się zgrabnie bawiła. Z pod obcisłych rękawów szlafroczka, wychodziła széroka koronka, i okrążając delikatną rączkę, jeszcze ją bielszą i przezroczystszą wydawała. W całém jéj ułożeniu była skromność, powaga; była ta łatwość i swoboda, którą daje natura uprzywilejowanym istotom, która się wyrabia z serca i z duszy, a któréj żadna edukacya nauczyć nie zdoła.

Wstrząsnął się pułkownik w całéj swéj istocie, a cała kompania zwróciła na nią oczy. Rozmaity wyraz twarzy kobiét i mężczyzn okazywał wrażenia, jakie na nich sprawiła. Na jednych odmalowała się radość, jaką zawsze daje widok nadzwyczajnéj piękności, inne się zachmurzyły, dotknięte upokarzającém porównaniem.

— Cóżto za prześliczna kobiéta? — zapytał ów młody człowiek, który gładził wąsy i miał być rekomendowanym.

— To jest właśnie pani Kaliniecka, o któréj ten pan dopiéro co mówił — rzekł poważnie pułkownik i spojrzawszy surowo na zmieszanego młodzieńca, odszedł na stronę.

— A mówiłeś, żeś ją znał doskonale — rzekło kilku śmiejąc się.

— Bardzo się zmieniła, słowo honoru — odpowiedział krzepiąc się improwizator, i okręciwszy się na obcasie, poszedł w inną stronę sali. Pośmieli się trochę towarzysze; ale że u nas jest rzeczą bardzo pospolitą upewniać na słowo honoru o tém, czego się nigdy w oczy nie widziało, nie unikali łgarza, który się bardzo dobrze bawił, i do pułkownika się tylko nie zbliżał.

Kilka uprzejmych powitań ze znajomemi, kilka niezbędnych rekomendacyj poprzedziło wzięcie się do wonnego i tak zachęcającego traktamentu. Gdy koléj wiwatowa obeszła, co się prędko skończyło, bo p. Adamowa w tém tylko jedném nie była bardzo szczodra, cała kompania rozmaicie się ugrupowała i jak komu było lepiéj, jedni zostali w salonie i bawili się rozmową, inni przechadzali się po ogrodzie, a mężczyzni pospieszyli do łajeczek, za któremi zatęsknili, i które wówczas nie należały jeszcze, jak dziś sygara, do wetów salonowych.

Na kanapce pod najbliższą od domu lipą, siedziała p. Kaliniecka z kilku damami i często podnosiła wzrok ku drzwiom salonu. W tych drzwiach stał pułkownik i rozmawiał z poważnym sąsiadem gospodyni, siedmdziesiątkilkoletnim podkomorzym Glinieckim. Ale często się zdarzało, że żywy staruszek musiał dwa razy powtarzać to co mówił, i czasem na zapytanie swoje niestosowną odbiérał odpowiedź. Rozmowa jednak szła jakkolwiek, gdyż pułkownik przez uszanowanie dla zna-

nego w powiecie i poważanego obywatela, pokonywał swoje roztargnienie i utrzymywać ją starał się. Od polityki więc i gubernatora, zsunęli się nieznacznie do urodzajów i podatków, ztamtąd przeszli do tego, jak dawniéj było, a ztąd do przemian w czasach, okolicznościach i ludziach. Od ogólnych uwag w téj mierze, krok już tylko był do osób obecnych, i podkomorzy ze staroświecką rubasznością pogładziwszy biały wąs, rzekł:

— Za mojéj młodości mospanie, byliśmy nawet grzeczniejsi. Patrzno aspan pułkowniku, mężczyzni po większéj części pochowali się po kątach dla swobodniejszéj gawędy, dla zrzucenia z siebie fraka, dla wykurzenia fajki, bez któréj obejść się nie mogą, a tyle tu ładnych kobiét nudzi się, cedząc przez zęby jedna do drugiéj oklepane nowiny. Dawniéj mospanie, gdyby się pokazała taka gwiazda jak moja Józia, nikomuby do głowy i Węgrzyn nie przyszedł, nie dopiéroż Turek. Wszyscyby ją otoczyli, o tém tylko myśląc, aby ją rozweselić i zabawić, to komplementem, to dykteryjką jaką. A dziś nikt na nią nie patrzy, choć spodziéwam się, że żadna nie jest godniejszą widzenia i afektu.

Czuł pułkownik, jak wiele prawdy mieściło się w tych ostatnich słowach staruszka, zastanowiło go to wszelako, dlaczego ją swoją Józią nazywał. Chociaż więc bardzo dobrze wiedział o kim była mowa, rzekł jednak:

— Którąż tu z tych pań p. podkomorzy swoją Józią nazywa?

— Tę mospanie, odpowiedział stary, która tu najpiękniejsza; a jeżeli się aspan p. pułkowniku nie domyślasz, to tę, która tu często ku nam pogląda, dlatego właśnie, że ja tu stoję, i teraz, patrz aspan, uśmiécha się jak anioł.

Jakoż w rzeczy saméj p. Kaliniecka postrzegła z ruchów i wyrazu twarzy starca, że o niéj mowił, spojrzawszy więc mile, kiwnęła ku niemu główką i słodko się uśmiechnęła.

Pułkownik przymrużył oczy, przycisnął je ręką, jakby chciał obraz tego uśmiechu w myśl swoję wcisnąć; a po chwili rzekł do starca:

— Teraz widzę i dawniéj domyślałem się o kim p podkomorzy mowił; ale dlaczego pan dobrodziéj nazywasz tę panią swoją Józią?

— Dlatego, mospanie, że ją kocham jak swoję, bom ją na ręku nosił, bo mię nieraz za wąsy ciągnęła i swoim nazywała mężem i zawsze była śliczna i dobra jak aniołek. Sąsiadując z tym domem, bywałem tu zawsze często, i częściéj jeszcze za nieboszczyka Adama, niż teraz; bo to się, mospanie przy buteleczce lepiéj gwarzyło o polityce; co dziś z p. Adamową, bardzo naturalnie, na sucho się odbywa. Otóż mogę powiedzieć że ona pod mojém okiem rosła i nieraz w głębi serca zadrżałem, gdy czasem raptem w oczach naszych, mospanie, pobladła i pogięła się jak lilia. Wszystko jéj bowiem p. Bóg dał, oprócz zdrowia.

Teraz pułkownik z natężeniem słuchał co staruszek mówił, i gdy umilkł, rzekł:

— Zarzut, któryś p. podkomorzy naszym młodym ludziom zrobił, znajduję sprawiedliwym; i chociaż nie mogę się do nich policzyć...

— A wieleż aspan, masz lat, p. pułkowniku?

— Blizko cztérdziestu, p. podkomorzy.

— O! to jeszcze aspanu daleko do mnie; ja mospanie mam dwie siekiérki w moich latkach, a dzięki Bogu

jeszcze się trzymam, i jeszcze widzę mospanie, co ładne a co szpetne i ludzkiego oka niewarte.

— Otóż żebyśmy zawstydzili młodszych, którzy się na tém nie znają, pójdźmy do tych pań, i bądź łaskaw p. podkomorzy zarekomenduj mnie téj, która z nich wszystkich najgodniejsza widzenia i poznania.

— Z ochotą, p. pułkowniku; miło mi będzie zarekomendować najgodniejszego człowieka najpiękniejszéj kobiécie. Ale jeżeli się złapiesz, mospanie, to nie moja będzie wina.

I poszli, starzec naprzód, posuwisto i przysiadając, jakby mu w kieszeniach kuntusza komplement ciężył, a pułkownik z wewnętrznem drżeniem, z biciem serca, jakby się zbliżał do jakiéjś stanowczéj w życiu chwili.

Instynktem kobiécym odgadła p. Kaliniecka chęć i myśl obudwu. Zaambarasowała się, lekki rumieniec okrył na chwile jéj lice i tém cudowniejszém je zrobił; przytykając więc do ust swój bukiecik, jakby się zasłonić chciała, odwróciła się do swojéj sąsiadki i jakąś żywą zaczęła z nią rozmowę, aby na przybliżających się nie patrzéć.

Gdy stanęli przed damami, podkomorzy widząc, że się ku niemu nie zwraca i ciągle rozmawia, rzekł:

— A, moje szanowne panie, takeście się raptem zagadały, że aż musimy dopomnieć się o grzeczne słowo i ładny uśmiéch.

Obejrzała się prędko p. Kaliniecka, wejrzenie jéj przelotne i mimowolne padło na pułkownika, potém zastanowiło się śmieléj na starém licu podkomorzego. Podając mu z uśmiechem rękę rzekła: — „Drogi p. podkomorzy! jeszcze się widzimy na tym świecie. Już nie myślałam o tém".

— No, no, dajno pokój tym smutnym myślom — rzekł stary wzruszony. — Wcale nieźle teraz wyglądasz; doprawdy, coś nakształt rumieńca widzę na twojéj zawsze ślicznéj twarzyczce.

W rzeczy saméj rumieniec silniéj wystąpił w téj chwili na jéj lice, spuściła oczy, a starzec dodał: — Otóż macie, zawstydziła się, mospanie, żem ją pochwalił. No, przepraszam cię mój aniołku. Podnieśno ku nam oczy i spojrzyj na tego oto pana, któregom ci chciał zarekomendować.

Przyzwoitość kazała podnieść oczy. Podniosła je i spojrzała nieśmiało na pułkownika, który się skłonił. Podkomorzy dodał:

— Pan pułkownik Korzycki, obywatel z Pobereża. Nie powiém ci, że bogaty, bo to niewielka sztuka; ale człowiek zacny i rozumny, żołniérz śmiały i determinowany; trochę dziwak, mospanie, mój aniołku! odludek, stroni od nas, pokazuje się tylko kiedy niekiedy jak jaki kometa, ale...

— Panie podkomorzy! przerwał pułkownik, dziękuję ci, żeś i wady we mnie znalazł, inaczéj musiałbym się i ja rumienić.

— Znałam oddawna p. pułkownika z imienia, rzekła p. Kaliniecka. Winszuję sobie, że mi przypadek zdarzył...

— To prawda, że przypadek — przerwał podkomorzy z wielką pociechą zakłopotanéj kobiéty, która nie wiedziała jak swego frazesu dotoczyć. — Gdyby był wczoraj tędy nie przejeżdżał, ręczę asanią, mój aniołku, że ani śta Justyna, ani wszyscy święci razem skonfederowani nie ściągnęliby go w te strony. Bóg wié gdzie się chowa i gdzie przesiaduje.

— P. pułkownik zapewne wojażuje?—rzekła p. Kaliniecka.

— Jeździłem dużo z woli i niewoli, odpowiedział — teraz siedzę na miejscu i rozmyślam o tém com widział.

— I to go mospanie, zrobiło odludkiem. A przecież taki zacny człowiek powinien kochać ludzi i żyć z niemi. Coś w tém jest innego, mospanie. I gdyby dobrze w sercu asana, p. pułkowniku pogrzebać, kto wié, czyby się tam jaka para ładnych oczu nie znalazła.

Spojrzała p. Kaliniecka ukradkiem i postrzegła oczy jego spuszczone ku ziemi i jakiś bolesny uśmiéch na ustach. Szczęściem nadeszła p. Adamowa i téj piérwszéj, trudnéj i ambarasującéj rozmowie, inny, żywszy dała kierunek. Z pół godziny siedzieli pod tą lipą. Pułkownik się ożywił; p. Kaliniecka śmieléj na niego poglądała, to słuchając gdy mówił, to mówiąc sama. Głos jéj stawał się silniejszym i nabiérał tego srébrnego dźwięku, jakim brzmi zawsze, gdy sercu robi się dobrze, kiedy do duszy wstępuje jakieś przeczucie lepszéj przyszłości, kiedy się przed nią odkrywa horyzont daleki, jeszcze niewyraźny, ale czarujący samém oddaleniem i jednostajnym błękitem, który zakrywa brudy ziemi i zlewa ją i jednoczy z niebem.

Dziwną jest, rozkoszną, ale razem niezmiernie poważną każda chwila, w któréj myśl nasza niespodzianie wychodzi ze zwyczajnéj kolei i zupełnie innego nabiéra kierunku. Między wielu innemi taką jest szczególniéj chwila rodzącéj się silnéj skłonności. Zmienia ona całą osnowę wewnętrznego życia, łamie wszystkie nawyknienia, wprowadza w świat inny, daleko piękniejszy, daleko rozmaitszy, w którym przecież wszystko zlewa się w jednę formę, odbija jedyny obraz, oświetla się jedném tylko

światłem, wypływającém z téj twarzy, z téj duszy, która bez wiedzy i woli nowy ten stworzyła urok. W młodzieńczych latach rodzi ona uniesienie, rodzi niezwykłą radość: bo ozuchwala duszę niedoświadczoną i usypuje jéj drogę iskrami dwudziestoletnych nadziei, które młoda imaginacya bierze za gwiazdy nieśmiertelne, mające wiecznie jaśnieć na niebie przyszłości. W późniejszym wieku szczęście jakie daje cichsze jest, ale głębsze, bo bardziéj skoncentrowane w teraźniejszy moment, bo się nie rozsypuje na dni przyszłe, bo dusza już dojrzała, która już przeszła przez zawody i odłudzenia, wié dobrze, że ten blask, który ją czaruje, może zamierzchnąć, że ta rozkosz, która ją oblewa, może równie nagle ostygnąć i skrzepnąć w obojętność. Ztąd powaga i zamyślenie, ztąd przy radości smutek, przy uniesieniu trwoga, która jego popędy hamuje i budzi żal za utraconym pokojem.

W takim właśnie stanie był pułkownik. Po pół godzinnéj rozmowie, gdy się przekonał, że wszystko w téj kobiécie harmonizuje z jego sposobem widzenia; że jéj twarz, jéj postać, jéj układ, jéj każde poruszenie; że jéj głos i uśmiéch, że jéj mowa, jéj myśli i ich wyrażenia, słowem wszystko przylega do jego oka, do jego ucha, do jego rozumu, i jak dźwięki ojczystego języka jasno, łatwo i zrozumiale wciska się do serca; szczęśliwy nad wyraz, przeląkł się oraz téj dziwnéj sympatyi, tego nagłego pociągu, i zastanawiając się nad swoim stanem, usunął się w głąb alei i tam samotny długo się przechadzał. Byłato chwila, w któréj doświadczenie życia i postanowienia rozumu, staczały uporczywą walkę z oczarowaniem oczu i serca. Wprawdzie wspomnienie dawniéj

doznanych zawodów i goryczy, brało nieraz górę, wprawdzie chciał już obejść nieznacznie ogród, przemknąć się furtką na dziedziniec i wyjechać; wszakże gdy wieczór nadszedł, gdy się już znaczna część gości rozjechała, on jeszcze był w alei i coraz częściéj, coraz bliżéj podchodził ku parterowi, gdzie pozostała kompania, zebrała się w uszczuploném gronie. Z trudnością bowiem i bólem serdecznym, cięższym niż ból ciała, kiedy się nerw rozrywa, rozrywają się te nitki delikatne, niewidome, które zaczynają związywać z sobą dwa życia, i tajemniczo ściągają je ku sobie.

Wieczór był cudny. Po dniu gorącym, nastąpiła noc czerwcowa, cicha i ciepła. Ze drzwi otwartych i okien salonu, biło światło rzęsistego oświecenia, i rozlewało się coraz słabiéj po kwiatach orzeźwionych, po twarzach gości, którzy pełnemi piersiami oddychali oświeżoném powietrzem, i przenikając pomiędzy lipy rozłożyste, padało zlekka na pnie ich olbrzymie, złociło tu i owdzie massy liści nadbrzeżnych, i ginęło wreszcie w ciemnościach alei, pełnych tajemnicy i uroku.

Wesoła była rozmowá zebranych tu osób. Głośno rozprawiali mężczyzni, głośno śmiały się kobiéty; ci odważniéj mówili, te śmieléj słuchały: bo noc prześliczna, świéża, światło wątpliwe i mieszające się z ciemnością, dodawały życia, poufałości i humoru. Dwie tylko osoby przechadzały się w poważniejszéj rozmowie ode drzwi salonu ku wchodowi w ciemną aleę i nazad: byłto pułkownik i pani Kaliniecka. Rozmowa ich z początku była zwyczajna, o rzeczach potocznych: o domie, w którym gościli, o zacnéj jego gospodyni, o osobach, które obojgu niewszystkie były znajome, o podkomorzym, którego wiek i humor zastanawiał ich i cieszył; stopnia-

mi od rzeczy ogólnych i osób obcych, przeszli do siebie i własnych swoich okoliczności i myśli. Pani Kaliniecka mówiła o swojém zdrowiu i słabych nadziejach, jakie ma na przyszłość; pułkownik o swojém zniechęceniu do świata i ludzi, o swoich podróżach, o Wschodzie który zwiedzał niedawno, o pustyni, którą pokochał i samotném życiu, które się stało potrzebą jego serca. Im bardziéj się ożywiał, im bardziéj czuł, że się dusza jego zaczyna wylewać, że myśli wytryskują z dna serca, tém cichszym, tém głębszym, stawał się głos jego, tém go lepiéj p. Kaliniecka słyszała. Gdyby się kto był ich spacerowi przypatrywał, postrzegłby, że im bardziéj się zbliżali do drzwi oświetlonego salonu, tém więcéj oddalali się od siebie, tém mocniejszym stawał się głos pułkownika, tém troskliwiéj p. Kaliniecka i jego oczu i wejrzenia obecnych unikała; ale im bliżsi byli ciemnéj alei, tém bliżsi byli siebie, tém ciszéj i bardziéj przerywanie mówił pułkownik, bo twarz jego ku niéj zwrócona, dopełniała niedomówionych słów, a jéj oczy ku niemu patrzące, dosłuchiwały reszty. Jednakże wszyscy sobą także zajęci, nie zważali na nich wcale; podkomorzy tylko, wziąwszy na bok gospodynią domu i poglądając bystro na przechadzającą się parę, coś jéj szeptał i z widoczną radością białego wąsa pokręcał.

Wtém zégar w salonie uderzył drugą. Dźwięk srébrny i mocny staroświeckiego dzwonka, rozległ się właśnie w téj chwili, kiedy cała kompania, jak to się często zdarza, nie wiedzieć dlaczego umilkła, i kiedy pułkownik i p. Kaliniecka, zagadawszy się, jakoś niechcący zagłębili się cokolwiek w ciemną aleę.

— Czy słyszycie moi państwo — rzekł wówczas podkomorzy — kto ma dwie siekiérki w swoich latach, to

nie romansuje po ogrodzie o drugiéj po północy, ale idzie spać mospanie i chrapie. Dobranoc asaństwu, mospanie!

Ta uwaga zdała się wszystkim słuszną. P. Kaliniecka usłyszawszy słowa podkomorzego, obejrzała się z trwogą koło siebie, i widząc się w zupełnéj prawie ciemności, zwróciła się szybko ku parterowi i rzekła:

— Więc to już druga? nie myślałam żeby było tak późno. Dobranoc panu. Zapewne pan pułkownik jutro nie wyjedzie?

— I owszem, wyjeżdżam bardzo rano — odpowiedział spuszczając oczy i bojąc się, aby jéj wejrzenie nie złamało tego postanowienia.

— Więc nie dowidzenia się — odpowiedziała głębszym głosem — chyba w Odessie, jeżeli do niéj dojadę. Czy pan tam nie będzie tego lata?

— Być może, na parę dni — odpowiedział. — Jeżeli pani pozwoli złożyć sobie tam uszanowanie, będę korzystał z téj chwili.

— Ale pozwoli, pozwoli, mospanie — odezwał się podkomorzy, który podszedł ku nim i podsłuchał co mówili. — Jużci nie dlaczego innego pytała się aspana panie pułkowniku, czy tam będziesz tego lata.

Zaczerwieniona p. Kaliniecka zwróciła się ku podkomorzemu, i kładąc rękę na jego ramieniu i zwieszając się z kokieteryą, rzekła:

— Podsłuchiwał nas p. podkomorzy, czyto ładnie tak?

— Bynajmniéj, mój aniołku, chciałem wam tylko powiedzieć, że czas spać, bo wam to widzę, mospanie, nie w głowie.

— Już powiedziałam pułkownikowi dobranoc i szliśmy. Co jeszcze raz powtarzam i dodaję, że miło mi będzie widzieć pana pułkownika w Odessie.

Pułkownik skłonił się, ścisnął za rękę podkomorzego i odszedł ku innym gościom, którzy się już także zbierali; bliżsi sąsiedzi, zwłaszcza mężczyzni do domu, dalsi do naznaczonych sobie pokojów gościnnych.

Podkomorzy obejmując p. Kaliniecką gdy zostali sami, zapytał:

— Jakże się czujesz po drodze, mój aniołku?

— Bardzo dobrze, drogi panie podkomorzy, lepiéj, niżelim się spodziéwała. Ale jednak doprawdy, czas już spać. Dobranoc.— To mówiąc, nadstawiła mu czoło do pocałowania i pobiegła prawie ku ciotce, która już we drzwiach salonu na nią czekała. Podkomorzy patrząc na jéj ruchy i gładząc wąs, rzekł do siebie:

— Dałby to Pan Bóg, mospanie, toby było skuteczniejsze niż kąpiel morska.

Gdy pułkownik żegnał się z p. Adamową, która go chciała koniecznie przez jutrzejszy dzień zatrzymać, rzekł jéj z widoczném zajęciem:

— Nie mnie pani dobrodziéjko, ale p. Kaliniecką niech pani jeszcze kilka dni u siebie zatrzyma. Mam w tém ważny interes.

— Nie puszczę ją przynajmniéj z tydzień — odpowiedziała z uśmiechem — i mnie to mocno obchodzi, aby dobrze odpoczęła, nim się puści w tę podróż.

— Znam dobrze wszystkie drogi, które ztąd do Odessy prowadzą — rzekł znowu pułkownik — i jeżeli pani posłuchać mię zechcesz, odradzisz synowicy swojéj aby nie jechała na Bałtę.

— Ależ ta droga najmniéj pusta — odpowiedziała. — Tu przynajmniéj są karczmy, gdzie można odpocząć i przenocować.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

— To droga najprzykrzejsza — rzekł żywiéj pułkownik.—Ciągle się jedzie jarem smutnym i chropowatym; ciągle się spotyka karawany czumaków, stada bydła, i w téj właśnie porze zgraje pijanych i rozpuszczonych kosarzy, którzy tu mają swoje zbiegowiska, ztąd rozchodzą się na wszystkie strony stepów i zapełniają wszystkie karczmy. Kobiéta tak delikatna i tak nerwowa, mogłaby często być narażoną na przestrach od tych tłumów, które wódka ośmiela i które żadnéj tam władzy nad sobą nie znają.

— To prawda— rzekła pomyślawszy p. Adamowa— ale którędyż ma jechać?

— Niech jedzie na Bohopol—rzekł drżącym głosem pułkownik — tamtędy z wszelką wygodą, z zupełném bezpieczeństwem dojedzie na miejsce.

Gdy to mówił, na twarz jego wystąpił rumieniec i w oczach coś nakształt łzy błysnęło. P. Adamowa postrzegła tę widoczną zmianę, i uradowana w duszy, wzięła jego rękę i rzekła:

— Czy i w tém masz ważny interes pułkowniku?

— Najważniejszy, jaki w życiu miéć mogłem— odpowiedział, i ucałowawszy jéj ręce, pożegnał się i poszedł. Długo jeszcze chodził po pokoju; dopiéro gdy już słońce wschodziło, rzucił się jak był ubrany na łóżko i spał parę godzin smaczno i głęboko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# PODRÓŻE PO BIESKIDACH,

## czyli opisanie części gór Karpackich, zawartych pomiędzy źródłami Wisły i Sanu.

PRZEZ

*Ludwika Zejsznera.*

---

(Dalszy ciąg).

***Bochnia.*** Dwie mile od Gdowa, z drugiéj strony Raby leży Bochnia na ostatnim wyskoku gór. Miasteczko to jest siedzibą urzędu okręgowego czyli cyrkularnego; dosyć porządne, ma rynek murowany, wiele domów o piętrze, i gdyby nie ostrokręgowate budynki wśród miasta rozrzucone, mające w sobie coś niezwyczajnego, niktby nie myślał, że znaczna część wnętrza podziemnego jest wydrążona i zupełnie próżna.

Część Bochni leży w dolinie, druga na bokach pagórków wśród bujnych drzew; wyniesienie nad poziom morza oberży naprzeciw poczty jest 649′ p.; szybu Regis przy kościele katedralnym 609, szybu zaś Campi 711 p.

Kopalnia bocheńska bardzo jest podobną do zwyczajnych kopalń; niémasz w niéj owych niezmiernych jam, co tyle przyciągają podróżnych i tak mile kołyszą ich

wyobraźnią; są tu tylko długie chodniki, często skośno pochylone, jedne pod drugiemi. Budowa ta wewnętrzna zostaje w najściślejszym związku z pokładem, mającym postać potężnego klinu, wśród iłów czarnych zawartego; stoi on prawie prostopadle lub się nieco na południe schyla, w dole zaś zakrzywia się i zostaje poziomym. Pokład sam, podobnie jak wielicki, nie składa się ze saméj soli, ale ze słonych iłów, margli łupkowych czerwonych lub zielonych, żubru i warstewek anhydrytu jasno-niebieskiego; wyjątkowo bywa gips. Wśród tych skał ciągną się warstwy soli w tymże kierunku co sam pokład, tojest ze wschodu na zachód; grubość ich jest zmienną, od kilku stóp do 30 dochodzi. W górze przez wyklinowanie się pokładu mało jest warstw soli, głębiéj powiększa się ich liczba coraz bardziéj, a na spodzie liczą ich do 18. W tym pokładzie jedna jest odmiana soli bocheńskiéj, odpowiadająca zupełnie szybikowéj czyli gruboziarnistéj; bywa zupełnie czysta i biała, albo szara, gdy ją nieco ił zanieczyszcza. Bardzo rzadko zawiéra szczątki organicznych jestestw, i te właściwemi są wierzchnim ogniwom formacyi trzeciorzędowéj; z nich oznaczyłem zęby wielkiéj ryby zwanéj *Carcharias megalodon, Agassiz*, orzechy z laskowemi spokrewnione i wielkie szyszki drzew śpilkowych. Nad pokładem solnym leży czarny ił łupkowy, zupełnie podobny do wielickiego, z wydzielonym pokładem ziarnistego piaskowca, a w nim znajdujemy piękny jasno-niebieski minerał, zwany siarkan stroncyanny, ów materyał, wydający czerwone światło w ogniach bengalskich. Ta budowa pokładu jest skutkiem, że chodniki podziemne są wązkie a pochyłe, a nadto, że kopalnia jest bardzo głęboką. Od szybu Regis, zapuścił się górnik pionowo tysiąc stóp na dół, a zatém

388 stóp podkopał się głębiéj, od poziomu morza Baltyckiego. Zwiedzając głębsze części téj żupy, czuć się daje wyraźnie znaczne ciepło; skutek wspomnianego ciepła wewnętrznego. Ścisłe pomiary termometryczne które wykonałem, okazały, że tutaj nierównie jest naglejsze powiększenie się ciepła aniżeli w Wieliczce, i co 100 stóp paryzkich rośnie ono o jeden stopień Celsyusza, co prawie odpowiada ogólnie przyjętemu prawu. Dla objaśnienia tego, przytoczę uważane liczby: w chodniku Szyller 388 stóp głębokim, skała pokazywała się 12,3° C. ciepłą, zaś w chodniku Grubenthal 995 stóp głębokim, dwa razy mierzona temperatura okazywała + 19,56° C. (1).

Kiedy sól w Bochni odkryto, nie jest nam wiadomo. Urzędnicy i robotnicy wiele opowiadają o starożytności żupy bocheńskiéj, ale ich tradycyj nie potwierdza żaden dowód, tyle tylko pewnego, że na sto lat przed świętą Kunegundą, sól z Bochni otrzymywano, jak to świadczy nadanie soli uczynione Bożogrobcom w Miechowie, przez Mikorę herbu Gryff, gdzie wyraźnie stoi: *item addidit sal de Bochegna.* Mikora żył za Kazimiérza Sprawiedliwego, dziada Bolesława Wstydliwego, pomiędzy r. 1178—1194. Jeszcze wówczas w poblizkich miejscach słoną wodę dobywano, jak np. w Przegini i Łopance; o piérwszém miejscu dowiadujemy się w powołaném właśnie nadaniu Bożogrobcom, o drugiém zaś z nadania Jędrzeja Jaxy, fundatora klasztoru w Staniątkach (2).

Daléj na wschód maleją widocznie pagórki, a na obszernych równinach ciągną się bujne łany pszenicy i żyta pod Brzyskiem, Wojniczem, Tarnowem, Pil-

(1) O podwyższaniu się ciepła w żupach wielickiéj i bocheńskiéj, zob. Przegląd Naukowy, tom IV, str. 1055, r. 1845.

(2) Boczkowski o Wieliczce, str. 245.

znem i t. d.; góry zaś zwracają się odtąd ku południowemu wschodowi. W całéj okolicy niéma śladu soli, dopiéro przy Tyrowie Solnéj i Dobromilu poczynają się słone źródła, a im daléj na wschód, tém większa rośnie ich liczba. Od niepamiętnych czasów pozakładano tam warzelnie, a chociaż we wszystkich dokopywano się prawie zawsze do pokładu soli, ale że ta była nieczystą a drzewo i robota tania, więc większą otrzymywano korzyść, gdy warzono surowicę do najwyższego stopnia solą nasyconą. Wyjątek z tego czyni Stebnik, wioska przy miasteczku Drohobyczy, gdzie w r. 1842 po przebiciu wierzchnich ogniw pokładu solnego, odkryto warstwę soli, przeszło 200 stóp grubą.

Morze, z którego pod Krakowem a Podgórzem Karpackiém osadziła się formacya trzeciorzędowa, zawiérająca pokłady soli, płynęło wązkiém gardłem zaledwie milę szerokiém, pomiędzy skałami wapienia koraloweg a piaskowcem fukoidowym. Od Wieliczki coraz więcéj na wschód, morze to rozszerzało się i granice jego północne sięgały pobrzeża teraźniejszego morza Baltyckiego: ale najwięcéj soli osadziło się u stóp północnych Karpat we wschodniéj Galicyi, i na południowéj pochyłości tegoż pasma w Siedmiogrodzie i hrabstwie marmoroskim w Węgrzech.

Mieszkańcy osiedleni na równinach właśnie opisanych, rozciągających się pomiędzy Wisłą a podnóżem Podgórza Karpackiego, zupełnie są do siebie podobni; jestto ten sam włościanin co żyje pod Krakowem i w Miechowskiém, jestto jedném słowem Krakowiak. Należy on do pięknéj rasy ludzi dobrze zbudowanych; zwięzły, o szérokich barkach, z twarzą okrągłą, i rysami męzkiemi. Gdzie się źle żywi a pijaństwu oddany, miewa cho-

robliwe wejrzenie, skutek nieporządnego sposobu życia. Ubiéra się powszechnie w sukmanę z białego sukna z czarnemi wypustkami, a w lecie w płótnianką tymże krojem sporządzoną. Ubiór kobiét nieco krótki a różnokolorowy. Głównie zajmują się uprawą roli, ale jeszcze tutaj rolnictwo nie uczyniło wielkiego postępu; powszechnie uprawiają już koniczynę. Wyjątek stanowią Skotniki, gdzie rolą z wzorową starannością obrabiają.

Pewną część ludności odciągły od przemysłu rolniczego dwie wymienione kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, i dlatego przy nich liczniejsze są wioski i mocno zaludnione. Jak wszyscy górnicy, zostając znaczną część życia w głębiach ziemi, nie mają tyle żywości, ile weseli uprawiacze roli. W ogólności nie mają porządnych domków; są one drewniane, bez kominów, słomą okryte, często pochyłone. a sama nieczystość w nich okazuje nizki stopień oświaty.

Cała ta część kraju nosi na sobie charakter kraju rolniczego; wszystko zmierza do otrzymywania materyalnych potrzeb. Mierność wiejska wybitnie się tutaj przedstawia, kościoły skromne, pospolicie drewniane; dwory liczne, wygodne, nie odznaczające się niczém. Wyjątek z téj nurzącéj jednostajności czynią dwa starożytne średniowieczne klasztory: Tyniecki i w Staniątkach, a trzeci nowszy w Kalwaryi Zebrzydowskiego, wystawiony na wzgórzu, niedaleko zmienionego w ruinę zamku Lanckorony.

*Kalwarya* sławną jest z odpustów odbywających się w dniu 15 sierpnia, jako w dniu Wniebowzięcia Najświętszéj Panny; wtedy zbiéra się do tego świętego miejsca do 20,000 ludzi. Kościół i obszerny klasztor

w stylu rzymskiéj architektury, w XVII wieku przez Zebrzydowskiego zbudowane, leżą bardzo malowniczo na pochyłości gór; za niemi lasek świerkowy z licznemi stacyami, które pielgrzymi odwiedzają. Miasteczko składa się prawie z samych karczem, jedna obok drugiéj stojących, urządzonych do przyjmowania podróżnych.

Od Wadowic zmienia się fizyognomia kraju i ludzi tamże mieszkających; liczniejsze są odtąd miasteczka, a w nich i w parze idący dobry byt. Kwitnie w nich nieco przemysł; zewnętrznie świadczą o tém piękne, schlujne domki, jakoto: w Andrychowie, Kentach, w Białéj i Bielsku (po niemiecku Bielitz). W dwóch ostatnich miastach, leżących na granicy Galicyi i Szlązka austryackiego, przemysł znakomicie wygórował; najwięcéj wyrabiają tam sukna w średnich gatunkach, które rozchodzą się po Galicyi i do znacznéj części północnych Węgier. Kilkupiętrowe domy fabryczne z wielkiemi kominami od machin parowych, już zdala mówią, że tu siedziba przemysłu, a mnóstwo pięknych murowanych domów, świadczą o znakomitém bogactwie. Ludność tych dwóch miast w większéj części jest niemiecka, a nawet w poblizkich dwóch wioskach w Lipniku i Kamieńcu. Z wielkiém staraniem i zabiegliwością swe role uprawiają, a przykład ten działa pożytecznie na sąsiednie sioła, i aż pod Wadowice widać tego uderzające skutki. Pod Inwałdem obficie łamią wapień, wypalają go i grunta nim wapnią.

Obszar kraju zawartego pomiędzy Wisłą a Karpatami, ma prawie jednakowe wejrzenie; sąto rozległe równiny albo pagórki odznaczające się urodzajnością i dobrą uprawą; nad Wisłą przeważają piérwsze, a pod wznoszącym się łańcuchem Karpackim drugie. Sprzeczność między górami a równiną jest bardzo wydatna; dzielącego

podgórza niémasz tu zupełnie i goralszczyzna styka się z mieszkańcami równin; pomimo tego, goral nienawidzi tych ostatnich z wrodzoną nieprzyjaźnią. Widok na długie pasmo Karpackie, począwszy od Wadowic daleko za Białą, jest prawie jednakowym; wysoki grzbiet prawie równy, a przerywany prawie co ćwierć mili, okrywają czarne lasy: w trzech miejscach na téj rozciągłości są znaczniejsze wyłomy, a mianowicie: przy wypływie Skawy pod Wadowicami, pod Andrychowem i przy wypływie Soły niedaleko Kent. Pod Andrychowem chociaż nie wypływa żadna rzéka, jest znaczne zagłębienie półkoliste górami otoczone. Wśród téj jednostajności pasma, jestto coś niezwyczajnego; przyczyna pochodzi od zjawisk geologicznych, które się tutaj odbywały. Ten szczególny cyrk sprawiły skały wulkaniczne, które się pod Inwałdem i pod Andrychowem dobyły z głębi i zarazem wypchnęły biały wapień. Zjawisko to pięknie wydaje się na szczycie pagórka Lanckorony przy Andrychowie, w opuszczonych łomach. Grupa wapienna pod Inwałdem jest ze wszech miar ważną dla geologów; jestto ogniwo formacyi Jura, poznane dotąd po raz piérwszy w krajach polskich, a dla swych skamieniałości, należy do pokładu spoczywającego bezpośrednio nad wapieniem koralowym krakowskim; przynajmniéj takie położenie mają wapienie, zawiérające owe liczne Nerynee w pasmie gór Jura w Szwajcaryi. Gdyby skała ogniowa nie wypchnęła tego wapienia z głębi, leżałby ukryty pod glinami ze swojemi licznemi skorupami i przepysznemi skamieniałościami morskiemi, jakoto: *Nerinea Bruntrutana, depressa, suprajurensis*; mieszkańcy nie mieliby wybornego wapna, a w części téj góry niebyłoby tyle rozmaitości i pięknych widoków.

We wzgórkach leżących przy wypływie Soły, w czarnych iłach tworzących piérwsze wzniesienie Karpat, są cienkie pokłady wybornéj rudy żelaznéj (iłowy węglan żelaza) przy Czancu, Kobiernicach, Bujakowie; niedawno założone na nich kopalnie, dostarczają rudy do wielkich pieców Żywca, Suchéj, Makowa i t. d.

*Podgórze.* Za Wadowicami na wschód, pomiędzy górami a równiną niémasz tak wydatnego rozdziału; równinę oddzielają mniejsze pagórki, które stanowią Podgórze Karpackie, ciągnące się od Wadowic aż pod Tarnów, około 12 mil długo, a 3 — 4 mil széroko. Sąto same grzbiety, z dolinami równoodległemi; wyniesienia nie są wielkie, 200 do 300 stóp leżą wyżéj od równiny; wzniesienie zaś nad poziom morza dochodzi do 900'. Właściwie jestto piérwsze wzniesienie Karpat, co potwierdzają zupełnie geologiczne widoki. Wszystkie te wzgórza składające się z właściwego piaskowca, noszącego nazwę Karpackiego, okrywa mniéj więcéj gruba warstwa gliny. Ta napozór mała różnica wyniesienia, ważny wpływ wywiéra na uprawę roli; grunta w ogólności są tutaj nierównie zimniejsze, a zasiewy późniéj dojrzewają. Lasy nie są wprawdzie rozległe, ale na nieprzeliczonych miejscach widać massy czarnych drzew po bokach gór, czasem na wierzchołkach; sąto reszty lasów ustępujących rozradzającéj się ludności, które dawniéj okrywały całe Podgórze. Wyniesienie wyraźny nadto wpływ wywarło na rodzaj drzew; wyraźnie ginie tutaj sosna, tylko świerki i jodły przeważają. W głębokich dolinach od wiatrów zasłonionych, wśród bujnéj roślinności, jakby schowane są domy i zagrody wieśniaków, otoczone drzewami owocowemi. Nawet w ludzie widać zmianę, nietylko co do budowy fizycznéj ciała, ale i w moralném

usposobieniu; sąto zarazem górale i mieszkańcy równin, i podobnie jak sam kraj, czémsiś pośredniém pomiędzy równiną i górami. Podgórzanie powszechnie mają wzrost bujniejszy od mieszkańca równin, ale nie są tak smagli jak górale; stanowią oni przejście pomiędzy dwoma temi mieszkańcami, i uważają się za odmiennych od nich, chociaż jednymże mówią językiem.. Nader są pracowici, bo trzeba im czynnością to zastąpić, co zimniejszy klimat odmawia; głównie zajmują się dostawą drzewa do Krakowa, z coraz bardziéj przerzedzających się lasów, a nadto wyrabiają płótna; w wiosce zaś Świątniki żyją sami ślusarze, którzy całéj okolicy po umiarkowanéj cenie dostarczają kłódek.

Kształt ich domów jest tenże sam co mieszkańców równiny, tylko są porządniéj utrzymywane; toż samo odbija się w ich kościołach drewnianych, wioski tylko odmienny mają rozkład. Domy nie są w kupy zebrane, ale rozciągają się wzdłuż rzeczki; na wzgórkach stoją pospolicie małe dwory. Kilka miasteczek nie odznaczają się niczém godném wspomnienia : wyjątek z tego okazuje Wiśnicz, z okazałym zamkiem na górze stojącym; niedawno został wyrestaurowanym i na mieszkanie przyrządzonym. Do zamku przytyka kościół z klasztorem, na więzienie oddawna zmienionym. Pod temi wspaniałemi budowlami leży biédna mieścina, pełna żydów.

Wymieniać po szczególe pojedyncze miejsca Podgórza, do niczego nie doprowadziłoby; skréśliwszy więc ogólny obraz, wymienię kilka miejsc znaczniejszych. Postępując drogą bitą z Krakowa do Wiédnia, początek Podgórza jest właściwie na owym potężnym wale, na którym stoi Libiertów, 916 stóp nad morze wyniesiony, i jeszcze wyższym, na którym leżą Mogilany

1144 stóp nad morzem, w zachwycającém położeniu. Z wysokości dworu mogilańskiego ku północy zwrócony wzrok, spoczywa na owym bogatym kraju, przez Wisłę przerzynanym, co tak słynie niepospolitą żyznością. Zupełnie odmienny obraz roztwiéra się ku południowi; niezmierne wały coraz wyższe jakby wschody, wznoszą się jeden za drugim, a świerki na poblizkim grzbiecie rozrzucone, przypominają, że jesteśmy w kraju górskim. Długi a rozległy grzbiet mogilański ciągnie się od Mogilan do Sieprawia, gdzie ostatnie bryły granitowe uważałem, według wszelkiego prawdopodobieństwa naniesione na krach ze Szwecyi aż tutaj, w czasie ostatnich przemian geologicznych. Daléj na północ, jakoto: w Warszawie, Toruniu i w wielu innych miejscach, ilość tych granitów jest niezmierna, i w braku innego kamienia, służą na bruki i do robienia gościńców bitych.

***Poznachowice***, także Górna Wieś, leży o milę od miasteczka Dobczyce na prawym brzegu Raby. Nad tą wioską wznosi się ostrokręgowata nieco znaczniejsza góra Grodzisko, nazywana w dawnych nadaniach Cystersów szczyrzyckich *Mons Szczyrzycense*, z opustoszałym zamkiem (castellum desolatum). Góra ta od stóp do szczytu składa się z piaskowca fukoidowego, z warstwami znacznie na południe schylonemi, a pomiędzy niemi tkwią cienkie pokłady wybornéj rudy żelaznéj, tak pospolitéj w całych Karpatach. Na jéj szczycie jest równina, ale śladu zamku niéma; co dowodzi, że musiał tutaj stać gród drewniany. Nietylko nazwa góry to potwierdza, ale nadto szczególniejszego rodzaju wał obwodzący szczyt; nie jest on z ziemi ani z cegły, ale z ułamków piaskowca spojonych czarniawém szkliwem zuzlowatém;

piaskowce zaś są mocno przepalone jakby stopione, ciemno-szare albo czerwonawe. Aby się przekonać, czy ten wał wszędzie jest jednakowym, kazałem w różnych miejscach odrzucić powłokę darniową i wszędzie znalazłem skład jednakowy. Obwód jego wynosi około 200 kroków, i ma 10 stóp wysokości, a 12 szerokości. Kiedyby był usypanym, nie wiadomo, bo niéma o nim najmniejszego podania, a nawet nie można przypuścić, jakieby plemię ludzi mogło dokonać to szczególne dzieło. Znane są tylko podobne wały w innych krajach, a mianowicie w Szkocyi, gdzie je nazywają twierdzami zeszklonemi (vitrifeid forts, fort de verre, verglaste Burgen). Wiele o nich pisano, a jednak dotąd nie rozstrzygnęli antykwaryusze szkoccy, czy je Kaledończykowie, czy ich ujarzmiciele Duńczyki sporządzali (1). Te szkockie wały zupełnie są podobne do znajdującego się na górze Grodzisko, z miejscowemi różnicami pochodzącemi od użycia odmiennego materyału. Mur ten obwodowy składa się z przepalonych kamieni, spojonych masą zuzlowatą; według wszelkiego prawdopodobieństwa, następującym sposobem został zrobiony: po ułożeniu owych murów z kamienia, zrobiono nad niemi pewien rodzaj sklepienia albo pieca, w który nałożono drzewa i tak długo te kamienie wypalano, aż się stopiły i zespoiły. Podobne budynki wykonywają w Indyach wschodnich według twierdzenia Legloux de Flaix. Glinę na cegłę używaną, układają Indyanie w formy, jakich po-

(1) Bliższa wiadomość o tych wałach znajduje się w następnych dziełach: Anderson: Archologia or miscelanous tracts relating to Antiquity. Vol. V, str. 255. Macculoch: Transactions of the geological Society of London. T. II, str. 255. Sinclair: Statiscical account of Scotland. Leonhard: Die verglasten Burgen in Schottland, w Jahrbuch für Mineralogie z r. 1830.

trzebują, a nad niemi wystawiają pewien rodzaj pieca, i tak po kawałku wypalają.

Wał góry Grodzisko zupełnie jest podobny do opisanych wałów; glinę pomieszaną z ułamkami piaskowca wypalano na miejscu, i tym sposobem mógł powstać tak szczególny mur. Jaki naród wykonywał tego rodzaju budowle? nie wiemy. Byłże to sposób budowania dawny słowiański, czy innego narodu? niechaj rozstrzygnie kto umie.

Ze szczytu góry Grodziskiéj cudny jest widok na śmiejące się doliny; mury dawnego klasztoru Cystersów w Szczyrzycy sterczą wśród równiny, a na południe wznoszą się wysokie szczyty Kamiennika pod Myślenicami, tudzież Kasińska i Kobielnicka; góry nad wioskami tegoż imienia.

***Bieskidy.*** Gdy wreszcie wstąpimy w góry wydające się tak wspaniale z równin i podgórza, zmienia się odrazu charakter kraju. Postać jego zewnętrzna, roślinność i ludzie, są tu zupełnie odmienne. Długie grzbiety różnéj wysokości, pospolicie bardzo pozbliżane, dzielą bystro spadające rzeki i strumienie, a za ich biegiem ciągną się długie wioski; boki gór pokrywają czarne lasy świerkowe, rzadko gdzie kawałek uprawnéj roli w dolinach, pospolicie na mniéj spadzistych pochyłościach. Mieszkaniec ich uważa się za zupełnie odmiennego od wieśniaka na równinach. Jakąś wrodzoną nienawiść czują do siebie te dwa plemiona, chociaż z jednego pochodzą szczepu i jednym mówią językiem. Takito przeważny wpływ wywiérają na człowieka stosunki geograficzne, i za niemi idące odmienne zatrudnienia.

Góry te stanowią część wielkiego łańcucha Karpat, określającego wielkie półkole od Bukowiny aż do Du-

naju pod Presburgiem, gdzie się łączą z Alpami austryackiemi; u uczonych nazywają się Bieskidami. Lud nie zna téj nazwy, i Bieskidem tylko mianuje pojedyncze grzbiety, mianowicie w Szlązku austryackim, a nierównie rzadziéj we wschodnich częściach tych gór. Uczeni, jakoto: Sydów, a za nim Pusch, część Karpat pomiędzy źródłami Wisły a Rabą, nazywają Bieskidami; sąto jednakże dowolne granice, zupełnie sztuczne. W końcu zachodnim stanowi grzbiet rozdział pomiędzy rzekami do Wisły i Odry wpadającemi, aczkolwiek wydatnych różnic tu nie widać. Karpaty ciągnące się ku południowemu zachodowi, mają jednakową prawie fizyognomią co piérwéj, ale rzéka Raba nie stanowi jakiegobądź przedziału; góry przedłużają się, przerwane tylko doliną podobną do każdéj innéj rzeki, np. Dunajca, Wisłoki i t. d. Nierównie więcéj naturze rzeczy odpowié grzbiet dzielący rzeki wpadające do Wisły i Dniestru, nieco daléj na wschodzie, z którego biorą początek San i Dniestr. W tych granicach zawarte Bieskidy stanowią grzbiety, z których wypływają rzeki składające się na potężną Wisłę. Sąto zatém w całém znaczeniu tego wyrazu góry Wisły. Przeciw temu ograniczeniu Bieskidów, można przywieść uzasadnione zarzuty: łańcuch ten nie jest prostym, ale tworzy łuk, niejest bowiem pojedynczy, ale złożony z kilku drobnych pasm z odmiennym kierunkiem; składa się więc z dwóch łańcuchów z dwoma różnemi kierunkami. W tym jednakże ogólnym poglądzie, nie możemy trzymać się ściśle zasad geologicznych. Na wschód Bieskidów dalszą część Karpat, nazywa Staszyc Bieszczadami; ale i tutaj najwyższe grzbiety nazywa Bieskidem, zamieszkujący je lud nader piękny, a pełny siły fizycznéj. Góry odgraniczające

Bieskidy na zachodzie, nazywają Staszyc i Pusch górami Biesławskiemi.

Jaki jest źródłosłów wyrazu Bieskid, trudno oznaczyć. Sydów sądzi, że ten wyraz znaczy tyle co grzbiet (1). Jakkolwiek to tłumaczenie jest ciemném, zdaje się być dobrém. W Skoczowie, małém miasteczku nad Wisłą, uchowała się w ustach ludu nader zastarzała mowa, pełna pięknych zwrotów i zapomnianych wyrazów. Dotąd nazywają grzbiet czyli comber barana *kidem*, i ten wyraz używają przenośnie; mówiąc że przechodzą przez grzbiet góry, wyrażają się że idą bez kid, a ztąd pochodzi nazwa gór Bezkid, Bieskidy. Ten źródłosłów opowiadały mi wiarogodne osoby; życzyćby jednakże należało, iżby jaki badacz języka, na miejscu ten wyraz rozpoznał. Niechby raz grammatycy porzucili dotychczasowy kierunek rozpoznawania języka i badali go w ustach ludu, na który nie wpłynęła ogłada własnego języka, kształcącego się w biegu wieków, przez zgubne napływy z obcych mów. Język ten ludu górnego Szlązka, pozostał w swéj rodzimej pierwotności, w niczém niezmąconéj czystości, bogaty w zwroty mowy śmiałe a silne. Ożyją one zapewne kiedyś, jak te organiczne jestestwa, co w warstwach ziemi leżały jakby w katakombach pochowane, aż je badawczy umysł geologa odkrył i opowiedział o ich dawnym bycie, gdy jeszcze człowieka nie było.

Część gór Karpackich stanowiąca Bieskidy, rozciąga się pomiędzy źródłami Wisły i Sanu. Ma na całéj przestrzeni zupełnie jednostajne wejrzenie; poznawszy jednę część znamy już całe pasmo. Sąto długie, miernéj wysokości grzbiety, wznoszące się od 2000 stóp, aż

(1) Bemerkungen auf einer Reise in den Bieskiden und Centralkarpaten. Berlin, str. 5.

do 3500; najwyższe wyniesienia przenoszą 5600 stóp. Grzbiety te są równoodległe od siebie, a pomiędzy niemi leżą równie długie, niezbyt szérokie doliny; gdzie rzéka przerywa grzbiet, tam stérczy zwykle skała, uwieńczona bujniejszą roślinnością. Doliny koliste są wyjątkami; powstają one przez krzyżujące się, a nie zetknięte pasma; w nich są obszerne równiny, pełne wspaniałych widoków, jak np. dolina pod Babią Górą. Darmo szukałby kto w Bieskidach owych wyniosłych, dziko poszarpanych szczytów, co tyle uroku nadały Tatrom, Alpom, Apeninom; przyczyna tego głównie pochodzi od gatunku skały, z któréj się składają. Jestto bowiem ów jałowy piaskowiec karpatowy, stanowiący spodnie ogniwo formacyi krédowéj, z którego powstaje również jałowy grunt, a na którym nie utrzymuje się ani bujna ani bogata roślinność. Najwyższy stopień ubóstwa roślinnego, panuje powszechnie w dolinach wysoko nad poziom morza wyniesionych, bo ledwie gdzieniegdzie po bokach porasta trawka; takiż obraz dają grunta owsem zasiane, jednakże drzewa leśne udają się dobrze, a potężne jodły i świerki okrywają ich grzbiety i boki. Wyjątkowo tylko w dolinach utworzyła się nieco grubsza powłoka ziemi, a za nią idzie bujniejsza roślinność. Tam od niepamiętnych czasów założone zostały wioski, ale wzmagająca się ludność, zmusiła mieszkańców przenieść się w mniéj żyzne strony: ztąd téż wynika ów nader biédny obraz tych okolic. Często cienką powłokę roli z wielkim mozołem uprawianéj, wezbrane rzeki spłukują, albo okrywają warstwą kamieni; tym sposobem nieraz całe nawet wioski giną, domy wpadają do rzék, a na ich miejscu płyną wody. Do tych nieprzyjaznych żywiołów, przyłącza się jeszcze ostry klimat, tak prze-

ciwny rozwinięciu się zwierząt i ludzi, i dlatego widok wiosek i ich mieszkańców, nosi niezbite ślady niedostatku; dobry byt i wygodny domek, należą tu do rzadkości. Najuboższe okolice w Bieskidach są w części zachodniéj przy źródłach Wisły; tu bowiem najwyżéj wznoszą się góry, dochodzące do 5400 stóp nad poziom morza. Nierównie niższe są Bieskidy w środku, poza Tatrami, w okolicach Gorlic i Zmigrodu, a za tém zniżeniem idzie nieco znaczniejsza żyzność; w końcu wschodnim pod Sanokiem, znowu się znakomicie podwyższają góry, a ztąd okolica staje się coraz dziksza.

Wymieniać wszystkie miejsca tego pasma, byłoby rzeczą również nurzącą, jak jednostajną. W ogólnych zatém rysach skréślę tę krainę górską, począwszy od źródeł Wisły aż do grzbietu, z którego z jednéj strony płynie San zmierzający do morza Baltyckiego, a z drugiéj szumny Dniestr szukający brzegów południowych morza Czarnego. Początek Wisły zaczyna się we wsi Wisła prawie na granicy dawnéj Polski w Szlązku austryackim. Trzy strumienie zwane Czarna i Biała Wisła, i maleńki spadający z grzbietów Malinów wirch, Barania i Żubron, łączą się u stóp góry zwanéj Tanków wirch, w górnym końcu wioski Wisła, od któréj pochodzi nazwa téj rzeki. Piękne budynki, obszerne zakłady hutnicze, wielkie piece do wytapiania żelaza w pośrodku bujnych drzew, nadają wiosce Ustroń, leżącéj pod górami przy wypływie Wisły, niemały urok, i oddawna przyciągają podróżnych i chorych używających żentycy, czyli owczéj serwatki, pochodzącéj od owiec pasących się na poblizkich górach.

*Skoczów.* Wyborna droga wysadzona wysokiemi drzewami, przeszło milę długa, w kierunku północnym

prowadzi do małego miasteczka Skoczowa, pod którém główny gościniec z Wiédnia przechodzi przez Wisłę. To dosyć porządne miasteczko ma piękny rynek, ze strony północnéj opiéra się o szereg pagórków wulkanicznych, które się ciągną z południa na północ, i wytknęły bieg Wisły aż do miasteczka Schwarzwasser; odkąd ta rzeka płynie z zachodu na wschód, aż do Sandomiérza. Na téj drodze zabiéra w siebie wszystkie rzeki spadające z Bieskidów, tojest: Białę, Solę, Skawę, Rabę, Dunajec, Wisłokę i San. Nierównie mniejsze są piérwsze od następnych, albowiem zblizka płyną, a tamte z dalszych stron, i nabiérają w siebie liczne strumienie.

***Przyczyna powodzi Wisły.*** Powszechne jest mniemanie w całéj Polsce, a mianowicie w Warszawie, że peryodyczne powodzie Wisły na końcu lub w połowie lipca wydarzające się, sprawiają topniejące śniegi w Karpatach. Warto zastanowić się nad przyczyną tych powodzi, które od kilku lat sprawiły nieobrachowane nieszczęścia, i zniszczyły najpiękniejsze plony rolnika.

Wszystkie wymienione rzeki wpadające do Wisły, biorą początek w Bieskidach, prócz Dunajca, który wypływa z Tatrów. Na całych Bieskidach niéma nigdzie wiecznych lodów, a na ich najwyższych szczytach, jakoto na Babiéj Gorze, znikają śniegi już na początku maja, a rzadko trwają do połowy tego miesiąca. Na dwa razy prawie wyższych Tatrach, nie znajdują się obszerne lodniki, jak na Alpach lub Pireneach, które topniejąc zasilają swemi wodami rzeki. Massa śniegu okrywająca te potężne wirchy, ginie już w połowie maja, a u ich stóp, w końcu tegoż miesiąca, pasie się po zielonych łąkach bydło poblizkich mieszkańców. Zostają wprawdzie przez całe

lato małe płaty lodu, w zlepkach smugi śniegu; wolne jednakże ich topienie, nie jest w stanie zapełnić nawet Dunajca, a tém mniéj jakikolwiek wpływ wywiérać na wezbranie Wisły. Na wiosnę wprawdzie śniegi zmieniając się na wodę, dają początek powodziom, te nie wywiérają jednak widocznego wpływu na wielkie wezbrania, a tém mniéj są ich przyczyną. Istotną więc przyczyną wezbrania Wisły są długo trwające dészcze w Tatrach i Bieskidach, a zatém w pasmie mającym 40 do 50 mil długości. Na tak obszernéj przestrzeni padające dészcze, gdy się nagle zbiorą w korycie Wisły, sprawiają onéj wylew. Kto tylko uważał początek powodzi, zawsze znajdował przyczynę w dészczach: przez wiele lat uważałem to w samychże górach. W r. 1839 byłem właśnie w Tatrach, gdy ulewne dészcze rozpoczęły się i przez trzy po sobie idące dnie bez przerwy padały. Jak gwałtownie rzeki Tatrowe wezbrały, tak prędko opadły, a w parę tygodni wielka powódź nastąpiła w Warszawie i w całéj dolinie Wisły, sprowadzając niezmierne nieszczęścia.

***Żywiec.*** Wyborny gościniec 3 mile długi, prowadzi od Biały do Żywca. Na téj drodze w coraz zmieniających się postaciach, przedstawia się Babia Góra i często są nader wspaniałe widoki. Przestrzeń ta kraju ma zupełnie górskie wejrzenie; czarne lasy okrywają wyższe miejsca, długie wioski ciągną się nad małemi rzeczkami, po dolinach rosną tylko ubogie owsy. Zbliżając się do Żywca, kraj staje się równiejszym i rozleglejszym, a na nim falują piękne urodzaje. Samo miasto otacza wesoła roślinność: wysokie drzewa dzikie i owocowe, upodobały sobie ten górski zakątek; zapewne na tę roślinność wpłynęły także wysokie grzbiety, zasłaniające kolistą dolinę żywiecką. Miasteczko to leży

1027 stóp przy połączeniu dwóch górskich rzék: Koszarawy i Soły, która odtąd zatrzymuje ostatnią nazwę aż do Oświecima, gdzie wpada do Wisły. Rzecz dziwna, że Żywiec ma także niemiecką nazwę — Seypusch, chociaż w nim Niemców niéma prócz kilku kupców, fabrykantów, i austryackich urzędników. Główna ludność 3,000 mieszkańców wynosząca, jest czysto polska.

Babiogórscy i okoliczni górale uważają Żywiec za punkt środkowy ich gór; pochodzi to zapewne od owego dawnego zwyczaju, kiedy familia Wielopolskich całą góralszczyznę posiadając, tu swą główną stolicę założyła, i tu żyła w swych obszernych zamkach, otoczonych pięknemi ogrodami. Zewnętrzność Żywca nader jest przyjemna: czyste domy mile witają podróżnego. Na czworograniastym obszernym rynku, gdzie sklepy dosyć zamożne i liczne znaki rzemieślników, odbywają się znaczne targi na zboże i wyroby góralskie; tu się także zbiérają kosarze wychodzący na kośbę do Polski. Miasteczko to opiéra się o górę Grojec, wznoszącą się w tarasach do 300 stóp wysokości (1346). Góra ta ze wszechmiar jest ważną dla mieszkańców, dostarcza im bowiem wapna, tak bardzo rzadkiego w Bieskidach; skały jéj dzielą się na warstwy niezbyt grube, mające w oddziałach liczne rószczkowate odciski, należące do liści morskiéj rośliny zwanéj morszczyzną (fucus, fucoides). Te ślady dają niezbity dowód, że wody morskie osadzały te twarde teraz skały. Z układu ich warstw wnosimy o przyczynie, która wyparła morze z tych stron. Gdy warstwy są w pierwotném położeniu, tak jak je wody osadziły, leżą zupełnie poziomo; w całéj zaś téj okolicy niéma nigdzie tego przypadku; wszystkie warstwy pochylają się

pod znacznym kątem, co dowodzi, że podziemne siły wulkaniczne wyparły je na wiérzch, ponachylały ich warstwy i potworzyły góry i doliny. W górze Grojec dobyła się nawet skała ogniowa dyorytem zwana, która zapewne zburzenie w całéj okolicy sprawiła, bo rozparłszy skały warstwowe, wypełniła powstającą swą roztopioną massą próżne szczeliny. Taż sama skała na licznych miejscach pod Skoczowem i Cieszynem, tudzież w Morawii, wystąpiła na wiérzch i sprawiła wyniesienie nieprzeliczonych pagórków.

*Ujsol.* Postępując na południe ku źródłom Soły, dolina zwolna staje się węższą: przy wiosce Cięcinie dosyć jest széroka, i oko spoczywa na bujnych urodzajach; ale milę daléj w Kameśnicy, kraj zupełnie jest górzystym i nieurodzajnym. Na saméj granicy węgierskiéj, leży wioska sławna ze swych źródeł słonéj wody, należących zapewne do formacyi trzeciorzędowéj. W dawniejszych czasach szukano tu bezskutecznie soli, jak o tém przekonywają załączone dwa wypisy z pamiętnika Komonięckiego byłego burmistrza żywieckiego (1).

„R. P. 1664 we wsi nazwanéj Soli, w państwie Żywieckiém, od granic węgierskich, sól warzono, zaciągnąwszy z Wieliczki górników, którzy wykopawszy studnię dostali wód słonych i sól z nich warzyli, i od godziny do godziny, tojest przez godzin 24 po korcy 12 soli warzonéj brali; po pół talara najprzód korzec przedawali, będący pisarze tamże, jeden Krzeczki, drugi Łączki a trzeci Tatryczki. Lecz niejaki Janus kowal Zarzeczki i z Fran-

(1) Rękopis ten ma tytuł: Chronographia albo Dziejopis Żywiecki, w którym roczne dzieje spraw przeszłych, starodawnych miasta Żywca i poblizkich jego miejsc znajdują się. Roku Pańskiego 1704.

ciszkiem Miodoną przejąwszy wiadomość warzenia soli, pozwolili się taniéj onę warzyć, lecz się im niedarzyła, bo czerwieniała, i tak tego zaniechali, przez dwie lecie to tylko czyniąc, i do tego że był koszt a pożytek mały, dano pokój i przestano téj roboty. Dotąd jeszcze studnie te słone są, z których tameczni wodę biorą dla bydła swego, a budynek zaś tameczny na to zbudowany, gdzie sól warzono, na browary zamkowe przypuściwszy po wodzie obrócono; które browary za arendy żydowskiéj, niejakiego Jakóba Zygnera żyda cieszyńskiego, r. 1701 *fundata* zgorzały" (str. 168). Drugi wyjątek zaś brzmi: „R. 1712 d. 16 sierpnia we wtorek, pan dziedziczny Żywcza do wsi nazwanéj Sol umyślnie zjeżdżał, a to na oglądanie szybów starych albo studzien tam będących i ocembrowanych we środku wsi, gdzie wodę brano i sól niegdy warzono; któréj skosztowawszy rozkazał nakryć zamyślając nieco około roboty onéj, gdyż przedtém szlachetny pan Antoni Sadowski, a dworzanin jego probując onéj, z garncy wody czterech, pół kwarty soli nawarzył. A o téj soli tamecznéj tak starzy powiadają, że tam jest gdzieś sól bałwaniasta kruchowa, tylko że się brać nie da dla pogłowieństwa czyli zabójstwa dla niéj człowieka. Iż pasterz znalazł był niegdy najpierwéj tę sól w górze, w lesie Rachowcze nazwanym, nad Wisłą będącą, którą woły albo owce lizały, zbiegając się tam w to miejsce; i powiedział o tém swemu gospodarzowi, a ten jego tam zabił, żeby ta rzecz zatajona, a nie rozgłoszona była, i dla téj przyczyny, i krwi niewinnéj rozlanie, P. Bóg nie chce tego skarbu objawić, i ma być tam w tém miejscu jakoby zapadlisko, że ta sól się w ziemi zapadła, a kiedy jasne niebo bywa, twierdzą, że tam w téj górze sól trzeszczy, grzmot jakiś

wydaje w ziemi, słysząc wiele to, i o tém powiadają" (str. 329).

***Dolina Koszarawy***, prowadzi do stóp Babiéj Góry; od Żywca począwszy, dolina ta ma przeszło milę szerokości, bujnemi urodzajami okryta. Na téj przestrzeni ciągną się wioski: Przyborów, Jeleśnia, ale daléj zwęża się widocznie dolina i następna wioska Krzyżowa, już zupełnie górskie ma wejrzenie; w ogóle mało tu jest pola, a na tych widać tylko liche owsy. Tu powszechnie wszystkie pomoce znajduje podróżny do wstąpienia na Babią Górę: koni nawykłych do drapania się na góry, przewodników i nieco żywności. Z piérwszym brzaskiem puściliśmy się ztąd, dnia 30 lipca 1830 r., na ten najwyższy szczyt w całych Bieskidach. Széroki gościniec prowadzi na grzbiet zwany Bieskidem (2609 stóp); jestto droga prowadząca do Węgier, do przykomórku w Połhorze; my zaś zwróciliśmy się na lewo, na małe leśne drogi, które wyżéj także ginąć poczęły. Wstąpiliśmy pomiędzy bujne lasy świerkowe, zakrywające wszystko przed oczyma; i często można było nawet zapomnieć o wysokości znacznéj, na którą wstępowaliśmy, mianowicie wtedy, kiedy się roztacza obszerna polana z tak świéżą zielonością, jak na równinach w piérwszych dniach maja. Coraz wyżéj droga stawała się trudniejszą, z jednego potężnego wału wiodła na drugi; wdrapując się w górę, wprawne nasze konie wolniéj postępowały; wreszcie przerzedziły się świerki, zmalały widocznie, skarłowaciały, a następnie nie wyrastały wyżéj jak 5—10 stóp. Całe ich wejrzenie było schorzałe, wierzchy popsute; często te krzaki w kupki zebrane, zdają się osłaniać nawzajem przed działaniem zimna. Na grzbietach gór widać pojedyncze świerki z gałęziami w jednę stronę zwró-

conemi, ku południowi, jakby błagały, by ich ciepło życiodawcze nie opuszczało; druga ich strona zupełnie ze śpilek obnażona, przedstawiała obraz drzew liściowych w czasie zimy. Wiejące wiatry z jednéj strony, sprawiły ten chorobliwy stan drzew. Wyżéj dla wielkiego zimna, już nie mogą rość drzewa świerkowe; zupełnie tak, jak w krajach blizkich bieguna; granica ta sięga wysokości 4381 stóp. Do téj wysokości dochodzą także drzewa w przyległych Tatrach; tylko w dolinach zasłonionych wznoszą się aż do 4600, a nawet do 4700 stóp. Wyżéj inny gatunek drzew występuje, tojest kosodrzewina (pinus mughus), krzew dla łukowatéj postaci gałęzi tak nazwany. Jestto gatunek sosny nie wyrastającéj w drzewa, tylko w krzak dochodzący do wysokości naszego bzu (siringa vulgaris). Właściwa sosna nie rośnie nigdy w takiéj wysokości, nawet jodły i świerki; pod Żywcem pokazuje się sosna i zachodzi nieco w góry, ale wyżéj zupełnie jéj niéma i to dowodzi, że kosodrzewina jest właściwym gatunkiem. Odtąd góra zaczyna się wznosić nagle, a ztąd też konie zostawiwszy trzeba się pieszo drapać na szczyt. Postępowaliśmy po niezmiernych przestrzeniach zarosłych trawą, na których liczne stada się pasły. Pomiędzy kwiatami cudnéj barwy, właśnie kwitły *Aconitum camnearum* z ciemno-niebieskim kolorem i owa pozioma *Gentiana ciliata* z blado-fioletową barwą. Wśród niezmiernego skwaru, dostaliśmy się wreszcie na szczyt Babiéj Góry: w cieniu zawieszony termometr, pokazywał d. 31 lipca 1830 r. $+18\frac{1}{2}^0$R., w barometrze zaś zniżył się merkuryusz do 279 linij paryzkich. Porównana ta wysokość kolumny mojego barometru, z barometrem obserwatoryum krakowskiego w jednymże czasie, dała wyniesienie tego potężnego wirchu nad mo-

rze 5,393 stóp paryzkich. Widok ze szczytu Babiéj Góry dla swéj rozległości i nadzwyczajnéj rozmaitości, należy do najwspanialszych w Karpatach. Z północnéj strony mniéj jest uderzający, ale nie bez powabu: długie równoodległe grzbiety, głębokiemi dolinami poprzerzynane, ciągły się jedne za drugiemi; wdali pas srebrzysty Wisły wśród bujnych niw gdzieniegdzie wyziérał; widnokrąg ograniczały niższe pagórki, ginące w białawych dymach. Z południa cały łańcuch Tatrów leżał przed nami; jego poszarpane szczyty, wznoszą się wysoko nad przyległe pagórki, które się wydają jak niezmierna równina; w zachodniéj części Orawy nagle się zniżają, tylko jedna góra Chocz z nich wyskakuje, a daléj jeszcze na zachód znowu się podwyższają i również jak Tatry pokazują się poszarpane szczyty zwane Holami Turczańskiemi. Orawa czyli hrabstwo orawskie (Comitatus Arvensis) rozpościera się w południowéj stronie podnóża Babiéj Góry i wydaje się jak obszerna równina wzniesiona ku południowi, licznemi srebrzystémi wstęgami poprzerzynana, nad któremi ciągnie się mnóstwo miasteczek i wiosek z białemi kościołami. Wspaniałe te widoki natury zostawiają niewygasłe wrażenie na umyśle, i obejmuje duszę pewna pociecha, któréj żadne inne środki wywołać nie zdołają.

Niedaleko za Żywcem, rozwija się piaskowiec fukoidowy sięgający aż szczytu naszéj góry, z warstwami schylonemi na południe pod znacznym kątem; na szczycie leżą poziomo i mocno są zwietrzałe od ostrości klimatu; zkąd się okazuje, że nietylko roślinom i zwierzętom, ale nawet martwéj skale tak nieprzyjazne jest zimno. Piaskowiec na szczycie Babiéj Góry dzieli się na wielkie

tablice, do potężnych stołów podobne; miejsce to nazywają górale *djabła kuchnia*. Szczyt tworzy podłużny grzbiet prawie ćwierć mili długi. Boki téj góry bardzo są odmienne: południowy spada nagle, północny nierównie łagodniéj. Ze strony południowéj od Węgier, dwa razy wstępował na tę górę Staszyc w latach 1804 i 1805; do $^2/_3$ części można było jechać na koniu, daléj trzeba było iść pieszo. Przy powtórnym wstępie był świadkiem nadzwyczajnego meteorologicznego zjawiska, który dla osobliwości podaję (1):

„Dzień 1 sierpnia 1805 r. był bardzo gorący, termometr Reaumura znaczył 34° (?). Niebo wszędzie czyste, mały wiatr od zachodu. Uważałem od południa po najwyższych cyplach Tatrów, które tu ztąd oko w całym ciągu obejmuje, że często nad niemi ściągały, kupiły się i nikły małe chmurki. O godzinie 6téj powracając z Babiéj Góry, stanąłem we wsi Spytkowicach. Barometr stał na 26 cali, termometr na 19°, wilgociomierz 45 znaczył."

„Wkrótce zaczęła się okazywać chmura od zachodu, ciemna, czarna, wydobywała się coraz więcéj, a ciągnąc na wschód, rozpościerała się coraz bardziéj nad górami, w których ramię gór Sietańskich schodząc się z Bieskidami, robi w okolicach Żywca jakoby górę wielką narożną. Wiatr był od zachodu, chmura ta żadnych nie okazywała błyskawic, ani słychać było grzmotów. Elektrometr nie okazywał także żadnego skutku; lecz barometr spadł nagle na 24 cali i 8 linij. O ósméj godzinie w wieczór, od wschodu na górach Poręby, Lubienia, wzniosła się chmura szarawo-biaława. Wnet zerwał się wiatr gwałtowny i zdawał się pędzić ową chmurę sza-

(1) O Ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski, Warszawa, 1815 r. str. 83.

rawo-białą naprzeciw czarnéj chmurze ku zachodowi nad Żywieckiemi górami. W chmurze bladéj również nie widać było błyskawic, ni słychać grzmotów; ale im bliżéj nadchodziła, tém gwałtowniejszy zrywał się wicher, łamał, wywracał drzewa, obdziérał i znosił dachy. W saméj zaś chmurze widać było straszne przewalanie się: to ciemnych, to jasnych bałwanów, a szum i huk słyszéć z niéj było niezmierny. Elektrometr zaczął znaczne okazywać skutki elektryczności sklennéj. Widać było oczywiście, jak owe dwie chmury z wielką szybkością zaczęły z dwóch przeciwnych stron ciągnąć ku sobie. Wkrótce zbiły się i nagle zniżyły ku ziemi w téj dolinie, gdzie się zaczyna Raba, a któréj wędoł na kilka mil rozległy, robi to niejako kotlisko między górami Lubienia, Poręby, Rabuń, Babigóra. Przy zbijaniu się tych dwóch chmur, wicher, szum i huk tak był straszny, iż zdawało się, że zburzenie wszystkich wsi i miast w téj dolinie nastąpi; w bydle i zwierzętach wielka niespokojność".

„Po zetknięciu się tych chmur, wszczęły się nagle i nieustanne błyskania, grzmoty i piorunów bicia. W pięciu wsiach naokoło piorun zapalił w jednych gumna, w drugich chałupy, a w tym samym momencie zaczął leciéć grad, powszechnie na wielkość kurzego jaja, lecz między nim różnego kształtu sztukami lody. Te padały najgęściéj między wsią Spytkowice i Rokicin. Przy Spytkowicach spadła z powietrza sztuka lodu, która półtory stopy w długość, a stopę i trzy cale w szerokość i tyleż na grubość miała. Ja w cztéry godziny po jéj spadnięciu widziałem ją, to jeszcze 52 funtów ważyła. Była bardzo gładka i przezroczysta. Grad po téj całéj okolicy na półtory mili wszérz wszystkie zboża wybił".

„Po pilném przez dni następne badaniu i dochodzeniu skutków w tym kraju z téj burzy, okazało się, że chmura czarna od gór Żywieckich ciągnąca, dészczową tylko była, i nigdzie, którędy przechodziła, grad z niéj nie spadł, tylko dészcz i to średni. Nigdzie ani błyskawic, ani grzmotów nie było. Chmura zaś szarawo-biała wa co przez Lubień i Porębę przyszła, nigdzie także żadnéj szkody nie porobiła, ani grad, ani dészcz z niéj nie padał. Wicher tylko wszędzie z nią straszny ciągnął, szum i huk także wszędzie z niéj słyszano!"

„Lecz gdy się te dwie chmury z sobą zbiły, dopiéro wszczęte z niéj błyskawice, grzmoty i pioruny, już nieodstępnie na wschód z niemi ciągnęły; gdzie z dwóch przeciwnych wiatrów, powstał wiatr jednostały, wielki od zachodu, i też połączone chmury z rozwalaniem domów, złamaniem lasów, niósł na zachód przez Nowy-Targ, Białkę, Jaworzynę, ku Tatrom. Ale nie mogąc tych gór wyniosłego strychu przenieść, z straszną nawałą koło Trzech Wirchów, cała ta burza otarła się i niejako przewaliła się przez Magorę i Koperszady Bielskie, na Wieś Sławiańską, na Wielką, Białę, Kesmark i t. d. I wszędzie którędy szła, towarzyszyły jéj takie same nieustanne błyskawice i grzmoty, wicher gwałtowny, zrywający dachy, łamiący drzewa. Również wszędzie padał grad i niszczył w polach zboża, ale było grad pospolity; już tu nigdzie nie spadały takie sztuki lodu, jakie spadły przy piérwszém zetknięciu się tych chmur w okolicach Spytkowic".

Górale mieszkający na żyznéj dolinie Żywieckiéj i w dolinach pod Babią Górą, odróżniają się od innych żyjących na Bieskidach silniejszą budową ciała i pospolicie

są krępi, czerstwego wejrzenia. Sąto niezawodne dowody ich dobrego mienia, do czego głównie przyczynia się nieco urodzajniejsza ziemia; a potwierdzają to schlujny ubiór i porządne domki. W miarę wznoszenia się dolin, większéj nieurodzajności ziemi, i zewnętrzność w całéj postaci żywieckiego górala, traci owę swobodę. Ludzie ci czynni wielce zajmują się przemysłem, wyrabiają różne przedmioty ze swych prawie piérwotnych lasów, nadwiślańskie równiny zaopatrują gontami, grubo robionemi meblami, trudnią się tkaniną płótna, łowią kwiczoły, a wreszcie pewna część zajmuje się górnictwem i wytapianiem żelaza. Czynne to życie nie stłumiło bujności ich wyobraźni; głównie zajmują się djabłami i nieraz słyszałem opowiadających o swych przygodach z niemi, a nawet rzecz dziwna, często wypłatać im umieli różne figle.

Od Żywca prowadzą dwa bite gościńce: jeden przez górę Kocierz do Andrychowa, drugi do Suchéj.

***Góra Bieskid-Kocierski.*** Droga prowadząca od Żywca do Andrychowa, prawie przez milę jest dosyć równą, chociaż wznosi się ciągle nieznacznie, a w końcu prowadzi na wysoki grzbiet; pochyłość jego południowa nazywa się Kocierz, północna Bieskid. W miarę podwyższania się, gubią się pola zasiewami okryte, a lasy zaczynają swe panowanie. Poziérając na kolistą dolinę Żywiecką, cudny widok czeka podróżnego: rozkoszne sioła nad strumieniami, podobne do srébrnéj wstęgi gubią się w dali; bujny las świerkowy okrywa jéj wierzch 2247 stóp wysoki, a wśród niego jest dość wygodna karczma, mogąca przyjąć znaczną liczbę podróżnych nie mających zbyt wyszukanych wymagań. Bok

północny czyli Bieskid, nieco wolniéj podnosi się aniżeli południowy.

*Sucha.* Również bity gościniec łączy Żywiec ze Suchą, małém, pięknem miasteczkiem nad Skawą leżącém, wśród żyznych wzgórków na 936 stóp wysokości. Starożytny pałac Wielopolskich z obszernym ogrodem, celną jest jego ozdobą; domy podobnie jak w Żywcu, czyste i miłe dla oka; dobrze uprawna rola naokoło, świadczy o pracowitości jego mieszkańców. Od kilkunastu lat założono przy Suchéj wielkie piece do wytapiania żelaza. Ruda w okolicach jest nadzwyczajnie obfita, ale w pokładach cienkich i niebardzo wydajna; jednakże wyrabiają z niéj żelazo jedno z najlepszych.

*Maków* milę od Suchéj odległe miasteczko, leży w okolicy bardziéj górzystéj 1023 stóp nad morzem. Otaczają je dosyć znaczne równiny, dobrze uprawiane. I tutaj z rud zaczynają ciągnąć użytek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# DRUGA I OSTATNIA

## odpowiedź na repliki p. Maciejowskiego.

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

---

Na uczynioną nam w poprzednim poszycie Biblioteki i uczynione przedtém repliki przez p. Maciejowskiego, musimy odpowiedzieć raz jeszcze, lecz już ostatni.

W polemice któréj celem, żywiołem, jest bezwzględna miłość przedmiotu polemiki, poznanie prawd jakichś;— przeciąganie jéj, rozwijanie, pożądaném tylko być może; lecz w polemice, któréj celem, żywiołem, strony lub stron ją wiodących, jest tylko bezwzględna miłość swych twierdzeń, pożądaném tylko być może—jéj zakończenie.

Co do nas, nie mamy wcale powodów do utrzymywania się przy naszych twierdzeniach, jedynie przez stronność ku nim.

P. Maciejowski napisał książkę, w któréj zamierzył rozjaśnić pierwotne dzieje Polski i Litwy, tojest: pewność rysów tych dziejów wstecz na kilka wieków przeciągnąć. Wychodząc z miłości dziejów, możebyśmy nie czytając nawet téj książki, podać ją byli winni jako prawdę; lecz wychodząc z miłości prawdy, wyznać musieliśmy: że pomysły téj książki są bez dowodów.

Raz ostatni mówimy w tém piśmie o Dziejach Pierwotnych Polski i Litwy p. Maciejowskiego; abyśmy więc nie zostali odpowiedzialnymi za obudzoną polemikę o to pismo, tojest, abyśmy co do uwag naszych mylnie rozumieni lub mylnie tłumaczeni nie byli, objaśniamy raz jeszcze, a w słowach kilku, przedmiot i stan téj polemiki.

P. Maciejowski w książce swéj: *Dzieje Pierwotne Polski i Litwy*, zamierzył był co do punktów jéj głównych, dowieść to i dowodził:

1) że lud *Lygii* pomieniony w Germanii Tacyta byli to Wielkopolanie;
2) że temiż byli Ptolomeuszowi *Bulanes*;
3) że nad Elbą pierwotnemi byli *Lazowie*, szczep Słowian;
4) że obok Lazów zamieszkiwali téż Liti, idący od greckich *Lajtes*;
5) że owi *Lazi* i *Liti* przyszli daléj nad Wisłę i Niemen, i uorganizowali Polskę i Litwę.

W uwagach naszych co do każdego z tych założeń, powiedzieliśmy:

Co do 1go. Iż gdy ślady bytu słowiaństwa na południu średniego pasa Europy w wieku piérwszym i drugim ery chrześciańskiéj już pewne są; gdy rzeki z nazwą słowiańską, tąż nazwą wtedy już oznaczone (jako: *Wisła*, *Dunaj*, *Morawa*, *Lech*, *Sawa*, *Drawa* i t. p.) okazują szerokie rozsiedlenie w owym czasie tego słowiaństwa; gdy świadkowie dziejowi ówczesni: *Strabon*, *Tacyt* i *Ptolomeusz* wspominają o szeroko siedzącym w téjże stronie narodzie zowiąc go *Ligii*, *Lugii* i *Lutii*: p. Maciejowski przeto, wnieśliśmy, słusznie uczynił, iż Ligiów tych idąc za przykładem kilku swych poprzedników wziął za Słowian, i uważaliśmy tylko, iż ubikacya ich poczy-

nając od źródeł Wisły na wschodzie, rozciągać się musiała południem średniego pasa.

2. Co do twierdzenia własnego autora, iż owi Ligii v. Lugii to samo są co Ptolomeuszowi Bulones, a Bulones to samo co *Poloni, Polacy*, uwagę zwróciliśmy: iż ten pomysł utrzymać się nawet nie może jako domysł; bo Lygii ci czyli Lugii wymieniani byli jako naród germański, a Bulones jako sarmacki; bo Lygii nazywani byli narodem wielkim (Strabon, Tacyt, Ptolomeusz), a Bulones (Ptolomeusz) małym narodkiem; bo jeśliby ci Bulones to samo być mieli co późniejsi Polacy, Poloni, tedy nazwisko to trwaćby musiało bez przerwy; mimo jednak licznych historyków i geografów, opisujących szczegółowie plemiona nad Wisłą a mianowicie między Elbą i Wisłą (geograf *Bawarski*, *Eginhard* i t. p.) żaden przed wiekiem Xtym nie wspomniał tu nazwiska Poloni (1).

(1) Co do śladów nazwiska Polski przed wiekiem X, rzecz ta w obecnéj polemice tak się ma: Znajdując nazwiska *Polska, Polonia* (pierwsze wzmianki wyrazu *Polonia* w życiu śgo Wojciecha u Dytmara i t. p.) w wiekach dopiéro jéj chrześciaństwa, utrzymywaliśmy, iż nowe to Polski nazwisko, nadane zostało Lechii dopiéro po przyjęciu chrześciaństwa. Nie iżbyśmy nie żądali widzieć tego nazwiska i dawniéj, lecz że nie widzieliśmy go. P. Maciejowski w *Dziejach Pierwotnych* wyszedł z twierdzenia, iż nazwisko Polski od czasów *Bulones* Ptolomeusza, bez przerwy przez wszystkie wieki było wzmienianém. Za dowód przytoczył starożytny poemat niemiecki (Boewulf etc) mający opisywać wypadki z wieku VIII, a w którym jest słowo *Pulinaland*, oraz kroniki zbiorem Pertza objęte. Świadectwo poezyi pominęliśmy, jako świadectwo poezyi. *Królodworski Rękopism* ma opisywać także wypadki z wieku VIII lub IX, świadectwa jego wtedy tylko jednak moglibyśmy przyznać za historyczne. gdyby były dodatkiem do historycznych (*a*). Co do Pertza, autor w *Dziejach Pierwo-*

(*a*) Najdawniejszym zabytkiem poezyi bohaterskiéj Niemiec, jest *Pieśń o Hildebrandzie* (VII—X wieku) vide: W. Grimm: *De Hildebrando antiquissimi Carminis Teutonici fragmentum.* 1830. ...„Das *einzige* rhapsodische Lied das uns ein Zufall aus dem VIII Jahrhundert erhalten hat—das *Hildebrandlied*" etc.

3. Za dowód pierwobytności Słowian nad Elbą, przytoczył p. Maciejowski dawne ubikacye słowiańskie nad Elbą i kodex pomorski; uwagę zwróciliśmy, iż ubikacye te są dowodem *dawności* Słowian w tych stronach, lecz nie ich *pierwobytności*, gdyż: 1) wieki I i II nie znały

*tnych*, jak uważaliśmy. nader lubił szczegółowe cytacye, a zwłaszcza z Pertza; ilekroć jednak wspomniał o wzmiankach Polski przed wiekiem X, cytował tylko regestra Pertza, nie tomy i karty. W uwagach naszych, twierdzeniom autora nie zaprzeczyliśmy, lecz użaliliśmy się, iż nie oznaczył przynajmniéj nazwiska kronik. W replice 1széj powiedział p. Maciejowski, iż może nam przysłać te kroniki; odpowiedzieliśmy na to: iż książka jego pisana jest nie dla nas, ale dla powszechności, i że gdyby *nas tylko* przekonał, byłoby to obojętném dla powszechności. W replice 2giéj wymienił więc p. Maciejowski kilka cytacyj tomów i kart zbioru Pertza, a mianowicie jak następuje: I. 83, V. 94, 112, VI. 593, VII. 118, 129, VIII. 630, IX. 240, 311. Zbiór Pertza (całkowity exemplarz tego zbioru, tojest wszystkie tomów IX, posiada Biblioteka tutejszéj Akademii Duchownéj) cytacye te objaśnia jak następuje: tomy I i V na k. 83, 94, 112 wymieniają nazwisko Polski pod latami 1032, 1015 i 1109, w rocznikach ś. Galskich i Hildershejmskich. Tom VI. 593, jest cytacya z *życia ś. Wojciecha* pisanego (jak sam przedmiot wskazuje) już po wprowadzeniu do Polski chrześciaństwa. Tom VII. 118, wzmianka o Polsce pod r. 1004 w kronice *Herimanni Augiensis* pisanéj w w. XI. Tom VII 129, wzmianka z téjże kroniki pod r. 1050. Tom VIII. 630, wzmianka o Polsce pod r. 982 w *Annaliście Saxo* kronikarzu z w. XII. Tom IX, 240, biografia *Gundechara* pisarza z w. XI przez wydawcę. Tom IX. 311, wzmianka o Polsce w Mag. *Adami* gesta Hamburgensis Ecclesiae Pontificum, pisarza z końca w. XI. Nie wiemy więc co miały oznaczać cytacye powyższe, ale to wiemy, iż nie dowiodły iżby wzmianki nazwisk *Bolonia*, *Polonia*, *Bulena* i t. p. napotykały się w kronikach przed wiekiem X. Mówi p. Maciejowski (w ostatniéj replice), iż wkrótce w rzeczy téj, pióro trzecie wystąpi i przedstawi dowody stanowcze; skoro przedstawi, nie zaprzeczymy im, lecz nie powiemy, iżby je przedstawiły *Dzieje Pierwotne*.

*Handb. der Geschichte der Poetischen National-Literatur der Deutschen, von G. G. Gervinus* k. 66. 1844. To ostatnie świadectwo dlatego mianowicie tu przytaczamy, iż jest o lat 10 późniejsze od cytowanéj przez p. Maciejowskiego broszurki, wydania Henr. Leo.

jeszcze na północy średniego pasa słowiańskich nomenklatur (rzeki np. *Warta*, *Odra* nazywane są nazwiskami całkiem odmiennemi, najprędzéj gockiemi) i 2) iż historycznym jest faktem, iż ludy pierwotne między Elbą i Wisłą (zwane wandalskie), wyniosły się w wieku III i poszły na południe i zachód.

4. Co do *Lazów* nad Elbą, mając ich istotnie za *Lachów*, uważaliśmy: iż gdy nazwisko to Lachów było i jest dotąd (tak w kraju jak i u plemion sąsiednich, a nawet na całym Wschodzie) nazwiskiem ludu nie stanu, gdy pierwiastek jego jest *polskim* nie *saskim*, gdy jego źródłosłów od równin właściwszym był równinom Wielkopolskim jak bagnom i łasom zachodnim, i gdy wreszcie sam przyrodzony bieg rzeczy uczy nas o rozsiedleniu się plemienia z wschodu na zachód, dzieje zaś nie przechowały nam faktu migracyi na odwrót (1); przeto, nie Lazów nad Wisłą za pochodzących od Lazów nad Elbą, ale Lazów nad Elbą za pochodzących od Lazów nad Wisłą uważać należy.

(1) Dwa są wskazane przez autora *Dziejów Piérwotnych* dowody migracyi Lazów, z nad Elby: 1) ubikacye w Wielkopolsce gór i innych miejsc od *lech* dowodem są oczywistym, mówi, iż Lachowie od Elby nad Wisłę przez miejsca te wędrowali. 2) Wzmianka u Galla, iż Lazowie za Karola W. przybyć mieli ku stronie Polski.—Ubikacye miejsc są dowodem nie wędrówek, ale zamieszkiwania plemion, lecz gdyby nawet miały być, jak chce autor, śladem wędrówki, tedy owe miejsca Wielkopolskie od Lech równieby mogły stwierdzać, iż Lachowie wędrowali z nad Elby ku Wiśle, jak i to, że wędrowali przez nie od Wisły ku Elbie.—Gallus mówi (tłumacząc powód zkąd znaleźli się w Prusiech Niemcy), iż według wieści, prześladowani przez Karola W. Saxonowie, przybyli tu na okrętach. Wieść ta, lub była bajką, lub prawdą; jeśli bajką, jest więc dowodem żadnym; jeśli prawdą, wykłada więc powód i fakt, przybycia Niemców do Prus, nie Lazów do Wielkopolski.

5. Co do wywodu *Litwy* od *Litów* greckich, tojest: 1) od *Laytes* (cudzoziemców), którzy być mieli w Grecyi; 2) od pułków *Lites* (pułków cudzoziemskich), które być miały w cesarstwie wschodniém; 3) od *Litian*, którzy być mieli najemnikami w cesarstwie zachodniém; 4) od *Litów v. Lidów* klassy ludu w Niemczech za Karlowingów, uważaliśmy: iż wywód taki był tylko zabawką myśli uganiającéj się po dziejach za głoskami *l. t.* i *d*, zabawką nie zważającą na moralną niemożność podobnéj genealogii wewnątrz, a nie przedstawiającą żadnych dowodów zewnątrz. Dodaliśmy przytém, iż historya nic dotąd pewnego nie ma o pułkach *Lites* w wiekach III i IV w cesarstwie wschodniém (1), i że to co autor przytoczył z Jornanda o *Litianach* jako żołnierzach rzymskich, historyk ten mowi to o Imbrionach nie o Litianach (2).

Co do podobieństw moralnych, tojest w dziejach wewnętrznych, które upatrzył autor między Lazami i Litami nad Elbą a Lachami i Litwą nad Wisłą i Niemnem, uwagę zwróciliśmy, iż te, które autor wskazał, niewiększe są, jak podobieństwa głosek do głosek, i słów do słów, przez ludzi ziemskich w ogóle wymawianych.

Pomijamy zaś tu wreszcie, chociaż należące także do punktów głównych (albowiem obejmujące pół książki) przedstawienie przez autora w *Dziejach Pierwotnych* systemów mitologijnych Polski i Litwy; przedstawienie to bowiem za fatalizme tylko zapomnienie się jakieś na

(1) O bytności *Litów* i *Litian* jako żołnierzy rzymskich, odwołuje się p. Maciejowski do *Zeussa*, którego dzieło równém jest źródłem do wieków III i IV jak *Dzieje Pierwotne*.

(2) Wydrukowane kursywą w jednéj z replik p. Maciejowskiego, niektóre słowa cytacyi z Jornanda, nie przeniosły wcale wyrazów *quondam milites Romani* do nazwiska *Litiani*.

prosty szyk wyobrażeń przez cały ciąg wykładu, poczytujemy.

W tych szczegółach przedstawiliśmy nasze zdanie o Dziejach Pierwotnych. Zwróciliśmy czytelników uwagę na zalety dykcyi téj książki, zalety w niéj pracy, zalety niektórych ustępów, lecz dodaliśmy, iż co do teoryi systemów głównych, jedne z nich (jak genealogia Litów, systemy mitologijne i t. p.), udowodnić się nigdy nie mogą; inne: jak przyjście Lachów i Litów z nad Elby do Polski, bytność imienia Polski od czasów Ptolomeusza, pierwobytność Słowian nad Elbą i t. p. iż nie zostały w *Dziejach Pierwotnych* udowodnione.

Trzy repliki odpisał nam p. Maciejowski, lecz repliki te zamiast przedstawienia nowych a lepszych dowodów, rząd tylko słów niezadowolenia, urazy, zarzutów osobistych i nauk obyczajowych do nas zwróciły. Na zarzuty braku dowodów o Litach, Lazach, Bulonach, Polonii, systemach mitologijnych, odpowiada nam autor (vide mianowicie ostatnią replikę), iż „nie umiemy nic nigdy powiedzieć zastanowienia godnego, postępowego; iż nie wiemy jak się pisze historyą; iż nie wiemy co jest historya" i t. p.

Na zarzuty te osobiste nie odpowiemy w replice naszéj nic wcale; jesteśmy stroną, nie mamy przeto równie prawa jak p. Maciejowski w przedmiocie tym wyrokować. Lecz przypuśćmy, iż to wszystko co przeciw nam mówi autor jest prawdą, lub przypuśćmy, iż to wszystko co mówi jest fałszem: jedno i drugie nie podstawi bynajmniéj dowodów Dziejom Pierwotnym.

W treści replik kładł wprawdzie p. Maciejowski i pewne dowody, lecz te dowody sam nawet zapewne raczéj miał za próżne słowa i próżne wywody, jak za

dowody. W ostatniéj mówi np. po trzykroć czy cztérykroć, iż wszystko cośmy powiedzieli w naszych odpowiedziach jest fałszem; gdyby p. Maciejowski przypuszczał, iż wywody które obok postawił, obudzą w umyśle czytelników toż wyobrażenie o którém twierdził, nie uznałby zapewne potrzebném powtarzać sam swego twierdzenia po trzykroć i cztérykroć.

Dowody, które składają treść replik p. Maciejowskiego, sąto, że mamy prawo tak się wyrazić: owe z kart domki które stawiają dzieci, a dla których dosyć dmuchnienia iżby się obaliły; i owszem, które nawet bez dmuchnienia nieraz same się obalają. By wskazać jak łatwém jest autorowi położyć wszelkie twierdzenie, jak mu jest obojętnym grunt twierdzeń; zbliżymy tu tylko kilka a wziętych z przed oczu czytelnika, z treści saméj polemiki.

W odpowiedzi 1széj (Biblio. II. 279), twierdził p. Maciejowski, iż Lygiów i Bolan w swéj książce nie brał za jedno; w odpowiedzi naszéj (II. 293) przytoczyliśmy własne słowa autora, z których się okazało, że je brał za jedno.— W odpowiedzi Iszéj zaprzeczył nam autor, iż kilka różnych wieków naznaczył pielgrzymce Lachów z nad Elby, i mówi, iż co się tyczy przyjścia ich ztamtąd w wieku Vtym, powiedział to p. Palacki (II. 280); w odpowiedzi naszéj (II. 193) przywiedliśmy własne słowa autora z *Dziejów Pierwotnych*, z których się okazało, że nie p. Palacki ich użył, ale sam autor i owszem, że na twierdzeniu tém wykreślenie swéj mappy oparł.— W odpowiedzi IIgiéj (II. 525) powiada p. Maciejowski: iż każemy mu jakby na urągowisko szukać tego w Ptolomeuszu co tam nie stoi, tojest: że od Sarmacyi Germanią Wisła przedzielała; i dodaje, iż jedno jest tylko miejsce

w którém tę granicę określał; w ostatniéj zaś (II. 147) odpowiedzi, mówi: „po dwakroć wskazał położenie jéj Ptolomeusz" i to mowiąc sam przytoczył, te określenia z Ptolomeusza, z których każde toż twierdzi, iż *od wschodu* granicą Sarmacyi była Wisła.— W uwagach naszych (I. 577) powiedzieliśmy, iż najpodobniejszym do prawdy jest wywód, że to nazwisko *Polacy*, powstało ze złożenia przyimka *Po* i nazwy *Lacy*. P. Maciejowski w odpowiedzi (II. 275) powiada; żeśmy nazwisko *Polacy* wyprowadzali od *polania* (wodą święconą) i dodaje: „atoli domysł ten dawno już wyśmieli poprzedni dziejów pierwotnych rozważacze" (1). — Wuwagach naszych (II. 153) wskazaliśmy na niektóre chronologiczne omyłki w wykréślonéj mappie przez autora, jak np. że Elba oznaczona tu rokiem 79, kiedy już wiekiem piérwéj wymienił ją po kilkakroć Strabon; że Chronus oznaczony jest rokiem 300, kiedy Ptolomeusz wymienił go na 200 lat piérwéj; p. Maciejowski w ostatniéj replice swojéj mówi do czytelnika Biblioteki: „niechaj wykaże, że wcześniéj jak wyraziłem na mappie znajomsze być zaczęły biegi rzék".— W odpowiedzi (II. 525) zacytował p. Maciejowski Roczniki S. Galskie i Hildershejmskie, jako mające obejmować wzmianki nazwiska Polski z wieku IX; postawiliśmy dosłowny wypis miejsc cytowanych (II. 791) i okazało się, iż nie są to wzmianki z wieku IX, lecz XII.— Twierdzenia więc autora replik widzimy łatwo się stają, lecz téż łatwo i upadają, i owszem, nieraz znoszą się same.

Musimy téż jeszcze objaśnić te kilka twierdzeń, które miéć mogą niejaki pozór z ostatniéj repliki (2).

(1) Cieszymy się, iż autor musiał podstawiać nam fałsze, iżby miałczemu zaprzeczać.

(2) Mówimy objaśnić: wszelki bowiem zarzut i dowód, który przeciw nam autor stawi, wymaga tylko zwykle wyjaśnienia, nie odpowiedzi.

Na zarzut użycia w dwóch rozumieniach sprzecznych cytacyi Theofilakta, powiada p. Maciejowski, iż na stron. 430 swego pisma nie cytował go, ale prostował; nie zaprzeczaliśmy, lecz dlaczegóż na karcie 289 popierał się tém świadectwem, jeśli na karcie 430 miał je prostować?

Mowi daléj, iż nie zaprzeczał, iżby *świet* nie miał dawniéj oznaczać *światłości* i *świata*. Oto są własne słowa p. Maciejowskiego w *Dziejach Pierwotnych*. „Wit słowiański jest dosłownem tłumaczeniem niemieckiego *Wuotana* i oznacza władnące *światem*, *świet* (porównaj u Miclosischa światati), tojest *dzienną światłością* kierujące bóstwo. Przeciwnie, świat w dzisiejszém znaczeniu, nazywa się w słowiańskiém u Miclosischa *Mir*". (*Dzieje Pierwotne* 136). Widzieliśmy, iż Miclosisch nie świadczył wcale jak to musiał wnosić czytelnik z cytacyi, iż *świet* w starosłowiańskiém oznaczał tylko *światłość* lub żeby *świat* i światłość w starosłowiańskiém były jednością. Wypisujemy teraz co mówi tenże pod wyrazem *mir*: „Mir εἰρήνη pax. Luc. 7. 30. smiriti et smiereti καταλλατειν reconciliare, ταπεινον humilem reddere. Matth. 18. 4. Cf. pol. śmiara psal. sec. XIV. 9. 12. boh. smjriti lus. sup. mjer. -- Deriv. a scr. mê mutuari unde etiam miena μεταβολή permutatio. Sir. 13. 11. Zmieniti ανταλλάττειν permutare. Lit. mainas." *Rad. lingu. slov. str.* 49. — Czytelnik widzi, iż Miclosisch nie mówi nawet iżby *mir* oznaczał *świat*, i że odwołanie się do niego przez p. Maciejowskiego stwierdza, iż nie dla myśli, ale raczéj tylko dla oka zwykł stawiać cytacye.

Powiedział p. Maciejowski w *Dziejach Pierwotnych*, że Litwa od czci przyrodzenia t. j. od Mendoga postąpiła do czci ciał niebieskich i światła, i wreszcie do zebra-

nia i połączenia bóstw z całéj północy (jak niegdyś połączył był Rzym z całego południa). W ostatniéj replice ścieśnia tę całą północ do małéj cząstki i mówi, że po Mendogu Prusy były jeszcze pogańskie, bo jeszcze w r. 1283 Krzyżacy ich nawracali.

Autor, który lat 30 zajmował się mitologią litewską i polską, dziwimy się, iż zapomniał, że Litwa nic nie miała do przejmowania od Prus po Mendogu do swéj mitologii, bo mitologia litewska i polska na długo przed Mendogiem była jedną i tą samą; mówią o tém Duisburg w *Kronice pruskiéj*, Stryjkowski w *Kronice litewskiéj* (1) i t. p.

Mamyż wreszcie wspominać ten wykład ubikacyi Bolan według Ptolomeusza, który autor na dwóch stronnicach przy początku repliki swéj ostatniéj umieścił, a w którym jak zapowiedział, zamieszkiwania ich po lewéj stronie Wisły miał naukowie dowieść? Wykład ten położył autor oczywiście nie dla nas, ale dla czytelnika; czytelnik tylko niech się tém więc obraża, co mu autor za naukowość podał. Ubikacya ludu Bulones

(1) *Duisburg* mówi, iż w pośrodku Prus było miejsce zwane *Romnowe*, gdzie mieszkał *Krive*, którego władza religijna tém była dla Prus, Litwy i Inflant, czém władza papiezka dla reszty Europy katolickiéj. „Fuit enim in medio nationis hujus perversae (Prussiae) scilicet in Nadrovia locus quidam dictus Romov, trahens nomen suum a Roma, in quo habitabat quidam dictus *Crive*, quem collebant pro Papa; quia sicut Dominus papa regit Universalem Ecclesiam fidelium ita ad istius nutum seu mandatum, non solum gentes praedictae sed et *Lethovini* et aliae nationes Livoniae terrae regebantur". Duisburg Chronicon Prussiae Cap. IX. — Podobnie Stryjkowski: „Temu tedy Kirejtowi najwyższemu biskupowi bałwanów swoich, Prussowie pod dębem nad podziwienie szeroko rozłożystym, kościół wielkim kosztem zbudowali, i główne miasto to na owém miejscu założyli, które Romanowa albo Romnowe od Rzymu nazwali, jakoby rzekł: Rzym-nowy. Tam na ofiarę bogowi Piorunowi, tak Prussowie, jako Żmudź

u Ptolomeusza nader jest jasna i wykład jéj nie potrzebuje bynajmniéj dwóch stronnic. Geograf ten mówi, iż po prawym brzegu Wisły leży Sarmacya, i że w téj Sarmacyi jest lud *Bulones*; oczywiście więc owi Bulones byli także po prawym brzegu. Mówi także (jakkolwiek bez objaśnienia kierunków), iż lud ten siedział między Finnami którzy zamieszkiwali przy ujściu Wisły, a Awarynami, którzy zamieszkiwali u źródła Wisły, a zatém że zamieszkiwali wzdłuż Wisły; wszystko więc co autor dodaje o téj przestrzeni ziemi która się rozciągała za źródłem téj rzeki, o górach Sarmackich, o podrzędnych psiarzach niemieckich (1) i t. p., jest zupełnie od rzeczy

i Litwa, ogień ustawiczny palili". „A to Romnowe (dodaje kronikarz po wyliczeniu innych bogów) to miasto pruskie, gdzie były te ich bałwany i ten ich biskup Krywejto, Bolesław Chrobry król Polski, spalił i zburzył roku 1017 (na parę wieków przed Mendogiem)". Późniejsze Romnowe żmudzkie, było jak to wiadomo przeniesieniem tylko i dalszym ciągiem owego w Prusach zburzonego. — Dodajmy z okoliczności, iż tak według Stryjkowskiego jak Duisburga, owi dawni Litwini i Prusowie czcili światła i ciała niebieskie: (errando omnem creaturam pro Deo coluerunt, sive solem, lunam et stellas, tonitrua" etc. *Duisb*), czcili więc światło i ciała niebieskie (przypominamy tu znowu) nie po Mendogu, jak mówi system autora, lecz przed Mendogiem. By dowodzić błędności systemów w *Dziejach Pierwotnych*, nie książkę oddzielną o mitologii (jak tego chce autor) należy pisać, ale dosyć jest wskazać na każdy pierwszy lepszy w téj rzeczy fakt historyczny.

(1) Niespodziany też, a dosyć szczególny uczynił nam autor tu zarzut, jakoby rozciąganie Germanii Ptolomeusza po Wisłę, było potakiwaniem dzisiejszym dziennikom niemieckim antisłowiańskim. Dzienniki te w rozumowaniach swoich (ile je znamy) nie uciekają się wcale do starożytnych nomenklatur. Jak jedno i toż samo plemię słowiańskie (leskie) rozsiedliło się od Wisły ku Elbie, po wyniesieniu się ztąd Wandalów ku południowi (już po wieku Ptolomeusza), jak następnie w wiekach XI i XII, Niemcy z Saxonii i od oceanu przybyli, podbili i przenarodowiali nad Elbą, to plemię, posuwając się coraz na wschód, wskazaliśmy na to w *Uwagach*, mowiąc językiem p. Maciejowskiego: „kompilując" to-

odrębném, i nie należy bynajmniéj do ubikacyi Bolan. W tém co autor powiedział (poprawiając jak rzekł naszę naukową niezdolność), w tym wykładzie swym o położeniu Bolan Ptolomeusza, o stosunku tych Bolan do Polaków w Rocznikach Sto-Galskich i Hildershejmskich, autor rzeczywiście okazał i naukową zdolność, i jeżeli chce tego, naukowy talent: talent wszakże nie rozjaśniania kwestyj, ale ich zacierania.

Na odpowiedź, jeśli nam autor jaką uczyni, nie damy już żadnéj.

Wiemy z góry jaka tylko być może, i wiémy z góry iż nie znaleźlibyśmy nic nowego do odpowiedzenia.

Może więc p. Maciejowski raz jeszcze rzec to i to dowodzić: że w swych założeniach, wywodach, cytacyach w Dziejach Pierwotnych, był prawdą uosobioną; że co do nas, wszystko cośmy rzekli w Uwagach nad jego pismem, jest zerem; żeśmy nie wydobyli nigdy z siebie i jednéj myśli; żeśmy nie położyli nigdy na piśmie i słowa prawdy; że nie znamy i głoski z tego, co jest historya; że owszem nie znamy nawet coto jest głoska; na to wszystko nie odpowiemy autorowi Dziejów Piérwotnych już nic, — przynajmniéj w tém piśmie (1).

jest, przytaczając rzeczywiste i znane fakta dziejowe. P. Maciejowski w swém piśmie *Dzieje Pierwotne* zamiast podawania Słowian między Elbą i Wisłą za plemię *poprzednie* w tych miejscach od dzisiejszych w tych stronach plemion niemieckich, podał je za *pierwobytne* w tych posadach. W książce swéj wyszedł z twierdzeń *a priori*, rozwinął ją w systemach już krzywych, już bezdowodnych, i podał przez to tylko broń łatwą owéj stronie przeciwnéj, o któréj mówi.

(1) Redakcya Biblioteki ze swéj strony oświadcza, iż przedmiot powyższéj polemiki uważa nateraz za wyczerpany, i stronom, jeślibyją chciały przeciągać, inne pisma wskazuje.

*P. R.*

# KRONIKA LITERACKA.

*Wykład prawa handlowego przez J. A. Rogrona adwokata przy Radzie Stanu i przy Sądzie Kassacyjnym francuzkim, przełożył Jan Szymanowski podprokurator przy Sądzie Apellacyjnym Królestwa Polskiego, z dodaniem przypisów z najcelniejszych autorów czerpanych, jako też własnych uwag zastosowanych do prawodawstwa i jurysprudencyi krajowych. W Warszawie, w drukarni Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości,* 1848 *r. str.* 780 *w* 8*ce.*

Otóż i trzecie tłumaczenie kodexu handlowego francuzkiego w kraju uskutecznione, pierwszy kommentarz nad tém prawem, jak równie po raz pierwszy rozwiązanie ważniejszych miejscowych kwestyj i wątpliwości jakie toż prawo w stosunku do prawodawstwa krajowego nastręcza. Wyznać trzeba, iż oddział ten prawa, od niejakiego czasu obudził u nas dość żywe zajęcie: niejedna użyteczna praca, badanie, pomysł, stały się własnością publiczną, a nowe rychło przybywają; miałożby to być wyłączną oznaką uznania miejscowych potrzeb, skazówką kierunku i popędu przemysłowego, tak uwydatniającego wiek nasz? Co bądź, tego rodzaju prace, zawsze prawie użyteczne, pożądanemi być nie przestaną.

W ogólności wykład prawa handlowego, którym nas autor obdarzył, odpowiada w zupełności, założonemu przez

niego celowi. Dzieło to jaśnie i dostępnie oddaje literę prawa, pokrótce i praktycznie rozwija treść i zasady takowego, nie pomija subtelniejszych kwestyj, i nawet że tak rzekę, domowych. W ubogiéj naszéj literaturze prawnéj jest zjawiskiem pocieszającém, że przecież może doczekamy się z kolei podobnych prac w innych oddziałach prawa. Bo téż powiedzmy sobie prawdę choć gorzką. Kraj od 40 lat rządzi się prawami cywilnemi zkądinąd przyjętemi, tyloliczne spory sędzia podług nich rozstrzyga, kwestye się rodzą, potrzeba ich jednostajniejszego pojęcia i decydowania trwa, konieczność jurysprudencyi widoczna i nagląca; my przecież dotąd, nietylko nie mamy zebranych i publicznie roztrząśnionych tych ważnych spostrzeżeń i uwag, które gdzieindziéj jurysprudencyą ustalają, lecz brak nam gruntownych, nawet elementarnych wykładów samego prawa: żadnego zbioru ważniejszych spraw, wyroków, żadnego historyografa biegu sądowego, co zaś nadewszystko zadziwia, krytycznie wytłumaczonéj saméj litery prawa dotąd nie posiadamy. Odrętwienie i obojętność nie do usprawiedliwienia! Nie brak nam wszakże prawników li sądowych, linia obrończa z tylu zdolnych i odznaczających się głów złożona; dlaczegoż ten brak pracy, dzieł umysłu, podnoszących cześć dla prawoznawców, których stary Rzym wyroczniami państwa *oracula civitatis* mianował? Cóż w spadku zaszczytnym mijające pokolenie nadchodzącemu pozostawi, które w porządku moralnym świata, więcéj od poprzedniego znać, umiéć i lepiéj chciéć powinno?

Winniśmy przeto przedewszystkiém panu Szymanowskiemu, za jego pracę, za jego piérwszy, jasny i porządny kommentarz, imieniem literatury krajowéj publiczną oświadczyć wdzięczność, i uznaniem rzeczywistéj wartości jego dotychczasowéj pracy, zachęcić go do przedsięwzięcia innych; dobre jego chęci, zdolność znakomita, rękojmią już są dla ogółu o użyteczności następnych.

Ponieważ zaś zdaniem naszém, dobre jedynie dzieła zasługują na najściślejszy rozbiór i krytykę; szczegółowe przeto uwagi i spostrzeżenia, które poniżéj zamieścim, niech

przekonają autora, i o szacunku jaki mamy dla jego osoby, i o szczeréj chęci udokładnienia, o ile to być może jego pracy, a tém samém zwiększenia jéj użytku.

Uznając trafność planu autora, pragnęlibyśmy widzieć dzieło jego podręcznem, lecz także dostatecznym kursem wykładu prawa handlowego; i da to się uczynić, jeśli szanowny autor, niektóre przerwy zapełni, słabiéj oddane miejsca jasnym wykładem wzmocni, i proponowane przez nas poniżéj uzupełnienia, uskuteczni.

W przedmowie autor obok powodów usprawiedliwiających plan jego dzieła, zamieszcza użyteczne dla uczących się wiadomości i uwagi; życzyćby należało dla całości wykładu, aby wiadomości te luźnie rzucone, do oddzielnego artykułu pod tytułem: „Literatura prawa handlowego" przeniesionemi zostały. Bardzo to chwalebny jest zwyczaj dzisiejszych pisarzy, na czele swéj pracy chronologicznem zacytowaniem dzieł przebiedz pokrótce niejako zawiązek, wzrost, bieg i obecny stan nauki; rzucić małe, treściwe uwagi nad przemianami, postępem téjże i wartością celniejszych w niéj dzieł. Prawo handlowe francuzkie, będące dotychczas normą dla stosunków handlowych, jużto w pierwotnym, jużto w przekształconym swym co do redakcyi stanie w niemałéj części Europy, zasługuje na podobny wywód. Niemałe ułatwienie, jak to dobrze autorowi wiadomo, znaleźć można w téj mierze w rozprawie pana Pardessus: „*Étude du droit commercial*" zamieszczonéj w lym tomie dzieła Dupena „*Profession d'Avocat*" i w dziele ostatniego „*Bibliothèque choisie des livres de droit.*"

Że zaś prawo handlowe rozliczne mieści w sobie oddziały czynności i stosunków handlowych, oddzielny rodzaj zatrudnień wielu ludzi stanowiące, byłoby do życzenia, aby artykuł przez nas proponowany, obejmował w sobie w każdym z tychże oddziałów, wykaz najlepszych pisarzy. Oddziały te są: handlujący, książki handlowe, wspólki, agenci zmiany, kommissanci i t. d. Każdy wedle swéj chęci lub potrzeby, mieć będzie wskazane sobie czyste źródło porady i nauki.

Przystępujemy do szczegółowych uwag i spostrzeżeń:

Art. 1. Wyrażenie się prawa:

„*Sont commerçans ceux, qui exercent des actes de commerce, et en font leur profession habituelle*"

niedostatecznie oddaje tłumacz w sposobie:

„Handlującemi są ci, którzy wykonywają czyny handlowe i z takowych robią sobie *zwykłe zatrudnienie.*"

„Zwykłe zatrudnienie" nie maluje pojęcia jakie do professyi przywiązujemy; wyrażenie się to nie mieści w sobie zamiaru, celu, jakie professyonistom towarzyszą.

Szkoda iż nie mamy w języku polskim na wyraz „professya" odpowiedniego wyrazu; lubo wyznać musimy, iż nam się podoba wyrażenie „sposób do życia" bo mieści w sobie jakieś namaszczenie religijne, moralne i towarzyskie. Wszystkich co się ludźmi zowią powołuje do trudu i to osobistego, i przypomina im, że w związku towarzyskim warunek piérwszy i nieodzowny ich bytu jest: praca, a dopiéro życie. Mimo to w dzisiejszym stanie języka byłoby najstosowniéj, gdyby tłumacz wiernym pozostał swojéj zasadzie w końcu przedmowy zamieszczonéj: że lepszy jest zrozumiały makaronizm, niż niezrozumiały puryzm i użył wyrazu „professya". Jeśliby jednakże tłumacz koniecznie obstawał przy swém tłumaczeniu, niechby przynajmniéj przyjęte przez siebie wyrażenie wzmocnił, lub tak jak niektórzy niemieccy pisarze czynią epitetem „główne zatrudnienie" *Hauptgeschäft,* lub téż dodaniem wyrazu „zatrudnienie życia".

Art. 4. W miejsce przekładu: „żona nie może się trudnić handlem „*la femme ne peut être marchande publique*" ściśléj byłoby i dobitniéj powiedzieć:

„Żona nie może prowadzić handlu". Wyrażenie tłumacza nie usuwa téj wątpliwości czyli jest mowa o żonie wspierającéj męża w czynnościach handlowych, i tym sposobem trudniącéj się handlem, czy téż o prowadzącéj handel na swoję rękę, o czém właśnie prawo mówi i co téż w przekładzie jaśnie oddaném być winno.

Art. 15. Wyrażenie się prawa: „*la représentation des livres*" oddał tłumacz zamocno przez „złożenie ksiąg"; odpowiedniejszém naszém zdaniem byłoby użycie wyrazu „okazanie", gdyż przy kommunikacyi złożenie ksiąg rzeczywiście uskutecznia się stronie lub komu wypada, przy reprezentacyi tylko ich okazanie przez handlującego ma miejsce, dla chwilowego użytku sądu lub strony przeciwnéj.

Materya o współkach w ostatnich czasach znakomicie przez pisarzy francuzkich opracowana, wiele zyskała na jasności i nowym rzeczy poglądzie. Byłoby pożądaném, żeby autor z dzieł np. Troplonga, Delangla (*), niektóre nowe widoki tych pisarzy przeniósł do swego wykładu.

Art. 18. Dla uniknienia dwójznaczności, zamiast „kontrakt współki urządza prawo cywilne, szczególne ustawy handlowe i umowy stron", zamieściéby należało słowo w liczbie mnogiéj „urządzają" a wszelka wątpliwość zniknie.

Art. 34. Przekład textu: „*Le capital de la société anonyme se divise en actions et même en coupons*; „na kupony" nasuwa u nas pojęcie odrębne, zkądinąd czerpane: lepiéj unikać wyrazu różnoznaczącego, tyle w inném znaczeniu upowszechnionego i powiedzieć: „na części akcyi" lub podobnie.

Art. 40. „Współki bezimienne nie mogą być ustanowione jak tylko aktami urzędowemi": „*Les sociétés anonymes ne peuvent être formées que par des actes publics.*"

Tłumaczenie wprawdzie wierne, wyrazy polskie, lecz tok i składnia francuzkie; w książce do tak powszechnego użytku służyć mającéj, słowem elementarnéj, wystrzegać się zwrotów obcéj mowy należy.

Art. 54. *Le délai pour le jugement est fixé par les parties, lors de la nomination des arbitres; et s' ils ne sont pas d'accord sur le délai il sera réglé par les juges.*

(*) Commentaire du contrat de société en matière civile et commerciale par Troplong, suivi du commentaire sur les sociétés commerciales par Delangle. Bruxelles, 1843.

Przekład: „Termin do wydania wyroku oznaczają strony przy mianowaniu sędziów polubownych; a jeżeli nie zgadzają się na termin, sędziowie go zakréślą.“

Użycie przez tłumacza na końcu artykułu wyrazu „sędziowie“, tak blizkiego poprzednim wyrazom „sędziów polubownych“, rodzi dużą wątpliwość kto termin zakréśla, czy sędziowie polubowni, czy sędziowie np. trybunału; dla jéj usunięcia należy w miejsce wyrazu „sędziowie“ zamieścić trybunał, lub ogólnie sąd, sądy.

Art. 83. *Ceux qui ont fait faillite ne peuvent être agens de change ni courtiers, s'ils n'ont été réhabilités.* Tłumacz artykuł ten przełożył w sposobie:

„Ci którzy upadli, nie mogą być agentami wexlowemi ani stręczycielami, jeśli nie byli przywróceni do czci i możności prowadzenia handlu.“

Zamiast tego wyrażenia „ci którzy upadli“ niebardzo szczęśliwego, możnaby zacząć artykuł dogodniéj: „Upadli“ lub też jeśliby się podobało, zamienić liczbę mnogą na pojedynczą, lecz to rzecz mniejszéj wagi.

Wyraz „*réhabilitation* niezgodnie z naturą rzeczy i wolą prawa oddany, przez „przywrócenie do czci i możności prowadzenia handlu.“ Nie ma tego w naturze rzeczy, bo któryż prawodawca i jakiemi środkami zabronił lub zabronić może upadłemu handlowania w najogólniéjszém znaczeniu tego wyrazu? zdaje się iż to jest jasne; co zaś w prawie handlowém zabronioném zostało upadłemu, to wyraźna litera prawa w sobie mieści: wszakże z wszystkich odnoszących się do téj materyi przepisów, zakaz handlowania upadłemu wywieść się nie da. Jakżeż więc oddać znaczenie tego wyrazu, lub opisać takowy? Albo pozostawić zrozumiały i utarty makaronizm, lub opisać rzecz w sposobie: „O powróceniu do utraconych praw‘, lub lepiéj: „O odzyskaniu utraconych praw.“

Art. 107. *Les dispositions contenues dans le présent titre sont communes aux maîtres de bâteaux, entrepreneurs de diligences et voitures publiques.*

Tłumacz wyrażenie prawa „*maitres de bâteaux*“ przełożył „właścicielom statków.

Ważna to a dowolna zmiana woli prawodawcy, ciągnąca za sobą ważniejsze jeszcze następstwa, bo skutki odpowiedzialności prawem ustanowionéj. *Maître de bâteaux* nigdy nie znaczy w kodexie handlowym „właściciela statku“ lecz szypra, lub lepiéj zarządcę statku. Najlepszy tego dowód jest w art. 221 k. h. w którym nawet sam tłumacz wyraz ten oddaje wyrazem, ile materyi handlu morskiego dotyczący: szyper. Gdziekolwiek prawo mówić chce o właścicielu statku, okrętu, używa do tego stale i niezmiennie innego wyrażenia: mamy tego dowód w nadpisie tytułu IIIgo księgi IIgiéj k. h. „*Des propriétaires des navirs*“ lecz co ważniejsza w tytule IVtym t. k. w art. 223, najdobitniéj różnica ta odznaczona. Że nawet w tém znaczeniu o jakiém mowa, tak w języku jak równie w stosunkach handlowych francuzkich wyraz ten oddawna używanym był, najlepszym tego dowodem jest wyjątek z sławnego ordonansu Ludwika XIV o handlu morskim z roku 1681:

„*Les propriétaires de navirs seront responsables des faits du maître; mais il en demeureront dechargés en abandonnant leur bâtiment et le fret. Livre II, tit.* 8.

Art. 136. „*La propriété d'une lettre-de-change se transmet par la voie de l'endossement.*“ tłumacz przełożył: „Własność wexlu ciągnionego przenosi się za pomocą indossu.“ Prawodawca samą redakcyą tego artykułu w wyrażeniu się „*par la voie de l'endossement*“ zewnętrzną formę indossu uwydatnił: forma ta jest konieczną i inną być nie może, odbić więc tę wolą prawa w tłumaczeniu należało: „drogą, formą“ a najlepiéj „sposobem indossu“, będzie to i wiernie i plastycznie.

Art. 146. „*Le porteur d'une lettre-de-change, ne peut être contraint d'en recevoir le paiement avant l'écheance*“ przełożono: okaziciel wexlu ciągnionego nie może być przymuszonym do wypłaty przed terminem; „*d'en recevoir le paiement*“ należało wytłumaczyć „do przyjęcia wypłaty“.

Art. 148. Przekład: „Kto płaci wexel ciągniony na drugi, trzeci, czwarty i t. d. exemplarz, bez odebrania tego na którym znajduje się jego przyjęcie, *nie uwalnia się wcale ze swego przyjęcia* względem trzeciego okaziciela". „*Celui qui paie* etc. *n'opère point sa libération à l'égard du tiers porteur de son acceptation*" jest ciemny w przekładzie.

Art. 150, 152 i 153 łącznie. Rozjaśnienie przez Rogrona rozporządzenia artykułu 153 „*en cas de refus*" w przypadku odmówienia wypłaty" nie jest zaspakajające, bo dalszy ciąg tego przepisu w oryginale „*sur la demande formée en vertu des deux articles précédens*" rodzi wątpliwości, które usunąć w sposobie jasnym autorowi należało, jak to w innych miejscach uczynił. I dlatego uwagę tę robimy, iż nie uważamy autora za prostego tłumacza, lecz za pisarza dążącego świadomie, i na zasadzie planu do zamierzonego przez siebie głównego celu: tojest gruntownego i jasnego wykładu prawa handlowego.

Art. 159. *Celui qui paie une lettre-de-change par intervention, est subrogé aux droits du porteur et tenu des mêmes devoirs pour les formalités à remplir*" wyrażenie się prawa „*des mêmes devoirs*" nieściśle oddane w przekładzie „należne formalności", gdyż właśnie już prawo w redakcyi swéj te formalności oznaczyło.

Art. 172. Drugi przypis Rogrona do tego artykułu objaśniający, że zajęcie zachowawcze oznacza areszt, nie zaleca się jasnością i gruntownością, miesza tego rodzaju zajęcie z aresztem. Modyfikacyą rozporządzeń prawa odcieniować należy.

Art. 173. Dla całości textu, nie należało wypuszczać w tłumaczeniu wyrazów „*ou par un huissier et deux temoins*" lecz nota ostrzegająca o zmianie prawa miejscowego potrzebna.

W ostatnim ustępie tego artykułu wyraz „*le protet est précedé d'un acte de perquisition*" oddany przez „akt wyśledzenia"; czy to dobrze?

Materya o zwrotzmianie czyli jak tłumacz chce „o wexlu powrotowym" niedość jasno wyłożona; zasługuje wszak-

że i z powodu swéj ważności i zwikłania, na wykład gruntowny i praktyczny. Wiele błędnych i dziwacznych pojęć w téj mierze dostrzegać się daje u niemałéj liczby prawników, nie bez nauki i wykształcenia. Nie przesadzamy w naszém twierdzeniu. Byłoby przeto do życzenia, aby autor ułożył tablicę, że się tak wyrażę genetyczną wexlu, przedstawiającą od samego początku wexlu wszelkie jego przemiany aż do ostatniéj, z dopuszczalnemi praktycznie ewentualnościami, z dołączeniem coraz zmieniającego się obrachunku; byłby to pouczający rys biegu wexlowego. Podobne tablice, lubo nie co do wexlów, z dobrym skutkiem zamieszczonemi zostały przy dziele już wyżéj wspomnianém: *„Commentaire du contrat de Société en matière civile et commerciale"* przez Troplonga wydaném. Widocznie uwagi te mają na względzie drugie odbicie dzieła autora.

*Nadpis nad Art.* 177 i początek tego artykułu, czy należycie oddany w przekładzie „O wexlu powrotowym", czy to ściśle woli prawa i technice odpowiada?

Art. 179. Z textu wyrażenie się prawa *„a été remise"* wypuszczone w tłumaczeniu.

Art. 181. *„Le compte de retour comprend etc. et autres frais légitimes tels que commission de banque"* tłumacz z jednéj rzeczy zrobił dwie niejako, tłumacząc „kommissowe, bankowe".

Art. 186. *Il n'est point dû de rechange, si le compte de retour n'est pas accompagné des artificats d'agents de change ou de commerçants, prescrits par l'article* 181. Przekład: „Nie należy się procent od ceny kursu wexlowego jeżeli do rachunku powrotowego nie dołączono świadectw agentów wexlowych albo handlujących, przepisanych art. 181". W texcie niéma mowy o żadnym procencie od kursu wexlowego, lecz o saméj cenie tegoż kursu.

W księdze o handlu morskim niektóre artykuły mają analogiczne do naszych potrzeb miejscowych zastosowanie, należałoby na nie większą zwrócić uwagę. Przepisy niektóre z tytułu „O cenie najmu okrętu, *du Fret ou nolis*" często są u nas w praktyczném użyciu, jak np. przepis trze-

ciego ustępu artykułu 228 K. H. „*Si cependant l'affréteur sans avoir rien chargé, rompt le voyage avant le départ, il paiera en indemnité, au capitaine, la moitié du fret convenue par la charte-partie pour la totalité du chargement qu'il devait faire*". I niejeden wyrok na zasadzie tego przepisu zapadł u nas w trybunale handlowym.

Art. 200. Jedno całe rozporządzenie tłumacz w przekładzie swoim z textu wypuścił, tojest: „*Le titre en vertu duquel il procède* „tytuł z mocy którego działa". W spisie omyłek druku, żadnéj o tém wzmianki nie widzimy.

Art. 209. „*A défaut de paiement ou de consignation*" przełożył tłumacz: „W razie niezapłacenia lub zaznaczenia"; myśl prawa skrzywiona. Pan Heylman w swém tłumaczeniu oddał ją w sposobie: „W razie nieuskutecznienia zapłaty lub zaznaczenia" jasno i wiernie.

Art. 273. „*Toute convention pour louage d'un vaisseau, appelée charte-partie, affrétement ou nolissement doit être redigée par écrit*" tłumacz przełożył: „Wszelka umowa o najem okrętu sporządzona być winna na piśmie"; tak ogólnie wytłumaczyć tego przepisu nie należy; prawo wyszczególnia tu rodzaje najmów i ogranicza wolą swoję do wymienionych; stwierdza zdanie nasze wyraz prawa „*appelée*". Jakże więc tłumaczowi zrobić należało? Oto najlepiéj wymienić je w języku francuzkim jako techniczne.

Art. 315. „*Les emprunts à la grosse peuvent être affectés*" Przekład; „Pożyczki losowe mogą być udzielone"; więcéj nam się podoba wyrażenie przez pana Heylmana użyte „obciążać mogą" gdyż dobitniéj rzecz oddaje. Uwaga ta odnosi się i do art. 327.

Art. 369. Całe również rozporządzenie tłumacz w przekładzie swoim z textu wypuścił, tojest: „*En cas d'arrêt d'une puissance étrangère*". W spisie omyłek druku także o tém wzmianki niéma.

Krótki rys tabellaryczny byłby również potrzebnym w księdze III. K. H., o upadłościach i bankructwach, ile iż księga ta, pod względem całości, rozporządzeń i redakcyi

samego prawa, nie zaleca się systematycznym układem i jasnością.

Art. 490. List swobody odpowiadać ma wyrazowi „*saufconduit*"; do listu swobody już inne i w języku i miejscowo przywiązane jest pojęcie, lubo wyznać należy, że oderwanie rzecz dobrze maluje.

Art. 504. Słowo „*affirmer*" przełożono „potwierdzić"; możeby lepiéj było „zaręczyć" jak dotychczasowie przyjęto. Wyraz bowiem potwierdzić, domyślać się każe działania jakiejś władzy, co tu nie zachodzi. Obacz art. 665 kod. post. sąd. w którym czytamy: „*en affirmant par eux la sincérité de leurs créances*".

Art. 580. Wielkich następstw pomyłka. Zamieszczeniem jednego wyrazu w przekładzie polskim, tłumacz zniósł w znakomitéj części przepisy, „O odzyskaniu *De la revendication*". Cel odzyskania wiadomy, ostrożność i troskliwość prawa w udowodnieniu tożsamości rzeczy widoczna: wyraz przez tłumacza użyty „zepsucia" niweczy i wolą prawa, i prawa właściciela. Jakto, niémasz być wolno ostatniemu odzyskać swoich rzeczy, gdy ich tożsamość udowadnia? dlatego iż uległy nadpsuciu, lub zepsuciu, czyż dlatego niezaprzeczoną swą własność ma utracić? To być nie może. Nie zaprzeczamy, iż redakcya tego artykułu w texcie jest niedokładna, lecz myślą najwyraźniejszą prawa przejąć się należy i oddać ją, w zakresie woli prawodawcy. Pan Heylman w swém tłumaczeniu oddał ten przepis w sposób już trafniejszy.

Art. 584. Na artykuł ten przekładu zwracamy uwagę tłumacza; wyrazy „bez przyjęcia i rozporządzenia" są ciemnemi, należy myśl jaśniéj oddać.

Inne pomniejsze spostrzeżenia pomija się. Proponujemy autorowi, iżby na końcu dzieła swego, mały słowniczek wyrazów handlowo-technicznych, powszechnych i miejscowych domieścił; będzie to dopełnieniem dzieła i użytecznem i praktycznem.

Wyrazy handlowo-techniczne w porządku w jakim nasuwają się pamięci:

Trata, remisspass, kupiec remissowy, kaucya remissowa, indos, giro. connaissement, frachtbrif, speditor, faktura, ceduła zgody, salarium, assekuracya, ambargo, polisa, plac, abschluss, cyrkularze, weryfikacya, ambalaże, contocurrente, remessy, incassować, procurent, dysponent, retman, dostawa franco, Anweisung, datum ut retro, remittenda, saldo, disconto, ażyo, visa, bilans. rabat, kurs, taxa, concordat, credit, debet, tacher, gestya i t. d.

Wywody autora, kwestyj miejscowych dotyczące, odznaczają się ścisłością i jasnością; siła rozumowania, trafność indukcyi i analogii niemała. Może nam się nadarzy sposobność pomówienia obszerniéj w téj mierze, bo zakres tego pisma dziś nam tego nie dozwala, a wówczas sposób i różnicę widzenia naszego wypowiemy.

Kończąc ten rozbiór, w sumiennem przekonaniu czujemy obowiązek publicznie wyrzec: pan Szymanowski dziełem swém dobrze się zasłużył literaturze naszéj prawnéj.

*Jan Chry. Sławianowski.*

# ROZMAITOŚCI.

---

*Zjawiska.*

Pamiętnyto był dzień 25 marca r. b. Czém? dla kogo? zbadanie tego po szczegółach zostawiamy każdemu z czytelników, o ile jego osoby dotyczy; aby zaś pomódz cokolwiek, radzimy im zajrzéć do piérwszego lepszego kalendarza, choćby Duńczewskiego nawet. Trudno nam w téj chwili zaręczyć jak tam u niego, ale w każdym nowym kalendarzu znajduje się pod tym dniem wielkiemi i czerwonemi głoskami wypisane święto uroczyste Zwiastowania Najświętszéj Panny Maryi. Ileżto u nas niewiast imię to nosi? Nie licząc tych, którym przez pomyłkę złożono życzenia, ani tych, którym nikt życzeń nie złożył, ani tych, którym dzień imienin równie o chłodzie i głodzie upłynął jak i poprzednie; pewni jesteśmy, że wiele jeszcze było takich, którym życzenia, podarki, pieszczoty i t. p. gratyfikacye, przynajmniéj do oktawy dzień ten przedłużyły, a każdy przyzna, że dzień z ośmiu dni złożony, pamiętnym być musi jako jedyny do roku. Wstrzymujemy się od dalszych szczegółów, bo dobro więcéj ogólne na piérwszym powinno być względzie. Co nam i każdemu przyjacielowi muzyki dzień ten pamiętnym uczynić miało, głosiły afisze wielkiemi i równie jak kalendarz pod tym dniem czerwonemi na nas patrzące głoskami, z których można było wyczytać, że Dr. Raul Schuster da koncert na fortepianie, a w Wielkim teatrze będzie nowa opera Werdego. Dla muzykalnéj War-

szawy nowa opera miłém jest zjawiskiem, tém bardziéj, że z powodu potrzebnych przygotowań, częstém ono być nie może. Ale o operze wspominamy tylko jako o jednéj z przyczyn pamiętności dnia tego i dla porównania. Wiadomo, że koncert łatwiejszy niż opera; ogłosić i odegrać czy kto umié lub nie; a jednak koncert taki jak p. Schuster, rzadszém jeszcze u nas niż nowa opera zjawiskiem, nawet dla nas Warszawian, cośmyto już różnie przywykli. Dzisiaj wszyscy już przyznali pożytek z opisywania zjawisk, bo choć to małonauczające, ale ciekawe i rzadko się powtarza; nie godzi się więc i koncertu p. Schuster bez wspomnienia zostawiać. Że tak późno się do tego bierzemy, leży w naturze zjawiska samego. Cała bieda, że przy opisywaniu zjawisk, nie wiadomo czego się trzymać, a przecież żeby to jakoś po akademicku wyglądało, trzeba do teoryi nakręcić, postawić pewniki, wydobyć wnioski i t. d., słowem, objaśnić dokładnie, czego się nie rozumié. To niełatwo, i oto już kilka miesięcy mija od owego koncertu, a nie wiémy, jak się wziąć do niego, i to było powodem, żeśmy zaczęli od kalendarza, który nam się na oczy nawinął. „Najciężéj zacząć, pójdzie się daléj," mówił Krasicki za innemi, a my za nim powtarzamy.

Ale i daléj iść niełatwo; żeby się jednak cokolwiek posunąć, zaczynamy od wywiedzenia z błędu niektórych czytelników doniesienia koncertowego, którzy widząc *Dr.* napisane przed wyrazami Raul Schuster, gotowi mniemać, że to jest skróceniem jakiegoś imienia; a niejeden może do téj chwili się męczy, chcąc całość odgadnąć, szczególniéj jeśli należy do tych, którzy za punkt honoru sobie mają, odgadnąć każdą szaradę Kuryera Warszawskiego. Daremny mozół; *Dr.* znaczy doktór, i ma się rozumiéć że nie medycyny, chociaż Bóg widzi, lekarz bardzoby się przydał muzyce, a nierzadko i muzykom jakim takim; to znaczy doktór muzyki (doctor musices). Niech to nie obraża poważnych posiadaczy tytułu doktora któregokolwiek fakultetu uniwersyteckiego, że muzyk brata się z nimi, i niech się dowiedzą, że z założeniem uniwersytetu oxfordzkiego przez Alfreda

w r. 886, zaprowadzoną w nim została publiczna dla muzyki katedra (i ztądto pewnie pochodzi, że Anglicy nigdy muzykalni nie byli), a według historyka tegoż uniwersytetu Antoniego Wood, godności muzyczno-akademickie, bakalaureat i doktorat, powstały razem z takiemiż godnościami cztérech fakultetów, a więc za czasów Henryka II. Wprawdzie niéma zgody do którego fakultetu muzycy należą; Schelgwig (Cynorusa cons. quaes. 19) liczy ich do teologów; Pasch (Antiquitates) do filozofów; na to ostatnie pewnie najwięcéj muzyków się zgodzi. Dla zaszczytu ukochanéj sztuki, i w nadziei, że z tytułem trochę filozofii się im dostanie, radzilibyśmy wszystkim muzykom udać się do Lipska, Halli, Hejdelberga, a nawet do Oxfordu po dyplom doktorski.

Po téj maleńkiéj historyczno-muzyczno-moralnéj dysgressyi, z powodu tytułu pana Schuster, wartoby dla konsekwencyi także i koncert jego u nas historycznie objaśnić; tak, jak opisując zjawiska, ogłaszamy szczegóły je zapowiadające. Do tego jeden tylko posiadamy szczegół (pièce justificative) a i tego nie możemy wyraźnie zacytować: tyle przecież pewna, że jedna z naszych gazet umieściła pod rubryką wiadomości krajowych doniesienie z Jass, z któregośmy się dowiedzieli, że między znakomitościami muzycznemi Europy, niepoślednie zajmuje miejsce p. Raul Schuster, że z przybyłym także do Jass Lisztem walczył o lepsze i t. d. Nauczeni przykładem odgadliśmy odrazu, że będziem mieli koncert w Warszawie, a wiedząc że i Liszt jest doktorem muzyki (o biédna!), a do tego znając jego metodę rozbijania fortepianów, wróżyliśmy niemałe kłopoty naszym zacnym fabrykantom. Z wielkiém jednak zadziwieniem w pamiętnym nazawsze dniu 25 marca r. b. dostrzegliśmy, że pan Schuster w niczém do Liszta niepodobny. Liszt grywa prawie wyłącznie swoje kompozycye, a raczéj to, co tak nazywać każe; p. Sch. dał dowód rzadkiéj skromności, wszystko grał obce, i czy urągając tworom Liszta, czy téż dla zyskania nowego rodzaju muzyki, zmieszał twory dwóch rywalów (Fantazyą z Łucyi przez Liszta i Willmersa) i co

nigdy złączoném być nie miało, w jednę skrępował całość. Twórczość jego posunęła się daléj; grał wszystko tak, jak nikt nie gra. Ale tu spotykamy trudność do nieprzezwyciężenia podobno; wy! coście już probowali, nauczcie nas jak samo zjawisko opisać? By wybrnąć rozciągamy daléj porównanie z Lisztem; jest ono wygodne i na historycznym a wyżéj przytoczonym fakcie się opiéra, chociaż je raczéj rozróżnieniem nazwać wypada: bo czém tylko ów wzór i rozpacz wirtuozów fortepianowych się zaleca, to p. Sch. bezwarunkowo odrzuca, nie chcąc być naśladowcą; i tu właśnie twórczość jego leży. Rzeczy wszystkim dokładnie znane zdawały się tylko tytuł zatrzymywać, treść do góry nogami wywróconą została i w sposób następujący. Wiemy, że mechanizm, siła, zuchwalstwo w trudnościach niezawodnie pokonywanych, pojęcie, czucie, stanowią że Liszt jest Lisztem; a pan Schuster nie ma ni siły, ni niezawodności choć się na niepodobieństwa zuchwale rzuca, ni pojęcia, ni czucia. Że ma mechanizm, to widać patrząc tylko na jego ręce i palce, a jestto mechanizm rozważny, oszczędna siła, która do tego stopnia szanuje fortepian, że woli by niektórych klawiszów nie słychać było raczéj, niż fabrykanta na szkody narazić. Co się tyczy pojęcia i czucia, to grę pana Sch. przyrównaćby można do książki jeszcze dotąd niewydrukowanéj, w któréj wiele mądrości, ale nie ma ani znaków pisarskich, ani kropki nad *i*, ani nawet odstępów między wyrazami. Że to wszystko pochodzi z obranéj przez wirtuoza metody, dowodzi niezwalczone męztwo i filozofia, z jaką od początku do końca wierny téj metodzie pozostał. Oparty na znajomości ducha kompozycyj, które wykonywał, widząc że mechanizm szalony i wrzawa największe ich zalety, słusznie postanowił przejść granice, w których się dotąd trwożliwi zamknęli; do tego nie potrzebował nowych wynajdywać trudności: bo naprzykład gdy inni robią skok o dwie oktawy, tam p. Sch. jeszcze jeden ton daléj pójdzie, to większa sztuka chociaż fałszywie; kiedyć ma trzeszczeć i huczéć toć mniejsza o to, a nawet korzystniéj nie wybiérać klawiszów. W Jassach to się podoba-

ło, czemużby Warszawa miała grymasić? O tak! dzień 25 marca r. b. pamiętny dla nas będzie!

Żeby zaś i dzień 2go lipca 1848 r. dzień koncertu na fortepianie pani Niewiarowskiéj był pamiętny, zapisujemy go tutaj. Niestety! tego koncertu nie słyszeliśmy, dlatego jedynie, by jedném więcéj zjawiskiem czytelnika ufetować, bo zamierzamy o tym koncercie coś powiedzieć. Ilużto ludzi sądzi o tém, czego nie widzą, nie słyszą? Czemużby nam nie wolno było tego zrobić? Ale nie! kompozycye i granie p. Niewiarowskiéj są nam już dokładnie z kilkokrotnego posłyszenia przed koncertem znajome, a że i twory te same, i taż sama osoba wykonywała publicznie, można więc mówić o koncercie nie będąc na nim. By to zrobić krótko, dosadnie i poważnie, powiemy, że mówiąc o kompozycyi i wykonaniu p. Niewiarowskiéj, trzeba zapomnieć o sztuce, a wtenczas można mieć chwilową przyjemność, a zawsze, ile razy się ją z panem Schuster porównywa. Szczególniéj też mazury a raczéj obertasy, nic do życzenia nie zostawiłyby, gdyby mniéj było w nich kaprysu a więcéj naturalności w wykonaniu; pewna szorstkość grze p. Niewiarowskiej właściwa, jest ich zaletą. Fantazye z pieśni ludu sąto dziecinne zabawki z tematem, który do znudzenia ten sam pozostaje, mimo dosyć dowcipnie urozmaicanéj przygrywki. Cóż mówić o innych tworach całkiem oryginalnych, niby poetycznych i charakterystycznych? Chyba to, że p. Niewiarowska nie ma najmniejszego pojęcia, czém jest muzyka jako sztuka; zaledwie się zdobyć może na monotonną, albo gdy rozmaitszą, to bezforemną piosenkę. Wprawdzie wiemy, że gardzi wszystkiém co dotąd zrobili artyści, tojest ludzie czucia i rozwagi; to też w kompozycyi i grze p. Niewiarowskiéj ni czucia, ni rozwagi niéma.

Gardzić tém czego się nie zna, dosyć powszechną jest rzeczą; można więc p. Niewiarowskiéj jéj muzykę wybaczyć: prozelitów ona nie zrobi. Ale że są tak prostoduszni w sztuce, że nieład mają za fantazyą, opaczność za oryginalność, pogardliwą niewiadomość za pewną siebie gienialność: to do zjawisk tylko w muzyce się ukazujących poli-

czyć należy; w każdéj innéj sztuce lepiéj ludzie wiedzą czego się trzymać, bo tam rozum więcéj trzyma na wodzy uczucia.

Gdyby nie nadpis tego artykułu, byłby już koniec z naszemi zjawiskami, ale tytuł jeszcze jedno więcéj sprowadzi; przeczytają i ci, którzy uważają zbytecznem coś o muzyce czytać, albo tego są przekonania, że tylko żartem o niéj mówić można. *J. S.*

---

## KILKA SŁÓW

### o *odnowieniu w r.* 1678 *zamku królewskiego w Grodnie.*

W dzisiejszych czasach, gdy poszukiwanie i ocenienie zabytków i pamiątek historycznych, czyni nieraz ważne przysługi dla dziejów krajowych; nie mogę zamilczéć o jednéj podobnego rodzaju pamiątce, dotąd zachowującéj się w naszém gubernialném mieście.

W ogrodowéj altanie p. Andrzeja Zawierskiego w Grodnie, znajduje się marmurowa tablica, użyta za wiérzch do stolika, z następnym łcinskim napisem:

Augustum summis
Poloni ac Lituani senatus
purpuratorum patrum capitibus
Grodnam reducibus assurgo Capitolium.
Quod
obscuro Bellona togae insidiatrix rudera inter
condiderat busto ac deforme dederat,
hoc
ad monumentum pacis et populorum aequalitatis,
ad sacra
Serenissimorum regum
Michaelis et Joannis III
Comitialia sancita
Christophorus Pac Cancell. M. D. L. denis bis vicis ad Comitia
Nuncius Brestao Mareschalcus
Officioso in patriam cultu suscitarit.

Ita
Deo, regi, patriae, legi
Augusto sub seuto regali securum
Lilio Paciano decorum
Aerario M. D. L. perennabo restauratum.
Agite Polonae decora purpurae
sanis consiliis
Regum et legum majestatem
fulcite.
Anno Domini MDCLXXVIII mnse Xbri circa
inchoationem Comitiorum die XIV.

*Toż samo po polsku* (1).

„Przy zgromadzeniu się do Grodna najświetniejszych osób polskiego i litewskiego senatu, wstępuję na wspaniałe Kapitolium. Co wojna, nieprzyjaciółka pokoju, przez straszne spustoszenie w gruzy obróciła i szpetném uczyniła, to na pamiątkę pokoju i równości ludu, tudzież dla uświęcenia sejmowych uchwał za Najjaśniejszych królów Michała i Jana III, Krysztof Pac marszałek Brzeski i dwudziesty raz na sejm poseł, z przywiązania ku ojczyznie podźwignął. Tak więc dla Boga, króla, ojczyzny i prawa, czcigodną tarczą królewską zabezpieczony, herbem Pacow Lilii ozdobiony, kosztem skarbu W. ks. lit. odnowiony, długo trwać będę. Wy zaś, którzy jesteście ozdobą purpury polskiéj, waszą zdrową radą majestat królewski i prawo wspierajcie. Roku Pańskiego 1678, w miesiącu grudniu, około zaczęcia sejmu 14 dnia".

Napis ten, przypominający czasy szumnego krasomówstwa Jezuitów u nas, dowodzi, że przeznaczeniem téj tablicy było świadczyć o odnowieniu królewskiego zamku, w którym, jak wiadomo, za panowania Jana III, w roku 1678 odbył się piérwszy sejm w Grodnie. Historyczny opis tego zamku i samego Grodna, w którém zaszło tyle ważnych dla dziejów kraju wypadków, oddawna już, ale dotąd daremnie oczekuje zdolnego i pracowitego pióra.

******

(1) Przekład sporządzony przez księdza Ludwika Łunkiewicza nauczyciela religii w gimnazyum grodzieńskiém.

# KRONIKA ZAGRANICZNA.

## Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie.

(Dokończenie).

I. *Traité du mariage et de ses effets. par M. Allemand, ancien bâtonnier de l'Ordre des avocats à la cour royale de Riom. Riom et Paris.* 2 *vol.* 8*vo.* 1847.

W dziele tém autor zamierzył wyłożyć wszelkie prawa i obowiązki wypływające z małżeństwa jako zasady społeczności, tak pomiędzy małżonkami, jak i pomiędzy dziećmi w ich związku spłodzonemi. Dlatego też p. Allemand nie przestaje na rozbiorze tytułu V księgi I kodexu cywilnego, lecz do pracy swéj wprowadza wszystko co wewnętrznym z prawem o małżeństwie złączone jest węzłem, wszelkie przepisy porozrzucane po księgach kodexu i innych prawodawczych ustawach.

W przedmowie przedstawia p. Allemand historyą prawodawstwa o małżeństwie u rozmaitych narodów. Ciekawe i nowe spostrzeżenia, szczęśliwe porównania pomiędzy różnorodnemi prawodawstwami, dodają zajęcia znakomitemu dziełu. Zdolność do małżeństwa, wiek osób związek zawiérających, potrzebne zezwolenia, formalności aktu, ceremonie ślubu, stan niewiasty, jéj wychowanie i wpływ na wychowanie dzieci, stan tychże, przyczyny rozwiązania małżeństwa, układy majątkowe, przepisy posagowe i wspólności majątkowéj u rozmaitych ludów: oto są przedmioty jakie uległy w pomienionym wstępie rozbiorowi autora.

Przystępując do saméj treści dzieła, p. Allemand podzielił je na dwie części. W piérwszéj zapatruje się na małżeństwo ze względu na osoby oraz na prawa i obowiązki czysto osobiste: a jeżeli jest kiedykolwiek mowa o stosunkach majątkowych, to tylko jako skutek praw osobistych wypływający ze stanu małżonków. W drugiéj części zajmuje się autor prawami majątkowemi, układami przedślubnemi, oraz możnością kontraktowania pomiędzy małżonkami.

Każdy z dwóch rzeczonych działów jest podzielony na tytuły, rozdziały, sekcye i paragrafy. W każdym z tych podziałów cytowane są artykuły kodexu, dotyczące wykładanego przedmiotu, a przy każdym artykule umieszczona jest najprzód krótka wiadomość z dawnego prawa, następnie zasady prawa obowiązującego z rozmaitych czerpane źródeł, wreszcie kwestye prawne jakie się z nowych wyrodziły ustaw. Kwestye te są objaśnione opiniami autorów, oraz decyzyami sądowemi i administracyjnemi. Nakoniec, stosowne przypisy dają wiadomość o prawodawstwie obecném innych narodów.

Styl autora jest zrozumiały, prosty i poważny, taki, jaki przez pp. Pothier i Toullier dziełom prawnym za właściwy został wskazany. Cytacye nie są zbyt częste w pracy p. Allemand. Nauka wykazuje się w samym texcie przez pewność poglądu i ścisłość dedukcyi. Autor uwolnił swe dzieło od ciężaru owych niezliczonych not i przypisów, w których najczęściéj fałszywa erudycya w świetnéj napozór okazuje się oprawie.

II. *Codes Français par Louis Tripier, avocat à la cour royale de Paris, docteur en droit.* 5 *tomów. Paryż.* 1847, I *tom złp.* 10.

Dzieło to, prawdziwy przynoszące użytek nauce prawa, wypracowane zostało przez autora na textach urzędowych i jest zarazem jedynym zbiorem, w którym przywiedziono texta prawa dawnego i przechodniego, potrzebne do dokładnego zrozumienia każdego artykułu.

III. *Traité du contrat de mariage et des droits respectifs des époux relativement à leurs biens, par A. Rodière et P. Pont.* 2 *tomy.* 8*vo. Paryż.* 1847, *złp.* 26.

Autorowie powyższego dzieła starali się zebrać w jednę systematyczną całość wszystkie przepisy o stosunkach majątkowych pomiędzy małżonkami, jakie kodex cywilny w oddzielnym tytule temu przedmiotowi poświęconym, oraz w innych odmiennéj treści zawiéra. W tym celu układając swoję pracę i zasadzając się na rozległych zasadach ustaw obowiązujących i teoryi, usiłowali nadać dziełu charakter praktyczny. Zupełnym skutkiem uwieńczona praca pp. Rodière i Pont, zasłużenie stanęła w rzędzie znakomitych dzieł nowszéj szkoły prawa.

IV. *De l'illégalité de l'adoption des enfants naturels, par M. Benich. Paryż,* 1847. 8*vo, p.* 200, *złp.* 7.

Pracą powyższą p. Benich ważną wyświadczył usługę nauce prawa. Mało jest kwestyj w prawie, dotyczących tak silnie stosunków rodzinnych co nieważność przyznania dzieci naturalnych przez rodzica, mało przedmiotów względem których byłaby większa rożnica w zdaniach autorów. Zdaje się, iż rozprawa p. Benich rozstrzyga wszelką niepewność, dostarczając najzupełniejszych materyałów do dowodu nieważności przyznania, nieważności bronionéj już poprzednio przez pp. Marcadé, Molinier i innych przeciwko pp. Duranton i Valette, i uznanéj ostatecznie wyrokiem sądu Kassacyjnego w Paryżu z r. 1843.

V. *Jurisprudence générale du royaume par M. M. Dalloz. Tom* 8, 9, 10. *Paryż.* 1847 *i* 1848. *I tom, złp.* 22.

Publikacyi powyższéj, o któréj w jedném z poprzednich sprawozdań jużeśmy donosili, wyszedł obecnie na widok publiczny tom 8my, 9ty i 10ty. Tom ósmy zawiéra między

innemi następne artykuły: *Cautionnement de fonctionnaires et titulaires, Certificat, Chasse, Chose jugée, Commerçans, Commissaires-priseurs, Commissaires de police,* etc. Żaden z artykułów, a raczéj rozpraw pp. Dalloz, wyjąwszy *Cassation* i *Cour de Cassation,* nie zawiéra tyle wyroków sądowych w przedmiotach cywilnych i kryminalnych, co artykuł pod napisem: *Chose jugée,* który obejmuje rzeczywiście 270 wyroków dotąd niewydanych.

Tom dziewiąty prawie wyłącznie zajmują dwa traktaty pod napisem: *Commissionnaires* i *Communes.* Tom dziesiąty cały poświęcony jest rozprawie o *Compétences.*

Autorowie zamierzają pracę swoję wydać w 40 tomach in 4to.

VI. *Le droit commercial dans ses rapports avec le droit civil et le droit des gens, par G. Massé, avocat à la cour royale de Paris.* 6 *tomów. Paryż, r.* 1847, *złp.* 72.

W dziele powyższém autor z największą dokładnością opracował wszelkie kwestye internacyonalne z handlu wynikające, wyłożył stosunki osób handlujących, stanowisko z jakiego na przedmioty handlowe zapatrywać się należy, wreszcie rozebrał obszernie obligacye handlowe. Dzieło p. Massé łącząc w równym stopniu naukę z praktyką, zaleca się nadto oryginalnością planu przez autora przyjętego, i stanowi tém samém pracę równie nową kształtem, jak treścią, równie zajmującą jak użyteczną.

VII. *Das Recht und die Gerechtigkeit, und ihre Vermittlung durch das Richteramt, von p. A. Schultheis. Cassel.* 1847, *złp.* 4.

Pismo powyższe ułożone dla objaśnienia jednéj z najżywotniejszych kwestyj, jakie obecnie Niemcy zajmują, zawiéra następujące paragrafy: 1) znaczenie prawa i sprawiedliwości w dzisiejszym czasie; 2) zasada obyczajowa prawa; 3) natura, cel i władza ustaw z potrzeby narodu wypływających; 4) sprawiedliwość w wykonywaniu praw; 5) wymiar

sprawiedliwości przez sądy, mianowicie u Germanów; 6) wewnętrzna zasada sądów i władzy sądowniczéj; 7) niezależność sędziego; 8) historyczne objaśnienie téj niezależności; 9) zastosowanie jéj do sądów miejscowych w Hessyi; 10) zakończenie.

Z wykazu powyższego łatwo pojąć, jaką dążnością jest nacechowana praca pana Schultheis. Zewnętrzne obrobienie nic do życzenia nie pozostawia.

---

Nowsze dzieła prawne:

Cours de droit français, par *M. Duranton*, 3cia edycya, Paryż, 1847. Tomów 21, każdy sprzedaje się oddzielnie po złp. 5.

Les Codes par *M. M. Teulet et Loiseau*, avocats à la cour royale de Paris, z dodaniem dykcyonarza terminów prawnych. 6ta edycya, w 3ch formatach: in 8vo 13 złp.; in 18o i 32o złp. 8, Paryż. 1847.

Les Codes annotés par *Sirey*, contenant toute la jurisprudence jusqu' à ce jour et la doctrine des auteurs; édition entièrement refondue, par *P. Gilbert*. 1szy tom: *Code Civil*. Paryż, 1847.

Elémens du droit civil français, avec la critique des auteurs et de la jurisprudence, et un résumé dogmatique à la suite du commentaire de chaque titre par *V. Marcadé*. 3cia edycya, 7 tomów in 8vo, złp. 50.

*v. Kirchmann*, die Werthlosigkeit der Jurisprudenz als Wissenschaft. Berlin, złp. 2.

*T. Nessel*, das preussische Strafprozess-Gesetz von 17 Juli 1846, und dessen Zukunft im Vergleich mit dem Rheinischen Strafverfahren. Berlin, złp. 8.

*F. G. Leue*, Bemerkungen über den Entwurf des Strafgesetzbuchs für Preussen. Lipsk, złp. 3.

*G. Mehring*, die Zukunft der peinlichen Rechtspflege. Halla, złp. 3.

*J. H. Hillebrand*, Lehrbuch des heutigen gemeinen deutschen Privatrechts, mit Einschluss des Handels-u-Lehnrechts. Lipsk, złp. 18.

*J. D. H. Temme*, Zur Kritik des Entwurfs des Strafgesetzbuchs für die preussischen Staaten. Berlin, złp. 5.

*G. M. Kletke*, Beiträge zur Kritik des Strafgesetz-Entwurfs für die preussischen Staaten. Berlin. złp. 2.

*S. E. Löwenhardt* Untersuchungen im Gebiete der gerichtlichen Arznei-Wissenschaft für Aerzte und Criminalisten. Berlin, złp. 11.

*M. Müller-Jochmus*, das allgemeine Völkerrecht. Tom 1szy: Geschichte des Völkerrechts im Alterthum. Lipsk, złp. 9.

*A. Renaud*, Beiträge zur Staats-und-Rechtsgeschichte der Schweizer-Cantone. 1 zeszyt, Pforzheim, złp. 4.

*A. L. Reyscher*, das gemeine und würtembergische Privatrecht. Tubinga. 3 tomy, złp. 4 3.

*G. Philips*, Kirchenrecht. 2 tomy. Regensburg, złp. 30.

# WIADOMOŚCI
## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

### FIZYKA.

Piérwsze próby użycia elektryczności, jako środek zaradczy przeciw różnym cierpieniom, wykonane były w 1747 r., przez prof. Jallabert. Po odkryciu stosu Volty i poznaniu różnych jego fizyologicznych działań, wkrótce zastosowano ten ważny czynnik do leczenia uporczywych wrzodów, braku głosu (aphonie), bólu twarzowego (tic douloureux), głuchoty, ślepoty, paraliżów i t. p.

Używanie elektryczności bezpośrednio z bateryj elektrycznych pochodzącéj, wkrótce po sławném odkryciu Faradaya (1831 r.), znaném pod nazwą indukcyi magnetycznéj i elektrycznéj, zostało prawie zupełnie zaniechaném. Skoro bowiem przekonano się, że strumienie indukowane, podobnie jak wystrzały z butelki Lejdejskiéj, trwają bardzo krótko i sprawiają wstrząśnienie silniejsze od tych, jakie otrzymujemy za pomocą strumieni płynących bezpośrednio ze stosów galwanicznych, zaczęto powszechniéj używać strumieni indukowanych, jako środek zaradczy. Od tego czasu, datują się lepsze urządzenia aparatów przeznaczonych do użycia lekarskiego, których główną zaletą jest dogodność w przenoszeniu i wprowadzenie bateryj galwanicznych w miejsce magnesów.

Ponieważ strumienie indukowane bywają tylko przy zamykaniu lub otwiéraniu stosu, przeto dla usunięcia podo-

bnéj niedogodności, urządzono aparata przeznaczone do przerywania strumienia elektrycznego, ciągle płynącego po drucie łączącym bieguny stosu, a tém samém do zmieniania jednocześnie kierunku strumienia powstającego w przewodniku umieszczonym obok powyższego drutu i przeznaczonym do przyjmowania strumieni indukowanych. Aparata te, zwane tachytrope, gyrotrope, rhéotrope, commutator, wstawiają się w obwód stosu galwanicznego.

Baterye elektryczne złączone z kommutatorami, zwane machinami elektro-elektrycznemi albo machinami przeznaczonemi do działań fizyologicznych, powszechnie używane w szpitalach, znajdują dziś swe zastosowania w wielu chorobach nerwowych, dla sprawienia ulgi przy połogach, a nawet jako środek dyagnostyczny do poznania żywotności płodu.

Wartmann (profes. w Genewie), opisał nowe urządzenie kommutatora o trzech kołach, na jednéj osi osadzonych, podobnego w swych szczegółach do znanych aparatów tego rodzaju, lecz odznaczającego się od nich dogodnością w użyciu i swą ogólnością; służyć bowiem może tak do machin magneto-elektrycznych, jako też do telegrafów, zegarów i t. d.

W końcu cytuje Wartmann kilka doświadczeń ważnych ze względu, że wykrywają wpływ jaki strumienie indukowane, wywierają na zwierzęta pozbawione czułości nerwów za pomocą eteru.

Doświadczenia robił na młodym króliku, kurze i żabach. Dwa piérwsze rodzaje zwierząt eteryzowane, wracały prędzéj do normalnego stanu, będąc wystawione na działanie strumieni indukowanych. Osobliwszy fenomen przedstawiła kura eteryzowana dozą tego płynu większą, aniżeli była potrzeba do sprawienia zupełnéj nieczułości jéj nerwów. Po dwóch lub trzech wstrząśnieniach, kura otworzyła oczy; wstrząsając ją dłużéj zaczęła się rzucać, wkrótce stanęła na nogach, następnie zerwawszy się, przeleciała na przeciwległy koniec laboratoryum, i tam powoli wpadła powtór-

nie w nieczułość, jaką sprawiła w niéj część eteru, która dotąd nie zdołała wywrzéć swego skutku.

Wartmann cytuje inne ważne doświadczenie nad wpływem, jaki strumienie elektryczne indukowane wywiérają na białko. Matteucci znany włoski fizyk, traktując o działaniu fizyologicznem strumieni elektrycznych, powiedział, że zmieniając biegun dodatni drutu na ujemny, nie można dostrzedz aby białko rozrzedziło się; a ztąd wniósł, iż strumienie elektryczne zamiast odjąć, mogą sprawić kataraktę oczną. Zantedeschi twierdzi, że widział rozrzedzanie się białka na biegunie odjemnym. Wartmann jednak, który liczne w tym wyłącznie celu przedsiębrał doświadczenia, nigdy podobnego nie dostrzegł zjawiska. Przeciwnie, nurzając w szklankę napełnioną białkiem z kurzego jajka, końce drutu platynowego, po którym krążył strumień indukowany, przekonał się, że przy końcu drutu odpowiadającego dodatniemu biegunowi kommutatora, białko tężeje. Stężałe białko miało w swym środku mnóstwo otworów z bulek gazu, jednocześnie przy tym biegunie wydobywającego się, prędko przybrało kolor czarny i wydawało zapach spalonego rogu. Stwardniałe w ten sposób białko poddane analizie, nie okazało w swym składzie żadnego śladu platyny.

To doświadczenie przekonywające o rozkładzie białka przez mocne strumienie indukowane, winno zwrócić uwagę lekarzy i fizyologów. Bytność tego pierwiastku we krwi, urynie, oku i innych płynach organizmu zwierzęcego, nakazuje wielką ostrożność przy używaniu silnych strumieni indukowanych przeciwnych kierunków, jako środek zaradczy.

Stwardnienie i powyżéj przywiedzione zmiany w naturze białka, zdają się łatwiéj jeszcze rozwijać w białku otrzymaném ze świeżego jajka, skoro to jajko przez kilka godzin zostawioném było w naczyniu zawiérającém pary eteru. (*Annales de Phys. Gay Lussac*, 1848. *Tom XXII*).

* Dostrzeżony przez Brugmana (1778 r.) fenomen, że bizmut jest odpychanym przez magnesy, aż do najnowszych czasów nie był przedmiotem badań szczegółowych; dopiéro Faraday rozpoznał dokładniéj to zjawisko, wyśledził

i inne ciała w podobny sposób zachowujące się względem magnesu, i z nich utworzył nową gałąź fizyki, dyamagnetyzmem przez niego nazwaną.

Te zjawiska, z przyczyny małego natężenia siły dyamagnetycznéj, trudne są do bezpośredniego śledzenia; dlatego Weber rozpoznawał naturę téj siły przez obserwowanie urozmaiconych jéj działań.

Faraday utrzymuje, że ruch ciał dyamagnetycznych, jako też i wszystkie inne dynamiczne zjawiska działaniem magnesów wywoływane, przypisać należy zmianom, jakie wywiérają magnesy na układ cząsteczek ciała. I tak, cząstki ciał magnetycznych, zostając pod wpływem magnesów, w ten sposób ustawiają bieguny swe północne i południowe, iż one zwrócone są ku przeciwnego imienia biegunom magnesu indukującego: w ciałach zaś dyamagnetycznych, układ biegunów cząstek przyjmuje kierunek przeciwny. Sposób ten tłumaczenia stwierdza się w części obserwacyą przez Reicha uczynioną, że północny i południowy biegun dwóch magnesów, jednocześnie z jednéj strony zbliżone do kawałka bizmutu, nie odpychają go z siłą wyrównywającą summie sił każdego bieguna, lecz z siłą równą różnicy tych sił pojedynczych.

Tłumacząc powyższą hypotezę Faradaya, według teoryi strumieni elektrycznych Ampera, należy przyjąć, iż skoro w żelazie i w innych magnetycznych ciałach strumienie wzbudzone posiadają kierunki równoodległe od kierunku strumieni krążących po magnesie lub innym magnetycznym aparacie przybliżanym do żelaza, to przeciwnie w bizmucie i innych dyamagnetycznych ciałach, kierunki pierwszych strumieni muszą być przeciwne względem kierunku strumieni w magnesie istniejących.

Lecz wiadomo z praw indukcyi przez Faradaya odkrytych, że ruchowi płynów magnetycznych czyli co na jedno wyjdzie, ruchowi strumieni elektrycznych molekularnych (naokoło cząstek ciała krążących) Ampera, towarzyszy zawsze działanie elektryczne wywiérane na przybliżony przewodnik w taki sposób, iż jednocześnie z ruchem płynów

magnetycznych, naokoło cząstek ciała, powstaje w przyległym przewodniku strumień elektryczny, powszechnie zwany strumieniem indukowanym. Według tego, podczas przyciągania lub odpychania ciał przez magnesy, powinien w przewodniku ustawionym obok tych ciał powstawać strumień elektryczny indukowany. I rzeczywiście Weber za pomocą bizmutu zdołał wzbudzać strumień elektryczny w galwanometrze, czyli indukować strumień za pomocą dyamagnetyzmu bizmutu.

W końcu Weber usiłuje oznaczyć naturę strumieni molekularnych stanowiących dyamagnetyzm, rozstrzygając, czy te strumienie stale istnieją w ciałach i dopiéro pod wpływem magnesów przyjmują jednakowe kierunki w całéj massie ciała, czyli też strumienie sprawiające dyamagnetyczność ciał, dopiéro pod wpływem magnesu powstają; to-jest, czy należy dyamagnetyczność ciał przypisać *strumieniom molekularnym indukowanym*. Za tą drugą hypotezą więcéj dowodów przemawia, i można działania dyamagnetyczne w zupełności wyjaśnić, przy pomocy indukowanych strumieni.

Różnica więc między żelazem i bizmutem uważana względnie do działania na nich magnesu, do tego się sprowadza: iż w żelazie niezależnie od obcego wpływu istnieją strumienie molekularne, których kierunek może być zmienianym stosownie do działania zewnętrznych sił; w bizmucie zaś zupełnie inny zachodzi przypadek. (*Poggendorf, Annalen, nr.* 2. 1848). *S. P.*

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848. WARSZAWA.

59. Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecinny, przedstawiający na każdy dzień w roku czytania religijne, moralne, historyczne, potoczne, nauczające i zabawne, stosownie do pojęcia dzieci, przez PP. Descherelle, Isabelle i Morin, po polsku przełożone i do miejscowości zastosowane przez M. S. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1848. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I kart 2, str. 234 i VIII. Tom II, kart 2, str. 245 i VIII. Złp. 12.

60. Katalog książek polskich znajdujących się w księgarni Ignacego Klukowskiego w Warszawie, przy rogu ulicy Miodowéj i Senatorskiéj, nr. 497 lit. C. 8ka. Warszawa. 1848, druk Strąbskiego. Kart 2, str. XXX i 171. Złp. 1.

61. Mowa na pogrzebie świętéj pamięci Feliksa hrabiego Pomian Łubieńskiego ministra sprawiedliwości Księztwa Warszawskiego, kawalera wielu orderów, zmarłego w Guzowie d. 2 kwietnia 1848 r. przez ks. Jana Bogdana. 8ka. Warszawa. 1848, druk Strąbskiego. Str. 14.

62. Program zakładu wyższego naukowego prywatnego realnego o cztérech klassach dla płci męzkiéj, przez Jana Nep. Leszczyńskiego w Warszawie przy ulicy Sto-Jerskiéj nr. 1775 utrzymywanego, na popis publiczny d. 22 czerwca (4 lipca) 1848 r. 4ka, Warszawa, 1848, druk pod firmą Kaczanowskiego. Str. 18.

63. *Prospectus Quaestionum ex vario Scientiarum genere ab Alumnis Seminarii Metropolitani Varsaviensis ad S. Joannem Baptistum in publico examine die* 12 *Julii anno* 1848. *solvendarum*, 4to. *Varsaviae. Typis Scholarum Piarum.* Str. 12.

64. Wspomnienia wygnanki, przez Paulinę Kraków. Wydanie drugie ozdobione 4ma kolorowanemi rycinami, 12ka. Warszawa, 1848. Str. 299 i kart 2. Złp. 6 gr. 20.

WILNO.

65. Kazania świąteczne i przygodne. Ułożył ks. Antonin Mieczkowski S. T. D. Dominikan. 8ka. Wilno, 1848, nakład i druk Zawadzkiego. Str. VI i 436. Złp. 12.

WROCŁAW.

66. Polsko-niemiecki słownik kieszonkowy do szkolnego i podręcznego użycia, podług najlepszych źródeł wypracowany przez F. A. E. Łukaszewskiego i Augusta Mosbacha. Trzecie wydanie

stereotypowe. 16ka. Wrocław. 1848, nakład Schlettera, druk Rychtera. Tom I kolumn 748, II 888. (2 kolumny na 1 stronnicę) złp. 8.

67. Roskosz miłości i szczęście stanu małżeńskiego. Poradnik dla kochanków i małżonków, tudzież nauka o chorobach ze sfery płci męzkiéj i żeńskiéj, o ich uniknieniu i leczeniu. Sztuka zachowania młodzieńczych wdzięków, zupełnéj siły i zdrowia aż w najpóźniejsze lata. Przez Dra. Juliusza Wolfa. 8ka. Wrocław, 1848, nakład Zyg. Schlettera, druk C. H. Storcha. Str. 246 i kart 4, Złp. 7.

## *Doniesienia literackie.*

### WARSZAWA.

Druk dzieła we dwóch tomach p. Swierzbińskiego p. n. „Historya Cywilizacyi Rzymskiéj" już się rozpoczął.

W tomie 2gim „Album Literackiego" pod redakcyą K. Wł. Wojcickiego, pomiędzy innemi drukuje się ważna „Kronika polska z Xgo wieku" wraz z mappą, okazującą najdawniejsze siedziby polskie; i obszerna biografia Marcina i Joachima Bielskiego, zbogacona wielu dotąd nieznanemi szczegółami; piérwsza pióra W. A. Maciejowskiego; druga F. Sobieszczańskiego.

P. Mikołaj Malinowski już wydał tom 3ci Kroniki Wapowskiego: dwa jeszcze będą tomy wydane do uzupełnienia całości.

Druk „Skarbcu" Ignacego Daniłowicza, o którym już donieśliśmy naszym czytelnikom, zacznie się we wrześniu r. b. Publikacya ta, którą się zajmuje głównie tenże sam p. Malinowski, niemało się przyczyni do upowszechnienia głębszéj znajomości dziejów.

P. Edward bar. Rastawiecki nie przestaje pracować nad swoim „Słownikiem malarzy polskich i obcych u nas osiadłych", i jeszcze w roku b. pracę swą drukiem ogłosić zamyśla. Oglądaliśmy już 16 wizerunków główniejszych malarzy, z facsimiliami ich podpisów, mających zdobić to dzieło, wykonanych na kamieniu przez najcelniejszych naszych artystów. Wizerunki te są: Bacciarelli Mar., Brodowski Ant., Czechowicz Szym., Dolabella Tom., Lesueur W., Lexycki Fran., Norblin, Orłowski Alex. Plersch, Płoński M., Pitschmann, Rustem J., Smuglewicz F., Stachowicz Michał, Vogiel Zygmunt, Wojniakowski Zygmunt.

Redakcya Czasopisma Warszawa

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

## WARSZAWSKIEM.

## *Czerwiec 1848.*

## *Czerwiec 1848.* Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ 14ᵐ 45ˢ,7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany Księżyca. | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. r. | 10 god. r. | 4 god. w. | 10 god. w. | dé-szczu | śnie gu |
| 1 | | 747.74 | 746.94 | 744.01 | 743,29 | +14°.8 | +20°.4 | +24°.0 | +14°.8 | 53.7 | napół pog. | napół pog. | napół pog. | smugi chm. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 2 | | 742 41 | 742.80 | 742.53 | 743.46 | 17.0 | 18.6 | 20.5 | 15.0 | 71.5 | pr. pochm. | pochmurny | napół pog. | napół pog. | W. | Z. | PnZ. | — | | |
| 3 | | 744.76 | 744.22 | 742.81 | 741.75 | 13.7 | 17.8 | 24.5 | 18.2 | 75.2 | deszcz | napół pog. | napół pog. | deszcz dr. | — | — | — | — | 1.6 | |
| 4 | | 743.01 | 745.00 | 746.71 | 749.14 | 18.4 | 20.6 | 21.0 | 14.6 | 63.0 | pr. pogodny | pr. pogodny | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 5 | | 751.82 | 752.41 | 751.42 | 751.01 | 18.8 | 22.2 | 27.6 | 18.1 | 61 0 | pogodny | pogodny | napół pog. | napół pog. | — | PdW. | Z. | — | | |
| 6 | | 747.37 | 746.64 | 745.14 | 745.66 | + 18.9 | + 25.9 | + 31.5 | + 17.9 | 62.5 | napół pog. | napół pog. | napół pog. | napół pog. | PdW. | PdW. | PdZ. | — | 1.0 | |
| 7 | | 750.98 | 752.44 | 752.83 | 753.00 | 17.8 | 19.5 | 24.7 | 17.0 | 62.7 | napół pog. | pochmurny | pr. pogodny | pogodny | Z. | Z. | PnZ. | — | | |
| 8 | | 751.96 | 750 99 | 747.86 | 745.30 | 18.9 | 22.7 | 22.9 | 16.2 | 68.7 | smugi | smugi | pochmurny | deszcz dr. | PdW. | W. | — | PdW. | 5.4 | |
| 9 | | 744.74 | 744.48 | 744.35 | 746.11 | 17.2 | 22.8 | 21.4 | 17.1 | 82.0 | deszcz dr. | pr. pochm. | pochmurny | deszcz | W. | Pd. | Z. | PnZ. | 13.0 | |
| 10 | | 747.80 | 750.07 | 750.83 | 751.99 | 14.8 | 15.0 | 17.3 | 14.0 | 90.5 | pochmurny | deszcz | pochmurny | pogodny | Pn. | Pn. | PnZ. | PnZ. | 6.2 | |
| 11 | | 725.38 | 752.72 | 752.32 | 752.41 | + 17.3 | + 20.4 | + 23.4 | + 18.5 | 75.2 | pogodny | napół pog. | napół pog. | pogodny | Z. | PdZ. | PdW. | PdW. | | |
| 12 | | 752.91 | 751.77 | 749.53 | 749.76 | 20.8 | 25.0 | 30.0 | 20.3 | 68.0 | pogodny | pogodny | napół pog. | napół pog. | PdW. | Pd. | PdW. | PdW. | 1.6 | |
| 13 | | 748.90 | 748.58 | 746.75 | 746.77 | 21.6 | 25.6 | 31.5 | 22.6 | 62.2 | pogodny | pr. pogodny | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | Pd. | PdW. | | |
| 14 | | 748.04 | 750.85 | 752.58 | 754.06 | 24.4 | 24.4 | 23.4 | 19.8 | 65.5 | napół pog. | pogodny | pr. pochm. | pochmurny | Pd. | Z. | PnZ. | Pn. | | |
| 15 | | 755.45 | 755.22 | 754.08 | 753.93 | 16.2 | 20.1 | 23.7 | 16.8 | 61.0 | pochmurny | pr. pochm. | napół pog. | pogodny | Pn. | PnW. | W. | Pn. | | |
| 16 | | 754.04 | 753.52 | 752.40 | 753.48 | + 18.3 | + 23.0 | + 30.0 | + 21.8 | 59.5 | napół pog. | pogodny | pogodny | pogodny | PnW. | W. | PnW. | PnW. | | |
| 17 | | 752.63 | 752.40 | 752.31 | 750.18 | 22.4 | 26 2 | 32.5 | 23.0 | 61.2 | napół pog. | pogodny | napół pog. | napół pog. | PnW. | W. | PdW. | — | | |
| 18 | | 751.05 | 750.92 | 749.73 | 748 53 | 24.3 | 30.7 | 34.1 | 27.0 | 61.0 | pogodny | pogodny | pr. pogodny | pochmurny | PdW. | PdW. | Pd. | Pd. | | |
| 19 | | 749.46 | 749.35 | 750 00 | 750.06 | 22.6 | 27.1 | 28.0 | 22.7 | 58.7 | pochmurny | napół pog. | pochmurny | pr. pogodny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | 0.2 | |
| 20 | | 751.02 | 751.07 | 749.03 | 748.22 | 17.0 | 21.0 | 30 0 | 22.3 | 67 0 | pr. pochm. | napół pog. | napół pog. | deszcz i grz. | Pn. | Pn. | Pd. | PdW. | 21.2 | |
| 21 | | 746.02 | 746.47 | 746.98 | 747.15 | + 16.8 | + 15.9 | + 17.2 | + 15.5 | 89.2 | pochmurny | deszcz b. dr | deszcz drob. | pr. pochm. | Z. | Z. | Z. | Z. | 2.9 | |
| 22 | | 747.54 | 747.60 | 746.67 | 745.37 | 16.6 | 19.2 | 17.9 | 15.4 | 87.5 | deszcz b. dr. | pochmurny | deszcz | pogodny | Z. | Z. | Z. | Z. | 7.2 | |
| 23 | | 745.45 | 747.43 | 747.22 | 748.21 | 16.8 | 16.7 | 20.6 | 13.1 | 59.5 | pochmurny | pochmurny | napół pog. | pogodny | PnZ. | Pn. | Pn. | Pn. | | |
| 24 | | 747.87 | 748.91 | 746.24 | 745.72 | 13.7 | 17.3 | 21.7 | 14.7 | 63.7 | pr. pogodny | pr. pogodny | napół pog. | deszcz | PdW. | W. | PdW. | W. | 2.8 | |
| 25 | | 744.79 | 744.61 | 744.49 | 743.82 | 16.7 | 20.2 | 16.5 | 15.8 | 80.0 | pochmurny | napół pog. | deszcz drob. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | 1.6 | |
| 26 | | 743.66 | 743.62 | 742.81 | 744 08 | + 13.6 | + 16 4 | + 17.8 | + 13.7 | 77.0 | napół. pog. | pochmurny | deszcz | pochmurny | Z. | Z. | PnZ. | Z. | 3.1 | |
| 27 | | 746.76 | 747.27 | 748.99 | 749.13 | 14.9 | 17.7 | 13.4 | 12.3 | 73.2 | pogodny | napół pog. | deszcz | pr. pochm. | PnZ. | Z. | Z. | PnZ. | 2.3 | |
| 28 | | 749.16 | 748.94 | 746.63 | 743.39 | 12.5 | 19 0 | 21.8 | 14.3 | 71.5 | pogodny | napół pog. | pochmurny | pochmurny | Z. | PdZ. | Pd. | Pd. | 6.4 | |
| 29 | | 742.49 | 742.42 | 741 90 | 741.41 | 14.4 | 16.9 | 16.7 | 15.2 | 79.5 | pochmurny | napół pog. | napół pog. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PdZ. | 8.5 | |
| 30 | | 739.94 | 739.63 | 740.15 | 742.98 | 14.5 | 17.6 | 17.1 | 12.1 | 81.5 | deszcz | pochmurny | pochmurny | pogodny | Pd. | PdZ. | Pn. | PdZ. | 5.8 | |
| Śre. | | 748.069 | 748.310 | 747.644 | 747.646 | +17°.52 | +20°.86 | +23°.42 | +17°.33 | 69.8 | | | | | | | | | 90.8 | |

| | mm. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 747.916 | 27 | 7.548 |
| Najwyżéj dochodził — d. 15 o g. 6 r. | 755.45 | 27 | 10.887 |
| Najniżéj — — d. 30 o g. 10 r. | 739.63 | 27 | 3.875 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 3.03 | | 1.34 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 7—8 o g. 10 w. | 7.70 | | 3.41 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 0.875 | | 0.387 |
| | 748.791 | 27 | 7.935 |
| Średnia temperatura Czerwca wynosi: | + 19°.79 C. | | + 15°.83 R. |
| i ta jest wyższa o | 2.28 „ | | 1.83 „ |
| od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 17.51 „ | | + 14.00 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 18 o 4 g. w. | + 34.1 „ | | + 27.3 „ |
| Najmniejsze ciepło dochodziło d. 30 o 10 g. w. | + 12.1 „ | | + 9.7 „ |

(Termometrograf wskazał
Maximum: + 27.°8 R. d. 18 po połud.
Minimum: + 6.°0 R. d. 28 rano).

| | | | |
|---|---|---|---|
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.88 „ | | 2.30 „ |
| Największa zmiana dzienna d. | 12 8 „ | | 10.2 „ |

Średnia wilgotność powietrza wynosi 69,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 11.82 gramów na jednym metrze sześciennym.

Dni pogodnych było 3; napół pogodnych 21; pochmurnych 6.
— deszczu 18 (d. 3, 6, 8, 9, 10, 12, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30).
— grzmotów 8 (d. 3, 6, 8, 9, 12, 20, 22, 29).
— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 7, 8).

Wody z deszczu spadło wysoko na 90.8 millimetrów czyli 40.22 linij par. tojest o 16.27 linij więcéj, od ilości jaka w tym miesiącu w średniém przecięciu spada.

Czerwiec w r. b. odznaczał się pogodnym stanem nieba, wielkiemi upałami, częstemi grzmotami i obfitemi deszczami. Średnia temperatura tego miesiąca jest o 1,83 stóp R. wyższa od normalnéj, pierwsze dziesięć dni miesiąca i ostatnie pod względem ciepła były umiarkowane, środkowe dziesięć, nadzwyczaj gorące; średnia dzienna temperatura tych dni dochodziła do 20 stopni R. Największe ciepło jakiego u nas jeszcze nie było w Czerwcu, dochodziło 27.8 stóp R. d. 18 po południu. Liczba grzmotów i błyskawic dwa razy była większą jak zwykle. Częste grady połączone z wichrami i trąbami powietrznemi, stały się przyczyną wielu szkód w różnych miejscach kraju naszego.

Wiatr panujący był Zachodni; w pierwszéj połowie częste były Południowo-Wschodnie.

Wichrów Zachodnich było 2.

D. 1 przed południem, koło białe otaczało słońce.

# O PRAWODAWSTWIE ROLNICZÉM PRUSKIÉM.

Nazwy Tyberyusza i C. Grachusa nie wiążą się ściśléj z dziejami reform rolniczych, jak nazwy dwóch mężów stanu nowoczesnych Prus: Steina i Hardenberga. Jeżeli skutkiem zamiarów Grachów było ugruntowanie monarchii rzymskiéj, na zwaliskach zużytéj rzeczypospolitéj; usiłowania pruskich ministrów, prawie powtórnie, utworzyły królestwo pruskie na szczątkach feudalności. Nie posuwając zbyt daleko tego porównania, pomimowoli jednak zastanawia szczególny zbieg faktów.

Niebuhr, kolega tegoczesnych reformatorów, piérwszy oczyścił pamięć znakomitych Rzymian z zarzutu, ciążącego na nich przez dwadzieścia stuleci, i wyjaśniając rzeczywistą naturę *agris publici*, odebrał wyrazowi *rolniczy* (agrarius) stronnicze znaczenie, które do niego przywiązywała historya.

Usiłowania, o których wspomniano, zapewniające wyłączną znakomitość Hardenbergowi i Steinowi, zebrane w szeregu postanowień królewskich, a ogłoszone na żądanie tych dwóch ministrów, modyfikują prawa włościan pruskich. Wydane po większéj części w epoce owéj tak obfitéj w wypadki, pomiędzy zawarciem poniżającego

Prusy traktatu tylżyckiego 1807 r., a wybuchnięciem wojny oswobodzenia 1812 r., noszą na sobie wydatną cechę czasu w którym się zjawiły. Artykuł czwarty traktatu tylżyckiego twierdził: „część dawnych posiadłości zwraca się królowi pruskiemu, bacząc na wstawienie się Cesarza Wszech Rossyi". Chwycili się więc ministrowie jedynego rozsądnego środka, jaki im pozostał. W rozporządzeniu z dnia 9 października 1807 r. znajdujemy następującą uwagę: „To co Prusy straciły na rozległości, powinny odzyskać na wewnętrznéj potędze. Zewnętrzna pomoc na bardzomało przydać im się może."

Stein piérwszy pojął, że tylko był jeden środek do odrodzenia Prus, tojest: że aby zupełnie to państwo nie runęło, trzeba było dać najdokładniejszy rozwój wewnętrznym zasobom tych prowincyj, które cesarz Francuzów raczył podarować na wstawienie się sprzymierzeńca swojego Naj. Cesarza Wszech Rossyi.

Wówczas jednak zdawało się, że Prusy cudem chyba wydźwignąą się z odchłani poniżenia moralnego, w któréj od śmierci Fryderyka W. stopniowo grzęły. Z owych „Jego Prus" zostały już tylko najgorsze następstwa gorszych jeszcze środków. Dowcipny Boerne często twierdził, że to Fryderyk W. przegrał bitwę pod Jena. Istotnie, anachronizm ten mieści w sobie cokolwiek prawdy. Najprzód, systemat finansowy wysuszał wszelkie źródła bogactwa; było to naśladowanie Ludwika XIV. Potém żołnierz nizkiego pochodzenia, mimo talentów wojskowych, nie mógł miéć nadziei otrzymania kiedykolwiek awansu, wzniesienia się na oficerski stopień. Żołnierze téż byli po większéj części przedajni, często nawet zbrodniarze; odwagi ich nieprzyjaciele bez porównania mniéj się obawiali, niż chciwości współobywatele. Za czasów Fry-

deryka W. dzięki geniuszowi jego, wyżsi byli od żołnierzy równie zepsutych z którymi walczyli; ale kiedy trzeba było odnieść tryumf nad patryotycznym zapałem tych małych właścicieli, stanowiących armią Napoleona, przekonali się wraz z oficerami o niepodobieństwie walki. Gdyby nawet wojsko pruskie było dało dowód najzwyczajniejszéj odwagi; gdyby ci, co mu przewodzili i co służyli w niém od wodza aż do żołniérza nie byli shańbili się podłościami i zdradami, jakich niéma przykładu w dziejach innych narodów; możeby nawet i wtedy Prusy nie mogły się były utrzymać w rzędzie wielkich mocarstw europejskich, dopókiby administracya wewnętrzna nie przeszła przez ważne modyfikacye. Bo w istocie Prusy, kraj czysto rolniczy, całego bogactwa powinnny szukać w gruncie, a ówczesne prawa ziemskie zdawały się jakby naumyślnie zawodzić i niszczyć usiłowania rolników.

Smutne było położenie Prus po bitwach pod Jena i Auerstaedt: król ze dworem oddalił się do Memla, nieprzyjaciel zajmuje połowę kraju i stolicę, wojna i zaraza niszczy prowincye, zakazy zagraniczne i monopole wewnętrzne zabijają handel, niéma talara w skarbie państwa, trzy czwarte armii zniesione, przymusowa kontrybucya wycieńcza ostatnie zasoby. Jakiż mąż stanu choćby najzarozumialszy nie byłby zwątpił o teraźniejszości i przyszłości kraju do takiéj ostateczności doprowadzonego? Niebuhr, niedawno publiczny urząd piastujący, przestraszony oddalił się do swojéj ojczyzny, do Danii. W liście który pisał do przyjaciela, następna jest alluzya do stanu rzeczy: „Rozprzężenie wszystkich form i wszystkich uspółecznień, zupełne; albo zniszczenie, albo téż nowe życie się zacznie". Szczęściem dla

Prus, druga przepowiednia historyka ziściła się. W czasie tego okropnego przesilenia, barona Stein mianowano piérwszym ministrem. Wyniesienie go na tak wysoki urząd, było ustąpieniem dla nieprzyjaciela, poddaniem się woli Napoleona. „Weźcie pana Stein, powiedział zwycięzca z pod Jena, to człowiek z głową". Ten sam najwyższy rozkaz, co złożył z urzędów hrabiego Hardenberg jego poprzednika i współtowarzysza w reformach rolniczych, mianował nowego ministra. Łatwiéj jednak wytłumaczyć antypatyą Napoleona do Hardenberga, niż sympatyą do Steina. Jak Hardenberg, Blücher, Scharnhorst, Niebuhr i inne wielkie imiona, uświetniające ową epokę Prus, Stein adoptował tylko Prusy za ojczyznę. Okoliczność ta, o któréj nigdzie nie ma wzmianki, godna jednak uwagi; dowodzi bowiem, jak mało było ludzi z talentem w krajach podległych pruskiemu berłu.

Baron Karol *v.* Stein urodził się 1757 r. 8 maja w księztwie Nassau; pochodził z dawnéj i znakomitéj familii. Ożeniwszy się z bogatą Prusaczką, starał się i otrzymał posadę w administracyi cywilnéj w Prusach. Na wysokich jego zdolnościach wkrótce się poznano, i mimo wrodzonéj gwałtowności charakteru, awans szedł mu dosyć szybko. Reputacya jego wkrótce także urosła. W podróży, którą odbył do Anglii, miał wielokrotną sposobność porównania dzielności i czynności tego kraju z uśpieniem Prus; widział o ile włościanin angielski różni się od niewolnika pruskiego, i różnica ta tak wydatna, wyjaśniła mu przyczynę piérwszą złego, którego za powrotem miał nieszczęście być świadkiem. Prawda była tak oczywistą, żeby była uderzyła umysł nawet mniéj przenikliwy. Przekonawszy się więc, że nieszczęścia, na które miał wyszukać lekarstwa, były prawie

zupełnie wypływem prawodawstwa rolniczego tamecznego, postanowił je zreformować. Żeby jednak zrozumieć szczegółową naturę zastarzałych przesądów, z któremi musiał walczyć, dokładnie cel i ducha jego usiłowań ocenić, trzeba najprzód rozpoznać ustawę rolniczą pruską, przed wydaniem tych pamiętnych postanowień.

Historya rolniczego prawodawstwa pruskiego, da się podzielić na dwa wielkie peryody: piérwszy czyli feudalny, zaczyna się 18 kwietnia 1417 r., tojest od dnia w którym Fryderyk IV burgraf norymberski, otrzymał za summę 400,000 florenów złotem, księztwo elektoralne Marchii brandeburskiéj, od cesarza Zygmunta. Peryod drugi, czyli allodyalny, zaczyna się od ogłoszenia piérwszego edyktu Steina, 9 października 1807 r., znoszącego poddaństwo i niszczącego zupełnie dawny systemat, według którego urządzono i ściśnięto rolniczą pracę.

Kiedy piérwszy Hohenzollern owładnął nowo nabytą krainą, bezpośredni wazale jego nadużywali w najwyższym stopniu przywilejów, połączonych z godnością i prawami udzielnych panów, bo żadna władza ludzka nie myślała o pohamowaniu ich nadużyć. Ale w ciągu trzech następnych stuleci, Fryderyk IV i jego następcy tak się znowu zajęli zwalaniem ważniejszych pretensyj szlachty, że nie mieli czasu i zamiaru przedsiębrania stanowczych reform rolniczych. Mimo to, prawa tych trzech stuleci, były poniekąd podwalinami reform dopełnionych za naszych czasów, choć jedyną ich dążnością było: utworzenie i utrzymywanie pewnéj klassy lenności włościańskich (fiefs paysans, czyli *Bauerhöfe*), dla których feudalni panowie tchnęli szczególniejszą czułością. *Bauerhöfe* wymagają szczegółowego objaśnienia. Według za-

sadniczéj maxymy lehnrechtu czyli kodexu feudalnego, prawomocnego wówczas w całych Niemczech, a do dziś dnia w Węgrzech, szlachcic wolny był zupełnie od podatków stałych. Dzierżył ziemię swoję z zasług rycerskich, i ta była rycersko-wolna (ritter frei) od wszystkich zwyczajnych ciężarów. Kiedy następnie modyfikacye systematu feudalnego, które wypłynęły z utworzenia trwałych wojsk, zmusiły udzielnych władców, do obciążania stałemi kontrybucyami pańskich posiadłości; szlachta uwalniając się z tego ciężaru, obciążyła nim znowu pewną klassę swoich bezpośrednich lenników, którym nadała grunta i zaliczyła fundusze, mniéj więcéj według systematu dzierżawców (metayers) francuzkich. Ci *Bauern*, zmuszeni byli opłacać podatki panów swoich. Polubowną tę ugodę, pozornie nie naruszającą przywilejów szlachty, uznał rząd pod warunkiem, że gdyby *Bauern* nie mogli z jakichbądź powodów zadosyć uczynić słusznym wymaganiom skarbu, dziedziczni panowie muszą zapłacić deficyt. Koniecznem następstwem więc, korona nabyła rodzaj hypoteki na tych lennościach włościańskich, a szlachta nie mogła ich uwolnić od tego ciężaru, wcielając z gruntami wolnemi od podatku. Według *Bauer Ordnung* czyli kodexu dla poddanych, panowie mogli wejść znowu w posiadanie gruntów, ale po daniu dostatecznych dowodów, że chcą tam przebywać stale i wynagrodzą poddanych co te grunta posiadali.

Rozległość lennych posiadłości stosownie do dobroci gruntu i innych warunków, dochodziła od cztérdziestu do stu włók. Prawa włościan nie były wszędzie te same, ani dokładnie oznaczone: jakąś lenność np. dziedziczyli spadkobiercy lennika, pan miał jednak prawo wybrać pomiędzy nimi tego, który mu się zdawał najzdol-

niejszym do wyciągania najznaczniejszych korzyści. Druga lenność np. nie mogła być dopóty ważnie przekazaną, dopóki nowy lennik nie zapłacił panu pewnéj wymagalnéj summy (laudemium).

Włościanin znowu miał prawo dożywotnie do ziemi i pozbawić go można było jedynie w kilku wyszczególnionych wypadkach: 1) za niezdolność oczywistą; 2) za nieposłuszeństwo; 3) za złe obyczaje; 4) za niechęć wypełniania przyjętych obowiązków. Skoro pan chciał wyrugować go, musiał dbać o naprawę budowli, oraz zaopatrzać potrzeby ubogich i starców. Obowiązki służbowe różniły się stosownie do krajów i posiadłości pańskich, do rozległości i dobroci koncessyj. Nareszcie pan musiał dbać, żeby te lenności były zawsze osiedlone przez włościan, ale mógł sprzeciwiać się małżeństwu swoich lenników, narzucać im zatrudnienie i professye, jakie mu się podobały i miał nad nimi najobszerniejszą władzę jurysdykcyi cywilnéj i kryminalnéj. Zwyczaje te stosowały się także do innych kategoryj lenności.

Niezawiśle od téj klassy specyalnéj lenników, ludność rolnicza składała się częścią z *freybauers* czyli włościan wolnych; a ci albo byli usamowolnieni, albo też wzięli w posiadanie opuszczone grunta za zezwoleniem panów. Istniała nareszcie liczna klassa włościan stowarzyszonych, wspólnie uprawiających jakąś część ziemi. Te gminy rolnicze (Dorf-Gemeinde) zawsze szczególniéj cechowały gospodarstwo wiejskie w Niemczech, i były, jeżeli nie z praktycznego, to z historycznego stanowiska zapatrując się, szczątkami starożytnych kolonij teutońskich, opisanych przez Tacyta.

Gminy w ten sposób stowarzyszone, zmuszone były skazać się na jednakowość uprawy, choćby tylko dlate-

go, żeby bydło jednych, nie wchodziło w szkodę drugim. Ale ograniczenia, koniecznie wywołane takim składem rzeczy, tak zaszkodziły ogólnym postępom rolnictwa, że piérwszym przedmiotem edyktów reformujących, było ich zniesienie. Małe te korporacye wiejskie były albo lennościami korony, albo jakiego sąsiedniego pana, albo też winny były istnienie opiece jakiéj religijnéj fundacyi. Zbytecznem byłoby nadmienić, że oprócz rozmaitych klass lenników i dzierżawców o których wspomnieliśmy, była znaczna liczba parobków i najemników dziennych (Gesinde), którym płacono odzieżą, pożywieniem lub gruntem. Tak krótko wyłożony szkic gospodarstwa gruntowego w Prusach, ułatwi zrozumienie i baczenie na zmiany, które się tu określą. Nim jednak pokaże się obraz najdawniejszych ustaw rolniczych, wypada jeszcze nadmienić: że piérwszy kadastr w Prusach sporządzony był za ojca Fryderyka Wielkiego w 1617 r. i że wszystkie lenne włości były zapisane i uklassyfikowane. Kadastr ten był zasadą następnych działań skarbowych.

Prawa rolnicze piérwszych monarchów pruskich, były wymierzone szczególniéj przeciwko oszustwom szlachty i właścicieli ziemskich, którzy rujnowali i rugowali włościan, wcielając do swoich posiadłości wydarte im grunta. Dwie tylko możnaby wskazać przyczyny tego postępowania: z jednéj strony wysoka cena zboża, którą podnosił ciągły stan wojenny, dawała im nadzieję ogromnych zysków z rozleglejszéj uprawy; z drugiéj strony unikali odpowiedzialności skarbowéj, przywiązanéj do włościańskiéj lenności. To też wszyscy monarchowie pruscy od Joachima Igo do Fryderyka Wilhelma III, łamali sobie głowy nad wynalezieniem środków zniweczenia chciwości lenników swoich. Roku 1667

wielki elektor największą karą zagraża tym, coby usiłowali rugować włościan z gruntów, lub też odmawiali ich tym, co je zająć pragną; działając tym sposobem w zamiarze wyłącznego korzystania z uprawnego gruntu i łąk odłogiem leżących. W edykcie 14 marca 1739 r. Fryderyk I wyraźnie twierdzi, że mścić się będzie od margrafa do najniższego szlachcica na wszystkich tych, coby ośmielili się rugować samowolnie włościanina z lenności, lub też pozwalali żeby lenność opuszczona z powodu wojny, śmierci i t. p., miała być nie zajęta albo przyłączona do pańskich posiadłości.

Po tych groźbach, następowały czasem i prośby ojcowskie za nieszczęśliwymi poddanymi, uciśnionymi przez nadużycia szlachetnych panów. Zdaje się jednak, że prośby i groźby na wiele się nie przydały. Przeglądając liczne edykta, stanowiące piérwsze rolnicze roczniki pruskie, nie nabiéra się korzystnéj opinii o postępowaniu szlachetnych właścicieli ziemskich z lennikami i z monarchą. Chorowity upór z jakim chwytają najniekorzystniejsze, najniedorzeczniejsze a barbarzyńskie przywileje, bolesne robi wrażenie. Zupełna obojętność na obrót spraw państwa, na dobry byt ludzi, których los od nich zawisł, uzupełnia to wrażenie. Zdaje się, że wiernie dochowali owego upodobania, przypisywanego im przez historyą: *materia munificentiae per bellum et raptus.* To też ani żałuje się ani dziwi, że 70 osób bez różnicy stopnia i urodzenia, stracono w jednym dniu za kradzieże i rozboje na gościńcach.

Fryderyk Wielki wstąpiwszy na tron, nadał nowe życie rolnictwu. Potęga i rozmaitość jego środków dowodzi, jak gwałtownie pragnął ulepszeń. Przekonawszy

się jednak, że wszystkie jego zlecenia i rozporządzenia na korzyść włościan bardzo mało wykonywano, chwycił się środka równie nowego jak charakterystycznego, tojest karał opłatą roczną 1000 talarów każdego właściciela, u którego włościańska lenność nie była zajęta, a swoją drogą karał i urzędnika ziemskiego, któremu poruczone było czuwanie nad lennościami. Kommissarze jego mieli prawo nie bacząc na nic, zabierać dochody panów aż do konkurencyi potrzebnych summ na reparacye posiadłości odstąpionych włościanom, gdyby się w złym stanie znajdowały. Zadługoby było wyliczać wszystkie usiłowania Fryderyka Wielkiego, ulepszające ogólne rolnictwo. Między innemi uderzającemi a najmniéj skutecznemi środkami, jakież ogromne summy sposobem pożyczki właścicielom ziemskim dawał! Ta szczodrość tém dziwniejsza, że zawsze był dosyć skąpy. Nadużywał nawet tego napozór zaradczego środka, w przeciągu bowiem 20 lat od zakończenia siedmioletniéj wojny, wydał w ten sposób około 20 milionów franków w saméj Pomeranii.

Szczodrobliwość zamiast pobudzać działalność, zwiększała niedołężność szlachty; jestto fakt ogólnie dzisiaj przyjęty, mogący służyć za naukę.

Ale środkiem najważniejszym, którego dobroczynne skutki w całém królestwie dotykalnie dały się uczuć, było ustanowienie pod nadzorem rządowym hypotecznych banków ziemskich.

Banki te nazywały się *Landschaften*, bo ich członkowie i założyciele należeli do *Landschaft* czyli sejmów prowincyonalnych. Zdolny bardzo kupiec nazwiskiem Buhring podał piérwszą myśl. Banki te zrobiły największe przysługi wszystkim osobom zajmującym się rolni-

ctwem; pierwotnym ich celem było uwolnienie właścicieli ziemskich od wszystkich lichwiarskich wierzycieli, dostarczając im pewne kapitały.

Z początku opiérały się na następujących zasadach: Każdy właściciel ziemski mógł, jeżeli chciał, zahypotekować nieruchomości swoje w banku przez akcye, i dostawał w biletach najmniéj 500 talarowych, połowę lub dwie trzecie wartości, określonéj oszacowaniami rządowemi. Bilety te w kuponach były wypłacalne okazicielowi i procentowały z dnia na dzień. Bank za to zaforszusowanie brał 1 procent od sta nad procent bieżący. Summy powstające z téj przewyżki, pokrywały wydatki i tworzyły fundusz umarzający, przeznaczony na stopniowe wykupienie własności zahypotekowanych. Nie potrzeba było pisać na biletach nazwiska, ani wyszczególniać pożyczającego lub własności ziemskiéj, bo rozmaite posiadłości wszystkich dłużników, solidarnie odpowiadały za opłacenie wszystkich biletów. Jeżeli który z dłużników nie płacił regularnie procentu, do którego zobowiązał się, dobra jego bezzwłocznie na przedaż wystawiono.

Piérwszy bank hypoteczny był założony 1772 roku w Szlązku, gdzie szlacheckie dobra z powodu wojny były najbardziéj opuszczone i spustoszone. Próba ta bardzo się udała, i Landschaft szlązki wkrótce tak zakwitnął, że z 5 na 4% procent zredukował. W ciągu 18stu piérwszych lat istnienia jego, summa działań podniosła się do 14,000,000 talarów. Za szczęśliwym przykładem Szlązka, wkrótce poszły inne prowincye, i zbiorowe forszusa banków hypotecznych, dochodziły w czasie nominacyi Szteina do ministeryum, tojest w 1807 roku, do 53,333,333 talarów.

Trzy piąte prawie téj summy przeszły już w ręce kapitalistów albo do kass instytucyj publicznych, drugie $^3/_5$ były w obiegu jako papierowa moneta bardzo popularna. Jednakże dwa ważne błędy wielką szkodę wyrządzały kredytowi tych banków, i nie dozwalały mu zrobić wszystkich przysług, jakich spodziewać się należało: z jednéj strony szacunek dóbr był bardzo podniesiony, zasadzając się na wyrachowaniu korzyści zrealizowanych w czasie wojny; z drugiéj rozporządzenie tak mądre tyczące się funduszów amortyzacyjnych, żadnego nie otrzymało skutku. Dwa te błędy późniéj wynagrodzono i wypada oddać słuszność wynalazcy systematu, że czas usprawiedliwił zupełnie jego wyrachowania. Po większéj części ulepszenia, które wprowadził w instytucye, były powrotem do pierwotnych zasad postępowania. Zresztą doszły do tak kwitnącego stanu od 1837 do 1840 r., że na $3^1/_2$ mogły zredukować procent. W tym czasie całkowita summa biletów od 25 do 100 tal. przechodziła 12,000,000 funt. szter. Mimo tego ogromnego podniesienia się i stopniowego zredukowania procentu do $3^1/_2$ od sta, cena tych biletów rentowych utrzymała się wyżéj, i mniéj podlegała niepewnościom na targu europejskim jak inne papiery publiczne. Wyższość ich łatwo da się wytłumaczyć: dają sposobność średnim klassom pomieścić najdrobniejsze swoje oszczędności z równą pewnością, a mniejszym kosztem jak na hypotekę. Zresztą żadna przypadkowość nie może skompromitować praw okazicieli; bo jeżeli w danym wypadku rząd może się uchylić od konieczności opłacenia długów, prywatny wierzyciel zmuszony jest zawsze dotrzymać swoich zobowiązań.

Od śmierci Fryderyka Wielkiego do pokoju tylżyckiego, żadna ważna zmiana nie nastąpiła w stanie ludności rolniczéj, tylko wojna i głód odbyły zwykłe spustoszenia. Szlachta mogła zawsze nabywać grunta uprawiane przez włościan; zawsze zabronioném było włościanom nabywać ziemie posiadane przez szlachtę. Nie wolno było prócz tego szlachcie zajmować się handlem, a mieszczanin nie mógł zostać właścicielem ziemskim. *Adscriptio glebae* trwała ciągle. Mała liczba szlachty która czytała pisma Thaera, przekonała się, że zmiana zupełna była konieczną w umiejętności rolniczéj. Zaczęli przekonywać się, że nowy systemat uprawy zasadzający się na produkowaniu kolejném zbiorów, wymaga staranności i umiejętności, któréj nie można nigdy wymagać od pracy przymuszonéj. Przestrach którym natchnęła ich rewolucya francuzka, oświecił ich do reszty. Skoro tylko król spostrzegł, że poddani zaczęli się oświecać, 16 lipca 1799 r. usamowolnił swoich lenników od powinności osobistych i innych, nadając im prawo nieograniczonéj własności na gruntach przez nich zajmowanych, pod warunkiem opłacania ustanowionych należności. Przykład dany przez króla tak mało znalazł naśladowców pomiędzy szlachtą, że koalicya ich za potężna, w niwecz obróciła jego szlachetne zamiary. Gwałtowna energia Fryderyka Wielkiego innego nie otrzymała rezultatu, jak tylko zmianę niewolnictwa lenników korony, na *adscriptio glebae.*

Jesteśmy teraz w epoce, w któréj spruchniały budynek feudalizmu podkopywany ciągle, musiał runąć nareszcie pod nieustającemi ciosami burzycieli. Dziwno, że ta zmiana tak późno nastąpiła; ale moc i szybkość jéj działań tém bardziéj zadziwia. Nieszczęśliwa bitwa pod

Jena jasno dowiodła, jak mało Prusy mogły rachować na kwiat swojego rycerstwa. Imię szlachcica było długo synonimem imienia żołnierza, teraz obadwa przypominały tylko najokropniejsze klęski. Chwila była pomyślna żeby odebrać tym, co przywłaszczyli i zdradzili najświętszy obowiązek, niektóre przywileje mające takie prawo do szacunku, jak przez owa Burkiego szczęśliwie nazwana „niesłuszna legalność". Piérwszym rządowym czynem Steina było ogłoszenie pamiętnego edyktu 9 października 1807 r., pozwalającego szlachcie nabywać ziemie uprawiane przez włościan, a włościanom nabywać ziemie należące do szlachty. Edykt znosił poddaństwo osobowe, zabraniał utworzenia w przyszłości takiego stanu rzeczy, zakończony obietnicą, że prawo posiadania ziemskich własności, będzie o ile możności najrozciąglejsze.

Nie upłynęło roku od czasu jak Stein ogłosił tak jawnie zmianę, którą miał dokonać, kiedy nieprzewidziany wypadek nie dozwolił mu urzeczywistnić zamiarów swoich, i chwilowo tryumfowali jego przeciwnicy. Uniesiony zapałem patryotycznym i wrodzoną żywością, nieostrożnie powierzył jednemu ze swoich przyjaciół, udającemu się do Petersburga, list do generała księcia Witgenszteina, w którym zachęcał generała, żeby maszerował na Francuzów. Posłaniec dostał się w ręce nieprzyjaciół, i znaleziono w jego papiérach list piérwszego ministra. Uwięzienie i odkrycie, które może niekoniecznie los sprowadził, zmusiły Steina do wzięcia dymissyi i udania się pod protekcyą Austryi. Ale chociaż już nie pełnił obowiązków kanclerza stanu, miał rozkosz być czynnym pomocnikiem ministrów, którzy rozwijali jego idee, i dopomagał im mądremi radami, żeby doj-

rzały ziarna odrodzenia, zasiane tak śmiałą dłonią. Zeznanie, którém pożegnał się ze swojemi kolegami, znane ogólnie jako jego testament polityczny, mieści w sobie szkic szczególniéj zręczny i potężny reform liberalnych i oświeconych, które chciał nadać Prusom. Umarł 1825 r., zająwszy bez zaprzeczenia jedno z piérwszych miejsc pomiędzy wielkiemi ludźmi stanu Prus.

Po Steinie nastąpił Hardenberg. Jednakże taką miał Napoleon antypatyą do Hardenberga, że dużo upłynęło czasu pomiędzy dymissyą Steina a mianowaniem jego następcy na posadę kanclerza stanu, a w przeciągu tego czasu, posada ta była wakująca. Nie było nigdy dwóch ludzi tak różnego usposobienia jak Stein i Hardenberg, a których niepodobieństwa dążyły zewnętrznie do dania więcéj dzielności wspólnemu działaniu. Sama w sobie gwałtowna energia Steina ani mogła znieść przeciwności, ani zrazić się jakąkolwiek przeszkodą; możeby była upadła, ale również zręcznie, jak szczęśliwie dopomogła jéj ta płodność zasobów, ta subtelność dyplomatyczna, która dozwoliła Hardenbergowi ujść zawistnemu czuwaniu przeciwników. Niesłychana zręczność z jaką Hardenberg umiał podejść Napoleona, i mimo niedowierzania ukryć przed nim zupełnie rozmaite przygotowania do walki 1812 r., zapewniła mu zarówno tryumf, jak systemat rolniczy i *Tugendbund* Steinowi, a zwycięztwo jego zostało niezatartym dowodem dyplomatycznych talentów.

Karol August hrabia a następnie książę Hardenberg, urodził się 1750 r. w Hanowerze. Ojciec jego generał brygady w armii hanowerskiéj, służył zaszczytnie pod książętami Cumberland i Brunszwiku. Po długiém przygotowawczém wychowaniu, młody Hardenberg chwycił

się zawodu dyplomatycznego, ale osobiste zajście 1782 r. z księciem Walii (Jerzym IV), nie dozwoliło mu posuwać się daléj. Wszedł do służby księcia brunszwickiego, a następnie do pruskiéj. Awans jego szybko postępował, wkrótce posiadał całe zaufanie młodego monarchy. To powodzenie łatwo się pojmuje: z ujmującemi wdziękami szczególnie przyjemnéj powierzchowności, łączył potęgę wysokiéj intelligencyi bogato uprawnéj. Chociaż umysł jego mniéj był może przedsiębierczy, mniéj śmiały od Steina; miał jednakże tę samą stałość charakteru, i z tém samém postanowieniem rozwijał działanie ważnych planów, któremi zajął się gorliwie. Żadna praca najdłuższa, najbardziéj męcząca, nie zrażała go. Pamiętniki jego owoczesne, złożone w archiwach pruskich przez ostatniego króla, mają być ogłoszone 1850 r. Żywo zapewnie zajmować będą ludzi stanu pruskich. Umarł w Padwie 26 listopada 1822 r. wracając z kongresu werońskiego.

Powrót Hardenberga do steru rządu w 1810 r. niezwłocznie odznaczył się ogłoszeniem edyktu (27 października), który nie pozwalał wątpić o systemacie politycznym postępowania nadal, i o niezmiennem postanowieniu urzeczywistnienia, o ile w jego będzie mocy, idei politycznych poprzednika. Edykt ten zmienia zupełnie systemat skarbowy Prus, i zawiéra program dokładny przyszłego postępowania ministra. Między innemi oświadcza: „że od obecnéj chwili, wszelkie wyjęcie z pod opłaty nieruchomej ustanie", gdyż ten przywiléj jest w sprzeczności z naturalną sprawiedliwością i z duchem administracyi sąsiednich krajów. Same nawet dobra korony będą podlegać wspólnemu prawu. Obiecuje „nowy i lepszy systemat podatkowania, zupełną swobodę prze-

mysłu, zniesienie wielu ścieśnień, utworzenie dobrze uorganizowanego systematu reprezentacyi prowincyonalnéj i ogólnéj", i zobowiązuje się względem téj części poddanych, co dotychczas nie korzystali z własności gruntów które zajmują, pragnąc nadać im ją i zapewnić, znosząc zarazem zupełnie wiele zwyczajów gnębiących i uciążliwych podatków.

Nieoznaczone to ostatnie zobowiązanie względnie do koncessyi prawa własności, było bez wątpienia pierwotném źródłem wszystkich błędów, popełnionych w tym względzie przez wielu autorów cudzoziemskich. Ale ta dwuznaczność była zapewnie rozmyślna i dobrowolna. Jeżeli edykt, w którym korona ogłaszała, że chwyci się środków tak ostatecznych jak sekularyzacyi wszystkich korporacyj religijnych i przedaży dóbr koronnych, nie oznaczał szczegółowo wszystkich koncessyj, których kazał się spodziewać; może to było jedynie przez mądrą konieczność. Niektórzy teoretycy tegocześni niesłusznie wyjaśniali to, czego sami dobrze nie zrozumieli; ich założenia były fałszywe, wypadki więc nie mogły być słuszne. Chcąc dowieść, że analogie, które starali się wyprowadzić ze szczęśliwego zastosowania reform rolniczych pruskich, były uzasadnione na niedokładném pojęciu prawdziwego ich celu, dosyć prawdziwe ich znaczenie wyłożyć.

Nie trzeba się więc mylić. Rząd pruski do dziś dnia nie usiłował nigdy zmodyfikować własności ziemskiéj tylko w dwóch przypadkach: 1) względnie do téj klassy lenności włościańskich o których mówiliśmy; 2) i względnie wieczystych dzierżaw. W dwóch tych wypadkach cel jego był bardzo widoczny. Potwierdza się zresztą najjaśniéj w dwóch edyktach rolniczych, ogłoszonych 14

września 1811 r. Dwa te edykta z deklaracyą dodatkową 29 maja 1816 r. stanowią zasadę teraźniejszego kodexu rolniczego. Ponieważ razem były ogłoszone, biorą często jeden za drugi. Piérwszy ma napis: „Edykt regulujący stosunki pomiędzy panami (Grundherrn) i dzierżawcami włościanami (Bauers) i ściśle ogranicza się na klassie lenności fiskalnych, o których kilka razy wspominaliśmy. Rozkazuje aby wszystkie lenności włościan, odpowiadające warunkom poniżéj wyłuszczonym, przeszły w posiadanie bezwzględne tych, którzy je zajmowali w czasie ogłoszenia edyktu.

Wymagał więc: 1) aby już były utworzone w pierwotnym celu utrzymania posiadaczy w charakterze dzierżawców niezawisłych; 2) ażeby były zapisane na liście podatków prowincyonalnych jako lenności włościańskie; 3) ażeby były zajmowane w normalnych czasach monarchii przez dzierżawców włościan wyłącznych; 4) żeby nakazywały panu, aby zawsze w ten sposób zajęte były; 5) że pan odpowiedzialny był za opłatę podatków. Ustanowiona jest następnie różnica pomiędzy lennościami, które na mocy prawa lub zwyczaju przechodziły na spadkobierców posiadacza, nie będąc dziedzicznemi. Nareszcie edykt w te słowa daléj mówił: „Stosunek, który dotychczas istniał w tych wypadkach, nie dozwalał rzeczywistemu właścicielowi wywiérać bezpośredniego wpływu na exploatacyą lub uprawę posiadanéj własności, a w razach, w których spadkobranie nie ma miejsca, włościanie, którzy na tym gruncie po sobie następują, nie mają żadnego trwałego interesu w ulepszeniu go. Nie możemy dłużéj tolerować stanu rzeczy tak szkodliwego rolnictwu".

Objawiwszy więc, że taki stan rzeczy powinien był ustać, edykt wyszczególnia warunki, według których

mają być robione koncessye prawa własności bezwzględnéj. Uznaje, że potrzeba wykryć jaką główną zasadę, któraby mogła pomódz rządowi do określenia stałego wynagrodzenia należącego się panu za całkowite odstąpienie ziemi. Z początku wywodzi z zasad oderwanych ustawy, że pan winien ograniczyć swoje żądania w ten sposób, żeby wieśniak mógł zyskać utrzymanie przyzwoite. Utrzymanie to przypuszcza się wtedy zapewnioném, kiedy wieśniak zachowuje na osobisty swój użytek trzecią część czystego dochodu z gruntu. Łącząc tę hypotezę z piérwszą, przypuszczającą, że żądania właścicieli zamykają się już w rozsądnych granicach, edykt za główną zasadę uznaje: że oddanie trzeciéj części gruntu włościańskiego panu (który mógłby nim rozrządzać jakby mu się podobało bez odpowiedzialności co się tyczy gruntu i utrzymania budowli), wystarczało na zadosyć uczynienie zobopólnym wymaganiom pana i włościanina. W lennościach niedziedzicznych zwrot ten dochodził już nie do trzeciéj części, ale do połowy. Wynagrodzenie to wypłaci się panu albo oddaniem rzeczywistém téj części lenności która mu się należy, albo téż roczną opłatą, stosownie do wartości lenności. Gdyby zaś z powodu oddania gruntu, folwark miał się tak zmniejszyć, żeby korzystnie nie mógł być uprawiany, zwrócenie miejsca nie będzie miało, i zamienioném będzie na roczną wypłatę. Osobiste pańszczyzniane obowiązki, oszacowane będą w pieniądzach, stosownie do zwiększania wydatków, które zniesienie ich spowodować może w uprawie gruntu właściciela. Inne warunki edyktu mają po większéj części tylko pomocniczą ważność; sąto rozporządzenia techniczne, których przeznaczeniem było ułatwić wprowadzenie środków w wykonanie. Jeden z nich, zasługuje na bliż-

szą uwagę, wyjaśniając bowiem rzeczywisty charakter dążności, pokazuje, jak mało wartości przywiązywali redaktorowie do zaszczytu. Wynagrodzenie dawane panom ogołoconym z prawa własności, składa się w lennościach dziedzicznych z procentu $7\frac{1}{2}$ od sta czystego rocznego dochodu, a w lennościach niedziedzicznych tylko z $5\%$. Drugi edykt z 11 września 1811 r. ma napis: „Edykt ulepszający rolnictwo."

Ponieważ wstęp jego może nadać postrzeżeniom poprzednim więcéj jasności i prawdopodobieństwa, przytaczamy go:

„My z Bożéj łaski Fryderyk Wilhelm etc. etc. etc. Objawiamy: „Włościańska ludność naszego królestwa, znajdowała się do dziś dnia w najniekorzystniejszych okolicznościach; celem polepszenia jéj dobrobytu, znieśliśmy poddaństwo i zbyteczne obowiązki dostarczania koni i furażów wojsku; reformy te jednakże nie wystarczają jeszcze na utrwalenie i uzupełnienie dobrobytu; wyjąwszy bowiem Niższego Szlązka, włościanie innych prowincyj po większej części nie posiadają gruntów, albo posiadają bardzo obdłużone. Obietnicy zawartéj w edyktach 9 październ. 1807 i 27 październ. 1810 r., względem ogólnego ustąpienia własności, dotrzymujemy w niniejszym edykcie, regulującym stosunki dziedziców i włościan. Edykt ten i następujące po nim bezwłocznie, ustanowią niezależność włościan właścicieli gruntów i zniosą ciężary szkodliwe rolnictwu. Atoli w zamiarze odsunięcia wszystkich przeszkód, dania naszym poddanym wszelkiéj swobody przedsiębierstw i postawienia ich w możności wyciągania wszelkich możliwych korzyści, rozkazujemy, aby wszelkie zawady, któremi prawa, lub téż istniejące zwyczaje tamowały swobodne rozporzą-

dzenie gruntów, czyto przy sprzedaży, donacyi lub też testamencie, były odtąd zniesione. Nadajemy właścicielom ziemskim to prawo rozrządzania swobodnego gruntami, ażeby te grunta dostały się w ręce kapitalistów i uwolnić się mogły z ciężarów, które je tłoczą. Rozdrobnienie większe gruntu w najużyteczniejszych rozwinie się następstwach, z których cieszyć się będzie ojcowskie nasze serce; dostarczy sposobność tak zwanym małym ludziom (kleine Leute), jakoto: ogrodnikom, parobkom i t. p. nabywania własności nieruchomych i stopniowego ich powiększania".

„Nadzieja taka, wpoi w liczną a użyteczną klassę naszych poddanych wyobrażenia i wzwyczajenie się do porządku i oszczędności, bez których przymiotów nie można nabywać gruntów. Wielu z nich wzbogaci się i potrafi się wznieść za pomocą majątku lub przemysłu. W ten sposób państwo uzyska nową i zdolną klassę właścicieli i przemysłowców, liczba rolników wzrośnie, a przemysł ciągle działalny udoskonalić się musi."

Edykt wgląda następnie, ażeby dzierżawy wieczyste nie były przeszkodą do rozdrabniania gruntów, zmusza dziedzica do przyjmowania kapitału, w miejsce rocznego dochodu po 4% i to kapitału wypłacalnego częściowo, według warunków które podaje; inne klauzule odnoszą się szczegółowo do zniesienia tych praw wspólnictwa i pańszczyzny, które w téj epoce tak szkodliwe były niemieckiemu rolnictwu.

W końcu objawia: „że monarcha ma zamiar założyć Radę Rolniczą w Berlinie, mającą urządzić stowarzyszenia w prowincyach, mianować płatnych ajentów, dla obznajmienia niższych klass z najużyteczniejszemi rolniczemi wiadomościami, i urządzać wzorowe gospodar-

stwo: słowem, mającą używać wszelkich środków polepszających postępy rolniczéj umiejętności. Ale często najlepsze chęci, a nawet obietnice, nie tak szybko wchodzą w wykonanie; rada, o któréj wspomina edykt z 1811 r., dopiéro co ustanowioną została w Berlinie.

Rozbiór ten wykazuje oczywiście cel pierwotnego edyktu, bardzo prosty; zasady, na których rząd pruski opiérał się, dla pogodzenia przeciwnych dwóch interesów, zdają się słuszne o tyle, o ile mogły być w takich okolicznościach. To téż można było rozsądnie spodziewać się, że wielkie ciało właścicieli ziemskich, z liberalnością przyjmie reformy tak potrzebne i mądre, że usilnie współdziałać będzie, ku ich korzystnemu rozwinięciu. Tak jednak nie było: szlachetni reprezentanci rolniczéj sprawy wypełniali to wszystko co tylko mogli, ażeby zniweczyć następstwa i uniknąć rozporządzeń edyktów. Protestowali jak zawsze, jak wszędzie, przeciw niesprawiedliwemu naruszeniu nabytych praw; gorzko uskarżali się, że pozbawieni są pańszczyzny i zmuszeni są lepiéj żywić i dawać większą płacę usamowolnionym robotnikom. Wierząc w ich przepowiednie, nie będzie można znaleźć dostatecznéj liczby rąk do uprawy gruntu, bo wielka massa ludności wiejskiéj niewłaścicielskiéj uda się do miast, skoro nie będzie przywiązana do gruntu. Tak mniemali, nastawali głównie na czas, trudność i wydatki, które koniecznie spowodują układy z włościanami. Tysiące głosów, między innemi głos księcia Pickler Muskau, obeżywie powstało na całą armią owych urzędników „koczujących", których było obowiązkiem niezbyt przyjemnym bez wątpienia, pogodzić chciwość panów, z wymaganiami tylko co usamowolnionych lenników. Żądano wynagrodzenia; — wkrótce nastąpiła

odpowiedź rządu: „Nie może być mowy o wynagrodzeniu, na reformach tych bowiem zarówno pan jak włościanin skorzysta. Dotychczasowe feudalne prawa nadane tylko były panom w celu policyjnym; jeżeli zaś z powodu usamowolnienia włościanie mają lepszą żywność i większą płacę, dowód to tylko, że wynagrodzenie poprzednie nigdy nie było właściwe. Przypuszczalne polepszenie robotniczego położenia zapewni żądaną dobroć pracy. Panowie wyłamać się nie mogą od obowiązku zaopatrywania potrzeb podeszłych, kalek lub cierpiących lenników, odpowiedzialność ta wypływa z ich gruntowéj jurysdykcyi. „Nareszcie, gdyby kiedykolwiek miało przyjść do walki, ogólne sprawy państwa będą miały zawsze pierwszeństwo nad prywatnemi interesami dziedziców".

Ta odpowiedź rządu, umieszczona po większéj części w obiegniku adresowanym do reprezentacyjnéj izby szlązkiéj, rozwiązywała może kilka kwestyj; ale jeżeli się nie mylimy, jedno tylko winno być zdanie o doskonałości ogólnych zasad przez nią ogłoszonych.

Nie zapominajmy, że znaczna ilość gruntu, prawie 6sta część powierzchni całego królestwa, była w ręku indywiduów wprawdzie mających zupełną swobodę uprawy jako dzierżawcy użytkujący, ale używających ograniczonéj tylko korzyści; nie mogli więc prawie, choćby im środków nie brakowało, przedsięwziąć trwałych ulepszeń. Co do tych, którzy używali własności prawnéj, bezwzględnéj (różnica opiérająca się na *dominium directum* i *dominium utile*, która z łatwością przeszła z prawa rzymskiego do prawa feudalnego), zwyczaje i inne okoliczności nie dozwalały im wywierać wpływu bezpośredniego na istniejącą uprawę. Nie wymieniając wszystkich tych okoliczności przypominamy tylko, że wielka

rozległość posiadłości, a brak zupełny kapitału, zabraniały im wszelkiéj użytecznéj interwencyi. Weźmy naprzykład prowincyą Pomeranii w 1806 r. Tysiąc trzysta trzech właścicieli ziemskich, szlachty, posiadało około 200,000 akrów angielskich gruntu, który był zahypotekowany za 5,000,000. Rzeczywiście, włościanin zostawszy właścicielem małego folwarku który exploatował, używa większego kredytu, i łatwiéj mógł wystarać się potrzebnego kapitaliku od szlachcica, którego ogromne posiadłości, uginające się pod ciężarem długów, nie mogły być sprzedane, dzięki postanowieniom i rozmaitym ścieśnieniom prawnym.

Po wszelkiéj reformie w tym rodzaju, musi następować złe przechodnie i czasowe skargi. Ale bądź co bądź sto razy lepiéj wykonać ją niżeli cofać się przed temi przeszkodami. Reforma ta pokazuje do dziś dnia najszczęśliwsze następstwa, a podróżny co niedawno zwiedził Prusy, następnie o nich wspomina: „Zreformowanie prawa własności w Prusach jest równie ważne jak to, co miało miejsce we Francyi, i też same skutki sprowadziło. Nadało zamożność, dobry byt i własność narodowi, uwolniło go z pod miejscowego ucisku, podniosło fizyczną i moralną stronę, nadało mu nareszcie byt polityczny, choć ten byt nie jest jeszcze uznany". Po tych trafnych postrzeżeniach pana Laing, można jeszcze przytoczyć postrzeżenie p. Jacob, który w sprawozdaniu o rolnictwie na stałym lądzie zrobił panegiryk, cokolwiek zawiły tych środków. Kwitnący stan Prus jest nadto najlepszym dowodem mądrości i stosowności tych środków. Jeżeli potrzeba jeszcze innego zapewnienia, przypomnijmy sobie pośpiech, z którym wszystkie inne państwa niemieckie, wyjąwszy Austryą, naśladowały przykład

Prus. Kilku przeciwników edyktów mniemało, że tworząc liczną klassę włościan właścicieli, niebezpieczny będzie wzrost ludności. Oceniając skutki, jakie nastąpiły pod tym względem, trzeba przypomnieć sobie, że w epoce owéj ludność Prus wynosiła tylko ośm milionów, wzrost więc jéj był bardzo pożądany. Bez wątpienia pomnożyła się, nikt nie przeczy temu; ale przypuściwszy, że przybyli ludzie pracowici, uczciwi i szczęśliwi, czyż trzeba żałować? Niełatwo prócz tego określić, czy wzrost ten przypisać należy zniesieniu prawa, które służyło panom do sprzeciwiania się małżeństwom lenników, czy téż ukrytym wpływom, jakie wywierało bezpośrednie posiadanie gruntu. Dwa te wpływy wspólnie działać mogły; zresztą, liczba tych, którzy korzystali z edyktów nie przenosiła 261,000; lennych posiadłości było 161,000; nierozsądnie więc byłoby przypisywać głównie téj przyczynie wzrost ludności. Czy tego wzrostu wynoszącego 5,000,000 nie wywołało czasem 30 lat nieprzerwanego pokoju?

Pragnąc dać poznać ulepszenia rolnicze ministrów pruskich Steina i Hardenberga, głównym naszym zamiarem było sprostować fałszywe wyobrażenia, które o nich sobie do dziś dnia utworzono. Wpływ, jaki wywrą na kwestyą posiadania gruntów przez włościan, jest zagadnieniem które czas rozwiąże. Dwaj wielcy ministrowie pragnęli bez wątpienia zrobić włościanina rolnikiem o tyle niezawisłym od wszelkiéj kontroli, o ile na to zezwalały sprawiedliwość i prawa.

Byłoby jednakże wielkim błędem uważać następstwa obecne tych edyktów, jako niezbite dowody wpływu bezpośredniego posiadania gruntu. Istotnie bez porów-

nania łatwiéj stworzyć wielkie stowarzyszenie właścicieli włościan niezależnych, niż utrzymać je. Odwołanie ścieśnień zwiększa trudność zamiast ją zmniejszać, bo utrzymanie każdéj klassy powinno zależéć od pewnych odgraniczeń. Zresztą, pod żadnym względem nie różni się wydatniéj tegoczesna epoka od peryodu feudalnego, jak pod względem owego gwałtownego pragnienia zatarcia wszelkich ścisłych linij demarkacyjnych i nieznoszenia tego, co da się nazwać przywilejem lub nieudolnością prawną. Bez wątpienia większa część ścieśnień, z których usamowolniono włościan pruskich, miała w zasadzie dążność oswobodzenia ich od chciwości innych klass; spostrzegamy to w prawie zakazującém im rozdrabniać gruntów, lub też hypotekować je za wartość większą od połowy. Ale jedną z głównych niedogodności obecnego stanu rzeczy, jest konieczność ciągłego wglądania prawnego. Przy śmierci każdego małego właściciela i przy spadkobraniu jego posiadłości, zagadnienie utrzymania niezależności spadkobierców staje się coraz trudniejsze. Zdaje się, że jedynym będzie środkiem poświęcić korzyści młodszych dla starszych. Najłatwiéj myśl tę wytłumaczy, przytoczenie dwóch rozporządzeń rolniczych koncessyj i reetrykcyj, które rząd pruski dał pod rozpoznanie wielkiemu sejmowi berlińskiemu. Piérwszy projekt z 15 maja 1847 r. miał na celu ułatwić włościanom nabycie bezpośredniego posiadania gruntu za pomocą banków, podobnych do banków hypotecznych o których mówiliśmy, a których celem miało być otrzymanie czasu na upłacenie rocznych należności panom. Przedmiotem drugiego było ustąpienie w pewnych razach spadku starszemu synowi, zamiast rozdzielania go pomiędzy wszystkie dzieci. Dwa te projekta odrzucono,

jako przy stanie kwitnącym rolnictwa niepotrzebne; zresztą, deputowani sejmowi szanowali inne wzniosłe zasady, cechujące rozporządzenia Steina i Hardenberga.

Ciekawe są bardzo rozprawy sejmu berlińskiego o tych projektach królewskich z 15 maja 1847 r. dla wszystkich tych, co zajmują się ogólnemi agronomicznemi stosunkami Prus i ciekawemi zagadnieniami tamecznego prawodawstwa rolniczego.

(*Edinburgh Reviev*).

# PODRÓŻE PO BIESKIDACH,

## czyli opisanie części gór Karpackich, zawartych pomiędzy źródłami Wisły i Sanu.

PRZEZ

*Ludwika Zejsznera.*

---

(Dokończenie).

***Myślenice.*** Mało jest miejsc u stóp Bieskidów, mających milsze a świetniejsze widoki. Gdy przy zachodzącém słońcu rzucimy okiem na te bujne pasy rozrodnych roślin pożywnych, przy niknącym promieniu słońca, mimowolnie dusza gubi się w błogich dumaniach. Mogłaż być inna przyczyna téj pięknéj nazwy miasta tego? Lud bowiem czuje piękność przyrody w wysokim stopniu, i tak trafnie wyraził się tutaj. Wysokie grzbiety gór czarnym okryte lasem, wznoszą się nagle z równiny, a tam gdzie się roztwierają, wypływa bystra Raba. Rynek Myślenic leży 950 stóp nad morzem. Chociaż wyborny gościniec przechodzi przez to miasteczko z Wiédnia do Lwowa, mnóstwo poczt i furmanów przejeżdża, a oprócz tego tędy idzie droga ze Spiża i Węgier północnych; pomimo tych wszystkich napozór sprzyjających okoliczności, Myślenice mniéj są porządne, aniżeli poprzednio opisane

mieściny polskie. Sprawiłże to napływ obcéj ludności, czy łatwość zarobku i również łatwe trwonienie?—niełatwo rozstrzygnąć. Charakter długiéj ulicy prowadzącéj do gór ponad Rabą, jest zupełnie odmienny od reszty miasta; kroje góralskie przeważają w niéj zupełnie; domy po większéj części z okrąglaków wystawione, odmienne są od domów na równinie. Przebywszy tę ulicę nieznacznie zbliżamy się do wyłomu, którym Raba z gór wypływa. Droga wznosi się zwolna, uprawne role zastępują wzgórza krzakami okryte, a pomiędzy niemi widać wielkie łomy kamienia piaskowego z warstwami zapadającemi pod znacznym kątem na południe, pod góry przed nami ciągnące się; daléj zwęża się widocznie dolina, i tylko na brzegu ciągnie się droga nad obszernem korytem Raby. Przy wiosce Stróża, nazwanéj zapewne że stoi na straży góralszczyzny, droga zmienia swój kierunek, zwraca się na wschód i ciągnie u stóp potężnego Kotunia. Odtąd zupełnie zmienia kraj swe wejrzenie; równiny znikły, zastępują je długie grzbiety i wązkie doliny, których środkiem płyną bystre rzeki lub strumienie. Nad temi wodami widać tu i owdzie kawałek uprawnéj roli, wznoszący się na boki mniéj strome; rzadko sterczy skała drzewami uwieńczona; czasem roztwiéra się dolina, a wdali sterczy kończasty wirch. Nie trzeba przypominać, że te strony zamieszkują górale w brunatnéj guni; chłopa bowiem w białéj sukmanie niémasz nigdzie pomiędzy górami. W tych kilku rysach zawarłem charakter Bieskidów.

U stóp długiéj góry Kotuń, na któréj spoczywa oko patrząc z Krakowa na Bieskidy, leży wspomniana wieś Stróża, a za nią długa wioska Pcim. Ta część doliny bardzo jest wązka, zacieniona, rzadko miewa więcéj jak

$^1/_8$ mili szérokości; jednakże widoki chociaż ściśnione, często pełne rozmaitości, a nawet nie bez wdzięku. Za Peimem roztwiéra się znaczniéj dolina, a w samym końcu wznosi się piramidalny *Strzebel* nad wioską Lubień. Szérokie koryto Raby jest tutaj bardzo niestateczne i zmienne; powszechnie woda płynie wązką smugą, reszta zaś koryta jest wysypana jakoby brukiem; rzadko woda wypełnia całe łoże, i wtedy Raba ma wejrzenie potężnéj rzéki. Ale to wypełnienie pociąga za sobą wielkie szkody; wezbrane wody niosą z sobą kamienie, które zasypują role uprawne, i często w kilku godzinach giną przez długie lata z niezmiernym mozołem jakby wydarte naturze grunta orne.

Z wioską Lubień kończą się urodzajne okolice, rozumié się dla okolic górskich. Chociaż wieś ta leży 1032 stóp wysoko, jednak mnóstwo drzew po ogrodach rodzi dosyć dobre owoce. Około 100 stóp wyżéj nad Lubieniem, w boku zachodnim góry Strzebel, wytryska wyborna woda, zwana *Rząca woda*, z temperaturą prawie niezmienną w letnich miesiącach, jak to następujący szereg pomiarów okazuje:

| | | | |
|---|---|---|---|
| 17 | sierpień | 1839 | + 8,40° C. |
| 23 | lipiec | 1840 | 8,40. |
| 8 | sierpień | „ | 8,45. |
| 24 | listopad | „ | 8,55. |
| 20 | czerwiec | 1843 | 8,30. |
| 26 | — | — | 8,45. |
| 29 | październ. | 1844 | 8,65. |

Średnia zatém arytmetyczna wynosi 8,45° C.

Porównywając temperaturę tego źródła z Glinnickiém, pokazuje się, że piérwsze leży 582′ wyżéj i jest o 1,45° C. zimniejsze, a tém samém, że temperatura źródeł co 500 stóp wyżéj, spada nieco więcéj jak o je-

den stopień stustopniowéj podziałki. Nieco wyżéj (około 100 stóp) jest drugie źródło zwane *Na Krzynowisku*, z temperaturą nieco mniejszą:

17 sierpnia 1839 + 8,20° C.
23 lipca 1840 8,27.

Góra Strzebel wznosi się łagodnie ze strony zachodniéj, tylko przy szczycie bardziéj jest stromą; bujne świerki okrywają ją wokoło, na wierzchu zaś rosną zkarłowaciałe buki. Kiedym tę górę w dniu 25 maja 1838 r. zwiedzał, dopiéro pękały pączki buczyny. Widok z téj góry nie jest obszerny, ale ze wszech miar godzien widzenia; ku Lubieniowi i Babiéj Górze najobszerniejszy. Prawie pod samym szczytem są dwie szczelinowate jamy w piaskowcu, w których jeszcze nieco śniegu zastałem. Wiele opowiadali mi przewodnicy o zaklętych i tam zakopanych skarbach, strzeżonych przez kurocza (koguta, po góralsku).

Od Lubienia zwraca się znowu droga ku Nowemu-targowi na południe, wznosząc się ustawicznie. Na tym gościńcu, łączącym Kraków z Węgrami, chociaż znaczne ilości produktów bywają sprowadzane, jednak droga jest w stanie pierwotnym, a podczas deszczów często nawet lekką bryczką nie do przebycia. Wszystkie góry nadzwyczajnie są tu dzikie a nieurodzajne; roślinność tak jest nędzna, że trudno wystawić sobie coś smutniejszego, i ten stan zachowuje okolica aż do Nowotarskiéj doliny. Jakby potężny wał leży wpoprzek góra Luboń. Przebywszy czarny las świerkowy okrywający wierzch téj góry, roztwiéra się obszerniejszy widok: cała wyżyna Bieskidów leży u stóp podłużnemi dolinami poorana, z których wznoszą się nieco wyższe grzbiety; pomiędzy niemi najwyższa jest Babia Góra. Z wysokości Lubonia widać po

raz piérwszy w całéj wspaniałości Tatry; rzęd ich potężnych piramid, powleczony białawo-szaremi dymami (tak wyraża się góral) uroczysty daje obraz, i jak każdy wielki widok natury, porywa duszę i budzi niewymowną wewnętrzną rozkosz. Przeszło ćwierć mili od szczytu Lubonia, ciągnie się wzdłuż doliny lub na grzbiecie Bieskidów droga bita od Białéj i Żywca do Sącza. Niedaleko gdzie się przecina z gościńcem węgierskim, stoi mały kościołek świętego Sebastyana, wielkiemi lipami otoczony; karczma i kilka domków przy nim, są dobrze znane całéj góralszczyznie, tutaj bowiem wypoczywa góral jadący na równiny czyli do Lachów, i od nich wracający. Często w jesieni, kiedy dżdżysta pora nastąpi, nie można jechać wprost do Nowegotargu, bo gliniasta ziemia całkiem miękczeje; trzeba kołować przez Skomielną i Rabkę, dwie zupełnie górskie wioski. W drugiéj odbywają się liczne jarmarki góralskie. Niedaleko Rabki tryszczy źródło słonéj wody, ale z niego użytkować niewolno; pilnuje tego usadowiony umyślnie strażnik.

Przy wiosce Habowka wyniesionéj 1,400 stóp, droga ciągle ku południowi zmierzająca przecina Rabę, nader małą, ledwie o milę daléj biorącą początek pod Spytkowicami. Odtąd ciągnie się bity gościniec po najwyższym grzbiecie przeszło dwie mile, aż do Nowegotargu. Na jego północnym boku, prawie na najwyższém wzniesieniu, stoi kościołek Św. Krzyża (do krzyża, przez skrócenie mówią górale), który również lipy otaczają; owe jedyne wyjątkowe drzewa wśród samych świerków i jodeł. Dosyć wygodna karczma tuż przy kościele jest nową oazą dla podróżnych; jest tam pokoik z pięknym widokiem na Babią Górę. Nocował tutaj teraz panujący król

saski, zwiedzając Tatry w r. 1841, a chociaż podróżował najskromniéj z adjutantem i dwoma pojazdami, gdy tu zajechał, rozeszła się wieść o nim, i mnóstwo zeszło się ludu z całéj okolicy, by zobaczyć jak król wygląda. Niemało się dziwili, widząc go łaskawym i przystępnym. Karczma ta wyniesiona jest nad poziom morza 1966 stóp, ale nie jest najwyższym punktem zamieszkałym w tém pasmie; wioska Rzdzawka leży 2400 stóp. Cała okolica nadzwyczajnie jest dzika; drzewo będąc wystawione na niezmierne wiatry, przybiéra kolor jasnoszary, i po nim możnaby już poznać wyniosłą okolicę. Domy bardzo porządne, każdy prawie płotem opasany; wnętrza ich również są ujmujące; chociaż ubogo ale czysto; okna szczególniéj dobrze są utrzymywane. Żyjąc tamże po kilka dni, miałem wszelkie wygody zaspokojone. Wstępującego wita uprzejmie gospodarz albo jego żona, i czynią to tak chętnie, że się wydaje, jakoby byli dobrzy znajomi. Z domem w zupełnéj zgodzie zostaje reszta zabudowań, stodołka, stajnia i t. d. Powszechnie podwórze wykładają płytami. Co za niezmierna różnica w porządku domowym górali, a mieszkańców równin, wśród bogatych niw żyjących! Jestto niewątpliwy skutek silnego zebrania woli, zmierzającéj do jednego celu, która zwycięża ostrość klimatu nieprzyjaznego, i zapewnia mieszkańcom dosyć wygodne, chociaż skromne utrzymanie. Domy rzadko są w kupki zebrane, pospolicie bywają rozrzucone. Nad drogą stoją liczne karczmy z obszernemi stajniami, spełniające też same usługi podróżnym w jesieni i zimie, co w Alpach szwajcarskich owe sławne klasztory na Simplonie i św. Bernardzie. I tutaj zawieje również są niebezpieczne jak i w innych górach.

Spuszczając się z boku południowego, żyzniejsze stają się okolice; widać to już w niezmiernie długiéj (prawie na milę) wiosce Klikoszowéj, stykającéj się z Obidową, któréj ostatnie domy sięgają grzbietu Górców, a drugi koniec spuszcza się do doliny Dunajca. Przy rozszczepieniu się dróg pod dworem Klikuszowéj, widać jak warstwy piaskowca fukoidowego nachylają się pod wielkim kątem na południe. Dosyć dobry gościniec nad Lepietnicą, aczkolwiek nie robiony, prowadzi do milę odległego Ludzimierza, a szose do Nowegotargu. Zwyczajnie rzeczka ta zaledwie się sączy, ale w czasie deszczów niezmiernie nabrzmiewa i nieobrachowane wyrządza szkody na całéj przestrzeni, którą przepływa.

***Jordanów.*** Prawie mila drogi od ś. Sebastyana, leży miasteczko Jordanów pod Babią Górą 1362 stóp wysoko; całe otoczenie jego jest zupełnie górskie; mieszkańcy sieją len obficie i wyrabiają grube płótna.

Niektóre doliny téj części Bieskidów są siedliskiem nader smutnéj choroby, którą p. Kozubowski nazywa karłactwem. Jestto kretynizm dobrze znany w Alpach, Pireneach i wielu innych górach. Pokazuje się, że gdzie jednakowe są stosunki przyrodzone, tam są też same zwyczaje, upodobania, żywość władz umysłu i też same choroby. Karłactwo upośledza nietylko ciało, ale i szlachetniejszą część człowieka — władze jego umysłowe; i te bywają w rozwiniętéj chorobie do tego stopnia przytępione, że człowiek staje się niższym od podłego gadu. W wysokim stopniu rozwinięte karłactwo, czyni człowieka niezdolnym do zaspokojenia jakichbądź potrzeb. Bardzo są różne jego stopnie; tutaj pospolicie bywają niém ludzie zlekka dotknięci, a na szczęście najwyższy stopień jest wyjątkowym.

Piérwszy czyli najniższy stopień téj choroby, objawia się w zgrubieniu szyi i przez narośl nazywaną wole (po niemiecku Kropf). Powiększa się na gardle gruczoł tarczowy, lub pokazuje się jako wielki guz; niekiedy bywa ich kilka, po obydwóch stronach szyi. Jedno z największych wól, zapewne jakie kiedykolwiek wydarzyło się, widziałem u żebraka w małém miasteczku Piwniczna, położoném nad Popradem wśród wysokich gór. Wole to tak niezmierne miało wymiary, że zwieszało się od szyi aż do połowy ciała poniżéj żołądka; długość jego wynosiła przeszło 15 cali; przez pewien rodzaj wstydu zakrywał je obiedwiema rękami, ale z boków i ze spodu części jego wyglądały. W wiosce Tylmanowéj nad Dunajcem, niedaleko Szczawnicy, prawie każdy mieszkaniec jest wolowatym, albo jak tamtejsi mieszkańcy wyrażają się, jest wolakiem. Pospolicie ze zgrubieniem szyi i wolami, łączy się grubienie nóg w kostkach. W wyższym stopniu objawiający się kretynizm dotyka prawie całe ciało, ginie równowaga w jego wymiarach, a wtedy najwięcéj cierpi głowa: pospolicie się rozszerza, spłaszcza, albo zostaje śpiczastą, a wyraz twarzy przez zmianę kości i nabrzęknienie muszkułów, ma w sobie coś niewymownie nieprzyjemnego, głupowatego. Śmiéch nawet karłaka nie ma wdzięku; przeciwnie, w wysokim stopniu jest odrażającym. Powszechnie ze zgrubieniem języka głos staje się chrapliwy, a słuch stępiony. Zwyczajnie karłacy nie wyrastają zupełnie, i zaledwie dochodzą do wzrostu dzieci sześcio albo ośmioletnich. To fizyczne upośledzenie, zostaje w najściślejszym związku z przyćmieniem władz umysłowych; mówią z trudnością, zaledwie nazywać umieją najpospolitsze potrzeby życia, a swe pojęcia z trudnością tylko innym udzielają, bo

rzadko w stanie są zdania wiązać. Wielu podobnych karłaków znajduje się w znajomych nam wioskach Stróży i Pcimie. Karłacy wydający tylko chrapliwe, nieprzyjemne głosy, z zupełnie przyćmionemi władzami duszy, i za niemi idącém upośledzeniem ciała, stanowią trzeci najwyższy stopień téj choroby. Kretynizmu w tym stopniu nie widział dotąd nikt w Bieskidach, chociaż bardzo się do niego zbliżają niektóre exemplarze. Tak okropnie upośledzeni ludzie znani są w Alpach szwajcarskich, szczególnie w głębokich dolinach leżących u stóp góry Montblanc, a mianowicie w często odwiedzanéj dolinie Chamouny.

Choroba ta, jak wiele innych, jest dziedziczną; często jednakże wydarza się, że najzdrowsi rodzice wydają na świat podobne kaleki. Dzieci z rodziców wolowatych, częściéj zarażają się karłactwem. Górale nasi opowiadają, że dzieci już z wolami wielkości orzecha włoskiego rodzą się; ale karłakiem nikt się nie rodzi, jak to świadczą dostrzeżenia lekarzy w Szwajcaryi, zajmujących się jego przebiegiem. Jednakże już w piérwszym albo na początku drugiego roku karłactwo to zaczyna się rozwijać, i wzmaga się do 10, a najdaléj do 12 roku; wole zaś poczynają się od 5—6 roku i rosną do 12—15. Iphofen (1), Troxler (2) utrzymują, że kretynizm jest właściwą chorobą; Malarne (3), Ackermann (4), Wenzlowie (5), Rösch,

(1) Iphofen: Der Cretinismus philosophisch und medicinisch untersucht. Dresden. 1817.

(2) Troxler: Cretinismus und seine Formen. Zurich, 1839.

(3) Malarne: Ricordi della Anatomia chirurgica spetante al capo e al collo. Padua. 1810.

(4) Ackermann: Ueber die Cretinen eine besondere Menschen-Abart in den Alpen. Gotha. 1790.

5) J. und C. Wenzel: Ueber den Cretinismus Wien. 1802.

że jest odmianą choroby zołzowéj (skrofulicznéj), albo że jest najwyższym stopniem choroby angielskiéj (rachitis).

Wiele się zastanawiano nad przyczynami téj choroby. Jedni ją przypisywali używaniu wód nie mających w sobie gazu kwasu węglowego, a pochodzących z topienia śniegów w Alpach. Podobnych wód nie używają mieszkańcy Bieskidów; nie wznosząc się do granicy swoich wyższych gór, pospolicie mają dobre i smakowite wody, a przecież karłactwo pojawia się w wysokim stopniu rozwinięte.

Przy wiosce Lubień powiadają o jedném źródle, że ci co z niego piją, dostają wole; ale woda jego nie różni się w niczém od innych zupełnie czystych. Drudzy wnioskują, że noszenie na głowie ciężarów, w Alpach powszechnie używane, sprawia tę chorobę; w Bieskidach niéma tego zwyczaju, a przecież objawia się w wielu miejscach. Tak w Alpach jak i u nas, wioski tą chorobą dotknięte bardzo są ubogie, i ledwie mieszkańców stać na wyżywienie; ogół ludności w pokarmach niewątpliwie nie zbytkuje. Wreszcie przypisywano stosunkom geognostycznym karłowactwo w Szwajcaryi, w Styryi; choroba ta ma być przywiązaną do dolin mających boki gór wapienne lub gipsowe, i wnioskowano, że wody rozpuszczając ich cząstki, wpływają na rozwinięcie téj choroby. W naszych górach panuje tylko karłowactwo w dolinach, gdzie jest sam piaskowiec, i gdzie nawet śladu wapna niéma.

Gdziem tylko uważał karłaków, byłyto wioski w ciasnych dolinach, gdzie promienie słońca rzadko dochodziły, jak w Stróży, Pcimie, a domy w nizkiém, wilgotném, a tém samém niezdrowém położeniu, albo też jak

w wiosce Ratułów, stojące na torfowiskach; dlatego chętniebym przypisał wilgotnemu, zacienionemu położeniu, przyczynę téj choroby.

W Szwajcaryi uważają, że karłactwo nie dochodzi wyżéj jak do 3000 stóp wysoko wzniesionych dolin; wyjątkowo pokazuje się 3600 stóp wysoko. Niémasz go nigdy wyżéj. W kantonie Wallis wiedzą bardzo dobrze mieszkańcy, że chorobie téj można zapobiedz. W samym początku wysyłają dzieci na wysokie góry, a gdy tam pobędą kilka lat, wracają pięknie wyrosłe i zupełnie zdrowe z rozwiniętemi władzami umysłowemi. Ciekawy tego dowód znajdowałem w głębokiéj dolinie Wierchowni, niedaleko Piwnicznéj; jeden koniec téj doliny leży na znacznem wyniesieniu, niższy zaś nad samym Popradem, zaledwie wzniesiony nad zwierciadło téj rzéki i dlatego bardzo wilgotny; na wielu miejscach są stojące wody, a lada wezbranie zalewa całą płaszczyznę. Wieś Wierchownia ciągnie się wzdłuż doliny; w dolnym końcu smutne skutki wywarło karłactwo na mieszkańców, bo prawie wszyscy niém są zarażeni w mniejszym lub wyższym stopniu; pospolicie mają zgrubiałą szyję, a wielu zaraziło całe ciało i tylko chrapliwe głosy wydają. Całkiem odmienny jest stan rzeczy w wyższym końcu; patrząc na ludzi zdaje się, że inne plemię go zamieszkuje; lud jest zdrowy a silny, z obudzonemi władzami umysłowemi, nie pokazuje i śladu téj smutnéj choroby. Ile razy dzieci z dolnego końca wyprawiają rodzice na wyższy, wracają im zdrowie i siły.

Ta okropna choroba zwróciła w nowszych czasach na siebie uwagę lekarzy, pałających czystą miłością ludzkości. Aby zaradzić tym strasznym spustoszeniom w ludności, odzywał się Troxler w różnych pismach, i tyle

dokazał, że rząd Szwajcaryi przeznaczył fundusze na założenie szpitala dla leczenia karłactwa w Abendberg, niedaleko Interlacken, słynnego miasteczka z nader pięknego położenia, na wysokości 3,000 stóp nad poziomem morza; wiele dzieci uleczonych tam zostało zupełnie, w późniejszym zaś wieku oddane indywidua, wychodziły z bardzo pomyślnym skutkiem. Właściwie dopiéro od założenia instytucyi w Abendberg, zaczęto poznawać środki leczenia téj choroby. Biédni górale karpaccy! Nad wami nikt się nie zlitował; niedawno dopiéro dowiedziano się że jesteście; musicie ginąć marnie, nie mając środka nieść sobie pomocy. Ludzie was otaczający, którzy się chełpią wyższą cywilizacyą, zabardzo zajęci materyalizmem, kiedyż o was pomyślą!

Zstąpiwszy z monotonnéj wyżyny Bieskidów, gdzie się wydaje, że martwa przyroda obrała swą siedzibę; gdzie nic wędrowca nie jest w stanie natchnąć, a przytłumiona roślinność zdaje się zapowiadać koniec dla życia organicznego; gdzie człowiek kraj ten zamieszkujący snuje się jak cień, upośledzony karłactwem: zstąpiwszy z téj smutnéj wyżyny, z wioski Klikuszowéj w żyzną dolinę Nowotarską, odrazu zmienia się cała postać krajobrazu. Bujne łany żyta, jęczmienia, owsa cudnéj zieloności, prują szmaragdowe wody Dunajca, które jak łza przezroczyste spadają z niebotycznych Tatrów, stérczących poważnie, jak długi nieprzebyty mur. Uroczysty obraz przyrody głębokie na umyśle zostawia wrażenie, budzi w duszy niewymowną rozkosz, i może się tylko równać z owém używaniem, jakie daje zbadanie wielkich praw natury. Skończył się tutaj biédny kraj Kliszczaków czyli górali Bieskidowych, a poczyna się Podhale, kraj dzielnych mieszkańców, prowadzących głównie życie pasterskie na

halach czyli wierzchach Tatrowych, nad granicą lasów wyniesionych, i ztąd nazwanych Podhalanami, czyli mieszkający pod gołemi górami.

*Nowytarg.* Przy połączeniu Białego Dunajca z Czarnym, w obszernéj dolinie, leży Nowytarg 1,735 stóp wysoko. Jestto małe, dosyć porządne miasteczko, z wielkim czworograniastym rynkiem i kilkoma domami murowanemi o piętrze; w długich ulicach zaś, w cztéry przeciwne strony świata prowadzących, samé są drewniane domki z właściwym charakterem, panującym na całém Podhalu. Jak Rzymianie przez *Urbs* rozumieli swą stolicę, tak samo góral Tatrowy pod nazwiskiem miasta rozumié Nowytarg. Nie jestto jednakże punkt, gdzieby umysłowe życie było uprawiane; tego szukać tu nie trzeba; jestto punkt środkowy, gdzie załatwiają interesa materyalne. Podhalanie zbiérają się w Nowymtargu licznie i często na jarmarki, wtedy cały obszerny rynek pełen jest ludu w brunatnych i białych guniach; malarz znajdzie tutaj cudne gruppy najpiękniejszych postaci męzkich, z wyrazem niewymownie śmiałym a pięknym. Sprzedają tutaj swe bydło, nieco owsa, jęczmienia; w wielkich budach zaś kapelusze, płótno; nawet w sklepach można zaspokoić bardziéj wyszukane potrzeby. Mieszkańcy Nowegotargu trudnią się głównie rolnictwem, rękodzieła niewiele zakwitły; w rzędzie ostatnich odznacza się ślusarz wyrabiający nader piękne stalowe siekierki do lasek, z napisami Tatry przypominającemi. Urodzony w tém miasteczku, udał się za granicę; po wyuczeniu swego rzemiosła, gorącą miłością przyciągany do swych ukochanych gór, do tego cudnego lekkiego powietrza, którém się tak niewymownie dobrze oddycha, wrócił i w skromnym domku wyrabia przypomnienia tych wspaniałych a mało znanych

gór. Często trudno, mianowicie w lecie, o taką siekiérkę. Jak z Berna w Szwajcaryi przedstawia się w całéj uroczystéj wspaniałości łańcuch Alp, tak z Nowegotargu ciągną się kolosy Tatrów, podobne do niezmiernego wyszczerbionego muru. Szczególniéj widać je wyraźnie przed deszczem, gdy powietrze staje się nierównie przezroczystszém; wtedy zdaje się, że góry leżą tuż przed nami, a przecież jeszcze o 4 mile są oddalone. Kiedy w Szwajcaryi w najodleglejszych nawet dolinach żyć można jak w domu własnym, w Nowymtargu niéma nawet jakiéj takiéj oberży. O niegościnności tego miasteczka przytoczę następną anegdotę: Teraźniejszy król saski podróżując *incognito* na stronie węgierskiéj po Tatrach, słysząc niebardzo korzystne zdanie o oberżach tego miasteczka, wysłał był na dzień przed przybyciem gońca z prośbą o przygotowanie obiadu. Przybywszy, niemało zdziwił się, gdy go zaprowadzono do rzeźnika, u którego w pokoju zastał tak nieczyste powietrze, że wolał wziąć kiełbaskę do ręki i w sieni ją spożyć; niebawem puścił się daléj w drogę ku Lubieniowi, nie chcąc gorszych jeszcze niewygód doświadczać w samychże Tatrach.

Nowotarska dolina jest największą na północnéj pochyłości Tatrów; ciągnie się z niemi równolegle ze wschodu na zachód, i jest prawie 7 mil długa a $^3/_4$ széroka. Początek bierze u stóp Babiéj Góry w Orawie, ale aż do Piekielnika nie ma żadnéj nazwy; jestto zagłębienie, mające zdala wyraźniejszą postać doliny, zblizka zdaje się być zbiorem pagórków zaledwie domyślać się dających, że jesteśmy w dolinie. Dopiéro przy wiosce Czarny Dunajec, na granicy węgierskiéj, wydatniejsza jest ta dolina, gdy rzeka Czarny Dunajec zwróciwszy się na wschód, płynie już w obszernéj równinie, aż do sławnego dla swych

pięknych widoków i starożytnego zamku Czorsztyna. Pod Nowymtargiem łączy się Czarny z Białym Dunajcem i odtąd tworzą właściwy Dunajec. Nazwa Czarnego Dunajca pochodzi od niezmiernego pokładu torfu, znajdującego się wśród koryta téj rzéki pomiędzy wioską Czarny Dunajec, a Nowymtargiem, a nawet przenosi się do Węgier za Piekielnik. Długość tego torfowiska wynosi przeszło 2½ mili, a ⅛ mili szerokość. Torfem okryte przestrzenie nazywają tutaj pustaciami, torf zaś borem. Powstał on z części roślinnych i pospolicie jest czarny jak węgiel; w niektórych miejscach zawiéra mnóstwo pni, te wykopują mieszkańcy podczas lata i w wielkich piramidach ustawione suszą. Samego torfu nie używają dotąd na opał, tylko mierzwią rolą w dosyć znacznéj ilości. Jaka jest grubość pokładu torfu, niewiadomo; widywałem miejsca 10 do 15 stóp wygłębione, a dna jeszcze nie było. Poglądając na owe obszerne błonia torfu, bardzo smutny przedstawia się obraz; gdzieniegdzie tylko z czarnéj równiny wznosi się jakby kretowina zielona kępka bagnistéj trawy, a czasem skarłowaciały świerk. W czasie upałów wysychają te pustacie, tylko w znaczniejszych zagłębieniach pozostaje woda, świecąca jakby wielkie oczy; wtedy cała powierzchnia okrywa się zielonością, a pasterze pasząc na tych rzadko dostępnych miejscach, rozkładają ognie. Wtedy często zapalają się torfy, ognie głęboko zapuszczają się wewnątrz, a wysoko wznoszące się kłęby dymu, dobywają się z ziemi. Czasem żarzą się one na wielu miejscach i powietrze nieprzyjemnemi dymami zarażają. Natenczas okolica ma wulkaniczne wejrzenie; ale te mniemane paszcze ogniowe gasi często jeden ulewny dészcz. Torfowisko to leży bardzo wysoko w miejscu, gdzie jest dział rzék (Was-

serscheide); w stronie zachodniéj płyną do morza Czarnego, we wschodniéj do Baltyckiego. Z tego wynika, iż tutaj musi być równina; tymczasem na większéj części kart geograficznych, rysowany bywa wysoki łańcuch pomiędzy Tatrami a Bieskidami; tego niémasz i śladu, zastępuje go bowiem wielkie bagnisko torfowe, właśnie opisane.

Dolina Dunajca ma boki zupełnie odmiennéj budowy; północny wznosi się wysoko, południowy przeciwnie nizki, odznacza się wielką rozmaitością. Od wsi Czarny Dunajec do Czorsztyna, ciągnie się szereg piramidalnych pagórków, pomiędzy któremi możnaby założyć najcudniejsze parki z najpiękniejszemi widokami. Kto ma wprawne oko do robienia dostrzeżeń geologicznych, dostrzega zdala w tych szczególnych postaciach pagorków nową skałę, i tak jest w istocie; nie składa się ona z piaskowca, lecz z wapienia; niektóre jego pokłady są pięknym czerwonym marmurem, inne plamiastym; są wreszcie marmurkowate. Ostatnich kolor stoi w związku z budową wewnętrzną. Trzeba sobie wystawić, że ta odmiana składa się z kul czystego wapienia rozmaitéj wielkości, spojonych marglem; wapień miéwa jasno-czerwony, margiel ciemniejsze kolory, i ztąd pochodzi marmurkowatość. Czasem bywa ten marmur jak mléko biały, lub cokolwiek różowy. Wszystkie jego odmiany zupełnie podobne są do alpejskiego, który zdobi kościoły Wenecyi, Padwy, Wiczency, Werony i wielu innych miast włoskich; ale karpackiego dotąd nikt nie użył do niczego. Wraz z marmurem występują różne szare wapienie i czarne iły, rozpadające się w drobne strzępiaste ułamki, a w nich tkwią kule różnéj wielkości wybornéj rudy żelaznéj, zwanéj iłowy sferosyderyt, zawiérające w środku skorupy ammo-

nitów, powleczone siarczykiem żelaza, przez co wydają się, jakoby je okrywała blaszka złota. Znajdowałem tę rudę pod Czorsztynem i Szaflarami; i niéma wątpliwości, że się da odkryć na całéj przestrzeni, gdzie się tylko rozciąga pokład czarnego iłu. Marmury czerwone są często składem nieprzeliczonych muszel. Pomiędzy Rogoźnikiem a Maruszynem, pagórki 50 stóp wysokie a pół mili długie są niczém inném, jak tylko zsypanemi muszlami morskiemi, zlepionemi małą ilością materyi wapiennéj. Pomiędzy temi skorupami największa ilość jest ammonitów; przeszło 25 gatunków dotąd już odkryto, i niéma wątpliwości, że ich nierównie więcéj późniejsi badacze wynajdą; często tak pięknéj są postaci, że mogłyby stać się wzorem do najwytworniejszych ozdób. Niekiedy skorupy ammonitów odpadają, a na jądrze widać dziwnie wystrzępione rysunki; sąto obwody przegród, umieszczone w większéj części skrętów tego z rzędu żyjących jestestw wygasłego ślimaka; przegrody te mają toż samo przeznaczenie, co pęcherz u ryb, aby uczynić go lżejszym do pływania. Taż wewnętrzna budowa przegród, w najściślejszym związku zostaje z postacią zewnętrzną tych szczególnych ślimaków, każdy gatunek ma bowiem przegrody wycięte właściwym sposobem. Wraz z ammonitami, najpospolitszemi są muszle dwuskorupne, zwane *Terebratulami*. Bardzo wiele jest nowych gatunków, po raz piérwszy tutaj poznanych, a które otrzymały nazwy od uczonych góry te rozpoznawających, jakoto: ammonit Staszyca, Andrzejowskiego, Platera, Boué i t. d. (1). Inne skamieniałości odpowiadają gatunkom z Apenin

(1) Bliższą wiadomość o tych ciekawych jestestwach pierwotnego świata, ogłosiłem w dziełku p. t. Nowe lub niedokładnie dotąd opisane gatunki skamieniałości Tatrowych. Warszawa, 1846 r.

i Francyi południowéj, znajdujących się w zupełnie podobnych marmurach. Ze szczątków organicznych zawartych w skałach warstwowych, nader ważne wnioski wyprowadzamy, i tak: są one głównym środkiem do poznania miejsca, jakie zajmują różne pokłady w układzie skorupy ziemi; a nadto dowodzą, że się osadzały z morza, albowiem takie nadzwyczajne ilości skorup ślimaków morskich, nie mogły być przypadkiem naniesione, ale musiało je morze osadzić na tychże samych miejscach.

***Rogoźnik.*** W dolinie Dunajca liczne są wioski, i jak wszystkie górskie bardzo długie; pomiędzy niemi odznaczna się Rogoźnik, sławny dla skałki zwanéj Mrozkową, od jéj właściciela Mrozka. Wieś ta jest składem najpiękniéj zachowanych skamieniałości, i przez nie jest dobrze znana geologom w całym świecie, zajmującym się tą ciekawą nauką.

***Ludzimiérz.*** Naprzeciw Rogoźnika z drugiéj strony Dunajca leży Ludzimiérz, ze sławnym na całém Podhalu obrazem Najświętszéj Panny Ludzimiérskiéj, który cudownym sposobem miał się uchować w czasie najazdu Tatarów, wyprawiających niezmierne mordy i spustoszenia w tych stronach.

Nazwę przyległéj wioski Krauszów wyprowadzają od tego okropnego najazdu; niewolnikom bowiem mieli Tatarzy tutaj uszy obrzynać, czyli krajanie uszom wyprawiać. Niéma może nigdzie stosowniejszego miejsca do poglądu na zachodnią część Tatrów, jak z Ludzimiérza; począwszy od góry Swinnicy, gdzie się zniża łańcuch, aż prawie do Chocza, każdą znakomitszą górę można poznać. Wielki Upłaz z swemi zaokrąglonemi zarysami leży naprzeciw, na wschód zaś niezmierne wirchy granitowe, aż do wirchów stérczących nad Morskiém Okiem,

pięknie są rozłożone; dalsze bardziéj są skupione i trudne do odróżnienia.

W Ludzimiérzu wykonywałem liczne obserwacye barometryczne, dla oznaczenia wyniesienia tego miejsca, i otrzymałem wypadki z sobą bardzo zgodne. I tak: w r. 1838 z dwóch obserwacyj, otrzymałem wyniesienie dla téj wioski 1746 stóp; w następnym roku z 13 obserwacyj, zupełnie też samą liczbę; w 1841 r. trzeci raz mierzyłem i chociaż barometr zupełnie był dobry, z 5 obserwacyj otrzymałem nieco większe wyniesienie, t. j. 1767 stóp. Co sprawiło tę różnicę? nie mogłem dociec, i dlatego liczbę średnią, t. j. wyniesienie 1751 stóp dla tego miejsca przyjąć należy.

Waxmund, Dębno, Maniowa (1693' wyniesiona), wioski za Nowymtargiem ciągnące się jedna za drugą, zupełnie są podobne do poprzednich; każda ma sobie właściwy uroczy widok na Tatry. Z bliższych wiosek Nowegotargu widać Holę Waxmundzką, z dalszych spadziste turnie Pięciu Stawów i Morskiego Oka, daléj szczyt Łomnicki i zakończający Tatry Murań.

Przy Maniowéj jest most drewniany na Dunajcu, a z drugiéj strony już węgierskiéj, widać bogate miasteczka Biała, daléj Frydman z pięknym odznaczającym się kościołem. Coraz bliżéj Czorsztyna, zwęża się dolina i potężne skały wapienne zwracają bieg Dunajca na południe, który poniżéj Sromowców przedziéra się przez skaliste Pieniny płynąc na wschód.

Okolica pomiędzy Czorsztynem, Czerwonym Klasztorem i Szczawnicą, czyli małego pasma zwanego Pieninami, należy do najmilszych w całych Bieskidach. Niéma tam owych wielkich widoków, tych niebotycznych szczytów, co zadziwieniem przejmują duszę; przeciwnie,

widoki tu uderzają niespodziewaną rozmaitością i mają tyle przyjemnego, że się wydaje, jakby to był ogród z najwytworniejszym smakiem założony. Wszystkie góry są tutaj kończaste, licznemi najeżone skałami, wydobywającemi się z pośrodka zielonych kobierców, a pomiędzy niemi wije się szumny Dunajec. Naprzeciw dworu Czorsztyna, stérczy nad Dunajcem potężna skała różowego marmuru; jestto ta sama warstwa, którąśmy pod Rogoźnikiem poznali, a która zawiéra wielkie ammonity, mające wielkość małych kół. Na podobnéjże skale, nierównie wyższéj, stérczą reszty z murów zamku czorsztyńskiego, który niedawno rozebrał nowy właściciel i browar z niego wystawił. Jakie były pobudki do budowania zamków na wysokościach, nie chcemy się w to wdawać; to jednakże nie ulega wątpliwości, że nierównie były szlachetniejsze, niż czasy, w których wódczani spekulanci obdziérają okolicę z jéj historycznego uroku. Początek założenia tego zamku ginie w pomroce czasu; już go Kazimiérz W. odnowił i wzmocnił (1). Nieraz zamek ten był siedzibą łotrostwa, i tak: za Władysława Jagiełły, pomiędzy rokiem 1398 a 1403, dwaj naczelnicy zbójów Grot Słupecki, herbu Rawicz i Jan Rogala kasztelan włocławski, wywołani z kraju za zabicie Jana Ossolińskiego kasztelana wiślickiego, tu osiedli i rabowali okoliczne sioła; tu także łupili kupców jadących do Węgier i mnóstwo ludzi w zamku więzili. Tę zuchwałość nie mógł ścierpiéć Władysław Jagiełło, z dworskim ludem zdobył zamek, a winowajców ukarał (2). Znowu w r. 1434

(1) Długosz, księga XI, str. 1164, A.

(2) Długosz, księga XI, str. 175, M. Bielski, wydanie Bohomolca, str. 244.

zagnieździli się tutaj rabusie składający się z Czechów i Rusinów, i napadali na Węgrów i krajowców (1). Podczas buntów kozackich Al. Napierski przez Chmielnickiego poduszczony, osadził się w r. 1651 w tym zamku i łupił okolicę; samemu nawet Krakowu zagrażając. Położył temu koniec Piotr Gębicki biskup krakowski, zebrawszy własnym kosztem wojsko, i Napierskiego schwytanego gardłem ukarał (2). W r. 1655 uchodząc przed Szwedami Jan Kazimiérz, chciał się tu schronić, ale nadciągające wojska najezdników, zmusiły go do udania się do Węgier (3). Lustracya z r. 1765 świadczy, że już wtedy zamek ten bardzo spustoszał. Teraz z owéj piérwszéj świetności, pozostała tylko część ściany, z kilkoma otworami dawnych okien i potężną bramą.

Naprzeciw Czorsztyna wznosi się również okazale zamek niedziecki, przy wiosce Niedzica, na prawym brzegu Dunajca, na stroméj skale, o którą rozbijają się jego zielone nurty. Nazywają go także Dunajeckim, *Arx Dunajetz*. Niedawno kazał go baron Paluczaj wyporządzić. Majętny ten obywatel węgierski, kochał się nadzwyczajnie w dawnych zamkach, i między innemi uczynił mieszkalnym i ten, o którym mówimy. W opustoszałych murach powstały obszerne a pyszne sale; nadzwyczajnie towarzyski Paluczaj, z serdeczną gościnnością podejmował każdego zwiedzającego; często trzeba było kilka dni mimowolnie pozostawać w towarzystwie uprzejmego właściciela, i używać najwyborniej-

(1) Starożytna Polska przez Lipińskiego i Balińskiego, tom II, str. 224.
(2) Kochowski, Annalium Poloniae, Lib. IV, str. 271.
(3) Starożytna Polska, t. II, str. 224.

szego soku latorośli węgierskiéj, w który obfitowały obszerne piwnice. Kiedym ten zamek oglądał, zmarł już jego wskrzesiciel; służba żałośnie wspominała swego ukochanego pana i owe wesołe towarzystwa biesiadników. Teraz wróciła dawna cisza, tylko czasem słychać brzęk kajdan więźniów, za drobniejsze przewinienia tutaj osadzonych.

Nad drogą ku Sromowcom, sławnéj wiosce z obfitego połowu łososi, sterczą ogromne ściany wapienia, podzielone w warstwy; są one pochylone na południe pod wielkim kątem, niekiedy stoją prostopadle albo wiją się esowato. Poniżéj Staréj Wsi, po niemiecku nazywanéj *Alt-Dorf*, gdzie tenże sam szczep polski mieszka co w Czorsztynie, zwraca się znowu Dunajec na wschód i przedziéra się przez Pieniny. Małe to niewysokie pasmo, ciągnie się z zachodu na wschód, na przestrzeni około $1\frac{1}{2}$ mili długiéj, a $\frac{3}{4}$ szérokiéj, i wapieniowi ammonitowemu winno swe malownicze postacie. P. Maciejowski wyprowadza źródłosłów *Pienin* z języka bretońskiego, jednego ze szczepów celtyckich, w którym *penn*, *pen* oznacza szczyt, górę, i upatruje podobieństwo w nazwie Pienin z *Alpes Peninae* (1). Aczkolwiek niepospolitą erudycyą odznacza się ten wywód, sądzę jednak, że ta nazwa może miéć początek w naszym języku. Szybko płynący Dunajec przedziérający się przez to skaliste pasmo, zmienia w pianę swe szmaragdowe wody, i na całéj drodze pomiędzy górami, ma powierzchnią zupełnie białą; od téj uderzającéj własności rzeki, zdaje się pochodzić nazwa Pienin. Podha-

(1) Pierwotne Dzieje Polski i Litwy zewnętrzne i wewnętrzne. Warszawa, 1846, str. 95, 359.

lanie i inni karpaccy górale powszechnie od najbliższych przyrodzonych własności zwykli brać swe nazwy; bez końca jest białych i czarnych rzék, stawów, i gołych, opalonych wirchów; łatwo być zatém może, że od piany okrywającéj Dunajec, Pieniny otrzymały swą nazwę. W całych Karpatach nie znam milszéj okolicy nad Pieniny; większéj rozmaitości widoków, bujniejszych drzew, czystszych wód, trudno znaleźć w mniejszéj przestrzeni nagromadzonych.

Z północnéj strony od Krościenka, pasmo Pienin wydaje się jak potężna równia pochyła, zielonym trawnikiem okryta; szczyt tylko jeżą skały, wystające z pośrodka czarnego lasu świerkowego. Zupełnie odmienne wejrzenie ma to pasmo od strony południowéj; od Czerwonego Klasztoru wydaje się, jakby zbiór iglic i skałek w piramidę złożonych, ze ściętym wiérzchem. Mieszanina dzikich skał i cudnéj zieloności polan, lub gromadek drzew na skałach zawieszonych, i owe przeciwieństwo martwéj i żyjącéj przyrody, głównie wywiérają tu urok. Prawie na najwyższéj części Pienin zwanéj Korona (Mons Coronae), są jeszcze resztki muru klasztoru św. Kunegundy, który wystawił Bolesław Wstydliwy dla chroniącéj się żony przed napadami Tatarów, odznaczający się charakterem naszego średniego wieku. Już w XV wieku upadł ten gmach. Hussyci przenosząc z Czech do Węgier nowości religijne, niezmiernie kraj spustoszyli; około r. 1433 przyległy zamek spiski Lubownia opanowali i zniszczyli, a zapewne w tym czasie toż samo zrobili z niedaleko leżącym klasztorem pienińskim. Że Hussyci w północnych Węgrach znacznie się rozpostarli, dowodzi owe łatwe przyjęcie w głębokich dolinach Liptowa i Spiża zasad Lutra, i tradycya o nich w uściech

ludu żyjąca. Zwyczajnie goście szczawniccy odprawiają pielgrzymkę do owych szczątków klasztoru św. Kunegundy na Pieninach. Droga prowadzi od Krościenka po dolinach ozdobnych świeżą zielonością i wesołemi lasami świerkowemi; blizko szczytu sterczą wapienne skały, a na nich są kupki wybornego czarnoziemiu, na którym rosną kwiaty cudnéj barwy. Sąto same tak nazwane rośliny alpejskie, właściwe wysokim górom. W téj pięknéj okolicy, prawie na samym szczycie góry, widać kawał muru wystawionego z ciosowych kamieni; jestto jedyny szczątek z królewskiego klasztoru.

Zupełnie odmienne wejrzenie mają Pieniny płynąc na Dunajcu, przedzierającym się przez to skaliste pasemko. Widoki tak są przyciągające, że szczawniccy goście zwykli się na ten spacer w większém towarzystwie wybiérać. Z rana wypływa ze Sromowców, wioski przyległéj Czorsztynowi, flotylla z 10 — 15 podwójnych łodzi złożona. Trzeba łodzie po dwie z sobą łączyć, ponieważ z pni świerkowych wydłubane, łatwo są wywrotne. Towarzystwo poprzedza powszechnie muzyka na oddzielnéj łodzi, na drugiéj zaś artylerya strzelająca z moździerzy w miejscach gdzie się echo odbija. W środku drogi odpoczywa towarzystwo przy Czerwonym Klasztorze, a z góry Pienin wita podróżnych inne towarzystwo, które nie chciało zawierzyć wodom swego życia.

***Czerwony Klasztor*** leży nader powabnie przy końcu głębokiéj doliny; kiedyś przebywali w nim Kartuzy, późniéj Kameduły, teraz jest siedzibą administracyi grecko-katolickiego biskupa, mieszkającego w Preszowie. Jestto mały gotycki kościołek, wystawiony w czystym stylu, pełen malownych krojów; dziwnie pięknie odbija od téj dzikiéj okolicy. Kilkaset kroków daléj jest ką-

piel Śmierdzionka, tak nazwana od wody zawiérającéj w sobie gaz wodorodno-siarkowy. Mały ten zakład kąpielowy odwiedzają tylko poblizcy mieszkańcy Spiża.

Druga część podróży na Dunajcu jest nierównie więcéj zajmującą, mianowicie gdzie rzéka płynie przez ciasną szczelinę skał, kędy zaledwie wody mają miejsce do przepływu. Wśród skał i niebios jest człowiek jakby rzucony, grobową ciszę przerywa tylko szum w pianę rozpadających się nurtów. Zbliżając się ku Szczawnicy rozszerza się zwolna szczelina; najprzód pokazuje się drożyna nad rzéką i bujny las bukowy, wreszcie pojawiają się ludzie i witają wesołe towarzystwo również wyszukanym sposobem, jak to bywa w wodach zagranicznych. W odzieniu wchodzi góral do Dunajca aż po szyję, drugi wyprawia różne skoki, inny nareszcie wita gościa góralską melodyą na swéj gęśli.

*Szczawnica.* Kto szuka szlachetniejszego używania przyrody, malownych a wspaniałych widoków, dla tego pobyt w Szczawnicy będzie nadzwyczajnie ponętnym. Od 25 lat coraz sławniejszemi i bardziéj uczęszczanemi stają się te wody mineralne. Właściwie w trzech obszernych wioskach, na przestrzeni pół mili, zwykli mieszkać goście używający tych wód. Niżna Szczawnica leży nad samym Dunajcem, na prawéj zaś stronie Miedziuś i Wysznia; Szczawnica nieco wyżéj. W ostatniéj tylko znajdują się szczawy: tak nazywają trafnie mieszkańcy wody mineralne, mające w swym składzie gaz kwasu węglikowego, a smak kwaskowaty; prócz tego zawiérają rozpuszczone różne części stałe. Wyraz szczawa odpowiada zupełnie niemieckiemu *Sauerling*. Prawie u stóp góry trachitowéj Świątkowka, tryszczą trzy blizko siebie leżące szczawy, a dwie inne są nieco daléj. Przy piérwszych leżą gło-

wne budynki i powszechnie najliczniejszy bywa zbiór gości. Woda ta ma smak przyjemny, orzeźwiający, a na organizm dzielne a zbawienne skutki wywiéra, i dlatego zwróciła na siebie uwagę wielu uczonych; kilku chemików analizowało ją, jakoto: Józef Sawiczewski, Schindler, Fonberg, Herbich, Torosiewicz. Ostatniego rozbiory licznych wód mineralnych galicyjskich odznaczają się wzorową ścisłością, i dlatego według niego podaję skład trzech głównych źródeł szczawnickich, nazywanych: Józefa, Szczepana i Magdaleny (1). W jednym funcie (12 uncyj) znajduje się cali sześciennych kwasu węglikowego:

| I. | II. | III. |
|---|---|---|
| 36,16. | 34,36. | 35,2. |

Części stałych bezwodnych:

| | Źródło Józefa. | | Źródło Szczepana. | Źródło Magdaleny. |
|---|---|---|---|---|
| Chlorku potassu..... | 0,2265 granów | | 0,3240 — | 0,4118. |
| Chlorku sody..... | 16.6406 | — | 14,1420 — | 18,1640. |
| Siarkanu sody... ..... | 0,8559 | — | — — | 0,0560. |
| Węglanu sody..... | 13,9341 | — | 13,6378 — | 16,9586. |
| Węglanu wapna..... | 13,4200 | — | 3,0562 — | 2,2916. |
| Węglanu magnezyi..... | 1,3379 | — | 1,2427 — | 1,3635. |
| Węglanu żelaza..... | 0,0608 | — | 0,0912 — | 0,1213. |
| Kwasu krzemionkowego.. | 0,0716 | — | 0,0687 — | 0,0166. |
| Jodu..... | ślad | | ślad | ślad. |
| Summa części stałych w jednym funcie ..... | 36,5472 granów | | 32,5626 — | 39,3854. |

Co do części składowych, woda szczawnicka odpowiada zupełnie selcerskiéj (według rozbioru dr. Struve), z tą różnicą, że ostatnia zawiéra mniéj części stałych; w jednym funcie zawiéra ich 21 granów, w szczawnickiéj zaś 39 granów przenosi.

(1) Wody mineralne szczawnickie w królestwie Galicyi, chemicznie rozebrane przez Teodora Torosiewicza; z niemieckiego przełożył dr. M. M. Kraków, 1840 r. str. 24.

Kwaśne wody Szczawnicy pomagają na rozliczne choroby, a mianowicie: pochodzącym z osłabienia albo przytępienia organów trawienia, objawiającym się w nieprzeliczonych postaciach; pobudzając czynność organiczną przyczyniają się do łatwiejszego wydzielania części niepotrzebnych ciału, zwracają krwi normalny bieg; leczą hipokondryą, histeryą, hemoroidy, cierpienia nerwowe; osobliwie zaś wody te są pomocne na choroby piersiowe.

Jak wszystkie szczawy, tak i niniejsza w najściślejszym związku zostaje z zjawiskami wulkanicznemi; sąto ostatnie podrygi, koniec wybuchu wulkanicznego. Po każdym wybuchu pęka twarda skorupa, i nieprzeliczone szczeliny powstają, a z nich dobywa się kwas węglowy; podobne wyziewy nazywają Włochy przy Wezuwiuszu *mofettami*; trzeba ich starannie unikać, bo te gazy zabijają wszystkie jestestwa żyjące. Z czasem gubi się zwolna to złe powietrze, dobywa się w mniejszéj ilości, wreszcie wychodzi przez szczeliny i łącząc się ze źródłami słodkiéj wody, robi je kwaśnemi czyli szczawami. Wody nasycone kwasem węglikowym, mają własność rozpuszczania w sobie alkaliów i niedokwasów metalicznych, zawartych w skałach z któremi się stykają w swym przebiegu. Powszechnie szczawa zawiéra takie części stałe, jakie wchodzą do składu skały z któréj wytryska. Jedne więc szczawy zawiérają przeważnie alkalia, inne wapno, inne niedokwas żelaza. Do piérwszych należą szczawnickie wody. Często bywają mieszane szczawy, bo zawiérają alkalia z wapnem lub z żelazem: ztąd wynika ich nadzwyczajna rozmaitość w składzie i skutkach na organizm ludzki. Takto jedna przyczyna zawarta w łonie ziemi, uspakajających się działań wulkanicznych, wydaje tak niezmierną rozmaitość!

Całe Bieskidy składają się prawie ze samych skał z morza osadzonych, dzielących się w warstwy z wyraźnemi odciskami roślin morskich, a wyjątkowo ze skorupami ślimaków. Gdyby skały znajdowały się w piérwotném położeniu, powierzchnia kuli ziemskiéj byłaby równiną, albo miałaby bardzo nieznaczne nierówności; tymczasem Karpaty składają się z potężnych grzbietów, które podziemne siły wzniosły. Nietylko z nierówności powierzchni przekonywamy się o skutkach podziemnego ognia, ale i z układów warstw; gdy te nie leżą poziomo, lecz pochylają się, wtedy niéma wątpliwości, że zostały wzruszone, wydźwignione. Powszechnie skały ogniowe są ukryte, rzadko przebijają skały warstwowe z wód osadzone. W Bieskidach w niewielu miejscach wydobyły się na wiérzch; do tych wyjątkowych okolic należy Szczawnica, gdzie w kilku miejscach wynurzyła się skała ogniowa, czyli trachit. Na piérwszy rzut oka jest bardzo podobną do granitu, tylko składa się z odmiennych minerałów, t. j. amfibolu i szklistego feldspatu. Ta ogniowa skała tworzy tutaj wiérzch wysokiéj góry Świątkówka, małą skałę na któréj jest piękny domek przy drodze nad strumykiem, tudzież górę Jarmuta w przyległéj wiosce Szlachtowéj. Bliżéj przypatrując się składowi téj skały przekonywamy się, że wydobyła się na wiérzch w stanie płynnym. W tym teraz twardym kamieniu, tkwią domieszane ułamki czerwonego i zielonego łupkowego marglu, który ta skała ogniowa przebiła, do swéj płynnéj mieszaniny zachwyciła i wyraźnie przepaliła; przy Szlachtowéj tkwią w trachicie wielkie bryły piaskowca, kilka sążni długie i szérokie, także mocno zmienione. Niéma wątpliwości, że roztopiona lawa w stanie gęstym dobyła się na wiérzch, bo nie wylała się w stanie strumieni. Ze znajomą już nam górą

Świątkówką, łączą się dwie podobne żyły po sto stóp szérokie, które widać w małym potoczku zwanym Szczawny; trachit tych żył nieco jest odmienny od poprzednich, i składa się prawie ze zwietrzałego białego feldspatu, podobnego do ziemi porcelanowéj; miejscami dosyć obficie domieszał się także do niego siarczyk żelaza (piryt żelazny, Schwefelkies), zmieniający się w wodan żelaza, który sprawia owe zendrowate plamki po całéj skale. Uważałem, że wypada obszerniéj nieco zastanowić się nad skutkami, jakie sprawiły skały ogniowe, które się dobyły jako gęste lawy i w końcu powznosiły góry, dające początek szczawom, czyli kwaśnym wodom w okolicach Szczawnicy.

Teraz w tych stronach panuje zupełna cisza, ustały dzikie zapasy sił przyrody; bujne lasy i świetnych kolorów górskie kwiaty, okrywają zarazem skały z wód osadzone i z niemi zetknięte skrzepłe lawy; a człowiek w swéj niewiadomości postępuje po wyschłém łonie morza i zgliszczach wulkanicznych, nie przeczuwając owych strasznych zjawisk, które tu miały miejsce. Tylko badawcze oko geologa wykrywa siły, które zaburzenie sprawiły w skorupie ziemskiéj.

Ze wszystkich wód mineralnych karpackich, najpiękniejsze ma widoki Szczawnica; od północy wznoszą się potężne grzbiety okryte bukowemi lasami, a z południa i zachodu dziko poszarpane wirchy Pienin, wysyłają szumne strumienie z wodami szmaragdowéj zieloności, i jak łza przezroczyste. Powietrze jest tutaj bardzo lekkie i dopiéro czujemy całą jego zaletę, gdy go nie mamy. Niemało do przyjemności pobytu w Szczawnicy przyczynia się lud bardzo poczciwy, pełen górskiéj prostoty, a odznaczającéj się uprzejmości. Już powierzchowność nie-

co obszerniejszych domków z okrąglaków stawianych, mówi o ich dobrym bycie. Domy ich mają dwie izby, białą i czarną, które dzieli sień; w piérwszéj mieszka gazda, t. j. gospodarz. Miła czystość pospolicie zniewala wstępującego, i w tymto zamiłowanym porządku, leży głównie to szybkie rozwinięcie się tych wód. W przeciwnéj izbie ściany często są tak czarne, jak wnętrze komina; niekiedy nawet połyskują się blaszki sadzy, bo dym nie wyprowadzają z téj izby kominem, ale oknami i drzwiami: jestto kuchnia, miejsce dla czeladzi, która na zimę przyjmuje kozy, krowę i inne zwierzęta. Kto niechowany za młodu w dymie, nie pojmuje, jak w nim można wyżyć, ale góralom nic nie szkodzi; i często można spotykać dzieci tak piękne a gładkie, jak gdyby były chowane wśród największych wygód. Kiedy pora kąpielowa nadchodzi, czyszczą cały dom dla przyjęcia gości; gazda wyprowadza się do czarnéj izby albo do stodółki, a goście znajdują w nim wygodny pobyt. Często gdy go urządzą goście, a ściany okryją kobierce i zwierciadła, zapominałem, że się znajduję w chacie włościańskiéj. Pobyt w Szczawnicy niemało umila uprzejme obejście mieszkańców; ci prości ludzie spotykają podróżnego z tą chętną grzecznością, która każdego zniewala, i wszyscy domownicy są jakby na usługi gościom. Wiele opowiadano przykładów o ich godnéj naśladowania poczciwości. Nieraz wydarzało się wyjeżdżającym, że pozapominali kosztowniejsze przedmioty; wróciwszy w następnym roku, mieli sobie wszystko zwrócone w całości, a jeżeli właściciel niedaleko mieszkał, odnosił je sam gazda. Ci prości ludzie obdarzeni tyloma pięknemi przymiotami, potrzebują tylko stosownego oświecenia, a staną się

wzorem porządnego prowadzenia i wzmogą się w dobry byt. Jednę tylko mają wadę: łatwość zarobku czyni ich skłonnemi do pijaństwa, a tyle umiano na nich wpłynąć różnemi zachodami, że nie przystąpili do wstrzemięźliwości, rozszerzonéj po całéj Galicyi. Największy opór temu stawiali żydzi i od nich gorsi.

Mała ilość szczawy zaledwie na 300 osób wystarcza; często się wydarza, że wodę wypijają zupełnie ze źródła, i dlatego niémasz widoku, aby Szczawnica mogła się znacznie rozwinąć. Zdaje mi się, że temu łatwo będzie można zaradzić, wiercąc studnię artezyjską, podobnie jak to robią w innych krajach (1).

***Szlachtowa.*** Oprócz wycieczki do Pienin, o któréj już wyżéj wspomnieliśmy, jest wiele innych okolic godnych widzenia. W sąsiedniéj wiosce Szlachtowéj, pół mili od Szczawnicy odległéj, jest mnóstwo widoków odznaczających się rozmaitością; skały dziko poszarpane, wyskakujące bystro nad inne, przerywają głębokie doliny, ocienione rosłemi bukami i świerkami. W górze Jarmuta, podobnéj zdala do potężnéj kopy siana, nad samą wioską Szlachtową wzniesionéj, szukano złota za panowania Maryi Teressy. Prawie w połowie wysokości, jeszcze zachował się długi korytarz czyli sztolnia, od opuszczonych robót górniczych. Prócz siarczyka żelaza, tworzącego niewyraźną żyłę w trachycie z którego się składa ta góra, nic innego nie dostrzegłem. Zapewne ten minerał, mający kolor do mosiądzu podobny, stał się powodem do szukania złota; chociaż trzeba przyznać, że

(1) Obszerniejszy opis Szczawnicy pod względem geologicznym, znajduje się w Roczniku Wydziału Lekarskiego T. III z r. 1840, p. t. Opis geologiczny Szczawnicy i Szlachtowéj.

w wielu miejscach zawiéra on na Węgrach znaczne ilości tego drogiego metalu.

Pod względem etnograficznym bardzo ważną jest Szlachtowa; wioskę tę zamieszkują Rusini grecko-katolickiego wyznania; jestto koniec zachodni tego plemienia, wylatujący dotąd na zachód prawie klinem; coraz daléj na wschód znacznie rozszérza się ten lud i zajmuje całe Karpaty i z niemi stykające się równiny. Zewnętrznie zupełnie podobni są oni do górali szczawnickich, ale w mowie można dosłyszéć małą różnicę, i wyraźnie słychać, jak giną u nich syczące głoski.

***Krościenko.*** Milę na północ od Szczawnicy, leży miasteczko góralskie Krościenko, na małém wzniesieniu na przeciwnéj stronie nad Dunajcem. Domki ma porządne z okrąglaków, sposobem góralskim stawiane; dobrze uprawne a urodzajne grunta, okryte roślinami ogrodowemi, otaczają ze wszech stron to miasteczko. Z drugiéj strony Dunajca, w polach do tego miasteczka należących, wytryska szczawa obfita, od kilku lat więcéj znajoma, gdy wystawiono kilka domków z urządzeniem dla przyjęcia gości. Szczawa ta, podobnie jak szczawnicka, wytryska z piaskowca fukoidowego, naprzemian z łupkiem iłowym ułożonego; zupełnie jest przezroczysta, a kwas węglikowy dobywa się nieustannie kłębami; smak ma kwaskowaty, nieco słonawy. Skład jéj niedokładnie jeszcze poznany. Prof. Markowski następujące części w jednym calu sześciennym znalazł:

20 cali sześciennych gazu kwasu węglikowego; części zaś stałych: Chlorku wapnianu. 43 gran.
Węglanu wapna... 11,5. „
„ magnezyi.. ślad.

Rozgłoszono o téj szczawie, że zawiéra żywe srébro; powtarzali o tém różni pisarze, nie przekonawszy się o istocie rzeczy. Kilka razy w różnych latach byłem przy tém źródle, a nie dostrzegłem najmniejszego śladu merkuryuszu, ani w jego składzie chemicznym, ani w poblizkich skałach. Zdaje się, że obawa spółzawodnictwa stała się tego powodem, a nawet być może, że kazano wsypać do szczawy Krościenka kilka funtów żywego srébra, które gdy wieśniacy wybrali i sprzedawali, powstał umyślnie szérzący się odgłos, który nawet sprowadził kommissyą górniczą, dla szukania tego metalu.

Życzyćby wypadało, iżby ta wyborna szczawa była więcéj używaną, i aby przy niéj powstał urządzony zakład. Sama nawet Szczawnica niemało zyska; zgromadzenie osób ukształconych powiększy się, powstanie współubieganie, rodzące zawsze tylko dobre skutki; wtedy dwa te zakłady dojdą do téj świetności, jaka ma miejsce w niemieckich wodach, np. pomiędzy *Salzbrunn* a *Altwasser*.

*Inne szczawy.* Od Szczawnicy i Krościenka daléj na wschód, każda prawie dolina ma swoję szczawę, i to trwa aż do Wysowy, wioski obwodu jasielskiego i głośnych a odwiedzanych wód Bardyowa. Pospolicie bywa ich kilka w dolinach; nad rzeką Poprad dobywają się szczawy w wiosce Miechury niedaleko Piwnicznéj i w Sulinie na Węgrach w ziemi Spiskiéj. Ostatnia należy do najcelniejszych w Karpatach; jest bowiem do najwyższego stopnia kwasem węglikowym nasyconą, a nadto bardzo długo takowy trzyma, i dlatego daleko bywa rozwożoną do Galicyi i Węgier. Szczawa ta zupełnie jest zapomnianą, nie mamy nawet porządnego

jéj rozkładu chemicznego. Wprawdzie miejscowość szczawy Sulina nie sprzyja rozwinięciu się zakładu, leży bowiem w bardzo dzikiéj okolicy i jest przez każde wezbranie Popradu zalewaną, a wtedy przez kilka dni nie można jéj używać.

*Łomnica.* Pół mili od Piwnicznéj, leży długa, górska wieś Łomnica, wśród wysokich gór w gęstym lesie świerkowym. W końcu północnym doliny, za wioską, w lesie zwanym Pod-Kosienczerzami, dobywa się z piaskowca fukoidowego jedna z najpotężniejszych szczaw karpackich, żyłą jak ramię grubą. Woda ta tak niezmiernie wiele zawiéra kwasu węglowego, że w jéj blizkości trudno oddychać; smak ma wyborny, orzeźwiający, kwaskowaty; odpływając zostawia pomarańczowy osad, pochodzący od wodanu żelaza. Niémasz wątpliwości, że ta zupełnie nieznana szczawa, wejdzie kiedyś do rzędu najznakomitszych wód mineralnych polskich. Cztéry mniejsze szczawy są niedaleko, ale co do obfitości nierównie słabsze.

*Wierchownia.* Najkrótsza droga z Piwnicznéj do Krynicy, prowadzi ponad Popradem przez komorę Mniszek do Wierchowni (często Wierchomla na kartach błędnie pisana). Za Mniszkiem postępowaliśmy nad Popradem po najokropniejszéj drodze; nietylko że ustawicznie trzeba było jechać z góry na dół i znowu na górę, ale jeszcze do tego często po samych kamieniach, że istotnie nie pojmuję, jak konie mogły same przejść, a do tego ciągnąc za sobą bryczkę; nadto spadające potoki do Popradu, niekiedy doszczętu zepsuły tę nieszczególną drogę, i trzeba było często objeżdżać niemały kawał, by znowu wrócić do naszego gościńca. Ujechawszy tak milę drogi, pokazały się domki Wierchowni wśród lasu.

Jestto jedna z tych zapomnianych wiosek, do któréj nie tak łatwo kto się zabłąka, bo się nie styka z żadném miasteczkiem ani wioską, tylko sama zajmuje głęboką dolinę od jednego końca przy Popradzie, aż do wysokiego grzbietu, oddzielającego Wierchownią od Muszyny. Długa ta wieś, ma bardzo rozmaitą fizyognomią w niższéj i wyższéj części. Przy Popradzie stoją domy jakby w bagnie tu i owdzie porozrzucane, co jakeśmy wyżéj rzekli, ze wszech miar niezdrowy i smutny wpływ wywiéra na mieszkańców, okrywając ich prawie wszystkich szpetnością fizyczną. Kiedym przejeżdżał przez tę wioskę, upośledzeni ci ludzie, biegli za mną wydając niezrozumiałe głosy; woźnica o nich mówił, że to są głupi, ledwie do paszenia bydła zdatni. Wznosząc się wyżéj, giną zwolna lasy, pokazują się uprawne role, a pomiędzy niemi w kupki zebrane domki; nad niemi stérczą wysokie grzbiety, mniéj więcéj poprzerywane. Ze zmienionemi stosunkami geograficznemi, zmienia się i człowiek; zdrów i silny odznacza się męzką siłą, żywością umysłu, tak cechującą górala. Z przekonaniem wyższości patrzą oni na swych sąsiadów mieszkających w dolinach; niezwykli się nawet z niemi łączyć, a gdy zdarzają się wyjątki, iż dziéwki idą za mąż na dół, po kilku latach zostawały zazwyczaj wolami oszpecone; często nawet większe jeszcze u nich powstawały, aniżeli u zrodzonych na miejscu. Kiedym Wierchownią zwiedzał, właśnie był skwarny dzień sierpniowy; mnóstwo zeszło się ludzi z przyległych domów, aby się mnie przypatrzéć. Arcyrzadki bowiem to wypadek, iżby się tu kto zapuścił, gdyż żadna droga tędy nie prowadzi. Przypominam sobie, jak sędziwi gospodarze z wielką uprzejmością liczne czynili zapytania, zkąd przybywam, przytém dawali rady, jaką najlepszą drogą

dostać się na wysoki grzbiet; młodzi przypatrywali się bryczce, różnym na niéj będącym rzeczom, a szczególniéj zajmowała ich lekka budowa najtyczanki. Gdyśmy tak gwarzyli, nagle pokazała się chmura i spuścił się dészcz kroplisty. Jeszcze ćwierć godziny nie padał, kiedy ciekawi pobiegli nad brzeg środkiem wsi płynącego strumyka, przez który niedawno suchą nogą można było przejść po kamieniach. Strumień ten wezbrał nadzwyczajnie, bałwany tak były wielkie, jak na ogromnych wzburzonych jeziorach. Właśnie z drugiéj strony sianem naładowane wozy chciały się przeprawić, ale woda tak była wzburzoną i tyle niosła kamieni, że z bolem serca musieli dać zmoknąć wysuszonemu sianu. Nader ostrożnym trzeba być z nagle wezbranemi górskiemi rzeczkami; nieraz w nich tracą życie konie i ludzie zarazem.

Gdy krótko trwający dészcz ustał, ochłodziło się odrazu powietrze, a na wierzchu grzbietu dobrze było zimno; nie mogliśmy opuścić jednakże tego rozległego widoku, trzeba się było nasycić, ucieszyć nim. Pomiędzy podłużnemi grzbietami wznosił się tu i owdzie wyższy wirch, a pomiędzy niemi ciągnęły się doliny z siołami; zdala widać było miasteczko Muszynę, kiedyś należące do dóbr biskupstwa krakowskiego. Chociaż widok na grzbiety z piaskowca nie przedstawia wiele rozmaitości, zmiany wynikające z oświetlenia, a ztąd pochodząca gra kolorów, mile zatrzymywały oko, i dlatego z żalem opuszczaliśmy to ciekawe wyniesienie.

Na obydwóch bokach tego grzbietu, dzielącego doliny Popradu i krynicką, znajdują się liczne szczawy. W wyższym końcu doliny Wierchowni, pomiędzy cerkwią a karczmą, dobywają się trzy podobne źródła. Na przeciwnéj

wschodniéj pochyłości, jest ich nierównie więcéj; przy wiosce Jastrzębki jest ich sześć, a przy wiosce Szczawnik wytryskuje jedno nader obfite w pośrodku łąk, z przyjemnym, kwaskowatym smakiem.

*Krynica.* Największa liczba a zarazem najpotężniejsze szczawy są w dolinie Krynicy. Pod samym grzbietem, po którym wiedzie droga z Krynicy do Sącza, przy wiosce Sołotwinie, są dwie szczawy; bardzo znakomita dobywa się u stóp góry Świńska Noga. Do najznakomitszych na świecie należy szczawa krynicka, równająca się z najcelniejszemi w Niemczech, we Włoszech i na Węgrach, a mianowicie ze szczawami w Pyrmoncie, Eger, Recoaro niedaleko Wiczency, Lubowni na Spiżu, Bardyowa i t. d. Wody krynickie od 200 lat znajome, bywały w różnych czasach mniéj więcéj używane; teraz istnieją urządzone kąpiele dla gości, przytém znajduje się kilka obszernych domów piętrowych, wielkie łazienki i obszerny budynek, przeznaczony na restauracyą z salą do tańca i t. d. Nastał jednakże zwyczaj w medycynie, nie używać wód wzmacniających, i to głównym jest powodem, że coraz mniéj przybywa gości do Krynicy. Z niezmierną siłą dobywa się ta szczawa, nieustannie wznoszą się kłęby gazu kwasu węglikowego, dając jéj wejrzenie gotującéj się wody; smak ma nader przyjemny, kwaskowaty, orzeźwiający; temperatura jéj wynosi + 8° C., odpływając zostawia obficie pomarańczowy osad, składający się z wodanu żelaza, pomieszanego z wapnem. Woda ta jest jak łza przezroczystą, zagotowana staje się zupełnie mętną, do żuru podobną; co pochodzi od rozpuszczonych części stałych. Będąc do najwyższego stopnia nasycona gazem kwasu węglikowego, zawiéra różne ciała stałe rozpuszczone; za oddaleniem się gazu, opada-

ją te w postaci gliniastego mułu, składającego się głównie z wapna, wodanu żelaza, magnezyi i t. d.

Dokładnego rozbioru chemicznego téj wody nie mamy dotąd. Przed 40 laty rozbiérał ją Schultes (1), i następujące części stałe znalazł w jednym funcie wiedeńskim:

| | | |
|---|---|---|
| Chlorku wapnianu | 0,37 | gran. |
| „ sody | 0,61 | „ |
| Węglanu sody | 1,28 | „ |
| „ wapna | 12,16 | „ |
| „ żelaza | 0,33 | „ |
| Krzemionki | 0,17 | „ |
| Extraktu | 0,18 | „ |
| Żywicy ziemnéj | 0,32 | „ |

Gazu kwasu węglikowego cali sześciennych 45,3.

Tak wewnątrz używane i jako kąpiele, dzielnie skutkują te wody, lecząc osłabienia nerwów; ale wypada z niemi obchodzić się ostrożnie, gdyż zbytek ich sprawia nader smutne skutki. W saméjże wiosce Krynicy, i na pochyłości wschodniéj doliny, tryszczy mnóstwo innych pomniejszych szczaw, a prawie wszystkie zostawiają czerwony osad. Nader szczególnym jest mały strumyk, w którym na długość 100 stóp dobywają się bąble gazu kwasu węglikowego, a woda jest kwaśna i zostawia osad, który dał mu nazwę Czerwony Potok. Na drodze z Krynicy do Tylicza, jest źródło lotnego skalnego oleju; kiedym je zwiedzał, właśnie nie było w niém wody, tylko mocny odór wyziewało, a na dnie

(1) Schultes: Ueber die Mineralquellen zu Krynica, im Sandezer Kreise in Ost-Gallizien. Wien, 1807.

kamyczkowatém leżały zdechła mysz i kilka owadów: zapewne te wyziewy życia ich pozbawiły.

Wszystkie okoliczne doliny zamieszkują Rusiny; lud silnéj budowy ciała, na górali nieco za ciężki; ubiérają się w obszerne białe płaszcze, z wielkim spadającym czworograniastym kapturem, grubemi frendzlami obwiedzionym; strój ten przyjęli od kilkunastu lat z przyległego Spiża. Jak wszyscy górale, obdarzeni są nader bujną imaginacyą, i wiele umieją opowiadać o niezmiernych skarbach, ukrytych w ich górach. I tak: w wirchu Pałenia, wznoszącym się pod parkiem powyżéj szczawy, ma być sól, tylko teraz do niéj nie można trafić, bo człowiek co o tém wiedział pomarł, nikomu o miejscu nie powiedziawszy. W tutejszych górach sadowią Janoszka, sławnego rozbójnika z podhala tatrowego. Przebywał on najwięcéj w lasach Jaworyny (najwyższéj góry pod Krynicą), któréj szczyt podróżni zwiedzają dla obszernego widoku; ztąd bowiem widać Bochnią, Kraków, Banią węgierską (nie wiadomo jakie to ma być miasto). O niezwykłéj sile Janoszka wiele opowiadają; miał 25 centnarów podnosić; po drogach rozbijał i strachem przerażał całą okolicę. Podochociwszy sobie w zamku Pławskim (na Spiżu), przez zdradę szynkarki został złapanym. Gdy bowiem trunkiem rozmarzony zasnął, ta niewierna kochanka uwiadomiła pana węgierskiego o Janoszku, który z wojskiem nadciągnąwszy, pochwytał pijanych zbójców i tylko mała część z nich uciekła. Janoszek powieszony został na żebrze, i tak żył przez 7 dni; wtedy palił fajkę i zupełnie był wesoły. Przedtém prosił cesarza o przebaczenie, i w razie uzyskania go, obiecał zwerbować pułk huzarów, sam zaś miał stanąć za drugich na wojnie, i ulać dzwon pod którym 12 huzarów

mogłoby stanąć; ale to nic nie pomogło, musiał ginąć. Chociaż dolina krynicka dosyć jest szeroką, a góry otaczające niezbyt wysokie, przecież objawia się tutaj w niższym stopniu karłactwo; grube szyje i wole dosyć są częste, nawet wielu jest zupełnie tępych na umyśle, i zaledwie mówiących.

*Muszyna.* W dalszém przedłużeniu téj doliny na południe, dwie są jeszcze szczawy: piérwsza w przyległéj wiosce Powroźnik, a druga w miasteczku Muszynie. Bardzo ujmujące wejrzenie ma to, jakby na krańcu świata leżące miasteczko. Obszerne ulice, porządne a schludne domki drewniane, miłe zostawiają wspomnienia.

*Tylicz.* Mila drogi na wschód od Krynicy, leży miasteczko Tylicz. Nader kamienista droga prowadzi przez wysokie grzbiety, która łączy te dwa miejsca. I tu są dwie szczawy: jedna na drodze przed Tyliczem, druga w samémże miasteczku. Ostatnia należy do najcelniejszych Karpackich; obficie odpływa, jest jak łza czysta, i smak ma kwaskowaty, orzeźwiający; obficie zawiéra gaz kwasu węglikowego, chociaż ten w źródle nie dobywa się kłębami. Temperatura szczawy wynosi $+9^0$ C. Tuż w korycie strumyka, dobywają się na przestrzeni dwóch sążni kwadratowych obficie pęcherzyki kwasu węglikowego, i sama woda strumienia smakuje kwaskowato. Nieco daléj na polach zwanych Popielowe, tryszczy 5 słabych szczaw.

*Wysowa.* Wioska ta leży w obwodzie jasielskim, małe dwie mile od Krynicy. Wysoki grzbiet trzeba przebyć z Tylicza do wioski Izby, mającéj nader górskie wejrzenie.

Wzdłuż doliny Wysowy, ciągnącéj się z południa na północ, dobywa się mnóstwo szczaw: przeszło 12 ich

uważałem: z tych większa część niezdatna do picia, mętne i nieczyste, a nadto czuć je gazem wodorodno-siarkowym. Wyjątek z tego czyni główna szczawa w środku wioski, mająca wodę zupełnie czystą, kwaskowatą, do szczawnickiéj wielce podobną; gaz kwasu węglikowego dobywał się obficie kłębami. Skład jéj nie wiadomy. Osoby używające téj wody, bardzo zachwalają jéj skutki. Życzyćby należało, iżby pod względem lekarskim stała się bliżéj znajomą.

Na południe od Wysowy w graniczących Węgrach, tryszczą nieprzeliczone szczawy aż do Bardyowa. Każda prawie wioska ma swą *kisłą* wodę; tak je tam zwykli nazywać. Daléj na wschód w Bieskidach i Bieszczadach, niémasz nigdzie szczaw, prócz w Borkucie w wiosce węgierskiéj, graniczącéj z cyrkułem samborskim.

***Samoklęski.*** Niedaleko Wysowéj w wiosce Samoklęski jest siarczane źródło, przez Hacqueta jeszcze rozpoznawane, zawiérające według niego następujące części mineralne, w 10 funtach wody:

| | | |
|---|---|---|
| Gazu kwasu węglowego | 20 | cali sześciennych. |
| „ wodorodno-siarczystego | 70 | „ „ |
| Węglanu wapna | 9 | gran. |
| „ magnezyi | 1 | „ |
| Siarkanu sody i magnezyi | 15 | „ |
| „ wapna | 31 | „ |
| Ilu | ślad. | |

Ale wróćmy się napowrót do Szczawnicy. Dunajec, ta najpiękniejsza rzéka polska, nieco za Krościenkiem wchodzi pomiędzy góry, okryte wesołym lasem bukowym. Nie przypominam sobie bujniejszych drzew nad te, które na pobrzeżach Dunajca rosną. Postępując na północ, co chwila otwiérają się widoki jeden za drugim, równie

miłe jak niespodziewane; po bokach gór są jakby rzucone malownicze wioski, pomiędzy któremi odznacza się Tylmanowa, w któréj każdy człowiek mniéj więcéj karłactwem dotknięty, i gdzie mieszkańcy uważają wole za zaletę, pewną ozdobę ciała. Przez dwie mile trwa droga w tém zwężeniu; zwolna dopiéro roztwiéra się dolina, okryta obszernemi łany i bujnemi urodzajami.

*Stary Sącz.* Przy połączeniu Popradu z Dunajcem, leży starożytne miasto Stary Sącz, z gotyckiemi kościołami i klasztorami, które szybkim krokiem do upadku zmierzają. Tutajto w klasztorze zakonnic św. Franciszka pędziła żywot przez lat 13 św. Kunegunda, żona Bolesława Wstydliwego; w zamku zaś synowie Kazimiérza Jagiellończyka, wychowywani byli przez Filipa Kallimacha i Jana Długosza około roku 1475. Królewiczowie doskonaląc się w umiejętnościach, ostre wiedli życie; odzież ich składała się z grubego sukna, w zimie zaś kożuchami odziani byli (1). Coś nader ujmującego ma to miasteczko, i ile razy je odwiedzałem, byłem zawsze jak pomiędzy dobremi przyjaciołmi, chociaż nikogo nie znałem. W nierównie żyzniejszéj okolicy, wśród obszernych równin otoczonych górami, wznosi się nad Dunajcem Nowy Sącz, milę od Starego odległy. Nieco tylko murów pozostało z dawnego zamku, gdzie witany był Ludwik król węgierski, obrany na tron Piastów w r. 1370 od obywatelów polskich. Zygmunt III nakazał naprawę baszt i wież miejskich. W r. 1644, w wojnie szwedzkiéj, miasto to znacznie ucierpiało; po większéj części spalone zostało. Teraz Sącz niczém nie odznacza się

(1) Starożytna Polska opisana przez Lipińskiego i Balińskiego. Tom II, str. 215.

pomimo że jest miejscem władz obwodu, i założonego niedawno klasztoru Jezuickiego: ani jest zabudowanym, ani można znaleźć tego, czego żądać zwykliśmy od miasta. Jestto wyraźny skutek téj mieszaniny przeciwnych sobie żywiołów, odpychających się nawzajem, a nie przynoszących innego owocu, jak czczość, która się odbija na zewnątrz.

*Czchów.* O milę na północ za Sączem, znowu wpływa Dunajec pomiędzy góry, i przez dwie mile krajem nader górzystym, przedziéra się pomiędzy skałami piaskowca; często zaledwie jest miejsce na drogę. Pod Czchowem roztwiéra się dolina, góry zniżają się, a oko nawyknąwszy do skał i świerków, spoczywa mile na obszernéj równinie, okrytéj bogatemi urodzajami. Starożytny Czchów jest oparty o bok góry; nad domy w kupkę zebrane tego miasteczka, wznosi się starożytna kamienna wieża, kiedyś służąca za więzienie. Kazimiérz W. kazał opasać murem to miasteczko, i nadał mu prawo niemieckie. Tutaj przebywał jako zawiadowca zboru Franciszek Lissmanin, spowiednik królowéj Bony, powiernik Zygmunta Augusta. Gdy nowowiercy w kraju szérzyć się poczęli, zlecił mu król 1543 r., aby zasięgnął wiadomości o reformie kościoła. Ale Lissmanin zrzucił w Niemczech suknią duchowną, chwycił się zdań Kalwina i stał się téj nauki gorliwym rozkrzewicielem, a następnie został zwolennikiem aryanizmu.

*Melsztyn.* Naprzeciw Jurkowa 684 stóp wyniesionéj wioski nad poziom morza, nieco daléj ku Tarnowu, stał kiedyś na górze zamek melsztyński, zbudowany przez Spicymierza kasztelana krakowskiego w r. 1330. Jeden z jego synów Jan czy Jaśko, otrzymawszy działem tę majętność, mianować się począł Melsztyńskim, herbu Leliwa.

Tu przebywali: dziejopisarz Jan Długosz i Sieniński, popadłszy w niełaskę u Kazimierza IV i wywołani z kraju w 1461 r. Po wygaśnieniu téj rodziny przy końcu XV wieku, przeszedł ten zamek do Tarnowskich, z jednego szczepu pochodzących, następnie do Jordanów i Taszyckich, gorliwych zwolenników aryanizmu. W r. 1771 zajęli go konfederaci barscy, lecz wkrótce ztąd byli wyparci; wtedyto zgorzał ten zamek, a z czasem rozebrała go chciwość posiadaczy.

*Zakliczyn.* Naprzeciw Jurkowa i Melsztyna, na drugiéj stronie Dunajca, leży miasteczko Zakliczyn wśród obszernych równin. W r. 1570 była tutaj drukarnia socyniańska.

Od Sącza ciągnie się u podnóża gór na wschód tak nazwany gościniec węgierski, najlepszy w całéj Galicyi; zrobiony jest zwyczajnie z płasko zaokrąglonych ułamków piaskowca, które z Bieskidów spadające rzéki obficie prowadzą; niemało do utrzymania jego dobroci przyczynia się ograniczona jazda, a mianowicie ciężkich bryk. Kraj, który ten gościniec przerzyna, jest pagórkowatym i należy właściwie do Podgórza; pomiędzy długiemi grzbietami są obszerniejsze doliny, odznaczające się żyznością, a w nich pospolicie w malowném położeniu rozrzucone podrzędne miasteczka.

*Grybów.* Dwie mile od Sącza, wznosi się Grybów z zamkiem; w téjże odległości nad rzeką Ropą, miasteczko Gorlice, sławne z blicharń. Często wzgórza bywają zupełnie okryte białemi płótnami, i ciągną się aż do przyległéj wioski Maryampola, pamiętnéj mieszkaniem i pięknym ogródkiem sławnego wieszcza, który w cudnéj piękności obrazach, wystawił niedawno wspaniałość przyrody Tatrowéj.

*Zagorzany.* W pobliskości Maryampola wznosi się piękny zamek Zagorzańskich, przed kilkoma laty wykończony, a zniszczony w ostatnich zaburzeniach. W okolicach Gorlic poczynają się źródła ropy czyli oleju skalnego, i pojawiają się daléj na wschód przez całe Bieskidy. W wiosce Siary jest podobne źródło z pokładem czarnego stwardniałego oleju, podobnego do węgla kamiennego, ale mocny jego zapach świadczy, że to jest inne ciało, pewien rodzaj bitumu.

Pomiędzy Gorlicami a Duklą, najznaczniéj zniżają się Bieskidy, jednakże daléj na wschód wznoszą się znowu, posuwając się ku źródłom Sanu. Tutaj sam łańcuch ma prawie fizyognomią Podgórza. W szerokiéj dolinie Ropy są dobrze uprawione role, okryte bogatemi plonami, przy starożytnym Bieczu i Jaśle, stolicy obwodu.

*Źródło ogniowe Turasówka.* Niedaleko Jasła, we wsi Turasówka, jest bardzo ciekawe źródło ogniowe, od bardzo dawnych czasów znane. Już go Rzączyński opisał; a ja rozpoznając go przed kilkoma laty, znalazłem zupełnie niezmienioném. W małéj studzience na sążeń głębokiéj, przewraca się niezmiernie woda, i zdaje się, jakby najmocniéj wrzała. Ale woda ta jest zupełnie zimna, tylko nadzwyczajna obfitość bulek wznoszącego się gazu, sprawia to mniemane wrzenie. Zbliżywszy świécę o parę stóp do powierzchni wody, zapala się lotny oléj skalny i płomień wznosi się do dwóch sążni wysoko nad powierzchnią ziemi, co trwa kilkunaście sekund. Gaz ten nie jest dotąd dokładnie od chemików poznany. Podobne źródła ogniowe bardzo są liczne nad morzem Kaspijskiém, gdzie znane są jako ognie święte, a przy Baku czczone od dawnych Persów. Ile razy potrzeba, według ojca Imbert, w okolicach prowincyi On-Tong-Kiao w Chi-

nach (1), ognia do rozmaitych potrzeb technicznych, wiercą liną mającą na końcu pewien rodzaj kafara, studnie artezyjskie, i za pomocą tych gazów opalają swe zakłady fabryczne. Do warzenia soli wiercą sobie Chińczycy takie studnie ogniowe; tym sposobem nie potrzebują żadnego paliwa. Zdaje się, że stosowne użycie gazu naftowego w Galicyi, mogłoby się wielce przyczynić do pomyślności téj pięknéj krainy.

***Krosno.*** W żyznéj okolicy nad Wisłoką, leży starożytne miasteczko Krosno, już za Kazimiérza Wielkiego murem obwiedzione, a w owych czasach dla swego wielkiego handlu i zamożności, zwane było małym Krakowem. I teraz odznacza się miłą powierzchownością i porządnemi zabudowaniami. Najcelniejsza budowla w Krośnie jest starożytny gotycki kościół Franciszkanów, wybudowany w roku 1367, zawiérający wiele historycznych pomników, a mianowicie nagrobek z czerwonego marmuru królowéj Bony. Do tego kościoła przystawiła familia Oświecimów kaplicę w nowożytnym włoskim stylu, odznaczającą się bogactwem ozdób; i tu schowane są resztki czarującéj piękności, nieporównanych wdzięków Anny, którą pokochał brat rodzony Stanisław, dworzanin Władysława IV, pan rozpadającego się teraz zamku Odrzykoń. Długo starał się w Rzymie o pozwolenie połączenia się ze swą siostrą miłością pałający brat, ale bezskuteczne były wszelkie starania. Po nadzwyczajnych zabiegach i prośbach, zezwolił Rzym na to połączenie, przeciwne nowoczesnym pojęciom. Aliści było zapóźno! Piękna Anna na kilka dni przed nadejściem pozwolenia umarła.

(1) Recueil Polytechnique. Fevrier, 1847. Dingler, Polytechnisches Journal T. 105, 1847.

Brat strapiony porzucił świat, oddał się rozmyślaniom, wystawił kaplicę, i cudnego pędzla obrazem pamięć kochanéj Anny uwiecznił. Cztéry inne obrazy rozstawione są po ścianach kaplicy. W grobie połączyła się ta kochająca para; trumny Anny i Stanisława stoją przy sobie. Aby i po śmierci mógł widywać swą kochaną Annę, kazał w trumnie zrobić szybkę. Z tylu piękności, jest teraz ciało w proch rozsypane, i tylko białe kości się świecą; oglądałem czaszkę i znalazłem jéj wymiary mogące świadczyć o doskonałéj piękności téj nieszczęsnéj ofiary miłości.

W tymże grobie jest jeszcze inna osobliwość: trup Pełki syna Kazimiérza Wielkiego i Esterki, człowieka niezmiernéj wielkości, zasuszony stoi w kącie; ciało jego nie zepsuło się bynajmniéj, i wraz ze skórą zeschło. Twarz nawet zachowała dawne rysy; niezmierne czoło świadczy o jego poważném obliczu. Kolor tego trupa zupełnie jest podobny do wysuszonéj ryby, np. sztokfiszu. Życzyćby należało, aby te ciekawe pamiątki były staranniéj strzeżone; wszakże to droga puścizna ubiegłych czasów!

***Dukla.*** Już pod samemi górami leży Dukla, porządne miasteczko, mające piękny ogród z niezmiernie wysokiemi drzewami.

***Iwonicz.*** Na drodze z Dukli do Rymanowa, u stóp gór w miléj okolicy, leży wieś Iwonicz, głośna od pewnego czasu swemi słonemi wodami, które léczą nadzwyczaj szczęśliwie choroby skrofuliczne i inne z niemi pokrewne. Znaczne ilości jodu, głównie wpływają na ich zadziwiające skutki. Torosiewicz rozbiérał tę wodę, i znalazł w dwóch źródłach następujący skład części stałych w jednym funcie =12 uncyj:

| | I. | II. | | I. | II. |
|---|---|---|---|---|---|
| Bromku sodu ... | 0,218 gran. | 0,074 | Węglanu żelaza ... | 0,029 gran. | 0,044 |
| Jodku sodu .... | 0,127 „ | 0,030 | — manganezu | 0,014 „ | 0,020. |
| Chlorku sodu... | 45,343 „ | 35,398 | Krzemionki..... | 0,074 „ | 0,079. |
| Węglanu sody .. | 9,778 „ | 6,044 | Kwasu źródłowego . | 0,051 „ | 0,068. |
| — wapna.. | 1,291 „ | 1,100 | Żywicy ziemnej.... | 0,039 „ | 0,024. |
| Węglanu magnezyi ..... | 0,499 „ | 0,386 | Nafty ..... | ilość nieoznaczona. | |
| | | | Razem.... | 57,470 gran. | 48,267. |

W 100 calach sześciennych wody części gazowych:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Gazu wodorodno-węglikowego.. | 2,777. | cali sześciennych ..... | 0,820. |
| Kwasu węglikowego ..... | 30,410. | | 27,589. |
| Saletrorodu..... | 0,704. | | 0,240. |

Niedaleko słonego źródła dobywa się także ogniowe, podobne do opisanego w Turasówce; trafnie umiał właściciel Karol hr. Załuski użyć go do ogrzania bielizny kąpiących się.

Daléj na wschód kraj cały nader przyjemne ma wejrzenie; liczne a bogate wioski z pięknemi dworami, bujna roślinność, świadczą o czynności mieszkańców i uczuciu dla tego, co jest piękném.

***Rymanów.*** Wśród téj żyznéj okolicy leży Rymanów, małe, porządne miasteczko, oparte o nieco wyższe wzgórza, porozdziérane głębokiemi parowy. W tych tak spokojnych teraz okolicach, nadzwyczajnie gwałtowne zburzenia w pierwotnych czasach sprawiły podziemne siły; warstwy bowiem piaskowca karpatowego stoją prawie prostopadle, inne nachylają się pod znacznym kątem lub zwracają się w przeciwne strony; sąto niezaprzeczone dowody tych w spodzie ukrytych wulkanów.

Daléj na wschód w wiosce Pisarówce, nad rzeczką Sanoczek, warstwy tegoż samego piaskowca pogięły się najrozmaiciéj; te zagięcia musiały następować w skutek parcia sił wulkanicznych z stron przeciwnych, gdy już były stężałe. W górze Szczodra, wznoszącéj się nad Pisarowcami, pięknym lasem bukowym okrytéj, jest mały

pokład dziurkowatego wapienia, który mogły tylko osadzić kwaśne wody, mające w sobie rozpuszczone części wapna w znacznéj ilości. Ale i te ostatnie skutki działań podziemnych ustały, i teraz martwy tylko kamień świadczy co się działo w tych odległych czasach.

*Jurowce.* Mila na północ od Pisarowiec, w pięknéj okolicy, wśród nieco wyższych gór okrytych bujną buczyną, ciągnie się obszerna wioska Jurowce, mająca sławne wody słone, dziwne skutki wywiérające w pewnych słabościach. Staraniem właścicielki p. Aleksandrowéj Darowskiéj, wystawione zostały łazienki i kilka domków dla gości; bywały tutaj często liczne zebrania obywateli gęsto osiadłych w okolicach Sanoka, aliści ze zmianą właścicieli, widocznie podupadł ten zakład, godzien by trwał ku pożytkowi ogólnemu. Woda Jurowiecka nietylko zawiéra części słone, ale nadto w małéj ilości rozpuszczony oléj skalny, nadający skórze w czasie kąpania szczególną gładkość.

*Sanok.* Dobra mila od Jurowiec, wznosi się miasto Sanok nad Sanem, w nader pięknéj okolicy. Miasteczko to nie odznacza się teraz niczém. Dawny zamek Kazimiérza Wielkiego na dom rządowy przerobiono.

Naprzeciw Sanoka, na drugiéj stronie Sanu, wznosi się góra Zamczysko zwana; teraz niéma nawet śladu na niéj jakiéj budowli; zapewne był tutaj zamek drewniany, który z czasem całkiem znikł, tylko na szczycie pozostał wał, mający około 500 kroków w obwodzie. Lud dziwne rzeczy opowiada o niezmierności tego zamku; miał się on łączyć mostem z zamkiem sanockim, przeszło pół mili odległym, i po nim przechadzała się królowa Jadwiga, czy Bona!?

Na wschód i południe kraj staje się nader górzystym, uprawne role giną, tylko lasy przeważają; wyjątek z tego czyni miasteczko Bukowiko, 2 mile od Pisarowice odległe, oparte o długie grzbiety zupełnie nagie, tak, że nawet krzaku na nich nie widać. Wyraźnie zmienia się tutaj postać kraju; giną owe żyzne łany, żyto zastępuje owies, wioski przybierają wejrzenie górskie. Zamierzając udać się do Baligrodu, przebyliśmy potężne grzbiety i głębokie doliny, które pięknéj a śmiałéj postawy lud zamieszkuje.

***Baligród.*** Wśród wyniosłych gór, czarnym lasem okrytych, stoi Baligród, nazwany od Piotra Bala podkomorzego sanockiego, który to miasteczko w r. 1610 założył. Byłto mąż pełen roztropności, cnoty i umiejętności, i za jego sprawą szybko wzrastała ta osada, mianowicie téż, gdy liczne przywileje nadał jéj sejm (1). Ale rozwijanie się jego zatrzymało się oddawna; teraz niémasz w niém przemysłu ani handlu, i jestto tylko większa wioska, w któréj mieszka kilkunastu rzemieślników, zaspakajających piérwsze potrzeby życia, i przytém trudniących się bardziéj rolnictwem.

Pół mili za Baligrodem, kraj staje się w najwyższym stopniu dziki, tak, że go nie mogę porównać z żadnym znajomym w Europie. Potargane góry okrywają dziewicze lasy, rozpościerające się tak na szczytach wirchów, jako i po równinach; przeważają w nich jodły i świerki towarzysko obok siebie rosnące, buki zaś w wielkie kupy zebrane, bywają oddzielone; wyjątkowo i to na granicach zetknięcia mieszają się te dwa gatunki drzew. Właściwy charakter tych lasów, pochodzi od nader bujnéj

(1) Lipiński i Baliński: Starożytna Polska 1844. T. II, str. 689.

roślinności; niezmiernéj wielkości świerki mają pospolicie sążeń w średnicy, a nawet półtora i więcéj. Pod temi potężnemi drzewami wznosi się niższy las, składający się z drzew znacznie grubych. Spoglądając zdala na te odwieczne bory, wydaje się, jakby się wynosił las z nad lasu. Gdym te strony zwiedzał w sierpniu, a zatém w spóźnionéj porze, znajdowałem mnóstwo pięknych kwiatów, z barwą niepospolitéj żywości. Bogatszéj i zarazem bujniejszéj roślinności trudno sobie wystawić w naszym umiarkowanym pasie. Te potężne drzewa są prawdziwą ozdobą tych stron, na które nikt nie zwraca uwagi, i trwają tak długo, dopóki je burza nie zwali.

Gdym obchodził te strony przy wiosce Kołonice, najwięcéj spotykałem trudności po lasach, od niezmiernych poprzewalanych pni; często trzeba je było wymijać i daleko obchodzić; nawet butwiejące jeszcze stawiały zapory, wyrasta z nich bowiem mnóstwo krzaków i bujnych ziół, uginających się pod nogami, i kroku stawić nie można było bezpiecznie. Najpiękniejsze drzewa nie mają tutaj żadnéj wartości, albowiem tę część gór nie przecina żadna spławna rzéka, a drogi tak są kamieniste, że po nich nawet najlżejsza bryczka posuwa się z trudnością; z najbujniejszego tylko drzewa budowlanego wyrabiają potaż. Ale i ten przemysł stoi na najniższym stopniu; aby drzew nie ścinać, wyrabiają w ich spodzie obszerne otwory do ula podobne, i w nie zakładają ogień: wtedy zapala się drzewo i zamienia się w popiół. Co wiatry nie rozwieją, pozostaje w kupkach, które zbiérają, ługują i gotują na potaż zwyczajnym sposobem w panwiach żelaznych. Takie jest w tych okolicach karpackich zużycie niezbyt zyskowne najwyborniejszego drzewa! Wśród tych bujnych lasów,

żyje mnóstwo rozmaitego rodzaju ptastwa i zwierzyny; cietrzewie i jarząbki są tutaj nader pospolite; sarny licznie żyją po lasach mało co płoszone; często wydarza się, według opowiadania wiarogodnych osób, że przybywają do wiosek, a z dworu kołonickiego pod lasem wystawionego, często widać zbliżające się sarny aż do budynków; prócz sarn są tutaj nierzadko jelenie, dziki i niedźwiedzie. W żadnéj okolicy nie znajdowałem tylu wężów na polach; w wiosce Kołonice spotykałem na każdéj ścieszce snującego się gada, albo skręcony grzał się na słońcu; nieraz trzeba się było im ustępować z drogi, mianowicie zbliżając się do miejsc, gdzie kilku razem syczało. Nader niemiłe wrażenie sprawia takie mnóstwo wężów na podróżnym; mieszkańcy jednakże do nich nawykli, i niemało dziwili się, gdym wstręt okazywał.

W tych głębokich dolinach, wysokiemi górami od reszty świata przedzielonych, mieszkają nader zabobonni górale Rusini; lud ten silnéj budowy ciała, mało co jest umysłowo rozwinięty, i ten brak oświaty najlepiéj odbija się w ich sposobie życia i zatrudnieniach. Koni po nadzwyczajnie kamienistych drogach nie można używać, zastępują ich więc woły, które zaprzęgają do ciężkich, niezgrabnych wozów, do których nie używają żelaza, a nadto osi nie smarują. Już zdala słychać zbliżające się te wozy, po niemiłym, skrzypiącym głosie. Jakaż tu przepaść jest pomiędzy wydoskonalonemi środkami, ułatwiającemi przenoszenia się w krajach ucywilizowanych, a temi drogami karpackiemi!

Część gór karpackich wysyłających swe wody do Wisły, które obejmujemy pod nazwą Bieskidów, zamieszkują różnoplemienne ludy. Od źródeł Wisły aż po Szcza-

wnicę i Sącz, siedzą górale polscy, katolicy, mniéj więcéj do siebie podobni.

Niémasz górali w wielkiéj kolistéj dolinie Sącza; zastępuje ich ród do mieszkańców równiny zbliżony, a wieśniak ten najwięcéj podobny jest do Podgórzanina: ale ze wszech stron w otaczających górach żyje czysty góral, tak na południowych, jak i północnych grzbietach. Cesarz Józef II sprowadził kolonistów niemieckich i poosadzał ich w poblizkości Nowego i Starego Sącza. Lepiéj uprawiając swą rolę, przyszli do bardzo dobrego bytu; przejeżdżając, widać to po ich pięknie zabudowanych wioskach, dobrym zaprzęgu, i porządniejszym ubiorze. Daléj na wschód zajmuje góry więcéj na północ wysunione aż prawie po San polski góral; linia z północy na południe poprowadzona do Rymanowa jest ich granicą wschodnią; odtąd poczynają się górale Rusini, którzy znowu w najwyższych i najnieurodzajniejszych górach siedzą i ciągną się wązkim językiem aż pod Szczawnicę; wieś Szlachtowa jest punktem, w którym najdaléj na zachód ciągną się Rusini. Język ich wyraźnie pomieszany z polskim, jest właściwie mieszaniną obydwóch; coraz daléj na wschód staje się on czystszym. W Krynicy, w Wysowéj, już nie widać mieszaniny dwóch z sobą graniczących narzeczy; czyste plemię ruskie siedzi daléj w górach jasielskich i sanockich, stanowiących granicę od Węgier.

Rozdzielenie szlachty w téj części gór które opisaliśmy, w najściślejszym związku zostaje ze stosunkami geograficznemi; gdzie góry wysokie a nieurodzajne, tam nadaremnie kto szukałby właścicieli ziemskich; ubogi góral opłaca tylko umiarkowany czynsz, a nadto lasy i propinacya stanowią dochód właścicieli, którzy chętniéj trzymają się

żyznych równin. W dolinach przy źródłach Wisły i Soły, niémasz żadnego dworu obywatelskiego; przeciwnie zaś w żyznych dolinach przy Żywcu i Suchéj, już ich kilka napotykałem. Większa część wiosek téj okolicy, należała w zeszłym wieku do familii Wielopolskich, a chociaż taż jeszcze dzierży znaczne dobra, wiele już przeszło w inne ręce; znaczną część zakupił arcyksiążę Karol. Pod Sączem żyje także mnóstwo obywateli na bujnéj równinie jako i w górach rozciągających się pomiędzy Bochnią, Tarnowem i Pilznem. Nader miłe wrażenie pozostawia bardzo ciekawa część kraju, ciągnąca się wzdłuż doliny Ropy od Gorlic do Jasła; mnóstwo wiosek z okazałemi dworami, czasem i zamki otoczone wspaniałemi ogrodami, najwymowniéj świadczą o dobrym bycie właścicieli. Uprawa roli w téj okolicy jest nader wygórowana, powszechnie już orzą tutaj w zagony, bo pola stanowią jednę, często doskonałą równinę. W niższych górach aż do Sanu mniejsze są majątki, a w nich mniéj więcéj gęsto usadowili się obywatele; najliczniéj zaś pomiędzy Rymanowem, Sanokiem, a Dubieckiem; za to na prawym brzegu Sanu, mało co dworów, bo kraj staje się nadzwyczajnie dzikim, lesistym. Wyjątkowo wśród wysokich gór trafiają się dwory, i tam zwykły żyć starożytne familie, przechowujące niewzruszone dawne zwyczaje przodków, cnoty pradziadów i owę serdeczną gościnność, która na równinach jakby ginąć poczynała. Tutaj jest właśnie siedziba rodu Krasickich, z którego wyszedł znakomity pisarz naszéj literatury XVIIIgo wieku.

Wpływ cywilizacyi na massę ludności w opisanéj części gór Karpackich, w ciekawym zostaje stosunku z mniejszą lub większą ilością dworów. Prócz jedne-

go Krakowa, inne miasteczka mało co wpłynęły na ukształcenie ludności, usadowionéj na Bieskidach. Mieszczanie po małych miasteczkach górskich zajmują się głównie uprawą roli, i pospolicie nie są niczém inném jak rolnikami uprawiającemi dla siebie małe kawałki gruntów; w rzemiosłach niezbyt są wydoskonaleni, a które i tak przykładają się bardziéj do przyćmienia, aniżeli do obudzenia władz umysłowych. Miasta właściwie są tutaj niczém inném jak targami, gdzie sprzedają i nabywają mieszkańcy okolicy swe produkta. Wpływ obywateli wiejskich na ludność nierównie jest przeważniejszy, a bardziéj uderzający. W głębokich, trudno dostępnych dolinach nad źródłami Wisły i Soły, są górale sami sobie zostawieni od niepamiętnych czasów, i ztąd stanowią nader ciekawą a szczególną część ludności w Bieskidach, zasługującą na pilniejszą uwagę. Ruch umysłowy, ten kwiat europejskiéj cywilizacyi, mało co się na nich odbił; żyją jakby ślimaki zasklepione w skorupie w niezmienionych zasadach religijnych, obyczajach i zwyczajach, z trudnością tylko dając wstęp zmianom od zewnątrz. Ta niezmienność najjawniéj odbija się w ich języku, zachowującym mnóstwo wyrazów zapomnianych i ciekawych zwrotów mowy, dziwnie pięknych, a pełnych mocy. Pobyt znakomitéj familii Wielopolskich w okolicach Żywca i Suchéj, zetknął górali Babiogórskich i przyległych z Krakowem, i w téj okoliczności szukać należy przyczyny obudzonego u nich przemysłu. Ci nader czynni górale, dostarczają najróżnorodniejsze wyroby z drzewa do Krakowa, a od pewnego czasu obrócili się na południe, i daleko do Węgier wywożą swe statki i różne sprzęty domowe. Ta staranność w użyciu korzystnie swego czasu, owa główna przyczyna budząca przemysł, odbiła się w całéj

ich zewnętrzności i usposobieniu umysłowém; ruch kształcącego się języka do nich przeszedł, i nierównie łatwiéj się rozmówić z niemi, aniżeli z góralem z pod Skoczowa i Ustronia. Daléj na wschód różnice te nie są tak wybitne, jednakże to ogólne postrzeżenie uczyniłem, że w pobliżkości gdzie więcéj jest dworów, a tém samém więcéj wykształcenia, zewnętrzność mieszkańców pokazywała więcéj dobrego bytu, jak np. w okolicach Jasła, Przemyśla i Sanoka. Niewidoczny węzeł łączy ludzi pomiędzy sobą; wyższe jednak potęgi umysłowe biorą przewagę nad niższemi, owładają je, i nadają im swój kierunek.

# O PIORUNACH.

PODŁUG Fr. ARAGO.

PRZEZ

*Józefa Sapalskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

### Wpływ piorunu na metale.

Ze wszystkich własności uderzającego piorunu, bez wątpienia są najważniejsze te, które udzielają się najprzód metalom odkrytym lub ukrytym w blizkości przebiegającego meteoru, a przytém własności, które zrządzają znaczniejsze szkody tam szczególnie, gdzie piorun przenika massy metalu, lub téż w chwili kiedy je opuszcza. Postanowiliśmy więc uzasadnić to zdanie licznemi postrzeżeniami, które pod względem rozmaitości zjawisk, nie powinny obudzać najmniejszéj wątpliwości.

W nocy z d. 17 na 18 lipca 1767 r., piorun uderzył w dom przy ulicy *Plumot* w Paryżu, przebiegł jego wszystkie wewnętrzne zabudowania, a chociaż mnóstwo znajdowało się ram w mieszkaniu, dotknął jedynie te, które były złocone. Latarnia blaszana i dwie butelki szklane, stały na jednym stole; latarnia została

w części stopiona, dwie zaś butelki zupełnie nietknięte. W drugim pokoju piorun połamał patelnię żelazną na kilka części; innéj nie dostrzeżono szkody. W trzecim pokoju drewnianą szkatułkę z narzędziami żelaznemi połamał; na narzędziach były wyraźne ślady stopienia. Pomimo wszystkich poniszczonych sprzętów metalowych, nie zapalił pół funta prochu, który był w otwartym rogu wiszącym na ścianie.

W *Neapolu* d. 15 marca 1773 r., piorun wpadł do mieszkania *Lorda Tylnej*, w chwili kiedy u niego było wielkie zgromadzenie, składające się najmniéj z 500 osób. Nazajutrz *Saussure* i *Hamilton*, którzy obecni byli temu wypadkowi, przekonali się, że wszystkie ozdoby, gzymsy sufitów, szlaki obić papiérowych, rozmaite części złocone krzeseł, sofy i drzwi, oraz taśmy przy dzwonkach, zostały stopione, zczernione i poskracane, czyli pokurczone. Podobne zdarzenia powszechnie dają się postrzegać tam, gdzie tylko meteor znajduje przerwę. Piorun, który może stopić drut od dzwonka, jest w stanie zabić człowieka. Nadmieniamy przytém, że żadna z osób nie została zranioną; służącemu tylko, który siedział na schodach z opartą głową na ścianę, piorun osmalił włosy. Ztąd pokazuje się, że meteor przebiegając szereg dziesięciu salonów, z których składało się mieszkanie *Lorda Tylnej*, wpływał w całości na ozdoby i części metaliczne. Skutki te rzeczywiste i charakterystyczne upoważniają teraz do przykładów, które nam wskażą zdarzenia, gdzie piorun zwrócił się widocznie z swéj drogi piérwotnéj, celem uderzenia w massy metaliczne, położone za murem dość grubym.

Piorun uderzywszy w pręt żelazny wznoszący się nad domem p. *Ruven* w *Karolinie* (Stany Zjednoczone), spły-

nął na drut mosiężny, stanowiący związek między prętem żelaznym, a drążkiem z takiego samego metalu wpuszczonym w ziemię. Piorun stopił całą część drutu rozciągającą się między dachem a piérwszém piętrem, bez uszkodzenia muru, do którego przytykał drut. Począwszy od piérwszego piętra, meteor zmienił kierunek, gdyż do saméj ziemi drut nie został stopiony. W punkcie tym gdzie drut przestał topić się, piorun zrobił bardzo széroki otwór w murze i wpadł do kuchni. Przyczyna tego szczególnego zboczenia pod kątem prostym, przestała być tajemnicą; spostrzeżono bowiem, że otwór w murze zupełnie był w tym samym kierunku gdzie broń palna wisiała; lufa téj broni w niczém nie była uszkodzoną, osada tylko została zupełnie strzaskaną, i opodal komin nieco zrujnowany.

Wypadek którego wyjaśniliśmy wszelkie okoliczności, prowadzi do dwóch następstw głównych. Najprzód, materya piorunowa jakiejkolwiek natury którą przyciągają metale, może wywiérać działanie przez grubą massę muru. Powtóre, ilość massy metalicznéj wpływa także na piorun, ponieważ w okoliczności przytoczonéj, meteor opuścił drut cienki, a przeniósł się na metal grubszy, chociaż cokolwiek oddalony i zasłoniony ścianą.

W roku 1759 kiedy oddział wojska, który prowadził z *Fort-Royal w St. Pierre* kapitana angielskiego *Dibden*, jako więźnia wojennego do *Martyniki*, schronił się od dészczu pod murem kapliczki bez wieży i dzwonu; gwałtowny piorun zabił dwóch żołniérzy i obok ofiar przebił w murze otwór na trzy stopy széroki. Po ścisłém zbadaniu pokazało się, że wewnątrz kaplicy, na część zburzonego muru, przy którym stało dwóch żołniérzy, oparte były drągi żelazne, przeznaczone do podnoszenia na-

grobków. Ci zaś, którzy w oddaleniu byli od miejsca gdzie znajdowały się przedmioty metaliczne, nie doznali najmniejszego zranienia.

W dniu 10 czerwca 1764 r. niezmiernie gwałtowny piorun dosięgnął piękną dzwonnicę w *Saint-Brides* w Londynie, i zrządził znaczne uszkodzenia, które natychmiast zostały zbadane i opisane przez *Williama Watson* i *Edwarda Delaval.* Przytoczymy tu wypadki, szczególnie te, które są najciekawsze. Najsamprzód, piorun uderzywszy w chorągiewkę dzwonnicy, spłynął po drągu żelaznym stykającym się z kamieniem ciosowym grubym, który stanowił podstawę szczytu wieży. Drąg ten średnicy 2 stopy angielskie (5 centym.), a długości 20 (6 metr.), wbity był na 5 stóp (12 centym.) w środek podstawy z kamienia ciosowego i zlutowany ołowiem, tak, że drąg i kamień stanowiły jednę całość. Cóż zdziałał piorun na szczycie wieży *St. Brides?*... poczernił pozłotę w punkcie najwyższym krzyża miedzianego przewyższającego wieżę; stopił tu i owdzie zlutowanie na krzyżu, a spływając po drągu żelaznym długim na 20 stóp angielskich, nie pozostawił żadnego wyraźnego śladu, ani na żelazie, ani na obmurowaniu. Lecz gdy piorunowi zabrakło metalu, dopiéro prawdziwe zburzenie rozpoczęło się: wielki kamień ciosowy, o którym już mówiliśmy, okazywał widoczne ślady gwałtownego wstrząśnienia; cokolwiek wyżéj nad kamieniem, zrobił otwór w ścianie dość szeroki. Następnie zaczął przeskakiwać w różne miejsca, tojest tam, gdzie były ankry lub drągi żelazne; co większa, nie ograniczał się na samych metalach odkrytych: wmurowane sztaby żelaza spajające kamienie ciosowe, nie uniknęły potężnego wpływu meteoru. Kamienie rozbite, starte, poruszone, a przy koń-

cach sztab wyrwane, były rzucone opodal od budowli. W innych częściach zabudowania szkody były nieznaczne albo prawie żadne. Zdaje się, że piorun nie mógł inaczéj wymknąć się z końców mass żelaznych, które dosięgnął, jak tylko przez gwałtowne usiłowanie niszcząc wszystko wokoło.

Własność materyi piorunowéj spływania w wielkiéj ilości na metale nawet zakryte grubemi massami kamienia lub muru, wielce jest zajmująca, nadewszystko pod względem urządzania konduktorów. Dodamy więc jeszcze inne wypadki do poprzedzających.

Mówiliśmy już o piorunie wcale nieszkodliwym, kiedy przebiegał po drągu żelaznym, ale jak spłynął w koniec drąga, okazał swe skutki przez zrujnowanie mass kamiennych, które ten drąg otaczały. Kamienie zerwane, starte, potrzaskane, przedstawiały istny obraz zburzenia. Czyż podobne wypadki dostrzeżono na innych ciałach ziemskich? Czy znajdują się ciała, przez które piorun może przebiedz wychodząc z metalu, bynajmniéj je nie rujnując? Ziemia zwyczajna może miéć miejsce między podobnemi ciałami?

Kiedy pręt żelazny w który piorun uderza, utkwiony jest w ziemię, dwa wypadki są do rozważania. Jeśli ziemia jest sucha, piorun spływając z pręta nie przenika ją spokojnie, lecz przez gwałtowne wzruszenie, które zauważyliśmy na kamieniach ciosowych i obmurowaniu; przeciwnie, kiedy ziemia jest dobrze zwilgocona, wszystko się odbywa bez wstrząśnienia mechanicznego i bez szkody. Ziemia wilgotna i dla pewnych przyczyn woda czysta, dają przejść nieznacznie materyi piorunowéj, spływającéj po prętach żelaznych, mających związek z ziemią. W takim razie ziemia wilgotna albo

woda, stanowią że tak powiém, przedłużenie pręta żelaznego. Przytoczymy kilka wypadków na poparcie tych twierdzeń.

W dniu 28 sierpnia r. 1760, piorun uderzył w pręt żelazny umieszczony na mieszkaniu p. *Maine* w Stanach Zjednoczonych i stopił go w części. Pręt wchodził w ziemię, ale nie głęboko; warstwa jéj około pręta była trochę wilgotna. Meteor wszelako nie spłynął w ziemię, bez wstrząśnienia; porobił w niéj otwory, poruszył ją i rzucił się w części na fundamenta domu, które cokolwiek zrujnował.

Nietylko skutki mechaniczne piorunu mogą wskazać, że pewna część ziemi nie jest wilgotną, przez co nie ma dostatecznéj własności pochłonienia z prętów metalowych materyi piorunowéj, która po nich spływa; ale także i światło prowadzi często do podobnych wypadków. Jakakolwiek długość prętu metalicznego, grubego od 3 do 4 centymetrów w kwadrat, zawsze przenosi najgwałtowniejszy piorun do wnętrza ziemi, z warunkiem, jeżeli ta ziemia, jak już mówiliśmy, wilgotna jest i żadne światło nie dochodzi wewnątrz; przeciwnie, jeśli ziemia jest sucha, natenczas w chwili wybuchu, pręt pokaże się jaśniejącym. Zmoczcie tylko samą powierzchnią ziemi, a ta sama powierzchnia będzie cała w ogniu, czyli raczéj jaśniejąca. W *Filadelfii* na budynku p. *West* podczas dészczu, kiedy piorun uderzył w pręt żelazny, którego koniec dolny wpuszczony był na 1 metr i 5 milimetrów w ziemię zupełnie suchą, bruk pokrył się światłem, zajmującém przestrzeń około pręta na kilka metrów.

**Kiedy powietrze oznacza burzę, jednocześnie w łonie ziemi i wód panuje wzburzenie.**

Pisał *Davini* do *Vallisneri*, że dostrzegł blizko *Modeny* jakoby wytrysk, którego wody w czasie pogodnym były przezroczyste, stawały się mętne, kiedy niebo pokryło się chmurami. Nie wiadomo czy spostrzeżenie to, zostało późniéj sprawdzane; wszakże w każdym razie *Vallisneri* nie powątpiewa o niém. Dodaje on, jako wypadek z własnych swych obserwacyj, że salsy: *Zibio*, *Querzola*, *Cassola* i t. p. w księztwie *Modeny*; oraz solfatary (1), przepowiadają burzę; co mówię, nawet nim się utworzą chmury, a to przez pewien rodzaj *wrzenia* i przez odgłos podobny do grzmotów, niekiedy także przez istotne podziemne uderzenia piorunu.

*Toaldo* przytacza dwa podobne zjawiska, o których przekonał się osobiście. „Między pagórkami *Vicentin*, mówi on, blizko kościoła parafialnego *Molvena*, jest wytrysk nazwany przez tamtejszych mieszkańców *bifoccio* (podwójny), rzeczywiście obejmujący dwa źródła. Gdy się na burzę zanosi, wytrysk ten, nawet po długiéj suszy, nawet w epoce kiedy zupełnie wyschnie, raptem napełnia kanał szeroki wodą bardzo mętną, rozlewającą się po dolinach sąsiednich. O dwie mile od źródła *bifoccio*, blizko parafialnego kościoła *Villaraspa*, na dziedzińcu *Józefa Pigati* w *Vicence*, jest studnia głęboka, w któréj woda przed burzą do tego stopnia kotłuje i huczy, iż mieszkańców okolicznych przeraża.

(1) *Salsy* i *solfatary* jestto rodzaj wulkaników. Pierwsze wybuchają gazem wodorodnym, a niekiedy wyrzucają kamienie; drugie tojest *solfatary*, wybuchają zawsze samą siarką. *Pliniusz* także o tych samych wulkanikach wspomina.

Sądzę, iż stosownie tu będzie nadmienić o hurkocie podziemnym, który słyszą w czasie burzy mieszkańcy osiedli blizko wielu otworów naturalnych, zkąd sławne jezioro *Zirknickie* peryodycznie napełnia się i wysycha. *Valvasor* mówi, że dwa z tych otworów noszą imiona: *Velka* i *Mala Bobnaza*, tojest w języku illiryjskim *wielki* i *mały bęben*. Ze słów tych należy wnosić, że turkot podziemny rzeczywiście tam się powtarza. A więc podobny odgłos jestże tylko prostém zjawiskiem akustycznem, następstwem echa? czyli też pochodzi z pewnego rodzaju wewnętrznéj burzy, któréj byt zależy od burzy atmosferycznéj? Powiém prawdę, iż naturaliści dotąd zaniedbali wyrzec w tym przedmiocie coś zadawalającego; a jednak częstokroć szukają w oddaleniu, w innéj sferze przedmiotów dla wzbogacenia nauki, tysiąc razy mniéj zajmujących jak te, o których dotąd mówiliśmy.

Dziennik *Brugnatelli* naucza nas, że w dniu 19 lipca 1824 roku w trakcie burzy, wody jeziora *Massaciuccoli* w okolicach *Lucki*, stały się białe i pieniące jakby rozpuszczono w nich wielką massę mydła. Stan taki wody trwał jeszcze dwudziestego. Nazajutrz mnóstwo ryb śniętych znaleziono na brzegach. Nie jestże to wskazówką jakiegoś wpływu podziemnego, który w czasie burzy d. 19 lipca widocznie wywarł swe działanie w głębi szlamu jeziora?

Historycy i meteorologowie przytaczają miejscowe wylewy, których skutki zdają się być większe od tych, jakie sprowadza niekiedy ulewny dészcz. Zdarzało się często, po większym lub mniejszym upływie czasu po burzy, widzieć niezmierne massy wód wypływające z otworów ziemi przedtém nieznanych, jak niemniéj,

że gwałtowna burza nie poprzedzała zjawiska; a jednak rzeczywiście stała się piérwszą jego przyczyną. Takim był co do joty, naprzykład w czerwcu 1686 r. wypadek, który spustoszył prawie dwie wsie *Ketlevell* i *Starbotton* w hrabstwie *York* w Anglii. W trakcie burzy, niezmierna rozpadlina utworzyła się w górze sąsiedniéj i jak utrzymują naoczni świadkowie, massa wody, która się ztamtąd z gwałtownością wydobyła, więcéj zrządziła nieszczęść na jakie narzekano, jak kiedykolwiek ulewny dészcz.

Moglibyśmy wymienić mnóstwo podobnych wypadków, lecz z natury swéj wzbudzają one jakieś powątpiewanie, jakiś rodzaj podejrzenia; ograniczymy się zatém na jedném przytoczeniu, za które ręczy powaga naturalisty *Beccaria*.

„W październiku 1755 r. gwałtowny wylew zrządził niezmierne spustoszenia w dolinach Piemontu. Rzéka *Po* wylała. Klęskę poprzedzały, jak się wyraził znakomity Włoch, *orrendi tuoni* (przerażające grzmoty). Sprzysiężonemu żywiołowi na szkodę ludzką, głównie dopomógł niezmierny bałwan podziemnéj wody, który w jednéj chwili w trakcie burzy wydobył się z łona gór, przez otwory przedtém wcale niewidziane".

Kruszenie się to miejscowe pokrywy kuli ziemskiéj, nie byłoby nadzwyczajne, gdyby zostało dowiedzione, że w czasie burzy, podziemna woda usiłuje połączyć się z wodą dészczową, i że to usiłowanie objawia się przez owo, że tak powiém, silne i wyraźne wzdymanie się. Oto jest właśnie co wypływa z dokładnych dostrzeżeń, czynionych na pokładzie pakebotu *New-York* w kwietniu r. 1827. W chwili, kiedy szumiała burza około tego statku, morze ciągle było w tak wiel-

kiém wzburzeniu, iż można było mniemać, że na dnie jego otwarły się straszliwe wulkany. Nadewszystko widziano trzy kolumny wody wzbijające się w powietrze, które spadając pieniły się, wznosiły i znowu spadały.

Jest w *Mont-d'Or* w *Auvergne* bardzo starożytny gmach, wpośród którego znajduje się studnia kamienna z jednolitéj massy, którą nazywają *wanną (la cuve) Cezara*. Trzyma ona jeden metr szérokości, a 12 decimetrów głębokości. Dno jéj wydrążone jest w dwóch miejscach, przez które dwiema kolumnami wytryskając woda z wnętrza ziemi, wre, czyli inaczéj mówiąc, wydaje odgłos przez odbijanie się. Odgłos ten uważany często przez doktora *Bertrand* znacznie powiększa się, kiedy czas zapowiada burzę. Sami mieszkańcy tamtejszych dolin przepowiadają z odgłosu źródła *Cezara*, nastąpić mającą burzę. „Znak ten, mówią oni, nigdy nas nie zawiódł!" Podobne zjawisko zasługuje, ażeby go badać starannie.

Niemniéj jest także godném troskliwego badania, celem wzbogacenia wiedzy ludzkiéj, że butelki jak *Berzeliusz* powiada dobrze zakorkowane, zawiérające w sobie wodę nasyconą kwasem węglowym, w czasie burzy pękają daleko w większéj ilości, niż butelki ze zwyczajną wodą podobnież zakorkowane. Wszelako potrzeba tu mieć na względzie drganie przypisywane szkłu w chwili uderzenia piorunu i dowieść, że owe drganie wcale nie wpływa na skutki, jakie dostrzegł znakomity chemik szwedzki.

Sławny *Duhamel du Monceau* powiada, że błyskawice bez grzmotu, bez wiatru, bez dészczu, mają własność łamać kłosy owsa. Wieśniacy także przyznają, że błyskawice obalają owies. W dniu 3 września 1771 r.

*Duhamel* sam był świadkiem podobnego zjawiska w okolicach zamku *Denainvilliers* obok *Pithiviers*. „Nad ranem dnia 3 września, mówi on, błyskawice ukazywały się dość często, poczém w kilka godzin znaleziono połamywane wszystkie kłosy dojrzałe z piękném ziarnem. Wpół dojrzałe zostały nietknięte."

Również *Duhamel* ogłasza za rzecz niewątpliwą, że błyskawice wpływają na zboże koloru czarnego, jak naprzykład tatarkę, wtenczas szczególnie, kiedy ta kwitnie. Oto jest rzeczywisty wypadek wywartego wpływu na rośliny przez powietrze oznaczające burzę; za ten wypadek ręczą redaktorowie *Bibliothèque Britannique de Genève*, i w ten sposób jeden z nich opisuje, który był naocznym świadkiem: „W miesiącu maju roku 1795, obdziérano korę z dębów na wzgórzu o mil dwie od *Genewy*. Czynność podobna, może mieć miejsce wówczas tylko, kiedy pora roku, czyli raczéj, kiedy sok krążący między drzewem a korą, oddziela korę od drzewa, przez co z łatwością można ją obedrzéć. Nadto wieśniacy jeszcze mają wzgląd na stan powietrza, które także wpływa na łatwe zdejmowanie jéj. Pewnego dnia, kiedy wiatr dął od północy i niebo było pogodne, kora odejmowała się z wielką trudnością; ale po południu, jak niebo okryło się na zachodzie chmurami, przytém zaczęło grzmieć, w téj saméj chwili, z wielkiém zadziwieniem obecnych, kora na drzewie wzniosła się, jeśli wolno tak wyrazić się, bez pomocy ręki ludzkiéj". (*Bibl. Brit.* T. II, str. 221).

Pokrywamy milczeniem mnóstwo zdań o własności piorunu, wówczas nawet, kiedy nie uderza. Piorun, powiada wielu, zsiada mléko, kwasi wino, przyspiesza gni-

cie mięsa i t. d. (1). Nie wiém o doświadczeniach i obserwacyach dokładnych, któreby mogły ustalić podobny wpływ grzmotu lub piorunu. Opinia jednomyślna kucharek, kupców win, rzeźników i t. p., może tylko usprawiedliwić wątpliwość, lecz nie stanąć za dowód.

**Czasem bywają grzmoty bez widocznych błyskawic, kiedy atmosferyczne burze nadają pewnéj przestrzeni ziemi, stan nadzwyczajny.**

Lubo jeszcze w starożytności, a szczególnie w *Etruryi* mniemano, że z ziemi uderzają pioruny, które podziemnemi nazywano (*Pliniusz* ks. II, § LII); jednakże w naszych czasach wiadome jest tylko jedno dostrzeżenie, które usprawiedliwia rzetelny i stanowczy opis. *Brydone* zebrał ze starannością tak pilną, tak światłą wszystkie okoliczności, że wątpliwość pod względem następstw, jakie ze skutków wypływają, nie powinna być nawet przypuszczaną.

W dniu 19 lipca 1785 r. między godziną 12stą a 1szą, powstała burza w sąsiedztwie *Coldstream*. Podczas trwania jéj, wydarzyło się w okolicznéj wiosce mnóstwo przypadków godnych uwagi:

Kobiéta, która żęła zboże nad brzegami rzeki *Tweed*, raptem upadła na wznak, zawołała natychmiast swe towarzyszki i opowiedziała im, że doznała najgwałtowniejszego uderzenia pod nogą, nie wiedziéć w jaki spo-

(1) Czytamy w dziele *Nowe Ateny* przez księdza *Benedykta Chmielowskiego*, że piorun wysusza wino nie naruszywszy beczki; o czém wspomina także *Pliniusz* (ks. II, § LII). O szczegółach podobnego zjawiska, powiemy w dalszym ciągu.

sób. W téj chwili nie było na niebie ani błyskawic ani grzmotów.

Pasterz z wioski *Lennel-Hill* ujrzał o kilka kroków od siebie upadającą owcę, która przed chwilą była zupełnie zdrowa. Pobiegł ją podnieść, lecz znalazł już nieżywą. Burzy jeszcze wcale nie było.

Dwa wozy naładowane węglem ziemnym, przy których znajdowało się dwóch ludzi siedzących z przodu na małéj ławce, przejechawszy rzekę *Tweed*, dosięgali pagórka; wtém raptem usłyszano w blizkości mocny wybuch, podobny do jednorazowego strzału z wielu karabinów, bez żadnego przeciągłego hurkotu. W téj chwili jadący z tyłu ujrzał przy wozie poprzedzającym konie i towarzysza na ziemi..... Woźnica i konie były bez życia!

Rozbierzmy szczegółowo zdarzenie to: Drzewo wozu było mocno uszkodzone, tam nadewszystko, gdzie znajdowały się gwoździe i klamry żelazne. Węgle porozrzucane około wozu, mógłby kto sądzić, że były niejaki czas w ogniu. W ziemi zrobiły się dwa otwory, szczególnie tam, gdzie koła przechodziły. Jeszcze w pół godziny po wypadku z otworów tych dawał się czuć zapach podobny, jak *Brydone* twierdzi, do eteru. Dwie obręcze żelazne wbite na dzwona kół, okazywały widoczne ślady topienia się, jedynie w dwóch częściach dotykających ziemi w chwili zjawiska. Sierść na koniach była spalona, szczególnie na nogach i pod brzuchem. Po rozpatrzeniu miejsca gdzie te zwierzęta leżały, można było wnosić, że padły już nieżywe jak massy bezwładne, niedoświadczywszy żadnego drżenia konwulsyjnego. Ciało nieszczęśliwego woźnicy przedstawiało tu i owdzie ślady opalenia. Jego odzież, koszula i kapelusz zostały podziura-

wione i podarte w kawałki, przytém wydawały mocny wyziew *eteryczny*.

Oto są niezaprzeczone skutki uderzenia jakby zwyczajnego piorunu. A więc grom nie był poprzedzony żadną błyskawicą, żadném zjawiskiem światła, co stwierdza drugi woźnica, który przed chwilą wypadku rozmawiając z swym towarzyszem i nie znajdując się w oddaleniu więcéj jak na 20 metrów, widział go upadającego, a nie spostrzegł najmniejszego światełka. Możemy także odwołać się do świadectwa pasterza z wioski *St. Cuthbert*, który oświadczył p. *Brydone*, że śledząc okiem dwa wozy kiedy wypadek nastąpił, dobrze widział upadające konie i człowieka wśród tumanu, lecz żadna błyskawica, żaden ogień nie ukazał się. Dodamy nakoniec, że *Brydone* w chwili wydarzenia, kiedy stał w otwartém oknie, pokazując kilku osobom z towarzystwa, jakim sposobem podług zégarka z sekundami można oznaczyć odległość chmur od ziemi, za pomocą obrachowania czasu upłynionego od ukazania się błyskawicy, a odgłosem grzmotu; usłyszał łoskot piorunu bynajmniéj niepoprzedzony błyskawicą (1).

Wielka susza panowała długi czas w kraju przed wypadkiem tym, tak zadziwiającym.

(1) Na *Zante*, jednéj z wysp *Jońskich*, młody Grek, mieszkaniec tamtejszy, uderzony został jak *Achilles* w piętę piorunem z ziemi. Iskra piorunowa przeszła od pięty aż do ramienia, a przestrzeń ciała po któréj przebiegła, zupełnie zczerniała. Otwór, przez który iskra przeszła, był niewielki, a skóra około niego spalona i miejscami zdarta. Lecz godném jest w najwyższym stopniu uwagi, że około dziurki na ramieniu wpośród zczerniałéj skóry, widocznych było sześć dokładnie okrągłych miejsc ciała zdrowego, nietkniętego i naturalnego koloru. Kółka te wszakże nie były jednakowej wielkości, oraz ułożone w kształcie wieńca lub koła otaczającego otwór wyjścia iskry piorunowéj, i doty-

**Burza udziela ziemi światło, które natychmiast znika po wybuchu mniéj więcéj gwałtownym.**

Gdybyśmy zaprzeczali słowom ze wszelką szczerością oświadczonym przez p. *Maffei*, w takim razie postąpilibyśmy wbrew słuszności. W liście pisanym przez niego w dniu 10 września 1713 r. do *Vallisnieri*, donosi on, że zatrzymawszy się w zamku *Fosdinovo* w okręgu *Massa-Carrara*, podczas burzy i dészczu ulewnego, przyjmowany był przez gospodynią domu w sali portretowéj, gdzie wraz z markizem *Malaspina*, nagle ujrzeli ukazujący się na posadzce ogień (*un fuoco*), niezmiernie żywy, którego światło było błękitnawe. Ogień ten ruchliwy, ale jakby utkwiony w jedno miejsce, rozprzestrzeniwszy się znacznie, znikł tak nagle, jak nagle powstał. W chwili zniknięcia, *Maffei* uczuł szczególne uderzenie w łopatce, przytém gips oderwany od sufitu, spadł mu na głowę; nakoniec usłyszał trzask, który nie był podobny do hurkotu zwyczajnego piorunu. (*O elektryczności* przez *Beccaria*, tłumaczył *Jundziłł* w r. 1786).

kały się brzegami jedne drugich, które podobieństwo miały do odcisków monet rozmaitéj wielkości. Z zadziwieniem lekarza *Dikopulko* i urzędnika *Lando* delegowanych na miejsce wypadku do obejrzenia trupa, znaleziono w płóciennym pasie zabitego piorunem, sześć monet złotych, owiniętych papierem, i tak: jeden hiszpański pistol, trzy gwinee i dwie pół-gwinee. Po przyłożeniu tych monet do krążków zdrowego ciała będących na ciele, okazało się, że wielkość ich i porządek w jakim były zawinięte, odpowiadały wielkości i porządkowi krążków. Złoto i papiér nie zostały bynajmniej tknięte piorunem. Niedocieczone dotąd działanie to meteoru, działanie, które nie uszkodziło form monet, będących na zewnątrz drogi przebiegania strumienia, ale odbiły się na drugiéj stronie ciała jakby w zwierciadle. Wypadek ten opisany protokularnie, został stwierdzony przez naocznych świadków. (Библіотека для Чтенія, г. 1847).

Czyż nie wypada policzyć meteoru jaśniejącego i wybuchu w *Fosdinovo* do zjawisk piorunowych? *Maffei* także wspomina w liście do *Apostolo Zeno*, że w dniu 26 lipca 1731 roku w *Casalaone*, przed uderzeniem piorunu, który z hukiem podobnym do strzału armatniego, dosięgnął główną wieżę, zerwał na niéj tarczę herbową godło miasta i zrzucił pewną liczbę kamieni ciosowych; w bardzo małéj odległości od ziemi, ukazał się na placu wielki ogień (*gran fuoco*). Ponieważ zdarzenie to, stało się nie przy świadku znanym z nauki, a jedynie oparte na zeznaniu mieszkańców *Casalaone*, a zatém *Maffei* dodał jeszcze drugi podobny wypadek. Ksiądz *Girolamo Lioni da Ceneda*, opowiadał mu, że widział na swoje oczy, jak na dwa łokcie od ziemi wznosiły się płomienie nadzwyczajnie jaskrawe, które równocześnie ze zniknięciem wydały odgłos przerażający.

Przejdźmy do postrzeżeń autora *Historyi Naturalnéj* o *powietrzu* i *meteorach*, które niemniéj są szczegółowe. „W dniu 2 lipca 1750 roku, mówi *Richard*, znajdując się o 3ciéj godzinie po południu podczas burzy w kościele *Śgo Michała* w *Dijon*, widziałem jak w jednéj chwili ukazał się między dwoma piérwszemi filarami nawy, płomień różowy dość żywy, który utrzymywał się w powietrzu o trzy stopy od podłogi. Płomień ten powiększając się w objętości, wzniósł się wyżéj na 12 lub 15 stóp, gdzie rozproszył się, wydając odgłos podobny do huku armatniego". (*Histoire Natur. de l'aire et des météores* T. VIII, s. 291).

Zjawisko które zaraz przytoczymy, dowodzi także, że przez wpływ burzy, płomienie mogą się utworzyć w łonie wód i ztamtąd dopiéro ukazać się. *Pliniusz* pisze, iż widziano jezioro *Trazymeńskie* płomieniami okryte.

W nocy z 4 na 5 września 1767 roku, podczas gwałtownéj burzy, dzierżawca stawu blizko *Parthenai* w *Paiton* (we Francyi) widział jak staw pokrył się na całéj rozległości światłem tak gęstém, iż zakryło zupełnie wodę. Nazajutrz wszystkie ryby pływały zśnięte po powierzchni stawu.

Naostatek zdaje się, że wielkie meteory jaśniejące i podobnéj natury co piorun, tworzą się czasem na powierzchni kuli ziemskiéj, wtenczas nawet, kiedy stan nieba nie oznacza burzy. Na dowód, przytoczymy w treści podobne zjawiska na lądzie i morzu.

W dniu 11 czerwca teraźniejszego roku, widziano w Astrachanie rossyjskim o godzinie 8 w wieczór, kiedy termometr oznaczał 20° ciepła w cieniu, wpośród pogodnego nieba, jak cały horyzont nagle jakby ogniem bengalskim rozwidnił się, a świetny meteor w postaci racy przeleciał ze wschodu na zachód, sypiąc gęste białawe iskry. Przestrzeń nad poziom wyniesiona na 40° zamieniła się w pas błękitny, godzinę widzialny, który rozszedł się następnie w kształcie chmurki popielatéj. Osoby przytomne temu zjawisku, słyszały huk głuchy jakby wystrzały *rac* w oddaleniu (1). (*Kuryer Warszaw.* nr. 188, r. 1848 i *Jour. de St-Petersbourg* nr. 572).

W dniu 4 listopada 1764 roku, pod 42° 48' szérokości północnéj, a $11^{01}/_{3}$ długości zachodniéj względem południka paryzkiego, na kilka minut przed dwunastą zrana w czasie pogodnym, kula ognista niebieskiego ko-

(1) Między innemi cudami, powiada *Pliniusz*, w czasie spisku *Katyliny* zdarzonemi, wśród pogodnego dnia, piorun zabił *M. Hereniasza Dekuryona* w mieście municypalném *Pompei* (*H. N.* k. II, § LII). Taki sam wypadek miał miejsce w Anglii w parafii *Bickly* w r. 1657. (*Prognostyk zły czy dobry komety* r. 1769 i 1770 str. 116, przez *Bohomolca*).

loru, wielka jak kamień młyński, kręcąc się nizko nad morzem, chyżo posunęła się ku okrętowi angielskiemu *Montague*; w niewielkiéj odległości od okrętu wzniosła się w górę do pewnéj wysokości nad statek, gdzie uderzyła w maszt, z łoskotem podobnym do strzału jednorazowego z kilkuset armat. Wielki maszt potrzaskał się w drobne kawałki, a pięciu majtków padło na pomost bez zmysłów, z których jeden został nieznośnie popalony. Zjawisko to własności piorunowéj, wydało wyziew siarczany, który rozszedł się po całym okręcie. Grube żelazne gwoździe wyrwane z rozmaitych części okrętu, rzucone były z taką siłą na pokład, w który uwięzły, iż trudno było je wydobyć obcęgami.

Sławny doktor *Robinson d'Armagh* udzielił p. *Arago* wiadomość o zjawisku świetlném bardzo ciekawém i godném uwagi, zjawisku spostrzeżoném na wodach, wtenczas, kiedy żadnych śladów zapowiadających burzę nie było.

Major *Sabine* i kapitan *James Ross* powracając w jesieni z piérwszéj wyprawy północnéj, znajdowali się jeszcze na morzu *Grenlandzkiém*. Podczas jednéj nocy jak zwykle w téj strefie ciemnéj, kiedy wezwał ich na pokład oficer, spostrzegli dziwne zjawisko; było to światło przed okrętem, wznoszące się nad powierzchnią wód do znacznéj wysokości; niebo wszędzie zdawało się być czarne jak smoła. Nie było w téj przestrzeni morza żadnego widocznego niebezpieczeństwa. Kiedy okręt przebywał przez środek jaśniejącego punktu, wszyscy obecni pozostawali w największéj cichości, przypatrując się temu zjawisku z wielkiém zajęciem. Widziano w téj chwili oświecone najwyższe części masztu, żagli i lin; meteor zdawał się miéć 400 metrów rozległości. Gdy

okręt wyszedł z tego światła, znowu pogrążył się w największą ciemność; żadne stopniowanie światła nie dało się dostrzedz, a lubo okręt dość oddalił się od punktu świecącego, widziano jednak jeszcze czas niejaki światło.

Ażeby uniknąć mylnych wniosków pod względem wyjaśnienia podobnego zjawiska, powtórzymy tu piękne słowa *Pliniusza*: „Jest ono jeszcze ukryte w wspaniałéj przyrodzie" (1).

*Treber* vice-dyrektor kopalni w *Zellerfelde* w okręgu *Harckim*, między innemi osobliwościami piorunu, powiada że „w dniu 5 września 1784 r. podczas mgły naprzemian z deszczem gwałtownym, a przytém wielkiego zimna, o godzinie 9 w wieczór ukazało się zjawisko jedno z najciekawszych, które przestraszyło wielu ludzi, chociaż nikomu nic nie zaszkodziło. Niebo zupełnie było pokryte chmurami gęstemi, które wiatr pędził; wtém około godziny 10téj doniesiono mi, że ku *Bruchbergowi* na południe widać ogień na niebie. Jakoż w rzeczy saméj widziałem od zachodu najprzód blade płomienie, jakie bywają podczas zorzy północnéj, tylko że się daléj ku ziemi rozciągały; rozjaśniały się one coraz bardziéj i zbliżały, tak, że w oka mgnieniu cały mój dom był w takiéj jasności, iż najdrobniejsze rzeczy mogłem widzieć na ulicy. Jasność ta podobna do błyskawicy, trwała kilka minut, poczém oddaliła się w stronę na 400 kroków, gdzie długo jeszcze ją widziałem, a przypatrując się wygodnie, zdumiéwałem się nad zjawiskiem

(1) Ognie nadpowietrzne w kształcie *rac*, *puklerzy*, *pochodni*, *bąb*, *księżyca*, a nawet w tak wielkim jak koła od wozów i jeszcze większe, opisane są porządkiem lat w dziele: *Prognostyk zły czy dobry komety* w r. 1769 i 1770, przez *Bohomolca*. Mówi o nich także *Pliniusz* w księdze II.

tak pięknem i okazałém, które trudno opisać. Zajmowało ono przestrzeń wokoło 20 kroków i świeciło nadzwyczajnie jasno. Przy ziemi było największe światło, mające barwę prawie pomarańczową, wyżéj wydawało się coraz bledsze, oświecając mgłę unoszącą się z ziemi. W takim stanie zjawisko trwało przez dwie godziny, nareszcie usunęło się za domy, przez co nie mogłem je widzieć. Po kilku minutach znowu ujrzałem to samo światło posuwające się ku południowi, które w pół godziny zbladło, zaczerwieniło się, rozszerzyło i znowu skupiło, gdy chmury zbliżyły się do niego. Stan taki trwał do godziny piérwszéj po północy, wśród deszczu rzęsistego. (*Magazyn Warsz.* część II z r. 1784).

„Zdarzenie jakie tu mamy opisać, mówi ksiądz *Switkowski* redaktor *Magaz. Warsz.*, pochodzi wprawdzie od jednego, który nie jest fizykiem, jednak zapewniamy, że podanie jego nie było skutkiem próżnéj lub uprzedzonéj wyobraźni. Pominął on niektóre ważne okoliczności, wszelako nie jestto jeszcze tak źle, jak żeby inne przydał ze swéj głowy, co wielu dostrzegaczy chcąc zawsze wszystko widzieć, dodaje często takie rzeczy, które im się tylko przewidują. Ale niech będzie co chce, następujące podanie pochodzi od jednego naocznego świadka: —„Kiedy wychodziłem z lasu, powiada on, niebo nad głową było trochę zachmurzone; wtém postrzegłem jakby krzaki poziomek, ale jak przypatrzyłem się bliżéj, poznałem, że zamiast poziomek, podnosiły się tu i owdzie, prawie na pół łokcia od ziemi, małe śpiczaste płomyki. Zaraz na niebie zaczęły zbiérać się chmury. Znajdując się już prawie na ćwierć mili od miejsca, gdzie te płomyki widziałem, spostrzegłem znowu płomień, który wznosił się

od ziemi do połowy drzew wielkich, a przytém i chmurę spuszczającą się ku wierzchołkom drzew. Wnet usłyszałem za sobą kilka piorunów".... „Drugi przykład, daléj mówi redaktor *Magazynu*, który widział i na swoje oczy opisał sławny *Fortis*, był taki: kiedy grzmiało potężnie w oddaleniu, a chmura posuwała się i rozszerzała stopniowo, nagle ukazał się płomień podnoszący się z ziemi i rozciągający się blizko na 150 sążni; światło jego było nieco błękitne i niebardzo jasne, przytém nie podnosiło się wysoko, nie poruszało się od wiatru i nie wydawało żadnego dymu. *Fortis* wnosił, że to musiał być fenomen elektryczny. W stronie téj gdzie ukazało się światło, słychać było grzmoty i pioruny." (*Magazyn Warsz.* część I, r. 1784).

Pomijam dwuznaczne ognie, o których jeszcze powiemy, ale jeśli uwierzymy słowom *Maffeia*, *Chapp'a*, księdza *Switkowskiego* i innym, że światła tworzące się prawie przy ziemi i utrzymujące się niejaki czas bez poruszenia w powietrzu, a nakoniec wybuchające nagle, jak naprzykład w *Fosdinovo* i *Dijon*, wystąpiły z ziemi dla przeistoczenia się w piorun; należałoby wnosić, że z łona jéj nagle ukazują się błyskawice i uderzają pioruny, zmierzając do połączenia się z temi, co wyrabiają się w otaczającéj nas atmosferze. Ci którzy utrzymują zdanie to, mówią, że wyraźnie widzieli wznoszący się piorun w kształcie *racy*. Przypuśćmy, że zjawisko dostrzeżone (dostrzeżone przez p. *Wheatstone*) jest faktem rzetelnym (1); jakże teraz rozwiążemy zapytanie, czy można

(1) Zaświadcza o tém także fizyk *Beccaria* i *Cotta* członek akademii paryzkiéj, który w r. 1767 i innych czasach, nieraz widział piorun razem bijący z ziemi do góry i z chmury na dół. (*Magaz. Warsz.* z r. 1784).

dostrzedz bieg błyskawicy z ziemi do góry, lub z góry na dół? Błyskawice wyrabiające się w ziemi, miałyżby powolniejszym biegiem przecinać powietrze, jak błyskawice tworzące się w atmosferze? Podobne pytania wywołują nowe poszukiwania. Ten który widział, ale istotnie widział, błyskawicę dotykającą ziemię jednym końcem, a niedosięgającą drugim obłoków, mógłby położyć niewzruszoną tamę przeciwko zarzutom.

**Niekiedy w czasie burzy ukazują się na przedmiotach wystających światełka czyli płomyki lekko szypiące.**

Starożytni znali rodzaj tych ogni pod nazwiskiem *Castor* i *Polux*; dziś je nazywają Francuzi *ogniem St. Elme*, Portugalczycy *Corpo-Santo*, Anglicy *Comazants*, w niektórych krajach morza Śródziemnego zowią je *ogniem śgo Mikołaja*, *śgo Germana*, *śtéj Klary*, lub *śtéj Heleny*. Podczas burzy przedmioty wystające, szczególnie metaliczne, błyszczą niekiedy dosyć żywém światłem.

Komentarze *Cezara* zawiérają jeden z najdawniejszych opisów podobnego zjawiska, opisów, które zostały do naszych czasów w całości zachowane. W księdze o *Wojnie Afrykańskiéj* w § 47 czytamy: „Téj saméj nocy, nocy burzliwéj, w czasie któréj spadło wiele gradu, żelazca dzirytów zajaśniały ogniem."

*Seneka* mówi, że gwiazda przebiegała blizko *Serakuzy*, ażeby spocząć na włóczni *Gylippa*.

*Tytus-Livius* pisze, że dziryt którym *Lucius Atreus* uzbroił swego syna wstępującego w szeregi legionów,

wydawał płomienie przez dwie godziny, nie będąc przez nie pochłoniętym.

*Pliniusz* sam widział podobne światła w nocy na ostrzach dzid żołnierzy, stojących na warcie przed wałami.

*Plutarch* nadmienia o podobnych zjawiskach dostrzeżonych w *Sycylii* i *Sardynii*.

*Prokop* wspomina, że w wojnie przeciw *Wandalom*, niebo okazało łaskę dla *Belizaryusza*, oświecając zbroje jego cudownym ogniem.

Sądzę więc, że dosyć mamy dowodów o płomykach które ukazywały się na ziemi, na włóczniach, na dzirytach i t. p. Ci sami autorowie dostarczyliby nam jeszcze więcéj zdarzeń i to daleko liczniejszych, pod względem ukazywania się światła na okrętach, które miały miejsce podczas burzy na morzu.

*Plutarch* naprzykład przytacza, że w chwili kiedy flota *Lisandra* wypływała z portu *Lampsak*, celem uderzenia na flotę ateńską, dwa ognie *Castor* i *Polux* spadły na galerę admirała lacedemońskiego.

W starożytności uważano za przepowiednią szczęścia lub nieszczęścia, ukazywanie się płomyków na masztach, rejach i linach okrętowych; dlatego też były one starannie dostrzegane i opisywane przez historyków ze wszelką rzetelnością. Płomyk jeden, który nazwano *Helena*, uważany był za znak zagrażający; dwa płomyki *Castor* i *Polux* przepowiadały czas pogodny i szczęśliwą podróż, i wzywali ich na morzu jako bogów.

Żeglarze współcześni *Kolumba* spostrzegali podobne zjawiska w czasie podróży morskich. Przytoczymy tu ustęp z dzieła: *Historia del Almirante*. Potrzeba przytém dodać, że ustęp ten niezmiernie nacechowany jest wyo-

brażeniami wieku XVgo. „Podczas drugiéj podróży *Kolumba*, tojest w roku 1493, w miesiącu październiku z soboty na niedzielę, mówi autor, padał ulewny dészcz i huczały grzmoty, wtém ukazał się płomień na maszcie w kształcie *siedmiu palących się gromnic*; są one jak majtkowie mniemali *relikwiami świętego* (Corpo-Santo). Natychmiast usłyszano na okręcie śpiewających w pokorze ducha litanie i odmawiających modlitwy. Żeglarze utrzymują, że burza z pewnością mija, kiedy się podobne płomyki ukazują."

*Herrera* wspomina, że majtkowie *Magelana* mieli także te same przesądy. „Podczas wielkiéj burzy na oceanie, mówi on, kiedy płomyk ukazał się na wierzchołku masztu w kształcie jednéj lub dwóch *gromnic*, majtkowie witali go ze łzami i okrzykami radości."

Ksiądz *Tomasz Treter*, autor dzieła *Peregrynacyi albo Pielgrzymki do Ziemi Śtéj Mikołaja Krysztofa Radziwiłła książęcia na Ołyce* i *Nieświeżu*, odbytéj w latach 1582, 1583 i 1584, często wspomina o płomykach, które w czasie podróży morskiéj ukazywały się na masztach wśród burzy z dészczem lub bez dészczu. Płomyki te nazywa on *śtym Germanem* i takie daje o nich zdanie: „Jeśli komu dziwno, abo niepodobno zdać się będzie, com tu o *śtym Germanie* napisał, tedy ten łacno prawdę napisaną przyzna, który sam na morzu kiedy bywał i szturmów jego doznał; ponieważ nie ma nikogo, któryby w ostatniém niebezpieczeństwie furyującego się morza, tego nie widział. Bądź to tedy *śty Germanus* niemal już ginącym ukazuje się, jako ich wielu wierzy, bądź téż to światło z jakiéj innéj przyrodzonéj przyczyny idzie, co drudzy powiadają; ja się z nikim nie spieram, to tylko twierdzę, że na morzu żeglu-

jącym ukazuje się, którem i ja widział i ci którzy ze mną byli (tylekroć jako się pisało wyżéj) widzieli. Ukazuje się jako jasna gwiazda albo *lana świéca zapalona*, czasem bardziéj, a czasem mniéj jasna. Usiada często albo w pół masztu, albo indziéj, ale zawsze na wyższém miejscu: jeśli kto chce wziąć, umyka się i ucieka; częściéj jednak na samym wierzchu masztu na krzyżu, i trwa tam przez pacierz, czasem przez pół ćwierci, czasem przez ćwierć godziny; w owym srogim szturmie przez pół godziny jako *świéca* jaka goreją. Skoro się ukazuje pewność dawna, że wiatr ucichnie i ucicha zawsze znacznie, i im częściéj się ukazuje, tém wichry bardziéj ustawają; dlaczego ludzie nadzieję biorą pewną o swojém zdrowiu natenczas, coby się rozmaitemi przykłady pokazać mogło. Twierdzili téż i to marynarze, że gdy żeglują w towarzystwie okręty, któremu się ukaże, cały będzie, który go nie widzi, albo utonie, albo rozbije. Powiadali nadto, gdy się dwa ukażą (co rzadko bywa), wtenczas okręt pewnie zginie; a to mówili, że gdy dwoje świateł widać, są spektra (1) albo szatanowie, którzy się nigdy w jednéj postaci nie ukażą, jeno różnie; ci to nam twierdzili, że za takiemi przypadkami bywali na okręciech, które się natenczas rozbijały".

Tu może tylko nas to zadziwić, że urok który starożytni znajdowali w płomykach, pozostał dłużéj jak tego spodziewać się można było. Co się zaś tyczy podobieństwa tych płomyków do zapalonych gromnic albo świéc, nie znajdujemy żadnego śladu w opisach żeglarzy drugiéj połowy XVII wieku.

Niemniéj dziwna była opinia, że płomyki te można wziąć z wierzchołka masztu i znieść na pokład. Miej-

(1) Strachy.

sce które przytoczymy z pamiętników *Forbina*, wyjaśni takowe wyobrażenia w całéj swéj rozciągłości i zarazem okaże nadzwyczajny rozmiar, jaki płomyki podobne niekiedy przybiérają.

„W roku 1696 około wysp *Balearskich*, w nocy w jednéj chwili niebo pokryło się chmurami, ciemność nastąpiła okropna, wpośród któréj ukazały się błyskawice i huczały przerażające grzmoty. Spodziewając się wielkiéj i groźnéj burzy, kazałem zwinąć wszystkie żagle. Wtém postrzegliśmy na okręcie przeszło *trzydzieści* płomyków, między niemi był jeden u wiérzchołka chorągiewki wielkiego masztu i wynosił więcéj jak półtory stopy wysokości. Posłałem majtka ażeby go zniósł, ale nim dostał się do wiérzchołka, mówił, że ogień ten wydaje odgłos podobny do palącego się zmoczonego prochu. Kazałem mu zdjąć chorągiewkę, lecz zaledwie ją odjął, płomień z niéj przeniósł się na szczyt masztu, zkąd niepodobna go było dostać. Zostawał tam dość długo, dopóki stopniowo nie znikł". (*O elektryczności* przez *Beccaria*, tłumaczenie *Jundziłła* r. 1786).

Gdybyśmy na tém skończyli nasze poszukiwania o płomykach, możeby słusznie wnoszono, że dawniéj podobne zjawiska, miały więcéj jakichści przyczyn do ukazywania się, jak w czasach teraźniejszych. Dodamy więc jeszcze kilka wypadków, które nam pokażą światełka tworzące się w czasie burzy na przedmiotach różnych, nawet mało wyniesionych czyli wystających.

W *Itinerary Fynes Morysona* sekretarza lorda *Montjoy*, znajdujemy pod dniem 23 grudnia 1601 roku, że w czasie oblężenia *Kingsale*, kiedy niebo było zasute chmurami często przecinanemi błyskawicami bez grzmotów, jezdni na czatach widzieli na końcach swych włóczni i pałaszy gorejące lampy (lamps burn).

W dniu 25 stycznia r. 1822, w czasie wielkiéj nawalnicy śniegu, p. *Thielaw* udając się do *Freyberga* spostrzegł, że końce gałęzi wszystkich drzew były jaśniejące; światło zdawało się być niebieskawe.

W dniu 14 stycznia r. 1824 w czasie burzy, p. *Maxdorf* widział końce słomy na wozie, który stał w polu pod przebiegającą chmurą ciemną, jak podniosły się i jaśniały płomykami; nawet bicz woźnicy wydawał żywe światło. Zjawisko to trwało minut dziesięć, dopóki wiatr nie uniósł z nad wozu chmurę.

W dniu 8 maja 1831 r. po zachodzie słońca, oficerowie artyleryi i inżynieryi armii algierskiéj, podczas burzy przechadzali się z odkrytemi głowami po tarasie warowni *Bab-Azoun* w Algierze. Wtém kiedy jeden na drugiego spojrzał, z zadziwieniem zobaczył światełka na końcach włosów najeżonych; nareszcie jak podnieśli ręce do góry, na końcach palców podobne ukazało się światło. (*Voyage de Rozet*).

Rzecz dziwna, rzecz nie do uwierzenia, powié kto, ażeby zjawiska które się okazują tak często na ziemi i na przedmiotach wystających okrętowych, rzadko ukazywały się na wierzchołkach wyniosłych dzwonic, lub na chorągiewkach wznoszących się na wielu gmachach? Na to odpowiemy jedném słowem: dlatego nie dostrzegamy na wierzchołkach wysokich budowli płomyków, że na to nie zwracamy bynajmniéj uwagi. Tam gdzie czynimy baczne obserwacye, natenczas wszelkie wyniosłości odzyskują swoje prawa (1).

(1) *Gueneau de Montbeillard* opiérając się na świadectwie *Hermolausa*, *Barbarusa* i *Aldrowanda*, powiada, iż widywano niekiedy w czasie burzy, na wysokościach bardzo znacznych, że dzioby kruków rzucały żywe światło. „Ztąd być może, dodaje kollaborator *Buffona*, że po kilku dostrzeżeniach tego rodzaju, orzeł uzyskał stopień *ministra piorunów*", *Pliniusz* utrzymuje przeciwnie: „Dla-

*Watson* w rozprawie swéj o podobnych *płomykach*, pisze, że ma przysłane sobie z Francyi dostrzeżenia czynione przez lat 27 bez przerwy, przez księdza *Binon* proboszcza z *Plauzet*. Przekonywają one, że często w czasie wielkich burz, końce krzyża na dzwonicy, zdawały się być w płomieniach.

W *Nordhausen* roku 1749 na wieży *śgo Piotra* i na dziesięciu żelaznych prętach, które z galeryi gankowéj wystawały, widziano światło koloru błękitnawego. Chociaż był wiatr wielki, przytém padał śnieg i grad, jednak płomienie te, bynajmniéj nie ruszały się, i tém bardziéj świeciły, im większy śnieg i grad padał. Płomienie te wydawały brzęk podobny do tego, jaki wydaje mucha, kiedy uwięźnie w pajęczynie. W świetle tém nie można było uczuć żadnego ciepła. Gdy się stanęło przeciw wiatru, lub ręką zasłoniło świetniejący pręt, płomień zaraz znikał, ale jak wiatr dochodził do pręta, znowu zaczął się świécić; światło to trwało prawie kwadrans. (*Magaz. Warsz.* część III z r. 1784).

Pod *Regensburgiem* w *Hohen-Gebrachin* r. 1770 na wieży kościelnéj podczas burzy i grzmotu, pokazał się na krzyżu żelaznym, świetny płomień w kształcie bukietu. I gdy dwóch ludzi biegło na wieżę dla gaszenia, rozumiejąc że to był ogień zwyczajny, ujrzeli na swych głowach podobne światło. Wtém ów bukiet świécący powiększył się, a wydając iskry i promienie, rozszérzył się po całym krzyżu; płomień ten trwał całą godzinę, poczém znikając wydał wielki huk podobny do grzmotu. (*Magazyn Warsz.* część III z r. 1784).

tego, powiada on, orzeł jest nosicielem strzał piorunowych, bo go piorun nigdy nie uderza. (*Historya Pliniusza*, ks. II, § LVI).

W r. 1768 w miesiącu sierpniu, *Lichtenberg* widział światełko na dzwonicy *śgo Jakóba* w *Getyndze.*

W r. 1778 dnia 22 stycznia, w chwili gwałtownéj burzy z deszczem i gradem, *Mongez* widział jaśniejące wierzchołki najwyższych gmachów w *Rouen.*

W r. 1783 *Sauvan* ogłosił, że w d. 22 lipca w noc burzliwą widział przez trzy kwadranse koronę światła, około gałki na dzwonicy kościoła Augustyanów w *Avignon.*

Przed zamknięciem tego rozdziału, dobrze jeszcze nadmienić, że ze wszystkich podobnych, przynajmniéj z powierzchowności, zjawisk atmosferycznych w czasie burzy, płomyki o których mówiliśmy, mają postać zmienną; często widywane są w kształcie kitek, niekiedy zaś światło ich można widzieć zlane w jednę kulkę nie rozpierzchającą się.

**W czasie wielkich burz, niekiedy krople deszczu, ziarnka gradu, płatki śniegu, wydają światło spadając na ziemię lub ścierając się z sobą.**

Wielu fizyków zaprzeczało temu zjawisku, ale zebrane starannie fakta, mogą w tym przedmiocie każdemu otworzyć pole do wyrzeczenia zdania *za* lub *przeciw* dostrzeżeniom, jakie tu podajemy.

*Dom Hallai* przeor Benedyktynów w *Lessay* blizko *Coutances* we Francyi, w liście pisanym do *Mairan*, powiada, że w dniu 3 czerwca r. 1731, wieczorem wśród grzmotów nadzwyczajnych, padały ze wszech stron jakby krople gorejącego metalu.

W r. 1761, *Bergman* pisał do członków towarzystwa królewskiego w Londynie, że widział dwa razy ku wieczorowi bez grzmotów dészcz, który „okrywał światłem przedmioty, na jakie spadał.

W okolicach *Skara* w Szwecyi w d. 22 września 1773 r. zrana, niebo było ponure, błyskawice i grzmoty powtarzały się, dészcz padał rzęsisty, poczém nastąpił nieznośny upał. Od godziny 6 w wieczór zaczął padać powtórnie dészcz, którego krople, jak wielu zeznało, miotane były ogniem.

Dnia 3 maja 1768 r., blizko *la Canche*, o dwie mile od *d'Arnay-le-Duc* we Francyi, zaskoczył ulewny dészcz w polu p. *Posumot*, który gdy nachylił się, ażeby spłynęła woda z jego kapelusza, dostrzegł, że takowa stykając się z kroplami dészczu padającego, na pół metra od ziemi wydawała iskry.

Dnia 28 października 1772 r., na gościńcu z *Brignai* do *Lyonu*, księdza *Bertholon* zaskoczyła burza około 5 godziny rano, dészcz ulewny padał z gradem. Krople dészczu i gradówki spadające na okucia metaliczne u siodła, którym koń księdza był osiodłany, wydawały iskry.

Znajomy sławnego meteorologa *Howarda* opowiadał mu, że jadąc w nocy z *Londynu* do *Bow*, podczas gwałtownéj burzy dnia 19 maja 1809 r. wyraźnie widział, że dészcz stawał się jaśniejącym przy zetknięciu się z ziemią,

W kantonie *Neuchatel* o godzinie 10téj w nocy, p. *Allemanda* fizyka zaskoczył dészcz ulewny z grzmotami; ciemność na polu ogarnęła go niewymowna i widział światło niby z góry stąpające, poczém dostrzegł, że rondo jego kapelusza, otoczone było wieńcem światła, równie jak i u parasola wszystkie skówki jaśniały. Brał

potém wodę w garść i otrzymał pełną garść światła; gdziekolwiek potarł sukno, światło się rozmazywało. Podobne zdarzenie przytrafiło się żydom z *Szczebrzeszyna* (w Polsce) powracającym w nocy z miasta *Turobina*. Futra u czapek ich, otoczone były wieńcami światła; końskie grzywy, ogony i żydowskie brody jaśniały żywém światłem. (*Fizyka J. Żochowskiego* T. II, str. 257).

Oto jest wszystko co można było zebrać pod względem deszczu jaśniejącego. Nie ulega wątpliwości, że możnaby bez porównania dłuższy szereg zebrać podobnych zjawisk, gdyby naoczni świadkowie zechcieli donosić redaktorom pism peryodycznych o zdarzeniach różnych pod względem zjawisk w przyrodzie; zdarzeniach, jakie napotykają częstokroć w podróży. Grad, śnieg i popiół wulkaniczny, dostarczyły także podobne przykłady.

W liście *Bergmana* o którym już mówiliśmy, czytamy, że prócz deszczu jaśniejącego, dostrzegał niekiedy takie same zjawiska podczas nawalnego śniegu.

Górnicy w *Freybergu* opowiadali *Lampadiusowi*, że drobny grad, który padał dnia 25 stycznia roku 1825, przy zetknięciu się z ziemią jaśniał.

Popiół który spadł na miasto *Neapol* i jego okolice w czasie wybuchu Wezuwiuszu w roku 1794, wydawał światło fosforyczne blade, dobrze w nocy widziane. Anglik *James*, znajdujący się podówczas na statku blizko *Torre del Greco*, spostrzegł na kapeluszach majtków i własnym, oraz na żaglach, że popiół widocznie był świecący.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# ODPOWIEDŹ

*na rozbiór pytania: czy na zasadzie obowiązujących w Królestwie praw postępowania sądowego karnego, a w szczególności Ordynacyi kryminalnéj pruskiéj, zachodzi różnica między zupełném uwolnieniem dla braku dowodów, a takiémże uwolnieniem dla wykrytéj niewinności, i czy w piérwszym przypadku służyć może odwołanie się do wyższéj instancyi?*

(W Bibliotece Warszawskiéj, w poszycie z miesiąca sierpnia r. b.).

---

Nie dlatego odzywam się po raz trzeci w kwestyi możności odwoływania się od wyroków niezupełnie uniewinniających, abym po przeczytaniu powyższego rozbioru pytania, miał czuć potrzebę dalszego usprawiedliwienia poprzedniczych moich dwóch rozpraw w téj materyi (1); lecz jedynie w celu okazania, iż *autor Rozbioru*, ogłaszając przeciwne swe zdanie i usiłując je poprzéć swoją interpretacyą prawa, na zapadłym stanął gruncie, a nie trzymał się metody, która jedynie do wyjaśnienia myśli i celu prawa i wyłuszczenia konsekwencyjnych zasad prowadzić może.

Dawno minęła epoka indywidualnego racyonalizmu, którego niedojrzałym owocem była mnoga liczba dzieł

(1) Biblioteka Warszawska tom I. z r. 1842, str. 338; tom I, z r. 1847, str. 221.

p. t. prawo natury, *Naturrecht*. Minęła świetna epoka szkoły historycznéj prawników i sprzecznych z nią szkół, bądź tak zwanéj praktycznéj, bądź tak zwanéj filozoficznéj. Wszystkie te dążności nauki prawa, zlały się co do metody tłumaczenia prawa stanowionego, *jus positivum*, w jednę wspólną prawdę: że każde prawodawstwo, każdy kodex, stanowi całość organiczną, mniéj więcéj w sobie wykończoną, któréj szczegóły, tylko po poznaniu wewnętrznego systematu i sterujących mu zasad, dobrze pojęte i tłumaczone być mogą. Metoda ta zowie się *historyczną*, dlatego, że nadewszystko wymaga wiedzy historycznych pobudek powstaniu i tworzeniu prawodawstwa lub kodexu towarzyszących. Trafne rozwiązanie szczególnéj kwestyi z łona kodexu wyłamanéj, lub wyłuszczenie prawd konsekwencyjnych, może tylko za przewodnią właściwych historycznych i sterujących zasad nastąpić.

Kto w zamiarze tłumaczenia myśli i celu stanowionego prawa, z innego wychodzi stanowiska, za inną postępuje metodą, ten błądzi.

*Autor Rozbioru* uprzedza: „iż w celu tłumaczenia przepisów procedur karnych u nas obowiązujących, przedstawi przedewszystkiém ogólne zasady na *naturze rzeczy* oparte, przedmiotowi rozbiéranemu przewodniczące". Wyznanie to przypomina metodę, któréj się trzymali zwolennicy indywidualnego racyonalizmu, autorowie prawa natury, którzy żyli i pisali przy schyłku przeszłego i na początku wieku teraźniejszego. O nich wzmiankowałem w dwóch rozprawach, z których jedna znajduje się w Themidzie w tomie VII, pod napisem: *Wywód zasad ogólnych nauki prawa i prawodawstwa*; druga w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1844 tom IV, pod tytułem:

*O historycznéj szkole jurystów.* Tychto racyonalistów trybem było, wprzód nim do interpretacyi prawa przystępowali, wystawić zrąb zasad ogólnych, na naturze rzeczy opartych, krótko zwanych prawem natury. Za ich pomocą chcieli następnie wynaleźć rzeczywistą myśl i cel prawa, którego interpretacyą zamierzyli; lecz że ich zasady ogólne niczém inném nie były, jak wystawą własnych indywidualnych przypuszczeń, domniemań i widoków: zwykle wykrywali to, co już sobie naprzód założyli, a nie to, co w prawie rzeczywiście było objęte lub przewidziane. Mniemane zasady ogólne na naturze rzeczy oparte, przewodniczyły im samym, nie zaś przedmiotowi rozbiéranemu. Wątła ta metoda od drugiego dziesiątka wieku bieżącego uległa zadawnieniu, i dziś już zupełnie jest zapomnianą w dziedzinie literatów prawniczych.

Kto chce rozwiązać kwestyą, odnoszącą się do całkowitéj ustawy lub kodexu; kto chce wykryć *konsekwencyą wyraźnie nie przewidzianą*, nie z ogółu swoich indywidualnych wiadomości i widoków naukowych, ale z téjże ustawy, z tegoż kodexu, z całego składu wszystkich rozporządzeń szczegółowych, z systematu służącego mu za podstawę, powinien przewodniczące zasady wywieść. Te tylko doprowadzą go do odkrycia logicznéj konsekwencyi.

Lecz przypatrzmy się zapowiedzianym zasadom ogólnym. Jakież one są?

Autor Rozbioru przywodzi na wstępie: „*Trojaki* może być wypadek każdego dochodzenia karnego: uznanie winy; uznanie niewinności; uznanie domniemań winy, nie stanowiących jednak dowodu prawnego". Zasada ta ma być na naturze rzeczy opartą. Ja myślę, iż autor nie

wyczytał jéj z księgi natury, lecz z procedur kryminalnych austryackiéj i pruskiéj, bo księga natury co do procesu sądów przysięgłych odpowiada: że tylko *dwojaki* może być wypadek dochodzenia kryminalnego: uznanie winy, lub uznanie niewinności. Lecz i procedura pruska odpowiada, że wypadkiem dochodzenia karnego może być także *repozycya* aktów z rozmaitych przyczyn. Przypominamy tu więc *litera docet, litera nocet*; tém więcéj, że powyższe trzy wypadki, nie są wypadkami każdego dochodzenia kryminalnego, lecz kategoryami *wyrokowania*. Zgodnie z mylném swém przypuszczeniem, autor Rozbioru przywodzi daléj, że: „podług ścisłych pojęć ogólnych" *dwa* tylko mogą być rodzaje uwolnienia: zupełne i niezupełne. Tymczasem ściślejszém pojęciem ogólném jest pojęcie tych krajów, które mając sądy przysięgłych, *jeden* tylko rodzaj uwolnienia znają, tojest bezwarunkowe uznanie niewinności. A nadto przyjęte w procedurach pruskiéj i austryackiéj formy uwolnienia, nie pochodzą wprost ze sfery pojęć ogólnych, ani téż, jak autor Rozbioru sprzecznie sam z sobą w inném miejscu przytacza, z *nieudolności ludzkiéj*, lecz są następstwem przepisanego systematu dowodowego, którego sędzia w wyrokowaniu trzymać się winien. Zaiste, w pewnym względzie autor Rozbioru słusznie się powołuje na nieudolność ludzką, gdy nietylko powyższe przepisy co do istoty i form wyrokowania, ale nawet prawodawstwa w całości, skutkiem są nieudolności ludzkiéj tak intellektualnéj, jak moralnéj. Gdybyśmy postępowali jak należy, podług ewangelij świętych, podług religii starego i nowego testamentu, żadnych nie potrzebowalibyśmy legislacyj w społeczeństwach; ziemia byłaby rajem szczęśliwości ludzkiéj. Lecz ludzka nieudolność wymaga praw

polityczno-cywilnych, w wyjaśnieniu których wszakże nie na ogólne frazesy nieudolności ludzkiéj lub zasad na naturze rzeczy opartych, lecz w szczególności na właściwe im pobudki i widoki powoływać się należy.

W ślad ogólnych zasad na naturze rzeczy lub na ścisłém rozumowaniu opartemi być mających, autor Rozbioru wychodzi nakoniec na plac stanowczego boju, i tu odbywa ciężką walkę sam z sobą, broniąc i zbijając dobre i złe zasady z równą żarliwością. Niepewny czy odniósł zwycięztwo, czy poniósł klęskę na wielkim obszarze ogólnych pryncypiów, cofa się wreszcie do pewniejszego portu procedur austryackiéj i pruskiéj; w którym, jeśli nie on sam, tedy kto inny już wskazał punkta wyjścia i dojścia do zamierzonego celu.

W szczególności zaś podaje autor Rozbioru za ogólną zasadę, iż: „uznanie *niewinności* nietylko wtenczas nastąpić powinno, gdy obwiniony zdołał w sposób niewątpliwy wykazać, że czynu dochodzonego nie popełnił, lecz i w tych zdarzeniach, gdy przeciw niemu żaden dowód winy ustalonym nie został". Broni zasady téj żarliwie, powołując się na starożytne *quisque praesumitur bonus donec probetur contrarium*. Potém jednak walczy z równą żarliwością przeciwko skutkom téjże zasady, i stara się ją samą zniweczyć; to znowu do niéj przychodzi, przywodząc powtórnie owe starożytne axioma; atoli wraca do sprzecznych twierdzeń i wśród nader zawiłego rozumowania, obstaje przy następującém twierdzeniu, cały wątek jego ogólnych rozumowań zawiérającém, że: „zupełne uwolnienie, czylito dla *wykrytéj niewinności*, czylito dla braku dowodów, pociągać za sobą powinno możność ponowienia inkwizycyi przeciwko uwolnionemu,

za wykryciem nowych dowodów jego winę wykazujących".

Budującą zasadę tę stara się wesprzéć zgrozą zgorszenia w razie uznania winnego za niewinnego, „gdyby np. morderca uwiedzeniem dwóch świadków do fałszywéj przysięgi, potrafił uzyskać wyrok uniewinniający, a późniéj dowiedziono niewątpliwie, iż on i fałszu był sprawcą, i krwią swéj ofiary się zbryzgał!"

Zastanawiając się nad temi twierdzeniami, zniewoleni jesteśmy zapytać się: czém są usprawiedliwione, na czém oparte, zkąd pochodzą? czy z natury rzeczy, czy ze ścisłego rozumowania, czy z procedur u nas obowiązujących? Lecz autor Rozbioru nie wyjaśnił co rozumié pod naturą rzeczy, ani wywodu ścisłego rozumowania nie przedsiębrał, ograniczając się co do twierdzenia stanowczego na dowolnym przykładzie, dalekim od rzeczywistości.

Z zasadami procedur a w szczególności pruskiéj, twierdzenia jego nie zgadzają się bynajmniéj; bo co do piérwszego, każdemu wiadomo, że Ordynacya pruska tylko w jednym przypadku wykrycia wprost i bezpośrednio *niewinności* obwinionego, uznania jéj wyrokiem dozwala; co zaś do drugiego, to podług téjże Ordynacyi niewolno wznawiać inkwizycyi przeciwko obwinionemu, który wyraźnie za niewinnego uznanym został.

Cóż więc pozostaje na utwierdzenie powyższych zasad ogólnych? Nic więcéj, tylko osobiste uważanie, *subjectiva ratio* autora, które gdy procedurom u nas obowiązującym nie przewodniczyło, do rozwiązania odnoszącéj się do nich kwestyi posłużyć nie może.

Jego przykład o zgłoszeniu się lub wynalezieniu dwóch świadków na to, że uniewinniony z zarzutu np. morderstwa jest winny, wielolicznym zarzutom podpada:

bo najprzód nie wiedzieć, do jakiéj procedury się ściąga, kiedy go autor w stosunku do ogólnych zasad na naturze rzeczy opartemi być mających przywodzi, a prawo natury nie oznaczyło liczby świadków dowód prawny stanowić mających; powtóre, może ciż świadkowie a nie dawniejsi są uwiedzeni, podmówieni; potrzecie, co się tyczy procedur austryackiéj i pruskiéj, te nie pozwalają tak bez ogródki uznawać niewinności bezwarunkowéj, zwłaszcza w zarzutach zbrodni. Podług nich, potrzeba odeprzéć wszelkie poszlaki przeciwko obwinionemu walczące, potrzeba niewinność wykryć, wykazać, udowodnić i t. d. Wątpliwość względem winy lub niewinności pociąganego, nie rozbija się tu na zeznaniu li dwóch świadków, i dlatego wyrok ma za sobą niewzruszalną gwarancyą. Cóż powié autor Rozbioru, jeżeli po jego dwóch świadkach przyjdzie dwóch, trzech innych świadków twierdząc, że tamci dwaj świadkowie byli uwiedzeni, i że uznany wprzód za niewinnego a potém za winnego, padł na rusztowaniu niewinną śmiercią? Autor Rozbioru zechce zapewne przyznać, iż się tu zabłąkał w labirynt zbyt wielkich trudności legislacyjnych, i że chcąc podobne trudności światle rozwiązać, potrzeba być nie jednostronnym i nietylko obustronnym, ale wielostronnym.

Jeżeli zaś autor, co do piérwszego twierdzenia, raczéj chciał mówić o formie *zupełnego uwolnienia* Ordynacyą pruską przepisanéj, tedy należało mu użyć właściwego wyrażenia: bo uznanie niewinności a zupełne uwolnienie, nie jest jedno i toż samo, gdy zupełne uwolnienie wyrzeczone być może bądź z uznaniem niewinności, bądź bez uznania niewinności, dla niedostającego w téj mierze zupełnego dowodu.

Co do drugiego twierdzenia, tedy autor nie wié, że możność pociągania tego, który już raz wyrokiem sądowym za niewinnego ogłoszonym został, wprowadziłaby postrach w postępowanie sądowe, nie tak przeciwko winowajcom, jak raczéj przeciwko poczciwym ludziom; obaliłaby teoryą i świętość instancyj sądowych, jako téż tę starożytną prawdę: *res judicata pro veritate habetur.* Wiedział prawodawca pruski co robi, stanowiąc, że uznany za niewinnego, powtórnie w tymże samym zarzucie do sądu i kary pociąganym być nie może; wiedzieli Rzymianie, stanowiąc bezwarunkowo zasadę dopiéro przytoczoną.

Otóż ogólnych sterujących zasad do interpretacyi prawa stanowionych, nie w swém osobistém pojęciu, ani w przestronnych wysłowieniach natury rzeczy lub ścisłego rozumowania szukać należy; lecz w témże samém prawie, w tymże samym kodexie, z którego interpretacyą wynikłéj kwestyi zamierzamy.

Jakoż w poprzednich rozprawach wytknąłem sterujące zasady Ordynacyi pruskiéj. Znajdują się na samém ich czele w § 4 i 5, tudzież w § 364, i ich brzmienie jest następujące: „że gdy rozpoczęta jest inkwizycya przeciwko osobie pewnéj, o występek poszlakowanéj, nietylko jéj winy, ale i jéj niewinności z *równą troskliwością* śledzić należy: ażeby winny nie uszedł kary, niewinny zaś nie uległ potępieniu.”

Wielka ta zasada całemu systematowi Ordynacyi pruskiéj sterująca, a w szczegółach z niepospolitą oględnością rozprowadzona, nie była zapomnianą przy ostatecznem jéj urzeczywistnieniu, przy formowaniu kategoryi wyrokowania. Redaktorowie Ordynacyi, prawodawca pruski, znając złośliwość świata z historyi niezliczonych

wypadków kryminalnych, bądź że winny uszedł kary, bądź że niewinny doznał krzywdy, w głębokiéj pamięci mieli owo *quisque praesumitur bonus*.... i dlatego postanowiwszy w stosunku do wątłości samowładnego systematu dowodowego, stopnie uznawania winy, oznaczyli z równą troskliwością, z równą sprawiedliwością stopnie uznawania niewinności.

Z tychto przewodniczących zasad, jako téż z głębokiego przenikania prawideł systematu dowodowego, a w szczególności, w celu zapewnienia równowagi między absolutną mocą *stanowionych* dowodów, a indywidualném światłem, sędziego, Ordynacya pruska przyjęła pięć kategoryj wyrokowania, a między temi dwie, których przewaga za niewinnością przemawia.

I na tychto zasadach przewodniczących, interpretacyą pojedynczych przepisów Ordynacyi i wyłuszczenie zasad konsekwencyjnych opierać należy.

Autor Rozbioru zaś nietylko nie trzymał się téj metody, ale owszem zbliżając się do Ordynacyi pruskiéj i wynikłego z niéj pytania, nadmienia „iż chce się przekonać, jak dalece *jego* zasady ogólne, procedurami austryacką i pruską są uświęcone."

Cel ten jest bez celu, gdy jego zasady ogólne, żadnéj przecież autentyczności nie mają, a nawet, jak się to wyżéj rzekło, z Ordynacyą pruską bynajmniéj się nie zgadzają: co niezwłocznie z całą oczywistością wykażemy, przypomniawszy wprzód kwestyą w sporze będącą: czy od § 413 ustępu 2go, w przypadku zupełnego uwolnienia dla braku dowodów, odwołanie się do wyższéj instancyi *służyć powinno* lub *nie?*

Autor Rozbioru będąc przeciwny możności odwołania się, i chcąc zdanie swe uzasadnić, bardzo trafnie wycho-

dzi z tego punktu pytania: czy w § 413 objęte są *dwa* wypadki zupełnego uwolnienia, czy tylko *jeden*?

Rozumié się samo z siebie, iż autor Rozbioru to ostatnie przyjmuje. Lecz czémże to usprawiedliwia? Oto najprzód tém, iż całemu sądownictwu nietylko polskiemu, ale i pruskiemu zarzuca ciągłe błędne pojmowanie, w upatrywaniu dwóch wypadków zupełnego uwolnienia, czyli dwóch ustępów w § 413; powtóre tém, iż się na reskrypt pruskiego ministra sprawiedliwości z dnia 24 kwietnia 1817 r. jako na najmocniejszy w tym względzie argument swój powołuje.

Tymczasem autor Rozbioru niedobrze odczytał ten reskrypt: bo pruski minister nietylko nie zaprzecza bytu dwóch wypadków zupełnego uwolnienia, ale owszem wyraźnie je przyznaje; tylko nie chce ich rozróżnienia w sentencyi, pozostawiając wytknięcie różnicy w motywach wyroku.

Przekład tegoż reskryptu w drugiéj rozprawie mojéj, wprawdzie zgodny jest z oryginałem, gdy w piérwszym ustępie wytknięta jest różnica dwóch wypadków zupełnego uwolnienia; lecz wypuszczone są w przekładzie, jako pleonazm, dobitne wyrazy ministra, powtórne wyraźne uznanie dwóch kategoryj objawiające, a to w sposób następujący:

„Der § 413 setzt fest, dass in *beiden Fällen* auf *völlige Freisprechung* erkannt werden soll, ohne zugleich zu bestimmen, dass der Grund dieser Freisprechung in dem Erkenntnisse ausgedrückt werden müsse."

Otóż *in beiden Fällen*, *w obudwóch* wypadkach § 413 ma być uznane *zupełne uwolnienie*.

A zatém nietylko podług niezachwianego pojmowania sądownictwa polskiego i pruskiego, nietylko podług

mojéj interpretacyi bądź dawniejszéj, bądź teraźniejszéj, z wewnętrza Ordynacyi pruskiéj wydobytéj, ale nawet *secundum magistrum in cujus verba jurat* autora Rozbioru, objęte są w § 413 dwa wypadki zupełnego uwolnienia; tym sposobem autor Rozbioru sam jeden pozostał w błędzie, tak z zasadami ogólnemi, jak i szczególnemi.

Pomimo to, autor Rozbioru śmiało kroczy ku zamiarowi utwierdzenia samoistnego zdania swojego, i w tym celu zrywa najprzód ścisły a widoczny związek, jaki między paragrafami 413 i 414 zachodzi, a to znowu wbrew ministeryalnemu reskryptowi na którym się opiéra. Posuwa się nawet do twierdzenia, że § 414 pod względem możności ponowienia inkwizycyi, obejmuje prawidło ogólne do całego § 413, a nawet do § 409 odnoszące się.

Radzimy autorowi Rozbioru, ażeby lepiéj odczytał § 414 tudzież § 411, a przekona się, iż tu odrazu trzy wielkie błędy popełnił, w samém tylko prostém zrozumieniu textu. My zaś o tém obszerniéj mówić, najmniejszéj nie mamy potrzeby. Dosyć, że Ordynacya pruska ustanowiła pięć kategoryj wyrokowania, a między temi dwie w § 413 objęte.

Jaką drogą i z jakich spostrzeżeń praktycznych redaktorowie Ordynacyi pruskiéj doszli do utworzenia tylu kategoryj wyrokowania, to w drugiéj rozprawie dawniejszéj wywiodłem. Argumenta tamże przytoczone, zbijają w zupełności zarzut autora Rozbioru, jakoby kategorya *zupełnego uwolnienia* dla braku dowodu *niewinności*, mieściła w sobie sprzeczność, dozwalającą tak skazania, jak uwolnienia. Kategorya ta, podobnież jak i kategorya na § 409 polegająca, wzięta *in crudo*, podług domniemanych zasad ogólnych, na naturze rzeczy opar-

temi być mających, zaiste dopuszczałaby bądź skazania, bądź uwolnienia; lecz autor Rozbioru zapomniał, iż zawinął już do portu zamkniętego, i stanął na gruncie stanowionego prawa, *jus positivum*, w granicach Ordynacyi pruskiéj, gdzie każdą jéj zasadę, każde wysłowienie, podług *nadanego* mu *znaczenia*, i podług właściwych zasad sterujących pojąć należy.

Otóż, kiedy redaktorowie Ordynacyi, za główną zasadę sterującą, położyli dwa niezbędne cele każdego śledztwa, a w szczególności wyśledzenie i udowodnienie *winy*, lub wyśledzenie i udowodnienie *niewinności*, a następnie przypuszczali z jednéj strony możność zupełnego dowodu względem winy, z drugiéj możność zupełnego dowodu względem niewinności; przeto w razie nieotrzymania zupełnego dowodu bądź co do winy, bądź co do niewinności, przyjęli konsekwencyjnie z jednéj strony brak zupełnego dowodu co do winy (§ 409), z drugiéj brak zupełnego dowodu co do niewinności (§ 413 w ustępie 2gim).

W praktyczném zastosowaniu Ordynacyi pruskiéj, skala stopniowa dowodów jest następująca: zupełny dowód winy, pociąga za sobą karę zupełną; większe pół dowodu prawnego co do winy, karę podzwyczajną; mniejsze pół dowodu prawnego co do winy, uwolnienie *ab instantia* z § 409; pozostałe poszlaki, tak słabe lub tak pozorne, iż raczéj dopuszczają domniemania niewinności, ale nie dozwalają uznania zupełnéj niewinności, i tym sposobem stanowią brak dowodu co do niewinności, pociągają za sobą zupełne uwolnienie z § 413 w ustępie 2gim; nakoniec zupełny dowód niewinności, zupełne uwolnienie z § 413, ustępu 1go. A zatém i w istocie rzeczy acz wykwintnéj i w technicznem wysłowieniu niéma żadnéj sprzeczności.

Co innego jest prawo tłumaczyć, interpretować, okazać jego budowę, myśl i cel; a co innego zastanowić się krytycznie nad jego wartością teoretyczną lub praktyczną. Co więc w dawniejszych rozprawach nadmieniłem o subtylizacyi teoretycznéj redaktorów Ordynacyi pruskiéj, lub o niewykończeniu prawniczém kategoryi objętéj w § 413 ustępie 2gim, to wszystko odnosi się do krytyki ze stanowiska legislacyi pojmowanéj, a nie obejmuje w sobie wyznania, jakoby kategorya ta, wszelkiéj zasady była pozbawioną. Większe ma usprawiedliwienie w teoryi, w systematycznéj konsekwencyi, mniejsze w praktycznem wzięciu; lecz i praktycznie tylko uważana, okazałaby się być w jednym kraju mniéj, w drugim więcéj stosowną, w miarę rozmaitych ważnych okoliczności, o których tu ani miejsce się rozwodzić. To tylko dodam, iż właśnie teraz prawodawstwo i sądownictwo pruskie, na wyższy stopień doskonałości postąpiło, gdy ustawa z dnia 17 kwietnia 1846 roku, zaprowadzając w stolicy pruskiéj publiczną procedurę kryminalną, nietylko sędziów wyrokujących od samowładnego systematu dowodowego uwolniła, ale nadto trzy tylko kategorye wyrokowania ustanowiła, lecz nie takie, jakie dotychczas bądź w procedurze austryackiéj, bądź w Ordynacyi pruskiéj są objęte. To wszakże nastąpiło z rozmaitych ważnych pobudek, a między temi z uwagi na stan usposobienia intellektualnego i moralnego urzędników sądowych, którzy trzem kolejnym examinom sądowniczym i wieloletniéj praktyce ulegają.

Nic nowego autor Rozbioru nam nie doniósł, przywodząc, iż w rozmaitych przez siebie cytowanych paragrafach Ordynacyi pruskiéj, wzmianka jest tylko o apellacyi do wyższéj instancyi, od wyroków tymczasowo z § 409 uwalniających.

Też same paragrafy już są zebrane w mojéj drugiéj rozprawie na stronnicy 234 i 235 Bibl. Warszaw., a to właśnie w celu okazania, iż redaktorowie Ordynacyi pruskiéj pozostawili niejaką wątpliwość względem możności odwołania się od § 413 ustępu 2go, któréj rozwiązanie tym sposobem stało się udziałem rozwijającéj się jurysprudencyi autentycznéj, podobnież jak we Francyi interpretacya i rozwijanie konsekwencyjne wielu przepisów prawa ciemnych lub dwuznacznych, pozostawione jest działaniu jurysprudencyi kassacyjnéj.

Powstaje więc stanowcze pytanie: czy rozwijająca się z Ordynacyi pruskiéj, za pośrednictwem organów sądownictwa, jurysprudencya praktyczna i autentyczna, miała dostateczne pobudki do uznania możności odwołania się od wyroku acz na zupełne uwolnienie brzmiącego, jednak na niedostatku dowodów opartego?—Miała je, a to z przyczyn następujących:

*a*) Że Ordynacya pruska objawiając w §§ 517 i 518 najwyższą zasadę dalszéj obrony, wyrzekła: iż każdemu wolno odwołać się od wyroku *uciążliwego*, i że nawet wszelkie okazanie *nieukontentowania* z wyroku, ma być uważane za odwołanie się od wyroku; że w tym duchu autentyczny reskrypt ministra sprawiedliwości w Prusach z dnia 12 listopada 1831 r. wyraźnie objaśnił: „iż możność wykazywania *niewinności*, i w tym celu osłabienia *zasad wyroku*, niczém zgoła ograniczoną być nie powinna."

*b*) Że te zasady obrony, odwołania się, możności wykazywania niewinności, stosują się w całéj swéj osnowie do obwinionego, który z mocy § 413 otrzymał wyrok acz na zupełne uwolnienie brzmiący, jednak na niedostatku dowodów oparty, a to dlatego, ponieważ z mocy

§ 414 ustępu 2go, nad głową jego wisi groźba podniesienia inkwizycyi, a ta groźba stanowi dlań nader wielką uciążliwość, zwłaszcza w zarzutach zbrodni morderstwa, podpalenia, krzywoprzysięztwa, przeniewierzenia się, potwarzy i t. d.; gdy nietylko w każdym czasie do sądu pociąganym być może, ale nadto w oczach świata za podejrzanego uchodzić musi i narażony jest na cierpienie duszy, znając zupełną swą niewinność, a nie widząc jéj wyrokiem sądu przyznanéj.

c) Że zupełne uwolnienie ale z klauzulą dla braku dowodów, jako *ipso jure* groźbę podniesienia inkwizycyi w sobie zawiérające, zawsze było uważane za oznakę zostawania pod zarzutem, a ztąd sąd kassacyjny Księztwa Warszawskiego, uzupełniając jurysprudencyą Ordynacyi pruskiéj, przyjmował rekursa od wyroków *niezupełnie uniewinniających.*

d) Że ustawa senacka z r. 1842 o zanoszeniu skarg na wyroki w art. 23 zgodnie z duchem i celem Ordynacyi pruskiéj w §§ 517, 518, 413, 414 i autentycznem objaśnieniem pruskiego justyc-ministra z r. 1831, zgodnie z jurysprudencyą kassacyjną i praktyką sądową wyraźnie postanowiła: iż *niezupełnie uniewinnionym* ma służyć możność odwołania się do wyższéj instancyi, któreto wysłowienie nie przypadkowo, lecz po dojrzałéj rozwadze użyte, odnosi się nietylko do § 409, ale również do § 413 w ustępie 2gim; który gdy w piérwszym swym ustępie mówi *von der gänzlichen Unschuld,* tém samém w drugim swym ustępie przypuszcza *nicht gänzliche Unschuld* (niezupełnie uniewinniony), co znowu odnosi się, w związku z § 414, *auf den vollen Beweis der Unschuld,* i *auf den nicht vollen Beweis der Unschuld,*

czyli *auf den Mangel an Beweisen*, rozumié się logicznie, *der Unschuld.*

*e*) Że w tłumaczeniu myśli i celu prawa nienależy mijać się ze zdrowym rozsądkiem (*sens commun*): a ztąd, gdy dawniéj wolno było rekursować do sądu kassacyjnego od drobnéj kary piénięznéj złp. 5, i dziś podług art. 23 ustawy senackiéj wolno odwołać się od wyroku skazującego na same tylko koszta choćby najmniejsze; jakże można na chwilę przypuszczać, ażeby § 517 Ordynacyi pruskiéj i art. 23 ustawy senackiéj, czyto w polskim, czy w rossyjskim texcie, nie miały dozwalać odwołania się od wyroku pozostawiającego nad głową uwolnionego groźbę ponowienia inkwizycyi, skazę sławy na osobie, a cierpienie w duszy?

*f*) Że prosta logika *a minori ad majorem* uczy: że skoro uwolnionemu z § 409 służy możność odwołania się, tém prędzéj służyć powinna uwolnionemu warunkowo z § 413, gdy ostatni mając za sobą początek dowodu niewinności, daleko bliższym jest możności wykazania zupełnéj niewinności w wyższéj światlejszéj instancyi, aniżeli piérwszy, który mając przeciwko sobie poszlaki winy, nie wszedł w sferę dopuszczającą domniemania niewinności.

*g*) Że nakoniec wcielenie Ordynacyi pruskiéj do odmiennego w żywotnych elementach systemu organicznego sądowego, wymagało ugięcia i przelania form Ordynacyi pruskiéj w nowe formy postępowania sądowego, a to znowu pociągnęło za sobą konieczność apellowania od *głośnych* wyroków, które pod formą zupełnego uwolnienia, brak dowodów uznawały.

Po rozważeniu pobudek tych, każdéj w szczególności a wszystkich w łącznym związku, narzuca się prze-

dewszystkiém pytanie: dlaczegoby nie miała służyć apellacya od § 413 ustępu 2go, gdy służy od § 409? kiedy w jednym i drugim wypadku, uwolnionego czyto dla braku dowodu, czyto tymczasowo, obciąża groźba ponowienia inkwizycyi; kiedy w jednym i drugim wypadku tenże pozostaje pod zarzutem dochodzonego występku, i narażony jest na uszczerbek sławy i na cierpienie duszy?

Nie znam żadnéj w tym względzie odpowiedzi, któraby taką różnicę usprawiedliwić mogła, i dlatego pruski minister sprawiedliwości w r. 1831 bardzo trafnie objaśnił: iż możność wykazywania niewinności, i w tym celu osłabienia zasad *wyroku*, niczém zgoła ograniczoną być nie powinna, co oczywiście zawiéra w sobie dozwolenie odwołania się od wyroku dopuszczającego podawanie przeciwko uwolnionemu nowych poszlak, pozornych a złośliwie wymyślonych.

Otóż z samych zasad Ordynacyi pruskiéj, bez względu na inne pobudki, a nawet na ustawę senacką, odwołanie się od § 413 ustępu 2go miejsce znajduje. Ustawa senacka zaś, czyto w texcie rossyjskim, czy w texcie polskim wzięta i interpretowana, zawsze do jednego i tegoż samego rezultatu doprowadzi, iż nie mając na celu ograniczenia jurysprudencyi na Ordynacyi pruskiéj ugruntowanéj, nie chciała nikomu tamować odwołania się od wyroku uciążliwego, nieukontentowanie wzbudzającego, czyli niezupełnie uniewinniającego.

Po rozwiązaniu tym sposobem głównéj kwestyi na argumentach jasnych, które zapewne każdy bezstronny prawnik podzieli, nie widzę potrzeby dalszego rozszerzania się. Zaprzeczam tylko twierdzeniu autora Rozbioru, jakoby prawnicy teraźniejsi przyjęli jego mylne zda-

nie, a powołując się na opowiedzianą w dawniejszych moich rozprawach historyą sądowniczą zachodzącéj kwestyi, którą autor w swym Rozbiorze posiłkował się, nadmieniam, iż jak dawniéj w roku 1824, tak i dziś pobudką usiłowanéj przeciwnéj teoryi był i jest widok umniejszenia prac nazbyt mozolnych; i że w rzeczy saméj Ordynacya pruska, ustanawiając pięć kategoryj wyrokowania i wskazując dla każdéj w ogólności stopnie dowodów lub poszlak, nie pociągnęła i nie była w stanie pociągnąć wyraźnych promieni granicznych między dowodami lub poszlakami wymaganemi do całkowitéj kary, lub kary podzwyczajnéj, lub do tymczasowego uwolnienia, lub zupełnego uwolnienia dla braku dowodów, lub zupełnego uwolnienia dla wykrytéj niewinności. Tylko wieloletnia praktyka w wykonywaniu systematu dowodowego pruskiego, naprowadza na rozeznanie tych promieni granicznych. Zawsze atoli rozróżnienie dowodów lub poszlak, upoważniających do zastosowania bądź § 409, bądź § 413 w ustępie drugim lub piérwszym, jest mozolną i subtelną pracą. Przy ich stosowaniu zwykle wchodzą w ściślejszy obrachunek zasady i pobudki imputacyi wewnętrznéj, które acz najistotniejszy stanowią element w poczytywaniu zbrodni lub występku, częstokroć zbyt wysokiém podnoszeniem dowodów lub poszlak zewnętrznych zagłuszane bywają tak, że znowu acz przy chęci nieprzeciążania, jednak nader dogodném staje się *in casu concreto* zastosowanie § 413 ustępu 2go, według którego ani niewinności nie uznaje się, ani winy się nie poczytuje. Lecz jak to uwolnienie z jednéj strony jest pewnym rodzajem ułudzenia siebie samego, tak z drugiéj nie ma odrębnego celu, gdy uwolnionego zupełnie dla braku dowodu stawia w tém samém położeniu, w jakiém się

znajduje tymczasowo uwolniony z § 409. Dla tych wszystkich przyczyn najstosowniéj byłoby uchylić ustęp drugi § 414, rozciągający groźbę ponowienia inkwizycyi na zupełne uwolnienie klauzulą dla braku dowodów obciążone, a wtenczasby i powoływanie jednego lub drugiego ustępu i potrzeba odwoływania się ustała. Lecz dopókąd ta groźba z innemi skutkami pozostaje, dopótąd i możność apellowania na powyższych argumentach zasadzona, niczém ograniczoną być nie może.

Próżne także jest usiłowanie autora Rozbioru, aby wykazać, jakoby rozporządzenie z dnia $\frac{23 \text{ kwietnia}}{5 \text{ maja}}$ 1845 r. nie stosowało się do zupełnego uwolnienia dla braku dowodów z § 413. Samo jego brzmienie „nie mają być przypuszczeni do urzędów ci, którzy za przestępstwa pod sąd oddani, wyrokami zupełnie nieuniewinniającemi, ale jedynie dla braku dowodów od kary uwolnieni, tém samém pod zarzutem zostali" przekonywa, iż się nietylko do § 409, ale i literalnie do § 413 ustępu 2go stosuje. Wolnoby wszakże było z uwag powyżéj co do systematu dowodowego pruskiego rozwiniętych, wyjednać ograniczenie do wypadków § 409, bez ubliżenia przez to możności odwołania się do wyższéj instancyi, w celu wykazania zupełnéj niewinności.

Co do kwestyi, czy dopuszczalność apellacyi, wyrokiem czy decyzyą ekonomiczną rozpoznawaną być powinna, pomijam uwagi autora Rozbioru, poprzestając na zasadach, jakie w ostatniéj méj rozprawie rozwinąłem.

*Heylman.*

# KRZYŻ NA STEPIE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

*I. Korzeniowskiego.*

---

(Dalszy ciąg).

W siedm dni potém, p. Kaliniecka wyjechała z domu stryjenki i puściła się w podróż do Odessy. Ciotka miała w woreczku swoim doskonale skréślonę marszrutę na Bohopol, właściwie zaś tylko do Bohopola; gdyż daléj, za Bohem, już był step pusty, gdzie żadnéj przystani dla popasów i noclegów nikt nie mógł ukazać. A przecież p. Adamowa puściła tędy z ufnością ulubioną wychowanicę, i po długiéj konferencyi z ciotką w wilią wyjazdu, skłoniła i tę ostatnią do złożenia wszelkiéj obawy i puszczenia się tą bezludną pustynią. Chociaż obie nie wiedziały z pewnością dlaczego wierzyły, że tak będzie lepiéj, jednak jakiś głos tajemny szeptał im, że to jest wyższe zrządzenie, od którego zawisło zdrowie i szczęście téj istoty, która wszystkie ich myśli zajmowała.

Ta ostatnia o niczém nie wiedziała, którędy ją powiozą. Myślała tylko o tém, żeby już jak najprędzéj doje-

chać, spodziewając się, że jéj zaproszenie będzie skutecznem; że pułkownik, o którym częściéj marzyła niż o morzu, stanie przed nią z tém samém czołem jasném i poważném, z tém wejrzeniem głębokiém, którém zdawał się głąb jéj myśli gruntować. Była zajętą, a przecież przez cały pobyt swój w Daszówce nie zdradziła się ani razu. O dniu imienin, o osobach, które tego dnia widziała, nie mówiła nigdy. Podkomorzy, który co drugi dzień odwiedzał p. Adamową, zaczynał czasem mówić o pułkowniku, poglądając ukradkiem na faworytkę swoję; ale p. Kaliniecka odwracała zręcznie tę rozmowę, ściągając ją każdą razą do swego zdrowia, do wspomnień o mężu, do jego obchodzenia się z nią, niewyczerpanéj dobroci i dobrodziejstw. Derutował się tym sposobem stary; ale raz wieczorem, gdy siedział sobie we drzwiach otwartych salonu, a p. Kaliniecka przechadzała się samotnie od tych drzwi do początku alei i nazad, tą samą drogą, którą kilka dni temu chodziła z pułkownikiem, gdy zamyślona patrzała w ziemię, jakby upatrując śladów jego nogi, uśmiéchał się starzec i mówił sam do siebie: kłamie mój aniołek, mospanie!

Droga szła szybko i dosyć wygodnie. Kiedy sucho jest i ciepło, lepiéj i rozkoszniéj się jedzie po podolskich gościńcach twardych i szerokich, niż po szose, którego ciągły hurkot boli, a jednostajnie wyciągnięta linia nudzi. Przez całą jednak podróż p. Kaliniecka była zamyślona i milcząca. Patrzała ciągle w okno karéty i wzrok jéj gubił się w nieprzejrzanych polach, tonął w laskach cudnych i dorodnych, i rozpatrywał te wsi rozległe, ludne, umajone drzewami i ozdobione tu pałacem, tam okazałą austeryą, tam stajniami lepszemi niż dom, owdzie gorzelnią okazalszą od domu i stajen. Ciotka chciała

z początku rozerwać jéj myśli, zwracając jéj uwagę na piękność i bogactwo okolicy; ale odebrawszy raz i drugi lakoniczną odpowiedź: widzę—dała pokoj i zostawiła ją własnym marzeniom. Rzeczywiście, patrząc na ten kraj, jest o czém myśléć; można marzyć swobodnie wśród tych darów ziemi, zabezpieczających wszelkie życie tak hojnie, tak szczodrze; można wznosić się duchem do téj ręki opatrznéj, która na nią wysypała swe skarby i ubolewać nad niewdzięcznością tych, co się na tém nie znają, co mając u siebie wszystko dla oka i dla życia, nie starają się, aby mieli w domu wszystko dla duszy i rozumu; i nabiwszy dziurawe kieszenie, lecą na zachód i na południe i rozsiewają plon swéj ziemi tam, gdzie drwią z ich próżności, gdzie depcą nogami ich imię.

Ale nie o tém zapewne marzyła p. Kaliniecka, zwłaszcza trzeciego dnia podróży. Piękne Podole zamienia się na kraj coraz obfitszy, ale jednostajniejszy im bardziéj się pochyla ku Bohowi. Łany pszenicy jeszcze bardziéj się rozlegają, wsie stają się rzadsze, ale ogromniejsze, laski giną i oko gubi się w nieprzejrzanéj przestrzeni. Zmęczona cokolwiek tym widokiem, ułożyła się w głębi karéty, posuwającéj się szybko po drodze równéj i gładkiéj, i usnęła. Nagle karéta się zatrzymała i p. Kaliniecka obudziła się. Wyjrzała w okno i zobaczyła przed sobą wielkie stado pięknych owiec, które się zbliżało do grobli i przed końmi rozdzielić się nie mogło. Szedł więc powóz powoli i p. Kaliniecka oparłszy się twarzą na oknie, patrzała na tę ruchliwą massę i na ogromną wieś, malowniczo rozłożoną za groblą i stawem, chociaż obnażoną z drzew i nieubraną w sady, jak inne wioski na Podolu. Na lewo tylko, gdzie się wznosiły mury dworskich budynków, były lipy, a szczególniéj

mnóstwo topoli, wysmukłych i jednokształtnych jak filary. Wieczór był niezmiernie piękny, od stawu powiewał chłodny wietrzyk, nie gniéwała się więc, że powóz szedł po grobli zwolna, gdyż ruch, naciskanie i beczenie rozgłośne owiec bawiło ją, i widok który miała przed sobą zajmował. Widok ten tém był rozmaitszy, że na lewo przy stawie kilkanaście prześlicznych koni, które stajenni prowadzili do wody, wspinały się i rwały pod wprawnemi widać jeźdzcami, dozwalającemi im tylko lekkiéj i nieszkodliwéj swawoli; zdala zaś zbliżała się ku wodzie trzoda pięknych krów ukraińskich, z których jedne biegły milcząc, inne spieszyły z rykiem, inne szły zwolna z arystokratyczną powagą magnatek, dumnych rogami i pochodzeniem. Przy końcu grobli, postrzegła Kaliniecka słup wielki z tablicą. Już zdala patrzała ku niéj z ciekawością i chęcią dowiedzenia się do kogo ta wieś należy, kto ten znakomity gospodarz, którego mieszkanie jaśniało zdala porządkiem i dostatkiem, którego poddani mieli tak czyste i porządne zabudowania, którego stada z wesołym rykiem i swawolą spieszyły do wody, którego słudzy w czystém odzieniu, ze śmiejącą się i rumianą twarzą, krzątali się koło gospodarstwa. Na tablicy był napis następujący: „Powiat Bałtcki wieś Szabrań, Antoniego Korzyckiego, dusz 900". Przeczytawszy te magiczne słowa, które rzuciły piękniejsze jeszcze światło na całą scenę, zakryła twarz rękami, czując, że ją krew oblewa i zdradzieckim okrywa rumieńcem.

— Czyja to wieś Józiu? — zapytała ciotka.

— Nie uważałam — odpowiedziała młoda kobiéta, i kłamstwo to dało jéj miarę stanu jéj serca i powiększyło jéj pomieszanie.

Gdy przejechawszy groblę, zbliżali się ulicą do dworu, mimo którego przechodziła droga, zdawało się jéj, że wszystko w tym domu powinno być gotowe na jéj przyjęcie; że zastanie otwartą bramę, przygotowane pokoje i na ganku uprzejmego gospodarza, który może z biciem serca wprowadzi ją pod ten dach, gdzieby ją pragnął nazawsze zatrzymać. Takiemi myślami zajęta, z piersią otwiérającą się słodkim nadziejom, jechała milcząc i nie spuszczając z oka téj massy budynków, które przed nią bielały, i tych drzew olbrzymich, których wiérzchołki chwiejąc się zwolna, zdawały się ją przywabiać do siebie. Ale gdy się zrównali z dworem, postrzegła bramę zamkniętą, dziedziniec pusty i bezludny, wszystkie drzwi równie w oficynach, jak i w środkowym gmachu zawarte, wszystkie okna to prostemi okienicami, to zielonemi żaluzyami szczelnie i starannie przysłonięte. Głuche milczenie zalegało te obszerne budowy, i ze wszystkiego widać było, że w nich nikt nie mieszkał, że je pan ich opuścił, że był daleko.

Smutno się zrobiło w sercu młodéj kobiéty i piękne jéj rojenia znikły, zostawiwszy tylko jakąś niewypowiedzianą tęsknotę i żal za tém, czego jeszcze nie posiadała, do czego nie miała najmniejszego prawa, a co się jéj wydało jakby wydartą własnością, jakby niezasłużoném zapomnieniem. Parę łez ukrytych i prędko otartych wydobyło się z jéj oczu, zasunęła się znowu w głąb karety, nie słuchając słów dobréj ciotki, która ją wszelkiemi sposobami rozerwać starała się. Tak minęli wieś. Gdy powóz ruszył szybko od karczmy szabrańskiéj, gdzie się furman przez chwilę dla rozpytania się o drogę zatrzymał, gdy już byli na otwartém polu, owiana chłodnym wiatrem wieczoru, orzeźwiona oddechem łanów

i sianożęci, uspokoiła się cokolwiek, i westchnąwszy nieznacznie, pomyślała: „Tu go niéma, bo już jest w Odessie i tam mnie czeka". Na tém tle naprędce usnutém, imaginacya jéj zaczęła wyszywać nowe wzory, a serce przyjmując nowe nadzieje, barwiło je najpiękniejszemi kolorami. Te jéj nadzieje byłyby może jeszcze żywsze i piękniejsze, gdyby jedno drobne zdarzenie przed karczmą w Szabraniu, nie było uszło jéj uwagi.

Do słupa podpiérającego poddasze karczmy, porządnéj zresztą i obszernéj choć była drewniana, przywiązany był koń, na którym było siodło kozackie, mające olstra, z których wyglądały pistolety. Tamże na ławce siedział kozak dworski i zdawał się kogoś wyglądać. Byłto chłop silny, barczysty, z ogorzałą twarzą, śmiałém wejrzeniem i wąsem gęstym i siwiejącym, który spodnią wargą do ust łapał i zębami białemi przygryzał. Kto nie widział ukraińskiego kozaka, radzę, aby mu się przypatrzył, bo już ten rodzaj ludzi, którzy niegdyś na dworach panów tamtejszych, tak znakomitą grali rolę, zaczyna niknąć, i rzadko gdzie da się dziś spotkać prawdziwy, typowy exemplarz. Ten należał w całém znaczeniu do dawnego pokolenia kozaków, których hasłem była wierność panu i baczność niezmordowana na każde jego skinienie. Woził on nieraz i dostawiał wiernie ogromne summy, woził najtajemniejsze korrespondencye i oddawał je według adresu z poleconą ostrożnością. Dziś siedział tam od rana i czekał, i zapewne pan jego musiał wielką wagę przywiązywać do polecenia, które mu dał, gdyż nie ruszając się z téj ławki, tam raniutko wypił kieliszek wódki, którą sobie kazał wynieść, tamże zjadł lekkie śniadanie i tam doczekał się wieczora, patrząc ciągle na drogę ode wsi, i nie okazując żadnego znaku

niecierpliwości; koniowi nawet kazał wynieść z karczmy siana i wody, a sam nie odchodził ani na chwilę. Z pod czapki jego barankowéj, z seledynowym woreczkiem, wyglądały już siwe włosy, tak nazwanego seledca, który czasem brał do ust i zamiast wąsów zębami przygryzał. W siwych i bystrych oczach widać było rozum i przenikliwość; przeciérał je tylko niekiedy, żeby się nie zdrzymać i znowu patrzył z natężeniem. Ubiór jego okazywał, że go pan cenił i lepiéj niż innych kozaków stroił: kurtka jego czarna, obcisła, była z cienkiego sukna, z takiegoż seledynowy kontusik, sięgający tylko do pasa, którego rękawy były z tyłu związane, i który obszyty był złotym sznureczkiem. Ponieważ to było w letniéj porze, miał szarawary płócienne, ogromne, które na nim wisiały jak spodnica. Za pasem z szaréj skóry, pełnym ładunków, widać było nóż, łyżkę i parę krucic; z prawéj zaś strony na guziku, zawieszony był kańczuk na biczysku krótkiém i misternie rzemykiem okręconém. Do tych szczegółów dodam jeszcze, że wierny ten sługa nazywał się Semen, gdyż na dziesięciu kozaków na Ukrainie, pięciu prawie nosi to imię.

Otóż Semen gdy posłyszał hurkot kół, podniósł głowę i wzrok natężył; a gdy postrzegł zdaleka powóz, porwał się ze swego miejsca, przyłożył rękę do czoła, aby się lepiéj przypatrzył koniom i karecie, i gdy się przekonał, że się nie myli, rzekł półgłosem:—*nu! sława Bohu!*—i w mgnieniu oka koń był zakiełzany, lewa ręka Semena trzymała cugle i grzywę, a noga jego była w strzemieniu. W takiéj postawie czekał, póki się nie zbliżą.

Stanął powóz i kozak widząc, że ma czas, wyjął nogę z strzemienia, i nie zważając niby na przybyłych, za-

czął coś koło siodła poprawiać. Ukradkiem jednak zajrzał do karety i postrzegłszy dwie panie, znowu sobie szepnął: „Ona, sława Bohu!"—Piérwszą razą powiedział Semen: sława Bohu! bo się może ucieszył, że się czekanie jego skończyło; ale drugą razą ucieszył się, bo wiedział, że się *Bat'ko*, t. j. ojciec, pan, ucieszy i że to co *Bat'ko* kazał, kozak dobrze i wiernie wykona. Taka była religia ukraińskiego kozaka.

— Hej! kozacze! daleko do Bohopola? zawołał furman, kładąc batóg swój na budzie karety.

— Dwie mile—odpowiedział Semen z tym uśmiechem Ukraińca, kiedy mówi o swoich milach, bo wié dobrze, że dwie mile to znaczy pięć lub i więcéj.

— A zajedziemy tam dziś na nocleg?—rzekł znowu furman Michał, obciérając twarz z kurzawy.

— Jak ruszycie zaraz—odpowiedział kozak, troskliwy aby nie jechali nocą—to zajedziecie.

— A to zapewne wasze, tutejsze mile? — dodał furman, skrobiąc się w głowę, bo już nabył cokolwiek doświadczenia mil ukraińskich.

— Abo wy nie tutejsi?—zapytał w miejscu odpowiedzi kozak. Miał on w tym ważny interes, bał się omylić i chciał wybadać.

— My zdaleka, od Humania teraz jedziemy.

— Aha! od Humania, odpowiedział Semen. — Bywałem ja i tam.—A czy nie z Kaliniec?—dodał chytrze nie patrząc na furmana i podciągając popręgę od siodła.

— Nie, z Daszówki jedziemy.

— Aha! z Daszówki — odezwał się Semen i oczy jego zaiskrzyły się od radości. — To jedźcież, jedźcie, bo do Bohopola daleko, a na drodze niéma gdzie nocować.

— A niéma mylnéj drogi kozacze!—zapytał ziewając i wyciągając się lokaj, który nie chciał siedzieć jak malowany, i postanowił także wmieszać się do konwersacyi.

— Ta są i mylne—rzekł Semen uśmiéchając się—ale od czegóż język? Patrz przed siebie i jedź, a jak nie wiész, to zapytaj się.

— A jak niéma kogo zapytać? rzekł znowu furman.

— To taki jedź —odpowiedział Semen kiwając ręką—zawsze na końcu gdzieś zajedziesz i tam zapytasz się.

Zaśmiał się głośno furman, wziął bicz, krzyknął na konie hou! i ruszył z miejsca.

Semen już był na siodle, minął karétę i puścił się kłusem.

— A ty kozacze dokąd jedziesz? wołał za nim furman.

— Do Bohopola.

— To nam pokażesz jak będzie mylna.

— Może i pokażę—odpowiedział kozak i nachyliwszy się naprzód uderzył konia kańczugiem i okrył się kurzawą, która się za nim wzniosła.

Furman zaciął konie i spieszył, żeby go nie stracić z oczu. Tego właśnie chciał Semen, aby jechał prędzéj, bo wieczór się nasuwał, niebo było ochmurzone i w téj części kraju, nachylającéj się ku dolinie Bohu, jak zwykle na lewym brzegu każdéj rzéki, pokazywały się piaski, bagna, a zatém grobelki i mostki.

Całéj téj rozmowy damy nasze nie słyszały i nie uważały spotkania z Semenem. P. Kaliniecka w głębi karéty leżała z chustką na oczach, a ciotka zajęta była jéj stanem i na nią całą swą uwagę zwróciła.

Tymczasem wieczór się nasuwał i niebo coraz bardziéj chmurzyć się poczęło. Po dwóch godzinach ja-

zdy, napędził furman kozaka jadącego przodem i zawołał:

— Hej! kozacze! czy nie będzie tu jakiéj wsi, albo karczmy?

— Będzie niedaleko wieś Ślusarewa—odpowiedział.

— A możnaż tam przenocować?

— Byle trawa i woda to wszędzie można nocować—rzekł kozak.—W Ślusarewéj dla koni miejsce będzie, tylko dla państwa niéma.

— Co tam państwo—rzekł furman—byle dla koni, ja tam zanocuje.

— Jak zechcesz—odpowiedział kozak.

— A dalekoż do Bohopola? kozacze.

— Dwie mile—odpowiedział Semen, zwracając głowę i ruszył daléj.

— Niechże was djabli wezmą, z waszemi milami—mruknął Poliszuk przywykły do innego rozmiaru drogi, i klasnąwszy silnie z bicza, krzyknął na forysia: wyciągaj bestyo!

O dobrym zmroku stanęli przed karczmą niewielkiéj wioski, leżącéj w nizinie, przez którą przeciekała mała rzéka, niosąca swój grosz wdowi do Bohu i z nim razem pędząca do Dniepru. Wioska ta była licha, miała jakiś dziki pozór, karczma zaś nie obiecywała dobrego noclegu. Widział tam wprawdzie wąsaty i troskliwy o konie furman p. Kalinieckiéj Semena, który wprzód stanął, zlazł z konia i popuszczając mu popręgi zdawał się znowu nie zważać na przybyłych; ale już miał do niego żal za te nieskończone dwie mile, i nie uczcił go żadném słowem. Przed karczmą stało kilku chłopów. Ich twarze ponure, wzrost ogromny, powiększony jeszcze przez wysokie czarne czapki na bakier położone na głowach

podgolonych, krótkie czarne sukmanki, wiszące zawiesisto na jedném ramieniu, i miny niedbałe i dumne, niebardzo go zachęcały; jednak wolał ich zapytać o dalszą drogę, sądząc, że mu ją wierniéj ukażą. Rzekł więc łagodząc głos i uchylając czapki:

— Hej! panowie gromada! a daleko do Bohopola?

— Półtory mili—odpowiedziało kilku, poglądając zukosa na powóz i stojącą za nim brykę z rzeczami i z kuchnią.

— To djabelski kraj—rzekł wówczas furman odwracając się od nich z gniewem—jedziemy, jedziemy i ujechaliśmy pół mili. — Semen się uśmiéchał i daléj coś tam koło siodła przyrządzał.

— A kozak śmieje się z nas—rzekł lokaj.

— Ba, śmieje się, bestya, bo nas zdurzył, że dwie mile—odmruknął woźnica — trzeba było tam nocować. Idź zapytaj pani, co każe robić. Daléj jechać nie można.

Zsiadł lokaj z kozła i zbliżył się do drzwiczek powozu. Obie panie wyjrzały oknem i dziwny jakiś strach ogarnął je na widok téj okolicy, téj obdartéj karczemki, tych ludzi, których postawa, wzrost i miny oświecone światłem komina padającego przez drzwi otwarte, nieprzywykłemu oku wydały się pełne zuchwałości i nabawiały mimowolném podejrzeniem. Szary wieczór i dészczyk, który pruszyć zaczynał, rzucał jeszcze tło posępniejsze na ten obraz.

— Co za kraj okropny! rzekła ciotka. Szkoda, żeśmy tędy pojechały.

— Tędy? odpowiedziała Kaliniecka. Alboż mogłyśmy jechać inną drogą?

— Naturalnie, mogłyśmy jechać pocztowym traktem. Ale stryjence poradzono, że tędy bezpieczniéj.

— Musiała stryjenka dobrze rozważyć daną radę, kiedy na nią przystała—rzekła młoda kobiéta.—Niech ciocia będzie spokojna, nic się nam nie stanie.

— Ale Michał mówi, że nie można daléj jechać; gdzież tu przenocujemy?

— Byle było miejsce dla koni — odpowiedziała druga—my przedrzymiemy się w karécie.

Po téj rozmowie wysiadły obie i chciały wejść do karczmy. Na progu siedział sobie jakiś hardy ukrainiec, i nie myślał wcale ustąpić im z drogi. Semen, który był blizko, nachylił się do niego i szepnął mu: „Wstań czortów synu! bo cię podejmę"—Chłop spojrzał na kozaka, podniósł się i odszedł. Ale p. Kaliniecka nie dostrzegła téj przysługi i nie zwróciła nań uwagi. W karczmie nie było ani osobnéj stancyi, ani żadnego kąta, gdzieby się mogły rozłożyć. Izba była pełna ludzi różnego wieku i płci. Po większéj części byli to ludzie obcy, idący na stepy z kosami i grabiami na zarobek. Przy ogniu stała żydówka przygotowująca niektórym wieczerzą; przy szafce swojéj stał żyd rudy i obdarty i częstował wódką ochotników, zgromadzonych przed nim w rozmaitych postawach. Na stole siedział jeden z chłopów ze skrzypeczką małą i nową, i krótkim i wygiętym smyczkiem rzępolił przeraźliwie ukrainkę, do któréj parobcy wybijali takt kosami, a kobiéty klaskając w dłonie i wabiąc mężczyzn, wyzywały do tańca. W jednym kącie otoczonym ciekawą grupą, pijani parobcy dręczyli jakąś ślepą i także już pijaną babę, która im za trojaka przeraźliwie deklamowała ojcze nasz.

Ta wrzawa złożona z pisku krzykliwéj żydówki, z płaczliwéj deklamacyi pijanéj baby, rzępolącéj skrzypki, śmiejących się dziéwek, hałasujących chłopów; ta atmosfera karczmy, skombinowana z wyziewów wódki, tytuniu i żydowskiego gospodarstwa; ten widok zgrai hardéj, wyuzdanéj i pijanéj, tak przeraził nasze podróżne, że się cofnęły prędko i napowrót do powozu się schroniły.

Tymczasem Michał, obejrzawszy stajnią i przekonawszy się, że jakkolwiek ulokuje konie, zabiérał się je wyprzęgać. Wówczas Semen przystąpił doń i rzekł:

— Nocujecie tu?

— Żebyś był nie gadał, że dwie mile, bylibyśmy tam nocowali.

— Dobrze wam będzie i tu — dodał kozak uśmiéchając się.

— Ba, dobrze, kiedy nie można lepiéj; koniska pomęczyły się jak sto djabłów.

— Zbudź mię, jak się będziesz kładł, ja teraz pójdę spać.

— Dobrze, dobrze — rzekł Michał, a gdy kozak się odwrócił, plunął wąsacz i dodał ciszéj: — Idź do djabła.

Przez czas téj rozmowy, ciotka kazała sobie podać z bryki mały posiłek z licznych zapasów daszowieckich, i upomniawszy ludzi, aby pilnowali i nie spali, sama smaczno zasnęła. Pani Kaliniecka odmówiwszy wszystkiego, czém ją ciotka częstowała, ułożywszy się w kącie karéty, zaczęła myśléć i marzyć; ale sen dalekim był od jéj oczu.

Już było zupełnie ciemno i zapewne północ. Ciotka spała, lokaj na koźle chrapał w najlepsze, w karczmie

nawet skrzypka umilkła, żydówka przestała gadać i cała zgraja po pijatyce i swawoli legła i umilkła.

Zmęczona bezsennością heroina nasza, czując nawet cokolwiek gorączki, wychyliła głowę z okna karéty, aby ją cokolwiek świéże powietrze owiało. Wówczas z podziwieniem postrzegła, że się przed powozem, cokolwiek opodal jakiś obcy człowiek przechadza. Oswojone z ciemnością oczy, przy rozjaśnioném niebie i niezliczonych gwiazdach, które się na niém ukazały, mogły rozróżnić, że to nie był prosty wieśniak, ani żaden z jéj ludzi. Przypatrzywszy się pilniéj dostrzegła, że to był kozak dworski, ale nie mogła pojąć, zkąd się wziął i dlaczego o téj porze czuwał. Wkrótce zdało się jéj, że słyszy tentent konia, idącego silnym kłusem. Wychyliła się więc jeszcze bardziéj i rzeczywiście obaczyła, że się jeździec jakiś przybliżał drogą od Bohopola. Gdy się zrównał z przechadzającym się kozakiem, zatrzymał raptem konia i rzekł:

— To ty Semen?

— Ja, odpowiedział kozak.— A dokąd jedziesz?

— Pan posłał dowiedzieć się.

— Mów ciszéj. Jadą, rzekł Semen, ukazując na karétę—wracaj do pana i powiedz. Już ja nie zaśpię, niech będzie spokojny.

— Bywaj zdrów Semenie—a nie masz tytuniu?

Semen dobył woreczek; siedzący na koniu kozak, podobnież ubrany, nasypał tytuniu na dłoń, wyjął z za pasa fajeczkę, wytrząsł ją uderzając o olstra swego siodła, i nakładając, dodał:

— A spać się nie chce?

— Spałem z wieczora—odpowiedział Semen—i ledwiem uprosił pijaków że się uciszyli, żeby jéj dali zasnąć. Jedź Harasymie, jedź, bo tam Bat'ko czeka.

Zawrócił się konny podróżny i pobiegł szybkim kłusem, a Semen przechadzał się daléj i czujnie oglądał się na wszystkie strony.

Całą tę rozmowę wysłuchała pani Kaliniecka i pojąć nie mogła, coby znaczyła. Wtenczas przypomniała sobie, że widziała tego samego kozaka przed karczmą, gdy wysiadała z powozu; że on głosem i giestem karcił chłopów, którzy jéj nie ustępowali z drogi; że zdawał się poglądać na nią z pewném uszanowaniem, i patrzył jéj w oczy, jakby był gotów na jéj skinienia. Byłże to ich przewodnik? byłżeto stróż naznaczony, aby czuwał nad ich drogą? On kazał powiedzieć swemu panu, że nie zaśpi, kazał mu być spokojnym. Jakiżto pan był o nią niespokojnym? i kto przydał jéj tak wiernego sługę dla zabezpieczenia jéj podróży? Gubiła się w tych domysłach, a serce szeptało, że to zapewne on, że to ten, o którym tak jéj było słodko marzyć i w najpiękniejszém świetle wyobrażać jego rozum, jego charakter, a nawet jego przywiązanie. W takich myślach zasnęła, a sen smaczny i błogi na świeżém powietrzu, nad rankiem czystym i orzeźwiającym, pokrzepił jéj siły i do dalszéj ją drogi umocnił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# KRONIKA LITERACKA.

---

*Album literackie, pismo zbiorowe poświęcone dziejom i literaturze krajowéj, pod redakcyą Kaz. Wł. Wojcickiego.* 1848. *Warszawa.*

Czém jest *Album?* mówi powyższy napis. *Album literackie* jestto zbiór prac i utworów różnych pisarzy, mających za przedmiot literaturę i dzieje krajowe. Artykuły ze sfery obu tych działów, zawarte w obecnym zbiorze, są następne:

Z oddziału historyi:

1. *Przyłączenie Mazowsza do Korony*, rozprawka zaczynająca Album.

Rozprawce téj (autorem jéj p. *Lissowski*) wartość mianowicie dodają umieszczone przy końcu dyplomata historyczne z akt metryk koronnych wyjęte, jakoto: Wyrok Zygmunta Igo między książętami Mazowsza i szlachtą. (Akt, który objaśnia stopień téj supremacyi i wpływu jakie królowie polscy nad Mazowszem, mimo udzielność tego księztwa, zachowywali). Przywiléj dla Anny mazowieckiéj. Akt połączenia Księztwa Mazowieckiego z Królestwem. Wyrok J. Kr. Mości z przyczyny pewnych zmyślań i osławiań niektóréj szlachty o życie książęce.

2. *O zgonie ostatnich książąt mazowieckich*, przekład ze spółczesnego łacińskiego rękopismu: wyjęty ze zbiorów rękopiśmiennych po Adamie Naruszewiczu.

3. *O Tatarach mieszkańcach Królestwa Polskiego*, rozprawa pośmiertna Jana Wincentego Bandtkie.

Jestto rys tych nadań i przywilejów, jakie otrzymywali Tatarzy w Polsce od czasu piérwszego osiadania ich w kraju, do Księztwa Warszawskiego, a którym kraj zawdzięczał im wierność i pochopność do służby wojskowéj.

4. *Swięta Jadwiga księżna szlązka z rodziny Piastów*, przez wydawcę.

Artykuł ten, opowiadający życie téj księżny głównie pod względem historycznym, obejmuje téż i biografią *Henryka Brodatego* jéj męża.

5. *Wiadomość o rękopiśmie kroniki Galla z XIV wieku*, znajdującym się w bibliotece Zamojskich w Warszawie.

Jestto porządna wiadomość historyczna o tym rękopiśmie przez p. Lissowskiego. Wydawca umieścił nadto znaleziony na okładce tego rękopismu wiérsz, tojest:

6. *Pieśń historyczną o śmierci Andrzeja Tęczyńskiego*, zabitego w roku 1462 przez mieszczan krakowskich, za uderzenie jednego z nich.

7. *O czeskich wojennych taborach* w XV wieku.

Jestto wiadomość o sztuce używanéj przez Czechów (sztuka znana i starożytnym) walczenia na *wozach* czyli *taborach*; z rozpraw czeskich pp. *Palackiego* i *Buryana*, przez p. Dubrowskiego porządnie spisana.

Z oddziału literatury:

1. Trzy powieści czyli opowiadania: *Czerniaków pod Warszawą*, *Rynek Starego Miasta w Warszawie* i *Przejażdżka chwilowa w Mazowszu*, przez wydawcę.

Charakter powieści autora *Zarysów* i *Gawęd* powszechnie jest znanym. Powieść p. Wojcickiego, nie jestto ani poemat, ani żadna całość estetyczna; napis jéj, sąto tylko pomyślane ramy, dla umieszczenia w nich kilku anegdot, rysów, charakterów krajowych, przysłów, legend, tradycyj i t. p. Ten charakter mają téż właśnie i umieszczone w Album opowiadania. Pielgrzymka piesza na odpust do *Czerniakowa*, dała zręczność autorowi ujrzenia tam kilku figur, które

go uderzyły i powtórzenia ich przygód; treść ich (zkądinąd w powieści nie nowa) jest: śmierć na szańcach, śmierć z małżeństwa przymuszonego, obłąkanie z miłości i t. p. Przypatrywanie się scenom Starego-Miasta, dało mu powód do opowiedzenia anegdoty, pod tytułem: *Rynek Starego-Miasta*; treścią jéj jest: los syna zamożnych rodziców, wychodzącego na świat z majątkiem, ale bez wychowania i kończącego na łachmanach i szynku. W *Przejażdżce po Mazowszu*, Mazurek Waluś opowiada autorowi podania gminne, w miarę jak dawały im powód przedmioty w wędrówce napotykane, a mianowicie: *O żonie wężowéj*, *O strzelbach zaczarowanych*, *O zbójcy Ćwiku* i t. p. W opowiadaniu tém, autor był głównie w swoim żywiole i mielibyśmy tu tylko do zarzucenia dykcyą Walusia. Wprowadzając do powieści pisanéj mową książkową, rozmowę człowieka z ludu, dwa przedstawiają się środki: lub zrobić tak, jak się robi z mową cudzoziemców, tojest przekładając ją na dyalekt książkowy, lub też dyalekt ludu (ile czytelnikowi zrozumiały) żywcem zachować. P. Wojcicki chce zwykle w podobnych razach iść drogą pośrednią, i przez to zdaniem naszém psuje wrażenie. Jego np. Waluś mówi *słonko*, *Warsewa* i t. p., a zresztą mówi mową książkową. Te wyrazy wtrącane, przypominają tylko śród powieści bytność, rękę autora; ideał zaś, iżby był ideałem, nie powinien nam przypominać ręki autora.

Dyalekt ludu w rozmowie, dobrze właśnie zachował p. *Józef Paszkowski*, w powiastce w témże Album umieszczonéj, pod napisem:

2. *Rosół kanonierski.* Opowiadanie w téj powiastce żywe i naturalne, żałujemy tylko że krótkie, i że opowiedziało nam treść dawno już znaną.

3. *Stary sługa* przez Leona Kunickiego, szkic wierny i dobrze napisany.

4. *Opis ogrodu Arkadyi* (z ustępami poezyi) przez założycielkę księżnę Radziwiłłowę w języku francuzkim napisany, a przez S. Ż. przełożony.—Opis bez talentu, przekład dobry.

5. *Ojciec Salezy*, przez Sewerynę Ż. Jestto powieść najdłuższa w Album, i pióra, które dopiéro piérwszy raz spotykamy. Przytoczymy więc szczegółowiéj jéj treść i parę uwag dodamy.

*Ojciec Salezy* jestto opowiadanie ze wspomnień życia przez p. Augusta Ch. w gronie wiejskiém w *Zagrodzie*, dla skrócenia wieczoru zimowego.

P. August był synem niemajętnych dzierżawców, a w ich sąsiedztwie w *Zapolu* mieszkali pp. żupnikostwo Baliccy, również niemajętni dzierżawcy, rodzice *Heleny*. Ta równość i to sąsiedztwo nie trwały długo. Na Balickich na Podolu otworzył się znaczny spadek, i wkrótce pp. Żupnikostwo z uśmiéchem, a Helena ze łzami na twarzy, pożegnali Zapole.

Ukrył je i p. August, Helena bowiem była piérwszym żywszych uczuć jego przędmiotem.

Czas się zaczął bojowy, i August dopiéro w lat kilka w Warszawie spotkał Helenę z matką. Helena była w żałobie, blada i smutna; źródłem smutku, nie była jéj jednak sama żałoba. Helena była bogatą wdową i miała złoto, i źródłem jéj niepokoju było, czy *pułkownik* który ją miał poślubić, kochał więcéj ją samą czyli jéj złoto? Zagadkę tę rozwiązał p. August; puścił wieść o bankructwie Heleny, a pułkownik zniknął nazajutrz i nie powrócił.

Helena zamieszkała w Krakowie jak biédna wdowa i pragnęła spotkać serce dla serca. Młody człowiek, który nie błyszczał dostatkiem ani urodzeniem, zajął ją i został nią dla niéj saméj zajęty. Pełna szczęścia Helena odkryła mu stan swój, majątek, lecz młody człowiek przeraził się téj różnicy, nie chciał być hańbą dla swéj przyszłéj żony, pożegnał więc tylko ją listem i także zniknął.

Ciosu tego nie przeżyła Helena; życie jéj wkrótce gasnąć zaczęło i zgasło. August był świadkiem ostatnich jéj wyrzekań i żalów.

W czasie tego opowiadania Augusta, gospodarz grający maryasza z ojcem Salezym, przymuszony był przerwać grę z powodu coraz rosnącego zapominania się spółgrającego. Po skończeniu powieści, zmieszanie się i bladość zakonnika

wszystkich oczy zwróciły. I potém na grobie Heleny był nieraz spotykanym modlący się ojciec Salezy. Czytelnik wnosi, iż ojciec Salezy był owym ostatnim jéj kochankiem.

Taka jest treść téj powiastki. Cel jéj moralny jasny. Helena jéj bohaterka kończy życie z czułości, wiernéj miłości; nie ta jednak czułość i wierna miłość były zapewne celem opowiadania autorki. August wprawdzie po kilkakroć spotyka Helenę usychającą z miłości, lecz zawsze dla innego przedmiotu. W powieści téj głównym celem autorki było zwrócić uwagę, wskazać na tę fatalność losów: iż miara szczęścia w daném życiu człowieka, bywa nieraz i bywa zwykle w stosunku odwrotnym z miarą dostatków. Szczęśliwa zrazu w Zapolu młoda Helena, razem z bogatym spadkiem, życie uśmiechów na życie łez zamieniła. Zmuszona najprzód poślubić starca (hrabiego) którego lubić nie mogła, daléj była zdradzoną dla złota, a daléj wzgardzoną i porzuconą dla złota. Ładny jest ustęp w powiastce, rozpamiętywanie i wyrzekanie Heleny na łożu śmierci, a który się zaczyna od tych słów: „Boże mój! i czémże ci zawiniłam, żeś mi dał złoto?"

Powiastka Ojciec Salezy, pod względem wykładu i dykcyi, pisana jest piórem może trochę wahającém się jeszcze, lecz zdolném; pod względem treści, mielibyśmy tylko autorce pewną przesadę celu, lub raczéj może niejasne odkréślenie głównego celu, do wyrzucenia. Może celem autorki było (i tak usiłowaliśmy pojąć to), przedstawić owego ostatniego kochanka Heleny, jako folgującego istnącym stosunkom światowym i czyniącego ofiarę z siebie dla szczęścia Heleny. Wszakże nie tego uczy dosłowne brzmienie powieści. Według brzmienia powieści, ostatni kochanek Heleny rzucił ją dlatego jedynie, że nienawidził złota. Helena mówiła do Augusta umierając o tym, którego mu za *ideał* podała: „A wieszty dlaczego on się oddalił i dlaczego lubo tak prawdziwie ukochany, nie jest tu, by mnie jeszcze *do życia przywołać?* oto dlatego: że jestem bogatą dziedziczką, milionowych dóbr panią, że dłoń ma zbrudziła się dotknięciem niegodnego kruszcu" i t. d.

Ideał autorki wolał zamordować tę którą lubił, byle się tylko nie tknąć tego, czego nie lubił.

Popiérając, szerząc jakąś ideę (a zdaje się nam, że właśnie jedném z zadań autorki w powiastce było: szerzenie idei, idei bezwzględnéj miłości), strzedz się trzeba, iżby jéj przesadą nie zdradzać.

Rzetelna miłość nie mówi: „kochaj biédnego, pogardzaj możnym"; lecz mówi „*kochaj każdego*, bez względu czyli ten biédnym jest, czyli też możnym".

6) *Simara*, scena dramatyczna Teofila Lenartowicza.—Simara była to (według autora) jedna z wieszczek ludu izraelskiego wędrującego do ziemi obiecanéj, a która krzepiła i obudzała duch ludu w jego wędrówce. Scena zaczyna się proroctwem, a kończy śmiercią Simary, strzałą nieprzyjaciela przeszytéj.—Poetyczna zdolność p. Lenartowicza znana jest czytelnikom Biblioteki. Treść sceny jego nie jest historycznie biblijna, autor wszakże umiał zachować w obrazach koloryt Wschodu, a w dykcyi koloryt pisma, tojest owe zjednoczenie szczególne powagi i razem prostości.

7) *Pieśni obrzędowe ludu polskiego*: Kogutek, Gaik, Okrężne; z muzyką, przez Oskara Kolberga.

Praca p. Kolberga żywy materyał do poezyi i muzyki krajowéj, znaną jest także czytelnikom Biblioteki; część téj pracy ma właśnie i Album.

8) *Wzgląd na historyczność pieśni ludu polskiego*, przez W. A. Maciejowskiego.

9) *Historya Literatury Polskiéj od jéj początków do wieku Zygmunta Augusta, spisana z prelekcyi Leona Borowskiego, wykładanych w Akademii Duchownéj w Wilnie* r. 1838.

Artykuł ten najobszerniejszy z artykułów Album, urządzony i dostarczony zapewne został przez jednego z uczniów autora. Borowski był niegdyś następcą na katedrę *wymowy* i *poezyi* w byłym uniwersytecie wileńskim, po Euzebiuszu Słowackim. Katedrę tę od roku (jeżeli się nie mylimy) 1818, do przeniesienia uniwersytetu w r. 1831 bez przerwy zajmował.— Pół Litwy znało i pamięta zapewne prelekcye

Borowskiego. Wszyscy prawie poeci i wogóle pisarze, którzy się ukazywali w Litwie od roku 1818, byli to jego uczniowie. Borowski usposobienie do literatury idące z pracy, miał gruntowne, lecz zdał się ją lubić nie tyle przez miłość istoty jéj, jak z obowiązku. Suchy i klassyczny w wykładzie, w utworach literatury patrzył nie na związek ich z życiem, ale na reguły. Wielbiciel przedewszystkiém tego co starożytne, każdą godzinę prelekcyi ledwie nie więcéj odziewał w cytacye łacińskie i greckie, jak słowa mowy krajowéj. Miłości też do piśmiennictwa w uczniów swych nie przelewał, zdolnościom ich nie dowierzał, prace ich lubił zwykle w nicość albo przedmiot ironii głośno zamieniać. Jeden z uczniów, który daléj pomścił się sławą, do niegoto w jednym z swych piérwszych poematów, lubo może z przesadném uczuciem, stosował ów zwrot o surowym sędzi prac młodych, który:

„Oczerniał każdą piękność którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka;
I nauk ziarno z samego zarodka,
Gadziny zębem roztoczył".

Borowski był wszakże wogóle przyjacielem swych uczniów: był on autorem niejednéj dobréj rozprawy, jak np. *O wymowie* i *poezyi*, rozprawy konkursowéj (drukowanéj w kilku numerach Dziennika Wileńskiego i oddzielnie w zbiorze pism Borowskiego), recenzyi komedyi Samolub, umieszczonéj w Dzienniku Wileńskim i t. p. a w ostatnich latach wykładu zmienił był z gruntu niejednę swą wiarę krytyczną. W artykule umieszczonym w Album można właśnie dostrzedz tę zmianę z przypisów dodawanych w r. 1838 do *Wstępu*, w czasie przygotowania się do piérwszych kursów pisanego.

Co do saméj *Historyi Literatury*, wydawca jéj przechował zapewne pamiątkę piśmienną; jednakże wydrukował rozprawę, którą bez wątpienia sam autor celowi temu nie przeznaczał.

Niedokładność zewnętrzna i nieokreślność wewnętrzna, sąto cechy tego artykułu czyli kursu.

Jak się autor nie troszczył, tojest zapominał w nim na szczegóły zewnętrzne, dosyć jest np. wspomnieć: iż mówiąc o zabytkach prozy z epoki Iszéj chrześciańskiéj od roku 950—1380, a zatém okresu piérwszych naszych kronikarzy, mówi: „z prozy z epoki téj, żadnych nie posiadamy pomników, prócz dokumentów najwięcéj po łacinie pisanych" (str. 229.)

Co do strony wewnętrznéj, autor nie przedstawił charakterystyki żadnéj, ani *epok*, na które podzielił swą historyą, ani szczególnych *pisarzy*, ani ich *pism*. Liczne karty kursu zajęte są wprawdzie rozbiorem przekładu *Psalmów* Jana Kochanowskiego, *Jerozolimy* Jędrzeja Kochanowskiego i *Sielanek* Symonowicza; lecz uwagi o *słowach* przestarzałych i *wyrażeniach* od dzisiejszych odmiennych, stanowią prawie jedyną treść tych rozbiorów.

Wydanie Album Literackiego jest ozdobne i rozmaite. Prócz melodyj do Pieśni ludu p. Kolberga, oraz *facsimiliów* roty przysięgi Mazurów Zygmuntowi I (w języku polskim) i pieśni o Tęczyńskim, dodane są jeszcze: wizerunek *taborów czeskich*, oraz kolorowane litografie przedstawiające *nagrobek Henryka Pobożnego* w kościele wrocławskim (poległego w r. 1243 pod Lignicą, w obronie księztwa swego i całego chrześciaństwa), i *ś. Jadwigi* według starego obrazu kościelnego w Lignicy, z rysunków p. Lessera.

W opisie życia ś. Jadwigi, umieścił wydawca Album wyjątek z pieśni p. Augustyna Bielowskiego, o bitwie na *Dobrém polu* pod Lignicą. Przytoczymy tu na zakończenie doniesienia naszego o artykułach Album, zakończenie téj pieśni, które postawi naocznie przed czytelnika ów wizerunek nagrobku.

Autor opisuje w swym wierszu przegraną chrześciaństwa, zgon księcia, ucztowanie Tatarów i tak pieśń kończy:

„Na Dobrém polu bujno rośnie kwiecie;
Wzgardzi niém płochy, niezbożny przygniecie,
Ale z uczuciem uszczknie je mąż boży.
.....
Mężnym co legli w imię Zbawiciela,
Wiecznie się błonie murawą zaściela

I wonne rosną kwiaty, a dla Piasta
Ołtarz w wrocławskiéj świątnicy wyrasta.
Pobożna ręka we wieńce go stroi,
I patrz, powstaje walecznik we zbroi;
To on, toż czoło, ta źrenica modra,
Na zbrój opadły kędzior, kord u biodra,
Sążnista w krzepkiéj prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłąb się zwija;
Błogo po burzy poświeca zaranie,
A wkoło księża pieją zmartwychwstanie".

*Album Literackie* w ogóle objęło wyłącznie oryginalne utwory wiérsza i prozy.

W obecném tak rzadkiém koło nas zjawianiu się dobrych pism oryginalnych, cieszymy się, iż wydawca Album zapowiedział nam rychłe ukazanie się nowego tomu swojego zbioru.

*T.*

---

*Władysław. Wyciąg z pamiętników niebardzo starych, przez Alex. Grozę. Wilno.* 1848. *Tomów* II.

Z jednego przypisu o księgarstwie kontraktowém w Kijowie widzimy, że te pamiętniki przez dziesięć lat w tece autora spoczywały. Zaiste, literatura na tém nie straciłaby wiele gdyby tam pozostały na zawsze; że jednak już wyszły na widok publiczny, musimy dodać, że nic na tém nie zyskała. Ale iluż to autorów o to się troszczy? Każdy patrząc krytyczném okiem na tyle wychodzących książek mówi do siebie: jest ich wprawdzie wiele, ale nieosobliwe; muszę moję wydać; i dalej szukać wydawcy. Ten znowu rozrzuca między ludzi jak może, a ludzie czytają, bo jak żydzi Messyasza, tak czytelnicy ciągle dobréj książki wyglądają. Dziesięć lat trzymać rękopism i nareszcie wydać go, jakim widocznie się urodził, na to trzeba wiele przekonania o wartości swego płodu, albo wielkiego lekceważenia tylu prac, które przez dziesięć lat jak grzyby z ziemi wyrastały. To prawda, że książka w mowie będąca, jest jedną

z lepszych między miernemi; mogłaby być choć ostatnią z dobrych, gdyby autor przed dziesięcioma laty napisanego w niéj zdania trzymał się i dzisiaj. Treść jego mniéj więcéj taka, że nic artysta nie powinien pokazywać jako skończone, o czém przed sobą samym powiedzieć nie może, że zrobił co mógł. Pan Groza mógł więcéj, a wydał!

Czém jest właściwie ta książka? trudno powiedzieć; ni to powieść, ni poezya, ni humorystyka, ni aforyzmy, ni kazania, ni estetyka, ni obrazki, ale potrochu wszystkiego, bo jest intryga, są wiersze (improwizacye), docinki, myśli odrębne, ustępy z kazań, rozprawy o sztukach, i t. d.; ani nawet pamiętnikami tego nazwać nie można, bo któż do pamiętników wpisuje obce ustępy? Uważamy to za wielką wadę książki, gdy nie wiadomo czém ją nazwać; nie dlatego, by łatwość pomieszczenia książki pod tym lub owym głównym nadpisem, zaręczała za jéj wartość, ale dlatego, że w niéj niéma całości, dążności, jedności, jeśli jednéj głównéj myśli nie wyrabia. To też ze wszystkiego widoczne że kilka myśli, kilka wspomnień, kilka nazwisk przyszył autor do jednéj dłuższéj intrygi, i wcale się nie troszczy jak to wyglądać będzie.

Z tak różnorodnych rodzajów zdać sprawę dokładnie, niepodobna, tém bardziéj, że krótkość każdego do ostatniego sądu nie daje zasady; ztémwszystkiém powiemy co nam się zdaje. Jako powieściopisarz, p. Groza najwięcéj okazał talentu, ale tylko w przedstawianiu figur epizodycznych; oryginalnie je wymyślił i przedstawia, w czém mu pomogły bardzo typy właściwe takiemu miastu, jak Kijów, do którego odnosi się wszystko niemal co w tych dwóch tomikach się zawiéra. Że opowiadanie swoje zapycha szczegółami do rzeczy nienależącemi, dowodzi to ubóstwa wynalazku z jednego tematu; ale że sam to widzi, dowodzi przywiązanie wszystkiego do jednéj osoby pamiętniki piszącéj. Tę jednę osobę jako główną, radzibyśmy tu przedstawić; trudno żądać w niéj wykończenia, gdy pamiętniki nieskończone, dlatego też i trudno ją zbadać. Zdaje się, że ją autor jako urodzonego poetę uważa, ale zrazu

każe mu wertować papiery prawne, i patrzcie co to była za zdolność! odrazu do téj dochodzi biegłości, że redaguje zawiłą sprawę, która pokrzywdzonéj sierocie ma zwrócić majątek. Daléj, uproszony, w charakterze prawnika wyjeżdża na kontrakty, gdzie za poręczenie wexlu zostaje markierem przy bilardzie; ztamtąd umyka do aktorów, tłumaczy dla sceny, maluje dekoracye, kocha się w pewnego rodzaju Korynnie, improwizuje poezye, chce wystąpić na scenę, nareszcie postrzelony przez rywala i wyleczony, staje się właścicielem pięknego majątku, który mu zmarła podczas jego choroby taż sama Korynna a razem i owa sierota, w któréj sprawie pracował, zapisuje. Co więcéj?—nie wiemy, bo pamiętniki nie skończone; to szkoda! Ciekawa to rzecz, co daléj z takiego poety się stało? Trudno by się na coś lepszego zdobył, jak na napisanie *wyciągu z pamiętników*. Jeśli będzie miał tyle siły i ognia w opisach, tyle trafności w chwytaniu rysów charakterystycznych, tyle wdzięku i łatwości w wyrażeniu, tyle żywości w opowiadaniu, a wreszcie tyle dobrych i szlachetnych chęci ile ich autor *Władysława* pokazał, to jeszcze ujdzie. *J. S.*

---

Krakowiak, *Trois etudes pour le Piano-forte par O. Kolberg.* Sicilienne *pour le Fiano-forte par M. Dietrich.*

Twórczość i nowość kompozytora nie zależy na koniecznie nowym własnym pomyśle głównym, chociaż do niego wszystko się ma odnosić, tak, jak nie odmówimy twórczości i oryginalności autorowi dlatego tylko, że pomysł zadaniem mu będący jest znany, a może nieraz służył uczonym pracom za przedmiot. Nikt rozsądnie utrzymywać nie może, że z jakiegokolwiek powodu powiedział wszystko co się powiedzieć dało, bo każda myśl jest niejako środkiem od którego na wsze strony promienie się rozchodzą, a pojęcie autora o przedmiocie jest niejako siłą odśrodkową, któréj

dzielność o długości promienia stanowi, i stosownéj rozległości koło dla przedmiotu zakréśla. Wewnątrz tego koła ileż kierunków!... ich wyborem rządzi fantazya, dążność, indywidualność, a jednéj z nich dosyć by była nowość, niezwyczajność. Ani tu przeszkadza powszechna znajomość głównéj zasadniczéj myśli; nie przestaje ona przeto być *środkiem*, a tę daje pomoc, że naznacza odrazu stanowisko tak uznane i niewątpliwe, że o pewność jego nowemi dowodami starać się nie potrzeba. Niewiele jest z myśli muzycznych naszego narodu tak powszechnie znanych jak ta, którą uczucie i pojęcie obrały sobie za tłumacza:—„*Albośmy to jacy tacy?*".... Któż jéj nie umié, nie kocha?

„Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewki." Z pieśnią tą lepiéj niż z workiem złota przebieżysz naszę ziemię, nietylko chleba nie odmówią, ale i serca nie poskąpią. Tę to myśl pociągającą obrał sobie pan Kolberg za temat, i choć nie piérwszy jéj używa (niegdyś śp. Janicki, a w nowszych czasach Dobrzyński), wysnuł z niéj przecież szereg własnych pomysłów, różnych od tematu, a jednak mu jako tematowi podobnych.

Temat, jest myśl sama w sobie skończona; temat pieśni ludu jestto myśl nietylko skończona, ale i niezmienna, bo powszechną uświęcona zgodą; każdy jéj wyraz ma zostać czém jest; odjąć, dodać, zmienić coś, jestto zniweczyć powszechnie przyjęte wyrażenie, inném je zrobić. Sługa Boży wstąpiwszy na mownicę wiernie przytacza wyrazy z przeczytanéj ewangelii wyjęte, nic w nich niezmieniając; bo to myśl nie jego, myśl wielka, wspólna, jakżeby własność powszechną, swoją wyłączną własnością śmiał zrobić? Coś podobnego nie wahał się p. K. z obranym przez siebie tematem uczynić, skręcając go w jedném ostatniém wyrażeniu; odbiérając mu wyłączne, miejscowe zakończenie, odjął i coś z charakteru. Nie ujdzie mu to bezkarnie; każdy prostaczek słuchając tego krakowiaka tak skręconego, obruszy się w imię powszechnego zwyczaju i powié sobie, że to ktoś napisał *co napamięć Pana Boga chwalił.* Jedna wina drugą za sobą prowadzi: p. K. nie oddzielił muzycznie

tematu od jego rozwinięcia, a właśnie dlatego, że go skręcił w dalszą drogę, nie mógł więc przykończyć. Jakby czując potrzebę wmówienia w słuchacza, jeszcze raz tak skręcone zakończenie kładzie mu w uszy, ale podrobiony ten koniec (na *dominante* str. 5 wiersz 5) nie zadawalnia; w przymuszonym więc powrocie do tematu (wiersz 6) nietylko tradycyi, ale i sobie samemu p. K. wiernym nie został, zmieniając rozległość i znów nie kończąc należycie pobiegł daléj. To źle; mówca wygłosiwszy temat, dać powinien czas słuchaczom do zamknięcia się w sobie, do odetchnienia, odchrząknienia wreszcie, by mu potém nie przeszkadzali.

Nie pogonimy tu za autorem, by rozpowiadać co z tego Krakowiaka wysnuł; nie zatrzymamy się nawet nad znaczeniem i rolą drugiego chociaż mniéj znanego, a który od połowy z piérwszym walczy. Co tam jest pięknego, kto ciekawy niech zajrzy: charakter tematu rzeźki, pryskający, musiał na ogólny charakter kompozycyi wpłynąć; bliższe oznaczenie ducha niektórych ustępów byłoby łatwiejsze, gdyby Krakowiak ten nie na fortepian, ale na orkiestrę był ułożony, jak tego w wielu miejscach pragnie i styl szeroki i figury orkiestrze właściwe. Obejrzymy raczéj stronę techniczną, a zaczniemy od wstępu.

Pan Kolberg zaczyna słodko, tęskno, gładko, w rozmiarach drobnych; część jedna, druga, trzecia maleńkie *intermezzo* i znów część piérwsza, druga, i znów *intermezzo*, a dotąd nic nie zapowiada czém się daléj autor zatrudniać będzie. Przejęci potrzebą jedności w dziele, wierząc w przewagę głównéj myśli, gotowibyśmy powiedzieć i tu: źle; bo podług nas (czerpiemy przekonanie z dzieł mistrzów), wstęp powinien być stosowny do treści. W kompozycyi nas zajmującéj jest on po większéj części zupełnie sprzecznego ducha; uwydatniają się przez to oddziały, ale się nie jednoczą. Że jednak i na to wiele przykładów spotkać można, zamykamy oczy na ten niedostatek, tém chętniéj, gdy na ostatniéj z trzech stronnic wstępu p. K. spotykamy myśl późniejszą Krakowiaka napomkniętą. Wprawdzie nie jest to znowu

zgodne z tém co poprzedziło, i tak być musiało; autor miał jednak sposobność dowieść, że mu piérwsza część introdukcyi równie ważną jest, jak temat główny; mógł ją powtórzyć w ustępie *lento* str. 17, albo samą, albo w towarzystwie myśli tam się znajdującéj, o ileby różnice taktów na to pozwoliły.

W samym Krakowiaku wiele spotykamy usterków, mianowicie co do budowy i zaokrąglenia okresów, a nawet i sam wstęp nie jest od nich wolny. Cóż np. znaczą piérwsze dwa takty? Jako piérwsze, najsilniéj budzą uwagę słuchacza, a nic potém nie ma coby je potwierdzało. Na str. 3, wiérsz 5ty, spotykamy trzy takty samotne (od drugiego). Jeśli one mają odpowiadać temu co w poprzednim wierszu stoi, to nie mają podobnego następstwa. Idące po nich dwa takty, powinny lepiéj wprowadzić na szybko zrywające się *animato*; widocznie brakuje tam dwóch taktów pośredniczących. W żwawo postępującéj daléj introdukcyi przyszły temat na chwilę nam się przedstawia, a barwa jego tak odrębna od wszystkiego co dotąd było, że już zgadujemy przyszłą jego rolę. I tato wydatność tylko, uwolniła autora od pokazania go raz jeszcze, co przecież nietylkoby nic nie zepsuło, ale owszem przedłużyłoby drugi ten ustęp introdukcyi, zbyt krótki względem poprzedniego; tém bardziéj, że wkrótce zmieniony takt zaczyna nowy okres zapowiadający zgrabnie, raźno przybycie Krakowiaka, który téż obces wpada i gospodaruje jak może. Że mu nie ręką idzie, powiedzieliśmy już wyżéj, chociaż sprawy nie zasypia i dosyć się uwija; posłyszał widać coś z polityki i do zaokrąglenia zdąża, tojest sięga po to, co nie jego i rodzimą dzielność traci. To téż i trwoni ojczystą chudobę. Widać to porównawszy stronnicę 5, wiérsz 1, gdzie figura

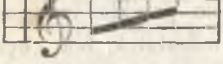

(któréj powtarzanie wkółko stanowi humorystykę tematu) jest pięć razy, i wiérsz 6 gdzie tylko cztéry razy się pokazu-

je. Tu, czy tam dobrze? czy zawiele, czy zamało? Co do tego miejsca mniejsza o to; powtórzyć raz mniéj, raz więcéj nic nie znaczy, ale to pokazuje nam niezdecydowanie autora co do granic tematu, a nadto kłopoty co do budowy peryodów; dlatego téż podobnych *zawiele* i *zamało* w całym tym Krakowiaku nie brakuje. Ograniczamy się na wskazaniu kilku. Str. 6ta, wiérsz 2gi po dwóch taktach ostatnich brakuje jeszcze dwóch odpowiednich tamtym, i (a przynajmniéj) w wierszu 3cim jednego odpowiedniego 3ciemu; dla dalszych celów, modulacya wypadłaby inaczéj i bogaciéj. Str. 7, wiérsz 3, takty 2 i 3 niepotrzebne, albo na podobieństwo poprzednich i następnych zrobione być winny były. Na str. 17, wiérsz 2gi. po takcie 3cim brak i symetryi i stopniowania do zbliżającego się *lento*; na str. 18 peryod zaczęty od *presto* ma taktów ośm, a następny będący jego waryacyą, dziewięć. Nie dlatego kładziemy tu liczby, byśmy kompozycyą muzyczną rachunkiem zrobić chcieli, ale by zwrócić uwagę autora na potrzebę symetryi w budowie architektonicznéj, że ją tak nazwiemy, peryodów; obok swobody ma być ład, brak jego nawet bez liczenia dostrzedz można, a liczenie samo jest tylko skutkiem wyszukiwania przyczyn złego, które się czuć dało. Chociaż w innym rodzaju i jedyne uchybienie co do Krakowiaka będącego drugim tematem, tak przecież jest ważne, że go tu pominąć nie można. Piérwszy raz widzimy go na str. 8, wiérsz 3ci, a widzimy go niedostatecznie wprowadzonym; należało go w całości powtórzyć czy zaraz, czy nieco późniéj i dać mu formę pieśni do któréj wyraźnie wzdycha. Tak jak jest, zostawia w wątpliwości, czy jest tematem nowym, czy tylko myślą przelotną, która nawet jako taka bez wydatniejszego następstwa zostać nie mogła. Tu pora powiedziéć, że niedostateczne osnucie miejsc jednych albo zbyteczne innych, wszelką regularność i równowagę formie całości odbiéra. Że tak będzie, można było przewidziéć, spotykając temata nieoddzielone, ustępy należycie nieodgraniczone, nie dosyć decydująco zamknięte, np. na str. 6téj wiérsz 4ty, po takcie piątym potrzeba przynajmniéj dwóch jeszcze

mających okres dokładnie przykończyć; szérokość stylu potrzebniejszém to czyni. Czuł to autor przy końcu str. 7 i początku 8, gdzie przecież także zamało zrobiono.

Wymienione dotąd wady pochodzą jak się zdaje z nieporządnego piérwszego odlewu myśli; poprawki, dodatki, ujęcia w miejscach pojedynczych poczynione, zaciérały powoli pierwotne rozmiary, opanowały wydatne położenia; dla usunięcia wynikłego ztąd zamącenia, należało znów krzesać, porządkować, a słuch przywykał i potém dobrém znalazł. Niepodobna prawie, szczególniéj w dziełach większego rozmiaru, uniknąć poprawek, przemian; i owszem, troskliwość to chwalebna, ale niech jéj w pracy pilnuje dokładne owładnienie form rozległych, i wprawa umiejąca jednym tchem wielkie ustępy odlać.

Upatrując dotąd zbyteczną drobiazgowość, widzimy gdzieindziéj zaniedbanie, a mianowicie w harmonii. Gdybyśmy każdy akord dla siebie i w związku z innemi uważali za dobry, na co z małym wyjątkiem (1) zgodzić się można, to jeszcze harmonii dobrą nazwać nie możemy, ze względu na postać w jakiéj się okazuje niekiedy, i drogę jaką przebiega. Co do piérwszego: spotykamy np. zdwajanie tercyi wielkiéj (najczęściéj jako *semitonium modi*), albo kwarty zwiększonéj; sąto w systemie muzycznym tak ostre interwalle, że przebiją massę tonów, bez zdwajania, a tak wybitną mają dążność, że narażają na *oktawy*, albo niekonsekwentne prowadzenie. Ale najbardziéj rażą, gdy już bas słyszéć je daje, jak np. *a* na str. 9 wiérsz 4, takt 4. Spotykając akord 6 zamiast 3, (stron. 4, wiérsz 1, takt 3) akord $\frac{6}{4}$ zamiast 3 (str. 13, wiérsz 1, takt 3. gdzie tylokrotne *e* jako tercya wielka zbyt razi, tém więcéj, że melodyjnie zupełnie nie na miejscu) i t. p. miejsca, wnosimy z nich dwoje: raz, że p. K. niedosyć odbywał surowych ćwiczeń uczących każdy

(1) Np. str. 3, wiérsz 5ty, takty 2gi i 3ci; str. 4, wiérsz 5, takty szy i 3ci, gdzie zamiast akordu $\frac{6}{4}$ akord 7 znajdować się powinien, stosownie do figury wiolinu; str. 7 wiérsz 5, dwie kwinty fałszywe f—ges / h—c— między taktem 3cim i 4tym.

*głos* wedle jego natury prowadzić; drugi raz, że używanie pedału (bez którego dzisiaj nikt ani na chwilę obchodzić się nie chce), budząc tony niedotknięte, albo przeciągając dawniejsze, surowość badawczego słuchu autora oszukało. Z powodu drogi, jaką p. K. harmonii naznaczył (modulacya) zganić musimy brak świeżości w prowadzeniu, brak rozmaitości w większych ustępach porównywanych z sobą. Tonacya *B* nietylko główną jest w Krakowiaku, ale prawie jedyną (drobiazgowych wycieczek w obrębie jednego ustępu uważać za modulacyą nie można). Jestto także wada formy, pod względem harmonijnym uważanéj.

Z kolei przychodzi nam zająć się trzema etudami tegoż autora. Żeśmy jeszcze o tym rodzaju kompozycyi nie mieli sposobności mówić, uczynimy to teraz pokrótce. Etudy jak samo ich nazwisko wskazuje, przeznaczone są do wprawy; nie są to przecież same tylko ćwiczenia, zadaniem ich jest także zdobność, którąby pracę nad mechanizmem słodziła. Forma ich jest zawsze formą pieśni, ale nie wypełnia ich ciągła, pełna wyrazu melodya, lecz figura instrumentalna za temat przyjęta, która różnie przedstawiana, wyczerpać ma poniekąd kształty z niéj wyrosnąć mogące, by raz tu pokonane, w innych dziełach nie zatrzymywały. Że każdy niemal wirtuoz w swych kompozycyach ma, a przynajmniéj pragnie miéć coś odrębnego w passażach, figurach, toku, co wszystko nieoswojonym stawia trudności, ztąd każdy pisze przygotowawcze do dzieł swych etudy. W wielkiém ich mnóstwie, niełatwo spotykać tak oryginalne jak etudy Szopena np.; trudniéj jeszcze znaleźć tak wysoką wartość wewnętrzną, jak u tego autora, lubo każdy stara się być zajmującym. Etudy p. Kolberga, lubo nie będą bez korzyści dla mechanizmu grających, nie mają jednak za zadanie pomysłów tego rodzaju, by one same przez się trudność stawiły; w piérwszych dwóch są krótkie, ucinkowe, w ostatnim, pomysł nietylko łatwy, ale i zwyczajny w porównaniu do pomysłów zwykle na etudy wyszukiwanych. To téż zdaje się, że p. K. nietyle miał na myśli przysługę dla mechanizmu, ile raczéj chciał pomysł obrany w formie etudy przeprowa-

dzić. Domysł nasz potwierdza wstęp każdą etudę poprzedzający, co nie bywa zwyczajem, a w tworach tego rodzaju do ćwiczenia przeznaczonych, byłoby nie na miejscu; chybaby i sam wstęp był etudą, co nie jest. A więc przyglądając się pracy p. K. z téj tylko strony, widzimy w niéj te same wady, któreśmy w Krakowiaku wytknęli, w mniejszéj przecie ilości, a szczególniéj w *Allegro* każdego numeru; udatniejsza tam budowa peryodów, lubo także nie bez zarzutu. Mniemamy, że większa ściśliwość formy, a więc i spadki szybko napływające, nadto tok jednostajny wedle natury głównego pomysłu, łatwiéj zaraz w piérwszym *rzucie* wypadły; to potwierdza objawioną wyżéj myśl co do surowych i regularnych ćwiczeń, których jednak etudy nie są już początkiem. Jeśli wstępy poważne grzeszą budową, za to *Allegro* mało ma rozmaitości; autor zbyt się trzyma piérwszego pomysłu, a raczéj zbyt go mało rozwija i przekształca.

Pieśnią także, a pieśnią prostszą jeszcze niż etuda jest *Sicilienne* pana Dietrich. Charakteru wybitnego nikt w niéj nie znajdzie, i sam tylko rytm spowodowany taktem do tego rodzaju używanym $\left(\frac{6}{8}\right)$ dać go nie mógł. Melodya ma miéć coś odrębnego, coby jeśli nie Sycylią, to przynajmniéj Włochy tłumaczyło, chociaż prawdę mówiąc, Sycylia to już w połowie Afryka, w połowie jeszcze Europa. I oryginalności bezwzględnéj tu niéma, na chwilę tylko wyszukanie pospolite u włoskich kompozytorów (mówimy tu o naciąganéj modulacyi do *Des*), a jakkolwiek brzmi ono dosyć twardo, nie jest rysem charakterystycznym, bo charakter jest logiczny, a logika nie naciąga. Ułożone to jednak wszystko zręcznie i przyzwoicie w duchu nowéj szkoły. Piérwszy raz słyszéć tę drobnostkę będzie miło, drugi raz obojętnie, trzeci raz nudno. *J. S.*

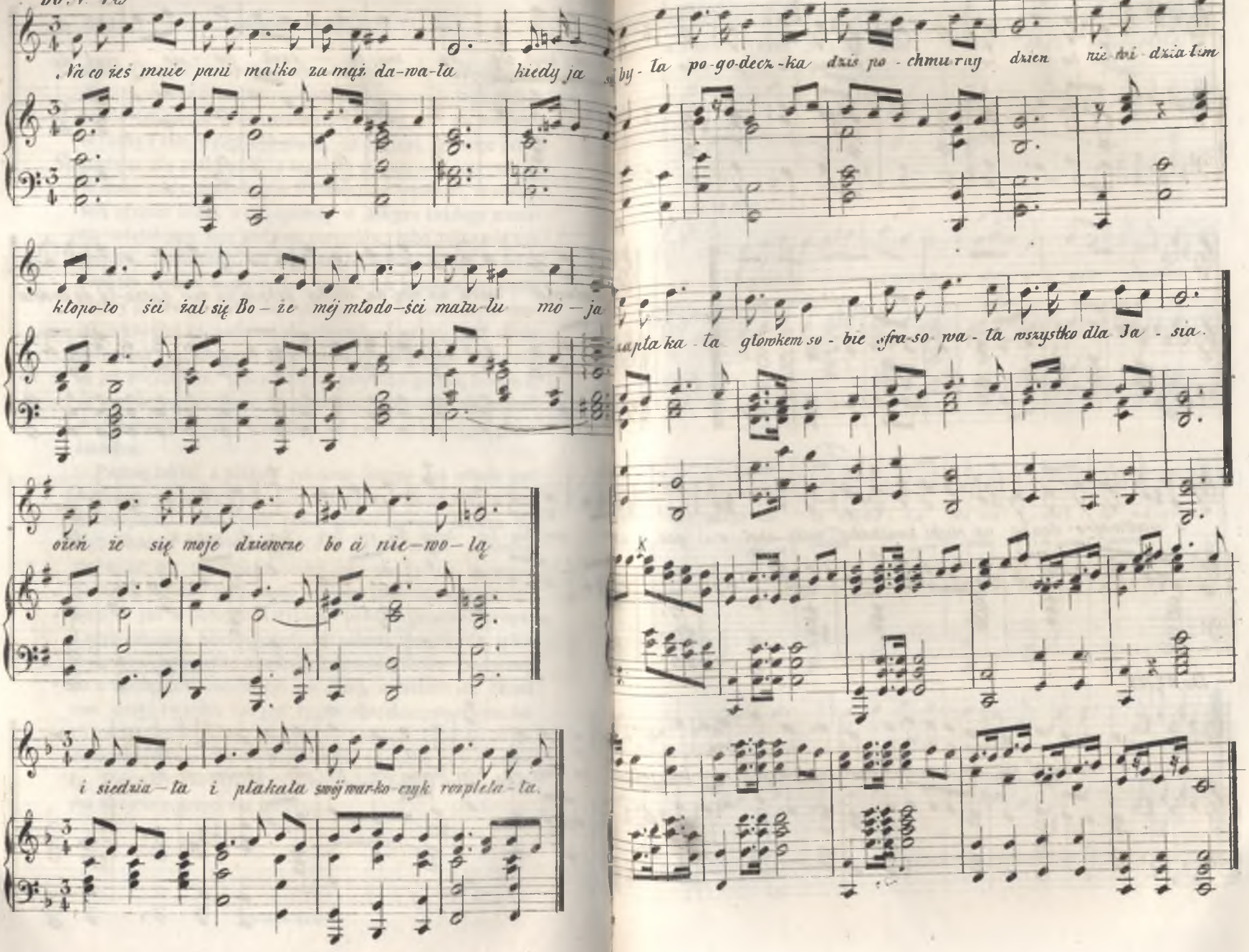
Na co żeś mnie pani matko za mąż da-wa-ła kiedy ja
by-ła po-go-decz-ka dziś po-chmu-rny dzień nie ma dzia-łam
kłopo-to ści żal się Bo-że mej młodo-ści matu-lu mo-ja
zapta-ka-ła głowkem so-bie sfra-so-wa-ła wszystko dla Ja-sia.
ożeń że się moje dziewcze bo ci nie-wo-lą
i siedzia-ła i płakała swój warko-czyk rozpleta-ła.

Do № 116.

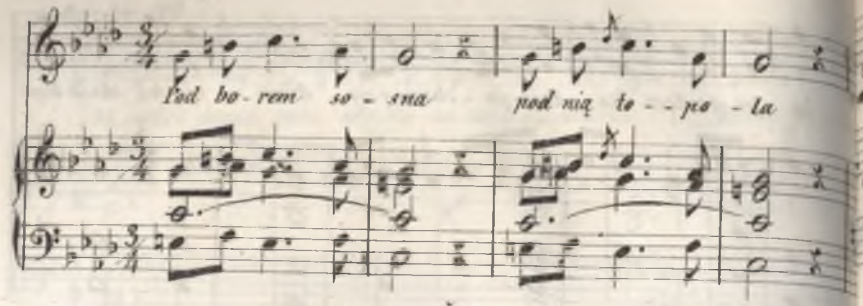


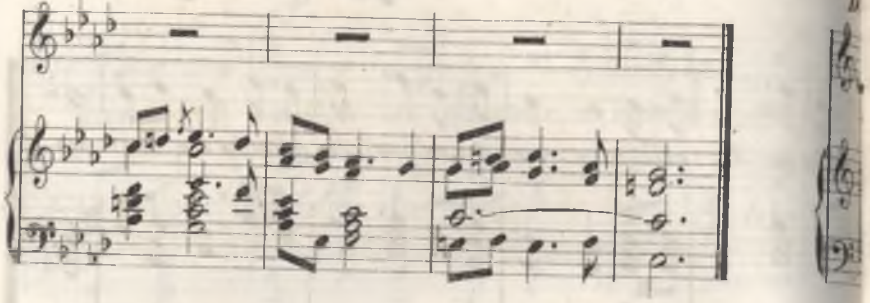

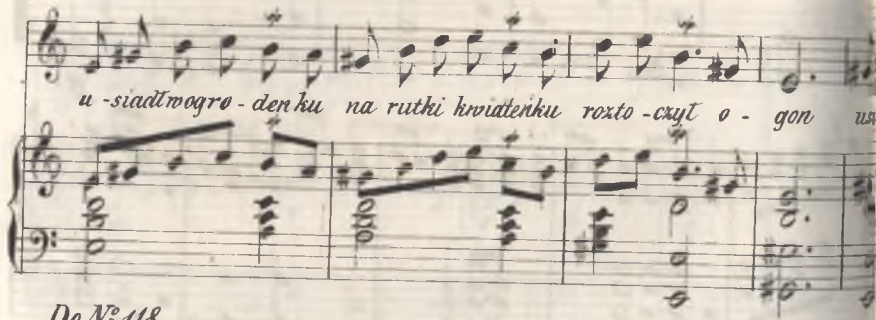


Do № 118.

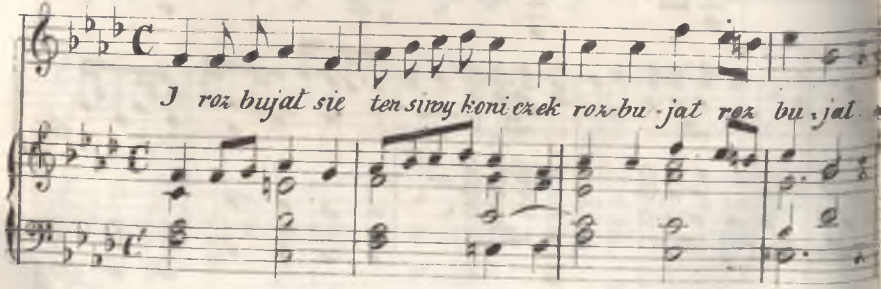


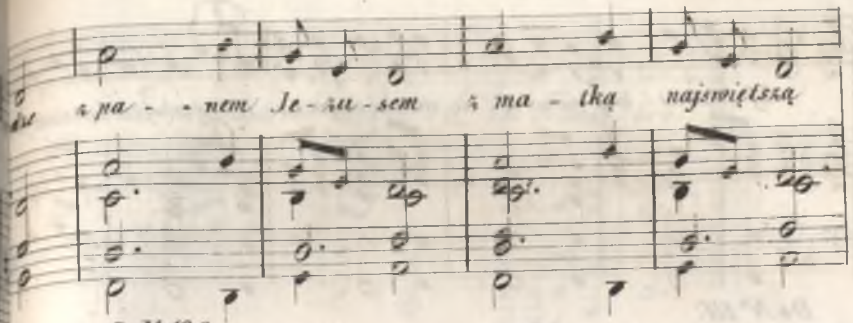


Do № 120.

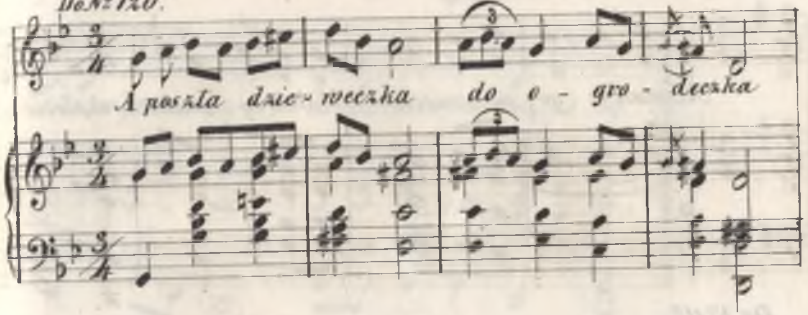


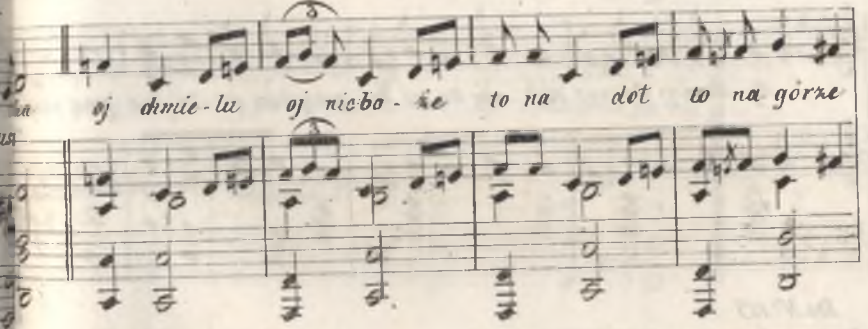


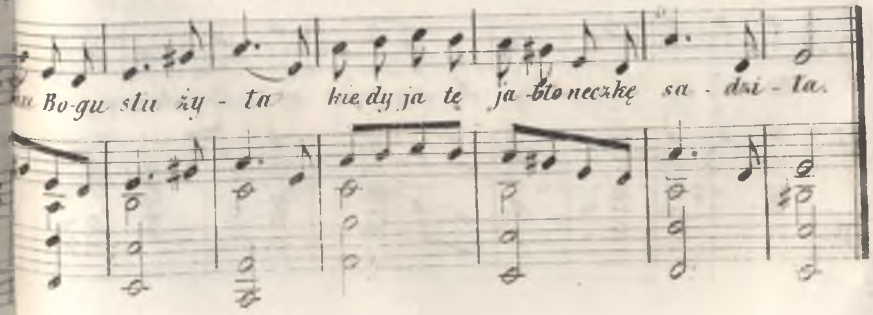

Do N° 110.

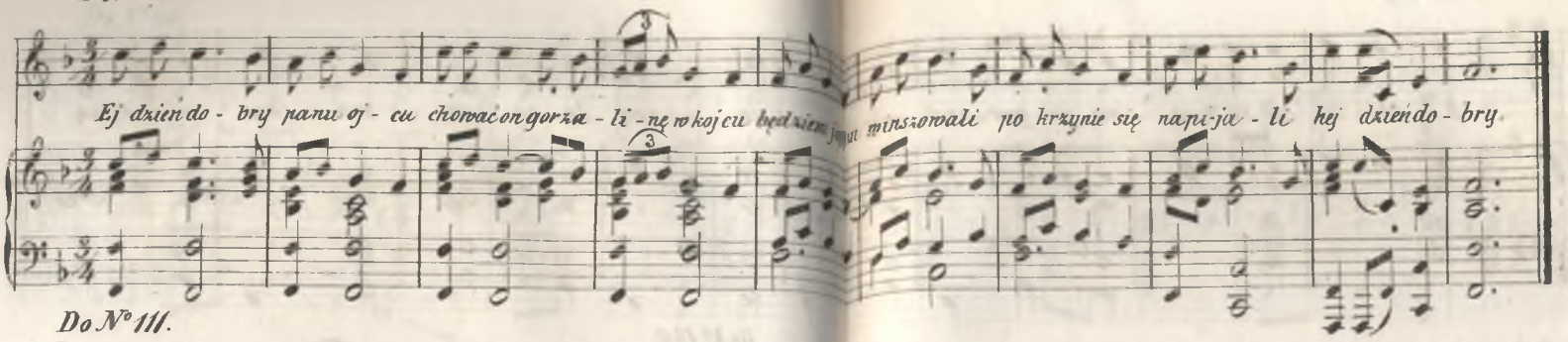


Do N° 111.

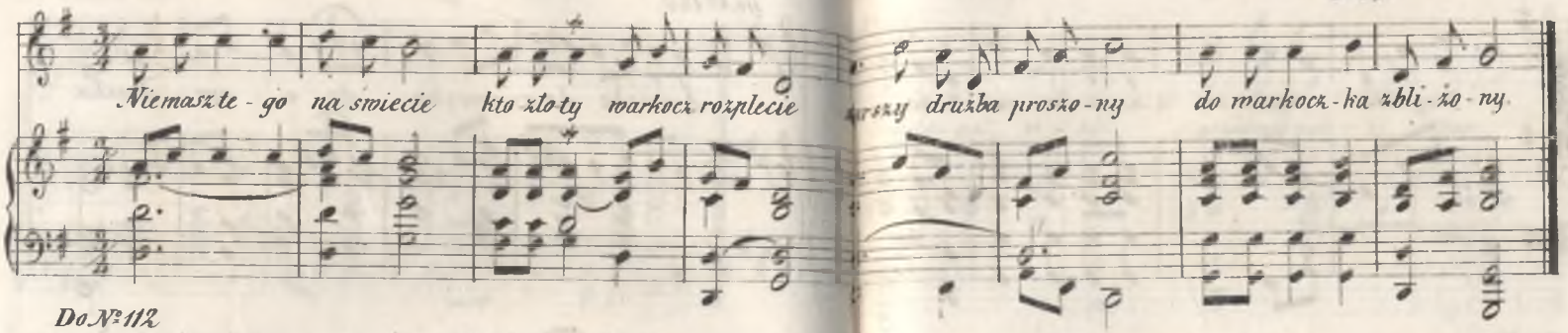


Do N° 112

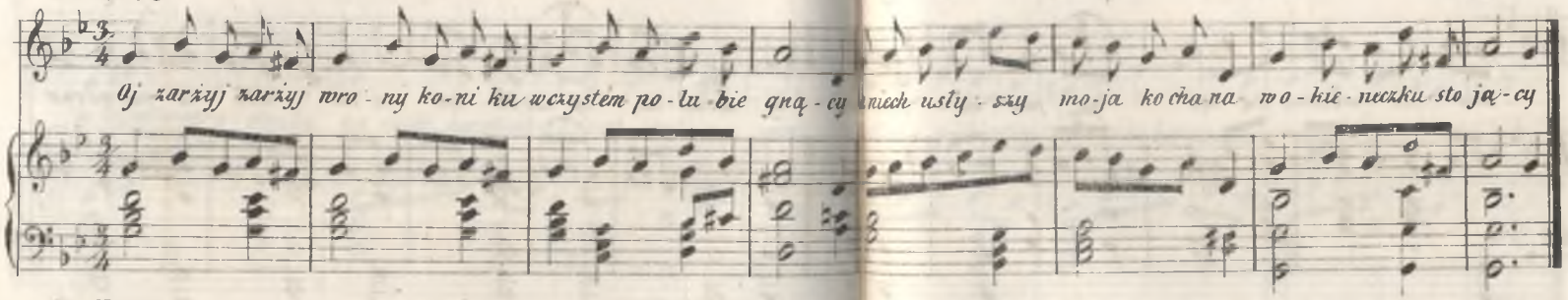


Do N° 113.

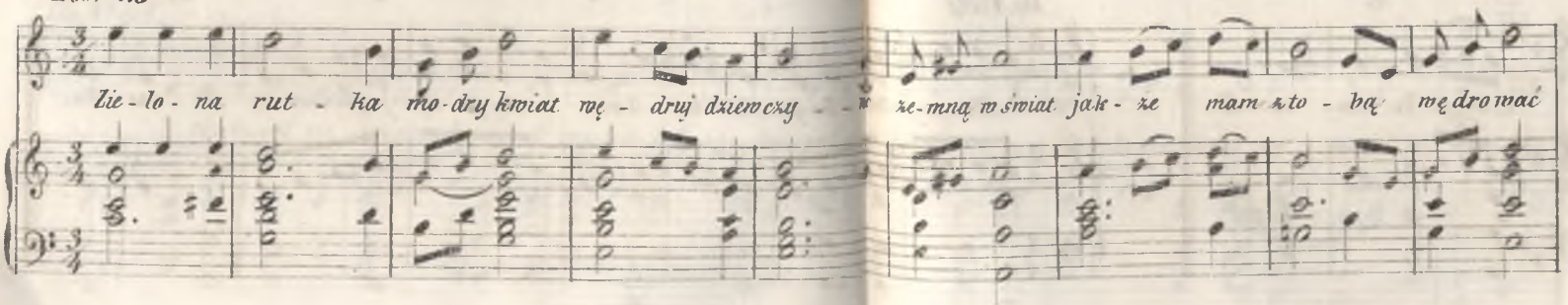

Do № 119.

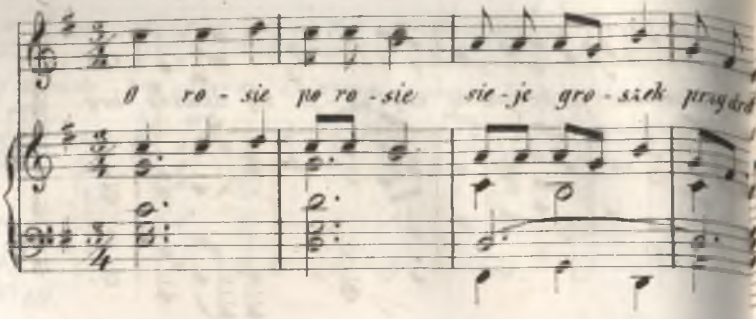


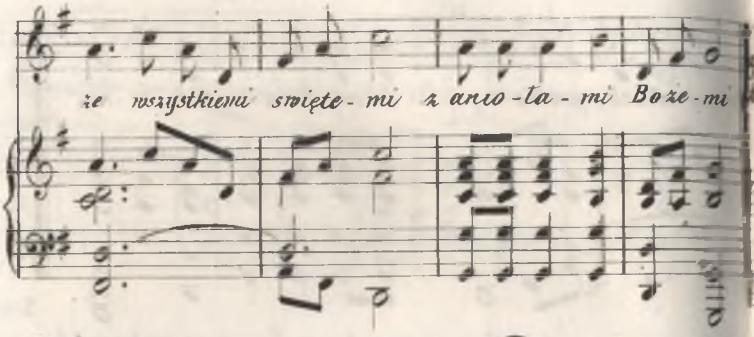


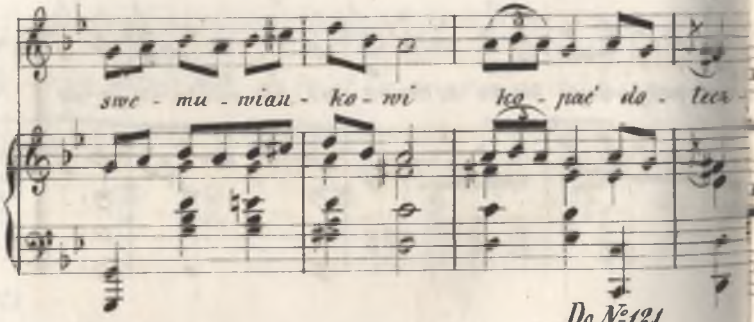


Do № 121

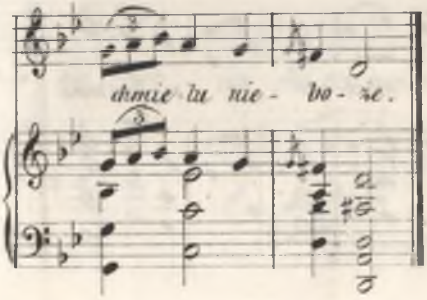


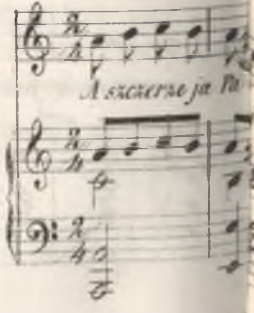


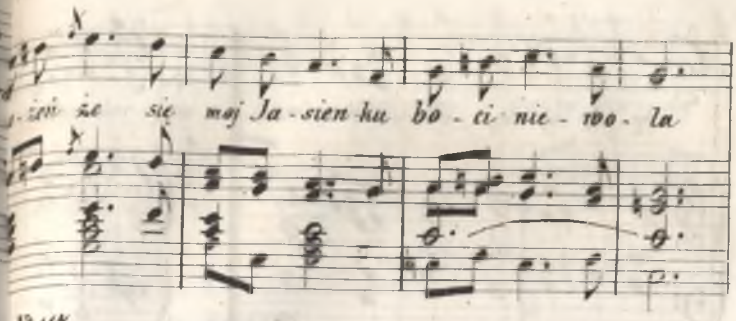


№ 117.

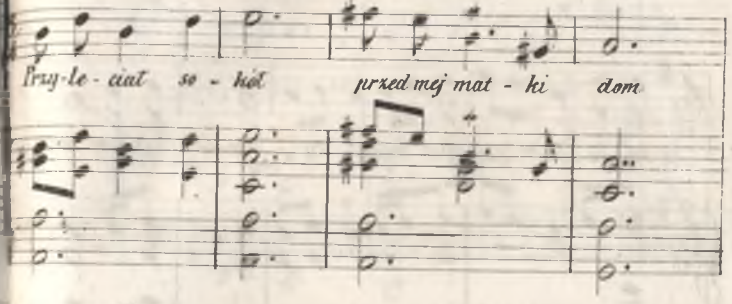


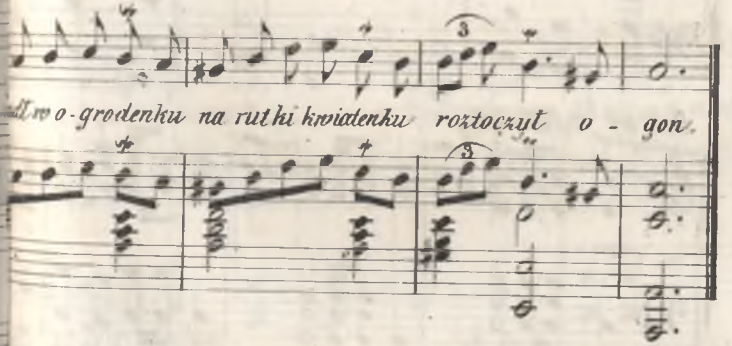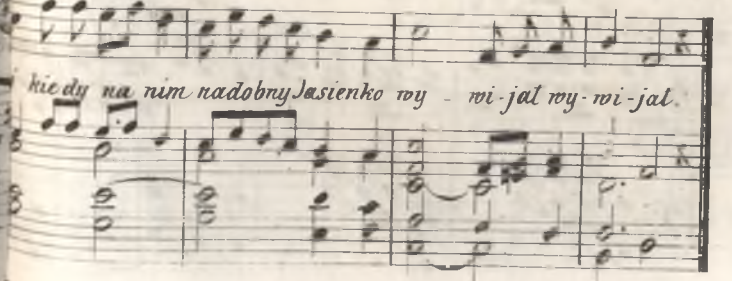

Do № 114

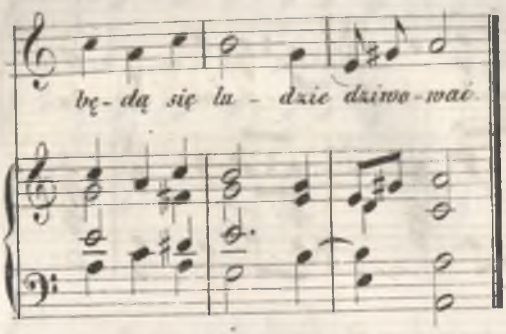


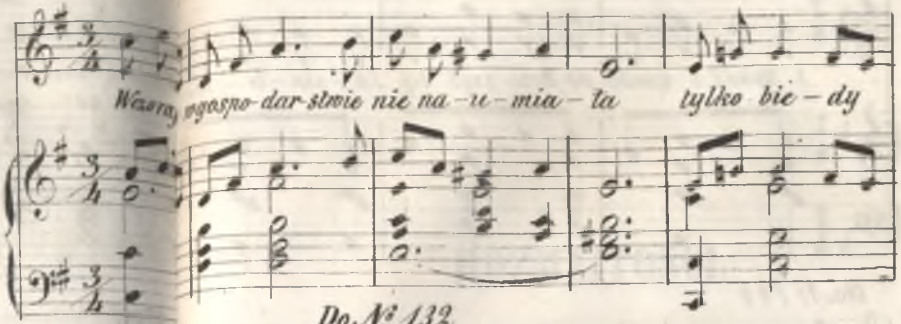


Do № 132

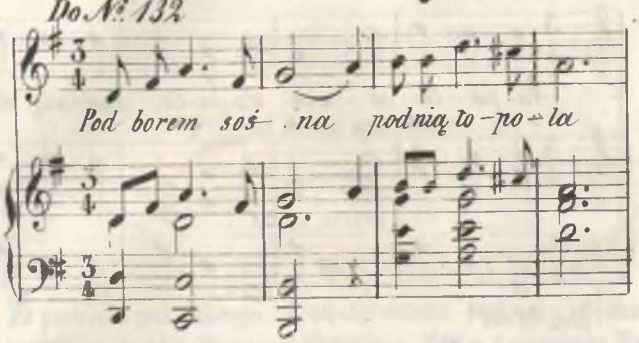


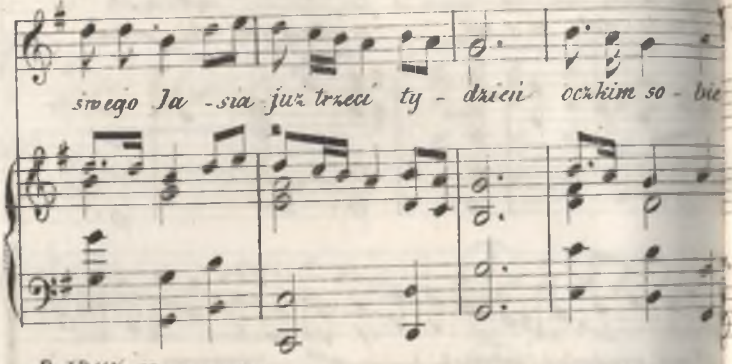


№ 142
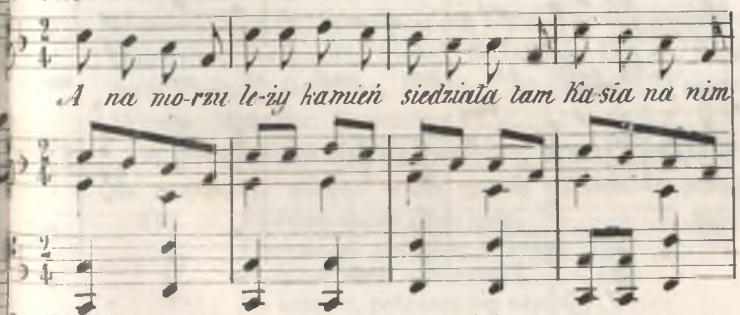
Do № 115 Marsz weselny

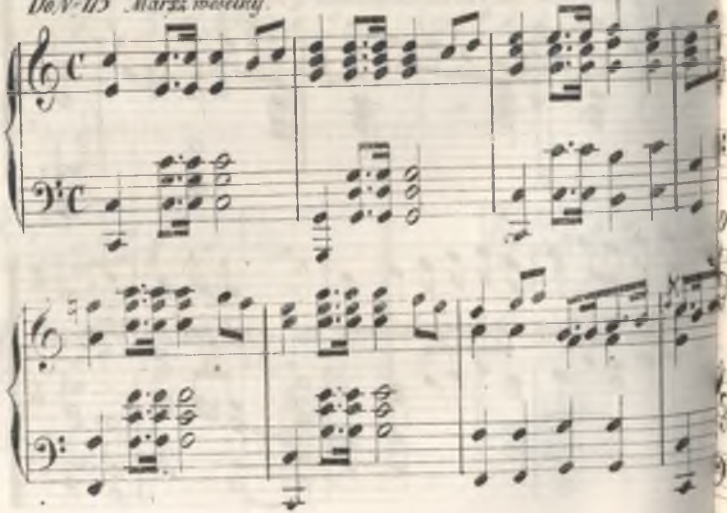

Do № 143
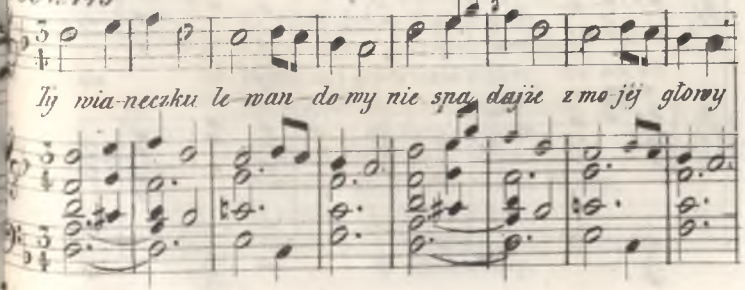
# ROZMAITOŚCI.

## *Pieśni ludu weselne.*

Z muzyką.

(Ciąg dalszy).

### 6.

Z powiatu pułtuskiego. Z okolic miast: Pułtuska, Makowa, Krasnosielca, Rożana i Ostrowia. Wsie: Czepielew, Zakliczewo, Szelków, Szwelice, Gzy, Karniewo, Węgrzynowo, Obłudzino, Perzanowo, Sieluń, Strachocin, Obryte, Gładczyn, Pniewo, Dąbrowa, Przetycz, Długosiodło, Wąsewo, Wysoce, Mokrylas, Goworowo i t. d.

W niedzielę schodzą się swatowie, drużba i kumostwo na rozpleciny, witając w ten sposób rodzeństwo panny:

110. Ej dzień dobry panu ojcu,
Chować on gorzalinę w kojcu,
Będziem jemu winszowali,
Po krzynie, potrosze się napijali,
ej dzień dobry.
Ej dzień dobry pani matce,
Chować ona gorzalinę w flaszce;
Będziem i jéj winszowali
Po krzynie się napijali,
ej dzień dobry.
Ej dzień dobry panu bratu
Wszystko se trzyma w tym świątu,
Ej siostrę za mąż wydaje,
I rozkoszy już doznaje,
ej dzień dobry.

Ej dzień dobry pani siostrze,
Wydaje się wszystko ostrze,
Od tatula odstępuje
A do męża przystępuje,
ej dzień dobry.

Druchny sadzają pannę-młodą na dzieżę, i plotąc jéj warkocz przyśpiewują:

111. Niémasz tego na świecie,
Kto złoty warkocz rozplecie.
Starszy drużba proszony,
Do warkocza zbliżony.

Rozpleciny odbywają się po obiedzie lub ku wieczorowi. Gdy się już goście rozeszli, druchny pozostałe jeszcze przy pannie-młodéj nucą jéj pożegnanie (1):

112. Oj zarżyj, zarżyj—wrony koniczku,
w czystém polu biegnący
A niech usłyszy—moja kochana
w okieneczku stojący.
Koniczek zarżał—nowy dwór zadrżał,
dziewczyna usłyszała;
Oj bywaj bywaj—nadobny Jasiu,
dawnom cię nie widziała.
A on przyjechał—z konia zeskoczył,
a na ten nowy ganeczek,
A jam mu dała—com mu dać miała,
z rozmarynu wianeczek.
A mój Jasieńku—czemuś nie przybył,
da kiedym ci kazała,
Czyś nie był doma—czyś nie miał konia
czy inna oczarowała?
Byłem ja doma—i miałem konia,
żadna nie czarowała:
Najmłodsza siostra—ta nie dorosła,
oj ta mi zakazała:
Nie jedź Jasienku—nie jedź braciszku,
nie będzie ciebie chciała.
Już po wianuszku—już po kwiatuszku,
na cóż ci się już zdała?
Poszła na kwiatki—bojąc się matki,
oj do ogródka swojego,

(1) Podobna pieśń jest w Zbiorze pieśni ludu w Galicyi, przez Żegotę Pauli, str. 116.

Urwała listek—upadł jéj wszystek,
ziołeńka drobniutkiego.
Poszła na kwiatki—bojąc się matki,
i po ogródku biegła,
Chciała wić wianek—z siedmiu rumianek,
jużci go uwić nie mogła.
Listki opadły—kwiatki pobladły,
dziewczyna zapłakała,
Oj nieszczęśliwa—moja godzina,
czegom ja doczekała?
Ani ja panna—ani ja wdowa,
ani Jasiowa żona;
Chodzę ja chodzę—główkę związawszy,
bardzo ja zasmucona.
Jeszcze nie świta—matula pyta,
gdzieś córko wianek działa?
Temum go dała—kogom kochała,
cóżem z nim czynić miała?

Nazajutrz w poniedziałek wybierają się do ślubu. Drużby stroją pana-młodego we wstążki i kwiaty, a druchny pannę-młodą wieńczą rutą i barwinkiem, przyśpiewując (porównaj z nr. 88):

113. Zielona rutka, modry kwiat,
Wędruj dziewczyno ze mną w świat.
Jakże mam z tobą wędrować,
Będą się ludzie dziwować.
A niech się chcą-li dziwują,
Oboje młodzi wędrują.
Zielona rutka, jałowiec,
Lepszy kawaler niż wdowiec,
Bo wdowiec będzie wymawiał:
Lepszą ja piérwszą żonę miał.
Za wdowcem rzucić kamieniem,
Za kawalerem pierścieniem.
Bo wdowiec będzie wymawiał,
Lepszą ja piérwszą żonę miał.

Przed wyjazdem do kościoła (patrz nr. 89):

114. Wczoraj była pogodeczka, dziś pochmurny dzień,
Nie widziałam swego Jasia już trzeci tydzień;
Oczkim sobie wypłakała,
Główkę sobie sfrasowała, i t. d.

Odebrawszy rodzicielskie błogosławieństwo cała młodzież siada na koń, mając pana-młodego na przodzie; za nimi cią-

gnie się wóz, na którym siedzi narzeczona z druchnami, na następnych wozach rodzice, swaty i inni goście, a wreszcie muzyka wygrywająca marsza weselnego (nr. 115). Gdy ta przestanie, dziewczęta śpiewają (zob. nr. 15 i 39):

116. Pod borem sośnia—pod nią topola,
Ożeńże się mój Jasieńku—bo ci niewola.
Nie tak niewola—jako potrzeba,
Będziemy się a oboje—dorabiać chleba.
Mówiłem ci raz—komu wianek dasz,
A tencito lewandowy—co na głowie masz?
Tobie nie inszym—tyś mi najmilszy,
Kiedy pójdziem do kościoła—klękniemy przy mszy.
Organy grały—ludzie śpiewali,
A my sobie a oboje—rzewnie płakali.
A wy woźnice—szukajcie lejce,
I bryczkami zajeżdżajcie—druchny siadajcie.
Druchny posiadły—wszystkie pobladły,
Tylko moja najmilejsza—jak kwiat różany.
A wy drucheńki—dajcie chusteńki,
Co ja swojéj Marysieńce—otrę oczeńki.
Ja jéj ociéram—a ona płacze,
Dla ciebie ja najmilejszy—swój wianek tracę.
Utracę naraz—jużci na zawdy,
Jużci mi się nie ukłoni—kawaler żadny.

Kiedy już pochód przed kościołem, i tylko oczekują panny-młodéj drożącéj się z wyjściem, dziewczęta rozpoczynają: (patrz nr. 91):

117. Przyleciał sokół—przed méj matki dom,
Usiadł w ogródeńku—na rutce kwiateńku,
roztoczył ogon.
A sio sokole!—w zielone pole,
Rutkęś mi okruszył—i serce zasmucił,
i sam poleciał.
Marysiu miła—matuli wola,
Byś nie była pyszna—do Jasieńka wyszła
sama jedyna.
Sama nie poszła—posłała posła,
A miły mój pośle—orędujże głośnie
tak jak ja sama.
A wy furmani—jedźcie z biczami,
Wozy wytaczajcie—konie zakładajcie,
precz pojedziemy.

Przez wieś jechali —ludzie pytali:
Co to za dziewczyna—co to za jedyna,
jedzie z panami?
Oj jedzie jedzie—w ślicznéj paradzie,
Sześć par koni za nią—jak za jaką panią,
bo będzie moją.
Wyjechał w pole—krzyknął na konie:
Obejrzyj się Maryś—obejrzyj jedyna,
. czy wszystko twoje?
Oj moje moje—te kare konie,
Zabaczyłam wieńca—złotego pierścieńca,
u matki na stole.
Czyli się wrócić—czyli nie wrócić,
Czyli panu ojcu—czyli pani matce,
serca nie smucić?
Wróć się Jasiu wróć—serca mi nie smuć,
Bo jak się nie wrócisz—serce mi zasmucisz,
nie będę twoja.

Gdy orszak powracający z kościoła jest już na wpół drogi, starszy drużba puszcza konia galopem do domu, i porwawszy chleb wraca z takowym do swoich, a zbliżając się do każdego zosobna wozu, zaprasza gości wszystkich do rodziców panny-młodéj na obiad. Po przybyciu do domu, osoby co najstarsze obojéj płci i muzyka wchodzą do chaty, a młodzi parobcy i dziewczęta śpiewają pode drzwiami:

118. I rozbujał się ten siwy koniczek, rozbujał,
Oj kiedy na nim nadobny Jasieńko wywijał.
I wbujał się do mojéj matuli w podwórze,
I uchylił téj siwéj czapeczki ku górze.
I uwiązał konia w sadzie u jawora,
A sam przyszedł do mojéj matuli do dwora.
Kłaniam, kłaniam matulu moja w tym nowym dworze,
A czyli żyje panna Maryanna w téj nowéj komorze?
Oj Maryanno, panno Maryanno nie dumaj,
Przepłynęłaś bystre jezioreńko—przepłyniesz i Dunaj.
Oj służeńkowie, moi służeńkowie—weźcie ten wianek ruciany,
I powieście go u mojéj matuli w sieni nade drzwiami.
Oj matuleńka, pani matuleńka—będzie chodzić furtami,
Co spojrzy na wianek oj na lewandowy—obleje się łzami.

Rodzice wychodzą na próg domu, a podawszy obecnym chléb i sól, zapraszają ich do mieszkania, gdzie obiad przygotowano. Ojciec i wszyscy drużbowie piją za zdrowie młodéj mężatki, która odbiéra z rąk ojca kieliszek i wychyla zdrowie swego pana-młodego, co po niéj wszystkie kobiéty powtarzają.. Groch, flaki, kapusta i pasternak, ukazują się kolejno na stole. Do grochu przyśpiewują:

119. Odejmijcie pokrywę,
Niech nam groszek odkryją:
O rosie po rosie,
Sieję groszek przy drodze,
Z Panem Jezusem—z Matką Najświętszą,
Ze wszystkiemi świętemi—z aniołami Bożemi.

We wtorek przystępują do oczepin. Scena z czapkami, przytoczona pod nr. 44 i tu się odbywa. Poczém odśpiéwują pieśń, o chmielu (nr. 120), odbiérają podarki dla panimłodéj od zgromadzonych osób; wreszcie pieśń o jabłoneczce (jak nr. 47 i 66):

121. A szczérze ja Panu Bogu służyła,
Kiedy ja tę jabłoneczkę sadziła i t. d.

Jedną z najpiękniejszych pieśni przy oczepinach, częstokroć nawet i pierwszego dnia po rozplecinach na dobranoc śpiewana jest jeszcze następująca (melodya jak do nr. 112):

122. Stoi lipeńka—stoi zielona,
listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna—pod nią jedyna,
z rutki wianeczki wiła.
Oj czego płaczesz—moja dziewczyno,
i cóż ci za niedola?
Nie płaczże Kasiu—smutnaś po Jasiu,
oj będziesz-ci go miała.
Oj mój Jasieńku—oj mój kochany,
da stałać mi się szkoda,
Uwiłam-ci ja—parę wianeczków,
zabrała mi je woda.
Moja dziewczyno—moja jedyna,
nie frasuj ty się o nie,
Oj mam-ci ja mam—parę łabędzi,
popłynąć one po nie.
Już jeden płynie—po rokicinie,
wianeczka sięgający,

Już drugi płynie—aż się ohynie,
wianka nie dostający.
Łabędzie płyną—wianeczki toną,
bystra je woda garnie,
Moje wianeczki—z drobnéj ruteczki,
mam-li was stracić marnie?
Łabędzie płyną—wianeczki giną,
bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka—moja Kasieczka,
już ja cię nie pocieszę.
Łabędzie wróćcie—serca nie śmućcie,
wianeczka nie przyniosły;
Tylko rąbeczek—to na czepeczek,
na twoje złote włosy.

Że pieśń ta i przy sobótkach bywa śpiewaną (patrz Wojcickiego Pieśni Ludu tom I, str. 254) ztąd wnosićby można, że niegdyś sobótki i wesela albo były jednoczesne, tojest w jednéj i téj saméj odbywały się porze, lub téż że niektórych pieśni do obojga obrzędów używano wspólnie. Być jednak może, że tylko niewłaściwie pomieszano je z sobą, co się częstokroć u ludu naszego zdarza.

Na dowód czego przytoczyć jeszcze można następującą pieśń w tymże zbiorze (tom I, str. 257) znajdującą się, śpiewaną zarówno przy puszczaniu wianków w wigilią świętego Jana z osad między Narwią a Wisłą, jak i przy weselach:

123. Hej hej! łabędzie płyną, a z łabędziami,
Płynie wianeczek—Kasi na czepeczek,
aby siadła z niewiastami.
Oj jedzie jedzie—mój kochaneczek,
po majowéj dąbrowie:
Oj płynie, płynie—z czepkiem wianeczek,
Kasieczce na głowę.
Oj jedzie, jedzie—mój kochaneczek,
po majowéj dąbrowie,
Rozpuścił cugle—kieby wianeczek,
konikowi po głowie.
Oj nie żal mi tych—złotych cugli,
com je jak wianek rozpuścił,
Jeno mi żal—serdeczny, serdeczny,
dziewczyny com ją opuścił!
Nie płacz dziewczyny—nie płacz jedynéj,
jedź po zielonéj dąbrowie;

A złote cugle—i strusie piórka,
rozpuść konikowi po głowie.
Hej hej! łabędzie płyną, a z łabędziami,
płynie wianeczek:
stoi kochaneczek.
Kasiu moja Kasiu—między dziewczętami,
tak mi żal upłynie,
jak ten wianek płynie.

W następstwie przy rozwoju pieśni śpiewanych podczas sobótek, wspólność powyższa dobitniéj się okaże.

Po oczepinach śpiewają jeszcze następującą pieśń: (patrz nr. 101).

124. Oj bez uwagi mąż żonę bije,
Nie masz nikogo co pożałuje.
Przyjedź, przyjedź pani matko,
Przyjedź, przyjedź pożałuj mnie.
A pani matka przyjechawszy,
I porządeczek obejrzawszy:
A bij zięciu, bij nauczaj,
Niedobry to zły obyczaj
córka ladaco.

(*W podobny sposób przechodzą ojca, siostrę i ciotkę, kończą zaś*):

A pan braciszek przyjechawszy,
I porządeczek obejrzawszy:
A ty szwagrze niedorosły,
Nie bijże mi mojéj siostry,
sam żyć nie będziesz.
Ni mnie oknem, ni mnie drzwiami,
Wszędy stoją z pałaszami,
pożałuję cię.

Podobna pieśń znajduje się w zbiorze moim wydanym gdzieindziéj, pod liczbą 41 i 114.

## 7.

Winienem tutaj podać i pieśni weselne Kurpiów z okolic Ostrołęki i Myszyńca, tak, jak je znakomity nasz badacz Wojcicki w swoim Zbiorze Pieśni i w Zarysach Domowych zamieścił, z dodatkiem jedynie muzyki i tego, co mi się sa-

memu pozyskać udało (patrz Wojcickiego Pieśni tom II, str. 87, oraz Zarysy Domowe tom III, str. 216, gdzie i akcent prowincyonalny jest zachowany).

Rodzice mając syna zdatnego do żeniaczki, obiérają sobie dzień niedzielny dla narady. Spraszają do siebie zaufańszego z rodziny lub kuma, obiérając do tego wygadanego chłopa, ażeby się zdał na swacha. Mając wódkę pod ręką, zwabiają syna Jonka, i namawiają do ożenienia. (Sposób w jaki się to odbywa, w wymienionych wyżéj Zarysach opisany jest).

We czwartek wedle umowy, swat z Jonkiem i gorzałką zajeżdżają w zaloty przed chatę Maryny lub Kachny do jéj rodziców, i zawiérają umowę małżeńską (patrz w tychże Zarysach). Po skończonych zalotach, Jonek dał na zapowiedzi, a przy końcu trzeciéj niedzieli już wszystko przygotowane jest do obrzędu.

W dzień wesela zbierają się same chłopaki i dziewuchy do domu panny-młodéj, któréj przypinają dwie wstęgi różno-kolorowe, równie jak drużbom. Rozpoczynają gdy panmłody spodziewany:

125. Ubrał się pięknie;—na konika siędzie,
wnet u Maryś będzie!
Masz-ci miłego—chłopca dziarskiego,
co się i djabła nie zlęknie.
Oj to chłopiec krzepki—znają ci go lasy,
Chodził on w załebki—z niedźwiedziem w zapasy.
Oj strzelać on strzela—nigdy nie omyli,
Ale mu do Maryś—spieszyć się najmiléj.

Przy zaczęciu rozpletania warkocza pannie-młodéj, posadziwszy ją na pieńku, ubiéraczka w tę pieśń się odzywa:

126. Zakukała kukawenka na sęku,
Zapłakała Kasiuleńka na pieńku:
Oj kukajże kukawenko a głośniéj,
Oj płacz-że ty Kasiuleńko żałośniéj.
Lata żołna, szuka ula,
A na nim siedzi Kasiula:
Latajcie smutne żołneczki,
Póki nie porwą Kasieczki.

Wśród rozplotu:

127. Ty mój bracie rodzony,
Rozpleć warkocz spleciony:
Niéma tego na świecie,
Kto mój warkocz rozplecie.
Mój braciszku rodzony,
Rozpleć warkocz spleciony;
Przybywajcie drużbowie,
Jeszcze warkocz na głowie.
O dlaboga żywego!
Niéma drużby żadnego;
Przybywajcie drużbowie,
Jeszcze warkocz na głowie.
I ty duży i ty mały,
Jeszcze mój warkoczyk cały;
Przybywajcie drużbowie,
Bo mój warkocz na głowie.
Co u Boga żywego!
Niema drużby żadnego.

Tu wchodzą drużbowie:

My koniki siodłali,
Tom późno przyjechali.

Druchny: Jak drużbowie przybyli,
Po sto złotych rzucili:
Dziękujem wam drużbowie,
Za mój warkocz na głowie.

Gdy drużbowie rzucają dary:

O ty drużbo kochany,
Już warkoczyk splątany;
Uczeście mi drużbowie,
Mój warkoczyk na głowie.

Kiedy każdy z przytomnych pociąga grzebieniem po warkoczu panny-młodéj:

Gdzie mój grzebień perłowy?
Żeby mi był gotowy;
I wstążeczka różowa,
Żeby była gotowa.
Ach dlaboga żywego!
Nie ma Jasia mojego.
Ach! Jasieńku kochany,
Już warkoczyk splątany.

Rozczesując warkocz pannie-młodéj:

128. Do Dunaju drożyna,
I tam biegła dziewczyna;
Nad Dunajem stojała,
Z rosy warkocz czesała.
Płyńcie, a nie tońcie,
Do matki zapłyńcie,
Niech matula to poznaje,
Za kogo mnie oddaje.

Kiedy pannę-młodą przystroją przed odjazdem do ślubu, nucą (patrz nr. 89):

129. Nacożeś mnie matuleczku za mąż wydała,
Jeszczem ja się w gospodarstwie nie naumiała.
Tylko biédy, kłopotości,
Żal się Boże méj młodości,
matulu moja! i t. d.

Na samém wyjeździe do ślubu, żegna się ona z rodzicami padając im do nóg i żegna sąsiadów wśród śpiewu:

130. Pożegnaj domowe progi,
Padnij matuli do nogi,
Boć matuleczka tak płacze,
I tak lamentuje,
Jako kukułka,
Jako kukułka,
W zielonym gaju kuje.
Upadnij do nóg
Ojcu, matce,
I wszystkiéj rodzince,
Niech ci błogosławi,
Najprzód sam Pan Bóg!

Pan-młody z drużbami siada na koń, starzy na wozy, panna-młoda na osobnym wozie siedzi ze starszą druchną wraz z grajkiem, który ciągle do samego kościoła przygrywa, skoczne oberki lub mazurki. Prócz tego śpiéwają (p. nr. 117 i Wojcickiego Pieśni ludu, tom I, str. 87).

131. Przyleciał sokół—przed tutejszy dom,
I padł w ogródeczku,
Przy wonném ziołeczku
roztoczył ogon.
Kasieńku miła — Jasio cię woła,
Byś do niego wyszła,

Sama jedna przyszła,
sama jedna zgoła.
Kasieńka nie chciała—wysłała posła,
Poseł nic nie sprawił,
I długo się bawił;
potém sama poszła.
Teraz-że teraz — wozy zataczajcie,
Pojedziemy w nasze strony,
Kędy dom mój ubielony:
konie zaprzęgajcie.
Jak-ci wyjechali — daleko na pole,
Kasia sobie zapłakała,
Białe rączki załamała,
na swoję dolę.
Obejrzyj się Kasiu—obejrzyj kochanie,
Czyliś czego zabaczyła,
Czyliś mną już pogardziła,
na co płakanie?
Zabaczyłam Jasiu—dla ciebie cnoty!
O! daj mi się do dom wrócić,
Serce ojca nie zasmucić,
Jasiu mój złoty!
Ale zdala widać — w polu biały dom;
Upadł sokół przed okienkiem,
I z Kasieńką i z Jasieńkiem,
roztoczył ogon.

Przed kościołem:

132. Pod borem sośnia—pod nią topola,
Ożeń-że się moję dziewczę—bo ci niewola (*konieczność*),
Oj nie niewola — tylko potrzeba,
Bo ja ze swym Jasiuleczkiem—dorobię się chleba.
Moja matuleczko — dałaś mnie daleczko,
Za dwa, za trzy jezioreńka—za czwarte poleczko.

Wracając z kościoła od ślubu:

133. Wesele jedzie,
Kapusta w kłodzie,
Mięso na kołku,
Pasternak w dołku.
Żeby nie poduszka, nie Jasiów sukmanek,
Kiwałby się kiwał na méj głowie wianek.

Stojąc po ślubie przed domem:

134. Otwieraj matko dom, dom,
Bo z kościoła już idą;

Otwiéraj wrota cisowe,
Niechaj przyjdą dzieci zdrowe.

Po skończonym obiedzie (złożonym z barszczu, mięsa, pasternaku, flaków i grochu, któremu szczególna poświęcona piosnka):

135. Co tam było stołów!—a wszystko lipowe;
Co tam było obrusów!—wszystko toruniowe,
Co było półmisków!—wszystko bursztynowe;
Co było ławeczek!—wszystko jesionowe.
Łyżki były posrébrzane,
A widelce pozłacane.
Co było wódek! to alembikowe,
A piwo samo dubeltowe;
Na stole była samutka zwierzyna,
Ale pieczyste, sama wołowina.
Był zjazd weselny, to dystyngowane,
A swachny ładne, gdyby malowane;
Byli drużbowie, wszyscy z Torunia,
A każdy z nich miał po Szwedach konia.
Ale i druchny jak Warszawianki,
Tylko że mają piękniejsze wianki.

Chór drużbów:

136. Syta druchna, syta—zjadła zasiek żyta,
Pięcioro kokoszy—pieczeń za sto groszy.
Syta druchna, pękata—zjadła byka, miał trzy lata;
War piwa wypiła—jeszcze się swarzyła!
Co pod stołem grucha?—druchna łozicami rucha,
Co pod wozem jęczy?—druchnę wilczek męczy.
Ej wy druchny miły—gdzieśta się bawiły?
Czy z byśkiem w oborze—czy w nowéj komorze?

Druchny: Niech drużba nie kokosi się,
Wléź za piec, a wyśpij się.

Po obiedzie ciągle tańczą, piją i śpiewają piosnki krótkie zwane wyrwasy. W wieczór już późny, śród tańców oczepiają pannę-młodą posadziwszy ją na dzieży od chleba. Ważny ten obrząd ma uprzywilejowane swoje pieśni.

Przy zdjęciu wianka z głowy panny-młodéj:

137. Już wieczór nadchodzi,
Kasi wianeczek schodzi,
Pomaleńku zdejmajcie,
Główeńki nie targajcie.

Bym ja o tém wiedziała,
Komum wianek oddała.
Pan-młody: Do skrzyni go, do skrzyni!
Swachna: Dopiérom go włożyli.
Druchny: Mój wianeczku ruciany,
Komuś ty obiecany?
Bym ja o tém wiedziała,
Komum wianek oddała.
Tobie Jasiu kochany,
Bo twój wianek ruciany.
Któż się tutaj znajduje,
Mój wianek wykupuje?
Ty mój Jasiu kochany,
Bo twój wianek ruciany.
Pan-młody: Konie, woły utracę,
A twój wianek zapłacę,
Ja tysiące utracę,
A twój wianek zapłacę.

W czasie oczepin (po prześpiéwaniu pieśni nr. 95).

138. Zakukała kukaweczka na dąbku,
Zapłakała Marysia już w rąbku;
Siedzi kukaweczka na wieży,
Zapłakała Maryleczka na dzieży.
A cóż ci Marysiu, cóż ci to,
Że cię w ten rąbek zawito?
Nic ci mi drużbowie, nic ci mi,
Bo mi w tym rąbku najmiléj;
Takem sobie zapłakała,
Żem już panną być przestała.

Po oczepinach:

139. Moje dziéwczę, moje złoto,
Porzuć wianek teraz w błoto;
Rzuć-ci wianek, a weź czépiec,
Bo już czeka na cię chłopiec.
Siedzi za stołem dziewczątko,
Patrzy gdyby niewiniątko;
Oczki jak sokoły patrzały,
A łzy jak rosa padały.
Ach! urodoż moja niemiła,
Gdzieżeś ty mnie zgubiła?
Jak rybkam sobie bujała,
Żadnego kłopotu nie znała.
Teraz rozkazać czeladzi,
I saméj robić niewadzi;

I wianeczek oddać jednemu,
Jasiowi miłemu.

Następuje pieśń o chmielu:

140. Oj chmielu, chmielu! niedowarzony,
Nie chodziłbyś ty do cudzéj żony,
Ale ty chmielu, ty drobne ziarka,
Nie będzie bez ciebie piwo ni gorzałka.
Oj chmielu, chmielu, ty drobne ziele,
Nie będzie bez ciebie chrzcin ni wesele.

Po oczepinach, gdy gospodynie odbiérają z grona druchen pannę-młodą:

141. Pojdźcie druchny wilczą drogą,
Zgubiłyście pannę-młodą,
Idźcie druchny wilczą steczką,
Już nie będziecie z dziéweczką.

Przy rozejściu się drużyny weselnéj:

Pójdźcie druchny wilczą drogą,
Zgubiłyście pannę-młodą;
Narządzajcie belki w kalinowym moście,
Bo tędy pojadą Jasieńkowe goście.
Leci koniczek,
Przez pastewniczek,
Nóżkami przebiérając;
Płacze Kasienka,
Płacze jedyna,
Z za stołu wysiadając.
Nie łamcie się belki w kalinowym moście,
Bo tędy pojadą Jasieńkowe goście.

W Prusach w okolicach Rozogi (Friedrichsfelde), Szczytna (Ortelsburg), Mikołajków (Nicolaiken), i Olsztynka (Allenstein), oprócz większej części powyższych pieśni, dodają lub odmieniają jeszcze w czasie rozplecin:

142. A na morzu leży kamień,
Siedziała tam Kasia na nim;
I siedziała i płakała,
Swój warkoczyk rozpletała.
A téj nocki godzineczką,
Już nie będę panieneczką.
Nie płacz dziéwczę, nie frasuj się,
Kup se farby, umaluj się.
Cóż mi nada malowanie,
Kiedy będzie dziécię małe.

A ty to dziécię odchowasz,
I do Boga i do ludzi dasz.

W czasie oczepin:

143. Ty wianeczku lewandowy,
Nie spadaj mi z mojéj głowy.
Bo jak ci mi prędko spadnie,
Zaraz moje liczko zbladnie.
I spadł i spadł, pokruszył się,
Jasio zdjął go, pocieszył się.
A mój wianku z białéj róży,
Nie jeden ci dzisiaj służy.
Służą tobie gospodarze,
Małe dziatki i kucharze.
A mój wianku z białéj ruty,
Nie dodaj mi wielkiéj smuty.
A mój wianku zieloniuchny,
Służą tobie swacia, druchny.
A mój wianku z suchéj miotły,
Będziemy cię dzisiaj gniotły.

Po oczepinach: (patrz nr. 105).

144. Na polu sosnia stojała,
Pod nią dziewczyna siedziała.
Iskry na nią padały—suknie na niéj gorzały
aż do dnia.
Oj wyjrzyj, wyjrzyj Jagienko,
Któż to tam stuka w okienko.
Czy gołębie czy ptaki—czyli młode chłopaki
stukają.
A chłopcy do niéj mówili,
Cebrem jéj wodę nosili.
Cebrem wodę nosili—suknie na niéj gasili,
aż do dnia.

Żegnając się z rodzicielskim domem:

145. Ostańcie się i wy progi,
Żegnają was moje nogi.
I wy stoły, i wy ławy,
I wy goście niebywały.

Niekiedy śpiewają jeszcze nazajutrz (patrz Wojcickiego Pieśni ludu tom I, str. 171):

146. Pani matko dobrodziejko,
Jadą, jadą goście—po lipowym moście:
Kiedy jadą goście—do dom-że ich proście.

Na podzamcze przyjechali,
I z koników pozsiadali.
Pani matko dobrodziejko,
Kiedy tak chcą nieba,
Nie skrob-że od siebie nożem,
Skórkę białą chleba (*).
Na koniki powsiadali,
I Kasineczkę zabrali:
A mateńka jak kukułka,
Jak kukułka
W zielonym gaju kuka.

*

Jeszcze roku nie wyszło,
Aż na Kasię złe przyszło.
Ręce załamała,
Oczka zapłakała.
Rano matka wychodzi,
Smutną Kasię znachodzi.
Pani matko dobrodziejko,
Ratujże mnie ratuj!
Samaś tego chciała,
Gdy rada witała.
Pani matko dobrodziejko,
Ratujże mnie ratuj!
Jakie ręce narobione,
Jakie plecy zaczernione;
Ręce od roboty—a plecy od kija,
Co nim zawsze bije—kiedy się upija.

Również bywa tu śpiewaną pieśń (zamiast nr. 116).

147. Na polu sosna—pod sosną woda,
Czekała tam Kasiuleńka—śliczna uroda.
Kasia od wody—Jasio do wody,
Postój, postój Kasiuleńku—wlej koniom wody.
Naści chusteńki—obwiń nożeńki,
A jak będziesz moją miłą kupię ci trzewiki.
Za Jasieńka iść—robić nie umieć,
A jakże ja iść za niego, nie umiém robić.

(*) Wyrażenie to stosuje się do zwyczaju zachowywanego i w domach szlachty, że kiedy miły konkurent przybył, przy krajaniu chleba, spód zwykle mączny skrobano nożem ku sobie; w przeciwnym razie od siebie, co znaczyło, że zaloty jego są próżne lub niewczesne.

Jest na boru wić—nauczy robić,
I brzozowy pomietełek rano obudzić.

K. W. Wojcicki w Zarysach Domowych, opisując obrzędy weselne Kurpiów, przytacza kilka waryantów powyższych pieśni, i tak: zamiast nr. 122 (zapewne w okolicy Myszeńca):

148. Coś dziewczyno myślała—jakeś swój warkocz splatała?
Myślałam ja rozkośnie—będę go płakać żałośnie;
Nie masz tego na świecie—kto mój warkocz rozplecie,
Jest braciszek rodzony—rozplecie warkocz splecion y,
Talara położy—bo mu się tak należy.
Złoty mało i dwa mało—trzy talary by się zdało.
Nie masz tego na świecie—kto mój warkocz rozplecie.
Jest braciszek cioteczny—rozplecie warkocz serdeczny.
Cztéry złote położy—bo mu się tak należy.
Jest braciszek wujeczny—rozplecie warkocz bezpieczny,
I trzy złote położy—bo mu się tak należy.
Złoty mało, tynfa mało—półtoraby się zdało.
Trzeba jéj na sitko—i na wszystko,
I na przetaki—bo tam dom ladajaki.

Wtedy drużbowie robią składkę na warkocz po kilka groszy. W czasie składki śpiewają:

149 O dajcie byczka z kojca—odstępuje matki ojca,
O dajże jéj starszy bracie—niechaj dłużéj już nie płacze.
Dajcie jéj sześciu groszy—kupi kura do kokoszy,
Trzeba jéj dać na stępę—i na klepkę.
Dajcie jéj mali dawać—nie dajecie jéj daléj płakać.

Z powyższego pokazuje się, że pieśni weselne Kurpiów mało co różnią się od mazowieckich, tworząc tylko celniejszy ich waryant.

(c. d. n.)

*Oskar Kolberg.*

---

## *Wiadomość bibliograficzna.*

W księgozbiorze JW. hrabi Seweryna Uruskiego znajduje się książka in-4to złożona z oprawionych razem pięciu małéj objętości dziełek (broszur), ściągających się do historyj polskiéj, lub historyi obyczajów i zwyczajów w Pol-

sce: ostatnie zdaje się być nieznane dotąd bibliografom naszym, a godne zachowania między pamiętnikami o dawnéj Polsce.

Jestto opisanie w niemieckim języku uroczystości, która towarzyszyła przyjęciu w Krakowie arcyksiężniczki Elżbiéty przez młodego Zygmunta Augusta i wesela téj pary odbytego tamże w r. 1543 dnia 4 maja, skréślone przez naocznego świadka (jak się zdaje w liście do przyjaciół), i wydrukowane na 10ciu nieliczbowanych kartach, prócz tytułu, który jest następujący:

„Kurtze beſchreibung deß einzugs der Jungen Künigin zů Cracaw, unnd der Hochzeit deſs Jungen Künigs auſs Polen, mit Römiſcher Kii. May. Ferdinandi Tochter, mit mancherley gepreng und Ceremonien, geſchehen den iiij. Maij, und etlich tag hernach. Anno M. D. xliij". (1),

poczém dopełnia karty drzeworyt wyobrażający wjazd i przyjęcie arcyksiężniczki w miejscu, z którego rozciąga się widok na wodę, na któréj daje się postrzegać statek z masztami i linami. Nigdzie nie położono miejsca druku, ale zdaje się że niém jest Norymberga. Oto wierny ze staréj niemczyzny przekład tego, co pomienione 10 kartek obejmują (2):

„Daléj będziecie słuchali także bez wątpienia jak téż poszło wesele, a poszło zaiste z wielką czcią i pompą. To jest krótko tak, Jak tedy na czwarty dzień maja królowa przybyła w tysiąc dwieście koni do miejsca o półtory mili ztąd, Paluss (3) nazwanego, z którą byli margrabia Jerzy (*Joerg*) jako poseł od cesarza, daléj xżę Lignicki z Szląska, zamiast króla Ferdynanda, daléj xżę Münsterberg, daléj biskup Oło-

(1) Krótkie opisanie wjazdu młodéj królowéj do Krakowa, i wesela młodego króla z Polski, z najjaśniejszego króla rzymskiego Ferdynanda córką, z rozmaitemi okazałościami i obrzędami, odbytego 4 maja i kilka dni potém. Roku 1543.

(2) Tłumaczymy dosłownie i zachowując przecinkowanie oryginału.

(3) Zapewne *Balice*.

muniecki (*Ulmitz*) i biskup Wrocławski, a prócz tego zaiste wielu Czeskich i Szląskich panów, hrabia Mikołaj von Salm, Pan Zygmunt von Hermstain (1) i daléj inni panowie, którzy wszyscy do tysiąca dwustu paradnie ubranych koni przy sobie mieli i ostatni nocleg w Paluss odbyli. Nazajutrz potém dnia czwartego maja, młody król około na godzinę przed południem wyjechał z Krakowa ze wszystkiemi swojemi panami, rycerstwem i szlachtą, których wszystkich do cztérech tysięcy było, poubiéranych na wszelki sposób, jakoto: po Niemiecku, po Polsku, po Włosku, po Francuzku, po Węgiersku, po Turecku, po Tatarsku, po Hiszpańsku, po Moskiewsku (*Moscabiterisch*), po Kozacku (*Koseckisch*), po Stradyocku, Jego Królewska Mość po Niemiecku, w białéj srébrzystéj sukni, na gniadym rumaku który był wspaniałym rzędem z pereł z tyłu i z przodu okryty, i wspaniale ustrojony, o ćwierć mili od miasta przybył, gdzie tam wzniesione były na łące trzy czerwone namioty, Jego Królewska Mość wszedł do jednego namiotu ze wszystkiemi swojemi panami, Jakoto był tam margrabia Albert xiążę z Prus ze dwustu konnemi wszyscy cali w pancerzach, między temi było trzydziestu kiryssyerów należycie uzbrojonych, Potém xiążę Cieszyński (*von Thescha*), i inni panowie potém, ale jadący ze wszystkiemi innemi rycerzami postąpili daléj naprzeciwko królowéj. Kiedy Jéj królewska Mość z całym ludem swoim, na paradnie przybranym powozie tam jechała, otaczali go konni w swoim porządku, i towarzyszyli mu aż do namiotów, gdzie czerwone sukna były porozciągane.

Skoro tedy pomiędzy namioty przybyli, królowa Jejmość z powozu wysiadła, wspaniałą złotą suknią odziana, wziąją margrabia Jerzy od prawego a xżę Lignicki od lewego boku, i prowadzona była po czerwonem suknie, od powozu, z całym swoim froncymerem, król ze swojego namiotu wyłszedł ze wszystkiemi swojemi panami i udał się naprzeciwko młodéj królowéj, i oboje podali sobie ręce, i oboje schy-

(1) Bielski zowie go: *Zygmunt z Herberstyna.*

lili się prawie aż do ziemi, i wzajem się uściskali, poczém z obojéj strony miano oracyą prawie przez półgodziny, Gdy ta skończyła się, poprowadzono królową Jejmość znowu do powozu, a król siadł na konia i przy powozie, razem z margrabią Jerzym i margrabią z Prus jechał, i tak, się wjazd zaczął, Przyjęcie, jak powiedzieliśmy, odbyło się przy pięknéj pogodzie, ale jak się wjazd skończył, który do trzech godzin trwał, na dészcz się zebrało, a jak oboje królestwo do bram Krakowa przybyli, dészcz zaczął padać i taki stan powietrza trwa aż do dnia dzisiejszego, tak że od piątego maja aż dotąd, ani jednego dnia pięknego nie mieliśmy, Z tego wynikło, że i piérwsze owoce zepsuciu podpadły. Jak tedy JJ. KK. MM. z wielką radością, pompą i wspaniałością wjechali i aż do zamku przybyli, gdzie jest wielki katedralny kościół, Jej K. Mość z powozu wysiadła, i weszła do kościoła, gdzie stary król razem ze starą królową czekali. Jego królewska Mość z wielkiém uszanowaniem i radością, stary pan ich przyjął, razem z trzema Jego królewskiéj Mości córkami, i potém Boga chwalili. Gdy się to skończyło, zaprowadzono JJ. KK. MM. do zamku, i Jéj K. Mci z wielkiém uszanowaniem przeznaczone dla niéj pokoje oddano, i jéj tajni radcy, jakoto panowie, hrabia Mikołaj von Salm, Zygmunt von Hermanstain, razem z całym froncymerem w zamku, wspaniałemi pokojami obdarzeni zostali, i tedy piątego dnia maja spoczęli. Jak zaś Jej Król. Mości sługi i dwór podejmowani byli, o tém już z wieści dostatecznie wiecie, czego winę przypisują temu który powinien był ich prowadzić(1). Dnia szóstego maja był obrzęd kościelny, o czém jako wiela naoczny świadek i com od innych wiarogodnych powziął i usłyszał, krótką wam wiadomość dać muszę.

Otóż jak był czas obrzędu kościelnego, wszedł młody król w swojéj koronie na głowie, przy nim książę Albert z Prus, potém następował stary król, który był w krześle

(1) W oryginale: „*wess die schuldt. gibt man dem der sie hat sollen füren*".

niesiony, po J. K. Mości młoda królowa, według zwyczaju niemieckiego, po niéj stara królowa, po téj trzy jéj córki, a potém pani Salm, jako ochmistrzyni, i inne damy, i cały froncymer. Kiedy do kościoła przybyli, wzniesione były dwa siedzenia w środku choru, ozdobione aksamitem złotem wyszywanym i kobiercami; na jedném młody król usiadł a królowa że jeszcze nieukoronowana przy nim stanęła, margrabia Jerzy i książę Lignicki, do stopni przed wielkim ołtarzem ją poprowadzili, dokąd i młody król poszedł, poczém zaślubiono ich i połączono z sobą, z wielkiemi ceremoniami, potém królową znowu poprowadzono do ołtarza i całkiem odsłonięto jéj głowę, a gdy ona sama tylko z gołemi włosami, bez żadnego związania, nic na głowie nie mając, i tak przed wielkim ołtarzem stała, arcybiskup (1), według starego zwyczaju namaszczył ją pomiędzy piersiami i łopatkami, a przy namaszczeniu litanię, *Ora pro nobis*, w ciągu dwóch godzin śpiewał; przy czém tedy nachyliwszy się i uklęknąwszy stała, po takowém arcybiskup ją podniósł, i Jéj K. Mości koronę włożył i ukoronował, berło i jabłko dał w rękę. Gdy się to wszystko z wielkiemi ceremoniami odbyło, wtedy obydwa wyżéj wymienieni książęta wziąwszy królową od ołtarza, przy młodym królu na krześle J. K. Mość posadzili, Tamże ona w koronie, z gołą głową, rozpuszczonym włosem, siedziała, Chociaż stary król, gdy ten miłości którą ku niéj miał, nie mógł ukryć, kilkakrotnie pana Zygmunta von Hermenstain do Jéj król. Mości posyłał, iż jeżeli korona jest dla niéj zaciężką, może ją zdjąć z głowy i na stronie położyć, ale ona tego nie chciała uczynić, i tak przy młodym królu, wpośród obojga JJ. KK. MM. aż do końca obrzędu siedziała. Gdy tedy obrzęd przeminął, rozpoczęto wyjście: pierwszy szedł król w koronie, potém młoda królowa, potém niesiono starego króla, potém szła stara królowa, potém trzy J. K. Mości córki, i froncymer, zaiste wspaniale poubierani i z wielką pompą, razem z sobą jedli, a potém cicho tego dnia było.

(1) Był nim sławny Piotr Gamrat.

Siódmego dnia maja JJ. KK. MM. wszystkich gości, którzy do JJ. KK. MM. dla honorów przybyli, zaprosili i dobrze przyjęli. Tegoż dnia w nocy zostawali w łożnicy, Boże im błogosław (1).

Dnia ósmego maja, uczczono Jéj K. Mość ślubnym darem i wielkim podarunkiem, o czém możecie sądzić, że było Jéj Król. Mości więcéj niż pięćdziesiąt tysięcy złotych podarowane, lubo gdy Polacy wszystkie rzeczy wysoko szacują, według mojego zdania nie wyniesie to tak wiele, Tedy przepędzanoby dni na wielu krotochwilach z turniejami, wyścigami i na ostre, ale przypadło tak zimne i nie-

(1) Wiadomo, że tylko parę lat potém Elżbiéta żyła, a jakie było jéj powodzenie i pożycie z mężem, dosyć jest przytoczyć dwa następujące wyjątki z listów Stanisława Gorskiego, kanonika Krak. do Jana Dantyska biskupa Warm. (w Zbiorze pam. hist. o dawn. Pols. Tom. IV). Pod dniem 15 marca, r. 1544, Gorski mówi (str. 35): „Druga przyczyna (że wyjeżdżamy do Litwy) iż nie śmié królowa spotkać się z Ferdynandem królem rzymskim, którego córkę Elżbiétę, żonę młodego króla naszego, Bona z samego początku niegodziwie traktuje, i przez czary, obmowę nienawistną synowi swemu, niemiłą uczynić pragnie, od pożycia z nią odstręcza, i porzucić przymusza, tęto panią, piękną jak anioł, anielskiemi, że tak rzekę, ozdobioną przymiotami, Najjaśniejszy zatém król Ferdynand, chcąc zaradzić tylu przykrościom swéj córki, i pogodzić ją z mężem, postanowił na przyszłą wiosnę odwiedzić starego króla naszego w Krakowie. W tym celu wysłał tu do Piotrkowa, do starego króla posłów, prosząc by się mógł z nim widzieć czyto w Krakowie, czy w bliskości. Ale Bona przez zazdrość ku synowéj, przeczuwając, że jak na sprawczynią złego, wszystko na nią spadnie, odwodziła męża od zjechania się tego, radząc koniecznie, by król jechał do Litwy i t. d." W liście z r. 1545 (str. 55) donosi Gorski: „Przybiegł goniec do Krakowa, iż królowa Elżbiéta w Wilnie d. 17 czerwca, niespodzianie umarła. Młody król oblókłszy się w żałobę, dla obrządków pogrzebowych, dnia 3 lipca z Krakowa do Litwy pośpieszył, prócz czarnej sukni nie dając innego znaku żałości. Nikogo atoli niéma w Królestwie Polskiém i państwach onego, któryby straty téj świątobliwéj pani nie oblewał łzami: nie mogli bowiem ludzie wydziwić się dosyć i wdziękom jéj i cnotom królewskim i skromności: Helena nie była nad nią piękniejsza, ani najświątobliwsze panny bardziéj święte".

wesołe powietrze, że się każdy bał tego i strzeże się jeszcze aż do dnia dzisiejszego, A więc macie krótkie opisanie tego wesela, chciejcie tylko wybaczyć pośpiech. Datum xiiij. maja w Krakowie".

## „Potém następuje, jakim

sposobem wjazd się odbywał, gdy młodą królową do Krakowa wprowadzano, z wymienieniem wszelkich państwa i wspaniałości, którzy z obojga stron konno jechali. Działo się piątego maja, roku M. D. XLiij.

### Najprzód koniuszy (1) Wilski.

Dwóch trębaczy miało koni. ij.

Sześć rót po iiij. konie w złotych nakryciach, po Moskiewsku odziani.

Cztery roty po cztery konie w axamicie.

### Schmienoski Radomurschki (2).

Dwóch dworzan.

Trzech wystrojonych pacholąt.

### Opaliński młodego króla ochmistrz.

Paukier po Turecku ze szpicrózgą po jednéj stronie, a po drugiéj z buławą.

Ośmnastu Tatarów, każdy konia w ręku prowadząc.

Szesnastu ussarzy każdy konia w ręku prowadząc.

Dwóch Moskiewskich trębaczy.

Paukier z dwiema małemi pałeczkami. Summa (lxxij koni (3).

### Inna grupa.

Sześciu paziów z dworu J. K. Mości, byli w jedwabne suknie po Polsku wystrojeni.

Jedenaście rót po cztery konie ussarskich.

Ośm osób w złotych zbrojach.

Szesnaście rót po pięciu w samem czerwonem, i ze srebrnemi naramiennikami, kopije i tarcze (*tartschen*) niosących. Summa koni cxxxviij.

(1) W oryg. *Kfunsth.*

(2) Nie doszedłem co to przekręcenie ma znaczyć; czy *Siemianowski Rawski* (chorąży), czy też może *Szydłowiecki Radomski* (kasztelan).

(3) Ten rachunek jest pomylony, być bowiem powinno 85 koni.

**Inna grupa.**

Dwie roty po v. paziów brunatno w axamit i jedwab' tkany poubieranych, wszyscy w kunich (*medren*) czapkach.

Koni. x.

Te pomienione x. koni należą do innych, jak wyżej, czynią razem cclvij. koni, wszystko to byli dworzan słudzy.

**Inna grupa.**

Do paziów dworskich należący wszyscy po ussarsku ubrani.

xxv. rót po vj. w białem kopie i tarcze, także pióra na hełmach noszący.

Jedenaście rót po ij. w błękitnych (*plawer*) ubiorach.

Ośm rót po iij. w samem żółtem.

Sześć rót po iij. w zielonym ubiorze. Koni ccxiiij.

**Pan Wolski ochmistrz (1).**

Trzy osoby w adamaszek ubrane, łańcuchami, oraz srebrem, tak ludzie jak konie ozdobieni.

Dwóch trębaczy w żółtym atłasie.

Dziesięć rót po iij. w białem, ze srebrnemi strzemionami i stalowemi rzędami piórami na szyszakach przystrojeni.

Cztérnaście osób w jedwabnym atłasie i adamaszku.

**Pan Chodkiewicz podczaszy Litewski (2).**

Osoba w złotéj zbroi.

Czterech w czerwonym adamaszku.

Dwie roty po v. w białym adamaszku.

Ośm rót po iiij. ze srebrnemi przyłbicami i srebrnemi zbrojami. Summa koni cccxx.

**Pan Radziwiłł (3).**

Dwóch w złotych zbrojach łańcuchami obwieszeni.

Pięknie ubrane pacholę.

Sześciu tatarów w żółtym jedwabnym atłasie, każdy konia w ręku prowadzący.

Pięć rót po iiij. w axamitnych ubiorach ze srebrnem obszyciem, niektórzy srebrnemi napierśnikami i hełmami ozdobieni.

(1) W oryg. „*Pan Wolski Hoffmeyster*".

(2) Hieronim, który najprzód od Zygm. I w r. 1542 wziął podczastwo litewskie (*Niesiecki*). W oryg. „*Pan Katkawicz Littischer schenck.*"

(3) W oryg. „*Der Herr Radszwill.*"

### Pana Radziwiłła syn z Wilna (1).

Czterech w złotych ubiorach ze srebrnem uzbrojeniem i złotemi łańcuchami, na sposób Polski paradnie ustrojeni.

Cztérech strojnych murzynów, każdy konia w ręku prowadzący.

Dwóch trębaczy.

Pięć rót po iiij. w czarnych aksamitnych kontuszach i białych żupanach.

### Pan Boner stary.

Jeden w złotéj zbroi, długiemi piórami po Turecku ustrojony.

Cztérech tatarów w złoty adamaszek ubranych.

Dwóch trębaczy w sukniach z piór papuzich porobionych po Indyjsku.

Dwanaście osób w złotych ubiorach, konie i ludzie piórami i srebrnemi wyrabianiami na zbrojach i szyszakach paradnie ustrojeni.

Dziewięć koni prowadziło xij. wyżéj rzeczonych w ręku pod złotem ubraniem i haftowanem jedwabnem przykryciem.

Jeden piszczek. Jeden surmista, Jeden paukier.

Przeciągnęło jeszcze vj. rót po cztéry w złotych ubiorach ze srebrnemi szyszakami, i konie złotem ubraniem okryte. Summa koni cxxiiij.

### Inna grupa sług dworzan.

Trzy roty po iiij. po ussarsku biało ubranych.

Pięć rót po iiij. w samem czerwonem po ussarsku.

Trzy roty po iiij. biało po ussarsku.

### Pan Rozdrażewski (2).

Turek w złotym ubiorze.

Trzech piszczków w złotych ubiorach.

Pięć rót po iiij. w samem białem z piórami w srebro oprawionemi.

(1) W oryg. „*von der Wilfa.*"

(2) W oryg. „*Pan Raostrasosskhy.*"

## Arcybiskup.

Ośm rót po iij. w kontuszach z materyi złotéj, a od spodu szkarłatnych żupanach.

Pięknie wystrojony młokos który niósł chorągiew.

Sześć rót po iij. w czerwonym karmazynowym adamaszku, z białemi piórami i srebrnemi pancerzami.

Ci wyżéj wzmiankowani prowadzili w ręku pięć koni, 4 srebrnym ubiorem pokrytych, piątego czerwonym aksamitem.

Sześciu trębaczy, Jeden paukier.

Trzy osoby w złotych ubiorach.

Trzy róty po iiij. w srebrnych pancerzach na czerwonych żupanikach.

Jedna rota po iiij. źle czerwono.

Ośmnaście rót po iiij. w czerwonych czamarach z białemi piórami strusiemi w srebrnéj oprawie, kopijami i tarczami.

Dwie roty po v. ze srebrnemi napierśnikami.

Te clvj. koni arcybiskupa, były wszystkie piórami i srebrnym rzędem paradnie ustrojone.

Summa ccxxiiij. koni.

## Kościelecki wojewoda *von Schlachaw* (1).

Czterech tatarów w jedwab' ubranych, każdy wiódł konia w ręku.

Surmista, ij. paukierów, ci byli jak Pruskie baby ubrani.

Siedm osób w złotych ubiorach.

Czternaście rót po iij. zielono, ze srebrnemi napierśnikami i piórami, na sposób Polski wystrojeni.

Ośmnaście koni biało ubranych, konie pod przykryciem jedwabném i pawiemi piórami przystrojone na Polski sposób.

Dwóch konie w ręku wiodących.

(1) Zapewne Jan Kościelecki (w oryg. *Koczschileczki*) wojewoda Łęczycki i *Człuchowski* starosta, um. r. 1545.

### Dworscy słudzy.

Trzy osoby w jedwab' paradnie ubrane.
Siedm rót pacholąt po iij.
Dwóch Chodkiewiczów, Dwóch Cemów (1).
Ośm koni po Niemiecku, żółto axamitem bramowani, a konie axamitem nakryte.
Sześć rót po iij. należące do Cemów żółto axamitem bramowani, a konie axamitem nakryte.

### Dworskich paziów słudzy.

Dwadzieścia i trzy roty po iij. w żółtym kolorze axamitem bramowani, po Niemiecku, ale nie wszyscy jednakowego stroju.
Szesnaście rót po iij. źle żółtéj barwy.
Sześć rót po iij. Chełmińskiemu panu przynależących.
Trzydzieści koni różnego ludu pospolitego.
Dwie roty po iij. w żółtych czamarach błękitnéj i czerwonéj barwy, po jednéj stronie haftowanych, do Opalińskiego należące. Summa cccj. koni.

### Pan Poznański.

Trzy roty po iij. w czarnym axamicie.
Te ix. koni były axamitnym ubiorem okryte, i srébrne klamry na to nabite, wszystkię osoby srébrnemi łańcuchami obwieszone.
Ośm rót po iij. ubrane w axamit bez łańcuchów.

### Książę Cieszyńskie.

Dwie osoby w czerwonych czamarach axamitem bramowanych.
Dwie roty po iij. czerwono.
Trzech pacholąt w czerwonym axamicie.
Dwie roty po iij. źle czerwono.
Dwa konie w ręku z czerwonemi axamitnemi siodłami.
Dziesięć rót po iij. czerwono ubranych.

### Książę Pruskie w świécącéj zbroi,

z kopią i żółtym proporcem u niej wiszącym.
Dwóch trębaczy.

(1) Zob. Niesieckiego o familii Cemów (w oryg. *Cemen*) herbu Wczele, starożytnéj w Prusiech.

Jeden paukier wojskowy.

Dwóch pancernych (*kürisser*) paradnie ubranych.

xxv. rót po iij. i co czwarta rota cztérech pancernych.

Cztérech młodzieńców w żółtym adamaszku i półaxamitnych czamarach z błękitnemi kapeluszami i piórami, złotemi łańcuchami i pałaszami, także niektórzy, razem z rumakami paradnie ubrani byli.

Dwóch wojskowych paukierów. Dziesięciu trębaczy. Trzech strzelców. Summa koni clxxxij.

### Następują książęcia z Pruss.

Dwóch strojnych giermków, jeden niósł książęcia proporzec, a jeden hełm, na hełmie panna z piór była zrobiona, taka też na czole rumaka; drugi niósł książęcia kopią i hełm, na hełmie korona z piór zrobiona z długim ogonem.

Dwie roty po iij. w stalowéj zbroi.

Piętnastu pancernych, każdy ze cztérema końmi, i wszędzie za sobą prowadził pancerny na dwóch koniach stalowe uzbrojenie. Koni xcviij.

## Potém następują, którzy z młodą królową przybyli.

### Wojewoda Płocki (1).

Pięciu w złote zbroje przybranych.

Trzech Tatarów w czerwonym axamicie, a każdy z koniem w ręku.

Tatarski surmista.

Trzech trębaczy w złotych zbrojach.

Sześć rót po iij. z wysokiemi piórami i srébrnemi napierśnikami na Polski sposób paradnie ubrani.

Summa xxxvj. koni.

### Biskup Płocki.

Trzech w złotych zbrojach.

Trzech w złotych zbrojach. Pięciu koni w ręku.

Sześciu tatarskich trębaczy, Jeden surmista.

(1) W oryg. „*Waiuot von Ploczky*".

Turecki bębenista.
Dwie roty po iij. w złotych zbrojach z wielkiemi klamrami i białemi piórami.
Trzy osoby w złotym aksamicie.
Dziewiętnaście rót po iij. czerwono, konie haftowaném przykryciem osłonione, a wszystkie osoby ze srébrnemi napierśnikami.
Dwie roty po iij. w jedwabnych sukniach.
Pięć rót po iij. po ussarsku, w samym czarnym axamicie, złotemi łańcuchami obwieszonych, i z wysokiemi piórami strusiemi.

**Pan wojewoda Poznański.**

Dwóch młodzieńców w złotych zbrojach, paradnie ubranych.
Jedna rota po iij. czerwono, ze srébrnemi obrączkami około kapeluszów.
Cztérech z końmi w ręku, pod dekami z zielonego aksamitu.
Dziewięć rót po iiij. w czerwonych sukniach.
Trzech ze srebrnemi klamrami na przodzie.

**Hrabiego z Tarnowa grupa.**

Jedenaście rót po iiij. po Hiszpańsku ubranych, w czerwonych szkarłatowych czamarach, złotem bramowanych.
Dwóch trębaczy ubranych jak tamci wyżéj.
Dwanaście rót po iij. w aksamicie, złotemi łańcuchami obwieszonych, konie aksamitem ubrane.
Pięć koni w ręku, na nich damskie siodła z czerwonemi dekami.

**Następuje potém na drugiéj stronie**

nieco Ferdynandowskich dworzan, którzy z młodą królową przybyli.
Dwóch Węgierskich trębaczy.
Młodzian po Węgiersku mnogością srebra paradnie ustrojony.
Sześć rót młodzieży po ij. a na koniach materye z mnóstwem srebra.

Ośmnaście rót po iij. źle po Węgiersku ubrane (1).

**Margrabia Jerzy.**

Jedenaście rót po iij. w czerwonych sukniach, a wszyscy nieśli strzelby (*püchssen*).

Dwóch wystrojonych młokosów.

Dwie roty po iij. wszyscy strzelby nieśli, i w czerwoném odzieniu jak wyżéj.

**Biskup Wrocławski, i daléj Ferdynan-**

dowska służba dworzan, których nie można było rozróżnić.

Dwie roty po iiij. w czérwoném ubraniu.

Dwóch młodzieńców z łańcuchami paradnie ubranych.

Ośm rót po iij. w samém czerwoném. Dwóch trębaczy.

Trzy roty po iij. źle czerwonych. Trzy osoby w axamicie.

Trzech młodzieńców. Trzy osoby w axamicie.

Trzech wystrojonych młodzieńców.

Dwadzieścia i dwie roty po iij. w samém czerwoném.

Trębacz.

Trzech paziów w czerwonych czamarach z axamitu.

Węgrzyn w czerwonym aksamicie. Pięciu paziów ze złotemi łańcuchami. Dwóch ciurów. Trzech strzelców.

Ośm rót po iij. czerwono ubranych z rohatynami.

Trzech paziów. Dwóch młodzieńców w łańcuchy paradnie przybranych.

Dwóch wystrojonych młodzieńców.

Cztérech młodzieńców ze złotemi łańcuchami.

Trzydzieści i jedna rót po iij. w samém czerwoném z barankami.

Tatar konia w ręku prowadzący.

Siedm rót po iij. w samém czerwoném.

Rota jedna po iij. chłopcy w czerwonych czamarkach axamitem bramowanych.

Dwóch paziów w axamicie łańcuchami paradnie obwieszonych.

(1) Może to one piérwszy dały początek znajomemu przysłowiu.

Trzy roty po iij. młodzieńców. Trzydzieści i dwie rót po iij. w samém czerwoném. Dwóch paziów. Dwóch młodzian.

Siedmiu paziów królowéj w czerwony aksamit ubranych, i axamitne ubiory na koniach. Jeden z koniem w ręku.

**Polscy panowie.**

Pan Poznański w axamicie po Włosku paradnie ubrany.

Jeden ze dworu także na ten sposób.

Dwóch giermków paradnie ubranych.

Siedm rót po iij. pospolitéj czeladki.

Dwóch paziów od dworu w adamaszku.

Dwóch Ferdynandowskich panów w sukniach z czarnego aksamitu.

Cztérech Włochów. Dwóch młodzieńców czerwono ubranych, jednego rumak nakryty był dęką białą i złotem bramowaną.

Trzech Ferdynandowskich w szarych włoskich płaszczach aksamitem bramowanych. Ośm osób w aksamicie i jedwabiu na sposób polski.

Pięć rót po iij. w czarnych zwyczajnych sukniach.

Dziewięć osób w złotych zbrojach i aksamicie.

Trzydzieści i sześć osób w pospolite jedwabne suknie poubiéranych.

Sześciu po ussarsku w samych jedwabnych sukniach, i łańcuchami obwieszeni.

**Ferdynandowska czeladź dworska.**

Trzech w jedwabnych sukniach. Cztérech sług za niemi.

Dziesięć osób w pospolitych sukniach.

Dziewięć osób w czarnym aksamicie łańcuchami obwieszone.

Cztéry osoby po Węgiersku.

Cztérech młodzieńców w wilczurach.

Jeden w czerwonym atłasie złotém sukném (?) bramowanym.

Ośm rót po iij. w czerwonym aksamicie.

### Polska czeladź dworska.

Trzy roty po iij. po Niemiecku paradnie wystrojonych.
Dwie roty po iij. po ussarsku ustrojeni w jedwabie.
Dwie roty po iij. po Polsku w aksamit.
Trzy osoby po ussarsku, ze strojnemi dekami na koniach.
Trzy osoby po Niemiecku w aksamicie.
Wojskowy paukier, ix. trębaczy, wszyscy w żółty aksamit bramowany.
Dwóch panów po Włosku ubranych.
Dwie roty po iij. po ussarsku.
Dwóch panów, xiążęcia z Prus radców.
Dwie roty po iij. Węgierskich ussarzy.

### Ferdynandowska czeladź dworska.

Dwóch panów w aksamit ubranych.
Paukier wojskowy. Siedmiu Włoskich trębaczy.
xxvij. prałatów, wojewodów i innych panów, z obojéj strony pomieszanych, których nie można było porozpoznawać.
Trzech książąt, jakoto książę Jan z Münsterberga, i książę Fryderyk młodszy z Lignicy, także książę z Cieszyna.

### Młody król Polski.

Osobna persona między margrabią Jerzym a książęciem z Prus.
xl. drabantów J. K. Mości.
xvij. książęcia z Prus.

### Młoda królowa.

Siedziała w pozłacanym powozie, w którym sześć pięknych siwych koni, w czerwone aksamitne ubiory paradnie ustrojonych, i vj. lokai w czerwonym aksamicie obok idących razem z xiiij. paziami.

### Xiążęcia Jana z Münsterberga małżonka.

Siedziała w pozłacanym powozie, w którym vj. ślicznych koni w czerwonym aksamitnym ubiorze.

### Pani Krakowska.

Siedziała w pozłacanym powozie, w którym sześć gniadych koni w czerwonym aksamitnym ubiorze.

Cztéry pojazdy czerwonym aksamitem pokryte, u każdego sześć koni, w tych pojazdach froncymer królowéj.

Dwa pojazdy z czerwoném suknem, u każdego sześć koni, w pojeździe księcia Jana z Münsterberga małżonki i Krakowskiéj pani froncymer.

Za pojazdami szło iij. paziów.

Cztéry roty po iij. młodzieńców. xiij. rot po iij. Ferdynandowskich.

Trzy konie w ręku. Jedenaście rót po iij. w czerwonem.

Młodzian. Dwie roty po iij. paradnie ubranych młodzieńców w żółtych zbrojach.

Dwie roty po iij. Trzy stare duchowne Ferdynandowskie osoby.

**Biskup Kujawski** (*von der Koya*).

Dwóch trębaczy na przodzie. Siedmnaście rót po iij.

Rzeczonego biskupa konny rynsztunek, cały był Niemiecki, żółto z białem wyszywaniem.

Item biskupa Warmińskiego i Chełmińskiego (*Calmorsche*) słudzy i konie, uszykowani byli do wjazdu ale się zostali.

Summa summarum wszystkich koni, które w porządku, oprócz koni pojazdowych, z młodą królową weszły, czyni dwa tysiące siedmset xxiij. koni".

*A. W.*

# Wiadomość statystyczna o stanie zakładów naukowych Okręgu Naukowego warszawskiego w roku 1847, oraz tabelle porównawcze z lat 1846 i 1847.

(Z rossyjskiego tłumaczył *F. M. S.*).

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj umieszczając w piśmie swojém na rok 1846 w Tomie IV, str. 645 wiadomość statystyczną o składzie nauczycielskim instytutów specyalnych, gimnazyów i szkół powiatowych Okręgu Naukowego warszawskiego, z początkiem roku szkolnego 184²/₃ i z końcem roku szkolnego 184⁵/₆, podaje obecnie podobnéż wiadomości z lat 1846 i 1847 o stanie całego Okręgu i jego zakładów, wyjęte z ogólnego zdania sprawy ministeryum narodowego oświecenia, a w dzienniku tegoż ministerstwa w r. b. na miesiąc kwiecień umieszczone.

## § 1. *Stan Okręgu.*

Okrąg Naukowy warszawski składa się z pięciu gubernij, zakłady zaś należące do niego dzielą się na: 1) *specyalne*, 2) *ogólne*, 3) *prywatne*.

Do pierwszego oddziału należą:

*a*) Zakład osobny w Warszawie pod nazwiskiem: *Kursa pedagogiczne*, w składzie którego znajduje się także i *Komitet Examinacyjny*. W zakładzie tym mieści się urzędników i nauczycieli 11, uczących się 9.

*b*) Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie, zawiéra urzędników i nauczycieli 23, uczących się 227, zaś w przyłączonéj do tegoż Instytutu szkole wiejskiéj, 28 wychowańców znajduje się.

*c*) Gimnazyum realne w Warszawie z przyłączoną szkołą sztuk pięknych, zawiéra: w pierwszém urzędników i nauczycieli 42, uczących się 853; w drugiéj urzędników i nauczycieli 16, uczących się 93.

*d*) Instytut nauczycieli elementarnych w Radzyminie, ma urzędników i nauczycieli 8, uczniów 24.

*e*) Szkoła rabinów w Warszawie, w niéj urzędników i nauczycieli 19, uczniów 191.

Do rzędu *ogólnych* zakładów naukowych liczą się:

*a*) 10 gimnazyów, w których dozorujących i uczących osób 213, uczących się 3,331, w liczbie ostatniéj szlachty 1,062, dzieci urzędników 1,407, dzieci obywateli miejskich 738, dzieci włościan 124.

*b*) 2 szkoły wyższe realne, mają dozorujących i uczących 36, uczących się 746.

*c*) 15 szkół powiatowych filologicznych, w których dozorujących i uczących 157, uczących się 1,727, między niemi szlachty 380, dzieci urzędników 533, dzieci obywateli miejskich 732, włościańskich 82.

*d*) 7 szkół powiatowych realnych, mają dozorujących i uczących 46, uczących się 671.

*e*) 95 szkół rzemieślniczo-niedzielnych, mają uczących 25, uczących się 6,671.

*f*) 1,158 szkół elementarnych, w których znajduje się uczących 1,354, zaś uczących się płci obojéj 64,613.

*g*) 5 szkół elementarnych żydowskich, mają osób uczących 12, uczących się płci męzkiéj 376, żeńskiéj 130, w ogóle 506.

Do rzędu zakładów naukowych *prywatnych* liczą się pensye i szkoły przez prywatne osoby utrzymywane; zakłady te dzielą się: na wyższe i niższe czyli elementarne.

*a*) 57 szkół prywatnych wyższych, między któremi było 6 dla chłopców, a 51 dla dziewcząt, miały dozorujących i uczących osób 80, uczących się płci męzkiéj 264, żeńskiéj 1,738, w ogóle 2,002.

*b*) 115 szkół prywatnych niższych, w liczbie których dla dzieci płci męzkiéj 34, żeńskiéj 77, wspólnych 4. Szkoły te miały uczących osób 318, zaś uczących się płci męzkiéj 1,787, żeńskiéj 1,523, razem 3,310.

W ogóle zakładów naukowych było w Okręgu Naukowym warszawskim w 1847 roku 1,469, uczących się płci obojéj 85,002, w liczbie których wyznania prawosławnego 268,

greko-unickiego 1,160, ewangielickiego 14,649, żydowskiego 2,429, a mahometanów 6; reszta są wszyscy rzymsko-katolickiego wyznania.

§ 2. *Co do osób wychowaniem domowém trudniących się.*

W roku 1847 w domach prywatnych zajmowało się wychowaniem młodzieży: nauczycieli prywatnych 96, nauczycielek czyli guwernantek 75. Wydanych zostało świadectw na prywatnych nauczycieli elementarnych 16, guwernantek wyższych 2, nauczycielek elementarnych 17, nauczycielom prywatnym 6, nauczycielom domowym 12. Złożyło examina w gimnazyach i upoważnienie otrzymało: nauczycieli elementarnych 68, nauczycielek 50.

§ 3. *Stan zakładów oddzielnych do pomocy naukowéj w Warszawie istniejących.*

W bibliotece rządowéj znajdowało się 83,969 tomów dzieł w różnych przedmiotach i językach, medali i monet 4,453, w gabinecie fizycznym aparatów i narzędzi sztuk 684, w gabinecie wzorów gipsowych 750 sztuk. Zbiór techniczno-architektonicznych modeli składa się z 210 sztuk. Gabinet mineralogiczny zawiéra sztuk 20,801, a zoologiczny 33,439 exemplarzy. Gabinet botaniczno-plastyczny składający się z suszonych roślin i wyrobów ich z wosku, zawiéra 2,004 artykułów. W zbiorze obrazów 25 sztuk znajduje się; obrazy te oddane są do szkoły sztuk pięknych. Zbiór osobliwości starożytnych z 123 przedmiotów składa się. Obserwatoryum astronomiczne posiada 33 narzędzi astronomicznych i bibliotekę z 497 tomów złożoną. W ogrodzie botanicznym liczą roślin oranżeryjnych 3,556 rodzajów, roślin gruntowych i krzewów 3,997, a nasion 3,905 rodzajów.

## Wiadomości porównawcze ogólne o liczbie zakładów

| | Ilość zakładów | |
|---|---|---|
| I. Publiczne. | | |
| A. *Specyalne:* | 1846 | 1847 |
| Kursa pedagogiczne wraz z komitetem examinacyjnym | 1 | 1 |
| Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa z osobną szkołą wiejską | 1 | 1 |
| Instytut nauczycieli elementarnych | 1 | 1 |
| Gimnazyum realne wraz ze szkołą sztuk pięknych | 1 | |
| Szkoła rabinów | 1 | 1 |
| | 5 | 5 |
| B. *Ogólne.* | | |
| *a*) Wyższe: | | |
| Gimnazyów filologicznych | 10 | 10 |
| Szkół wyższych realnych | 2 | 2 |
| Szkół powiatowych filologicznych | 15 | 15 |
| Szkół powiatowych realnych | 5 | 7 |
| *b*) Niższe: | | |
| Szkół rzemieślniczo-niedzielnych | 86 | 95 |
| Szkół elementarnych | 1,058 | 1,158 |
| Szkół żydowskich | 5 | 5 |
| | 1,181 | 1,292 |
| II. Prywatne. | | |
| *a*) Wyższe: | | |
| Męzkich | 8 | 6 |
| Żeńskich | 48 | 51 |
| *b*) Niższe: | | |
| Elementarnych płci obojéj | 133 | 115 |
| | 189 | 172 |
| W ogóle | 1,375 | 1,469 |

## naukowych i uczących się w Król. Pols. w r. 1846 i 1847.

| Ilość uczących się: | Ilość uczniów | |
|---|---|---|
| | 1846 | 1847 |
| W kursach pedagogicznych | 16 | 9 |
| „ Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, wraz z przyłączoną tamże szkołą wiejską | 228 | 255 |
| „ Gimnazyum realném ze szkołą sztuk pięknych | 850 | 946 |
| „ Instytucie nauczycieli elementarnych | 24 | 24 |
| „ Szkoła rabinów | 189 | 191 |
| | 1,307 | 1,425 |
| W gimnazyach filologicznych | 3,587 | 3,331 |
| W szkołach: | | |
| „ Wyższych realnych | 675 | 746 |
| „ Powiatowych filologicznych | 1,786 | 1,727 |
| „ Powiatowych realnych | 455 | 671 |
| „ Rzemieślniczo-niedzielnych | 6,717 | 6,671 |
| „ Elementarnych | 60,930 | 64,613 |
| „ Żydowskich | 413 | 506 |
| | 74,563 | 78,265 |
| W zakładach naukowych prywatnych | 4,677 | 5,312 |
| W ogóle | 80,547 | 85,002 |

## Ilość uczących się w gimnazyach Królestwa Polskiego.

| Gimnazya filologiczne: | | 1846 | 1847 |
|---|---|---|---|
| W Warszawie | w gubernialném | 335 | 288 |
| | w drugiém | 283 | 247 |
| w Radomiu | | 501 | 384 |
| w Piotrkowie | | 496 | 523 |
| w Lublinie | | 301 | 289 |
| w Płocku | | 492 | 464 |
| w Siedlcach | | 359 | 344 |
| w Łomży | | 296 | 266 |
| w Suwałkach | | 294 | 283 |
| w Szczebrzeszynie | | 230 | 243 |
| | W ogóle | 3,587 | 3,331 |

# Liczba Szkół, uczących i uczących się w Królestwie Polskiém.

| W guberniach | Zakłady publiczne: Gimnazyów filologicznych 1846 | 1847 | Szkół wyższych realnych, polatowych, rzemieślniczych i elementarnych 1846 | 1847 | Zakładów naukowych prywatnych 1846 | 1847 | Uczących i dozorujących 1846 | 1847 | W ogóle uczących się 1846 | 1847 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Warszawskiéj. . | 3 | 3 | 679 | 735 | 116 | 124 | 1111 | 1379 | 48833 | 52037 |
| Radomskiéj . . . | 1 | 1 | 174 | 184 | 20 | 18 | 264 | 278 | 11850 | 11818 |
| Lubelskiéj . . . . | 3 | 3 | 139 | 144 | 8 | 11 | 288 | 291 | 6696 | 7622 |
| Płockiéj. . . . . | 1 | 1 | 106 | 151 | 46 | 14 | 214 | 264 | 8318 | 8512 |
| Augustowskiéj. | 2 | 2 | 66 | 68 | 6 | 5 | 147 | 148 | 3543 | 3413 |
| W ogóle . | 10 | 10 | 1164 | 1282 | 196 | 172 | 2024 | 2360 | 79240 | 83402 |
| W pięciu zakładach specyalnych. . . . . | | | | | | | | | 1307 | 1600 |
| W ogóle . . | | | | | | | | | 80547 | 85002 |

# WIADOMOŚCI
## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

---

### FIZYKA.

Draper badając związki zachodzące między naturą światła a warunkami chemicznemi, pod wpływem których odbywa się palenie ciał, doszedł do następujących wniosków. Analizując światło za pomocą pryzmatu, przekonał się, że płomienie w czasie kombustyi różnych par i gazów wydobywające się, zawiérają w sobie wszystkie kolory widma słonecznego; i że w świetle pochodzącém z palącego się antracytu w różnych temperaturach, w miarę zwiększającéj się temperatury, ukazują się promienie najwięcéj się łamiące. Z tego wniósł, że między załamywaniem się światła powstającego w czasie palenia ciał a natężeniem działania chemicznego, istnieje pewna zawisłość, i że ta własność załamywania się promieni świetlnych, zwiększa się w miarę rosnącego działania chemicznego.

Draper za pomocą wielu doświadczeń przekonał się, że płomienie składają się z szeregu powłok kolorowych, zawartych jedna w drugiéj, i że kolor fioletowy należy do powłoki zewnętrznéj posiadającéj największą średnicę. Według niego wszystkie płomienie powstają z materyi palącéj się, lecz któréj palenie odbywa się z rozmaitą mocą w różnych głębokościach, tak, iż natężenie kombustyi największe jest na zewnętrznéj stronie, gdzie zetknięcie się cząstek mate-

ryi z atmosferą jest najlepsze; zmniejsza się zaś w miarę zagłębiania się we wnętrze płomienia.

Przeciąwszy płomień płaszczyzną poziomą, znajdujemy środek napełniony parami jeszcze niespalonemi, i dlatego ten środek jest czarny; naokoło téj czarnéj części istnieje obrączka, w któréj kombustya zaczyna się dopiéro słabo ukazywać, i gdzie światło jest koloru czerwonawego; za tą obrączką następują inne koloru oranżowego, żółtego, błękitnego, indygo i fioletowego. Każdy z tych kolorów zależy od natężenia palenia czyli od ilości kwasorodu stykającego się z płomieniem. Powyższe mniemanie stwierdził Draper doświadczeniami wskazującemi, iż skoro w środek zwykłego płomienia wpuszczonym zostanie strumień powietrza, wówczas to współdziałanie niszczy powłoki płomienia czerwoną i oranżową, zamieniając je na fioletowe.

Autor na mocy powyższych faktów przypuszcza, że wszystkim kombinacyom chemicznym towarzyszą drgania cząstek ciał łączących się między sobą, i że te drgania tém są szybsze im żywsze jest działanie chemiczne. Podobna hypoteza prowadzi do tego, że zawisłość między gwałtownością działania powinowactwa chemicznego, a rozmaitém załamywaniem się powstających ztąd promieni światła, jest naturalnym wnioskiem z teoryi ondulacyjnéj, i że każdemu zwiększeniu załamywania się promieni światła, odpowiada zwiększenie szybkości drgań. (*L'Institut* 1848. 750).

*S. P.*

---

## CHEMIA.

*Poszukiwania tyczące się koszenili, przez p. Warren de la Rue.* Farbnik czerwony koszenili zwracał już na siebie uwagę wielu chemików, a w szczególności pp. Pelletier i Caventon, którzy nadali mu nazwisko karminu; nigdy jednak nie otrzymano go czystego.

W skutku rozlicznych doświadczeń, udało się p. Warren de la Rue oczyścić lepiéj powyższy farbnik, i okazać, iż ten-

że posiada własności słabego kwasu, który tenże chemik nazwał kwasem karminowym. Otrzymał go zaś jak następuje: do odwaru wodnego koszenili dodawał octanu ołowiu, osad przemywał, i rozmąciwszy go z wodą, przepuszczał przez to gaz siarkowy-wodorodny, poczém znowu powtórnie dodawał do cieczy octanu ołowiu zakwaszonego kwasem octowym, i na nowo rozkładał sól ołowianą kwasem siarkowym wodorodnym. Rozciek kwasu karminowego wyparował do suchości, a pozostałość rozpuszczał w wyskoku bezwodnym wrzącym. W powyższym stanie kwas ten jest jeszcze zanieczyszczony kwasem fosforowym i pewną istotą usaletrorodnioną; oczyszcza się go od piérwszego, wytrawiając jego roztwór wyskokowy z karminianem ołowiu, który strąca kwas fosforowy przy rozpuszczeniu odpowiedniéj ilości kwasu karminowego; od istoty zaś usaletrorodnionéj uwalnia się go przez strącenie jéj eterem; po wyparowaniu do suchości cieczy, kwas karminowy okazuje się w postaci brunatno-purpurowéj, przybiéra zaś kolor pięknie czerwony za utarciem. Rozpuszcza się w wodzie i wyskoku, a mało w eterze. Kwas solny i siarkowy rozpuszczają go bez zmiany. Po 136° rozkłada się. Jego roztwór wodny ma słabe własności kwaśne, nie przyciąga kwasorodu. Z wielu solami metalicznemi, tworzy osady, które jednak mają zawsze w sobie cokolwiek soli użytéj do strącania. Kwas saletrowy stężony zmienia go w kwas szczawiowy, i w nowy jeszcze kwas nazwany przez wynalazcę kwasem saletrowo-czerwcowym (a. nitrococcique). Ten ostatni kwas krystalizuje się w kryształki żółte, rozpuszczalne w wodzie, wyskoku i eterze; jego sole rozpuszczają się w wodzie, krystalizują się i strzelają za ogrzaniem. (Treść z *Bibliothèque universelle de Genève. Fevrier* 1848).

*J. B..a.*

## HISTORYA NATURALNA.

### *Zoologia.*

*Postrzeżenia nad sposobem życia jaszczurkowatego gadu:* Psammosaurus griseus, *przez dra med. Bagge w Frankfurcie nad Menem.* „W podróży mojéj z Kairu do Jerozolimy przez część Syryjsko-Arabskiéj pustyni na przestrzeni piaszczystego gruntu tu i owdzie roślinami pokrytego, i na którym ukazywały się rozmaite zwierzęta a mianowicie z gromady gadów; gdy zsiadłem z wielbłąda, ażeby idąc to lub owo dokładniéj postrzegać albo też zchwytać lub zastrzelić, ujrzałem w jamie w piasku, na kilka kroków ode mnie odległéj, ciemne jakieś ciało, które się w nią z szybkością błyskawicy wsunęło. Nie mogłem rozeznać czy widziałem przed sobą całe zwierzę, czy tylko część zwierzęcia; z początku jednak mniemałem, że to jest zwierzę wielkości prawie dziecinnéj pięści, i probowałem czy go nie dostanę. Jama mniéj więcéj tak szeroka, że moję dłoń pomieścić w niéj mogłem, głębiéj ciągnęła się w ziemię. Wyjąłem natychmiast stępel z mojéj rusznicy i zgłębiłem nim naokoło jamę, pionowo go zapuszczając dopóki nieulegnięty piasek dozwalał. Nagle uczułem, że stępel, oddalony około $1\frac{1}{2}$ stopy od jamy, na jakieś sprężyste ciało natrafił. Wyrzuciwszy nogą piasek, odsłoniłem w głębokości około $\frac{1}{2}'$, małą powierzchnię łuskami pokrytą. Jeszcze nie mogłem rozpoznać, czy wielkiego węża, czy jaszczurkę, czy też jaki inny gad mam przed sobą. Podsadziłem z boku stępel pod to ciało i chciałem zwierzę w górę wyważyć; wtém ono silnie poruszać się zaczęło, i jakże się zdziwiłem, gdy z otworu jamy wyskoczyła $2\frac{1}{2}'$ długa jaszczurka, i daléj zaczęła uciekać. Poskoczywszy kilka kroków, dopędziłem ją na równéj ziemi, na któréj prócz jamy swojéj, żadnego innego schronienia nie miała. Natychmiast zwróciła się ku mnie broniąc się ogonem i zębami tak zręcznie i dzielnie, że niejaki czas chodziłem koło niéj nie wiedząc jak sobie z nią poradzić. Szczęściem znalazł się w kieszeni

kawałek mocnego szpagatu; zrobiłem z niego stryczek, który jéj po długiém i nadaremném usiłowaniu, przez głowę wkoło szyi zarzuciłem. Przytém obwiązałem jéj całą głowę chustką, wziąłem ją w rękę i pośpieszyłem śladami na piasku za naszemi ludźmi i wielbłądami, którzy już na horyzoncie znikli. Nie spodziewając się przy wielkim upale długo nieżywe zwierzę zachować, nie mając dostatecznéj wielkości szkła na zachowanie go, ani téż czasu na wypchanie, musiałem, przynajmniéj na tę chwilę, żywą jaszczurkę w podróż zabrać. Wsadziłem ją przeto do naszéj, próżnéj już, klatki od kur wiszącéj na wielbłądzie od wody (*), a kiedyśmy w Ramle wielbłądy na konie zamieniali, położyłem ją z płóciennym workiem wpoprzek mojego siodła. Mniéj był trudny jéj przewóz na morzu i na kolei żelaznéj. Tak przywiozłem ją 18 czerwca w dobrym stanie do Frankfurtu.

Temperatura powietrza wielki w ogólności wpływ wywierała na oznaki jéj życia i zdrowia; było to już w ojczyźnie jéj bardzo widocznem. Ilekroć tam słońce zaszło, ona stawała się nieruchomą i jakby stężałą, wprawdzie niezupełnie, ale do stopnia że była prawie jak wosk twardą; jak się zagięło jéj ogon albo nogi, tak i zostawały; gdzie i w jakiéj postawie położyło się ją, w takiéj leżała, z wyjątkiem położenia na grzbiecie; tego ona nigdy nie zatrzymywała; nawet wtenczas gdy prawie całkiem zdrętwiała od zimna, czyniła tyle ruchów powolnych przynajmniéj, ile ich do przewrócenia się na brzuch potrzeba było. Żywość jéj albo ociężałość stały w prostym stosunku z wysokością temperatury powietrza. Latem podczas upału dziennego przy spokojném powietrzu i pełnym blasku słońca, najweselszą była. Była także bardzo żywą gdy podczas zimy podwyższyła się znacznie temperatura jéj ciała. Trzymałem ją, wyjąwszy czas lata, w moim pokoju, gdzie na dzień, mianowicie gdy było bardzo zimno na dworze a przeto więcéj napaliło się w piecu, wyjmowałem ją ze skrzynki i pozwalałem wolno po izbie chodzić, dopóki tylko

(*) Wiadomo, że pewna ilość wielbłądów w karawanie, wodę tylko niesie.

w domu zostawałem. W innych godzinach i podczas nocy leżała zawsze w skrzynce do połowy napełnionej piaskiem, pod wełnianém nakryciem. Skrzynka ta stała albo na piecu albo tuż przy piecu, tak iż piasek w niéj podczas dnia rozgrzany, zachowywał i na noc łagodny stopień ciepła.

Ale nie samo podwyższenie temperatury przerywało jéj ociężałość i do żywszych skłaniało poruszeń. Jeśli niezbyt zimno było, mogłem ją częstém trącaniem albo ukłóciem kończatemi pręcikami, powoli do żywych poruszeń przywodzić. Nadewszystko czułemi na takie zadrażnienia były tylne wydalenia i grubsza część ogona. Zwykła ona była wtedy płuca powietrzem zwolna napełniać, od czego ciało jéj stawało się prawie dwakroć szersze, i znowu je zwolna z słabym szelestem dęcia wyziewać. Jeślim te drażnienia ponawiał, ona powtarzała wciąganie i wyziewanie powietrza w coraz krótszych przedziałach czasu i z coraz wyraźniejszym szelestem dęcia, przy czém wyraźniéj i prędzéj poruszała nogami dla chodzenia i ogonem dla bronienia się trącającemu. Wysadzona ze skrzynki, i jeśli piasek, jak czasem, nie był bardzo gorący, a ona już przedtém w skrzynce żwawo się poruszała, brzuchem położona na ziemi, wyciągnęła najprzód szyję, głowę i ogon, a potém drażniona i coraz więcéj nabiérając żywości, podnosiła koleją nogi ażeby je nieco daléj naprzód posunąć, i tak z wielką jedynie ciężkością wlokła się zrazu. Jeśli otaczające powietrze było dość ciepłe, poruszenia jéj stawały się nieco szybszemi, a mianowicie nóg używała z większą zręcznością i siłą, tak iż postępując, wznosiła naostatek ciało do wysokości, że tylko tu i owdzie brzuch ziemi dotykał; jeśli się ją i wtedy drażniło, ustawiała nogi coraz bardziéj pionowo, tak że ciało, szyja i głowa, coraz się bardziéj od ziemi wznosiły, a przy zupełnéj żywości biegu, powierzchnia brzucha nieraz się na ½' oddalała od ziemi. Jeżelim ją w zimie w ciepłym pokoju do żywszych poruszeń ciągłém drażnieniem skłonił, a potém zostawił jednakowéj temperaturze jéj saméj, wtedy najczęściéj znowu się kładła spokojnie; albo téż zwolna szła za piec i tam się położyła.

Przeciwnie latem, pozwalałem jéj wolno po ogrodzie biegać. W dni pogodne wybierała sobie zazwyczaj miejsca najmocniéj oświecone słońcem, już powolniéj już żwawiéj chodząc, albo téż spokojnie leżąc. W ostatnim przypadku nadawała ciału swojemu kształt zazwyczaj bardzo spłaszczony, jak gdyby tém pragnęła ogarnąć najwięcéj powierzchni gruntu ogrzanéj. Jeżelim się do niéj w wielki upał zbliżał, już w odległości kilku kroków wiła się nagle, jak czynią węże spoczywające na słońcu, przez co się w gotowości do obrony miała. Głowę i ogon naginała nieco ku jednéj stronie, wklęsłość łuku, który wtedy ciało jéj tworzyło, zwracając ku nadchodzącemu nieprzyjacielowi, a ogon w gotowości do silnego uderzenia trzymając. Przytém mocno się nadymała powietrzem, kilkokrotnie to powtarzając z bardzo głośnym szelestem, podobnym przeciągłemu wymówieniu szwajcarskiego *ch*. Jeżeli po pierwszém takiem jéj poruszeniu spokojnie stanąłem, to i ona zatrzymała swoję groźną postawę, często dmuchając. Skoro chciałem bliżej przystąpić, uderzyła kilka razy ku mnie ogonem w powietrze, coraz bardziéj zginała ciało ku mojéj stronie, nadawając mu kształt prawie koła, i zarazem podnosiła się na przedniéj i tylnéj nodze od mojéj strony bardziéj niż od przeciwnéj, tak, że można było wtedy nieco powierzchni jéj brzucha widzieć, przyczém coraz częściéj powtarzała uderzania ogonem, aż póki się tak nie zbliżyłem, że mogła nóg moich dosięgnąć. Te uderzenia wszakże były tak silne, że przez bóty dawały się czuć należycie, i że, jeśli nad cholewy trafiały, ból nawet sprawiały. Jeśli temi razami nie udało się jéj jeszcze nieprzyjaciela oddalić, brała się i do kąsania. Zwykła była wtedy szeroko paszczę otwierać i najprzód poruszaniem jéj nieprzyjaciela straszyć, a potém nagle przyskoczywszy, kąsać. Ukąszenie bywało tak silném, że zwierzchnią skórę bóta przebijało. Odróżniała należycie przedmiot nieżywy, jakoto: kij i t. p. nadstawiony jéj, od ręki, i tamten porzucała, za tę chwytała. Raz ukąsiwszy mnie w rękę, w 11 miejscach przebiła skórę dość głęboko. Wszystkie rany miały brzegi ostre, jakby końcem bistora zadane, i krew z nich szła obficie; zagoiły się jednak poprostu i prędko, zostawiwszy małe bli-

zny. Kiedym ją w dni gorące zaniósł na wolne i przestronne miejsce piaszczyste w ogrodzie, a znowu po kilku minutach wracałem się do niéj, chciała zazwyczaj uciekać piérwéj nim się do obrony wzięła. Bieg jéj był wtedy biegiem naszych małych jaszczurek na nieco większą skalę. Skakała przed siebie o 15—20′ daleko, bez przerwy a tak szybko, że już nie można było jéj pojedynczych nóg widzieć; potém zatrzymywała się chwilkę, ażeby nanowo z tą samą szybkością pośpieszyć.

Arabowie, którzy w Palestynie zwierzę to widywali i nasz dragoman, także Arab z okolic Kairu, jednozgodnie poświadczali, że na pustyni żywi się głównie wężami, co wielce prawdopodobném być sądzę: węże i różnego rodzaju jaszczurki są tam tak liczne, że mu nie może tego pożywienia zabraknąć. I to postrzegałem, że węże, padalce i jaszczurki, z wielką chęcią pożérało. Jak zwykle wielkie gady, i ta jaszczurka wtedy tylko pożywienie brała, gdy sądziła że nikt na nią nie patrzy, a przynajmniéj gdy bardzo spokojnie i cicho naokoło niéj było. Dlatego z początku nie wiodło mi się nakarmianie jéj. Dopiéro w Jaffie, gdzie zamieszkiwałem celkę katolickiego klasztoru, przypierającą do wielkiego, 95 stopni wysokiego tarasu, piérwsze w swojéj niewoli pożywienie przyjęła. Przywiązałem ją na długim szpagacie do tarasu, gdzie było bardzo spokojnie, a obok niéj na krótszym inną jaszczurkę, strasznicę (*Agama*), którą w bliskości miasta na przechadzce złapałem; poczém ukryłem się za wpół otwarte drzwi mojego pokoju, zkąd obiedwie miałem na oku. *Psammosaurus* zrazu spokojnie obszedł się ze strasznicą, dozwolił jéj biegać wkoło siebie jakby wcale jéj nie widział, ale w pół godziny potém, nagle jak błyskawica, rzucił się na swoję zdobycz i natychmiast ją pożarł. Tegoż wieczora zjadł jeszcze śligę (*Scincus*), którą podobnież w okolicy miasta złapałem.

W całéj dalszéj podróży przez Syryą nie mogłem, mimo wszelkie usiłowania, nic dla mojéj jaszczurki złapać. Po sześciu około tygodniach, przybyliśmy na kwarantanę do Smyrny, gdzie musieliśmy 15 tygodni przepędzić. Przeznaczono tam dla nas Europejczyków, na kwarantanowy zakres, około ¼

mili kwadratowéj placu, w połowie obsadzonego winem, zresztą pustego, kamienistego i skalistego. Tu wybrałem dla mojego więźnia miejsce na wapiennéj, prawie pionowéj, pełnéj rozpadlin skale, z któréj wysokości zwieszał się naturalny dach z winorośli. Uwiązałem tam jaszczurkę na długim szpagacie, i ujrzałem jak sobie u spodu skały w miękkiéj ziemi jamę wygrzebała. Grzebała naprzemian obiema przedniemi nogami ziemię, i odrzucała ją za siebie. W miarę zagłębiania się, kiedyniekiedy znowu tyłem wychodziła, ażeby tworzące się kupki rozkruszonéj ziemi poza siebie oddalać i z jamy uprzątać, a potém znowu zapuszczała się w głębią dla dalszéj roboty. Już po 5 minutach była w poziomym prawie, nieco tylko pochylonym kierunku tak daleko, że koniec jéj ogona w wejściu do jamy leżał. Tu 15 dni spokojnie przebyła. W nocy, a raczéj już ku wieczorowi, kiedy światło słoneczne z mieszkania jéj zeszło, leżała w swojéj jamie; w dzień zaś przed nią, grzejąc się na słońcu. Widziałem w całym okręgu wiele jaszczurek, i może być że niejednę tam przez czas pobytu swojego złapała; nie wiem jednak o tém z pewnością. W moich oczach jadła tylko w Jaffie 2 kwietnia, a odtąd widziałem dopiéro w Frankfurcie, w moim ogrodzie, w 8 dni od przybycia mojego, jak jednę zwyczajną jaszczurkę (*Lacerta agilis*) zjadła. Jednakże przy należycie wysokiéj temperaturze, ciągle była wesołą, żywą i silną, słowem taką jaką ją w saméj pustyni znalazłem.

Tu w Frankfurcie, dawałem jéj latem częścią węże i padalce któreim w okolicy znajdował, częścią jaszczurki i żaby; zimą najwięcéj wróble, kiedyniekiedy mysz; ale długo krajanych kawałków wołowiny surowéj, z któremi często próbę czyniłem, nigdy jeść nie chciała. Postrzegałem, że najchciwiéj rzucała się na węże i padalce. Pierwszy wąż którego jéj dałem, był exemplarzem na 3' długim. Jaszczurka w dzień bardzo gorący, przywiązana była na długim sznurku do drzewa. Kiedy przyniosłem węża w puszce exkursyjnéj od roślin do domu, zastałem wiele osób które węża widzieć pragnęły. Otworzyłem w małém oddaleniu od drzewa puszkę, z któréj wąż natychmiast się wyczołgał, upadł na ziemię i chciał uciekać.

Lecz zaledwie kilka poruszeń wykonał, gdy *Psammosaurus* jak błyskawica rzucił się na niego, uchwycił go w połowie długości ciała, i zaraz silnemi poruszeniami głowy i szyi, na obie strony gwałtownie nim potrząsł. Poruszenia te jedząc go powtarzał, ilekroć wąż okręcaniem się wkoło jego ciała połknienie utrudzał. Mimo niedawania się i wicia węża, rozróżniała jednak jaszczurka bardzo dobrze koniec z głową od końca z ogonem u swojéj zdobyczy; usiłowała ona przez rytmicznie wracające się poruszenia głowy na bok, przyczém co chwila nieco lżéj ujmowała węża, uchwycić go zwolna bliżéj przy głowie, aż póki wreszcie nie zdołała samej głowy w paszczę dostać, i wężowi który dotąd wpoprzek paszczy leżał, nadać kierunek osi podłużnéj. Wtedy wspięła się nieco na przednie nogi w górę, i wykonywała, w przerwach około jednéj minuty, wzniesioną i wprost wyciągnioną szyją i głową, gwałtowne poruszenie naprzód, przyczém wąż każdokrotnie o ½" daléj się w paszczękę wśliznął. Czasem, kiedy te potrząśnienia, przy mocném okręceniu się węża, nie prowadziły do celu, używała także jednéj z przednich łapek, ażeby sploty z głowy lub szyi pościągać. Kwadrans do 20 minut upływało czasu, nim ostateczny koniec ogonowy węża w paszczy jaszczurki zniknął. Zawsze po spełnioném pożarciu, kilkakrotnie szybko wytknęła z pyszczka rozczepany, jasnoczerwony język, co téż i w innym czasie często zwykła była czynić.

Tymże samym sposobem, tylko z mniejszą walką i mniéj czasu łożąc, pożérała padalce, jaszczurki i żaby. Nieraz się zdarzało, że podczas gwałtownego w jednę i drugą stronę powleczenia padalcem, ogon mu odłamała. Pożérała wtedy samo zwierzę, a potém ogon. Z wyjątkiem jednéj małéj żaby, nie widziałem ażeby inaczéj zwierzę połykała, jak zaczynając od głowy, i zawsze je tak od razu ująć pragnęła.

Czy te zwierzęta w ojczyznie swojéj właściwy sen zimowy odbywają, tego nie wiem z pewnością; ale wnoszę, iż przynajmniéj kilku miesięcy bez przerwy w stanie zupełnego odrętwienia nie przepędzają. W środku bowiem miesiąca marca, w którym ją złapałem, było tam od wschodu słońca aż do za-

chodu znaczne gorąco, a zdaje mi się bardzo prawdziwém, że tam i w zimowych miesiącach, w grudniu i styczniu, przynajmniéj kilka godzin w południe, dosyć jest ciepła do utrzymania zwierzęcia w stanie żywości i zdolności chwytania oraz trawienia zdobyczy; a w okolicach tych, nawet w téj porze roku bardzo rzadko deszcz pada. Musiałem więc w zimniejszéj porze u nas, przynajmniéj kiedyniekiedy pożywienie jéj przynosić. Ale że wtedy ani wężów ani jaszczurek u nas nie bywa, musiałem przeto uciec się najprzód do wróbli. Żywego na szpagacie uwiązanego wróbla, z obciętemi skrzydłami, żadną miarą wziąć nie chciała, tém mniéj mysz żywą. Próbowałem więc, czy nie weźmie wróbla nieżywego, którego za nogi uwiązałem na sznurku. Częstém drażnieniem i nęceniem przywiódłem jaszczurkę do tego, że, jak opisałem wyżéj, kąsać mnie chciała, i wtedy szybko jéj w otwartą paszczę wsadziłem wróbla, którego z gniewem zębami przejęła. Natychmiast odsunąłem się dla uważania jéj zdaleka; lecz po chwili znowu go wyrzuciła, a kilka prób dalszych były podobnież bez skutku. Sądząc, że może pióra na ptaku i twardy dziób jego w dotykaniu podniebienie jéj obrażały, i inne sprawiały wrażenie niż gładkie ciało wężów i jaszczurek; oskubałem wróbla, oderznąłem mu dziób i szpony, a dla uczynienia go dogodniejszym, poprzełamywałem kości jego wydaleń, potém zatknąłem go od tyłu na cienki rożenek drewniany, na nowo ją rozdrażniłem i wtedy zdobycz do kąsania podałem. Potrzymała ją niejaki czas spokojnie w paszczy, ale zaczęła potém czynić wyżéj opisane poruszenia naprzód, poczém wróbla połknęła.

Odtąd w porze, w któréj ani wężów ani jaszczurek nie było, prawie wyłączne pożywienie jéj stanowiły wróble. Tymże sposobem podałem jéj kilka myszy i rozmaite żaby: myszy jedynie zabite, a większe żaby z połamanemi członkami lub całkowicie oderzniętemi nogami przedniemi. Latem jednakże w wielki upał jadła żaby żywe, sama je porywając gdy je z daleka przyniósłem jéj i rzuciłem.

Sądzę że pewny stopień ciepła i do należytego trawienia jéj był potrzebny, bo dwa razy się zdarzyło że wyrzuciła żabę przed ośmiu dniami połkniętą, gdy zimniejsze następowało

powietrze. Pierwszy raz dałem jéj bardzo wielką brunatną żabę na końcu lata, ale we dwa dni późniéj, gdy zaczynało oziębiać się, wziąłem ją do mojego pokoju. W kilka dni potém, spokojnie pracując przy moim stoliku, postrzegłem, że żwawiéj niż zwykle w téj temperaturze, i z pewną niespokojnością od jednego końca izby do drugiego biegała. Czasem podniósłszy głowę, spokojnie zatrzymywała się na środku izby, a potém znowu się tułać zaczynała. Wkrótce stanęła jeszcze, podniosła głowy, zaczęła wykonywać wahadłowe ruchy na bok, i nagle wyrzuciła z paszczy szarawą massę, blizko na 2' daleko; powtórzyła jeszcze kilka razy te ruchy z coraz większą szybkością, i massa podobna pierwszéj, wyrzucona została na drugą stronę. To wytłumaczyło mi jéj niespokojność. Zwierzę położyło się potém łagodnie, i jak się zdawało znowu przyszło do siebie: przyjęło nawet pożywienie nazajutrz i należycie je strawiło. Rozpoznając wyrzuconą massę, znalazłem w jednéj jéj bryle część miednicy i wszystkie kości wydaleń, w drugiéj resztę żaby. Kości były już po części porozłączane i nieregularnie na sobie poukładane: Mięso, skóra, i część wnętrzności leżały jeszcze na nich, ale już nieco zmienione, przezroczystsze i bardziéj krwi pozbawione, a wszystko szkliśty, wlekący się śluz powłóczył.

Trawienie uskuteczniało się przy ciepłém powietrzu bardzo powolnie, i trwało około 14 dni do 3 tygodni. Mogłem ten czas dosyć dokładnie oznaczyć, dawszy jéj raz pomiędzy pewną liczbą wróbli mysz, któréj potém włosy znalazły się w wyrzutach. Wypróżnienia następowały w przecięciu co 3—4 tygodni, i zawsze się składały ze dwóch mass zupełnie rozdzielonych i istotnie odmiennych. Jedna była żółtawo-białą bryłką, wielkości dobrego orzecha laskowego, konsystencyi miękkawéj, prędko wysychająca w powietrzu i stająca się twardą i łatwą do rozłamania. Dotąd nie rozbiérałem jéj chemicznie; w większéj pewnie części składa się z urynianu ammoniaku. Druga massa miała kolor czarno-z elonawo-brunatny, ilością prawie równa pierwszéj, lecz rzadsza od niéj. W niéj znajdowały się łuski po wężach i jaszczurkach, i sierć po myszach.

Tym sposobem udało mi się, od wiosny 1845 do wiosny 1847, utrzymywać zwierzę przy życiu, a nawet jak się wydawało, przy dosyć dobrém zdrowiu; nie dawała się podczas jego niewoli żadna inna dostrzegać zmiana, oprócz zwolna postępującego chudnienia. Mogło to ztąd pochodzić, że mu nie dosyć pożywienia dawano, mianowicie na wiosnę i w jesieni, gdy albo wcale, albo nie tak paleno w piecu, ażeby miało potrzebny do żywienia się stopień ciepła. Uważałem także iż gorącego lata w r. 1846, kiedy mu mogłem wiele niekiedy żab i padalców na dzień dawać, przybrało kształty nieco okrąglejsze i większy obwód: ale z chłodniejszą roku porą, wszystko to znowu ubywało. Przez ciąg ostatniéj zimy, jaszczurka była jeszcze dosyć zdrowa i silna; ale gdy nadeszły wilgotnozimne nieprzyjazne dni pierwszéj połowy upłynionéj wiosny, stawała się widocznie coraz chudsza i słabsza, aż naostatek ku końcowi kwietnia zgasła". (*Fror. Not.* 1847 *nr.* 57).

✿ *O krążeniu krwi w pokrywach owadów chrząszczowatych.* Wiadomo, że pokrywy u chrząszczowatych owadów składają się ze dwóch gęstych, łuskowatych, mniéj lub więcéj łamliwych skór, które po większéj części żadnego śladu rozłączenia nie okazują. P. Nicolet, uważając przez mikroskop poprzeczne tych skór przecięcie, znalazł je rozmaicie uorganizowanemi. Skóra zwierzchnia, zazwyczaj grubsza, składa się z warstw równoległych jednakowéj prawie grubości, które w spodniéj prawie zawsze zastępują podłużne pasy, podobne delikatnym, krzyżującym się i plecionkę tworzącym włóknom. Warstwy téj zwierzchniéj skóry obejmują niekiedy małe, okrągłe komórki; niekiedy materya warstw jest jednakowa, przezroczysta i do najczyściejszego bursztynu podobna, niekiedy nawet, jak u dwukropkowéj biedrzonki *(Coccinella bipunctata)*, warstwy z komórkami idą naprzemian z warstwami bez komórek. Można, podług p. Nicolet, pokrywę przyrównać do mocno zgniecionego pęcherza, który ma ujście w tułowie, ale którego spłaszczenie nie wszędzie jest jednakowe; tak powstaje na każdéj stronie czcza wybłączystość, która wewnętrzne i zewnętrzne żyłki boczne tworzy. Skóra zwierzchnia powstaje z delikatnéj warstwy zewnętrznéj, ściśle połączonéj z inną, która pod nią leży; ona jedna na-

daje kolor pokrywom, na oko jest łuskowata, i zdaje się odpadać sposobem naskórka zwierząt wyższych, i kosztem warstw dolnych na nowo się odradzać. Spodnia skóra pokrywy ma również delikatną warstwę zewnętrzną, która wszakże u wszystkich owadów jest biała, przezroczysta i na żywem zwierzęciu dająca się łatwo od warstwy następnej odłączyć; strona jéj zwrócona ku wewnątrz, jest gładka; zewnętrzna zaś bezpośrednio skrzydeł dotykająca, zawsze ma mniéj lub więcéj cierniowatych brodawek. Cienka skórka zdaje się być przeznaczoną do chronienia czterech naczyń powietrznych, które u wszystkich chrząszczowatych pomiędzy nią, a dolną powierzchnią drugiéj błony leżą, biegną prostym kierunkiem od podstawy pokrywy do jéj wierzchołka i rozsyłają na bok liczne gałęzie, znowu się rozdzielające. Dwie z tych gałęzi zajmują zawsze przestrzeń pomiędzy dwiema bocznemi żyłkami, dwie inne są boczne, a z tych każda zajmuje wydrążenie jednéj z tychże żyłek. Naczynia te mają taką samą budowę jak tchawice ciała, i wspólną rurą łączą się w innych tułuwu częściach, z układem oddychania.

W pokrywach dwukropkowéj biedrzonki, które p. Nicolet, nie oddzielając ich od żywego zwierzęcia, pod mikroskop podłożył, i mocno z góry oświecił, przy uważném postrzeganiu widzieć się dały przepływające ruchy ciał kulistych. W środku zewnętrznego nerwu bocznego, biegł od podstawy pokrywy wielki strumień, który mniejsze, boczne strumienie rozsyłał, a sam niezliczonemi zakręty aż do wierzchołka pokryw dochodził, i rozdzielał się tam na wiele odnóg, które się w tę i owę stronę zginając, do wewnętrznego nerwu wpadały, gdzie łączyły się znowu w jeden strumień główny, lecz do góry idący, który krew do ciała przynosił. Poruszenie nie działo się sposobem uderzeń, lecz powoli i jednostajnie; zachodziło ono w wolnéj przestrzeni nerwów, pomiędzy dwiema skórami; kulki krwi były w stosunku do zwierzęcia znacznie wielkiemi. U jednéj z przezornością odłączonéj od ciała pokrywy, poruszenie to odbywało się jeszcze przez kilka minut regularnie; ustało potém, i nagle jakby elektryczną siłą poparte, wróciło się do wskazanych przestrzeni, przyczém tworzyły się nowe, dotąd niepostrzegane strumienie poprzeczne,

które się siatkowato po całéj płaszczyźnie rozpościerały. Może za przyczynę tego zjawiska uważać należy nagłe ściągnienie się żyłek, i wywarte przez to ciśnienie na naczynia krwiste. Po kilku sekundach krew znowu wracała, ażeby w coraz krótszych przestankach powtórzyć to samo poruszenie, które niedługo nie dosięgało już wierzchołka pokrywy, a nakoniec zupełnie ustało. (*F. N.* 1847 *nr.* 65 z *Annales d. sc. nat. Janv.* 1847).

* Przezroczystość równie gąsienic jak i samych owadów dojrzałych, nie jest tak wielka, ażeby dozwalała wyraźnie widzieć krwi krążenie; dotychczasowi przeto badacze albo żadnego nie przyjmują, albo tylko niezupełne. P. Emil Blanchard, udawszy się do postępowania, którego dotąd nikt nie użył, albo jeżeli użył, to bezskutecznie; tojest do wtryskiwania zafarbowanéj cieczy, ujrzał jak wszystkie, nad każdym organem gałęzisto rozchodzące się tchawice, przybierały kolor wtryskiwanéj cieczy, lubo najmniejsza kropelka nie dostawała się do ich środka.

Tchawice owadów składają się jak wiadomo, ze dwóch błonek, pomiędzy któremi leży wstęga spiralnie skręcona; przestrzeń środkująca pomiędzy dwiema błonami, służy tym sposobem do przyjmowania ciepłéj krwi, która przez to styka się wszędzie z zawartém w tchawicach powietrzem. Łączenie się przeto krwi z kwasorodem, następuje tu podobnie jak u zwierząt które płuc nie mają, mimo zupełnie odmienną anatomiczną budowę. Nawet i budowa tchawic łatwo się da objaśnić: spiralna wstęga służy nie do samego tylko wzmocnienia, ale bardziéj do tego, ażeby ściany obudwu błon oddalała od siebie, i tym sposobem otwartą czyniła drogę wyżywiającéj cieczy. Jeżeli tchawice rozwiną się pęcherzykowato, ich spiralna wstęga ginie, gdy liczne kanały najostateczniejszéj cienkości, we wszelkich rozchodząc się kierunkach, widocznemi pozostają.

Kiedy wtryskujemy owad przez naczynie grzbietowe, ciecz rozpościéra się natychmiast po częściach głowy, tułuwu i odwłoka, i temi które otaczają organa oddychania, wciska się pomiędzy dwie skóry tchawic, a ztąd, kanałami bocznemi ciągnącemi się ponad częściami grzbietu aż do początku wiązki

tchawic, nazad w grzbietowe naczynie powraca. Te donoszące kanały zgadzają się co do liczby z przetchlinkami (*stigmata*) odwłoka: to samo i co do klap w grzbietowém naczyniu zachodzi, lubo odmienne jest podług gatunku owadu.

Tchawice zatém, które wszystkie części ciała zaopatrują w powietrze, donoszą jednocześnie kwasorodem obciążoną krew do wszystkich organów, przez co ta przestrzeń, która środkuje pomiędzy dwiema ścianami organów powietrznych, zdaje się zastępować miejsce naczynia wyżywiającego, a więc i tu czynność krwi obiegu łączy się z czynnością oddychania.

Rozliczne i z najrozmaitszemi owadami czynione postrzeżenia, przekonały p. Blanchard, że ta organizacya jest powszechną, i w rozmaitych nawet rzędach téj wielkiéj zwierząt gromady, znalazł on jedynie bardzo nieznaczne odcienia różnic. Również u gąsienic okazują się prawie te same co i u dojrzałych owadów, zjawiska krążenia.

Preparaty p. Blanchard wystawione są w muzeum w Paryżu; podług niego, nie jest nawet trudno takie wtryskiwania wykonywać, robiąc w odwłoku owada mały otwór i wtryskując nim ciecz zafarbowaną, która wstępuje w czcze przestrzenie, a ztamtąd pomiędzy ściany tchawic i w naczynie grzbietowe. (*Ib. nr.* 66. *Comptes rendus. nr.* 20. 1847).

* Na dniu 30 stycznia 1847, kiedy było 3 stopnie zimna, wiatr północno-zachodni z drobnym śnieżkiem sprowadził z sobą niezliczoną mnogość gąsienic omomiłka szarego (*Cantharis fusca*), które przy wsi Nöthen w Eifel, leżały na śniegu w odległości około stopy jedna od drugiéj. Ten spad gąsienic rozciągał się aż do Blankenheimu (odległ. 1½ godziny). Już w r. 1672 miało zajść podobne zdarzenie. W r. 1749, podczas mglistego powietrza towarzyszącego kurzawie śniegowéj, w Leufsta, w Szwecyi, spadło niezmierne mnóstwo tych samych gąsienic, razem z pająkami i trawowemi liszkami, gęsto okrywszy pola. Nakoniec 14 stycznia 1806 w Anspachskiém, podobny deszcz gąsienicowy upadł. Podług pr. Goldfuss, gąsienice te podczas łagodnego powietrza wyłażą z ziemi: wiatr je wtedy porywa, i znowu ze śniegiem na ziemi składa. (*Ib. nr.* 62, z *Isis*, 1847. *pag.* 176).

* Przed dwoma laty stał na półwyspie Colabath wielki kwitnący światogląd (*Adansonia*), około 300 lat stary a 44 stóp obwodu pnia mający. Drzewo to w jednym roku całkowicie zniszczyła żerdzianka z gatunku *Lamia sentis*, chrząszczowaty z długiemi rożkami owad. Zewnętrzna kora jednak, z wyjątkiem kilku dziurek, została nietkniętą, gdy wszystko wewnątrz w proch się przemieniło. Krajowcy żerdziankę tę (w stanie gąsienicy?) smażą w cukrze i jedzą; Chińczycy i Malajczycy za wielki ją przysmak poczytują. (*Ib. nr.* 52 z *Orlich's Travels in India, vol.* I)

* Eldith (*Koenigsb. naturw. Unterhaltungen*, zeszyt 3) wyliczył, że znamy już dotąd 274 gatunków owadów, które mniéj lub więcéj stale w mrowiskach się znajdują, a z których przynajmniéj niebardzo mała liczba, z ustaw natury utrzymuje tam życie, albo przemiany odbywa. Wiele porywają mrówki, i jako niewolników żywią. Zwykle za dawane im pożywienie, mrówki nawzajem biorą pewne wydzielane przez nie materye, i te jedzą. (*Id. ib.*).

* P. Savage uważał w gorącéj Afryce mrówkę polującą, któréj nieprzeliczone roje wielkie płaszczyzny okrywały, napadały na wszelkie zwierzęce, tak żywe jak martwe ciała, i w krótkim czasie wszelkie mniejsze zwierzęta i szkodliwe owady mieszkań, wytępiały. Jakkolwiek bardzo małe, napadały jednak na węże kilka stóp długie, które mnogością swoją wkrótce nękały, oczy im najprzód wyżarłszy. Jest pomiędzy niemi rozmaitość kształtów, wielkością, ukształceniem głowy i szczęk odróżniona. Największe, bezpłciowe indywidua, pełnią obowiązek wojowników. (*Id. nr* 55. z *Bibl. univ. de Genève* 1847, *nr.* 12).

* Pod tym mylnym napisem: „*The seventeen-years Locust*" opowiada dr. S. P. Hildreth ciekawe szczegóły tyczące się przyrodzenia jakiegoś gatunku skoczkowatych owadów (*Cicadina*), który nam trudno oznaczyć, a który po 17letnim podziemnym spoczynku, znowu się w r. 1846 w jednej części państwa Ohio zjawił. Dnia 14 maja widziano pierwsze z ziemi wyłażące, wspinające się na krzaki, drzewa i mury, uwalniające się następnie z wyleni i stan skrzydlatego owadu

przybierające. Już na początku kwietnia, orząc znajdowano ich gąsienice tuż pod powierzchnią ziemi: tu i owdzie świnie, kury i koty, bardzo chciwe na nie, wygrzebywały je na wierzch. W r. 1838 pewny robotnik w Marietta znalazł jamki tego owadu w starym oparkanionym sadzie drzew owocowych, gdzie była ziemia z jednéj strony pagórka odrzucona. Dr. Hildreth przybył na to miejsce, i zebrał kilka skoczków do spirytusu. Jamki były wtedy jeszcze o ¼ mniejsze jak w ich siedmnastym roku, miały kształt jajowaty, 2¼ cala długości a ¾ cala średnicy, i zostawiały każdemu zwierzątku, które w téj przez siebie zrobionéj grocie 16 lat i 10 miesięcy żyje, tyle tylko miejsca, ażeby się obrócić mogło.

Samica niesie jaja w młode gałęzie drzew, gdzie one 60 dni leżą w rdzeniu drzewa, nim się wylęgą i w ziemię pochowają. Dojrzały owad żyje tylko dni 30. W r. 1840 znaleziono ich jamki w głębokości 2½ do 4 stóp pod powierzchnią ziemi, bez żadnego wyjścia nad ziemię. Muszą one być tak gęste że wody nie przepuszczają, bo podczas zalewu w roku 1832, woda przez 5 do 6 dni w ogrodzie dra Hildreth stała, i na 6 do 8 stóp głęboko w ziemię wsiąkła, a jednakże w r. 1846 zpod jednéj jabłoni, w któréj gałęzie owad 1829 jaja zniósł, powychodziło mnóstwo skoczków. W jamkach ich znajdowały się drobne wydzielone materye (kał). W siedmnastym roku, albo nieco wcześniéj, kiedy nadejdzie czas ich pogrzebu, troskliwie chroniąc się przed mrozem, wiercą sobie gładki, walcowaty, zwykle 4 stopy długi kanał, wprost zpod ziemi idący. Do téj pracy, równie jak i do porobienia jamek, używają nóg przednich, daleko większych i silniejszych niż te, które do chodzenia służą, a oprócz tego mocnym szponem uzbrojonych. Każda gąsienica opatrzona jest dziobkiem na ¼ cala długim, który zazwyczaj pomiędzy przedniemi nogami, w jednéj linii z ciałem leży. Niektóre wylazły zpod kupy drzewa budowlowego, gdzie był grunt bardzo mokry, lecz dla osuszenia go sobie, porobiły walce z wilgotnéj gliny, jakby wieżyczki na 5 do 6 cali nad powierzchnią wzniesione, i powyłaziły po nich na dolną stronę drzewa w powietrze, szukając sobie dogodnego miejsca, w którém się zatrzymały aż do

pęknienia skóry na grzbiecie tułowu, i pozrywania z wielką siłą więzów, które tak długo w ziemi nosiły. Odtąd mieszkańcy powietrza, nie potrzebowały już szponów, które zamieniły na dwie drobne nóżki przednie, do innych nóg podobne. W kilka już dni parzyły się: samica za pomocą szydłowatego jajowodu zaczęła nieść jaja w dolną stronę młodych gałęzi, co przez kilka dni czyniła, obierając na to mianowicie przeszłoroczne gałęzie jabłoni, ale w lasach poprzestawała prawie na każdym gatunku drzewa. Już w kilka dni liście na takich gałązkach pożółkły, gałązki stały się łamliwemi, i często już wiatr je obłamywał.

W dniu 21 maja skoczki bardzo się rozmnożyły, wzgórkowata strona lasów brzmiała ich cierkaniem. Tylko samiec, który za i pod skrzydłami ma drgające komórki powietrzne, wydaje te głosy, które gdy owady w mnóstwie się zbiorą, głuszącemi się stają: w nocy zachowują się dość spokojnie. Od 6 i 7 czerwca oziębiło się powietrze, co ich powodzeniu bardzo zaszkodziło; niemało ich nawet naginęło podczas ciągłego deszczu. Ale ilekroć przygrzało słońce, bawiły się nader wesoło. Ostatniego czerwca prawie wszystkie poumierały; wielokrotnie widziano je jeszcze, jak w 1829, przelatujące krótkie odległości wtedy, gdy już odwłok im odpadł. W połowie sierpnia powylęgały się młode skoczki z jaj przed 60 dniami zniesionych, ażeby w ziemię poszły. Rozszerzyły się one ponad całą okolicą lasami okrytą na północ rzéki Ohio, od gór Alleghany do Mississipi, i tak licznie jak w r. 1829, ale zapewne zmniejszą się za przerąbaniem lasów.

Jako dodatek do tego zajmującego opisu, przytacza wydawca Amerykańskiego Dziennika, następujący wyciąg z wybornego dzieła dra T. W. Harris o owadach szkodliwych roślinom w Massachusetts, gdzie się znajduje zupełna tego skoczka historya. W połowie czerwca zjawiają się w niektórych lasach dębowych w Massachusetts, skoczki często w tak nadzwyczajnéj mnogości, że młode gałązki drzew zginają się pod ich ciężarem lub łamią, a cały las od rana do wieczora brzmi ich mezgodnemi odgłosy. Po odbytém parzeniu się, samica zaczyna przysposabiać gniazdo dla jaj swoich, i wybiéra śred-

nio młode gałązki, obejmuje je nogami i zapuszcza swój kolec po kilka razy ukośnie w korę i drzewo, używając spółcześnie swoich piłowatych narzędzi do podniesienia drobnych zadziorów na drzewie, mających służyć za nakrywkę na otwór. Skutkiem powtarzanego wiercenia, powstaje szpara zukosa do rdzenia wiodąca, która 10 do 20 jaj przyjąć może. Boczne sztuczki kolca służą za kanały do wpuszczania jaj w gniazdo, gdzie układają się parami, oddzielone tylko niektóremi włóknami drzewa i jednym końcem ukośnie do góry zwrócone. Złożywszy dwa jaja, owad wciąga na chwilę kolec, kładzie potém dwa inne w podobnymże kierunku przy pierwszych, i czyni to dopóty, dopóki się szpara nie wypełni, poczém przyrządza w niejakiéj odległości nowe gniazdo na dwa inne jaj rzędy, a to już w 15 minutach jest gotowe i napełnione jajami. Nie rzadko widzieć można 15 do 20 takich gniazd na wierzchołku gałązki; badacz pewny nawet 50 ich w jednéj linii naliczył, wszystkie po 15 do 20 jaj obejmujące, a które zapewne dziełem jednego i tego samego skoczka były. Jeżeli gałązka dosyć już jest poklóta, zwierzę udaje się do innéj, z gałęzi na gałęź przechodząc, dopóki się nie wyczerpnie 500 do 700 jaj zapas, a z nim i siły zwierzęcia, które wtedy niezdatne do latania, niedługo życie kończy.

Lubo na dębinie szczególnie ten skoczek gości, i na inne wszakże drzewa leśne lub krzaki dla złożenia jaj przechodzi, a wtedy owocowe drzewa w blizkości będące, nieraz nawiedza. Jodła tylko i sosna przed jego napadem są bezpieczne, lubo biały cedr obsiany nim bywa niekiedy. Zaklóte gałązki więdnieją i usychają niedługo, gdy jaja się wylęgą, i wtedy wiatrem lub własnym ciężarem odłamane, wiszą tylko trzymając się na łyku, albo upadają z wyschłemi listkami na ziemię; sady wiele tym sposobem cierpią od zaklócia skoczka.

Perłowo-białe jaja, długie są na $^1/_{12}$ cala a na $^1/_{16}$ szérokie, i z obudwu końców przytępiono śpiczaste. Skorupka na nich jest tak cienka, że cały kształt owada, przed wylężeniem się jego, widzieć dozwala. Wylężenie się następuje, według dra Potter, dnia pięćdziesiątego drugiego, lubo według innych, po

czternastu dniach do skutku przychodzi. Wychodzący ze skorupki owad ma kolor żółtawy, okryty jest drobnemi włoskami, oczy tylko i szpony nóg przednich są czerwonawe. Długość jego wynosi $^1/_{16}$ cala. Ma on kształt robakowaty, stosunkowo dłuższy jest od macierzystego owadu, opatrzony sześciu nogami, z których pierwsza para jest wielka, kształtu rakowych kleszczy i mocnemi kolcami uzbrojona; na grzbiecie w miejscu skrzydeł, ukazują się małe wyniosłości, a pod piersiami leży długi smoczek. Młode, tylko co z jaj wyklute stworzenia, poruszeniami i żywością podobne są mrówkom; zmyślność zapędza je na ziemię, dokąd ażeby się dostać, nie złażą po pniu drzewa, lecz udają się na boki gałązek, puszczają się ostrożnie, i spadają na ziemię. Zmyślność tych zwierzątek w puszczaniu się odważnie z wysokości im nieznanych, dziwniejsza jest prawie niż młodych, zaledwie z jaj wylęgłych gąsiąt, które śpieszą zaraz do wody, i zdawałaby się bajeczną, gdyby jéj działań nie postrzegały wiarogodne osoby. Dostawszy się na ziemię, zwierzątko wkopuje się natychmiast przedniemi, do kopnych nóg kreta podobnemi nóżkami w ziemię, trzymając się pewnie korzonków roślin, mianowicie delikatniejszych i soczystszych, z których dzióbkiem pożywną materyą wyciąga. Zazwyczaj nie zachodzi głęboko w ziemię, raczéj zostaje tam, gdzie największa jest takich korzeni obfitość. Powiadają wprawdzie, że w głębokości 12 stóp znajdowane były; musi to jednak na błędnem opierać się postrzeżeniu, bo w taką głębokość przypadkowo tylko zajść mogły Jedyna przemiana, którą owady podczas długiego podziemnego pobytu odbywają, zachodzi w zupełniejszem rozwinieniu się czterech, podobnych łuskom wyniosłości na grzbiecie z których się skrzydła wywinąć mają.

Kiedy się zbliża czas ich ostatniéj przemiany, wychodzą zwolna na powierzchnię ziemi, robiąc rurkowate, niekiedy wielokrotnie załamane, rzadko zupełnie pionowe przechody, których ściany są, według dra Potter,jakby wylepione cymentem i nieprzepuszczające wody. Przechody te mają $^5/_8$ cala średnicy, i napełnione są od spodu materyą ziemistą, którą wyłażący owad wypycha przed sobą, lecz którą po kolorze

i tęgości do 1 a czasem do 2 stóp głęboko śledzić można. W części górnéj przechodu, któréj czczość na 6 do 8 cali się rozciąga, przesiaduje zwierzę aż do swojego wyjścia; w dzień pogodny, ciepłem i świeżością powietrza nęcone, wygląda przez otwór, ale się wraca w swój przechód, skoro zimno lub wilgoć nastanie.

Przez ten czas gąsienica (za nią bowiem zwierzę w swoim robakowatym stanie uważać się powinno), hartuje się na zewnętrzne wpływy, i opiéra się przyjaznemu okresowi oswobodzenia swojego. Jeśli ten przyszedł nakoniec, zwierzęta w wielkiéj liczbie w nocy wychodzą z ziemi, wspinają się na drzewa lub inne niezbyt gładkie przedmioty, odpoczywają chwilkę, gotując się do złożenia powłoki; ta stała się już suchą i zciemniała: tylko jéj pęknąć wpodłuż na grzbiecie, co też skutkiem powtarzanych natężeń i następuje, a skoczek wyłazi głową i ciałem, rozwija skrzydła i członki, i zostawia, daléj załażąc, czczą gąsienicy powłokę na drzewie. Pokrywy skrzydeł zrazu są jeszcze małe i nieprzezroczyste, a przytém miękkie i giętkie, wnet jednakże rozpościerają się do zupełnéj wielkości; po kilku godzinach osycha zbyteczna wilgoć ciała, a owad staje się tak silnym, że może polecieć.

Przez kilka nocy po sobie idących, gąsienice wyłażą z ziemi; pod jedną jabłonią ukazało się ich więcéj niż 1500, tak że ziemia stała się do plastru wosku podobną. W Alabama wychodziły w lutym i marcu, w Maryland i Pensylwanii w maju; w Massachusetts pokazały się dopiéro koło połowy czerwca. W 44 dni po ostatniéj przemianie, zaczyna się jaj niesienie, a po 6 tygodniach całe pokolenie znika.

Szczęściem zjawiają się one znowu, tylko po bardzo długim czasu przeciągu, przez który roślinność po doznanych uszkodzeniach, wzmódz się była w stanie; gdyby nie to, leśne i owocowe drzewa Ameryki wkrótce uległyby ich opanowaniu. Ale i one same wystawione są na różne wpływy, przez wielu nieprzyjaciół ścigane. Zjadają jaja ich ptaki, wykluwające się młode pożerają mrówki, na drzewach i na ziemi je ścigając. Kos szuka ich za pługiem, świnie ryją za niemi w lasach i niezliczoną moc ich niszczą, wyłażących do

ostatniéj przemiany. Niektóre dusi już w jaju zbyteczny wzrost drzewa i kory, jeszcze inne zabijają pewnie wywroty drzew w lasach (*F. N.* 1847 *nr.* 60, z *Sillimans Journal. March.* 1847).

* Na wyspach Żeglarskich używa się do jedzenia robak zwany *palolo*, zapewne jakiś nalepian (*Arenicola*). W pewnych porach w miesiącu październiku i listopadzie, tojest pierwszego dnia ostatniéj kwadry księżyca i na dzień przedtém, robaki te zjawiają się w niezliczonéj mnogości. Skoro dzień zaświta, widzieć się już dają; liczba ich z każdą minutą wzrasta, a kiedy słońce zejdzie, na powierzchni morza roją się krocie tych nagle zjawionych przybyszów, które potém we 2 lub 3 godziny znowu znikają. Nazajutrz znowu się ukazują w poranku, ale tak licznie, że całe morze okryte jest niemi, i w kilka godzin nikną aż do następnéj pory, tak że w tym środkującym czasie już ani jednego znaleść nie można. Jeżeli czasem przy któréj wyspie zjawiają się nadzwyczaj obficie, następnego miesiąca już w mniejszéj tam występują liczbie; zawsze jednak okazują się bardzo regularnie i jedynie w tych oznaczonych porach: nadewszystko zaś blizko zatok do haków i naprzeciwko części lądu w słodkie wody obfitujących. Mają one grubość cienkiéj słomki, a rozmaitą długość i kolor: bywają zielone, brunatne, białe i pstre, a z wejrzenia i ze sposobu pływania, podobne są do małych wężyków. Łatwo się łamią na kawałki, z których każdy jak cały robak pływa. Krajowcy uważają robaki *palolo* za wielki przysmaczek i z utęsknieniem pory ich objawienia się czekają; łowią je w małe, pięknie uplecione koszyki, a jedzą równie na surowo jak przyprawione lub pieczone, w wielkiéj ilości i z wielkiem upodobaniem, a nawet rozsyłają gdy się skończy połów, mnóstwo téj nowalii do tych części wysp, przy których się ona nie objawia. *(Id. nr.* 60 z *Annals of natural History* 1847 *nr.* 128).

*A. W.*

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847. WARSZAWA.

161. O febrze przepuszczającéj epidemicznéj w r. 1847. (Wydane przez Radę Lekarską Królestwa). 8ka. Warszawa. 1847. (Druk. Strąbskiego). Textu rossyjsko-polskiego str. 35, textu pol. osobno wydanego str. 17.

162. Okólnik dla lekarzy praktykujących w Królestwie Polskiém. (Wydany d. 11 listopada 1847 r., w przedmiocie cholery). Textu pol. ross. str. 17. w 8ce.

163. Ogłoszenie o cholerze, które duchowni z ambon podać mają do wiadomości ludu. (Ułożone przez Radę Lekarską Królestwa i zatwierdzone przez Centralny Komitet zapobiegający cholerze). 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). str. 15.

164. Ogłoszenie o cholerze dla nielekarzy. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 12.

165. Prawidła pod względem wydawania lekarstw i udzielania pomocy felczerskiéj na koszt skarbu chorym dotkniętym cholerą, ułożone przez Radę Lekarską Królestwa Polskiego i zatwierdzone przez Centralny Komitet cholerze zapobiegający. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 15.

166. Środki, jakie celem zapobieżenia cholerze, ze strony Władz miejscowych przedsięwzięte być winny. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Str. 11.

167. Zasady dochodzeń sądowo-lekarskich w przypadkach uszkodzeń ciała, wydane przez Radę Lekarską Królestwa Polskiego, redakcyi Członka Rady Professora A. Janikowskiego. 8ka. Warszawa. 1847. (Druk Strąbskiego). Textu ross. pol. str. 759, textu polskiego osobno str. 341.

1848. WARSZAWA.

68. Gospodarstwo wiejskie, obejmujące w sobie wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego, teoryczno-praktycznie wyłożone przez Michała Oczapowskiego. Wydanie drugie. 8ka. 10 tomów. Warszawa. 1848. Nakład Merzbacha, druk Strąbskiego. Tom I, Agronomia, str. XXXVII i 145. II, O nawozach. Str. 218. III, Uprawa gruntu, str. 179. IV, Uprawa roślin ogólna, str. 114. V, Uprawa zbóż i roślin groszkowych, str, 141. VI, Uprawa roślin fabrycznych, str. 300. VII, Uprawa roślin okopowych i pastewnych, str. 424. VIII, Hodowla bydląt domowych, str. 354. IX, Hodowla koni, str. 139. X, Hodowla bydła rogatego i świń, str. 165. Złp. 66.

KRAKÓW.

70. O moralności dla kobiét, przez Autorkę Pamiątki po dobréj matce (wydanie drugie). 12ka. Kraków. 1848. Druk J. Czecha. Kart 4 i str. 133. Złp. 6.

## *Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

W tych dniach wyszły Wzory kaligraficzne p. Seweryna Oleszczyńskiego znanego litografa i dyrektora litografii Banku Polskiego. Nie piérwszy to raz artysta ten przysługuje się publiczności podobną pracą, wszelako teraz wydane wzory, owoc kilkoletniéj a mozolnéj pracy, są najwytworniejsze, jakie dotąd u nas kiedykolwiek wyszły. P. S. Oleszczyński wybrał co najlepszego ze wzorów zagranicznych. do polskich je zastosował, rossyjskie, włoskie, angielskie i niemieckie pisma przydał, o hebrajskich i greckich nie zapomniał, a wszystko to licznemi i gustownemi kaligraficznemi ozdobami upiększone, nader świetną ma powierzchowność i dla miłośników sztuki pięknego pisania jest bardzo pożyteczne.

Tymoteusz Lipiński zajmuje się obecnie ułożeniem przysłów polskich i wyjaśnieniem takowych. Obszerne materyały przygotował już po temu. Znając pracowitość i sumienność tego literata, spodziewamy się, że przedmiot ten należycie wyczerpnie.

Henryk Lewestam, wykończył „Historyą literatury powszechnéj" w trzech obszernych tomach, i wkrótce zamierza ogłosić takową drukiem.

Henryk Rzewuski autor Listopada, Pamiętników Szlachcica i Zamku Krakowskiego, zaczął obecnie pracować nad nową powieścią „Szmigielski Starosta Gnieźnieński". Postać tego sławnego podjezdnika, z początku stronnika Augusta IIgo, a późniéj Stanisława Leszczyńskiego, uderzała każdego swą poetycznością i wzniosłością. Czasy to blizkie *Soplicy*, i sądzimy, że biegłe pióro Rzewuskiego, choć usterków wiele w Zamku Krakowskim okazało, przy obrazie Szmigielskiego zajaśnieje znowu urokiem Soplicy.

Lucyan Siemiński ułożył i wydał „Przewodnik Myśliwca"; praca nieobszerna, ale wielce zajmująca, i wybornie wyłożona.

Biblioteka Warszawska

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatoryum Astronomicznem

## WARSZAWSKIEM.

## *Lipiec 1848.*

## *Lipiec 1848.* Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ 14ᵐ 45ˢ,7 względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany Księżyca. | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | 6 god. rano | 10 god. rano | 4 god. wiec. | 10 god. wiec. | | 6 godz. rano | 10 godz. rano | 4 godz. wiecz. | 10 godz. wiecz. | 6 god. r. | 10 god. r. | 4 god. w. | 10 god. w. | dészczu | śniegu |
| 1 | | 742.20 | 741.53 | 737.24 | 734.50 | +15°.5 | +20°.5 | +24°.1 | +19°.3 | 70.2 | pogodny | smugi | pr. pochm. | dészcz | PdW. | PdW. | PdW. | PnW. | 4.8 | |
| 2 | | 737.14 | 738.44 | 742.49 | 744.88 | 16.3 | 16.6 | 13.8 | 13.6 | 92.0 | pochmurny | pochmurny | dészcz | dészcz | PnZ. | PnZ. | PnZ. | PnZ. | 5.2 | |
| 3 | | 746.44 | 748.73 | 750.06 | 751.91 | 11.4 | 13.8 | 17.8 | 13.7 | 57.5 | dészcz | pochmurny | napół pog. | pogodny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | — | 3.4 | |
| 4 | | 752.44 | 752.57 | 751.56 | 751.53 | 15.2 | 17.8 | 23.3 | 15.6 | 59.7 | smugi | pr. pogodny | pog odny | pogodny | — | Z. | Z. | — | | |
| 5 | | 751.87 | 754.01 | 754.37 | 756.90 | 16.8 | 18.1 | 21.1 | 14.4 | 60 5 | pochmurny | napół pog. | chm. miejsc. | pogodny | Pn. | Z. | Z. | PnZ. | | |
| 6 | | 755 62 | 756.81 | 755.88 | 756 67 | + 15.0 | + 17.1 | + 20.0 | + 15.4 | 59.0 | napół pog. | pochmurny | pochmurny | pogodny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | PnZ. | | |
| 7 | | 756.68 | 756.18 | 754.30 | 754.21 | 16.6 | 18.1 | 24.8 | 17.4 | 59.0 | pogodny | chm. miejsc. | pr. pogodny | pr. pogodny | Pn. | Z. | Z. | — | | |
| 8 | ☽ | 753.21 | 753 30 | 752.14 | 751.88 | 17.7 | 22.5 | 27.7 | 21.0 | 57.0 | pogodny | pogodny | pogodny | napół pog. | Pd. | Pd. | PdZ. | — | | |
| 9 | | 751.74 | 751.60 | 752.66 | 751.81 | 20 1 | 23.4 | 22.6 | 16.8 | 63.5 | napół pog. | poch. i dész. | napół pog. | napół pog. | Z. | PdZ. | Z. | — | 0.3 | |
| 10 | | 748.70 | 747.38 | 745.81 | 746.27 | 18.9 | 21.3 | 20.7 | 18.2 | 80.0 | napół pog. | poch. i dész | poch. i desz. | dészcz | — | Pd. | Z. | Pd. | 3.2 | |
| 11 | | 747.55 | 748.40 | 749.89 | 752.93 | + 17.7 | + 21.0 | + 18.6 | + 16.0 | 87.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Pd. | Pn. | Pn. | 10.8 | |
| 12 | | 756.10 | 757 30 | 759.00 | 759.74 | 14.6 | 16.5 | 20.6 | 18.1 | 84.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | | |
| 13 | | 760.13 | 760.31 | 758.20 | 757.04 | 15.9 | 20.9 | 25.0 | 18.1 | 64.0 | pochmurny | napół pog. | napół pog. | pogodny | Pn. | Pn. | Pn. | — | | |
| 14 | | 755.71 | 755.21 | 752.64 | 751 60 | 19 6 | 23.3 | 26.2 | 20.1 | 59.0 | pogodny | napół pog. | napół pog. | napół pog. | Pn. | PnW. | PnZ. | — | | |
| 15 | | 750.20 | 750.28 | 749.34 | 749.91 | 16.0 | 18.3 | 20.4 | 16.8 | 69.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pn. | Pn. | PnZ. | — | 0.2 | |
| 16 | ☾ | 749 88 | 749.85 | 748.46 | 748.28 | + 14 6 | + 18.1 | + 20.6 | + 14.5 | 63.0 | napół pog. | pochmurny | napół pog. | napół. pog. | Pn. | PnZ. | PnZ. | — | | |
| 17 | | 748.04 | 747.89 | 746.64 | 746.03 | 14.9 | 16.8 | 18.3 | 11.8 | 67.5 | napół pog. | napół pog. | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z | Z. | | |
| 18 | | 745 83 | 745.70 | 746.86 | 748.18 | 12.9 | 16.9 | 17.1 | 12.2 | 71.2 | pogodny | napół pog. | napół pog. | napół pog. | Z. | PnZ. | Z. | — | 3.6 | |
| 19 | | 749.42 | 750.14 | 749 38 | 749.04 | 13.5 | 16.8 | 22.4 | 15.6 | 67.1 | napół pog. | napół pog. | napół pog. | pogodny | Z. | Z. | PdZ. | Pd. | | |
| 20 | | 749.41 | 748 89 | 747.24 | 746.93 | 17.7 | 23.8 | 30.0 | 17.9 | 55.0 | pogodny | pogodny | pr. pogodny | pogodny | Pd. | PdZ. | PnZ. | Pd. | | |
| 21 | | 746.86 | 746 53 | 749.12 | 750.46 | + 20.7 | + 24.3 | + 21.6 | + 13.8 | 69.5 | pogodny | pr. pogodny | poch. dészcz | pogodny | Pd. | PdZ. | Z. | — | 6.4 | |
| 22 | | 752.28 | 752.16 | 750.47 | 749.45 | 16.2 | 19.9 | 24.7 | 19.0 | 58.2 | pogodny | pogodny | chmury | napół pog. | — | Z. | PdZ. | Pd. | | |
| 23 | ☾ | 752.18 | 753.26 | 752.61 | 753.28 | 17.3 | 20.4 | 24.6 | 17.6 | 62.5 | pogodny | pogodny | pochmurny | pogodny | PnZ. | Z. | Z. | — | | |
| 24 | | 752.85 | 751 37 | 750.06 | 749.10 | 19.8 | 25.0 | 31.1 | 20.3 | 52.7 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pd. | PdW. | Pd. | Pd. | | |
| 25 | | 748.55 | 749.78 | 749.72 | 751.34 | 20.6 | 21.0 | 20.7 | 15.3 | 71.5 | pogodny | poch. i dész. | pochmurny | dészcz | Z. | Pn. | PnZ. | PnZ. | 1.6 | |
| 26 | | 752.81 | 752.97 | 752.77 | 752.01 | + 15.2 | + 20 0 | + 24.5 | + 19.0 | 70.0 | pochmurny | napół pog. | pochmurny | pr. pogodny | Z. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 27 | | 752 43 | 752.20 | 750 78 | 750.58 | 20.0 | 24 4 | 30.0 | 18.9 | 64.0 | pogodny | pr. pogodny | chm podz. | pogodny | Pd. | PdZ. | Pd. | — | | |
| 28 | | 750.19 | 750.45 | 750.65 | 750.95 | 21.0 | 25 3 | 24.4 | 17.9 | 69.7 | pr. pogodny | napół pog. | poch. i dész. | napół pog. | Pd. | Z. | Pd. | Z. | 0.5 | |
| 29 | | 752.85 | 752.96 | 751 91 | 752.81 | 18.3 | 21 9 | 22.6 | 17.2 | 65.2 | napół pog. | napół pog. | napół pog. | napół pog. | Pn. | PnZ. | Z. | PnZ. | | |
| 30 | ● | 753.58 | 753.27 | 752.49 | 752.41 | 15.9 | 18.6 | 21 2 | 16.2 | 55.2 | pogodny | pogodny | napół pog. | pogodny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | | |
| 31 | | 751.82 | 751 18 | 748 65 | 748.44 | 16.7 | 20.9 | 25 5 | 18.3 | 57.0 | pogodny | pogodny | chm. podz. | pr. pogodny | W. | W. | W. | PdW. | | |
| Śre. | | 750.797 | 750.989 | 750.431 | 750.647 | +16°.86 | +20°.10 | +22°.77 | +16°.77 | 66.5 | | | | | | | | | 40.0 | |

| | mm. | c. | l. |
|---|---|---|---|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 750.716 | 27 | 8.789 |
| Najwyżej dochodził — d. 13 o g. 10 r. | 760.31 | 28 | 1.042 |
| Najniżej — — d. 1 o g. 10 w. | 734.50 | 27 | 1.601 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 2.83 | | 1.25 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 10 r. | 10.29 | | 4.56 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 1.982 | | 0.879 |
| | 748.734 | 27 | 7.91 |
| Średnia temperatura Lipca wynosi: | + 19°.12 C. | | + 15°.29 R. |
| i ta jest wyższa o | 0.38 „ | | 0.30 „ |
| od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | + 18.74 „ | | + 14.99 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 27 o 2 g. po południu. | + 33.25 „ | | + 26.6 „ |
| Najmniejsze ciepło dochodziło d. 4 i 18 nad ranem | + 10.0 „ | | + 8.0 „ |
| (Termometrograf wskazał Maximum: + 26.°6 R. d. 27 po połud. Minimum: + 8.°0 R. d. 4 i 18 rano). | | | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.82 „ | | 2.26 „ |
| Największa zmiana dzienna d. 24–25 o 4 g. w. 10 4 „ | | | 8.32 „ |

Średnia wilgotność powietrza wynosi 66 5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 10,01 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 4 setne od normalnej.

Wody z deszczu spadło wysoko na 40 milimetrów czyli 17.72 linij par., tojest dwa razy mniéj od ilości wody, jaka zwykle w lipcu u nas spada.

Dni pogodnych było 9; napół pogodnych 15; pochmurnych 7.
— deszczu 11 (d. 1. 2, 3. 9. 10. 11, 15. 18, 21, 25, 28).
— grzmotów i błyskawic 4 (9, 11, 21, 28).

Lipiec r. b. był pogodny i suchy, liczba dni pogodnych dwa razy była większa jak zwykle. Średnia temperatura miesięczna jest o 0,3 stop. R. wyższa od normalnéj. Niektórych dni osobliwie w początku miesiąca przy wietrze północnym poranki były chłodne.

Wiatr panujący był Zachodni, częste były także: Północne i Północno-Wschodnie.

Wicher był 1 Zachodni.

D. 14 i 16 w wieczór, koło białe otaczało księżyc.

W Lipcu wiele plam na słońcu było widzialnych.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1848.

---

## *Materyały historyczne.*


Stron.

Bezkrólewie po śmierci Augusta IIIgo. (Wyjątek z pamiętników współczesnych, ze zbioru swego udzielił *F. M. S.*)..... 162

Spis chronologiczny hetmanów małorossyjskich do czasów unii, i pułków kozackich w różnych czasach, p. *Michała Gliszczyńskiego*..... 178

Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy, od najdawniejszych czasów, aż do 1847 r. skréślony przez *F. Max. Sobieszczańskiego* ..... 221

Kilka słów o odnowieniu w roku 1678 zamku królewskiego w Grodnie..... 430

Stron.

Wiadomość bibliograficzna o dziełku niemieckiém, zawiérającém: Krótkie opisanie wjazdu młodéj królowéj do Krakowa, i wesela młodego króla z Polski, z najjaśniejszego króla rzymskiego Ferdynanda córką i t. d. Roku 1543. Przez *A. W.* ..... 632

**Nauki ekonomiczne.**

O prawodawstwie rolniczém pruskiém ..... 449

**Prawo.**

Rozbiór pytania: czy na zasadzie obowiązujących w Królestwie praw postępowania sądowego karnego, a w szczególności Ordynacyi kryminalnéj pruskiéj, zachodzi właściwie jaka różnica, między uwolnieniem zupełném dla braku wszelkich dowodów, a takiémże uwolnieniem dla wykrytéj niewinności, i czy od wyroków piérwsze z nich stanowiących, służyć może odwołanie się do wyższych sądowych instancyj? 299

Odpowiedź na rozbiór pytania: czy na zasadzie obowiązujących w Królestwie praw postępowania sądowego karnego, a w szczególności Ordynacyi kryminalnéj pruskiéj, zachodzi różnica między zupełném uwolnieniem dla braku dowodów, a takiémże uwolnieniem dla wykrytéj niewinności, i czy w piérwszym przypadku służyć może odwołanie się do wyższéj instancyi? Przez *Augusta Heylmana* ..... 563

**Literatura.**

Wyjątek z tragedyi Goethego: Faust. Tłumaczył *Włodzimiérz Wolski* ..... 66

Pieśni ludu weselne, przez *Oskara Kolberga* (ciąg dalszy). Z muzyką ..... 615

*Powieści.*

Krzyż na stepie, powieść przez *Józefa Korzeniowskiego*. 349, 582

**Podróże i opisy.**

Podróże po Bieskidach, czyli opisanie części gór Karpackich, zawartych pomiędzy źródłami Wisły i Sanu, przez *Ludwika Zejsznera* ..... 96, 371, 476

## Statystyka.

Stron.

Wiadomość statystyczna o stanie zakładów naukowych Okręgu Naukowego warszawskiego w r. 1847, oraz tabelle porównawcze z lat 1846 i 1847. Tłumaczenie *F. M. S.* ..... 649

## Sztuki piękne.

*Krakowiak. Trois etudes pour le Piano-forte, par O. Kolberg. Sicilienne pour le Piano-forte, par M. Dietrich.* Przez *J. S.* ..... 607

Zjawiska, przez *J. S.* ..... 425

## Rozbiory.

Odpowiedź na dokończenie Uwag nad Uwagami i na Reodpowiedź p. W. A. Maciejowskiego, przez *A. Tyszyńskiego.* ..... 78

Odpowiedź p. Tyszyńskiemu, dana na Odpowiedź, przez *W. A. Maciejowskiego.* ..... 146

Tak się dzieje. Powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. 2 tomy. Wilno. 1848. Przez *J. S.* ..... 156

Druga i ostatnia odpowiedź na repliki p. Maciejowskiego, przez *A. Tyszyńskiego* ..... 400

Wykład prawa handlowego przez J. A. Rogrona, przełożył Jan Szymanowski, z dodaniem przypisów z najcelniejszych autorów czerpanych. Warszawa. 1848. Przez *Jana Chr. Sławianowskiego* ..... 413

Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie, p. *K. Bachmana* (dokończenie) ..... 432

Album literackie, pismo zbiorowe, poświęcone dziejom i literaturze krajowej, pod redakcyą Każ. Wł. Wojcickiego. Warsz. 1848. Przez *T.* ..... 597

Władysław. Wyciąg z pamiętników niebardzo starych, przez Alex. Grozę. Wilno. 1848. Przez *J. S.* ..... 605

## Nauki przyrodzone.

O Piorunach, podług Fr. Arago. Przez *Józefa Sapalskiego.* 1, 325, 532

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, p. *S. P.* ..... 184, 438, 656

Chemia, p. *J. B...g.* ..... 187, 657

Zoologia, p. *A. W.* ..... 189, 659

## Korrespondencya.


Stron.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj z Grodna..... 181
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *K.* hr. *T.*..... 183

*Kronika bibliograficzna*..... 214, 443, 679
Doniesienia literackie..... 216, 444, 680
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:
za miesiąc maj r. b..... 217
— — czerwiec..... 445
— — lipiec..... 681


Biblioteka Śląska